

CZARNA SERIA  
KRYMINAŁ

„Jeden z najbardziej niezwykłych  
detektywów we współczesnej literaturze”.

POLITIKEN

# Eremita

## Thomas Rydahl



# Eremita

## Thomas Rydahl

Przełożyła  
Elżbieta Frątczak-Nowotny

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Luisa

1

2

3

Mały palec

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

## Dziwka

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

## Ciało

32

33

34

35

36

37

38

39

## Mieszkanie

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

### Frachtowiec

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

### Kłamca

63

64

65

66

67

68

Lucifia

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

Lily

79

Wyrazy wdzięczności

*Tytuł oryginału*  
EREMITTEN

*Redakcja:* Grażyna Mastalerz  
*Projekt okładki:* Izabella Marcinowska  
*Zdjęcie na okładce:* Pixabay  
*Korekta:* Anna Jędrzejczyk  
*Redaktor prowadzący:* Anna Brzezińska

EREMITTEN © 2014 by Thomas Rydahl & Forlaget Bindslev  
Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017  
Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Frątczak-Nowotny, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.  
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-657-9

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# Luisa

31 grudnia

## 1

W sylwestra, będąc pod wpływem potrójnej lumumby, Erhard postanawia znaleźć sobie nową ukochaną. Nowa nie jest może właściwym określeniem. Nie musi być ani nowa, ani ładna, ani miła, ani zabawna. Tylko ciepła. Z tych, co to potrafią zająć się domem. Czasem będą nucić coś pod nosem, a czasem zaklną, jeśli akurat tak się zdarzy, że on rozleje kakao. Czego oczekuje? Niezbyt wiele. Bo też co on może zaoferować kobiecie? Niezbyt wiele. A z czasem będzie tylko gorzej. Za kilka lat będzie musiała opróżniać nocnik, golić go i zdejmować mu buty po całym dniu spędzonym w samochodzie, o ile on jeszcze będzie w stanie prowadzić. Za kilka lat.

Skalne zbocze kilka metrów od domu rozplynęło się w mroku. Ciemność jest całkowita. Jeśli dostatecznie długo będzie siedział bez ruchu, zobaczy rozgwieżdżone niebo. A jeśli zostanie jeszcze dłużej, dojrzy cienki welon spadającej gwiazdy, która z czasem staje się coraz większa. Cisza narasta, jeśli można tak powiedzieć. Narasta jak dźwięki nicości, które zagłuszają ciepło dnia, nadal pojękujące w kamieniach, i nieustające C-dur wiatru, i uderzenia fal o brzeg, i krew, która w nim płynie. Cisza, która sprawia, że ma ochotę rozpocząć nowy rok od płaczu. Cisza, tak przekonująca i nasycona, że zlewa się w jedno z nocą i jego otwartymi oczami, które wydają się zamknięte. Dlatego tak lubi tu mieszkać. Tu, gdzie nikt nigdy nie przychodzi. Poza nim. I jeszcze



Laurelem i Hardym. Teraz przychodzą też gwiazdy, nigdy tu nie były, ale teraz dotarły i tutaj. Najpierw widzi wszystkie kropki, a potem gwiazdozbiory i Pas Oriona, i galaktykę, która przypomina staromodną dziurkowaną kartkę z informacją o Wielkim Wybuchu.

Od ostatniego razu minęło siedemnaście lat i dziewięć miesięcy.

Nadal czuje zapach perfum Beatriz, zostały w materiale jego koszuli, w miejscu, gdzie dotknęła go, kiedy się zegnali. Zaproponowała, żeby z nimi został. W jego uszach zabrzmiało to mało przekonująco. Mam inne plany, odpowiedział kwaśno, tak jak tylko starszy pan potrafi. Postaraj się, spróbowała ponownie, bardziej przymilnie. Nie, dziękuję, za wysokie progi jak dla mnie. Co było prawdą. Beatriz nic nie odpowiedziała, natomiast Raúl powiedział: Jesteś jednym z lepszych ludzi, jakich znam. I na tym się skończyło, więc kiedy zaczęli wyjmować kieliszki do szampana, pocałował Beatriz, życzył jej szczęśliwego Nowego Roku i ruszył w dół ulicą. Raúl poszedł z nim. *Buen viaje*, powiedział Erhard, kiedy znaleźli się w świętującym na ulicy tłumie. Handlarz torebkami, Silón, stojący po drugiej stronie ulicy, życzył im obu szczęśliwego Nowego Roku, pewnie przede wszystkim Raúlowi, którego wszyscy znają, i Erhard szedł do samochodu, czując ukłucie, które zawsze czuł w ten szczególny dzień. Kolejny rok, który mijał jak wszystkie poprzednie, kolejny rok oczekiwania.

Zdrowie, przyjacielu. To dobry koniak. Pali całą drogę w dół. Noc jest ciepła. Ciało ma rozgrzane. Może dlatego, że myśli o Beatriz, o jej ciemnym miejscu, dokładnie tam, gdzie piersi się dzielą i znikają w bluzce, dokładnie tam, skąd pochodzi zapach. Niech to szlag. Próbuje o niej nie myśleć. Nie będzie tracić na nią czasu.

Córka fryzjerki. To o niej powinien myśleć. Ma w sobie coś.

Nigdy się z nią nie spotkał. Widział ją tylko raz, i to z pewnej odległości. Ale często widuje jej zdjęcie w salonie fryzjerskim. Myśli o niej. Myśli o zwykłych zdarzeniach. Zwykle sceny, jak wchodzi do salonu fryzjerskiego, uruchamiając dzwonek. Wyobraża sobie, że siedzi naprzeciwko niego przy stole, kiedy je. Albo stoi w kuchni, jego kuchni, i gotuje na kuchence, leci para, coś bulgocze.

W rzeczywistości jest zdecydowanie za młoda, i zajęta rzeczami, o których on nie ma pojęcia. Nie jest w jego typie. Skąd on może wiedzieć, co imponuje młodej kobiecie? Na pewno nie przepada za gotowaniem. Pewnie woli siedzieć i rozmawiać przez telefon z przyjaciółmi, jak wszyscy młodzi. Jada jedynie nudle z papierowego pudełka, nie odrywając wzroku od komputera. Na zdjęciu w salonie jest nastolatka: chodząca niewinność z burzą loków i w okularach w dużych męskich oprawkach. Nie jest specjalnie ładna, ale trudno o niej zapomnieć. Teraz ma co najmniej trzydzieści dwa lata i – według matki, której on oczywiście nie wierzy – jest miła i mądra. Kiedy raz zobaczył ją na ulicy, rozpoznał jej jasne kręcone włosy. Przechodziła przez jezdnię, szła wyprostowana, z torebką przewieszoną przez ramię, jak prawdziwa kobieta, zaczęła biec, kiedy zobaczyła szybko zbliżający się samochód. Nie jest elegancka, wręcz nieco niezdarna. Nie potrafi powiedzieć, dlaczego tak dużo o niej myśli, może to wyspa daje mu się we znaki. Zawodzenie wiatru. Nuta samotności, która bez przerwy się odzywa.

To вина Petry. Jej chorobliwie wysokiego głosu, którym pacyfikuje klientów w fotelu fryzjerskim, wykluczając jakiegokolwiek rozmowy, argumenty czy przemyślenia, które nasuwają się człowiekowi, kiedy siedzi i przegląda pisma czy czyta artykuł o miejscowej drużynie piłkarskiej. Petra ma w sobie pewną twardość, dla niej miłość jest czymś, co trzeba z innych wycisnąć. I bez przerwy mówi o córce. Drapiąc go po głowie długimi paznokciami, opowiada, że przeprowadziła się do nowego mieszkania, że kupiła skuter, że ma nowego klienta, że rzuciła narzeczonego, że ona, nie córka, chciałaby mieć wnuki, i tak dalej. A kilka miesięcy temu powiedziała wprost: Gdyby moja córka znalazła kogoś takiego jak ty. Tak właśnie powiedziała, patrząc na niego w lustrze. A potem dodała: Nie jest taka jak większość dziewcząt, ale ty też nie jesteś taki jak większość. Potem śmiali się z tego oboje. Głównie ona.

Erharda przeraziła ta propozycja. Jak mogła ot tak sobie to powiedzieć? Zamachać mu przed nosem swoją córką. Czy chciała, żeby ją gdzieś zaprosił? Czy nie zauważyła, że nie ma jednego palca? I co z różnicą wieku, czy w ogóle

nie myślała o takich rzeczach? Między nimi jest co najmniej trzydzieści lat różnicy, on jest w wieku jej matki, może nawet starszy. Ale symetria przemawia do niego. Pokolenia sięgające w przeszłość, wyciągające na powierzchnię kolejne rysunki Eschera, rysunki dłoni rysownika rysującej samą siebie. Pięć palców u jednej ręki i pięć u drugiej. 5+5.

Gdyby moja córka znalazła kogoś takiego jak ty, tak powiedziała. Kogoś takiego jak on.

Nie jego, tylko kogoś takiego jak on.

Co to miało znaczyć? Czy chciała powiedzieć, że takich jak on jest tu wielu? Jego kopii, takich, co to od pokoleń zajmują się tymi samymi rzeczami, nie zbaczają z drogi, nie zadają pytań, ktoś taki jak on, jak powiew wiatru albo pierdnięcie, dzisiaj jest tu, jutro już gdzie indziej, zostaje jedynie wspomnienie i smród.

Z miasta dochodzą odgłosy sztucznych ogni.

Może powinien to zrobić teraz? Zaprosić ją gdzieś. Właśnie teraz? Tak, miałby to z głowy. Wie, że przemawia przez niego lumumba. Wie też, że odwagi starczy mu na najwyżej dwie godziny, potem znów rzeczywistość da o sobie znać. Jest kwadrans po dziesiątej, może ona jest gdzieś na kolacji, gdzieś, gdzie jest mnóstwo młodych mężczyzn, którzy wiedzą mnóstwo rzeczy o komputerach. A jeśli siedzi w domu, tak jak on – i ogląda te okropne programy w telewizji, które pokazują co roku. Jej matka mówiła mu wiele razy, gdzie mieszka. W jednym z tych nowych budynków na Calle Palangre. Nad sklepem z dziecięcymi ubrankami. Nic złego się nie stanie, jeśli zajrzy i sprawdzi, czy jest w domu. Może uda mu się zobaczyć, czy w mieszkaniu pali się światło, czy może widać łunę żarzącego się w mroku telewizora.

Opiera się o ścianę domu, znajduje na sznurze parę sztywnych spodni, wkłada je, trafia stopami do nogawek. Gdzieś w ciemnościach biegają kozy.

Wraca do miasta ścieżką Alejandra.

Nie powinien tego robić, nie powinien jechać tą ścieżką. W ten sposób niszczy samochód, już dwa razy musiał naprawiać ośki, za każdym razem Anphil, mechanik, ostrzegał go. Chyba nie jeździsz Drogą Północną? Albo ścieżką Alejandra? Twój samochód tego nie zniesie. Kup sobie montero albo któryś z nowych modeli merca, one zniosą wszystko. Ale on nie chce montero, a na nowego mercedesa go nie stać, a nawet gdyby było go stać, toby go nie chciał, chce nadal jeździć swoim starym mercedesem z Maroka, z żółtymi fotelami i kiepskim przyspieszeniem. A mimo to decyduje się jechać ścieżką. Mija stary dom Olivii, do którego wprowadzili się surferzy, na dachu leżą deski, w ciemności widać ich flagę, parę jasnoróżowych majtek zatkniętych na końcu długiego patyka sterczącego nad domem. Mieszka w nim dwóch facetów i ich przyjaciele. Kiedy rano przejeżdża obok, widzi, jak czasem siedzą przed domem, palą fajki i machają do niego, umierając ze śmiechu. Są pokrzywieni jak zatrute kozy i gdyby przyszło mu do głowy zatrzymać się, nie byłiby w stanie podnieść się ze swoich nadmuchiowanych mebli. Teraz w domu nie ma nikogo, światło jest zgaszone, pewnie wyszli, na plażę albo do miasta.

Erhard dociera do zakrętu przy nabrzeżu. To niesamowity zakręt. Szczególnie kiedy ma się organizm wypełniony lumumbą po jabłko Adama, a palce wzmocnione tanim koniakiem. Na drodze pełno dziur i drobnych kamieni. Cała karoseria się trzęsie. Kiedy wskazówka szybkościomierza zbliża się do siedemdziesiątki, samochód wypada ze ścieżki. Erhard czuje łaskotanie i nie może przestać się śmiać. Puszczą wiatry, nie ma w tym nic zabawnego, robi to mimowolnie, już od kilku lat tak ma. Jak tylko lekko napnie mięśnie brzucha, zaraz w jego jelitach pojawia się bańka powietrza. Sprawia mu to ból, ale przynosi ulgę. Ścieżka schodzi w dół, przed nim ostatnia pętelka. W światłach wozu spostrzega kozę, stoi na środku ścieżki. Skręca, omija ją, po chwili widzi ją w tylnym lusterku, przypomina Hardy'ego, ale to na pewno nie on, jest za daleko od domu. Kozą znika w ciemności.

Jest tak zajęty, że zauważa nadjeżdżający samochód dopiero kiedy ten mija go na zdecydowanie za wąskiej ścieżce. Dochodzi go ostry dźwięk. Buuum. Metaliczny cień wzdłuż samochodu. Boczne lusterko leżące płasko na szybie.

– Przeklęty amator! – krzyczy po duńsku. Sam się sobie dziwi, ale przecież przekleństw się nie zapomina. Jedzie dalej, znów wchodzi w zakręt, samochodu już nie widać, czerwone tylne światła zniknęły w mroku nocy. Nie ma sensu zatrzymać się i oglądać szkody. Opuszcza szybę, poprawia lusterko. Szkło popękało, osiem delikatnych, cienkich jak włos pęknięć idących w dół.

Czarne montero. Na pewno tego hulaki, Billa Haji, który mieszka kawałek stąd, przy drodze, w przypominającej rancho willi, i słynie z tego, że jeździ z dużą prędkością po ścieżce Alejandra, jakby go palił tyłek. Erhard powinien mieć serce w gardle, ale jego serce jest tam, gdzie jego miejsce, znieczulone lumumbą i zestresowane perspektywą spotkania z córką fryzjerki.

Jedzie ścieżką do Corralejo. Z asfaltu paruje ciepło. W niewielkich samochodach podróżują młodzi ludzie, trąbią i śpiewają. Jedzie powoli aleją do portu, zatrzymuje się na Calle Palangre. Porzuca samochód w przypadkowym miejscu.

Zamierza odwiedzić córkę fryzjerki. Zapuka do drzwi. Czerwieni się na myśl o spojrzeniu, jakie mu pośle, kiedy zobaczy go w drzwiach. Dobry wieczór i szczęśliwego Nowego Roku, powie. Widział ją. Widziałem cię na zdjęciu, u twojej matki. A jeśli się okaże, że ma na sobie letnią sukienkę, na takich wąskich ramiączkach, które cały czas opadają. Nieważne, że nosi okulary. Nie jest wybredny.

Kiedy dociera do sklepu z dziecięcymi rzeczami, podnosi głowę, patrzy w górę w okna mieszkań, wszędzie jest ciemno. Wszystkie trzy piętra budynku toną w ciemności. Pewnie siedzi i ogląda telewizję, mając nadzieję, że ktoś do niej zajrzy. Musi się napić. Czegoś cholernie mocnego. Wlać coś do gardła, żeby uruchomić aparat mowy. Co mu da to, że będzie stał i gapił się jak jakiś cholerny *extranjero*. Rusza ulicą, dochodzi do Via Ropia, kieruje się w stronę Centro Atlantico. Tam zawsze coś się dzieje, ale głównie są tam turyści, ludzie, których

nie zna. Wchodzi do Flicka, podchodzi do baru. Zamawia rusty nail, stawia kolejkę dwóm facetom w kącie. Nie przywykli do miejskiego życia, dwóch hodowców oliwek w poszukiwaniu kobiet, stoją obok siebie, zrozpaczeni, jak myszy za palmą, niemal niewidoczni.

### 3

Zostało mu osiemnaście minut. W telewizorze na tylnej ścianie baru widać Times Square, pokaz fajerwerków z portu w Sydney, długie wskazówki Big Bena, które spotykają się na XII. Barman woła: Jesteście gotowi na Nowy Rok? Jego słowa brzmią tak prosto, tak obiecująco. Jakby można było zostawić za sobą to, co stare, biorąc tylko to, co nowe. Nowe. Nic mu to nie mówi. Nowe – to nie dla niego. Nie potrzebuje nowego. Nie chce nowego. Chce tylko, żeby to, co stare, zachowywało się przyzwoicie. Siedemnaście minut. Wciąż jeszcze może zadzwonić do drzwi i życzyć jej szczęśliwego Nowego Roku. Może jest w negliżu, czy jak to się nazywa, może popija białe wino i ogląda stare odcinki *7 Vidas*, które wszyscy kochają. Ma mokre włosy, właśnie wzięła chłodną kąpiel.

Strumień ludzi, wszyscy chcą wyjść na ulicę. Zostaje niemal zepchnięty z krzesła. Płaci banknotem i przypomina sobie, dlaczego nie chadza do lokali dla turystów, za whisky i drambuie żądają tu dwadzieścia euro. Wychodzi razem ze wszystkimi na dwór, wraca na Calle Palangre. Przechodzi przez ulicę i wchodzi na klatkę schodową. Budynek jest z czasów Franco, schody są proste, kobaltowe. Idzie na pierwsze piętro, czyta nazwiska na drzwiach. Z mieszkań dochodzi głośna muzyka, ale nie znajduje żadnej Luisy ani nawet litery L.

Idzie dalej na górę. Na jasno oświetlonej, jak w biurze, klatce schodowej stoi para. Całują się, przestają zawstydzeni, kiedy ich mijają.

Znów przygląda się tabliczkom z nazwiskami, stoi chwilę, bierze głęboki wdech i rusza na ostatnie piętro. Trzy piętra, każde z trzema drzwiami, razem dziewięćdrzwi.

Na trzecim piętrze mieszka niejaki Federico Javier Panôs i jakiś Sobrino. A w środku Luisa Muelas. Tabliczka jest duża, pozłacana, ciężkie pochylone litery. Z pewnością prezent od Petry i jej męża. Tradycyjny prezent od rodziców dla trzydziestoletniego dziecka, które wyprowadza się z rodzinnego domu.

Za wszystkimi drzwiami panuje cisza. Przykłada ucho do drzwi mieszkania Luisy, z nadzieją, że nie ma jej w domu. Dochodzą go ciche dźwięki, coś trzeszczy, ktoś coś przesuwa, jakieś szepty, może to dźwięki z telewizora.

Prostuje się i opiera swoją lepszą rękę, prawą, o płaski kawałek drewna nad drzwiami. Cztery minuty do północy. Może jego pukanie ginie w sylwestrowych odgłosach miasta.

Nagle dostrzega na tabliczce twarz.

Jest zamazana. Prosząca, zmieszana, dominują w niej oczy, otoczone zmarszczkami i zniszczoną skórą, twarz zakończona brodą. Zdesperowana. Widzi w niej miłość i smutek, dziesiątki lat zadziwienia i alkohol. Widzi cynicznego obserwatora, oceniającego, osądzającego. Twarz jest nieznośnie wymięta, trudno do niej dotrzeć, trudno z nią wytrzymać, trudno ją pokochać. Najgorsze jest jednak to, że to jego twarz. Widuje ją we wstecznym lusterku samochodu, w zniekształcających rysy lustrach nad poobtłukiwanymi umywalkami w publicznych toaletach, w sklepowych witrynach, chociaż najchętniej w ogóle by jej nie oglądał. Jest tylko jedno pytanie, które można zadać tej twarzy.

*Co możesz dać?*

Nie ma nic bardziej przerażającego niż właśnie to pytanie. Spotkanie. Chwila, kiedy człowiek wychyla się ku drugiemu. I mówi: Pragnę cię. Chwila, moment, w którym kończy się przypadek, w którym trzeba zająć stanowisko wobec świata i poprosić tę drugą osobę, żeby nas przyjęła. Chwila, w której dwie bańki mydlane stają się jedną. Nie dzieje się to w trakcie pocałunku ani kiedy uprawiamy seks, nawet nie wtedy, kiedy się kochamy. Przerażająca sekunda, w której odważamy się twierdzić, że samą swoją obecnością jesteśmy w stanie tej drugiej osobie coś dać.

Słyszy dźwięki za drzwiami. Odgłosy stóp w skarpetkach. Już idę, mówi cienki głos. Dwie minuty do północy.

Nie, nie jest w stanie. Wychyla się przez poręcz, zaczyna schodzić. Idzie w dół. Słyszy, jak na najwyższym piętrze otwierają się drzwi. Halo, mówi jakiś głos. Mija drzwi z głośną muzyką. Wychodzi na ulicę. Idzie szybko wzdłuż muru, niczym szczur, przecina jezdnię i podchodzi do samochodu. Calle Palangre jest pełna ludzi, tuż obok samochodu stoi gromadka mężczyzn, palą cygara, dziewczęta siedzą na skuterach, trzymając w rękach kieliszki z szampanem.

W mieszkaniach nad nim ludzie odliczają sekundy. Wsiada niezdarnie do samochodu, wyjeżdża z parkingu. Jedzie jednokierunkową ulicą wśród tłumu. Jacyś ludzie próbują go zatrzymać, nie widzą złamanego taksometru, nie zatrzymuje się. Nie przejmują się ich dłońmi na szybach ani proszącym wzrokiem. Szczęśliwego Nowego Roku, dupku, krzyczy za nim młoda dziewczyna w srebrnym meloniku.

Ucieka od świateł miasta, wjeżdża w ciemność. Szara droga zamienia się w bladą ścieżkę. Wciska do oporu trzeszczący pedał gazu starego mercedesa. Żwir uderza o karoserię.

Obraz córki fryzjerki, która otwiera drzwi, wraca do niego niczym drwina. Jest bez butów, w skarpetkach – ma zmierzwione włosy, w ręku trzyma małą szklaneczkę whisky z likierem. Namiętność. Coś, czego nienawidzi. Przejście od młodszej pozbawionej duszy cielesności do duszy bez ciała. Do punktu, w którym najlepsze chwile składają się z myśli o czymś, wyobrażeń przyszłości i wspomnień z przeszłości. Od prawie osiemnastu lat wyobraża sobie bliskość z kobietą. Wyobrażał sobie. Nawet kiedy był z Annette, też ją sobie wyobrażał. Tyle że wtedy była to bliskość z każdą kobietą inną niż ona, aż w końcu nie potrafił już z nią być.

Przenosi stopę z pedału gazu na hamulec. W świetle reflektora widzi ogromny karton leżący na środku drogi.



# Mały palec

1 stycznia – 13 stycznia

## 4

Najpierw przychodzi mu na myśl, że to satelita spadł na drogę, ale po chwili widzi, że to samochód, przewrócony na dach.

Cholerny montero. Czarny, jak montero Billa Haji.

To jest montero Billa Haji.

Jakieś czterysta, może pięćset metrów od miejsca, w którym się mijali, kiedy to było? Godzinę temu? Stracił poczucie czasu. Może Rusty Nail jednak uderzył mu do głowy.

Wyłącza silnik. Zostawia włączone światła, żeby widzieć samochód. Słyszy morze i słaby oddech silnika. Kurz opada.

Już ma włączyć silnik i powiadomić centralę – to chyba jedyne, co może zrobić – kiedy słyszy pukanie, jakby ktoś dawał mu do zrozumienia, że chce wyjść. Stoi przed samochodem. Wymawia głośno imię Billa. Woła go, jakby byli znajomymi. Bill Haji. Ledwie się znają. Wszyscy znają Billa Haji. Kolorowa osobowość, nie do zniesienia. Nigdy w bezruchu, zawsze w drodze dokądś. Wiózł go kilka razy. Pierwszy raz do szpitala. A potem – na wezwanie. Kilka razy z lotniska do jego willi, stojącej kilka kilometrów stąd. Przyleciał z Madrytu z czterema, może pięcioma walizkami i młodym chłopakiem, który sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Za każdym razem walizki były te same, zmieniał się tylko chłopak. Erhard nie przejmował się plotkami na temat prowadzenia się

Billa. W takie sprawy nie należy się mieszać. Jeśli chłopcy mają skończone osiemnaście lat, to jest to ich wybór.

– Bill Haji – powtarza.

Samochód jest zmiażdżony. Musiał się toczyć spory kawałek. Cholerne montero. Japońskie badziewie. Jest dużo szkła. Musiał zjechać z drogi. Znów woła, obchodzi samochód, patrzy przez coś, co mogło być przednią szybą, ale pewnie było boczną. Schyla się i zagląda do środka. W samochodzie nikogo nie ma. Ani Billa, ani żadnego z jego chłopców. Erhard oddycha z ulgą. Chociaż nie przepada za Billem, obawiał się, że zobaczy go zakleszczonego między kierownicą a tylnym siedzeniem, jak opita krwią pluskwa. Samochód jest pusty, drzwi, jedno z drzwi, są otwarte, wiszą na zawiasach. Może poszedł po pomoc albo zabrała go siostra, która zawsze jest blisko niego, czy to kiedy idzie do miasta, czy kiedy jest w La Marquesina. Erhard pochyla się i dotyka samochodu. Jest jeszcze ciepły.

I nagle wszystko znika, i ciemność, i samochód, niebo otwiera się w różnych odcieniach zieleni z plamkami cyjanu i magenty, jakby patrzyły na niego setki oczu.

## 5

Rozlega się huk. Erhard patrzy na samochód. Kolejne huki, niczym pochod akordów, pasma błysków. W pierwszej chwili myśli, że jakiś statek wzywa pomocy i odpalił rakiety. Potem przypomina sobie, że przecież jest sylwester, race rozbłyskują nad miastem. Kiedy jego wzrok znów przyzwyczajają się do mroku, zauważa, że coś się przed nim rusza.

Na tym, co kiedyś było rurą wydechową, siedzi pies.

Siedzą dwa psy.

Patrzają na niego, wyglądają jak dwa słodkie psiaki na spacerze. Dzikie psy. Nikt nie wie, skąd przychodzą. Może z położonego jedenaście kilometrów dalej

Corralejo. Pięknie wyglądają, kiedy siedzą, albo kiedy biegną po skałach w świetle księżyca. Za dnia stają się wychudzone, wyliniałe, jak stary dywan. Są plagą dla wszystkich, którzy hodują owce czy kozy, dla młodych mężczyzn stały się celem, do którego się strzela z paki pick-upa, kiedy człowiek się nudzi. A i tak jest ich coraz więcej. Erhard podejrzewa, że tam, w ciemnościach, jest ich teraz kilkanaście sztuk. Może Bill Haji uderzył samochodem jednego z nich, może dlatego zjechał z drogi. Jeden z psów toczy ślinę. Wzrok Erharda przykuwa coś między jego przednimi łapami.

Mimo że większości twarzy nie ma, rozpoznaje resztki Billa Haji. Nie ma nic do ratowania. Może nie żył już kiedy psy się do niego dobrały. Jego słynne bokobrody przypominają futro królika.

I wtedy go spostrzega.

## 6

Leży tuż za przednim kołem, w brązowym mroku, po lewej stronie. Dostrzega go tylko dlatego, że lekko błyszczy za każdym razem, kiedy na niebie eksplodują fajerwerki. W pierwszej chwili nie potrafi powiedzieć, co to jest. Blask jest ciepły, jak żar bursztynu. Zgaduje, że może to miedź albo coś pozłacanego, może jakaś część okularów przeciwsłonecznych albo kawałek kabla. Przez chwilę wydaje mu się, że to może być złota plomba, i wtedy dostrzega paznokieć i drobne załamania wokół stawu. Szeroka obrączka otoczona jest mięsem.

To pierścionek zaręczynowy Billa Haji. Na serdecznym palcu Billa. Dziesięć minus jeden.

Nie chce przejść obok, wyciąga po niego rękę, nie jest pewien, czy jest w stanie go dosięgnąć, leży jakieś półtora, może nawet dwa metry od niego, po drugiej stronie samochodu, unosi rękę nad podwoziem, psy spoglądają na niego znad kolacji, jeden szczyrzy zęby, chowa przednie łapy, gotów w każdej chwili

skoczyć. Może udałoby mu się dosięgnąć palca, ale musi się liczyć z tym, że wtedy pies chwyci go za rękę.

Powoli wraca do swojego samochodu, włącza długie światła. Mruga kilka razy, psy podnoszą się i patrzą na niego poirytowane. Kładzie rękę na kierownicy i dociska ciałem. Klakson wydaje kilka wysokich dźwięków nijak niepasujących do mercedesa, tak z pewnością uznałaby większość ludzi. Przytrzymuje klakson, aż psy na masce drugiego samochodu stają się nieruchawe, jak narkomani, i w końcu zeskakują i znikają w mroku.

W świetle reflektorów rusza w kierunku wozu. Biegnie tak szybko, jak potrafi. Ostatnio biegł wiele miesięcy temu, może nawet lat. To zaledwie kilka metrów, ale wydają się ciągnąć bardzo długo. Ma wrażenie, że psy już go zauważyły, bo znów ruszają w stronę wozu. Nogi nie są w stanie go nieść. Zawisa na krawędzi przewróconego montero i sięga po obręczkę. Niecałe pół metra.

Leży tuż obok tego, co jest pozostałością po głowie i twarzy Billa Haji, przez czerwono-niebieską grudkę patrzy w otwarte, ale niewidzące oczy.

Znajdź chłopca.

Zdanie rozbrzmiewa przez huki fajerwerków tak głośno i wyraźnie, że przez moment jest przekonany, że głos dochodzi z radia, które nadal gra. A może jeden z psów nagle zaczął mówić, licho wie. Znów patrzy w oczy i tym razem ma wrażenie, że zdanie dobiega prosto z oczu, z ciemnego kręgu w oku, które powoli zastyga. Już słyszał ten głos. Zna go. Może to głos Billa Haji. A może to jego własne słowa, które nie wiadomo dlaczego wypowiedział na głos. Nie pamięta, co powiedział, pamięta tylko, że była w nich zawarta prośba.

I wtedy znów widzi palec, chwytą się brzegu podwozia i podciąga. Samochód nadal jest gorący. Metal nie parzy, jest ciepły jak nagrzana skała. Fajerwerki cichną, ostatni wybuch nadchodzi od strony wybrzeża, zielona sieć tryskająca srebrem. Zapada cisza. Nie całkowita. Silnik prycha. Żałosne poszczekiwanie psów zamienia się w supersoniczne zawodzenie, grożące wybuchem wściekłości.

Erhard wychyla się do przodu, pełźnie na brzuchu i chwytą palec. Jest zimny. Szorstki. I cudowny.

Dziewięć plus jeden, mówi sobie w duchu.

## 7

Erhard biegnie z powrotem do swojego samochodu, rzuca się na siedzenie i zamyka drzwi. Ma wrażenie, że w momencie kiedy zauważył przewrócony samochód, otrzeźwiał, teraz jednak wraca stan upojenia. Nie tylko się zatacza, jest też dziwnie podniecony, radosny.

Jakby jego oczy, ciało, dusza, jakby nastąpiło jakieś zwanie w rachunkach. Jego własne dziewięć palców i jeden palec Billa, razem dziesięć palców. Czuje radość aż w żołądku, tak, nawet w członku, można by pomyśleć, że palec wzmacnił jego libido. Wie, że źle postąpił, wie, że jego nadzieje są płonne, ale chociaż to nie jest jego palec, to suma palców sprawia, że w pewnym sensie znów czuje się cały. Dawno już tak się nie czuł. Tak jak odcięcie jego palca osiemnaście lat temu było rodzajem odtrącenia, świadomą subtrakcją, tak ten palec przywraca równowagę.

Rzuca skarpety i idzie spać, kręci mu się w głowie. W prądniczy wyczerpało się paliwo, wychodząc, zapomniał ją wyłączyć. Jutro, jutro jej się przyjrzy. Jest cicho, ale kiedy zmienia się kierunek wiatru, ma wrażenie, że słyszy w nim warczenie psów.

Jeśli go pożrą, nie będzie czego grzebać. Jeśli nie będzie czego grzebać, to on nie umarł. Siostra Billa Haji, twarda sztuka, przypomina mężczyznę. Będzie musiała się pożegnać z pustą trumną.

Palec u dłoni, u dłoni Billa Haji, która kiedyś zatrzymała Erharda na głównej ulicy. Narzeczony zachorował. Bill Haji poganiał go całą drogę do szpitala. Zapamiętał zapach arbuza i plik banknotów po pięćset euro, którymi Bill chciał

mu zapłacić. Musiał pobiec do kiosku i je wymienić. Palec. Dłoń Billa. Bokobrody Billa, jego najbardziej irlandzka cecha.

Erhard szuka po omacku i znajduje komórkę. Wydarzył się wypadek. Pospieszcie się, mówi. Jakby zostawiał wiadomość. Podaje adres, próbuje zmienić głos, stara się mówić z hiszpańskim akcentem. *Los perros se lo han comido*. Psy go zjadły. Mężczyzna po drugiej stronie nie rozumie go.

– Pana nazwisko? Mogę spytać, kto dzwoni?

Długa cisza. Erhard już chce się rozłączyć, ale w ciemności nie potrafi znaleźć właściwego guzika. Patrzy na wijący się kabel.

– Halo – odzywa się mężczyzna.

Erhard wciska plastikowy guzik i przerywa rozmowę. I znów szokująca cisza. Słychać tylko powiewy wiatru nad kamieniami. Nowy Rok zaczyna już brzmieć swojsko. Erhard kładzie palec pod poduszkę, jakby był jego talizmanem.

## 8

We wtorek wstaje wcześniej i robi sobie przejażdżkę, zanim zgłasza się do centrali po pierwszych klientów. Pierwszy kurs zawsze ma do rybackiej osady Alapaqa, gdzie krzyczą mewy i gdzie podaje się najlepszą kawę na wyspie. Aristide i jego żona Miza sami ją parzą i mielą, w starym arabskim młynku ojca Mizy. Młynek zajmuje całe biurko, a kawa jest niemal fioletowa i słodka. Najlepsza na wyspie. Nie twierdzi co prawda, że odwiedził wszystkie miejsca, gdzie podaje się kawę, ale większość tak.

– Zdrowo dzisiaj wyglądasz, Erhardzie – mówi Miza. Erhard wita się z jej kuzynką. Mieszka chwilowo u Mizy i wchodzi do kawiarni na bosaka. Typowa dziewczyna jeżdżąca z chłopakami na motorach, ma brudną twarz. To mu nie odpowiada, natomiast podobają mu się jej włosy. Widzi je dokładnie, kiedy stoi do niego tyłem. Są ciemne i długie, sięgają jej do ud. Kiedy Erhard pije kawę, kuzynka opowiada o kulturyście, który ma na imię Stefano. Nieprzyjemny facet,

powiedziała Erhard, gdyby spytała go o zdanie, ale ona go nie pyta. O nic go nie pyta. Opowiada o ptasim mózdzku kulturysty, o telewizorze, który roztrzaskał, i o mnóstwie pieniędzy, które wydał na jakieś laski w barze w Puerto. Miza sprząta kawiarnię, słucha opowieści kuzynki i patrzy na Erharda. Może kobiety to jednak nie wszystko, wydają się mówić jej oczy.

Może mężczyźni to jednak nie wszystko.

U Miza jest łazienka, postanawia z niej skorzystać. Niewielka szopa, w której rybacy płuczą i suszą duże ryby. Z czasem zamieniła ją w ogólnie dostępny prysznic dla surferów, rybaków i pewnego taksówkarza bez własnej łazienki. Jeśli ma szczęście, nie będzie tam ryb. Dzisiaj jednak wisi tam duży miecznik z haczykiem w pysku.

## 9

Wyjeździł niecałe sto dwadzieścia euro. Kończy jeden kurs, zaczyna drugi, pracuje w regularnym rytmie. Palec ma w kieszeni, boi się go wyjąć. Próbował ściągnąć obrączkę, nie zależy mu na niej, ale nie jest w stanie jej ruszyć, przywarła do kości. Bill Haji nie był tęgi, ale jego palec albo spuchł, albo z czasem tak obrósł w mięso, że obrączka przywarła do kości. Erhard wyobraża sobie młodego Billa, który kiedyś włożył na palec obrączkę. Kiedy palec trochę uschnie, Erhard może będzie w stanie ją zdjąć. Oby tylko nie złamał przy okazji palca.

Po odbyciu sjesty zjeżdża w dół do Villaverde. Parkuje w cichej uliczce za białym pałacem Aritzy. Co roku, zawsze kilka dni po sylwestrze, do Aritzy przyjeżdżają goście z lądu, i wtedy ich kuzynka Ainhoa gra Gershwiną, zawsze koncert fortepianowy F-dur.

Erhard przybywa pół godziny przed czasem i stroi fortepian, kobiety piją szampana na tarasie, mężczyźni zaglądają do wnętrza Steinwaya i komentują. Nie Erharda, siebie nawzajem. André Aritza jest sympatycznym mężczyzną

dobrze po czterdziestce, w okularach z niezwykle silnymi szklami. Od czasu kiedy Erhard kiedyś powiedział, że nic nie wie o komputerach i w ogóle się nimi nie interesuje, André Aritza odnosi się do niego chłodno. Facet dorobił się majątku na komputerach, statkach i nawigacji. Nowi bogaci, jest ich coraz więcej. Dziwni mężczyźni bez kręgosłupa z młodymi żonami, które zajmują się domem, i z dziećmi, które prezentują niczym trofea.

Trzech zezowatych typków stoi i wskazuje palcem na młoteczki, które poruszają się do góry i w dół, mówią o Erhardzie Stroiciel, chociaż stoi tuż obok nich. Szwagier rozmawia z kimś przez komórkę. Bardzo sprytnie, mówi, bardzo sprytnie, powtarza. Powiedz mi, ile kosztuje cię Stroiciel? Zdecydowanie za dużo za tak mało pracy, odpowiada André Aritza. Ściągnij sobie apkę. Mężczyźni się śmieją. Niedługo będzie bezrobotny, biedak, mówi najmłodszy z nich. Erhard ma głowę w skrzyni, właśnie poprawia kołek stroikowy. Często słyszy takie komentarze. Także kiedy jeździ taksówką.

Czuje palec w kieszeni. Może nie tyle czuje, ile wie, że tam jest. Przychodzą mu do głowy różne dziwne pomysły. Ma ochotę zerwać struny tego cholernego fortepianu. Ma ochotę zacząć grać etiudy z głową André między klawiszami. Ma ochotę dać sobie spokój ze wszystkim. Chce się uspokoić, nie tracić na nich swojego talentu.

Reina Aritza próbuje zebrać towarzystwo w jadalni, która znajduje się w amfiladzie za przesuwanymi drzwiami. W całym domu pachnie homarem. Erhard się nie spieszy, ludzie wstali już od stołu, piją szampana, stojąc pod oknami z widokiem na zatokę i morze. Schodzi do kuchni, myje czarne ręce, potem idzie do przedpokoju i wychodzi głównym wyjściem. Zanim drzwi się zamykają, przypomina sobie o pieniądzach, leżą w niewielkiej kopercie na komodzie. Zawsze tam leżą. Sto euro. Może się bez nich obyć. Jeśli nie weźmie koperty, pokaże, że nie robi tego dla pieniędzy. I że nie zamierza wysłuchiwać drwiących komentarzy. Ale André pewnie pomyśli, że po prostu o nich zapomniał. Nie zareagował, kiedy sobie z niego drwili, więc pomyślał, że biedny



roztargniony stroiciel fortepianów zapomniał wziąć pieniądze, i niewykluczone, że tym bardziej będą się z niego śmiać.

Nie, do licha. Wraca, mija jadalnię, gdzie Reina sadza gości przy stole. Woła André, ale nie dostaje odpowiedzi. Bierze kopertę, zerka przez szparę w drzwiach do salonu, gdzie siostrzenica stoi oparta o fortepian i patrzy przez okno. André Aritza stoi obok niej, nieco za blisko, z ustami nieco za bardzo przy jej uchu. Patrzy na nią, jakby się spodziewał jakiejś reakcji, przeciąga ręką po jej udzie, dotyka swoim ciałem jej długiej bluzki w kolorze srebra. Siostrzenica nie wygląda na zadowoloną, ale też nie sprawia wrażenia zawstydzonej czy zaskoczonych. Jediną okolicznością łagodzącą jest to, że nie jest jego prawdziwą siostrzenicą, tylko córką jego dobrego przyjaciela. Nie jest też dzieckiem, tylko młodą kobietą, ma siedemnaście, może już osiemnaście lat. Dla kogoś takiego jak Erhard, który nic nie wie ani o seksie, ani o uwodzeniu kobiet, zachowanie André nie jest ani seksowne, ani uwodzicielskie.

Słyszy, że Reina Aritza idzie korytarzem.

– Señor Jorgenson, dziękuję za dzisiaj i życzę szczęśliwego Nowego Roku – mówi, kiedy spostrzega go stojącego z kopertą w ręku.

Erhard odwraca się i otwiera drzwi do salonu. André szybko cofa rękę, stoi obok siostrzenicy sztywny jak kamerton, posyła Erhardowi poirytowane spojrzenie. Siostrzenica wydaje się obojętna. Jakby napoił ją szampanem albo powiedział coś, co ją bardzo poruszyło.

– Pańska piękna żona pana szuka – mówi Erhard głośno.

– Tak, dziękuję – odpowiada André i odwraca wzrok.

– Homar stygnie – mówi Reina. – Nie zapomnij kieliszków od szampana.

– Szczęśliwego Nowego Roku dla pana i pańskiej siostrzenicy – mówi Erhard, odwraca się do nich plecami i schodzi na dół. Widuje mnóstwo takich ludzi, a jednak się zastanawia, czy to nie jego ostatnia wizyta w tym domu. André Aritza może zacząć być przykry. Z drugiej strony między jednym strojeniem a drugim mija dużo czasu. Nie ma powodu, żeby teraz podejmował jakąś decyzję. Minie rok, zanim znów ich zobaczy.

Włącza silnik, ma nadzieję na jakiś kurs po mieście, zanim wróci do domu.

## 10

Przed drzwiami stoi mężczyzna. Erhard przygląda mu się przez niewielkie okienko, zanim otwiera, liczy do trzydziestu, może jednak nieproszony gość sobie pójdzie. Mężczyzna, który nazywa się Francisco Bernal, przeciera okulary przeciwsłoneczne, jakby był zmęczony albo jakby kurz wpadł mu do oka. Trzydzieści jeden. Trzydzieści dwa. Trzydzieści trzy. Mężczyzna nadal stoi i wpatruje się w drzwi, jakby wiedział, że zaraz się otworzą. Przystojny, młody, dobrze po trzydziestce, ma dzieci i żonę, która pracuje w jednym z hoteli. Erhard otwiera.

Policjant patrzy na Erharda.

– Eremita – mówi.

– Pan komisarz.

– Nie jestem komisarzem.

– A ja nie nazywam się Eremita.

Bernal się śmieje.

– W porządku, Jorgenson. Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. A u ciebie? Jak dzieci?

– Najmłodsze miało niedawno odrę.

Erhard kiwa głową. Zna zastępcę komisarza policji już wiele lat.

– Twój kolega dzwonił do mnie wczoraj po południu – mówi.

– Chcieliśmy, żebyś do nas przyszedł.

– Wczoraj nie mogłem.

– To chodź ze mną teraz.

– Teraz ty jesteś tutaj. Nie wiem, co mógłbym wam powiedzieć. Ja nic nie wiem. Po za tym, co już wam powiedziałem.

Policjant zdejmuje okulary. Wygląda na zmęczonego.

– Mogę cię zabrać, a potem cię odwiozę.

– Miła propozycja, ale nie, dziękuję.

Bernal patrzy na samochód.

– Co się stało z bocznym lusterkiem?

– Takie rzeczy się zdarzają, kiedy się jeździ taksówką.

– Jorgenson, kazano mi cię przywieźć. Nie utrudniaj mi tego.

– Mów mi Senõr Zbuntowany.

Bernal się śmieje. Szczerze. Właśnie za to Erhard go lubi.

– Dlaczego się nie przedstawiłeś, kiedy do nas zadzwoniłeś?

– Połączenie było kiepskie. Wiesz, jak to tutaj jest.

– O ile mi wiadomo, po przeciągnięciu nowych kabli znacznie się poprawiło.

Erhard nic o tym nie słyszał.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś jeszcze raz? – ciągnie Bernal.

– Był Nowy Rok, byłem zmęczony.

– Kiedy znalazłeś ciało, też byłeś zmęczony?

– Tak.

Erhard zastanawia się nad słowami, które wyszły z oczu Billa Haji, ale których teraz nie może sobie przypomnieć. Takie rzeczy zwiększają wiarygodność.

– Kiedy ostatni raz byłeś u lekarza?

– Daj spokój – wchodzi mu w słowo i pokazuje prawo jazdy.

Taksówkarz ma obowiązek mieć je przy sobie, ale Erhard nie pokazywał go nikomu poza Bernalem, który zawsze się tego domaga.

Bernal patrzy na datę.

– Październik dwa tysiące jedenaście. Nie masz problemów z widzeniem po zmroku?

– Oczywiście że nie.

– To się zdarza. W twoim wieku.

– Wiesz, że to są szykany. Jest dwóch taksówkarzy, którzy są starsi ode mnie.

– Nieprawda. Alberto Ramirez ma sześćdziesiąt osiem lat, a Luís Hernaldo Esposito sześćdziesiąt sześć.

– Młodzi ludzie. Co nie zmienia faktu, że jestem dobrym kierowcą.

– Wiem, ale wiem też, że jesteś uparty, i mogę kazać cię aresztować. – Nagle jego spojrzenie staje się poważne. – Eremita, chcę cię o coś spytać.

Eremita. Nie może się pozbyć tego przydomka. Kilka lat temu bardzo go to irytowało, chciał, żeby ludzie zwracali się do niego Jorgenson. Ale nie udało mu się. Nie ma nic bardziej trwałego niż przydomek, który wziął się z nieporozumienia.

– Pytaj – mówi.

– Chodzi o... o Billa Haji. – Bernal się rozgląda.

– Spokojnie. Nie ma tu nikogo. Jesteśmy tylko my. I kozy.

– Poprosiłem Péreza-Lúñigo, żeby zaczekał w samochodzie.

Erhard zerka w kierunku radiowozu, dopiero teraz zauważa ciemny cień wewnątrz, mężczyzna siedzi i podpira ręką sufit. Lorenzo Pérez-Lúñigo jest lekarzem, dość przeciętnym, ale jest także jedynym lekarzem sądowym na wyspie. Nie jest szczególnie zdolny, ale za to poważny i bardzo lubi trupy. Okropny człowiek. Niewiele brakowało, a kilka lat temu Erhard zgłosiłby go na policję za niestosowne traktowanie ciał. To Bernal przekonał go wtedy, żeby tego nie robił.

– Taksówkarz zachowuje dla siebie to, co się dzieje podczas jazdy, jak to się mówi.

Bernal kiwa głową, śmieje się urwanie.

– Możemy przynajmniej wejść?

Erhard idzie przodem, pierwszy wchodzi do pokoju, który jednocześnie jest kuchnią. Opiera się o stół i pokazuje komisarzowi, że może iść za jego przykładem.

– Nadal nie masz doprowadzonej wody – stwierdza komisarz, zerka na pustą butelkę po koniaku, która stoi na stole.

– Woda jest dla żółwi – odpowiada Erhard.

- Żyjesz jak żółw. Zaczynam się martwić.
- To przestań. Przydarzały mi się już gorsze rzeczy.

Bernal wzrusza ramionami.

- Przez telefon powiedziałeś, że psy pogryzły mu twarz.
- Powiedziałem, że zżarły mu twarz.
- Siedziały na samochodzie. Psy. Pogryzły go.
- Zżarły go. Widziałem na własne oczy.
- Może byłeś zmęczony.
- Wiem, co widziałem.
- Może widziałeś jego plecy?
- Jeśli miał oczy na plecach.

Komisarz się uśmiecha.

– Nie możemy znaleźć jego obrączki. Była bardzo charakterystyczna, ale niewiele warta, gdyby ktoś chciał ją sprzedać.

– Kto wie, co takie zwierzaki są w stanie zezreć.

– Powystrzelaliśmy wszystko w okolicy, wszystko, co się ruszało i miało cztery łapy. Nawet kilka psów, które nie były dzikie. Lorenzo stał z rękami po łokcie w jelitach, ale obrączki nie znalazł.

– Jest w swoim żywiole. Może nie zdążyły jej przełknąć. A może leży gdzieś tam. Kto wie, gdzie takie psy mają kryjówki.

– Na pewno byśmy ją znaleźli. Przeszukaliśmy cały teren. Problem w tym, że wszystko, co trafia do psiego żołądka, rozkłada się w nim już po trzech, czterech godzinach, więc trudno cokolwiek ustalić. Ale obrączkę powinniśmy znaleźć. Jeśli twarz zostawiły sobie na koniec, to jej resztki też powinniśmy znaleźć.

– Kiedy dotarliście na miejsce?

– Tak szybko, jak to było możliwe. – Policjant patrzy na podłogę z laminatu, na posklejane taśmą pęknięcia. – Nazywamy to wypadkiem solowym. Solowy wypadek. – Powtarza te słowa kilka razy, jakby był zdziwiony.

Erhard oddycha z ulgą, ale nie chce, żeby policjant to zauważył. Odwraca się i zajmuje się czymś obojętnym.

– Ile czasu wam to zajęło?

– Facet nie żył. Był sylwester, jak sam zauważyłeś.

– W czym problem?

– Rodzina siedzi nam na karku. Miłość żąda rzeczy niemożliwych. Chcą mieć coś, co będą mogli włożyć do trumny. Poza kamieniami ze ścieżki. Siostra wydaje się bardzo przywiązana do tej obrączki.

– Nawet nie próbujcie ich oszukać. A już na pewno nie Eleanor. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Erhard pamięta siostrę, pamięta, jak wygląda w tylnym lusterku. Jest dwa razy bardziej męska niż brat.

– Dlatego tak to wałkujemy. Ta obrączka stała się jakby symbolem jego osoby. Chcemy ją dać siostrze, żeby mogła uznać, że to Bill jest w trumnie. A nie tylko resztki jego butów i wątroba, której te bydlaki z jakiegoś powodu nie tknęły.

Erhard boi się spojrzeć na półkę w kuchni, gdzie w puszcze na kawę z napisem Mokaarabia sto procent Arabica leży palec.

– Nie potrafię wam pomóc.

Komisarz się rozgląda, najwyraźniej chce jeszcze coś powiedzieć. Jego wzrok zatrzymuje się na ścianie, tam, gdzie brakuje tapety. Widać drewno, kawałek sklejki z zapiskami cieśli. Erhard odprowadza go do samochodu. Pérez-Lúñigo sprawia wrażenie zniecierpliwionego.

– Jeśli usłyszysz, że ktoś znalazł obrączkę, daj nam znać.

– Tak – mówi Erhard. Zapewnia, że jeśli coś usłyszy, natychmiast zadzwoni.

– Mówiłem ci, że znałem kiedyś dziewczynę z Danii? Kiedy mieszkałem na Lanzarote. Mała diablica, nie do okiełznania. – Wsiada do samochodu, przytrzymuje drzwi. – Nagle po prostu wróciła do domu. Na tym polega problem z tymi wyspami. Wszyscy rozsądni ludzie po pewnym czasie wracają do domu.

– Nie znam jej – odpowiada Erhard.

## 11

Rozmawia z Chłopcem-Mężczyzną.

Aaz jest chyba jedyną osobą, której nie potrafi przejrzeć. Być może jest pierwszym, który – nie będąc żadnym typem – jest nimi wszystkimi. Erhardowi się to podoba. Jadą przez Tindaya.

Aaz mówi, żeby dał sobie szansę. Przekonuje go, że może pewnego dnia jego marzenie się ziści.

Ale Erhard nie jest pewien.

– Od ostatniego razu minęło osiemnaście lat. Turystów jest coraz mniej. A wielu z nich to zapiekli fani Arsenalu, interesuje ich tanie piwo i tanie cipki, mówiąc wprost, Aaz. No i rodziny, rodziny z leniwymi dziećmi, które jeszcze nie zdążyły wysiąść z samolotu, a już wrzeszczą, że chcą do McDonalda. Coraz rzadziej trafiają się dobre kursy, nawet mnie. A jeszcze rzadziej miłe kobiety.

A Liana? Albo jakaś inna siostra?

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, Aaz, ale one nie są w moim typie, a ja w ich. Jeśli będę miał szczęście, znajdę jakąś przechodzoną skwaszoną wdowę z Gornjal. Mieście wielu wdów.

Śmieją się.

– Kto by chciał zniszczonego życiem taksówkarza – mówi Erhard. – Zaharowanego, z pewną niedoróbką, z zepsutymi zębami i w ogóle.

Stroisz fortepiany.

– Już tylko idioci chcą płacić za takie rzeczy. Są nowoczesne metody, łatwiejsze, lepsze, tańsze. Kto wie, może za kilka lat to samo stanie się z taksówkami. Będą was wozić roboty.

A co się stanie z tobą, kto będzie mnie odwoził do domu?

– Wtedy ja już nie będę żył, Aaz. A ty będziesz dorosłym mężczyzną i nie będziesz mnie pamiętał. Wtedy z wyspy do Afryki będzie można przejechać tunelem, będziesz jeździł po Saharze na elektrycznych wielbłądach.

Aaz nie odpowiada, patrzy na pokrywkę skrytki, którą można otworzyć, przyciskając kciukiem.

## 12

Dorośli mężczyźni z latawcami.

Wyłącza silnik i zatrzymuje się przy Wydmach, przygląda się kitesurferom. Sam decyduje, ile chce pracować i kiedy. Jeśli ma ochotę jeździć cały dzień, to robi to. A potem ma wolny dzień, jeśli chce. Jeździ tylko tam, gdzie są klienci, bierze kursy, które chce. Tak ma. Wie, gdzie szukać klientów. To tak jak z fortepianem, wystarczy kilka dźwięków i już wie, co się stało: czy coś utknęło między strunami, czy zawiniła wilgoć, czy kurz, a może drobinki brudu. Tak samo czuje ruch uliczny, czuje go w powietrzu, słyszy dźwięki z lotniska, wyczuwa ruch na głównej ulicy. Wie, gdzie czeka kobieta z nastoletnią córką, żeby wrócić z zakupów do hotelu, i z którego hotelu wyleje się za chwilę gromada biznesmenów chcących się dostać do baru ze striptizem, albo gdzie surfer z piaskiem między palcami wyjdzie na drogę i będzie chciał wydać kilka dolarów, żeby się dostać do miasta z deską na dachu taksówki. Wielu kolegów go za to nienawidzi, inni niemal się go boją. Paru katolików z warsztatu samochodowego robi znak krzyża, kiedy się tam zjawia. Centrala rzadko daje mu zlecenia, wiedzą, że i tak ma co robić. Czasem jakiś młody taksówkarz pyta, jak on to robi. Kiedy zjawia się w barze w hotelu Phenix, młody taksówkarz podchodzi i chce, żeby wyjawiał mu swoją tajemnicę. Jego koledzy stoją w głębi i wołają go. Chwileczkę, ten facet to legenda, może podzieli się ze mną swoim złotem. Ale Erhard nie ma złota, którym mógłby się podzielić. Nie potrafi tego wytłumaczyć. Może jedynie powiedzieć: obserwujcie ruch na ulicy, myślcie o ludziach, dokąd sami byście poszli w zależności od pogody, w jakie dni ludzie najczęściej przyjeżdżają. Dobre rady, pewnie bezużyteczne. Prawda jest taka, że



sam nie wie, skąd to ma. To jak muzyka, tłumaczy młodemu mężczyźnie, który zapewne nie wie, co to jest muzyka.

Młodzi chcą się uczyć, ci w średnim wieku są zgorzkniali. Już do końca życia będą taksówkarzami, ale to nie zapewni im dobrego życia. W ich oczach Erhard jest pasożytem, *extranjero*, który nie tylko odbiera im klientów, ale też zachowuje się, jakby był lepszy od nich. Mieszka sam, w Majanicho, nie rozmawia z innymi taksówkarzami, siedzi w swoim starym mercedesie i czyta książki, o ile właśnie nie podbiera im klientów. Tak właśnie myślą, niektórzy mówią mu to wprost. I mają rację. Również jeśli chodzi o książki. Początkowo czytał, żeby się odprężyć i pokazać innym, że nie zależy mu na szukaniu nowych klientów. Stawał na postoju na głównej ulicy ma końcu kolejki, robił wszystko, żeby móc spędzić dzień z dobrą książką.

W bagażniku ma cały karton z książkami w kieszonkowych wydaniach, przerzuca je od czasu do czasu, wybiera coś. Lubi oglądać strony tytułowe, dotyka palcami wytłoczonych liter tytułów. Czasem przerzuca kartki, sprawdza, czy w książce są ośle uszy, im więcej, tym lepiej. Kupuje książki, niekiedy całymi kartonami, od znajomej w Puerto. Ma sklep z używanymi rzeczami. Kilka razy w miesiącu, kiedy akurat ma kurs na lotnisko, mija Solillę i kupuje kilka książek, czasem też coś do ubrania. Książki są w porządku. Ubrania czasem lekko śmierdzą. Zawsze je pierze, zanim je na siebie włoży. Wieszka na sznurze za domem, wiszą tam tydzień. Wtedy wszelkie zapachy znikają. Zostaje tylko zapach ziemi. Czasem czyta cały dzień. Niech inni jeżdżą. Mają żony, dzieci, które muszą utrzymać. On nie ma nikogo. Chociaż im więcej zarabia, tym więcej wysyła Annette. Co miesiąc większą część zarobków przelewa na jej konto. Bez żadnych pozdrowień, elektronicznie, bezosobowo. Nie zasłużył na nic innego, niczego zresztą nie potrzebuje. Może żyć o kawie i konserwach, które kupił wiele lat temu i teraz podgrzewa i zjada bezpośrednio z puszki. Nie przeszkadza mu to. Zdarza się jednak czasem, że idzie do jakiejś dobrej restauracji, studiuje kartę kilka minut, żeby wybrać drogie wino i kazać sobie przyciąć dobre cygaro. To też mu nie przeszkadza. Latem siedzi w aucie i czyta

przy opuszczonych szybach, zimą wozi ze sobą składane krzeselko, które rozstawia na chodniku obok auta. Inni kierowcy siedzą i pocą się w swoich samochodach, i nienawidzą go.

Kiedy się jedzie przez Wydmy, mijając powoli ciche hotele z ogrodnikami podlewającymi trawę węzami ogrodowymi, widzi się z daleka unoszące się nad wodą latawce. Przesuwają się w tę i z powrotem niczym żerujące ptaki. Erhard zostawia samochód na górze i schodzi wydmami do morza. Słońce praży niemiłosiernie. A przynajmniej tak to odczuwa. Plaża ciągnie się w nieskończoność, morze wydaje się gigantycznym zamkiem powietrznym, który nagle ukazuje się na końcu beżowej wydmy. Dzisiaj na plaży nie ma rodzin. Wiatr jest za silny, wznieca kurz. Piecze w oczy.

Obok kontenera z ubraniami surferów stoi na paletach niewielki sklepik. Sprzedają tam lody. Zaciszne miejsce, osłonięte od wiatru i słońca. Erhard funduje sobie san miguela, obserwuje figury ze sznurkami w rękach. Dorośli mężczyźni z latawcami. Niekiedy we władzy wiatru, niekiedy wręcz przeciwnie. Irytują go odgłosy dochodzące ze sklepiku. Ktoś kaszle, maszyna do kawy hałasuje. Obecność potencjalnych możliwości. Kobieta ze sklepiku jest pewnie dwadzieścia lat młodsza od niego, ale widać, że jest zniszczona. To Mniszka, typ kobiety ciężko pracującej, kochającej. Rozwiedziona matka czworga dzieci, która musiała znaleźć sobie pracę, kiedy opuścił ją mężczyzna. Jako kandydatka na narzeczoną jest doświadczona, skłonna służyć mężczyźnie, z drugiej strony przeraża go. Schyla głowę, żeby przez małe okienko śledzić latawce.

- Jeden z twoich synów tam jest – zgaduje Erhard.
- Znasz mojego Robbiego?
- Większość z nich trochę znam.

Około szesnastej jedzie na cmentarz Oleana, zatrzymuje się po drugiej stronie ulicy. Widzi, jak nadciągają, niewielki kondukt z dużą ilością kwiatów. To typowe dla bogatych rodzin. Pragną iść ze swoimi zmarłymi jak najdłużej, podczas gdy biedacy wykosztowują się na drogie karawany. Rodzina Haji wnosi trumnę przez cmentarną bramę i rusza jedną z alejek. Trumna nie wygląda na lekką. Może jednak skończyło się na wrzuceniu do środka kilku kamieni. Eleanor idzie na samym końcu, obok niej wysoka młoda kobieta z włosami opadającymi na oczy i druga, starsza, pewnie jakaś ciotka. Po drugiej stronie ulicy Erhard dostrzega policjanta, ma na sobie elegancki garnitur, ale sprawia wrażenie bardziej zmęczonego niż poprzednio. Kiwa Erhardowi głową i dołącza do żałobników.

– To kara boża – mówi kobieta siedząca na balkonie kilka pięter wyżej. – Wyspa jest za mała dla takiego pedała.

## 14

W nocy leży z jednym okiem otwartym i wpatruje się w kwadratowy aparat telefoniczny z zamotanym kablem. Tuż przed zapadnięciem w sen widzi, jak wstaje i podnosi słuchawkę. Rano je śniadanie i nadal się w niego wpatruje, słyszy dzwonek, odbiera, bez powodu. Zastanawia się, czy samemu nie zadzwonić. W tym roku minie osiemnaście lat. A jednak nie może się przełamać, wychodzi pospiesznie do samochodu.

Kiedy wchodzi do supermarketu, zauważa aparat na monety w rogu hali, kiedy mijają sklepy ze sprzętem elektronicznym, których w Corralejo jest całe mnóstwo, już z daleka widzi aparat obok wyblakłej kasy. Tak jest od stycznia, od dnia, kiedy Annette zadzwoniła i zaczęła go wyzywać. Nie zdążył jej nic powiedzieć. Po prostu zadzwoniła i wykrzyczała swoją złość. To było w 1997 roku, tuż po tym, jak zaczął przysyłać jej pieniądze. Nie chciała ich. Nie mogła patrzeć na jego cholerne pieniądze. Nie chciała od niego nic. Nic. Dla mnie już

nie żyjesz, umarłeś, powiedziała i odłożyła słuchawkę. Po roku zadzwoniła znowu. Nic nie mówiła, tylko dwadzieścia minut płakała. Później już nie dzwoniła. W tym roku minie osiemnaście lat, od kiedy ją opuścił. Oczekuje telefonu. Niemal go pragnie. Nawet jeśli miałyby płakać. Ale nic się nie dzieje. Może zapomniała numeru albo zapomniała jego. Może znów wyszła za męża. Nic się nie dzieje.

Erhard jeździ bez przerwy, jeździ całe popołudnie, cały wieczór. Jeździ, aż jest tak zmęczony, że oczy zaczynają mu się kleić. Idzie do portu, kupuje butelkę jakiegoś przypadkowego wina, siada na moło, patrzy, jak dzieciaki wbiegają do morza, siedzi tak, aż ostatecznie promienie słońca opuszczają Isla de Lobos i morze robi się czarne. Na chwiejnych nogach podchodzi do domofonu na Calle el Muelle, wybiera numer Raúla i Beatriz.

– Wchodź, staruszkę – mówi Raúl, zawsze jest gotów go przyjąć.

Otwierają mu drzwi, Beatriz w żółtej przezroczystej letniej sukience, widzi przez nią jej długie opalone nogi, Raúl ma na sobie koszulę zapiętą na trzy ostatnie guziki. Przyjmują go, jakby byli jego dziećmi, piękni, otwarci i szczęśliwi. Właśnie przygotowali *mojitos*. Wychodzą na taras na dachu.

Beatriz siada Raúlowi na kolanach, całują się. Erhard opowiada o kitesurferach, o Billu Haji i o Monice. Matce Chłopca-Mężczyzny. Raúl mówi, że Erhard jest najbardziej niesamowitym facetem, jakiego zna, a Beatriz, która przynosi sobie kolejne drinki i wino, przechodzi obok niego, zostawiając za sobą boski powiew perfum, i palcami z długimi, polakierowanymi na czerwono paznokciami przeczesuje mu włosy.

Zawsze reaguje tak, jakby tego nie lubił, ale mija kilka wieczorów i zaczyna marzyć o jej dłoni. Paznokcie Beatriz są jak świeżo zatemperowane ołówki, zostawiają w jego rzadkich włosach długie ślady. Oczywiście byłoby inaczej, gdyby to naprawdę były jego dzieci, gdyby Raúl był jego synem, a Beatriz synową. Ale wie, że tak nie jest, i jego członek też to wie. Nie ma żadnych wyrzutów sumienia w stosunku do Raúla. Raúl to Raúl, Król Marchewka, o ile taki kiedykolwiek istniał. Może jest synem swojego ojca i kochankiem Beatriz,

nikt nie wie nic na pewno. Chciałby mieć wszystko, ale nie chce się wiązać. Ma wszystko, ale nie chce niczego posiadać. Nieprzystosowany i czarujący, i zawsze uwikłany w jakąś awanturę. Na swój sposób jest najpilniejszym uczniem Erharda. Kiedyś był młody i głupi, w głowie miał tylko tanią rozrywkę i amerykańskie pornosy – ale zawsze unikał problemów z nauczycielami, policją, sąsiadami, z wściekłymi młodymi dziewczętami – i swoim ojcem. Erhard nauczył go widzieć wszystko szerzej, dostrzegać, co kryje się za słowami ojca i za spojrzeniami dziewcząt. Nauczył go, że między spontanicznymi wybuchami gniewu i żalonym dążeniem do samodzielności musi znaleźć czas na przemyślenie sprawy i zaplanowanie swoich działań. Jednym słowem na cierpliwość. Zaraził nią chłopca, który z czasem stał się mężczyzną. Zaraził nią go do tego stopnia, że Raúl się uspokoił, stał się mniej zaburzony, mniej przerażający, bardziej radosny. Także ojciec zauważył, że syn się zmienił, ale nie uważał, że to wynik przyjaźni z Erhardem, tylko stosowanych przez niego przez lata kar: zakazów wychodzenia z domu, policzków i kontrolowania kont bankowych.

W wyniku tego wszystkiego zrodziła się przyjaźń, najsilniejsza z alkoholowych przyjaźni Erharda. Jego jedyna przyjaźń. Związek, w którym Erhard miał głos i coś znaczył, w którym czuł się podziwiany i akceptowany jako człowiek, którym był przez ostatnie dwadzieścia lat.

Według Paula Barouki, dyrektora TaxiVentury, była to zła przyjaźń, dziwna. Raúl był bowiem członkiem zarządu ich konkurenta na rynku. Jak niektórzy złośliwie zauważali: za tą przyjaźnią coś się kryło. Twierdzono, że Erhard pracuje dla Raúla, że Raúl zleca mu kursy, a on w zamian wydobywa go z tarapatów. Ale prawda jest taka, że żaden z nich nie angażuje się w życie drugiego. Rozmawiają o jedzeniu, o walkach w Żółtym Kogucie, Erhard opowiada Raúlowi o mieszkańcach Corralejo, a Raúl o bogatych świniach, jak je nazywa, i o ich niemożliwym życiu miłosnym, a Beatriz się śmieje. Żaden z nich nie chce wiedzieć, co robi drugi. Raúl nie chce wysłuchiwać opowieści o życiu taksówkarzy. Za każdym razem kiedy Erhard narzeka na centralę czy nowy

regulamin, Raúl macha ręką w charakterystyczny sposób, którego nauczył się od ojca. Nie chce też słuchać o książkach, które Erhard czyta. A Erhard nie wypytuje go o Taxinarię ani o to, skąd ma pieniądze. Podejrzewa, że od ojca, chociaż Raúl twierdzi, że sam na siebie zarabia. Tylko raz Erhard posunął się za daleko, w sprawie Federico Molino i walizki. Postąpił wbrew prawu, ale w dobrej sprawie, tak dzisiaj wspomina ten epizod, chociaż później już nigdy o nim nie rozmawiali.

Patrzą na miasto i plażę. Woda wygląda jak marcepan.

Raúl pokazuje ranę na knykciu.

– Wynik drobnego nieporozumienia z pewnym marynarzem w Żółtym Kogucie – śmieje się. – Chodził i opowiadał dziwne rzeczy o mojej dziewczynie.

Beatriz odwraca wzrok, jest zirytowana.

– Nie prosiłam cię o to.

– Nie było innego sposobu? – pyta Erhard, chociaż w głębi duszy uważa, że tych trzech, czterech palantów, którzy zwykle stają się ofiarami życia nocnego w Corralejo zasłużyło sobie na to, żeby ktoś im przyłożył. Dobrze ich zna, wszystkich woził niejedną raz swoją taksówką.

– Nie znasz go – mówi Raúl. – Ale wierz mi, że sobie na to zasłużył. Od kilku miesięcy, gdzie tam miesięcy, lat, miałem z nim na pieńku. Ale dajmy temu spokój, nie rozmawiajmy już o tym, prawda, Bea? *Salud!*

Rozmawiają o winie, które piją, o zachodzie słońca, a potem o wschodzie słońca, o nowych jachtach, które zakotwiczyły w porcie, o Petrze i jej córce, która według Raúl'a jest dla Erharda odpowiednią partią. Raúl się śmieje, kiedy Erhard mówi mu, że widział ją tylko na zdjęciu w salonie fryzjerskim.

– O co chodzi z tymi twoimi kobietami? – dopytuje się Beatriz.

– Erhard nie opowiada o swojej przeszłości – mówi Raúl poważnie.

– Powodów może być wiele – stwierdza Beatriz.

– Lepiej uważaj na swoje cycki, Bea – zwraca jej uwagę Raúl.

– Boisz się miłości – ciągnie Beatriz niezrażona.

Raúl unosi lewą rękę Erharda, żeby pokazać, że nie ma jednego palca.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – mówi Beatriz.

– Miłość ma wiele twarzy, ale dupa jest tylko jedna.

– Bardzo poetyckie – stwierdza Raúl. – Powiedzmy, że małżeństwo to niebezpieczna rzecz.

– To nie jest zabawne. Dlaczego tak mówicie? – Beatriz szturcha go.

– Opowiedz jej o córce fryzjerki – mówi Raúl. – Kilka razy niewiele brakowało, a byłby się z nią spotkał, i zawsze się wycofywał.

Dokładnie cztery razy. Wliczając sylwestra. Ale o tym nie chce mówić.

– To było w zeszłym roku. Albo jeszcze w poprzednim. To był ten rok, kiedy cały styczeń padało.

– W zeszłym roku – stwierdza Beatriz.

– Miałem przerwę między kursami, szedłem ulicą, przy której mieszkają Petra i jej mąż. Córka też kiedyś tam mieszkała. Syn jest w szkole z internatem. Przez drzwi otwartego balkonu doszedł mnie głos Petry, słyszałaś ją kiedyś? Ma bardzo charakterystyczny akcent, z Yorkshire.

Beatriz kręci głową, śmieje się.

– Jej mąż jest w połowie Marokańczykiem, ma kilka sklepów ze sprzętem elektronicznym w Puerto. Kłócili się o coś, co miało związek ze szkołą syna. Stałem cicho na klatce w domu naprzeciwko i patrzyłem w górę, chciałem zobaczyć córkę, tę, którą Raúl bez przerwy mnie drażni. Stałem tam chyba z godzinę, śledziłem każdy najmniejszy cień, który pojawiał się na ścianie, cały czas miałem nadzieję, że zobaczę córkę na balkonie albo w dużym oknie salonu.

– Prawdziwy Hamlet – śmieje się Raúl.

Beatriz ucisza go.

– Chciałeś powiedzieć: Romeo – wtrąca Erhard i mówi dalej. – Byłem tak zajęty, że nie zauważyłem, że ktoś mnie minął, poczułem tylko słodki zapach, jakby miodu, kiedy ta osoba weszła do klatki po drugiej stronie ulicy. Dopiero kiedy zamknęły się drzwi i kłótnia ucichła, usłyszałem, jak Petra głosem, w którym pobrzmiwało wino, mówi: Luisa, *darling*. Wtedy zrozumiałem, że osobą, która przed chwilą mnie minęła, była jej córka.

– I co dalej, co dalej? – niecierpliwi się Beatriz.

– Nic – mówi Raúl. – I właśnie to jest takie piękne. To cały Erhard. Nic się nie wydarzyło.

– Co? – dziwi się Beatriz. – Nie poszedłeś na górę?

– Nie jest mi pisane kiedykolwiek ją zobaczyć.

– No nie! Chyba nie mówisz poważnie?

– Czytam znaki płynące ze wszechświata.

– Skąd wiesz, że to znak?

– Widzę to. Widzę Wzór.

– Zdrowie Luisy. *Salud* – odzywa się Raúl.

– Jak możesz tak mówić – oburza się Beatriz i wypija łyk wina.

Erhard w głębi duszy ma nadzieję, że Luisa jest nieco starszym wydaniem Beatriz – z ustami jak Kirsten, kobieta, którą kilkadziesiąt lat temu posuwał w pewnym barze w Horsens, która miała tyłek jak te siatkarki plażowe, które niedawno wiózł do Sport Fuerte. Chociaż w rzeczywistości jest pewnie całkiem zwyczajną miłą dziewczyną z białymi angielskimi piersiami – po matce – i w sukience w kwiaty.

– *Salud* – Erhard pociąga rum, wzdycha znad szklaneczki i zdejmuje z zębów liście mięty.

– To się skończy jakąś obsesją – stwierdza Beatriz. – Za dziesięć lat nie będziesz w stanie myśleć o nikim innym, bez przerwy będziesz o niej opowiadać, zobaczysz, że tak będzie. Jak ci rybacy, którym kiedy w końcu trafia się naprawdę duża ryba, to ją tracą, bo urywa im się z haczyka.

– Aż takie cudo to ona nie jest – mówi Raúl, a Beatriz szturcha go łokciem w bok.

– Skoro dotąd radziłem sobie bez dziewczyny, to jeszcze trochę wytrzymam.

– Siedemnaście lat – dodaje Raúl. – A wszystko dlatego, że mieszkasz w tej swojej norze.

– To nie jest takie proste, jak ci się wydaje.



– Wiem. Ale gdybyś wysyłał do domu połowę tego, co wysyłasz, albo nawet jedną czwartą? Wtedy byłoby cię stać na coś lepszego.

Erhard nie chce o tym rozmawiać.

– Były mąż z rajy – mówi Raúl do Bei. – Wszystkie pieniądze wysyła do Danii.

– To pięknie.

– Trzeba się ratować, nie tak mi kiedyś powiedziałaś? Mądre słowa, staruszku – śmieje się Raúl. – Chodzi mi o to, że mieszkając w tej norze, nie możesz prowadzić szczególnie ożywionego życia towarzyskiego. Powinieneś zacząć wychodzić z domu, spotykać się z ludźmi.

– Jeśli jest mi przeznaczone kogoś spotkać, to tak się stanie.

– *Please*, przestań opowiadać te bzdury. Karma i tak dalej. Jeśli nie chcesz, żeby nazywano cię Eremitą, to wyjdź ze swojej żółtwiej łupiny.

– Skorupy?

– Może być skorupy. Spotykaj się z ludźmi, poznaj jakieś kobiety.

– Ja też chcę poznać nowych ludzi. Dlaczego nigdy się z nikim nie spotykamy?

– Spotykamy się. Na łodzi no i w ogóle.

– Jasne, starców z forszą. Miałam na myśli żywych ludzi, ciekawych świata, jak w Barcelonie.

Raúl uważa, że to bzdury, Bea się upiła. Nie ma powodu do narzekania, mówi i wkłada jej rękę pod sukienkę. Erhard omiata wzrokiem okoliczne dachy, siedzi bez ruchu i patrzy przed siebie. Dachy znikają pod wodą, z morza wystają anteny. Zamyka oczy. Kiedy je otwiera, taras jest pusty, wysprzątany, zostały tylko krzesła. Jego ciało okrywa cienki koc, obok pali się świeczka. Niebo jest gęste, niebieskie, bez życia. Światła miasta zasłaniają góry.

Widzi kobietę. Z portu w Corralejo, gdzie stała z rozwianymi włosami po zejściu z promu, do Sport Fuerte, gdzie nie może znaleźć mieszkania, w którym ma się zatrzymać. Pewnie zbliża się do sześćdziesiątki. Ma długie palce, już opalone, bez obrączki i pierścionków. Szwedka, nieco roztargniona i wyraźnie zdenerwowana. Właściwie mogą się swobodnie porozumiewać, chociaż Erhard zapomniał już tę odrobinę szwedzkiego, którą kiedyś znał. Kobieta pyta go o łańcuszek, który wisi na wstecznym lusterku. Z zaśnieżoną, małą srebrną latarenką. Tu jest strasznie ciemno, mówi. Kobieta się śmieje, ale z sympatią. Mówi, że miała ciekawą podróż. Daje mu do ręki pieniądze, powoli, porządnie, Erhard czuje jej palce. Właśnie tego mu brakuje, takich drobnych gestów.

Ale na tym wszystko się kończy. Pomaga jej przenieść walizki, patrzy, jak kuca i szuka czegoś w torebce. Nie daje mu swojego numeru, chociaż przez moment miał nadzieję, wizytówkę, którą jej dał, zostawia na tylnym siedzeniu razem z jakimiś broszurami z promu. Erhard odbiera to jako przytyk. Bo cóż innego mogłoby to znaczyć. Jest za stary i za brzydki.

Robi sobie sjęstę, jedzie do domu i je drugie śniadanie.

Wyjmuje z kieszeni palec. Jest jasnobrązowy i krzywy, pozostałe są różowe. Z wyjątkiem paznokci, które są czarne. Tu, na wyspie, paznokcie szybko robią się czarne. Czarny pył, który unosi się w powietrzu, osiada na wszystkim, dostaje się też pod paznokcie. Szoruje je szczotką do butów, płucze na podwórzu. Z wyjątkiem paznokcia Billa Haji.

Taśmą klejącą przytwierdza palec do lewej dłoni. Srebrna taśma zakrywa łączenie, ręka wygląda jak cała. Staje przed lustrem i przygląda się sobie: opuszcza dłoń wzdłuż ciała, podnosi do brody, krzyżuje ręce na piersi, wkłada rękę do tylnej kieszeni spodni. Niby drobna zmiana, a jest mu z nią do twarzy. Nowy palec. Czuje się niemal jak normalny człowiek, nie zdejmuje go, kiedy znów wyjeżdża na miasto.

Przy rondzie, tuż za Puerto, zatrzymuje go jakaś para. Zawozi ich do wypożyczalni rowerów na Via Panitta. Zmienia biegi, uderza w kierownicę do taktu. Nikt nic nie mówi. Nikt nie przygląda się jego dłoni. Pasażerowie o czymś

rozmawiają. Potem ma kurs do La Oliva: wiezie mężczyznę i jego psa, do weterynarza i z powrotem. Pies, stary pies pasterski, siedzi nieruchomo i ziewa. Erhard boi się, że wyczuje zapach palca, ale pies nie wydaje się zainteresowany. Mężczyzna mówi, że ma zostać uspiiony. Nie ma innego wyjścia. Powtarza to wiele razy. Godzinę później wracają do domu. Pies nadal ziewa, ale właściciel jest szczęśliwy. Udało nam się, szepcze do psa.

## 16

I wtedy przychodzi pierwszy dzień z deszczem. Kiedy zaczyna padać, Erhard lubi być w domu i popijać lumumbę. Tutaj ludzie jej nie znają, więc kiedy jest w hotelu – najbardziej lubi spokojne i chłodne, z barem, w którym barman nie rusza się z miejsca między papierosami – a więc kiedy jest w hotelu, zwykle instruuje barmana, jak należy ją przyrządzać. W hotelu Phenix na plaży w Corralejo wszedł raz za bar i pokazał nowemu kelnerowi, jak się ubija mleko do café au lait.

Dzisiaj jest w domu, na górnej półce w jadalni stoją kakao, mleko w proszku i koniak. Deszczowe dni zdarzają się głównie wiosną, tak uważa Erhard, ale zdania na ten temat są podzielone. Ubija mleko widelcem przytwierdzonym do wiertarki. Potem siada z nagim torssem na krześle pod brezentowym daszkiem i patrzy na góry. I na deszcz.

Palec włożył do słoika z formaliną. Wygląda w nim na bardzo długi i chudy. Palec faraona. Palec, który może spowodować burzę. Z bliska jest brązowy i pomarszczony. Obrączka się trochę poluzowała, ale nadal nie daje się zdjąć. Zaczyna go to irytować. Gdyby mógł ją zdjąć, palec byłby bardziej jego. Musi pilnować, żeby nie wysechł. Wtedy może się złamać. Albo zamienić się w proszek. Jak zmiażdżona laska cynamonu.

Krople padają tak gęsto, że brzmią niczym pomruk dochodzący z głębi ziemi. Póki pada, nie słyszy nic innego. Myśli o plastikowej płycie nad toaletą

i kuchnią, która potęguje odgłos padającego deszczu. Od siedemnastu lat zamierza ją wymienić. Nie pasuje do domu. Wyróżnia się. Ale, prawdę mówiąc, jest mu wszystko jedno. Drażni go tylko, kiedy targa nią wiejący z południa wiatr. Wtedy potrafi przeleżeć w łóżku cały ranek. Przeklina wiatr albo dach, albo siebie samego, za to, że dawno nie wymienił starej plastikowej płyty na coś innego, mógł przynajmniej położyć na niej kilka kamieni, żeby tak nie łomotała. Ale kiedy wychodzi na zewnątrz, siada przed domem i patrzy na góry i srebrzyste niebo, wtedy nie myśli już o niczym.

Kiedy ktoś mówi: Czy to nie wspaniałe mieszkać w miejscu, w którym nigdy nie pada, odpowiada, że owszem, ale że tak naprawdę to kocha właśnie te cztery czy pięć deszczowych dni w roku. Przełamują cały rok słońca, są jak święto, które spada z nieba. Cała wyspa zamiera. Wszyscy patrzą w niebo, biegają i zbierają rzeczy, które leżą na podjeździe, na parapecie, na tarasie. Nie wsiada do taksówki. Jest oczywiście mnóstwo chętnych, ale on nie chce tracić deszczowego dnia na pracę. Siedzi pod brezentem i pije lumumbę. Kiedy termos z gorącą czekoladą jest pusty, zapada w sen. Jeśli jest w hotelu i zdarza mu się upić, pożycza sobie pokój. Zna recepcjonistów, więc idzie na górę i rzuca się na łóżko w ubraniu. Po lumumbie nie ma kaca. To jej zaleta.

## 17

Słyszeć huk. Dach łopocze na wietrze. A może to odgłos pioruna.

Pukanie do drzwi.

– Erhard! – głos przenika przez deszcz, który nadal pada. Gdzieś z oddali słyszeć pioruny, ale ktoś puka też do jego drzwi. Łagodny, miękki dźwięk. Erhard zdejmuje z siebie koc, podnosi się z krzesła i okrąża dom. Nie przejmuje się deszczem i wilgocią, rozkoszuje się chłodnymi kroplami, które w jego myślach zabierają go gdzieś daleko. Rozpoznaje kabriolet z podniesionym

dachem i postać, która czeka w środku, za mokrymi szybami. Przy drzwiach stoi Raúl, i uderza w nie.

– Wiem, że tam jesteś, odstaw tę lumumbę i wyjdź na dwór.

– *Dios mío*, chłopcze, przewrócisz moją chatę.

Raúl się odwraca, unosi ręką, broniąc się przed deszczem, i spogląda na Erharda. Śmieje się głośno i obejmuje go, obaj są teraz mokrzy.

– Chodź, chodź – mówi i ciągnie go do samochodu – Wybierzemy się na małą przejażdżkę.

Erhard wie, że kiedy Raúl jest w takim humorze, nie pozostaje nic innego jak iść za nim.

– Chwileczkę – mówi. – Zaraz przyjdę.

Okrąża dom, zabiera ze sobą słoik z palcem. Stawia go na najwyższej półce między puszkami a kakao. Przygląda mu się chwilę, po czym wyjmuje szczypcami palec ze słoika, wkłada go ostrożnie do foliowej torebki i zawiązuje ją na supeł. Może ją nosić w kieszeni szortów, nikt się nawet nie domyśli.

Beatriz siada z tyłu, Erhard zostaje wepchnięty na przednie siedzenie. Taki właśnie jest Raúl. Beatriz ściska go z tylnego siedzenia, czuje jej włosy na karku. Za każdym razem pachnie inaczej. Dziś pachnie wanilią i solą. Raúl cofa się do ścieżki Alejandra, zawraca w błocie. Nastawia głośno muzykę. Hałas. Żadna porządna piosenka.

– To był pomysł Bei! – woła.

– Powiedziałaś tylko, że błyskawice są takie piękne.

– Powiedziałas też Cotillo.

– Stamtąd je widać.

– Właśnie to powiedziałem.

– Dlaczego akurat z Cotillo? – pyta Erhard. Wycieraczki pracują na pełnych obrotach, żeby mogli cokolwiek wiedzieć. – Dlaczego nie stąd?

– Dla moich przyjaciół nic nie jest za dobre. Zjedziemy na brzeg, tam, gdzie załamują się fale, i posłuchamy, jak woda się gotuje.

Raúl mówi tak, jakby sam zamówił burzę. Nie prowadzi niebezpiecznie, ale jeździ szybciej, niż Erhard by wolał. Poza tym Erhard nie lubi być pasażerem, przyzwyczał się do tego, że to on prowadzi. Za każdym razem kiedy skręcają, spogląda przez lewe ramię, a kiedy jadą pod górę, próbuje zmieniać biegi. Drogi błyszczą, krajobraz wygląda inaczej niż zwykle, jakby wszystko było z czarnego plastiku. To przez deszcz, przez wodę, która wszystko pokrywa. I nie znika, bo ziemia jest zbyt sucha, żeby ją przyjąć.

– Chciałaś jechać na wybrzeże – mówi Raúl do Beatriz.

Mkną przez Cotillo, woda bryzga na boki, opryskuje stojące przy niej domy. Czuje się, że Raúlowi sprawia to przyjemność. Beatriz też jest zadowolona, może jest pijana, zastanawia się Erhard. Może Raúl jest pijany. Nie może tego wykluczyć.

Wyjeżdżają z miasta, kierują się w stronę parkingu i płaskiego kawałka urwiska, które schodzi do brzegu. Wszędzie pełno samochodów, nie stoją w porządnym szeregach jak w kinie na wolnym powietrzu, tylko przypadkowo, chaotycznie. Jest ich dwadzieścia, może trzydzieści i kilka radiowozów. Niebo za parkingiem przypomina szare płótno z jaskrawozielonymi kreskami, pojawiają się za każdym razem, kiedy rodzi się kolejna błyskawica.

– Wsiadamy! – krzyczy Raúl. Otworzył już drzwi od strony kierowcy, stoi w deszczu z kurtką na głowie.

– Nie możemy obserwować burzy stąd? – pyta Beatriz.

Raúl jej nie słyszy, trzaska drzwiami, okrąża samochód, otwiera drzwi od jej strony. Beatriz już nie protestuje, łapie go za rękę i idzie za nim. Erhard wysiada. Natychmiast robi się mokry, ale nie przeszkadza mu to.

Niemal biegną nad skraj urwiska. Jakby szukali końca kolejki na nocne przedstawienie. Schodzą nad wodę. Potykają się, idą dalej. Beatriz wydaje okrzyk radości. Błyskawice cały czas rozświetlają niebo. Każda rysuje swój unikalny wzór, od dołu do góry albo na odwrót. Grzmoty dochodzą gdzieś z daleka, niemal giną w deszczu. A pośrodku tego wszystkiego morze pieni się i wyje.

Teraz widzą zebranych na plaży ludzi. Stoją obok siebie. Ciemne sylwetki, niektórzy mają ze sobą latarki albo reflektory, krzyczą coś do siebie, jakiś silnik pracuje na przyspieszonych obrotach.

– Co, do licha? – dziwi się Raúl. – Co tam się dzieje?

– To pewnie jakiś przewodnik z grupą turystów! – krzyczy Beatriz.

– W takim deszczu? – śmieje się Raúl.

Ruszają w kierunku ludzi. Okazuje się, że wcale nie stoją w zwartej grupie, jak im się początkowo wydawało, tylko tworzą krąg wokół ludzi stojących w środku. Widać niebieskie światła, migają, jakiś mężczyzna woła: Cofnąć się! Cofnąć się! Ale nikt się nie rusza. Fale rzucają im się pod nogi, niektórym spieniona woda sięga do kostek.

– Tam jest samochód! – woła Beatriz. – Co on tu robi?

## 18

Policjant próbuje wygrodzić teren taśmą, otacza nią samochód. Czarny volkswagen passat. Ustawiono reflektory, które mają go oświetlić, ale prądnicą nie nadąża, reflektory zapalają się i gasną, znów się zapalają, przewracają się w miękkim piasku.

Zatrzymują się i próbują zrozumieć, co się dzieje. Samochód wygląda, jakby ktoś go źle zaparkował albo ukradł i porzucił. Erhard niejedną raz widział takie rzeczy.

– Chodźmy stąd, chcę patrzeć na błyskawice – mówi Beatriz.

– Nie możemy, coś się tu stało. Coś strasznego – odpowiada Raúl.

– Właśnie o to mi chodzi, nie możemy stać i się gapić. Ktoś jest ranny.

– Ktoś zjechał ze skarpy i wpadł do morza – mówi ktoś przed nimi.

– Jak można się stoczyć aż tutaj? Chyba że ktoś to zrobił celowo – dodaje ktoś inny. – To samobójstwo?

– Kto pierwszy był na miejscu? – pyta policjant.

Kilka osób podnosi ręce, niektórzy szybko je opuszczają, kiedy widzą, że inni też się zgłaszają.

– Kto zadzwonił na policję? Nie pamiętam, z kim rozmawiałem.

Jakiś mężczyzna wysuwa się do przodu. Rozmawiają w deszczu. Mężczyzna wskazuje na krawędź urwiska. Policjant próbuje wszystko zapisać w notatniku, ale jest tak dużo wody, że się poddaje. Długopis przestał pisać.

– Pewnie jest kradziony, nie ma tablicy rejestracyjnej – mówi ktoś. Surfer amator w kolorowym kombinezonie.

– Na tylnym siedzeniu coś leży – rzuca ktoś z tłumu.

– Cofnijcie się, cofnijcie się, do diabła.

Erhard rozpoznaje funkcjonariusza. To Bernal. Jest przemoknięty, ubranie niemal na nim lśni, stoi pod parasolem rozłożonym obok samochodu, świeci latarką, sprawdza tylne siedzenie i robi zdjęcia dużym aparatem.

– Hassib! – woła. – Potrzebuję kogoś do pomocy.

Ale nic się nie dzieje. Dźwięki toną w hałasie, znikają. Pozostali funkcjonariusze nie słyszą go. Jeden z nich rozstawia reflektory, drugi rozmawia z ratownikiem, który trzyma pod pachą torbę. Na górze, na skarpie, stoi dźwig, operator szykuje się do wyciągnięcia wozu. A deszcz nadal pada.

– Wracajmy już, jest mi niedobrze – szepcze Beatriz.

– Chodź do mnie – mówi Raúl i przyciąga ją do siebie.

– Jest tu ktoś z prasy? – pyta jeden z policjantów.

Nikt się nie zgłasza.

– Nie ma nikogo, szefie – woła jeden z funkcjonariuszy do Bernala, który fotografuje coś na tylnym siedzeniu samochodu. Jakieś papiery, wycinki z gazet. Kolega podchodzi i pomaga mu je rozłożyć. Rozmawiają o czymś, przekładają papiery i dalej robią zdjęcia. Błyskawice rozświetlają niebo po drugiej stronie ciemnej nocy, jakby odpowiadały na błyski aparatu fotograficznego.

Wokół samochodu unosi się dziwny odór. W pierwszej chwili Erhard jest przekonany, że wydobywa się z torebki. Że to palec tak śmierdzi. Sprawdza ostrożnie, czy torebka się nie rozwiązała. Może zniszczył palec, kiedy zbiegał



z urwiska? W jego organizmie nie ma już śladów lumumby. Odór dobywający się z samochodu staje się coraz bardziej intensywny i wrogi. Jakby było tam coś, co już dawno powinno zostać usunięte.

– Rozumiem, że doszło do wypadku – mówi Raúl do surfera.

– Samochód stoi tu cały dzień. Ale niedawno ktoś odkrył, że nie jest zamknięty.

Do rozmowy włącza się facet, który rozmawiał z policją.

– Zauważyłem, że na tylnym siedzeniu leży jakieś pudełko. Coś z niego wystaje.

– Co? – pyta przyjaciel surfera, jedyny człowiek w pelerynie.

– Wyglądało to jak... – więcej nie udaje mu się powiedzieć.

Zastępca komisarza policji mija ich poirytowany. Spojrzenia Bernala i Erharda krzyżują się. Bernal zatrzymuje się gwałtownie i zawraca. Erhard bardziej czuje niż widzi, że Raúl robi krok do tyłu. Najwyraźniej nie chce rozmawiać z policjantem.

– Eremita – wita go Bernal. – Masz nosa do takich spraw.

Erhard nie wie, co powiedzieć. Chce mu wytłumaczyć, że to nie on chciał tu przyjechać.

– Co się stało? – pyta surfer.

Bernal nie odpowiada.

– Potrzebuję nazwisk wszystkich, którzy coś widzieli – odzywa się po chwili.

– Jeśli ktoś jest tu tylko z czystej ciekawości, proszę, żeby opuścił to miejsce – mówi i patrzy na Erharda.

– Przyszliśmy oglądać błyskawice – odzywa się Beatriz.

Bernal patrzy na nią.

– Więc proszę je oglądać, Señorita – odpowiada i rusza do góry, znikając w deszczu, który jest jak gęsty czarny pył.

– Chodźmy już – szepcze Beatriz.

– Oczywiście, mój aniele – odpowiada Raúl. Stoi i przygląda się samochodowi.

Woda zaczęła się już cofać, fale biorą się za bary jak dzikie zwierzęta.

– Stawiasz lumumbę – rzuca Erhard do Raúla i zerka na sukienkę Beatriz: jest mokra, klei się jej do ciała.

## 19

Dawniej Chłopiec-Mężczyzna w każdą środę jeździł autobusem. Dotarcie do Tuineje zajmowało mu prawie całe przedpołudnie, a powrót do zakładu Santa Marisa niemal całe popołudnie. Kilka razy zdarzyło mu się za wcześnie wysiąść w jakimś miasteczku. Kiedy zaczynał biegać po ulicy i bić się po głowie, wzywano policję. Ma ponad dwa metry wzrostu, może dwa metry i piętnaście centymetrów, ale z twarzy, z bezwolnych członków i ubrania przypomina siedmioletniego chłopca. Jego oczy bezustannie czegoś szukają, nie spoczywają nawet na chwilę. Jakby próbował zrozumieć świat, odczytać jakiś kod czy nuty. Kiedy jedzie taksówką, uwielbia przyłożyć czoło do szyby i śledzić krajobraz wzdłuż drogi. Śledzić jego nieprzerwaną linię.

W każdą środę o dziesiątej piętnaście, także tego dnia, staje na chodniku przed dużą bramą i czeka z plecakiem zapiętym na piersi. Od czternastu lat nie wypowiedział ani jednego słowa. Pewnego dnia po prostu przestał mówić. Umie mówić, ale nie chce, tak zawsze twierdziła Monika. Przez kilka pierwszych śród Erhard miał nadzieję, że jednak się odezwie. W każdą środę spędzali razem ponad dwie godziny – godzinę w jedną stronę i godzinę z powrotem. Erhard miał nadzieję, że bliskość, która się między nimi wytworzyła, sprawi, że Chłopiec-Mężczyzna się otworzy. Że obdarzy go zaufaniem. To było jak gra, wyzwanie, Erhard chciał, żeby chłopak coś powiedział. Czasem udawało mu się go rozśmieszyć albo sprawić, żeby odwrócił głowę. Ale i tak każda środa kończyła się jego przegraną. W końcu tak się zirytował, że poprosił Monikę, żeby znalazła innego kierowcę. Nie był w stanie dłużej wytrzymać. Problem polegał na tym, że żaden inny kierowca nie chciał z nim jeździć. Aaz musiał jeździć autobusem.

Monika zaproponowała, że zapłaci mu dwa razy więcej, żeby tylko dalej z nim jeździł.

– Nie musisz go lubić. Wystarczy, że będziesz udawać, że go lubisz.

Erhard dał sobie pół roku. Ale pieniędzy nie wziął.

I wtedy coś się stało.

Erhard usłyszał, że Aaz zaczął mówić.

Dotarli na miejsce. Erhard wchodzi do środka. Monika bierze w swoją dłoń dużą dłoń chłopca. Siadają na chwilę przy pianinie. To coś, co ich łączy. Aaz kocha muzykę. Erhard patrzy na nich, pieszcząc się jak ptaszki. Co dwa miesiące stroi fortepian. Dzisiaj tylko się rozgląda.

Nie jest tu tak smutno jak u niego w domu, chociaż Monika jest w jego wieku i podobnie jak on – jest samotna. W pokoju stoją świeże kwiaty, jest akwarium z rybkami i pisma kobiece w specjalnym stojaku z madonnami obok kanapy i niewielkiej komody na tle obwieszonych zdjęciami ściany. Na zdjęciach widać małą dziewczynkę w stroju baletnicy i mężczyzn w wojskowych mundurach przy Calderon Hondo, widać też dwie młode kobiety na vespie przed biurowcem. W sumie wisi tam jakieś dwadzieścia zdjęć. Wszystkie czarno-białe, piękne, smutne. Życie, które minęło. Nie ma natomiast ani jednego zdjęcia syna Moniki. Erhard się rozgląda. Nad półką nad telewizorem też nie ma żadnego, ani na komodzie. Podobnie jak on ona też chowa przed innymi to, co dla niej najważniejsze. Żeby nie musiała iść dalej. Monika jest chłodna, wyniosła, nie jest snobką, ale ceni rzeczy, które posiada. Małą łyżeczkę do cukru i kwiaty, które pasują do zasłon.

## 20

– Czego chcecie? – pyta Erhard, nie odrywając wzroku od książki leżącej na stole, nie odstawia też filiżanki na spodek. Jest piątkowe przedpołudnie, trzech mężczyzn w koszulach patrzy, jak spokojnie pije kawę. Jednym z nich jest

Bernal, zastępca komisarza. Kładzie kartkę na jego książce. Kawalek strony gazety. Trudno powiedzieć jakiej, zdania trudno odczytać, farba jest rozmazana, papier zniszczony, Erhard odczytuje zaledwie kilka słów: portfel i przesyłka bankowa. Dziwne słowa, w pierwszej chwili ich nie rozumie.

– Co tu jest napisane? – pyta Bernal. – Czy to po duńsku?

– Tak myślę. – Brakuje mu reszty artykułu, żeby mieć pewność, ale rzeczywiście przypomina to duński. – Skąd to masz? – pyta i z jakiegoś powodu zaczyna się obawiać, że to może mieć coś wspólnego z Raúlem.

– To nie twoja sprawa – mówi kolega Bernala, niski mężczyzna z blisko osadzonymi oczami i zaniedbaną brodą. Rozgląda się po kawiarni, w której siedzi jeszcze tylko jedna osoba, załamany młody mężczyzna z zaczesanymi do tyłu włosami: mruży oczy, najwyraźniej całą noc się bawił.

– Potrzebujemy kogoś, kto zna duński.

– Poszukajcie przewodnika turystycznego, jest ich tu pełno.

– Nie tak dużo jak dawniej. Chodź z nami, Jorgenson.

– Jeśli powiecie, o co chodzi, to może pójdę.

– Jesteś mi coś winien za poprzedni raz. Mogłem cię zabrać na komisariat.

– Powiedz mi, o co chodzi – upiera się Erhard.

Bernal nagle robi się jeszcze bardziej zmęczony. Może się nie wysypia, może pije, a może dziecko nadal ma odrę.

– Daj sobie z nim spokój, Bernal. Cudzoziemiec nam nie pomoże – odzywa się najniższy rangą z trzech funkcjonariuszy. Wygląda na stanowczego faceta, takiego, który raczej klepie po ramieniu, niż podaje rękę. – Ma za dużo złych wspomnień – dodaje, szybko dopija espresso i chce wychodzić.

Bernal najwyraźniej opowiedział im o Erhardzie, zanim się zjawili. O sprawie z Federico Molino, którego walizkę znaleziono niedaleko Lajares. Były w niej paszport, skarpety, wosk do włosów i lubrykant, o czym policja nie omieszkała wspomnieć, kiedy zadawali pytania w sądzie. Powinni być zadowoleni z zeznań Erharda. Ale nie, byli zawiedzeni, przekonani, że wie więcej, niż mówi. Tylko Bernal rozumiał, że Erhard pozostał wierny swoim znajomym z wyspy. Mówił

prawdę, ale nie całą. Nie wspomniał o Raúlu Palabrasie ani o ówczesnym prezydencie regionalnym Emeraldó, ani o Suárezie. Od tamtego czasu minęło już ponad osiem lat.

– Chyba że mnie aresztujecie – oświadcza.

Bernal patrzy na niego, jakby miał nadzieję, że jednak zmieni zdanie.

– Pozdrów młodego Palabrasa – mówi.

Wychodzą.

Właściciel kawiarni stoi nieruchomo za barem i patrzy za nimi, widzi ich w lustrze na ścianie. Pewnie nie ma pozwolenia na sprzedaż piwa. Jak większość właścicieli kawiarni w mieście. Podnosi głowę i zerka na młodego mężczyznę w głębi lokalu.

– Pesce, do diabła, nie kładź się na stoliku z tymi swoimi tłustymi włosami. Idź do domu i się prześpij.

Kiedy Erhard wraca do swojej taksówki, która stoi ostatnia na postoju na głównej ulicy, widzi, że policjanci stoją na rogu Paseo Atlántico. Wsiada do auta i wraca do lektury. Czyta *Czerwone i czarne* Stendhala. Dziwna rzecz, niespójna.

Sprawdza lusterka. W pobliżu nie ma nikogo. Wyjmuje z kieszeni torebkę, sięga po palec, próbuje ściągnąć z niego obrączkę. Nie daje rady. Palec wygląda jak kawałek gałązki zamarynowanej w oleju. Przykłada go do pustego miejsca po własnym palcu. Jest za duży i nie z tej ręki co trzeba, przypomina mały palec, ale jego dłoń znów wygląda jak kiedyś. Z wszystkimi palcami na swoim miejscu. Chowa palec, wciska torebkę głęboko do kieszeni.

Widzi, że policjanci skręcają za róg i zaczynają się żegnać. Po chwili do taksówki podchodzi Bernal. Wsiada.

– Puerto – rzuca.

Erhard patrzy na niego.

– A kiedy już tam dotrzemy, zaprosisz mnie do środka?

– Może.

– Jest kolejka, inni są przede mną.

– Jedź.

Erhard wyjeżdża z kolejki, jeden z taksówkarzy coś za nim woła. Luís. Zawsze krzyczy. Wielka gęba bez zębów. Jadą główną ulicą przez miasto, wyjeżdżają na FV-1. Żaden z nich się nie odzywa.

– Czy to ma coś wspólnego z Billem Haji? – pyta Erhard. – Wszystko już wam powiedziałem – dodaje.

Policjant się śmieje.

– Ta sprawa jest zakończona. Mamy ją już z głowy, że tak powiem. Chociaż siostra nie była zachwycona, łagodnie mówiąc.

– Z Palabrasami też nie ma nic wspólnego? – dopytuje się Erhard.

– Nic a nic – zapewnia Bernal. Założył nogę na nogę, but, który zwisa mu z kolana, kołysze się w takt muzyki, starego nagrania Coltrane’a. Erhard nabył je dziesięć lat temu i od tamtej pory cały czas go słucha. – Byłeś w Cotillo. Nic nie wiesz?

Erhard od kilku dni nie czytał gazet. Kręci głową.

– Nie czytasz niczego poza tymi swoimi książkami? Nie słuchasz radia?

– Raczej nie.

– Krótko mówiąc, samochód został porzucony w pobliżu Cotillo. Nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi. Powinien być w Lizbonie, a nagle znalazł się tutaj. Ktoś go ukradł i przetransportował na wyspę. Nie wiemy, kto siedział za kierownicą. Stał w wodzie... Silnik oczywiście padł. Jedyne co jest ciekawe, to kawałki gazety.

– A co ja miałbym zrobić?

– Spójrzeć na nie i powiedzieć mi, co tam jest napisane. Pewnie nic ważnego. Jakieś zdania bez żadnego znaczenia. Próbuję ustalić, co się stało. Między nami mówiąc, szefowie nie bardzo mnie wspierają. Działam na własną rękę.

Wjeżdżają na pierwsze rondo na drodze z miasta. Słońce zostało zakleszczone między chmurami, wygląda jak podbite oko.

– Jak to się stało, że byłeś wtedy tam na plaży? – pyta Bernal.

– Moi przyjaciele chcieli pojechać obejrzeć burzę.

– Twoi przyjaciele? Raúl Palabras i jego narzeczona?

– Tak.

Bernal długo przygląda się Erhardowi, który w skupieniu obserwuje ruch uliczny.

– Wiele lat minęło, od kiedy ostatni raz czytałem duńską gazetę – mówi w końcu.

– Zerknij na te kawałki i powiedz nam, co w nich jest, *that's it*.

Policjanci i mieszkańcy miasta nazywają komisariat w Puerto Zamkiem, ponieważ stoi na ruinach pałacu, który na początku XVIII wieku wznosił na wyspie jeden z hiszpańskich królów. Ale poza grubymi murami zewnętrznymi i pięknie sklepiionymi łukami łączącymi otynkowane kolumny budynek ma w sobie niewiele z królewskiej świetności. Biuro, w którym sześciu, a bywa że i siedmiu spoconych policjantów biedzi się nad komputerami, przypomina Erhardowi podobne lokale z Rødovre z lat osiemdziesiątych.

Wchodząc, mijają bramki z wykrywaczami metalu. Erhard boi się, że zostanie poddany rewizji osobistej, podczas której w prawej kieszeni jego spodni strażnik znajdzie torebkę z palcem, ale idzie za Bernalem. Przechodzą przez korytarz, wchodzą do pomieszczenia, które przypomina magazyn albo garaż. Bernal zamyka za nimi drzwi i zaczyna szukać czegoś na regale. Wraca z dużym jasnobrązowym kartonem, wkłada gumowe rękawiczki.

– Ja też powinienem? – pyta Erhard.

– Nie, nie musisz – stwierdza Bernal, zerkając na jego dłoń bez palca. Wyjmuje z pudełka kawałki gazety. – Świnie przygotowały nam niespodziankę.

– Świnie – powtarza Erhard. Rozpoznaje pudełko, leżało na tylnym siedzeniu samochodu. Poznaje je, mimo że wtedy była noc.

– Nie wiemy, czy te kawałki dają się połączyć w jakąś całość, czy można z nich coś odczytać, czy w ogóle jest sens poświęcać im czas.

Erhard patrzy na kawałki gazety. Jakies zdjęcia, niektóre kolorowe, słowa.

– Leżały w wodzie, posklejały się.

– Niestety – przytakuje Bernal. – W tym problem. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy to kawałki przypadkowej gazety, czy też ktoś chciał nam w ten sposób coś przekazać.

– Co mam zrobić?

– Zaczynaj od tytułów, tych pisanych dużymi literami. Jesteś w stanie coś odczytać? Na przykład tutaj? – Bernal wskazuje na duży fragment tekstu, z tytułem i kawałkiem artykułu. – Co tu jest napisane?

Erhard czuje się dziwnie, mając przed oczami tak duży kawałek tekstu po duńsku. Zaczyna czytać.

– Piszą, że jeśli zima będzie równie ostra jak w zeszłym roku, to wielu kopenhaskich bezdomnych może zamarznąć.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Pewnie że trudno jest być bezdomnym w zimnym kraju.

Bernal rozkłada ręce.

– Czytaj dalej. Może ten fragment.

Tym razem tekst jest wyraźniejszy, ale sklejonny z innym.

– Ojcowie nie mają szczęścia w sądach.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Tak tu jest napisane.

Bernal nie wygląda na zadowolonego.

– Przejrzyj te kawałki, może coś zwróci twoją uwagę.

Erhard przesuwa kawałki gazety, czyta, odkłada na bok te, które mogą się okazać ważne. Póki co nic go nie zaintrygowało. Zwykle artykuły, chociaż niektóre nawet ciekawe, o Duńczykach, finansach, dzieciach, instytucjach finansowych, o rozwodach, programach telewizyjnych. Dużo artykułów o rockersach. Wiele lat minęło od czasu, kiedy ostatnio czytał duńską gazetę, ale ma wrażenie, że niewiele się zmieniło. Niektóre nazwiska są mu obce, poza tym jednak wszystko jest jak dawniej.

– Nie sądzę, żeby było tu coś ważnego, ale też nie bardzo wiem, czego mam szukać.



Bernal wstaje, wyrzuca kawałki papieru do kosza.

– Ja też nie mam pojęcia, czego masz szukać. Gówniana sprawa – dodaje szeptem.

W pokoju czuć moczem. Z głębi, gdzieś zza regału, dochodzi głos dziecka, ma czkawkę, pojękuje. Bernal nawet tego nie zauważa.

– Nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz, czego mam szukać. Muszę wiedzieć coś więcej – upiera się Erhard.

Bernal długo myśli. Pewnie się zastanawia, co może mu powiedzieć, a czego nie.

– Chodź – mówi w końcu. – Chodź.

Okrąża regał, kieruje się w stronę ciemnego narożnika. Zatrzymuje Erharda, który idzie tuż za nim. W ciemności Erhard widzi jedynie połowę jego twarzy.

– Nie jesteś szczególnie wrażliwy? – pyta.

Erhard kręci głową.

– Pamiętasz Madeleine?

– Znaleźliście ją?

– Pamiętasz ją? – powtarza Bernal poirytowany.

Erhard kiwa głową.

– No więc nie chcemy drugiej takiej sprawy. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Wszyscy mieliśmy jeden wspólny cel. To, co wtedy stało się w Portugalii, miało druzgoczący wpływ na turystykę w Praia da Luz, na policję posypały się obelgi, dla mediów byliśmy jak cholerni Tajniak i Jawniak. W tym przypadku różnica jest taka, że dziecka nikt nie szuka. Nie ma płaczących rodziców ani rodzeństwa, które tęskni za braciszkiem.

– Dziecka?

Bernal zapala dwa kinkiety, podchodzi do białej tablicy wiszącej na ścianie.

– Chłopca – mówi i wskazuje na zdjęcie.

Duże czarno-białe zdjęcie. Pierwotnie było pewnie kolorowe, teraz jednak kolory zastąpiła biel i odcienie szarości. Jest też trochę brązu i jasnej zieleni. Ciężko na nie patrzeć. Po przekątnej widać duży czarny czworokąt, zaznaczony

czterema wimplami nadającymi zdjęciu głębię. Na środku, jakby otoczony niewidzialną skorupą, leży maleńka istota. Jedną rękę ma uniesioną, jakby przed chwilą drapała się po głowie, drugą podwiniętą, w jakiś niemal niemożliwy sposób. Wokół niej, na niej i pod nią leżą kawałki gazety, białe, wyblakłe, ostre.

Erhard odwraca głowę, podnosi wzrok. Na tablicy jest więcej zdjęć. Pokazujących tę samą surową rzeczywistość. Zbliżenie ust chłopca, oczy ma zamknięte, toną w chorej ciemności. Zdjęcia samochodu, zdjęcia tylnego siedzenia, na którym stoi pudełko przypięte pasami dla pasażerów, jakby ktoś chciał je przytrzymać.

– Ile miesięcy... – Erhard mówi z trudem, ma sucho w ustach. – Ile ma miesięcy?

– Trzy. Mniej więcej.

– Ktoś go chyba szuka?

– Niestety nie. To najgorsze sprawy ze wszystkich. Takich małych dzieci nikt nie zna. Nie mają opiekunek, kolegów z placu zabaw. Nie zostawiają byłych partnerów, pustych mieszkań z niezapłaconym czynszem. Jeśli rodzicom jest wszystko jedno, nikt ich nie szuka.

– Ktoś musiał zgłosić zaginięcie dziecka. Tu, na wyspach, albo w Hiszpanii.

– Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, to matka pewnie dała się porwać falom, jak tchórzliwa suka. Nikt w ten sposób nie porzuca dziecka, chyba że jest chory.

– Może obojgu rodzicom przytrafiło się coś złego. Może wybrali się na spacer po plaży, może się potknęli, przewrócili...

– Albo pieprzyli się w jakieś jaskini. Przeszukaliśmy cały teren. Również śmigłowcami z powietrza. I nic. Jak z obrączką Billa. Nie został żaden ślad.

– Ktoś musiał widzieć samochód. A co z surferem z plaży?

– Rozmawialiśmy z nim dwa razy. Przyjechał do Cotillo dzień po tym, jak zauważono samochód. Nikt nic nie wie. Auto jest zarejestrowane u importera samochodów na obrzeżach Lizbony. Ale nigdy tam nie dotarło. Facet był przekonany, że stoi na ciężarówce w Amsterdamie.

– Może ktoś ukradł samochód z małym w środku?

– Gdzie? W Amsterdamie?

Erhard nie potrafi odpowiedzieć.

– Dziwne jest też to, że samochód miał jedynie pięćdziesiąt jeden kilometrów przebiegu.

– Musiały chyba być jakieś odciski palców.

– Żadnych. Ani na kierownicy, ani na dźwigni biegów, ani na przednim siedzeniu. Odcisków palców nie znajduje się tak łatwo, jak niektórzy sadzą. Matka mogła mieć rękawiczki. Albo ktoś usunął wszystkie ślady. Na papierowej torbie znaleźliśmy kilka, ale żadne nie są nam znane. Nie sposób dojść, kto dotykał pudełka, zanim włożono do niego chłopca. Na pewno jednak ktoś to zrobił, i na dodatek zabezpieczył je pasami. Na pewno porządnie nim wytrzęsło, kiedy samochód zjeżdżał z parkingu na plażę. Stał w wodzie podczas przyływu, ale woda nie nalała się do środka. Nikt w Cotillo go nie widział. Gdybyśmy mieli psy. Są na Teneryfie, ale sprowadzenie ich tutaj zajmuje półtora dnia, więc i tak byłoby to na nic.

– Może rodzice wyjechali z kraju?

– Wszystko sprawdziliśmy. Nikt nie wjechał do kraju z dzieckiem i nie wyjechał bez niego. Mamy też wyniki obdukcji, i to jest w tym wszystkim najgorsze. – Bernal podchodzi do tablicy ze zdjęciem chłopca, pokazuje czarne miejsca wokół jego oczu. – Lorenzo podejrzewa, że chłopiec zmarł z głodu jakieś dwa, trzy dni zanim samochód znalazł się na plaży. Zanim... zanim został włożony do kartonu. Autopsja wykazała też, że miał około dwunastu tygodni. Kiedy go znaleźliśmy, wszyscy byliśmy przekonani, że to noworodek, taki był maleńki. Dzwoniliśmy do wszystkich oddziałów położniczych, do wszystkich lekarzy na wyspie. Dotarliśmy do wszystkich młodych matek synków w wieku od miesiąca do pięciu. W sumie jest ich sto osiemdziesiąt siedem. Wszystkie mają dzieci przy sobie. Otrzymaliśmy kilka zgłoszeń, ale żadne do niczego nie doprowadziło.

Erhard nie jest w stanie dłużej patrzeć na zdjęcie.

– Jak można porzucić dziecko? – mówi.

Bernal wygląda na coraz bardziej zmęczonego.

– W końcu musieliśmy go pochować. Wczoraj rano. Na wschód od Morro Jable, Playa del Matorral. Mały dźwig wykopał dziurę wielkości mikrofalówki. Wszystko odbyło się szybko, żeby media się nie dowiedziały. Baliśmy się, że ktoś zauważy trumienkę. Wiesz, jak okropnie wygląda taka mała trumna? Od razu pomyślałem o moim synku, który ma trzy latka. Kiedy się grzebie takie maleństwo, człowiek czuje, że coś jest nie w porządku.

– Nadal ciągniecie tę sprawę?

Bernal przygląda mu się.

– Prasa zaczęła się nią interesować. Dziennikarze dowiedzieli się, że w aucie był martwy chłopczyk. To wszystko, co wiedzą. Urzędnicy nie chcą powtórki ze sprawy Madeleine. Podkreślają to wyraźnie. To źle wpływa na turystykę. Niech to szlag. Nie powinienem cię w to wciągać, tym bardziej że być może coś będziemy mieli. To miejscowy trop.

– Co to znaczy?

Bernal odwraca się do niego plecami i mówi dalej:

– Podejrzewamy jednego z mieszkańców.

Erhard jest zdziwiony.

– Jeśli wyjaśniliście sprawę, to co ja tu robię? Dlaczego marnujesz mój czas?

– Nie marnuję twojego czasu. Wszystko musi zostać sprawdzone. Mamy coraz większą pewność, że karton miał nas zwieść – mówi Bernal i podaje Erhardowi rękę. Jego dłoń jest ciepła, jak dłoń kogoś, kto większość czasu spędza w biurze. Odprowadza go do wyjścia, idą korytarzem do ciemnego holu, grube kamienne ściany trzymają chłód.

– Daj znać, jeśli uznasz, że mogę ci pomóc – mówi Erhard.

– Jasne.

Bernal zatrzymuje się przy ciężkich dębowych drzwiach, które z trudem dają się otworzyć. Przez niewielkie szybki posyła Erhardowi ostatnie spojrzenie.

Erhard podchodzi do samochodu, na plecach czuje irytujące pieczenie ostatnich promieni słońca. Musi się napić wody. Ma złe przeczucia.

Słuchać plotek o dziwnych metodach pracy policji, korupcji, świadczeniu sobie wzajemnych przysług, przemocy, gwałtach na aresztowanych, o policjantach alkoholikach to jedno, doświadczyć tego na własnej skórze to co innego. Policjantów alkoholików spotykał wiele razy, odwoził ich do domów, do wściekłych narzeczonych i płaczących żon, ale nigdy nie widział, jak taka sprawa jest rozwiązywana zza biurka. To nim wstrząsnęło.

W bagażniku znajduje butelkę ciepłej wody, wsiada do samochodu, siedzi dłuższą chwilę, zanim włącza silnik. Życiem rządzą przypadki, taka jest okrutna prawda. Nawet dziecko nie jest bezpieczne. Zawodzą je rodzice, potem system, a na końcu czeka je śmierć, niczym głęboka czarna dziura, która pochłania wszystko. Lęka się, czym ta sprawa może się skończyć. Lęka się tego, co może się okazać.

# Dziwka

14 stycznia – 19 stycznia

## 21

W sobotę rano Erhard wstaje i włącza radio. Zmienia stację z Radio Mucha na Radio Fuerteventura. W oczekiwaniu na wiadomości wyjmuje delikatnie palec ze słoika, w którym zostawił go na noc. Wygląda na to, że proces gnilny został powstrzymany. Trzyma go za oba końce i delikatnie obraca, próbuje zdjąć obrączkę. Ta jednak nadal wydaje się nie do ruszenia. Wkłada palec do torebki, chowa torebkę do bocznej kieszeni spodni.

Jest wykończony, a może po prostu nie w humorze. Chociaż nie z powodu wczorajszej rozmowy. Myśli nie dają mu spokoju, wracają obrazy chłopca, informacja o miejscowym tropie, cokolwiek to może znaczyć.

Jedzie na poranną kawę do Alapaqa. Aristide, który jest rybakiem i zwykle o tej porze nie bywa w kawiarni, jest zajęty grupą fińskich turystów, którzy zamówili śniadanie. Erhard się kąpie, potem siada w porcie na kamieniu i przygląda się rybakom zajętym rozmową o tym, komu gdzie wolno łowić. Pokazują coś na morzu, jakieś boje, które kołyszą się na falach. Erhard nalewa kawy do kubka i rusza na północ. Jedzie powoli przez Corralejo, wjeżdża na większą drogę prowadzącą do Cotillo.

O tej porze nie ma wielu klientów. Przy Las Dunas zabiera młodego mężczyznę, który stoi przy drodze i wymachuje rękami i nogami. Nie ma ze sobą bagażu, jedzie do Puerto, ma być w porcie przed ósmą. Erhard wciska gaz do

dechy. Chłopak opowiada mu o dziewczynie, z którą właśnie się pożegnał, twierdzi, że jest inna niż wszystkie, z którymi do tej pory się spotykał. A potem oczywiście okazuje się, że nie ma pieniędzy. To znaczy ma pieniądze, ale podobno są na statku. To zapewne też kłamstwo. Erhard jest przekonany, że jeśli pozwoli mu odejść, nigdy już tych pieniędzy nie zobaczy.

– Daj mi swoją wizytówkę, a ja dam ci swoją – mówi chłopak i rzeczywiście daje mu wizytówkę. – Prześlę ci pieniądze.

Ale Erhard nie ma wizytówki. Jest już prawie ósma. Nie ma ochoty się targować, każe chłopakowi wysiąść, inaczej spóźni się na prom. Chłopak wyskakuje z taksówki i rusza ulicą w kierunku mola. W pewnym momencie się odwraca i nie zwalniając, macha do Erharda.

Erhard wie, że powinien był go spytać o kartę kredytową. No cóż, chłopak jest młody, roztargniony i zakochany.

Skręca na zachód, nastawia centralę ciszej, kierowcy jak zwykle chwalą się, kto ile przejechał w poprzednim tygodniu albo kto ma najładniejszą żonę. Jak zwykle narzekają na szefa, który z kolei narzeka na nich, twierdzi, że nie rozliczają się na czas albo że za mało pracują, a zmiennicy nie sprzątają samochodów po nocnej zmianie. Albo że któryś oszukał w kolejce na lotnisku, na litość boską! Dziewczyny z centrali żartują sobie z nich. Lucia dokucza tym, którzy popadli w niełaskę. Erhard nigdy nie dostał reprimendy, ani od szefa, ani od ludzi z warsztatu. Jeździ już ponad czternaście lat i jeszcze nigdy nikt nie zwrócił mu uwagi. Pracuje porządnie i systematycznie. Codziennie poświęca kwadrans na zrobienie rachunków. Codziennie oddaje trzydzieści procent zarobków firmie, dwadzieścia pięć urzędowi skarbowemu, kolejne dwadzieścia pięć Annette, a dwadzieścia zostawia sobie. Kiedy ma dobry dzień, to mu wystarcza, kiedy gorszy, ma ledwie na jedzenie. Ale uważa, że to uczciwe rozwiązanie. TaxiVentura bierze wszystko z wyjątkiem jego części: w jego imieniu rozlicza się z urzędem skarbowym, a raz w miesiącu przelewa pieniądze na konto Annette w Krajowym Banku Robotniczym. Erhard utrzymuje samochód w czystości. Kiedyś nawet próbował poprawić warunki w centrali.

Proponował, żeby zawiesić półkę na książki i urządzić kącik, w którym kierowcy mogliby wypić w spokoju kawę, ale jego propozycje nie chwyciły. Zaczekaj, aż zostaniesz szefem, mówi mu za każdym razem Barouki, myje ręce, najpierw bez mydła, potem mydłem, a na koniec spłukuje je aż do łokci i wyciera serwetkami. I tak pięć, sześć razy w trakcie każdego spotkania. Jest sympatycznym człowiekiem, uwielbia klimatyzację. Był taksówkarzem tylko przez kilka miesięcy, potem założył własne przedsiębiorstwo, prowadził je dobre dziesięć lat, aż w 2004 roku został dyrektorem TaxiVentury. Erhard włącza radio, czeka na wiadomości, te o dwunastej, ale nie ma nic interesującego.

Zatrzymuje się na stacji benzynowej i myje samochód. Spłukuje żółtą pianę i wyciera karoserię starymi szmatami, nakłada воск, który dostał od jednego z kierowców. Rzadko to robi. Na wyspie, na której zawsze wieje i się kurzy, wydaje się to bez sensu.

Kiedy воск schnie, oddaje się lekturze nowej książki Almuzy Ameidy, hiszpańskiej nadziei literatury kryminalnej. Siedzi na ławce w cieniu stacji benzynowej. Widzi stamtąd skały i wydmy na brzegu. Widzi piasek wirujący w powietrzu przy każdym powiewie wiatru ze wschodu. Na płaskim kawałku skały zawsze stoją samochody. Przyjeżdżają surferzy i amatorzy nagich kąpiei. I turyści, którzy nie wysiadają z samochodów z powodu unoszącego się w powietrzu piasku. Jakaś rodzina siedzi w zapewne wynajętym seacie i spogląda na plażę. Nie ma kitesurferów. Przenieśli się na Playa Cualpa. Jeśli jednak ktoś przyjrzy się dokładnie plaży, zauważy między skałami opalone na brąz cielska na nadmuchiwanych leżakach. Często obok stoi piwo albo białe wino w małych butelkach. To wyspa trunków. Ale inna niż Ibiza, Majorka czy Kreta. Tam przeważa młodzież, tu pije się przede wszystkim po to, żeby mieć usprawiedliwienie dla seksu. Pije się spokojnie, bez awantur. Wokół hałaśliwych dyskotek i barów z wyjąca muzyką krążą setki istnień ludzkich przechodzących z jednego stanu upojenia w drugi. Alkohol jest tani, pogoda dobra, kalendarz spotkań pusty.

Więc dlaczego nie?



Przez pierwsze siedem miesięcy po przybyciu na wyspę też przesiadywał między skałami, napalony jak wół. Opalony i twardy. Od rana do wieczora leżał za skałami ze sterczącym członkiem, od czasu do czasu szedł na spacer plażą. W nocy spał pod wyłomkiem skalnym nieco dalej na północ. Palił ogniska i żywił się chełbiami i rybami, które udało mu się złowić. Nierzadko też resztkami po rodzinnych piknikach, kawałkiem chleba czy kiełbasy. W sytuacjach podbramkowych szedł do marketu i kupował konserwy. Miał pieniądze. Ale niezbyt dużo. Walizeczkę z paroma tysiącami euro. Ale nie chciał po nie sięgać. Długo uważał, że na nie nie zasłużył. Długo pragnął jedynie spokoju. Nie pragnął rozrywek, przyjemności. Nawet słońca ani gwiazd. Leżał bez ruchu i patrzył w niebo, bez radości. Na dłuższą metę było to jednak trudne. Bo jednak drobne przyjemności stawały się także jego udziałem.

Odgłosy wody między skałami, kiedy morze się wycofuje. Ciepła bułka z ogniska. Pewnego ranka kilka metrów od niego usiadł ptak z rybą w dziobie, ociekał wodą i zerkał na niego oczami jak guziki. Zdarzało się też, że miewał towarzystwo. Ale to później, po kilku miesiącach. Ludzie przychodzili zobaczyć, co to za człowiek, *el ermitaño*, mieszka wśród skał. Większość po prostu mu się przyglądała. Stali kawałek dalej i patrzyli, jak się wspina na skały. Inni podchodzili do ogniska i proponowali mu jedzenie albo wypytywali o różne rzeczy. Ale on nie odpowiadał. Przez siedem miesięcy prawie nie mówił. Nawet kiedy pewnego dnia dwóch mężczyzn napadło na niego nad ranem z kijami i go pobiło. Zostawili go leżącego na słońcu jak obranego ze skorupy zółwia.

Jeśli od czegoś nie umrzesz, to twoja złość się wzmocni, jak niektórzy mawiają.

Erhard zostawia samochód i przechodzi przez drogę, kieruje się w stronę płaskiego kawałka skały przed urwiskiem, ścieżka jest stroma i kamienista. Dopiero teraz zauważa, że jego lewy but się rozlatuje. W szparze między zelówką a skórą widać skarpetę. Dawno już nie wydawał pieniędzy na takie rzeczy. Nie chce mu się. Już sama myśl o tym, że musiałby przymierzać buty,

sprawia, że nie wchodzi do sklepu. Może mu się uda je naprawić. Klejem albo taśmą klejącą.

To tutaj, dokładnie tutaj stał samochód.

Schodzi z urwiska. Podłoże przypomina miękki piasek, ale tak naprawdę to skała pokryta jedynie jego cienką warstwą. Trudno po tym iść. Nagle stwierdza, że znajduje się w wodzie, plaża znika, zostaje woda. Na całej wyspie odpływ zostawia ślady, a ponieważ piaszczyste dno jest płaskie, odpływ sprawia wrażenie bardziej gwałtownego, niż jest w rzeczywistości. Często się zdarza, że fala zaskakuje dziewczęta, które ucięły tu sobie drzemkę, albo rodzinę, która właśnie rozłożyła się na kocu z jedzeniem.

Erhard zastanawia się, jak to możliwe, że ktoś zjechał z góry samochodem. A może samochód został zepchnięty? Dlaczego? Może ktoś chciał, żeby zniknął w morzu, żeby porwały go fale? Niby po co? Czasem widywał młodych ludzi jeżdżących tu terenówkami. A może auto stoczyło się przez przypadek? Matka zaginęła?

Może Raúl miał rację. Powiedział, że pewnie jakiś złodziej chciał się zabawić i zjechał ze zbocza na plażę. Ale Raúl nie wiedział, że na tylnym siedzeniu było dziecko. To wszystko zmienia.

Erhard patrzy na wodę.

Jeśli ktoś chciałby się utopić, wystarczy przejść sto metrów, do szczeliny, gdzie prąd niekiedy jest tak silny, że ciało już po dwóch dniach wypływa na wybrzeżu Lanzarote. Słyszał o tym od kolegów. Opowiadają czasem o Los Tres Papas, którzy zarabiają na pralniach, sprzedaży garderoby, hazardzie i prostytutce. Czasem rozstają się z jakimś nieszczęśnikiem, jednym albo dwoma, którzy potem, nieźle poobijani, wypływają na brzeg na Lanzarote. Plotki mówią, że Raúl też jest w to wplątany, ale Erhard nigdy nie słyszał ani nie widział nic, co mogłoby na to wskazywać. Wie, że Raúl co prawda nie zawsze przestrzega prawa, ale przecież nie jest przestępcą. Ludzie tyle rzeczy mówią. O nim też. Że woził klientów do mostu w Valle i ich z niego zrzucał. Na początku 2000 roku

rzeczywiście znajdowano tam ciała. Pod kamieniami, na których wyryto trzy ludziki.

Jeśli to matka zjechała samochodem na plażę, musiała być bardzo poruszona, załamana. Na tylnym siedzeniu w pudełku leżał jej synek, umierał, a może już nie żył. Była zdesperowana, może postanowiła się utopić, bo to jedyne, co mogła zrobić. Ale to nie wyjaśnia sprawy samochodu. Nie był zarejestrowany. Poza tym zdesperowana matka nie usuwałaby odcisków placów. Zrozpaczona i udręczona matka zostawiłaby list, jakieś wytłumaczenie. Skrzywdzenie dziecka jest czynem niewybaczalnym, we wszystkich kulturach na świecie, nawet w religii katolickiej, nastawionej na wybaczenie wszystkim wszystkiego, jest to grzech, którego raczej się nie wybacza. Matka pochodząca z wysp nie zabiłaby ot tak siebie i dziecka. Zbyt wiele nie zgadza się w tej sprawie. Erhard czuje, że wybrzeże ma swoje tajemnice. Że był jakiś powód, żeby samochód porzucić właśnie tutaj.

Czuje się, jakby siedział nad dwudziestoma kawałkami układanki, nie mając pojęcia, czy składa się ona z dwudziestu jeden, czy może z tysiąca.

W markecie znajduje pudełka może nie dokładnie takie same, ale bardzo podobne do tego, w którym znaleziono chłopca. Proste, brązowe, z dnem zszytym zszywkami i z niewielką szczeliną na dnie. Bierze jedno do ręki i dokładnie ogląda.

Patrzy na nie i niemal widzi w nim chłopca, skulonego, wychudzonego. Niewielkie ciało odbija się od brzegów. Mały chłopiec z dużymi oczami. Widzi też ręce, które albo wkładają go do pudełka, albo z niego wyjmują. Najbardziej okrutny obraz, jaki kiedykolwiek widział, pozbawiony miłości. Jest przekonany, że ktoś włożył chłopca do pudełka, żeby w nim umarł, ale nie była to jego matka. Ani ojciec.

Odstawia pudełko na półkę, kupuje tuńczyka.

W drodze do domu spogląda na palec przyklejony taśmą klejącą do dłoni. Spoczywa teraz na kierownicy. Nie wygląda już jak palec, raczej jak kawałek

dobrze przyprawionej suchej kiełbasy. Wygląda okropnie, nie oszuka nikogo. Erhard doskonale o tym wie. Wie, że wszystko na nic. Podobnie jak zawsze rozpoznaje klientów w perukach. Tylko ktoś bardzo naiwny może wierzyć, że tego nie widać. Inni to widzą. Ale przecież człowiek ma prawo mieć nadzieję. Ma prawo wmawiać sobie różne rzeczy. Erhard zastanawia się, czy nie wysłać palca Bernalowi. Anonimowa przesyłka, z pozdrowieniami. Zastanawia się też, czy go gdzieś nie zakopać. Zastanawia się, czy nie wyrzucić go przez okno w czasie jazdy.

A nie robi tego. Znajduje plastikowy pojemnik. Taki, w którym przechowuje się jedzenie. Ze szczelną pokrywką. Wkłada palec do niewielkiej przezroczystej torebki i umieszcza w pojemniku. Przesuwa kilka książek na półce, wkłada między nie pojemnik, zasłania innymi książkami. Zapamiętuje tytuły: *Binario* Almuzy Ameidy i *Victim on Third* Franka Cojote'a. Robi kilka kroków do tyłu, sprawdza, jak wygląda półka, zwarty mur książek, nikt się nie domyśli, co w sobie kryje. Potem sięga po tuńczyka, je go z puszki, siedząc na krawędzi krzesła, nasłuchuje odgłosów kóz.

## 22

W poniedziałek po południu jedzie do nowego klienta nastroić fortepian.

Czasem polecają go stali klienci, ale większość dowiaduje się o nim od innych taksówkarzy. Jeśli rozmawiając z klientami, schodzą na temat rozstrojonego fortepianu, zdarza się, że polecają Eremitę, chociaż wielu dziwi się, że zajmuje się takimi rzeczami. Przed Bożym Narodzeniem Alvaro, hodowca oliwek, który zbankrutował i przerzucił się na taksówkę, powiedział mu, że miał klientkę, która byłaby zainteresowana taką usługą. Mieszka w Parque Holandes i ma steinwaya, którego nikt od wielu lat nie oglądał.

– Dlaczego dzwoni pan dopiero teraz? – spytała, kiedy lekko podпиты zadzwonił w Wigilię. Jego głos rzeczywiście nie brzmiał najlepiej.

Rozmowa była nieprzyjemna. Kobieta trzy razy prosiła, żeby mówił głośniej i żeby się dobrze zastanowił, zanim jej poda cenę usługi. To bardzo drogi fortepian, w zasadzie nic mu nie jest, powiedziała. Targował się bardziej zawzięcie niż z którymkolwiek z wcześniejszych klientów. Skończyło się na czterdziestu sześciu euro. Mniej niż połowa jego zwykłej stawki. I proszę się nie spóźnić, dodała na koniec. Nie zamierzam tracić czasu.

Właśnie przyjechał na miejsce, siedzi w samochodzie przed domem, spogląda na zegarek. Jest już po umówionej godzinie. Nastawił radio na Fuerteventurę, właśnie zaczęły się wiadomości. Na pierwszym miejscu informacja o rozpoczęciu rozmów na temat podwyżki płac pracowników nowego kasyna. Ponad pięćdziesięciu zatrudnionym grozi teraz...

Kiedy Erhard słucha wiadomości, w domu otwierają się drzwi. Jakaś kobieta wygląda na zewnątrz, spostrzega go. Wydaje się miła. Ma na sobie biały kostium safari, ma jasne włosy, może siwe. Macha do niego ręką, jakby go zapraszała. Ignoruje ją. Słucha wiadomości: Unia Europejska postanowiła pomóc hiszpańskiej gospodarce, dając gwarancję hiszpańskim bankom, między innymi Solbankowi, największemu bankowi na Fuerteventurze. Wielu klientów niepokoiło się cały styczeń, że...

Kobieta podchodzi do niego. Wygląda na wdowę. Ubrana jest swobodnie, ale ma buty na wysokich obcasach, a usta pociągnięte czerwoną błyszczącą szminką. Kiedy podchodzi bliżej, Erhard widzi, że skórę na policzkach ma sztucznie naciągniętą. Nie wygląda miło. W żadnym wypadku. Erhard opuszcza szybę.

W tym momencie radio podaje wiadomość, której tak się obawiał.

Dwudziestosiedmioletnia kobieta z Puerto del Rosario przyznała, że to ona w zeszłym tygodniu zostawiła niemowlę na plaży w Cotillo, gdzie...

– Panie Stroicielu.

...samochód. Dziecko nie żyło.

– Señor!

...kobieta współpracuje z policją, która próbuje ustalić okoliczności tego nieszczęśliwego zdarzenia. Policja pozytywnie ocenia fakt, że matka sama...

Głowa kobiety zbliża się do otwartej szyby.

– Czekam na pana cały dzień.

– Cicho – mówi Erhard i nastawia radio głośniej. – Muszę tego wysłuchać.

...nie zastosowano aresztu, wkrótce spodziewany jest wyrok, kara zostanie orzeczona...

Kobieta mówi tak głośno, że Erhard nie słyszy głosu spikera.

– W życiu nie spotkałam nikogo tak niegrzecznego. Umówiliśmy się, prosiłam, żeby pan się nie spóźnił.

Wiadomości się skończyły. Sprawę przedstawiano dokładnie tak, jak mówił zastępca komisarza. I tak, jak Erhard się obawiał.

Patrzy w lewo, kobieta stoi i mu się przygląda. Jego mózg chce być jej posłuszny, pójść za jej słowami, ale coś go powstrzymuje.

– Zapłacę panu dwadzieścia euro i ani centa więcej. Prawdę mówiąc, powinien pan wykonać usługę za darmo, skoro tak pan traktuje klientów.

Erhard włącza silnik.

– Proszę się zatrzymać. Czekam na pana cały dzień. – Jej twarz wygląda tak, jakby zaraz miała pęknąć.

– Są ważniejsze rzeczy niż twój steinway – mówi Erhard i zawraca. Rusza w kierunku Zamku.

Bernal wydaje się zaskoczony jego widokiem.

– Eremita – wita go.

– To miałeś na myśli, mówiąc o miejscowym tropie?

– Spokojnie, o czym ty mówisz?

Bernal popycha Erharda za regał z teczkami z dokumentami i pudełkami z kablami.

– To nie jest policyjna robota, tylko...

– O co ci chodzi?

– Obaj wiemy, że to nie ona.

– Dlaczego nie?

– Trzy, cztery dni temu nie mieliście nic, byłeś cholernie zdołowany, a teraz wszystko się rozwiązało.

– Jeśli się wpadnie na właściwy trop, można sprawę szybko rozwiązać.

– Przestań! Samochód nie miał tablic rejestracyjnych, miał pięćdziesiąt kilometrów przebiegu. Dziewczyna z Puerto, akurat uwierzę! Pocałuj mnie w dupę!

– W pokoju są ludzie wierzący, Eremito.

– Więc co się stało z waszym sumieniem, do cholery?

– Mówiłem ci, że nie możemy sobie pozwolić na to, żeby sprawa pozostała nierozwiązana – szepcze Bernal. – Nierozwiązane sprawy to zła reklama. A takiej nam nie trzeba. Nie ma takiej możliwości. Kasyno i tak dalej.

– Kasyno? A co kasyno ma z tym wspólnego?

– Wychyń z tej swojej nory, człowieku. Przemysł turystyczny kwitnie, nie chcemy, żeby ucierpiał. Jeśli się okaże, że sobie nie radzimy, wybudują kasyno na Lanzarote i całe mnóstwo ludzi straci pracę.

– I co z tego? Aresztujecie przypadkową matkę, żebyśmy mogli zatrzymać kasyno?

– Oczywiście, że nie. Kończymy paskudną sprawę, bez happy endu.

– A co z dziewczyną?

– To nie jest dziewczyna, tylko kobieta, która wie, co robi.

– Więc dlaczego to zrobiła? Co ją do tego skłoniło?

– Czy to nie wszystko jedno, skoro się przyznała?

Może to rzeczywiście wszystko jedno. Może przesadza. Co on do cholery wie o takich sprawach? Pewnie rzadko się zdarza, żeby wszystkie części układanki pasowały.

– A skąd ta gazeta? – pyta nagle.

Bernal jest wyraźnie poirytowany.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. To przykra sprawa, także dla mnie. Ale możemy ją zakończyć. Zapomnij o niej. Zawarliśmy z nią umowę. To było jej dziecko.

– Zawarliście umowę?

– Mów ciszej. Tak, zawarliśmy umowę. Sprawa jest zamknięta.

– Tajniak i Jawniak? Wszystko wyjdzie na jaw. Co ty zrobiłeś, Bernal?

– To moja praca. Nie masz pojęcia, jak to jest – mówi Bernal. Erhard widzi, że zaraz straci cierpliwość. – Nikt nie chce, żeby takie sprawy trwały w nieskończoność. Urzędnicy postanowili, że należy ją zamknąć.

– Dlaczego ona się na to zgodziła? Dlaczego wam na to pozwala?

– To kwestia przedstawienia odpowiednich argumentów – mówi Bernal, a Erhard natychmiast domyśla się, że chodzi o pieniądze. – Jeśli się nie ma nic do stracenia – dodaje Bernal.

– Nie wiem, czy mam jej żałować, czy życzyć, żeby trafiła za kratki, głupia dziewczyna. Pójdzie siedzieć?

– Na pewno stanie przed sędzią. Ale postaramy się, żeby kara nie była zbyt wysoka, od strony prawnej oczywiście. No i dostanie tyle, ile jej się należy. Więcej, niż jest w stanie dzisiaj zarobić.

– Czyli to dziwka? Przekupiliście dziwkę, jakąś naćpaną idiotkę. To tylko kwestia dni, kiedy...

– Czy to nie ty mówiłeś, że jesteś Señor Buntownik?

Erhard zna wiele miejscowych prostytutek. Jest ich na wyspie dwadzieścia, może trzydzieści. Obsługują przede wszystkim turystów i paru miejscowych bogaczy. Bez problemu jest w stanie sobie wyobrazić, że niejedna przyjęłaby taką propozycję z wdzięcznością. Nie musi się z nikim pieprzyć, wystarczy, że powie, że zrobiła to z jakimś facetem, zaszła w ciążę, urodziła dziecko i straciła je. Erhard szuka w kieszeni palca, ale przypomina sobie, że nie ma go przy sobie. Złość wychodzi mu uszami, czuje, że go pieką.

Bernal robi krok do tyłu.

– Nie patrz tak na mnie. Tak naprawdę to tylko mnie zależało na rozwiązaniu tej sprawy. Wierz mi. Byłem przekonany, że możesz mi pomóc. Te kawałki gazety to była moja ostatnia deska ratunku. Nie miałem pojęcia, czy to może być jakiś trop, okazało się, że nie. Skończyliśmy w ślepej uliczce.



– Ale to chyba dziwne, że gazeta była duńska? Dlaczego tego nie pociągnęliście?

– A niby jakie to mogło mieć znaczenie? Ojciec był Duńczykiem? Matka mieszkała w hotelu, gdzie były duńskie gazety? Na wyspie jest dużo duńskich turystów? Te kawałki papieru nic nie znaczą. Za kilka dni wszystko będzie jasne.

Zapada cisza. Bernal gasi światło, zdjęcia znikają.

– Wracam do domu – oświadcza Erhard.

– Dzięki za pomoc.

Może to sarkazm, a może ostatnia próba okazania życzliwości. Idą obok siebie przez komisariat, opuszczają Zamek i wychodzą na parking.

– Myślałem, że policjanci dostają histerii, kiedy sprawa dotyczy małego dziecka. Że siedzą po nocach i takie tam. Przewracają każdy kamień, a jeśli trzeba, to zaczynają od początku.

– Wierz mi, że siedziałem po nocach. Od chwili kiedy go znaleźliśmy. I, do cholery, przewróciliśmy każdy kamień na wyspie. Czasem zdarzają się takie gówniane sprawy, ta jest jedną z nich. A my mamy też własne życie. Myślisz, że ja tego nie przeżywam? Ale, do cholery, nie możemy traktować każdej sprawy osobiście. A teraz zostanie przynajmniej zamknięta.

– Kiedy sprawa trafi do Armanda?

– Mamy wyznaczony termin na koniec tygodnia. W piątek przed południem.

Podają sobie ręce. Erhard lubi Bernala i irytuje go to.

– Do widzenia, panie Tajniak – mówi.

Wyjeżdża z miasta. Kieruje się na północ. Wkłada taśmę do odtwarzacza i po chwili rozbrzmiewa John Coltrane i *Stella by Starlight*. Przez szybę widzi samolot przebijający się przez niskie chmury. Skrzydła skrzą się w promieniach słońca, jakby płonęły.

Krąży po okolicy, ale nie bierze klientów, nie odpowiada na zlecenia centrali. Słucha radia. Za każdym razem, kiedy powtarzają wiadomość – w nieco innej formie, coraz to krótszej – słyszy głos Bernala. Nikt nie chce niezamkniętej sprawy.

Pół godziny spędza przed miejscem, gdzie ma stanąć budynek nowego kasyna. Wyszczono już część skał, wyrównano podłoże, ale nie zbudowano jeszcze niczego, co by wystawało ponad poziom ziemi. To wielkie przedsięwzięcie, całe miasto o nim mówi. Cała wyspa. Początkowo był to po prostu projekt, który miał zapewnić nowe miejsca pracy. Z czasem jednak ambicje rosły i teraz kasyno ma uratować Corralejo, wyspę, całe Wyspy Kanaryjskie, zapewnić im stabilność, powodzenie i szczęście. To wizjonerska budowla, nowe serce Corralejo, tak przynajmniej twierdzi Alphonso Suárez, szef nowego kasyna. Ale on podchodzi do tego w najwyższym stopniu sceptycznie. Od 1999 roku mówi się na wyspie o kasynie. Już pochłonęło trzydzieści milionów euro, tylko nikt nie wie, na co poszły.

W pobliżu nie ma nikogo. Odchyła się w fotelu, chce się zdrzemnąć, ale za każdym razem kiedy gospodarz programu w radiu zaczyna coś mówić, ma galopadę myśli. Kiedy po raz kolejny słyszy wiadomość, dzwoni do centrali i mówi, że bierze wolne do końca dnia.

Nie wraca do domu.

Robi rundkę po przemysłowej dzielnicy Puerto del Rosario, pełnej pawilonów, które wyglądają jak baraki, mija Selos, dzielnicę, w której wszystko niby jest zamknięte, a jednak nie do końca. Przejeżdża obok ekskluzywnych willi w Sport Fuerte, specjalnie zajechał do Guisgüey. Tutejszy klub swingowy zawsze przyciąga interesujących ludzi. Zauważyła dziewczynę, którą zna, zjechała na bok, proponuje, że ją gdzieś podwiezie za darmo. Część dziewczyn się śmieje. Ale trzy z nich, Angelina, Michelle i Bethany, okazują się chętne, jeździły z nim nie raz, teraz proszą, żeby je podrzucił do miasta albo do Corralejo.

Pyta, czy słyszały, że któraś z dziewczyn została ostatnio zatrzymana przez policję. Nie, żadna nic takiego nie słyszała. A może któraś wybrała się na

wakacje? Nie zauważyły. Angelina wymienia imiona dziewcząt, których dawno nie widziała, ale podejrzewa, że wróciły do domów albo pojechały do Barcelony, może są chore. Żadna z nich nie słyszała o dwudziestosiedmiolatce.

Erhard nie podaje żadnych szczegółów, ale Bethany wspomina, że słyszała o chłopcu, który został znaleziony na plaży. Ludzie są porąbani, stwierdza. Erhard nic nie mówi.

To smutny zawód. Choć życie dziewcząt pod wieloma względami przypomina jego własne, i on, i one pracują samotnie, krążą po wyspie w poszukiwaniu klientów. Jak wędrowna trupa dająca przedstawienia opowiadające najstarsze historie świata, które nigdy nie kończą się wielką miłością. Kiedy siedzą w samochodzie, wyglądają jak dzieci w przebraniu. Przypomina sobie Mette i Lene, kiedy się przebierały. Starsza z krzywo uszmiłowanymi ustami i cienkimi nóżkami, wystającymi spod halki mamy. Nie chce teraz o nich myśleć. Nie w tych okolicznościach. Szczególnie w tych okolicznościach.

Kiedy po raz trzeci przejeżdża przez Guisguey, osadę, która składa się z opuszczonego gospodarstwa i jednego dużego budynku, dawnego supermarketu, w którym teraz mieści się klub swingersów, spostrzega nową twarz. Dziewczyna jest narkomanką i dziwką i jest w tak kiepskim stanie, że właściwie nie ma ochoty nigdzie jej wieźć. A jednak zjeżdża na bok i czeka, aż podejdzie. Dziewczyna bierze go za klienta, uśmiecha się, wygląda to strasznie. Wychyla się do niego, Erhard widzi jej piersi w nieświeżym różowym staniku.

– Nic nie chcę, ale mogę cię podrzucić do Puerto. Tam jest większy ruch.

Spodziewa się, że zacznie protestować. Dziewczyny zwykle podchodzą do takich propozycji sceptycznie, ale ta siada grzecznie na miejscu obok niego, zachowuje się jak robot.

Nie ma sensu pytać jej o cokolwiek, zresztą głównie śpi. Erhard postanawia zawieźć ją do Selos i wysadzić na rogu obok restauracji. Tam spotykają się prostytutki, dzielą się papierosami, plotkują o klientach. Włącza wiadomości.

Tym razem trafia na skróconą wersję, domyśla się, że następnym razem, w wiadomościach o pełnej godzinie, będzie wersja pełniejsza.

Skreca w Via Juan Carlos, największą ulicę dzielnicy. Tam ruch jest największy. Podjeżdża pod La Costa. Wygląda jak zwykła restauracja lunchowa ze stolikami na chodniku. Zatrzymuje się i delikatnie szturcha dziewczynę.

– Señorita, proszę wysiąść.

Dziewczyna się rozgląda.

– Nie wysiadam, chcę do Guisguey.

– Stamtąd jedziemy. Chciałaś jechać do miasta, nie pamiętasz?

Dziewczyna patrzy na niego poirytowana.

– Nie daję już, kurwa, rady.

– Masz dokąd pójść?

– Gisgy. Tam mam, kurwa, łóżko.

Dziewczyna nie ma więcej niż dwadzieścia parę lat. Nos ma cały w rankach, od wciągania. Nagie ręce w czerwone plamy, jak odnogi kałamarnicy. Zniszczone ciało. Biedaczka.

– Zawiozę cię z powrotem.

– Hej! – woła dziewczyna, najwyraźniej chce powiedzieć coś jeszcze, ale opada na fotel, szuka torebki, otwiera ją i wyjmuje papierosa. W taksówce nie wolno palić, ale Erhard opuszcza wszystkie cztery szyby i nic nie mówi. Dziewczyna zapala papierosa, zaciąga się chciwie.

– Czego chcesz? Zrobić ci loda?

– Nie.

Pali bez przyjemności, strzepuje popiół. Wiruje w powietrzu.

– Gdzie, kurwa, jesteśmy?

– W drodze do Guisguey. Zawiozę cię do domu, pomogę ci.

Dziewczyna zasypia z papierosem w ręce. Erhard zabiera jej go i wyrzuca przez okno. Dziewczyna śpi niespokojnie, od czasu do czasu wzdryga się, ale jej oddech się uspokaja. Kiedy docierają do Guisguey, Erhard pozwala jej zostać w samochodzie. Sam wysiada, prostuje nogi, przechodzi na drugą stronę ulicy.

Klub nadal przypomina supermarket, duże szyby i długi neon w krzyjących kolorach. Ale okna zostały zamalowane na czerwono, a napis na szyldzie zmieniono na *Pleasure World*. Trudno powiedzieć, gdzie są drzwi. Erhard często woził tu klientów, ale nigdy nie czekał, aż wejdą do środka. Takie miejsca nie są w jego stylu. Miałyby się przechadzać ze sztywnym członkiem między innymi facetami, którzy są od niego młodszy i w lepszej kondycji, bardziej namiętni. Seks nie musi koniecznie być miłością, ale, do diabła, nie musi też przypominać aukcji na targu rybnym.

Wraca do taksówki.

– Guisguy – mówi do dziewczyny. – Ostatnia stacja. – Uśmiecha się pod nosem.

Dziewczyna wysiada, ma zamknięte oczy, szuka torebki i papierosów.

– Dzięki – mówi. – Jesteś aniołem, prawdziwym aniołem.

Wygląda na całkowicie znieczuloną, nieobecną, jej słowa brzmią obojętnie. A jednak jest w nich jakaś słodycz, która dociera do Erharda z całą mocą. Dziewczyna przechodzi przez jezdnię, zataczając się na boki, Erhard idzie za nią.

– Wrzuć na luz, facet. Poradzę sobie.

Erhard patrzy za nią.

– Słyszałaś o dziewczynie, którą zatrzymała policja? Chodziło o dziecko.

– Nam nie wolno mieć dzieci. – Grymas na jej twarzy ma chyba być uśmiechem.

– Wiesz, o kogo może chodzić?

– Nie zatrzymali jej, kurwa. Dali jej tysiąc euro.

Dziewczyna skręca za rogiem. Erhard idzie za nią.

– Kto to jest?

– Tylko dlatego, że byłeś taki miłutki.

Erhard zastanawia się, czy nie poszukać w portfelu stu euro i jej nie dać. Nie tylko żeby wyciągnąć z niej coś więcej, ale też żeby jej pomóc. I może trochę zaimponować.

– To Alina, Alinicity, ta kurwa.

Dziewczyna macha dwoma palcami i pociąga za klamkę, po chwili znika w środku.

## 24

Kiedy Erhard wraca do domu, jest już ciemno.

Zerka na telefon w rogu pokoju, nie widzi, żeby ktoś dzwonił. Odkłada ubrania do prania. Zwykle pierze w poniedziałki. W samych bokserkach zabiera się za robienie jedzenia, potem, stojąc w drzwiach, je gulasz jagnięcy. Zastanawia się, czy nie pójść po piwo do Guzmana, właściciela niewielkiego sklepiku, który wygląda, jakby zaraz miał zejść z tego świata, wygląda tak już od wielu lat i nadal nic się nie dzieje. W końcu jednak znajduje butelkę czerwonego wina, nalewa sobie do kufla po piwie i wypija, jakby wino mogło ugasić jego pragnienie.

Na dworze jest już ciemno.

Gotuje wodę, pierze, wiesza ubrania na sznurze między domem a wysokim masztem z flagą na szczycie. Ciemność wokół niego jest jak wosk, wciska się między ręce, między nogi. Goli się, wygląda teraz okropnie porządnie, jak dziadek, ale i tak robi to kilka razy w miesiącu. Prasuje koszulę. Gorzej wygląda sytuacja ze spodniami. Dwie pary, które zwykle nosi, wyprał i teraz się suszą. Ogląda cztery inne, ale wszystkie są stare, poplamione olejem i zdecydowanie za krótkie. W końcu decyduje się na szorty. Inni taksówkarze nie lubią, kiedy chodzi w szortach. Szorty są dla turystów. Ale on się tym nie przejmuje. Robi, co mu się podoba, do licha. Ma nawet różową koszulę, którą też czasem wkłada. Popija czerwone wino i słucha Monka, wyjmuje palec z plastikowego pojemnika na półce i przykłada do pustego miejsca na dłoni. Wygląda jak prawdziwy, ale tylko kiedy mruży oczy. Odkłada go ostrożnie do pojemnika, odstawia na półkę, zasłania książkami.

Czerwone wino się skończyło, wraca do samochodu, jedzie do miasta, zanim alkohol wejdzie mu w krew. Butelka wina wystarcza, żeby się upić, ale w tym momencie jeszcze nic nie czuje.

Parkuje w podwórzu za pralnią Oly'ego, gdzie wieczorem zawsze jest pusto. Miasto ma swój własny niepokój, który Erhard uwielbia. Chaotyczne dźwięki muzyki, raz podniecające, raz wręcz przeciwnie, ludzie, którzy nagle wybuchają, hałasujące maszyny, które włączają się w środku nocy, po czym zamierają, jakby się zakrzusiły olejem. Idzie ulicą do Greenbay Jazzbar, wchodzi do niewielkiego ogródka. Orkiestra jest już na miejscu, wypróbowuje sprzęt. To najlepszy moment. Asynchroniczne pojękiwania i dźwięki perkusji przyprawiają go o gęsią skórę, muzycy eksperymentują, a on słucha ich, jak się słucha pierwszych słów dziecka. Zamawia piwo, bierze szklanekę i siada z nią w najbardziej oddalonym kącie.

Piętnaście lat temu był tu ekskluzywny klub jazzowy, w którym kelnerzy podawali drogie drinki. Przyciągał turystów, ale miejscowi trzymali się z daleka. Potem miejsce zmieniło właściciela. Nowy zatrzymał muzyków, obniżył ceny i wpuścił miejscowych. Lokal w dalszym ciągu sprawia wrażenie wyrafinowanego i egzotycznego, chociaż jego klientami są przede wszystkim dyrektorzy upadłych przedsiębiorstw, turyści korzystający ze starych przewodników turystycznych i prostytutki, które starają się wyglądać jak narzeczone.

Na białej kanapie na tarasie siedzą dwie kobiety, w barze jest trzech mężczyzn. Jest jeszcze wcześnie. Dochodzi dwudziesta druga.

Erhard zawsze rozpoznaje twarze swoich pasażerów. Coś jest z nim nie w porządku. Nie powinien ich pamiętać, powinno ich być tak dużo, żeby nie był w stanie ich rozpoznać, powinny mu się zlewać, ale nie, pamięta je wszystkie. Jedną z kobiet siedzących na tarasie wiozł pół roku temu, złapała gumę, a spieszyła się na ślub siostry. Drugą dawno temu ktoś zostawił w jakimś odludnym miejscu niedaleko Corralejo, twierdziła, że przyjaciel, ale on miał

wątpliwości. Stała przy drodze i machała bukietem kwiatów, kiedy przejeżdżał tamtędy w drodze do miasta. Jakies cztery lata temu.

Mężczyźni to miejscowi, poznaje ich, chociaż nie pamięta, czym się zajmują ani kim są. Woził ich niezliczoną ilość razy, pijaczkowie, którzy zaczynają najwcześniej, jak się da, piją czerwone wino, udając, że na kogoś czekają. Nie chcą siedzieć w domu, a nie pasują do Luz, knajpy będącej najgorszą speluną w mieście, nie pasują też do Żółtego Koguta, gdzie robotnicy budowlani wszelkiej maści, kierowcy tirów i taksówkarze wlewają w siebie tani alkohol i opowiadają historie ze stałego lądu. Mężczyźni siedzą na wysokich białych stołkach i próbują utrzymać równowagę. Za każdym razem, kiedy rozlega się jakiś głos, zerkają na drzwi.

Muzycy odkładają instrumenty, idą do baru. Orkiestra to za dużo powiedziane. Czterech drobnych chłopaczków w obcisłych czarnych jeansach, kapeluszach i rękawiczkach bez palców. Jeden zamawia dla nich wszystkich, piją piwo z pękatych butelek. Erhard nigdy nie grał w żadnym zespole, ale zawsze tego pragnął. Pragnął siedzieć z kilkoma osobami w starym samochodzie i dyskutować o ustawianiu sprzętu, a potem czekać na występ i palić nerwowo papierosy. W końcu rozgrzewka i występ. A potem piwo, spokojne uśmiechy, wzajemne pochwały za drobiazgi, których nikt inny nie zauważył.

Ojciec posyłał go na lekcje gry na fortepianie. Nauczyciel mieszkał w Taastrup, nazywał się Marius Tønnesen i chodził w koszuli z podwiniętymi rękawami. Jego metoda polegała na tym, że siedział w głębokim fotelu i nucił, słuchając, jak uczniowie mozolą się, żeby trafić we właściwy klawisz, nie komentował, nie instruował, palił skręty, zadowolony, niemal radosny. Kiedy ojciec po dziewiętnastu lekcjach postanowił osobiście sprawdzić, jak przebiega nauka, dotarło do niego, że syn nie robi takich postępów, jakich się spodziewał. Uznał, że nauczyciel za łagodnie karze go za złą grę. Zaczął na niego krzyczeć, żeby, do diabła, wziął się w garść i przynajmniej trafiał we właściwe klawisze, a do Tønnesena, żeby wziął trzcinkę i pokazał chłopakowi, że żeby grać, trzeba ćwiczyć, a nie tylko bawić się w kowbojów i Indian. Następnie przestał płacić za



lekcje. Kiedy Erhard tydzień później pojawił się u Tønnesena, ten stwierdził, że udzieli mu jeszcze jednej, ostatniej lekcji, ale na tym koniec.

W pewnym sensie ta ostatnia lekcja stała się jego pierwszą. Sam zauważył, że kiedy jest zły, gra lepiej. Aż Tønnesen wstał z fotela, podszedł do niego i zaczął się przyglądać jego palcom. Wtedy miał ich jeszcze dziesięć. Ale jesteś wściekły na te klawisze, chłopcze, powiedział z zachwytem. Kiedy lekcja się skończyła, Erhard był zmęczony. Stał w przedpokoju załamany, spocony. Już miał wychodzić, kiedy Tønnesen wybiegł do niego. Masz, powiedział, i dał mu egzemplarz *Saxophone Colossus* z 1956 roku, z Rollinsem na okładce. Siedział na tle ostro świecącej lampy ze swoim saksofonem.

– Potraficie zagrać *You Don't Know What Love Is?* – pyta Erhard jednego z chudych chłopaków w barze. Chłopak się odwraca. Erhard nie spodziewa się potwierdzenia.

– Nie gramy jazzu – mówi chłopak.

– A to nie jest klub jazzowy? Od kiedy w klubie jazzowym nie gra się jazzu?

Chłopak odpowiada, że grają new funk.

– Niech zgadnę, takt trzy czwarte i dwie gitary basowe.

– Młodzi to lubią.

– Na to wygląda – mówi Erhard i się rozgląda.

– Tu tylko się wprawiamy. Nasz ostatni klip ma ponad milion trzysta tysięcy wyświetleń na YouTube. W przyszłym miesiącu gramy w Madrycie.

– Jeszcze kawał drogi przed tobą, przyjacielu. Muzyki nie da się oszukać.

– *Whatever, Yoda* – śmieje się chłopak, ale serdecznie. – Niech zgadnę, kolejny niedoceniony geniusz?

– To aż tak widać?

– Nie jesteś typem biznesmena.

– Ty też nie – odpowiada Erhard i się śmieje.

– Jestem młody i nieodpowiedzialny, wiesz, jak to jest.

– Tak, to były wspaniałe czasy.

– Co się stało z twoim palcem?

Erhard spogląda na swoją lewą dłoń.

– To stara sprawa.

– Nie masz jakichś dzieci czy wnuków, które na ciebie czekają?

– Do tego etapu jeszcze nie dotarłem.

– Więc siedzisz i roztkliwiasz się nad swoim losem?

– Przyszedłem posłuchać muzyki, chyba że zamierzacie cały wieczór pić.

Ćwiczycie, tak?

– *Yeah, right.*

Erhard się odwraca, pije piwo. Rozmowy z młodymi nie zawsze są przyjemne. Zwykle gdzieś w połowie czuje, że most między pokoleniami jednak jest za długi, wije się albo został uszkodzony. Nikt więcej się nie zjawia, może powodem jest mecz piłki nożnej w telewizji. Zwykle około wpół do dwunastej jest już prawie pełno. Erhard zastanawia się, czy nie powinien po prostu wrócić do domu, póki jeszcze może. Traci czas. Czy ona w ogóle jeszcze tu przychodzi? Czy przyjdzie tu w taki wieczór jak ten?

Czerwone wino daje o sobie znać, ale w sposób, którego się nie spodziewał. Nie czuje się odrętwiały, tylko zmęczony. Dzień był zdecydowanie za długi.

Siedzi i przygląda się chudym nogom jednego z muzyków, przypominają przyobleczony w czarny denim karnisz. Pewnie mieszkają w jakimś małym mieszkanku w Puerto, a może tu, w Corralejo. Ćpają hasz, speed i co tam jeszcze. Kochają się ze sobą, wymieniają narzeczonymi i dwa razy w miesiącu kłócą o czynsz. Może jednak ten jest inny. Może pochodzi z lądu. Z Madrytu, z Walencji. Ma w sobie coś ze studenta, coś, czego pozostali nie mają. To rzadki widok. Wyspa jest nazywana Isla Ingenua. Wyspa Głupich. Najbliższy przyzwoity uniwersytet znajduje się trzy dni żeglugi stąd albo pięć godzin lotu samolotem. Więc jeśli spotyka się tu młodego mężczyznę, który najwyraźniej potrafi myśleć, to zwraca się na niego uwagę. W każdym razie Erhard to robi. Sam ma w dorobku kilka niedokończonych kierunków studiów. Z czasem jego studiami stało się życie, ale kiedy spotyka intelektualistę, rozpoznaje go. Nos chłopaka widziany z profilu jest ogromny. Zwisa nad ustami, unosi się leniwym

łukiem w stronę oczu i dociera do środka czoła. Przypomina kurosa, grecki posąg wyrzeźbiony w kamieniu.

Zespół wstał, muzycy wracają do instrumentów. Kiedy go mijają, jeden z nich rzuca coś szeptem. Tak szybko i tak cicho, że w pierwszej chwili nie rozumie, że chłopak pyta go, czy lubi młodych chłopców.

Ma ochotę się odwrócić i sprawdzić, który z nich to powiedział. Ale się powstrzymuje. Wie, że nie wszystkie głosy pochodzą z zewnątrz. Na wyspie często dochodzi do aktów nienawiści. Miejscowi spuszczają łomot homoseksualnym turystom. Na wydmach kopulujący faceci z Niemiec czy Anglii często łatwo padają ofiarą złodziei albo młodych ludzi, którzy napadają na nich z nożami.

Ludzie zaczynają się schodzić. Młode pary trzymające się za ręce. Całe grupy mężczyzn i kobiet, atmosfera się rozluźnia. Zespół gra lepiej i coraz głośniej, ale Erhard nie patrzy na nich.

Wypija piwo i wychodzi. Goście siedzą też pod palmami w ogródku od podwórza. Erhard okrąża budynek i na murku otaczającym taras od razu dostrzega Alinę. Jest zajęta przeglądaniem pisma ze zdjęciami znanych aktorów. Jest wyjątkowo skupiona. Jakby czytała poważny artykuł. Ma różową twarz i szczupłe ciało, i zabawne piersi młodej dziewczyny. Sterczą jak dwa ciasteczka z cukierni, chociaż składają się głównie z waty i metalowych drucików.

Woził ją kilka razy, także pod dobre adresy. Odbierał wcześniej rano, kiedy wychodziła po cichu z willi ze szpilkami w ręku. Ostatnio widział ją, jak klęczała z członkiem kanaryjskiego prezydenta w ustach. Jakiś rok temu. Raúl zabrał go na przyjęcie na łodzi zakotwiczonej za Isla de Lobos. Raúl zna wszystkich bogatych i ważnych, Erhard natomiast woził wszystkie tutejsze prostytutki. Kiedy w środku nocy ruszył na poszukiwanie kuchni, znalazł Alinę i prezydenta w niewielkim magazynku. Ochroniarz prezydenta przegrywał w tym czasie na pokładzie w pokera z Raúl'em.

Nie jest ładna. Jest bezczelna, w sposób typowy dla dziewcząt z prowincji. Ma dziwne usta, nieco obwisłe, jakby kiedyś miała zły zgryz i przeszła jakiś zabieg. Jest inna niż pozostałe dziwki na wyspie. Bardziej dojrzała. Erhard zauważa, że jest ubrana lepiej, niż kiedy widział ją ostatnio. Przypomina mu kogoś znanego z lat osiemdziesiątych, ale nie pamięta kogo. Czarna spódnica z wysokim stanem, luźna bluzka w kolorze złota, z rozcięciami po bokach, i cieliste sandały. Erhard nie zna się na modzie, ale widzi, że Alina to inna półka cenowa. Kiedy siada naprzeciwko niej, podnosi głowę i mierzy go wzrokiem, jakby próbowała zgadnąć, jakie są jego seksualne skłonności i możliwości finansowe.

– Nie, dziękuję – mówi.

– Nie chodzi mi o te rzeczy. – Erhard z trudem hamuje śmiech.

– Jeśli masz do mnie interes, zapisz się na mojej stronie. Dzisiaj jestem zajęta.

– Przyszedłem porozmawiać o chłopcu – mówi Erhard ciszej.

– O chłopcu – powtarza Alina. Sprawia wrażenie, jakby brała środki uspokajające.

– Tak, o chłopcu, którego zagłodziłaś w kartonie.

Pochyliła się w jej stronę, patrzy na nią wzrokiem twardym jak kamień.

– Nie wolno mi rozmawiać o moim synku, tak mówi mój adwokat.

Pojętna dziewczyna. Nauczyła się lekcji. Mój synek. Złość. Może nie jest aż tak otumaniona, jak wygląda?

– Ile ci płacą? Słyszałem, że policja dała ci tysiąc euro.

– Żartujesz. Tyle zarabiam w jeden dobry grudniowy wieczór. Nie muszę brać pieniędzy od policji.

– Więc dlaczego to robisz?

– To jest mój syn – powtarza i patrzy na niego.

– Daj spokój. Nie jestem dziennikarzem.

– Jesteś taksówkarzem. Pamiętam cię.

– Za tysiąc euro też mógłbym być matką chłopca.

– Nie, bo to ja nią jestem.

Mówi to z takim przekonaniem, że Erhard na chwilę zaczyna wątpić. Ale nie przypomina matki pogrążonej w żałobie. Raczej wesołą wdówkę spędzającą miło wieczór. Miejscowy trop, tak powiedział Bernal.

– Jeśli ja cię znalazłem, to prasa też cię znajdzie. Kiedy odkryją, że skłamałaś i że policja płaci ci za odgrywanie matki, to nie chciałbym być na twoim miejscu – dodaje cicho.

– To promocja – odpowiada dziewczyna. Ssie słomkę włożoną w jakąś zieloną ciecz przypominającą mojito, z kawałkami ogórka na brzegu.

Erhard nie wie, co odpowiedzieć. Spodziewał się, że będzie żałować, może się załamać. Ale jej najwyraźniej ani to w głowie.

– Dali ci więcej niż tysiąc euro. Dużo więcej.

Alina puszcza słomkę.

– *Whatever the money man says* – śmieje się. – Czasem ma się dosyć pieprzenia się z takimi staruchami jak ty.

Erhard puszcza uwagę mimo uszu.

– Pomagasz policji zamieść sprawę pod dywan. Źle robisz.

– Chłopiec nie żyje. Rodzice mają to gdzieś. A może też nie żyją. Tak mówi policja.

– Policja chce mieć sprawę z głowy i tyle.

– Sprawa jest zamknięta. Posłuchaj, Señor taksówkarz, nie wolno mi o tym mówić, a zresztą nie ma o czym. Psujesz mi wieczór – mówi i wraca do przeglądania pisma.

– Psuję ci wieczór? Jeśli chcesz udawać mamusię, to włóż w to więcej serca. – Erhard ma ochotę ją uderzyć.

Wraca do baru, zamawia piwo, trzyma je w ręku, wypija haust, piana spływa mu po szyi, moczy koszulę. Muzyka się ożywiła, część młodych tańczy. Zespół najwyraźniej jest w swoim żywiole, chociaż nie jest to odpowiednie miejsce na takie imprezy. Jest ciasno, tylko młodzież może tu wytrzymać. Ocierają się o siebie, dziewczyna w mini dotyka łonem wypukłości w kolorowych

surferskich szortach chłopaka. Żadnych dwuznaczności. Nie jest to ani piękne, ani seksowne, jedynie fałszywe i niesmaczne.

Co za durna dziewczucha, nastawiona na karierę. Wynik chowu wsobnego i korupcji. Erhard nie raz takie widywał. Widywał też urzędników pozbawionych wszelkiej moralności i obywateli pozbawionych wszelkich skrupułów.

Ale jeszcze nie jest za późno.

Może jeszcze obalić policyjną wersję. Może obnażyć działania Aliny i policji. Ma gdzieś Bernala i ich prawie przyjaźń. Jeśli zastępcy komisarza nie chce się szukać rodziców chłopca ani nawet spróbować dojść do tego, kto stoi za jego śmiercią, będzie musiał zapłacić za swoje lenistwo.

Nie spuszcza z niej wzroku. Widzi przez okno, jak zamawia szampana, przegląda pismo i zachowuje się jak Señora. Cały czas ma przyklejony do pucołowatej twarzy uśmiech, promieniuje samozadowoleniem. Kilku mężczyzn podchodzi bliżej, ale ona macha ręką, żeby odeszli. Erhard jest zdziwiony. Sądził, że przyszła, bo szuka pracy, ale może rzeczywiście chce tylko spędzić miło wieczór i nie skończyć go z jakimś tłustym wieprzem napierającym na jej dziewczęce piersi. Teraz, kiedy niespodziewanie ma pieniądze, może sobie na to pozwolić. Erhard niemal ma jej to złe.

Kiedy koncert się kończy, dzieje się coś nieoczekiwanego.

Dwóch młodych chłopaków z włosami ściągniętymi w dziwne kucyki pakuje sprzęt. Muzycy rzucają się na kanapy, zapalają skręty, pewnie z marihuaną. Pojawiają się młode dziewczyny i siadają im na kolanach. Erhard ich nie rozpoznaje, ale nagle dostrzega Alinę. Stoi pochylona nad muzykiem, który unosi jej spódnice i zaczyna ściągać majtki. Erharda razi nie tyle sam czyn, ile tempo, w jakim to wszystko się dzieje. Wszystko odbywa się bez finezji, bez żadnej gry wstępnej. Ot tak, po prostu. I chociaż z głośników leci muzyka, sala jest tak akustyczna, że Erhard i tak wszystko słyszy, łącznie z perwersyjnym szepcem Aliny: Chcę cię poczuć w ustach, *muchacho*. Erhard niemal spada z krzesła, odwraca się i dopija piwo. Nie teraz, nie tutaj, szepcze chłopak. Gówniarz. Alina nie zauważyła Erharda, chociaż siedzi niecałe cztery metry od

nich, a może już o nim zapomniała. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, Erhard opuszcza powoli lokal i wychodzi na ulicę. Jest zwykły powszedni dzień, ale na ulicach jest ruch, mija go motorower z trzema młodymi chłopakami, dwie dziewczyny w kolorowych spódnicach idą w kierunku plaży, rozmawiając przez komórki.

Najwyraźniej niespodziewany zastrzyk gotówki nie sprawił, że Alina postanowiła zmienić ścieżkę kariery. Chciwa dziewczucha. Nie jest godna być matką chłopca, nawet na niby. Jest dziwką, najgorszą z możliwych. Mogłaby wybrać inne życie, ale chce używać ciała jako narzędzia zemsty nad mężczyznami, mści się za ich głupotę i zaślepienie. Patrzcie, co mi robicie, co muszę znosić.

Pod latarnią jeden z chłopaków z końskim ogonem wkłada instrumenty do niewielkiego vana, umawia się z jednym z członków zespołu, z basistą, na powrót do domu. Erhard ukrywa się pod liściem palmy i czeka kilka minut. W końcu zespół wychodzi. Są odmienieni. Jakby koncert wyczerpał cały ich zapas energii. Grupka chichoczących nastolatków. Przechodzą przez jezdnię, nie zwracając uwagi na samochody, które hamują gwałtownie, żeby ich nie przejechać, nie patrzą też na stojącego pod latarnią vana ze sprzętem ani na chowającego się za palmą Erharda. Stoi nieruchomo i wpatruje się w Alinę, która klei się do chudej klatki piersiowej jednego z muzyków. Inny wychodzi, trzymając pod rękę młodą dziewczynę. Erhardowi przypomina młode, zbyt młode wydanie aktorki Birte Tove. Przechodzą krótkim podjazdem do hotelu Phenix.

Po kilku minutach Erhard rusza za nimi.

W hotelowym barze nie ma tłoku. Jest jakieś małżeństwo, oboje piją białe wino, i wyglądający na komiwojżera mężczyzna, który siedzi przy komputerze. Barman macha ręką do Erharda, ale Erhard się odwraca i idzie do recepcji.

Zna recepcjonistę. To starszy mężczyzna, nazywa się Miguel, pracuje tu, odkąd Erhard sięga pamięcią. Taksówkarze szybko poznają personel hotelu.

Dobre relacje z recepcją oznaczają więcej pracy, więcej klientów, ale też większe napiwki. Miguel należy do tych, których się zapamiętuje. Uprzejmy, zawsze dobrze ostrzyżony, ma miękkie dłonie i podaje rękę każdemu mężczyźnie, który wchodzi do recepcji. Plotka głosi, że mieszka z osiemdziesięcioletnią matką.

Erhard początkowo udaje, że był w pobliżu, więc zajrzał.

– Pracowity wieczór, Miguel?

– U nas pracy nie brakuje, Señor Jorgenson. Zawsze mamy czas dla naszych gości.

– Widziałeś może ostatnio Jeana Boularda?

To taki miejscowy żart dotyczący jednego w lokalnych celebrytów, który trafił na łamy bulwarówek, bo tańczył z Penelope Cruz na tarasie na dachu hotelu.

– Nigdy nie wypowiadam się na temat naszych gości – mówi Miguel i się uśmiecha.

– Nawet jeśli łamią prawo?

– Takich gości nie miewamy.

– A ci, którzy przed chwilą weszli?

– Czy jest jakiś problem, Señor Jorgenson? Nie zapłacili za kurs?

– Można tak powiedzieć.

– O jaką sumę chodzi? Dopiszę do rachunku.

– Wolałbym sam to załatwić. Jestem pewien, że to było nieporozumienie. Jaki mają numer pokoju?

– Robię to tylko dla ciebie – mówi Miguel i patrzy na Erharda surowo.

– Wiesz, o kogo chodzi, prawda? Trzech młodych mężczyzn i dwie, powiedzmy, damy.

– Widziałem tylko dwóch młodych mężczyzn. Już wcześniej zarezerwowali pokoje. Były z nimi kobiety?

Miguel nie daje mu żadnych znaków, nie puszcza do niego oka, nie robi nic, co by sugerowało, że wie, że to prostytutki.

– To mi zajmie tylko chwilę – mówi Erhard.



– Pokoje dwieście dwadzieścia jeden i dwieście dwadzieścia trzy. Dokładnie pod pokojem, który ty kiedyś zajmowałeś.

– Dziękuję, zaraz wracam.

Erhard skręca za róg i wjeżdża windą na górę. Jest zbyt zmęczony, żeby iść po schodach.

Słyszy ich już na korytarzu. Głos chłopaka brzmi jak odkurzacz, Aliny jak piszczałka kobzy, na którą ktoś przypadkiem nadepnął, ale Erhard nie ma wątpliwości, że to ona. Kiedy staje przed pokojem dwieście dwadzieścia jeden, dźwięki przybierają na sile. Obawia się spotkania z pozostałymi członkami zespołu, ale wie, że przynajmniej jeden z nich jest zajęty dziewczyną podobną do Birte Tove. Może nawet dwóch. Z drugiego pokoju nie dochodzą żadne dźwięki, może wszyscy troje śpią naćpani.

Puka do drzwi trzy razy. Niezbyt nachalnie.

– Odejdź – słyszy.

– Szampan. Szampan, Señor.

– Odejdź.

– Szampan od producenta płyt, który siedział w barze, Señor – mówi Erhard, mając nadzieję, że w ten sposób zainteresuje chłopaka.

Słyszy, że Alina coś mówi, i zaraz potem kroki.

W momencie kiedy muzyk otwiera drzwi, Erhard napiera na nie z całej siły, trafia chłopaka w twarz, chłopak leci do tyłu, próbuje się czegoś chwycić, broniąc się przed upadkiem. Niczego jednak nie znajduje, wpada na krzesło i niewielki stolik, przewraca obrazek w ramce, szkło się rozbija. Erhard wbiega za nim do pokoju.

Alina na wpół leży na łóżku, nogi ma rozkraczone, ręce wyciągnięte w stronę wezgłowia, Erhard widzi jej ogolone łono i jasnobrązowe organy płciowe. Kiedy Alina go rozpoznaje, nie kuli się, jak oczekiwał, tylko spokojnie podkłada ręce pod głowę i krzyżuje nogi.

Muzyk próbuje wstać, ale Erhard popycha go w stronę łóżka. Nos, krzywy arabski nos, otworzył się. Leci z niego krew, spływa prosto do gardła, tak że chłopak nie jest w stanie nic powiedzieć. Na nocnym stoliku stoi otwarta butelka whisky. Erhard zerka na naklejkę, Jack Daniels, ale nie w czworokątnej butelce, może to podróbka, wypija łyk, resztę wylewa chłopakowi na twarz. Chłopak się odwraca, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Erhard nie potrafi powiedzieć, czy świadczy to o tym, że jest prawdziwym mężczyzną, czy idiotą.

– Co ty tu robisz, do cholery, czteropalczasty?! – krzyczy Alina.

Erhard stoi spokojnie i czeka, aż chłopak spojrzy na niego zalanymi krwią oczami.

– Bierz swoje rzeczy i wynoś się stąd. I trzymaj się od niej z daleka. Ty i twoi kumple.

– A co ja takiego zrobiłem, myślałem, że... przecież rozmawialiśmy...

– To największa oszustka na wyspie.

Alina nie reaguje. Erhard spodziewał się, że będzie chciała coś powiedzieć, ale ona milczy, czeka. Denerwuje go to.

– O czym ty mówisz? – pyta chłopak.

– Idź już stąd. – Erhard zastanawia się, czy nie zagrozić mu butelką, ale chłopak zbiera szybko rzeczy i wychodzi z pokoju. Nagie, chude, owłosione pośladki wyglądają żałośnie. Na plecach ma trądzik.

– Co ty wyprawiasz? – Alina uśmiecha się pobłaźliwie, jakby to wszystko sprawiało jej przyjemność, jakby była dziwką z jakiegoś filmu z Johnem Wayne. – Chcesz mnie mieć dla siebie, stary wieprzu?

– Nie poszedłbym z tobą do łóżka, nawet gdybyś była ostatnią kobietą na wyspie, oszustko.

Prawdę mówiąc, chciał użyć mocniejszych słów, bardziej dosadnych, takich, które by sprawiły, że uśmiech zniknąłby z jej twarzy.

– Jasne, bo jeszcze ci uwierzę – śmieje się.

Ma ochotę rozbić butelkę o jej skroń albo wbić jej w brzuch. Chce ją zniszczyć. Nie może patrzeć na jej twarz, na jej drobne loczki, na jej sterczące

sutki i zadowolony z siebie uśmiech. I wtedy nagle dociera do niego, że tego uśmiechu nie wypłeni przemocą, upokorzeniem ani nienawiścią, bo ten uśmiech powstał właśnie w wyniku przemocy, upokorzenia i nienawiści. Długo przygląda jej się bezradnie. Pamięta ją, kiedy jeszcze była nastolatką, wyobraża ją sobie na wysokim siedzeniu autobusu albo w ostatniej ławce w szkole. Zezowata dziewczynka w sukience w kwiatki. Mała dziewczynka, która idąc drogą, kopie kamienie, a potem zaczyna gonić psa.

– Jak to się stało, że taka jesteś?

Pytanie wyraźnie ją zaskakuje. Uśmiech co prawda nie znika z jej twarzy, ale oczy zaczynają się niespokojnie poruszać. Erhard ciągnie:

– Dlaczego nic cię nie obchodzi? Nawet ludzie.

– Nie wolno ci przeszkadzać mi w pracy – mówi Alina i zaczyna schodzić z łóżka.

– Nie ruszaj się – rzuca Erhard ostro.

Alina nieruchomieje, próbuje się okryć prześcieradłem.

– Czego ode mnie chcesz?

– A leż tu sobie, kretynko. Głupia dziewczyna, która chce się dorobić na śmierci dziecka.

– A tobie co do tego? Nie masz z tym nic wspólnego.

– Nie porzuca się bezkarnie dziecka.

– Posłuchaj mnie, nie porzuciłam...

– Wiem, co zrobiłaś.

– I co zrobisz? Zgłosisz to na policję? – pyta Alina. W jej głosie znów słychać tę irytującą wyższość. Jakby bawiło ją udawanie dzieciobójczyni.

Ale ma rację. Erhard nie ma pojęcia, co mógłby zrobić. Miał nadzieję, że w jakiś sposób uda mu się poruszyć jej sumienie, ale mu się nie udało, i teraz nie wie, co dalej.

– Nieważne, ile ci płaci policja. Dam ci dwa razy tyle.

Strzela na oślep. Ma nadzieję, że prostytutki z Guisguey się przesłyszały, że suma jest znacznie mniejsza niż tysiąc euro. Nie stać go na takie pieniądze.

– Policja nic mi nie zapłaciła – mówi Alina, jest zmęczona.

– Nadal kłamiesz.

Dlaczego niektórym ludziom kłamstwo przychodzi z taką łatwością, zastanawia się Erhard, jest zdziwiony, niemal równie łatwo jak oddychanie. Inni mają z tym problem, gotowi są poświęcić wiele, byle nie musieć kłamać.

– Nie kłamię. Nie dostałam ani centa od policji.

– Ale...

– Nie od policji.

– Jak to? – Erhard przypomina sobie, że Bernal powiedział w pewnym momencie, że trzeba użyć właściwych argumentów. Na pewno miał na myśli pieniądze, co do tego nie ma wątpliwości.

– Jest ktoś. Nie wiem kto. Policja powtarzała mi milion razy, że to nie oni, tylko ten *majorero*. Ktoś, ktoś chciałby, żeby sprawa przestała istnieć. Nie patrz tak na mnie. Nie kłamię. Tak mi powiedzieli.

– Ile? – Erhard domyśla się, że suma jest zapewne dziesięć razy większa niż tysiąc euro.

– Pięć tysięcy za każdy tydzień, który spędzę za kratkami. I bilet lotniczy do Madrytu, jeśli na wyspie zrobi się o mnie zbyt głośno.

Erhard patrzy na nią. Opuściła ręce, widzi jej odsłonięte piersi. Siedzi i je kolorowe piankowe kwadraciki, rozmawia z nim, jakby rozmawiała z koleżanką. Nagle Erhard uświadamia sobie, kogo mu przypomina. Początkowo był przekonany, że Beatriz: ma podobne włosy, tylko trochę krótsze, ten sam kolor skóry, podobną sylwetkę, chociaż Alina jest nieco bardziej pulchna. Ale ona jest podobna nie do Beatriz, tylko do Kim Wilde, piosenkarki. Chociaż nie taka ładna i bardziej zniszczona. Kim Wilde po dziesięciu latach jako prostytutka. Kim Wilde, gruba dziewczyna ze skłonnością do słodczy, prochów i mojitos.

Pociąga łyk z butelki.

– Kupię ci bilet. I dam ci tysiąc euro.

– Zwariowałeś?

– To wszystko, co mam – mówi Erhard. Jest szczerzy. Nie jest pewien, czy robi to na niej wrażenie.

– Posłuchaj, nawet gdybym chciała...

– Powiesz, że nie chcesz kłamać w sądzie. Powiesz, że zmieniłaś zdanie.

– I co to da? Nic, znajdą sobie inną. I to ona dostanie moje pieniądze i drinka w Plaza Mayor.

– Może. Ale nie będą mogli ciągnąć tego w nieskończoność.

– Każdej następnej też będziesz proponował pieniądze? Nie stać cię na to.

Erhard wyrzuca sobie, że nagle problemem stały się pieniądze. Alina ma rację. Nie stać go na to. Ledwie jest w stanie uzbierać tysiąc euro dla niej. I jeszcze bilet. Oczywiście jeśli się zgodzi na jego propozycję.

– Jeśli rzeczywiście zależy ci na tym, żeby wyjaśnić tę sprawę, dlaczego nie pójdziesz do „La Provincia”?

To główny dziennik ukazujący się na wyspie. Erhard już o tym myślał.

– Dlatego, że to sprawa dla policji, nie dla prasy. Stało się coś strasznego. Wiem, że doszło do przestępstwa. Jestem tego pewien.

– Udusili go?

Alina nagle jakby się obudziła, bierze od Erharda butelkę, zaczyna pić.

Erhard widzi, że niewiele wie o sprawie. Nie widziała zdjęć chłopca, nie wie, jak umarł. A mimo to jest skłonna wziąć winę na siebie i ponieść karę.

– Zagłodzili go na śmierć. Te łobuzy.

– Nie mogę – wchodzi mu w słowo. – Nie mogę się wycofać.

– Dlaczego? Co ci powiedzieli?

– To *majorero*, on albo ktoś inny wysoko postawiony.

– Grozili ci?

– Nie.

– To ktoś z Los Tres Papas?

– Nie wiem, do diabła. Może.

– Nie dostałaś jeszcze forsy, prawda?

Alina spogląda na podłogę. Może szuka ubrania. Erhard rozgląda się, nie widzi ani czarnej spódniczki, ani złotej bluzki.

– Jeszcze ich nie wydałaś?

– Wydałam to, co dostałam – mówi Alina i podnosi z podłogi majtki.

– Ile? Ile wydałaś?

– Dwa tysiące. Może.

Erhard nie jest w stanie tego zrozumieć. Jak taka dziewczyna może wydać tak dużo pieniędzy?

– Co kupiłaś, samochód?

– Wyluzuj, nie jesteś moim dziadkiem.

– Jeśli już je wydałaś... – urywa, nie kończy zdania. Sprawa się komplikuje. Przyjęła pieniądze, to wiele zmienia.

Dziewczyna wkłada stanik, zapina go z przodu, przekręca, wkłada ramiączka. Jej drobne piersi wydają się nagle duże, kuszące. Biustonosz musiał sporo kosztować, nawet Erhard to widzi. Sto euro, może nawet dwieście. Złota bluzka też kosztowała kilka stówek, spódniczka też.

– Przestań się tak gapić. Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje – mówi Alina i idzie do łazienki.

Erhard słyszy, jak zaczyna szumieć wentylator.

– Musisz wszystko zwrócić, musisz...

– Nic nie muszę. To moje pieniądze. Dostałem je.

Widoczna przed chwilą wrażliwość zniknęła bez śladu. W Alinie budzi się kobieta interesu. Policja dobrze wybrała. Dziewczyna jest naiwna, ale nie głupia. Można ją zdominować, ale nie można nią manipulować. Jest ambitna, ale nie zdesperowana. Erhard potrafi zrozumieć, jak to się stało, że córka hodowcy oliwek została prostytutką, domyśla się jednak, że kryje się za tym coś więcej niż kiepskie stopnie w szkole i niemożność znalezienia pracy w miejscowym supermarkecie. Tylko rodzice mogą tak zniszczyć dziecko. Uczynić je tak zimnym, tak obojętnym, do tego stopnia, że jest w stanie sprzedawać się po kawałku, łącznie z duszą.

– Jeśli ci dam te pieniądze, to zwrócisz je policji? Jutro rano ci je załatwię. Kiedy masz się stawić w sądzie? W piątek?

– Przestań. Nic z tego nie będzie. Nie stać cię.

– Powiedziałem, że zwrócę ci to, co wydałaś. Potem zastanowimy się...

– Wydałam znacznie więcej, około czterech tysięcy.

Zdażyła się już ubrać, nagle wygląda dorośle.

Erhard czuje, że nie ma już siły. Whisky i pozostałe trunki uderzają mu do głowy, czuje się senny, ale i zirytowany. Ty głupia dziewczucho, chce jej powiedzieć, ale nie ma siły. Wszystko kręci się wokół pieniędzy, ma dosyć.

– Zapomnij o wszystkim – mówi i rusza do drzwi.

– Co zamierzasz zrobić?! – woła za nim Alina.

– Zamierzam znaleźć jego matkę – odpowiada Erhard. Wychodzi na korytarz, mijają piosenkarza i jednego z jego kolegów, którzy najwyraźniej cały czas podsłuchiwali. Schodzą mu z drogi, kiedy widzą jego wściekłą twarz.

Jest zbyt pijany, żeby prowadzić, a mimo to siada za kierownicę. Zapomina o wszystkim, jedzie szybko, grudki ziemi i kamienie uderzają o podwozie. Dociera na miejsce, ale nie wysiada, ledwie wyłącza silnik, już zasypia w fotelu.

## 25

Sen. Brak komplikacji. Obszar nietknięty zmartwieniami.

Jak się nazywa przeciwieństwo snu? Czuwanie?

Czuwanie – zbyt wiele komplikacji. Uwikłanie w irytację i gorzkie myśli. Erhard nie może myśleć o niczym innym, tylko o dziwce, jej drogim biustonoszu, chłopcu w pudełku i długim policyjnym regale z teczkami z dokumentami.

Krąży, siada w różnych miejscach, śniadanie smakuje jak tektura, w powietrzu wiruje kurz, kawa jest chłodna. Zerka na książki i nagle przypomina

sobie Solillę, właścicielkę sklepu z używanymi rzeczami, w którym kupuje książki.

Solilla ma około sześćdziesiątki. Jest drobna, sprawia wrażenie roztargnionej, nie ma czasu na jedzenie. Uśmiecha się sztucznie, rzeczy w sklepie układa we własnym porządku, i tylko ona wie, gdzie czego szukać. Układa odzież według długości zamka błyskawicznego, książki według liczby stron – smycze i obroże dla psów, kotary przeciwko owadom i puder według zawartości niklu. Gdziekolwiek się jest, nawet w piwnicy, słyszy się, jak coś do siebie szepcze, narzeka na zbyt ciężkie pudełko albo na jakąś roślinę, na pośpiech albo na klienta, który przymierza zbyt dużo ubrań, a nic nie kupuje. Nie lubi klientów, którzy nic nie kupują, ale jeśli ktoś kupuje, jak na przykład Erhard, zaprasza go na kanapę przed sklepem i zaczyna mówić. Mówi dużo i bardzo się angażuje, szczególnie jeśli mowa o literaturze, polityce albo historii wyspy. Była dziennikarką, wiele lat pracowała dla miejscowej stacji telewizyjnej C2.

Może właśnie prasa albo wiadomości telewizyjne to ostatnia szansa, żeby znaleźć rodziców chłopca. Erhard jest pewien, że sprawa może zainteresować Solillę. Może nie historia o chłopcu, którą zapewne uzna za zbyt obciążającą emocjonalnie, ale historia o policji, która chcąc ukreślić sprawie łeb, kupuje sobie podejrzaną i jej przyznanie się do winy, już tak. Nadal ma dużo znajomych w mediach, na pewno znajdzie kogoś, kogo ta historia zainteresuje.

Erhard ubiera się i jedzie do Puerto. Zatrzymuje samochód naprzeciwko warsztatu samochodowego i wbiega po schodkach do sklepu znajdującego się w willi pod dużym drzewem. W jego cieniu stoją kanapa i stolik, a wokół kartony z książkami i pismami.

Solilla jest w piwnicy i układa chustki. Wymawia głośno jego imię, nawet nie podnosząc głowy. Jest jedną z niewielu osób na wyspie, które potrafią, albo przynajmniej próbują, wymówić poprawnie jego imię i nazwisko. Jej niemal się to udaje. Erhart Jyrkenzen, tak to brzmi w jej ustach.

Nie lubi, kiedy ktoś marnuje jej czas, więc Erhard od razu przystępuje do rzeczy.



– Potrzebuję dobrego dziennikarza – mówi.

– Ha – odpowiada Solilla i patrzy na niego z zachwytem. – Wszyscy już umarli.

– Kogoś, kto napisze coś o korupcji.

– To coś nadzwyczajnego?

– Policja kupuje sobie podejrzaną i płaci jej za przyznanie się do winy.

– I?

– Co oznacza, że sprawa zabójstwa dziecka pozostanie niewyjaśniona.

– Zabójstwa dziecka? Mów.

– Nie mam pewności, że to morderstwo. Pamiętasz, jak niedawno znaleziono chłopca w samochodzie na brzegu? Niedaleko Cotillo?

Solilla odstawia pudełko z chustkami na półkę. Daje Erhardowi znak, żeby szedł za nią. Mijają klienta, który stoi i przegląda karton z afrykańskimi pornosami. Solilla zawsze kochała wolność prasy. Także w odniesieniu do pornografii. Erharda lubi między innymi dlatego, że pochodzi z kraju, który jako jeden z pierwszych zalegalizował pornografię.

– Nie – odpowiada. – Nie pamiętam.

– Znaleziono samochód, na tylnym siedzeniu było pudełko, w którym był chłopiec. Oczywiście martwy.

– Ale nie został zamordowany?

– Nie, raczej zagłodzony. Nikt nie wie, gdzie są jego rodzice.

– I?

– Policja znalazła jakąś kretynkę, prostytutkę, która zgodziła się wziąć winę na siebie.

– Dlaczego? – Solilla śmieje się. Idą po schodach, ona pierwsza, Erhard za nią, wpatrzony w jej długą niebieską sukienkę.

– Policja chce zamknąć sprawę. Ze względu na turystów, tak twierdzą.

Solilla mruczy coś pod nosem, jakby uznała ten argument za istotny.

– A co ty masz z tym wspólnego? Masz coś?

– Mam dziewczynę, której zapłacono za to, żeby wzięła winę na siebie.

– Ty ją masz? Nie policja?

– Na razie jeszcze czeka, rozprawa odbędzie się w piątek.

– Opowie o tym dziennikarzowi?

Erhard wie, że z tym może być kłopot.

– To nie jest pewne – mówi.

– Więc o czym ten dziennikarz miałby pisać?

– Zanim dojedzie do rozprawy, powinien napisać, że policja chce oskarżyć i skazać dziewczynę, która nie ma nic wspólnego ze sprawą.

– Potrafisz dowieść, że policja chce, żeby została skazana?

– Rozmawiałem z policjantem, który za tym stoi. Rozmawiałem z dziewczyną.

– Dowody, panie Jyrkenzen. Masz dowody? Jakies dokumenty, zdjęcia. Coś, co dziennikarz mógłby wykorzystać.

Erhard wie, o co jej chodzi.

– Nie – mówi.

– A co na to dziewczyna? *What's in it for her*, jak to się mówi?

– Pieniądze. Uparta baba, jeśli mogę ją tak określić.

– Znam paru dziennikarzy, nie do końca beznadziejnych, ale wiem, co usłyszę: dziewczyna, która nie chce mówić, policja, no cóż, policja wszystkiemu zaprzeczy. Czym możemy się podeprzeć?

– Skąd mogę wiedzieć? Dlatego chciałbym, żeby się tym zajął dziennikarz. Wy się na tym znacie. Zawsze się do czegoś dogrzebiecie.

– Nie kupuję tej historii – mówi Solilla i się uśmiecha.

– Uwierz mi, że to ma ręce i nogi. Parszywa historia, jak powiedział gliniarz.

– Ile chcą jej zapłacić?

– To nie policja chce jej zapłacić, i właśnie to jest dziwne.

– Jeśli nie policja, to kto?

– Jakiś *majorero*, jak go nazywa. Pięć tysięcy euro za każdy tydzień, który spędzi za kratkami.

– Ciekawe. Ale skoro to nie policja jej płaci, to mogą wszystkiemu zaprzeczyć.

– Sama słyszysz, że to chore. Zasluguje na to, żeby zajęła się tym prasa.

Solilla podaje mu książkę.

– Masz, przeczytaj. To klasyka.

Erhard patrzy na kolorową okładkę, na której widać czarną sylwetkę mężczyzny palącego fajkę. *The Adventure of the Speckled Band and Other Stories*. Czytał ją kiedyś. Wiele lat temu. I jak innych powieści Conan Doyle'a nigdy jej nie skończył.

– Może przeczytam.

– Diego Navarez – mówi Solilla. – Syn moich dawnych przyjaciół, który też został dziennikarzem. W „La Provincia”. Tu, w Puerto. Jest ostry i bardzo krytyczny. Jeśli ktoś miałby się tym zająć, to właśnie on. Tyle że chłopak nie ma jeszcze dość doświadczenia.

Brzmi dobrze. Młodzi mają bardziej idealistyczne spojrzenie na korupcję, myśli Erhard.

– Jak mogę się z nim skontaktować? – pyta.

– Zostaw to mnie. Jego ojciec jest mi coś winien.

– Dzisiaj?

– *Dios mío*, strasznie się tym podnieciłeś. Nie widziałam cię jeszcze w takim stanie.

– Rozprawa odbędzie się w piątek.

Solilla patrzy na zegar nad drzwiami.

– Za chwilę do niego zadzwonię. Zaczekaj na kanapie. Porozmawiam z nim i wrócę do ciebie.

Erhard siada na kanapie pod drzewem i zaczyna czytać Sherlocka Holmesa. A w każdym razie próbuje. Kot, który należy do domu i którego Solilla zawsze odgania, rzucając w niego kapslami i kamieniami, kładzie się obok Erharda i uderza ogonem w książkę.

Po chwili Solilla wraca. Podaje mu słuchawkę.

– Sam się z nim umów.

Niemal zapomina o Aazie. Przypomina sobie o nim w ostatnim momencie. Zostawia go przed domem Moniki i obiecuje wrócić po niego najpóźniej o wpół do piątej. Następnie wraca do Puerto i znajduje kawiarnię. Czeka. Zamawia dwa piwa, jedno dla siebie, drugie dla Diega. Piana znika.

Diego jest zdecydowanie za młody. Wygląda jak nastolatek. Ma na sobie odziedziczoną koszulę, której nawet nie wyprasował. Dostrzega Erharda i siada przy stoliku.

– A więc matka, która nie jest matką, dostanie pieniądze za udawanie winnej.

Erhard rozgląda się po kawiarni, ale są sami, poza nimi jest tylko kilku młodych mężczyzn grających na flipperze za szpalerem plastikowych kwiatów.

– Widzę, że zapoznałeś się ze sprawą – mówi.

– Trochę sobie poczytałem, chociaż nie ma tego wiele. Wygląda to na smutną sprawę, ale takie rzeczy się zdarzają. Nie raz znajdowano tu dzieci. Tylko w dwa tysiące dziesiątym roku mieliśmy do czynienia z dwoma podobnymi przypadkami. Niedojrzałe dziewczęta z katolickich rodzin, o ile dobrze pamiętam. Można powiedzieć, że to rodzaj zbyt późnej aborcji.

– Ale w tym przypadku policja płaci dziewczynie, młodej prostytutce, za to, żeby udawała matkę. Wszystko wymyślili.

– Po co mieliby to robić? Rozumiem, że chcą rozwiązać zagadkę.

– Nie. I właśnie tego nie potrafię pojąć. Nie prowadzą żadnego dochodzenia, znaleźli kogoś, kto weźmie winę na siebie, i zamkną sprawę.

– Ale dlaczego?

– Facet, z którym rozmawiałem, twierdził, że z powodu kasyna. Chcą, żeby powstało tutaj, a nie na Lanzarote. Ta głupia sprawa może im podobno pomieszać szyki.

– Ciekawe, ale mało prawdopodobne.

– Tak mówił policjant.

– Ten sam, który opowiadał ci te wszystkie inne rzeczy?

– Tak – mówi Erhard, ale sam słyszy, że nie brzmi to przekonująco.

– Policja raczej się nie przejmuje takimi sprawami. Nie sądzę, żeby ich obchodził rozwój turystyki.

– Słyszałem, że mają nowego szefa.

– To prawda.

– Podobno powiedział, że trzeba się rozprawić z korupcją, zgodnie z unijnymi dyrektywami.

– To prawda.

– To twoja historia.

Diego się śmieje. Nieco zbyt zarozumiale, uważa Erhard.

– Tak, jest nawet ciekawa, do opowiadania w bodedze, ale do gazety się nie nadaje. Nie masz nic, co mogłoby ją uwiarygodnić.

– Jest prawdopodobna.

– Masz jakiś motyw?

– Do tego właśnie musimy dotrzeć.

– Podejrzewam, że mój szef zada mi takie same pytania. I będzie oczekiwał, że mu odpowiem, zanim pozwoli mi poświęcić na nią choćby pół godziny. Ile policja płaci dziewczynie za przyznanie się do winy? Widziałeś jakiś przelew, cokolwiek?

– Nie, mówiłem już, to nie policja jej płaci. Płaci jej jakiś facet, który ma kasę.

– Okej – mówi Diego i przewraca oczami.

– Okej czyli co?

– To tylko pogarsza sprawę. Może dziwka po prostu zarobiła te pieniądze? Coś mi tu nieładnie pachnie.

Erhard poprawia się na krześle. Kiedy przyszedł, był pełen energii, teraz gdzieś zniknęła.

– A chłopiec? Pomyśl o dziecku.

– Brutalna prawda jest taka, że chłopiec nie żyje – mówi Diego. – Nikt go nie zamordował, po prostu matka o nim zapomniała. Smutne, ale to się zdarza. Nikt

nie będzie chciał o tym czytać.

Erhard przypomina sobie o samochodzie i pięćdziesięciu kilometrach na liczniku.

– Jest coś jeszcze – zaczyna. – Samochód został skradziony w Amsterdamie, nagle pojawił się na wyspie. Jest w tym coś dziwnego.

Diego dopija piwo.

– No dobrze, posłuchaj. Podobasz mi się, Jorgeson. Zgodziłem się na to spotkanie, bo mój ojciec i Solilla pracowali razem. Mogę obiecać, że będę śledził sprawę, może pojawi się coś nowego.

– Coś nowego właśnie się pojawiło – wchodzi mu w słowo Erhard. – Matka nie jest matką, czego chcesz więcej?

– To ciekawe, ale podejrzewam, że policja robi, co w jej mocy.

– W piątek odbędzie się rozprawa w sądzie. Jeśli dziewczyna się przyzna i zostanie skazana, nic ani nikt nie zmusi policji, żeby wrócili do sprawy.

– Dobrze, będę w sądzie. Jeśli usłyszę coś, co wzbudzi moje wątpliwości i potwierdzi twoją historię, skontaktuję się z tobą. Zostaw mi numer.

Erhard podaje mu numer telefonu stacjonarnego.

– Nie masz komórki?

– Nie mam. Jeśli nie będę odbierał, zawsze możesz zadzwonić na centralę TaxiVentury.

– Pozdrów Señorę Solillę, powiedz jej, że mój ojciec nadal ją wspomina. Podejrzewam, że trochę się w niej kiedyś durzył. Dzięki za piwo.

– Przekażę jej pozdrowienia.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o idealistyczną młodzież. Erhard czuje się jak stary zgorzkniały teoretyk konspiracji. Zamawia jeszcze jedno piwo, przygląda się śniadym chłopcom przy flipperze, maszyna wydaje dziwne dźwięki.

Zajmuje miejsce w kolejce na Carmen tylko dlatego, że nie bardzo wie, co ze sobą zrobić. Próbuje czytać, ale nie potrafi się skupić. Przed sjeżdżając dowiaduje się, że ktoś go poszukuje. Wchodzi do Café Bolaño – numer telefonu kawiarni podał

centrali – i czeka na telefon. Czyżby dzwonił dziennikarz? Tak szybko? Rozlega się dzwonek.

– Jest niedobrze.

Dzwoni Emanuel Palabras. Uwielbia dramaty. Okazuje się, że chodzi o jego faziolęgo.

– To może zaczekać do jutra – mówi Erhard, widują się w każdy trzeci czwartek miesiąca.

Palabras jest innego zdania.

– Mam pilną sprawę – stwierdza Erhard. – Załatwię ją i do ciebie zajadę.

Odbiera Aaza i odwozi go do Santa Marisa.

Nie rozmawiają wiele. Erhard nie ma mu do powiedzenia nic wesołego. Na pożegnanie ściska mu tylko ramię.

Zostaje na Carmen około godziny. Odbywa nieskomplikowany kurs z parą młodych ludzi, wiezie ich do Las Dunas.

Dopiero koło osiemnastej trochę się uspokaja. Zawozi jakąś rodzinę na lotnisko, wysiada, idzie do terminalu i kupuje kanapkę. Smakuje jak tektura. Tektura i ten nowy gatunek miejscowych pomidorów, które nie smakują niczym. Ci nowi hodowcy przynoszą wyspie wstyd, chcą jak najwięcej wyeksportować, uprawiają idealnie okrągłe pomidory w sterylnie czystych szklarniach. Erhard zaczyna jeść, jednym okiem sprawdza nagłówki w gazetach. „La Provincia” zamieściła artykuł o największym hodowcy oliwek, który przenosi się na stały ląd. Erhard wyrzuca resztkę kanapki do kosza na śmieci i płaci bilonem dziewczynie w kiosku.

Pod wycieraczką znajduje reklamę Sheraton Beach Golf and Spa Resort. Wielkie projekty budowlane, rozpoczęte przed kryzysem finansowym, dobiegają teraz końca, wkrótce zaczną walczyć o klientów, podczas gdy inne, niedokończone, stoją i straszą, niczym przestroga dla naiwnych inwestorów. Betonowy szkielet hotelu Olympus w Corralejo oświetlają płomienie ogniska i dyskotekowe reflektory na baterie. Często imprezują tu hordy młodych ludzi.

Początkowo Erhard miał z tym problem, potem postanowił się tym nie przejmować. Bo też gdzie młodzi mają się bawić? Drożej byłoby zapewnić im inne miejsce. Z drugiej strony betonowy szkielet jest niebezpieczny, nie ma żadnego ogrodzenia, siatki, nic. W styczniu jakiś młody mężczyzna spadł i się zabił. Jakiś chłopak, sierota. Bez domu. Bez historii. Naćpany, ciało zniszczone przez alkohol i prochy. Erhard też był tam kilka razy. Pił bimber z kanistra na benzynę, widział, jak młode dziewczyny zrzucają ubrania i biegają nagie przez płomienie.

Spogląda na zegarek i rusza na północ. Wizyta u Papy Palabrasa nie jest czymś, czego wyczekuje, ale dzisiaj chętnie skupi myśli na czymś innym. Piękny fortepian, dzieło mistrza, zapewne podniesie go na duchu. A przynajmniej taką ma nadzieję.

## 26

Na końcu Calle Dormidero niewielka uliczka zatacza pętelkę wokół palmy i zawraca. Na szczycie pętli znajduje się wejście do ogromnej rezydencji Papy Palabrasa. Gigantyczna brama z kutego żelaza, która zawsze sama się otwiera, kiedy Erhard nadjeżdża. Pozostali goście muszą dzwonić domofonem. A on nie. Po prostu wjeżdża, zostawia samochód obok służbówki po zachodniej stronie głównego budynku i idzie przez park. Wie, że Emanuel siedzi na zewnątrz i śpi z głową opartą o brzuch, jakby miał złamany kark. Albo stoi w szklarni, w której hoduje kaktusy, i prosi służącą, żeby dotykała palcem różnych kaktusów i sprawdzała w ten sposób, czy roślina jest zdrowa i czy nie potrzebuje wody. Podobno właśnie w ten sposób można się tego dowiedzieć. Kiedy Erhard skręca za niewielkim krzewem i wchodzi po schodach na taras, widzi, że Emanuel śpi. Ktoś uprzedza go dzwonkiem, że zbliża się gość. Emanuel się wzdryga, budzi się i patrzy na niego zniecierpliwiony, jakby czekał na niego wiele godzin i okropnie się nudził.



– *Noches* – mówi. Podnosi się dzięki pomocy młodej Masajki i wchodzi do domu.

Erhard podąża za nim. Nie lubi tu przychodzić, ale Emanuel jest jego najlepszym klientem i jedynym, który płaci mu stałą sumę za to, że w każdy trzeci czwartek miesiąca przyjeżdża nastroić fortepian. I zawsze jest do dyspozycji, gdyby coś się stało z instrumentem. Przez piętnaście lat zdarzyło się to dwukrotnie. Dzisiaj jest ten drugi raz.

Za pierwszym razem, kiedy został wezwany, strojenia wymagał nie tyle fortepian, ile syn Emanuela, który grał popularne kawałki. Wtedy Erhard spotkał Raúla po raz pierwszy. Sprawdził fortepian, co zajęło mu dwadzieścia sekund, a potem zaczął się przyglądać młodemu mężczyźnie, który stał w rogu pokoju. Następnie znów skupił się na fortepianie, uniósł jeden młoteczek, przeciągnął wełną stalową po strunach. Powiedział Emanuelowi, że fortepian jest uszkodzony. Można go oczywiście naprawić, ale będzie to dużo kosztować i zajmie kilka miesięcy. Emanuel spojrział na niego i rozłożył ręce w geście, który oznaczał, że stało się, trudno. Kochał swój fortepian, swojego fazziego. To było oczywiste od początku.

Wychodząc, Erhard chwycił za ramię syna, młodego, chudego chłopaka, wówczas bez żadnej osobowości. Znajdę ci porządnego nauczyciela, powiedział. Jeśli chłopak miał grać na faziolim, to powinien grać porządnie. Pieniądze, które Erhard dostał za naprawienie fortepianu, któremu nic nie dolegało, oddał najlepszemu pianiście w mieście. Francisco uczył w szkole, mieszkał w Gornjal, a kiedy Erhard miał kurs w pobliżu, wpadał po Raúla i go tam zawoził. Raúl stał się może nie znakomitym, ale na pewno dobrym pianistą. W dni, kiedy dopadał go niepokój, potrafił grać i Gershwiną, i Bernsteina w bardzo przekonujący sposób.

Teraz Emanuel nie robi już tak imponującego wrażenia jak kiedyś, ale nadal jest w nim moc. Widać to także od tyłu, kiedy idzie w swojej dziwnej pelerynie – tak naprawdę to zarzucony na ramiona koc – i kołysząc się, wzdycha lekko, jakby się przedzierał przez moczary, a nie szedł po prostu przez swoją willę na

jej drugą stronę. Emanuel – z pomocą architektów i ogrodników – stworzył dom, w którym nie ma dźwięków, zapachów ani w ogóle klimatu Wysp Kanaryjskich. Pomarańczowe ściany z gliny, bambusowe wachlarze, kolumny we wzory i niezliczone łby lwów mają przypominać o Afryce, skolonizowanym, udreńczonym kontynencie pod butem tęgiego białego mężczyzny.

Tak uważa Erhard. Natomiast Emanuel opowiedział mu kiedyś romantyczną historię swojego domu, który ma odzwierciedlać jego tęsknotę za Hiszpanią, tak daleką, tak kochaną i tak przekłętą. I czasy, gdy Hiszpanie zajęli Afrykę, żeby się rozkoszować przyrodą i prostym życiem.

Docierają do fortepianu, Emanuel siada i zaczyna grać. Gra *Coral*, jeden z utworów Abrila. Jedyne, na co ma ochotę i co potrafi grać. Wszystko inne uważa za hałas, niepotrzebne obciążenie fortepianu, niegodne fazziego. Erhard nie jest ekspertem od Abrila, ale słyszy, że Emanuel gra dobrze, z temperamentem, chociaż stanowczo za szybko. Tonacja E jest niedokładna, nie jest to jakiś duży błąd, Erhardowi nawet się to podoba, nadaje fortepianowi szczególny charakter. Stoi i słucha. W końcu palce Emanuela odrywają się od klawiszy.

Nic nie mówi, patrzy na Erharda, a jego wzrok zdaje się mówić: Słyszysz to, ten dźwięk, ten szelest, rżenie? Nagle rozlega się lekki pomruk, jakby szyszka toczyła się po podłodze. Ale to nie fortepian rżęzi, tylko Emanuel. Oddycha nerwowo, powierzchownie, całą klatką piersiową, którą widać przez krzywo zapiętą koszulę. *Coral* to poruszający utwór. Erhard jest pewien, że jeśli w ciemności spojrzełby między nogi Emanuela, zobaczyłby erekcję. Zapewne jest po osiemdziesiątce, napalony jak diabeł, ale niezdolny posuwać żadnej ze swoich Masajek, chociaż zapewne bardzo tego pragnie. Staje mu tylko, kiedy siedzi przy fortepianie, ale i to kosztem przyspieszonego oddechu.

– Masz odtwarzacz CD? – pyta Erhard.

Emanuel patrzy na niego, jakby nie rozumiał, o co mu chodzi. Jasne, że nic takiego nie ma. Mają jedynie płyty gramofonowe i radio. Erhard mówi, że jeśli chce uniknąć pomruków w trakcie utworu, ma dokładnie wykonać jego

polecenie. Bez żadnych pytań. Emanuel poprawia się niespokojnie na taborecie. Nie przywykł wykonywać cudzych poleceń. Po chwili rozkłada ręce.

– Wróć za godzinę i usunę te pomruki. A ty znajdź dziewczynę, tę, która zawsze ma na ciebie oko, i poproś, żeby czekała przy podjeździe, aż wrócę.

Emanuel spogląda na niego swoimi rybimi oczami, ale nic nie mówi, a Erhard wraca do samochodu.

Jedzie do miasta. Jadąc Calle Cervera, rozgląda się za Aliną, ale jeśli postanowiła trochę zarobić, to nie o tej porze. Na ulicach unosi się woń jagnięciny i benzyny. Zostawia samochód z włączonym silnikiem i wbiega do sklepu muzycznego na rogu głównej ulicy. W ofercie są głównie jazz i nowoczesna muzyka, ale w piwnicy jest całkiem imponująca kolekcja muzyki klasycznej. Na szczęście *Coral* Abrila należy do koncertów popularnych na hiszpańskich wyspach. Erhard znajduje nawet krążek z Orquesta Sinfónica de Madrid. Kiwa głową do Antóna, który jak zwykle obsługuje klientów, i schodzi krętymi schodami do piwnicy. Mają dwa wydania utworu. Prosi Antóna, żeby mu znalazł nuty koncertu fortepianowego *Allegro* w Internecie i mu je wydrukował, za pół euro za kartkę. Antón reaguje dość niechętnie. Cholerny Internet, mówi, stojąc przy komputerze. Niedługo będzie musiał zamknąć sklep. I nikt nie chce płacić za muzykę. Jak ma konkurować, skoro wszystko jest gdzieś tam za darmo? Erhard w zasadzie się z nim zgadza, chociaż nie bardzo się na tym zna. Potem jedzie do Electronu i kupuje odtwarzacz CD. Sam nie ma takiego, ale zna je z pokoju śniadaniowego. Targuje się i dostaje go za trzydzieści euro. Kiedy wychodzi na ulicę, zastanawia się, czy nie zjeść smażonych krewetek sprzedawanych na małym straganie przy ulicy, ale robi mu się niedobrze, kiedy widzi, jak mężczyzna pakuje różowe skorupiaki w gazetę. Wraca do willi.

Jest jak stworzenie z kosmosu, cała w czarnej skórze. Gładka i piękna, i przerażająca. Stoi i czeka przy wjeździe, tak jak prosił. Nigdy wcześniej z nią nie rozmawiał. Nigdy nie słyszał jej głosu. Prawdę mówiąc, nie wie nawet, czy ona w ogóle potrafi mówić. Tłumaczy jej, co ma zrobić. A ona słucha go bez mrugnięcia okiem. Kiedy Erhard pyta, czy rozumie, co do niej mówi, kiwa głową, ale to go nie przekonuje. Wydaje się całkowicie obojętna, nie ma pytań ani żadnych zastrzeżeń do jego planu.

– Ja zrobić to z Manni do muzyki – powtarza.

– Tak – mówi Erhard. Bawi go, że kobieta, właściwie dwudziestoletnia smarkula, nazywa jednego z najpotężniejszych ludzi na wyspie Manni. Mówi, że Manni nie może, jego kijek jest miękki, będzie zły.

Erhard kręci głową. Wskazuje na odtwarzacz, a potem pokazuje palcem wskazującym, jak zareaguje członek Emanuela. Jej oczy się uśmiechają, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Chodź ze mną, mówi Erhard. Wchodzą do willi, mijają kolejne pokoje, aż znajdują Emanuela tam, gdzie go zostawili dobrą godzinę wcześniej. Patrzy niezadowolony na ręce Erharda, jakby zamiast torby z zakupami spodziewał się jakichś narzędzi.

– I co teraz, Stroicielu?

Erhard przypomina mu, że obiecał wykonać jego polecenie. Emanuel kiwa głową, raz, szybko. Erhard bierze go pod rękę i prowadzi do pokoju obok. Sadza go na białej skórzanej kanapie, nigdy dotąd nieużywanej.

– Siedź tutaj i rozkoszuj się muzyką, a ja zajmę się fortepianem – mówi. Rozpakowuje odtwarzacz, wkłada do niego krążek. Utwór się zaczyna. Już pierwsze dźwięki robią na Emanuelu wrażenie. Zerka podejrzliwie na odtwarzacz. Erhard daje dziewczynie znak, podchodzi i siada na białej kanapie obok Emanuela. Ona podciąga sukienkę. Zdziwienie i dziwna łagodność zastępują malującą się zazwyczaj na twarzy Emanuela złość. Erhard odwraca głowę i idzie do sąsiedniego pokoju.

Stawia *Allegro* na pulpicie do nut i otwiera na pierwszej stronie. Zaczyna coś robić przy fortepianie. To niezwykle piękny instrument, jeden z pierwszych

F308, jakie zostały wyprodukowane w warsztacie Faziolego w 1987 roku. Dotąd grywał na nim jedynie akordy, ale często marzył, żeby pewnego dnia, kiedy Emanuela nie będzie w domu, zakraść się do salonu i zaszaleć na gigantycznym fortepianie. Ma dźwięk inny niż wszystkie, czysty, niczym niezakłócony, lepszy niż najlepszy steinway, jakiego kiedykolwiek stroił. Dzięki klimatyzacji stoi w idealnej temperaturze, nigdy nie pada na niego słońce. Jak można było podejrzewać, że ten piękny instrument mógłby rzeźcić. Przez wszystkie te lata, kiedy tu przychodzi, nigdy nie był w stanie sprawić, żeby grał lepiej. Nowe fortepiany i pianina zwykle już po kilku minutach jego pracy zaczynają brzmieć lepiej, niż kiedykolwiek brzmiały. Niektórzy klienci nazywają go czarodziejem. Spodziewają się, że zjawi się z nowoczesnym sprzętem. A on przychodzi, słucha i po chwili sprawia, że fortepian brzmi jak żywa istota, a nie robot. Cała tajemnica w tym, że każdy ton musi być nie tyle perfekcyjny i bezbłędny, ile właśnie perfekcyjnie błędny. To nadaje charakter i specyficzne brzmienie. Każdy stroiciel to wie, ale żaden nie mówi tego klientom. Dodaj matematykę – i zapomnij o matematyce. Wszyscy klienci chcą tego, co najlepsze, dobrze nastrojonego instrumentu, ale w rzeczywistości nie o to chodzi.

Słyszysz muzykę, najbardziej dramatyczny moment następuje po około trzech minutach.

Słyszysz, jak stolik na cygara sunie po podłodze, oczyma wyobraźni widzisz długie nogi dziewczyny, słyszysz dziwny rzeźący dźwięk, pewnie dziewczyna siedzi okrakiem na Emanuelu i ujeżdża go jak radosny dżokej w ostatnim dniu pracy. Emanuel nie przywykł słuchać smyczków Abrila. Erhard przypuszcza, że to pozwoli mu teraz dostrzec w nim całkiem nowy wymiar. Nalewa sobie kieliszek Pedro Ximénez, które stoi na małym stoliku obok fortepianu, i wychodzi do ogrodu, w którym rosną same orchidee i kaktusy. Ogród jest połączony z letnim salonem i zadaszony cienką siatką, która daje cień i chroni przed ptakami i innymi większymi szkodnikami. Jest rajem dla motyli. Są wszędzie. Siadają na kolcach kaktusa niczym ptaki na gałęziach, machają wzorzystymi skrzydełkami. Ogród jest oświetlony lampkami ustawionymi

między roślinami i kilkoma większymi reflektorami umieszczonymi na siatce. Można niemal odnieść wrażenie, że to dzień.

Tuż przed Erhardem siedzi motyl, jeden z tych, które mają szpiczaste żółte skrzydła. Erhard zastanawia się, kiedy ostatnio widział takiego żółtego motyla, jak te na wrzosowisku Hjerl Hede w zachodniej Jutlandii, niedaleko miejsca, gdzie dziadek Claus, ojciec jego mamy, miał niewielki domek. Mieszkał tam ze swoją żoną, która nigdy się nie odzywała. Erhard słyszy przez drzwi, że utwór zaczyna się do początku. Emanuel zalicza drugą kolejkę. Szczęściarz.

Erhard wyciąga palec wskazujący i próbuje przekonać motyle, że to ubrany na czarno kaktus. Ale motyle wyczuwają różnicę, to oczywiste. Na wyspie nie ma ich dużo. Domyśla się, że to z powodu wiatru i klimatu. Dlatego ten widok to kolejna demonstracja siły w wykonaniu Emanuela. Nadmiar motyli. Ma też nadmiar samochodów, dziewcząt, wody, kwiatów, łowieckich trofeów, drogiej wołowiny i hiszpańskiego wina. No i ma też nadmiar pieniędzy. Z tą różnicą, że nigdy nie mówi o swoich pieniądzach. Nie chce. Jeśli ktoś o nich wspomina albo rzuca, że jest bogaty, robi się zły i ponury. Erhard słyszał wiele razy, jak wyzywał Raúla od Judaszy, ponieważ prosił go o pieniądze na jakiś pomysł albo na spłatę długu. Kiedyś, dawno temu, powiedział Erhardowi, że jego rodzina pochodzi z Vallecas, najbiedniejszej dzielnicy Madrytu, w której wszystkie domy są zbudowane z plastikowych butelek i tektury falistej. Może wstydzi się swoich pieniędzy albo sposobu, w jaki je zdobył.

Erhard myśli o chłopcu. I o Alinie. Emanuel Palabras jest w stanie sfinansować jej podróż do Madrytu i nieco ekstrawaganckie zakupy tak łatwo, jakby chodziło o zakup kuponów na loterię w markecie HiperDino. No bo, do licha, to pewnie kosztuje mniej niż kilka motyli czy nowy kaktus. Zresztą może go spytać. Cieszy się u niego szczególnymi względami, względami, których jednak nigdy nie wykorzystywał ani nawet nie miał ochoty tego robić. Może pora to zmienić. Wysłać dziewczynę do Madrytu i dać nauczkę policji. Emanuelowi by się to spodobało, tego jest pewien. Jak większość ludzi, którzy prowadzą interesy na granicy prawa, Emanuel Palabras odczuwa niezaprzeczalną

radość, kiedy widzi, jak policja się ośmiesza. Natomiast raczej nie przejmie się historią chłopca. Dlaczego Erhard w ogóle się w to angażuje? Jeśli chce przekonać do tego Emanuela, musi mieć twarde argumenty.

## 28

Kiedy kończy się sherry, Erhard wraca do pokoju, w którym stoi fortepian. W salonie *Coral* rozbrzmiewa już po raz czwarty, a może nawet piąty. Po kilku minutach widzi, jak dziewczyna biegnie korytarzem z ubraniem w rękę, a wkrótce potem do pokoju wchodzi Emanuel. Od razu kieruje się do fortepianu. Dolną wargę ma czerwoną, nawet trochę spuchniętą, może dziewczyna go ugryzła, a może to on sam.

– No, naprawiłeś go?

– Przez najbliższe trzy miesiące zabraniam ci grać na nim *Coral* – mówi Erhard.

– Nie jesteś moim lekarzem, będę grał to, na co będę miał ochotę! – krzyczy wzburzony Emanuel, ale uśmiecha się, jakby wiedział, co Erhard zaraz powie.

– Obiecałeś słuchać moich poleceń. Teraz przez trzy miesiące graj *Allegro*, a przestaniesz słyszeć rżenie.

Erhard wie, że to trudne. Przez dziesiątki lat Emanuel grał *Coral*, jak ktoś, kto namiętnie pali swoje ulubione papierosy, skupiając się na zbliżającej się śmierci, a teraz Erhard prosi go, żeby przeszedł na plastry z nikotyną.

Emanuel siedzi dłuższą chwilę i przygląda się nutom, jakby ich nie rozumiał. Erhardowi robi się gorąco. Może Emanuel nie potrafi czytać nut? Kiedy gra *Coral*, zawsze wpatruje się w nuty, ale przecież wcale nie musi ich znać. Może udawać, że zna. Może dlatego to jedyny utwór, który gra. Nic innego nie zna, ale nie chce się do tego przyznać. Erhard się zastanawia, myśli kłębią mu się w głowie. Czy Emanuel kiedykolwiek się do tego przyzna, a jeśli tak, to czy da się namówić na lekcje u Vivi w Gornjal? Pewnie Vivi go za to znienawidzi, tak

jak na początku nienawidziła Raúla z powodu jego bogactwa. Z czasem jednak staruszek mógłby się czegoś nauczyć. Nie, Erhard sam w to nie wierzy. Skończyłoby się pustym domem w Gornjal. Gwarek Vivi skrzeczałaby całą noc, a rano jej sąsiedzi znaleźliby ją martwą w stojącej na tarasie beczce na wino. Bo Vivi to przeciwieństwo Emanuela – na ścianach w jej domu wiszą zdjęcia jej chrześniaków, na parapetach hoduje ekologiczne pomidory, pieniądze są jej obce, niekiedy zapomina nawet brać zapłatę ze lekcje, których udziela. Nagle Erhard widzi, że Emanuel kładzie palce na klawiszach i zaczyna grać, rozlegają się pierwsze dźwięki *Allegra*. Brzmia inaczej niż dźwięki *Coral*. Bardziej wojskowo. Uroczyście. Emanuel patrzy zdziwiony na biały chodnik, po którym maszerują jego palce, jakby nie był w stanie pojąć, że potrafią wydobyć z fortepianu inne dźwięki niż te przynależne *Coral*.

Tak jak Erhard się spodziewał, rzeźenie ustało. Po prostu potrzebny był inny utwór. Emanuel oddycha spokojnie. Gra. Popełnia drobne błędy, które nadają utworowi swoiste ciepło. Erhard widzi, jak do pokoju zagląda dziewczyna, ostrożnie, już ubrana, kosmitka, zamknięta w sobie, czujna. W wielkim domu pojawiły się nowe dźwięki. Przez lata służba, Masajki i grecki ogrodnik słuchali jednego utworu na okrągło. Emanuel, niczym krążący po klatce lew, bez przerwy wracał do niego, żeby się podniecać resztkami czegoś, co kiedyś było czymś więcej niż jedynie niespełnioną fantazją. Doszły nowe dźwięki. Dom oddycha z ulgą. Emanuel oddycha, ale już nie rzeźi, nadal jest gruby, wygląda niezdrowo, ale rzeźenie ustało. Erhard też może odetchnąć.

Nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek Ximénez, nie pytając o pozwolenie, i wychodzi, nawet się nie pożegnawszy. Emanuel siedzi przy fortepianie, a Erhard stoi przed domem z kieliszkiem w ręku, wylewa trunek przed willą, kieliszek wyrzuca do niewielkiego stawu.



Wpół do dziesiątej. Właściwie jest już w drodze do domu, ale zatrzymuje się na głównej ulicy, żeby wypisać dane do rozliczenia. Miał wiele krótkich kursów, podliczenie wszystkiego wymaga czasu. Za chwilę ruszy do Cannes, niewielkiego baru z grillem, i kupi sobie sandwicza. Nie bywa tam często, ale wie, że mają tam pyszne tłuste mięso, które zawijają w cienkie chlebki.

– Eremita – odzywa się Isabel, która ma nocny dyżur w centrali. Na ogół telefonistki nie zwracają się tak do niego. Erhard jest zdziwiony, że w ogóle któraś z nich zna jego przydomek.

Wciska guzik.

– 4823 – mówi.

– Hotel Phenix. Kurs na lotnisko.

– Berlin. Dwudziesta druga piętnaście?

– Cisza.

– Skąd mogę wiedzieć. Powiedzieli: kurs na lotnisko.

– Właśnie kończę. Nie możesz wziąć kogoś innego?

– Proszę o ciebie.

– Miguel z recepcji?

– Nie, jakaś kobieta. Prosiła o ciebie. Mam posłać kogoś innego?

– 4823, przyjąłem zlecenie.

Erhard odkłada papiery na tylne siedzenie i włącza kierunkowskaz. Zlecenie jak każde inne, ale czuje niepokój. Zastanawia się, czy muzycy nie zaplanowali jakieś zemsty.

Podjeżdża pod drzwi hotelu i krótko trąbi. Zwykle nie ma takiej potrzeby, ale jeśli recepcjonista jest nowy, a gość chce zdążyć na samolot do Berlina odlatujący kwadrans po dziesiątej, to zaraz muszą ruszać. Czeka trzy minuty, wyłącza silnik, wchodzi do recepcji. W pierwszej chwili nie widzi nikogo. Ani za ladą recepcji, ani na kanapach. Uderza w dzwonek. Z biura wychodzi Miguel.

– Dobry wieczór, Señor Jorgenson.

– Dobry wieczór, Miguel. Dzwoniliście po mnie.

Miguel się rozgląda.

– W czym mogę ci pomóc?

– Ktoś mnie tu wezwał. Jakaś kobieta. Jedna z twoich koleżanek? Może z baru?

– Zawsze ja zamawiam taksówkę.

– Ale... może to był gość?

– To możliwe, Señor Jorgenson.

– Kurs na lotnisko.

Miguel patrzy na zegarek.

– Berlin, dwudziesta druga piętnaście?

– Tak sądzę.

– Nikt się ostatnio nie wymeldował. Ale jeszcze macie szansę zdążyć. Na trzecim piętrze mieszka Angielka. Może to ona dzwoniła. – Miguel spogląda na klucze w przegródkach. – Jest w swoim pokoju.

– Zaczekam w taksówce. Przekaż jej, że jestem.

Erhard wraca do samochodu, wsiada. Jeśli kobieta nie zjawi się w ciągu kilku minut, nie zdąży na samolot. Ale może wcale nie leci nigdzie samolotem, może tylko po kogoś wychodzi. Albo jedzie do pracy.

Z ulicy dochodzą go głośne krzyki, podnosi rękę, jakby chciał się przed kimś obronić, ale okazuje się, że to półciężarówka z głośno nastawioną muzyką i trzema, może czterema chłopakami siedzącymi na pace.

Patrzy w lusterko. Nieruchomieje. Alina.

Siedzi na tylnym siedzeniu. Z tym swoim irytującym uśmiechem.

– Nie mam dla ciebie czasu, czekam na klientkę.

– To ja jestem twoją klientką, czteropalczasty.

– Mogę ci odmówić. Wsiądź z wozu.

– Dlaczego? Potrzebujesz pieniędzy jak wszyscy.

– Nie jeżdżę z przestępcami.

– Niby od kiedy? – pyta Alina i znów się śmieje.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Jedź – mówi. Ma dziwną zdolność dyrygowania ludźmi. Trudno jej się przeciwstawić.

Erhard odwraca się do niej. Ma na sobie spodnium w kolorze łososiowym, na włosach okulary przeciwsłoneczne w złotej oprawce. Wygląda niezbyt gustownie, ale lepiej niż zwykle.

– Dokąd się wybierasz? Dzisiaj nie ma już żadnych lotów.

– Na Zamek. Przecież wiesz.

– Myślałem, że to jutro.

Alina znów się śmieje. Cała ta sytuacja wyraźnie ją bawi. Jest pijana. Pewnie dlatego tak się zachowuje.

– Spędzę tam noc, a rano stanę przed sądem. Takie obyczaje.

– Po co, do cholery, zadzwoniłaś po mnie? Jest trzydziestu innych kierowców, mogłaś poprosić któregoś z nich. Albo policję. Na pewno by po ciebie przyjechali – mówi Erhard.

Doskonale wie, że zrobiła to po to, żeby mu okazać swoją wyższość. Pokazać, że robi to, na co ma ochotę. Nikt nie będzie nią rządzić.

– Bo przypominasz mi ojca – odpowiada Alina. – Stary, skwaszony i zabawny.

– Biedak. Mieć córkę, która jest kurwą.

– Jemu jest wszystko jedno. Poza tym z niego też niezły numer. Dupek.

– Żadnemu rodzicowi nie jest wszystko jedno.

Alina znów się śmieje.

Erhard rusza, równie dobrze może mieć to już za sobą.

– To rozumiem, czteropalczasty.

Wyjeżdża z podjazdu, rusza, skręca w aleję i kieruje się w stronę Las Dunas. Z tylnego siedzenia dochodzi go głos Aliny: opowiada mu o Madrycie, o zakupach, o przyjaciółce, która ma czterdzieści par butów. Erhard zmienia biegi, zaczyna manipulować przy klimatyzacji, próbuje obniżyć temperaturę.

– Chcę, żebyś wiedział. Żebyś wiedział, że dużo o tym myślałam. Przez ciebie. Ważyłam wszystkie za i przeciw. Czy mam wziąć pieniądze, czy zrobić

tak, jak mówił stary czteropalczysty. Rozmawiałam też z Tią, nie może się doczekać, kiedy przyjadę do Madrytu i...

– Przestań – wchodzi jej w słowo Erhard. – Nie chcę wiedzieć, dlaczego to robisz. Nie pojmuję, jak można być taką egoistką...

– Egoistką? Nie jestem, do cholery, żadną egoistką. Gdybyś wiedział, przez co przeszłam, jakie miałam gówniane życie. Nie jestem egoistką, nie jestem zła ani...

Teraz to Erhard się śmieje.

– Jesteś po prostu głupia. Bezdennie głupia, do tego stopnia, że martwię się o przyszłość. Jeśli jest więcej takich jak ty, to kiepsko to wygląda.

W samochodzie zapada cisza.

– Znalazł się cholerny świętoszek. Przecież powiedziałam, że się zastanawiałam. Ale nie stać mnie na to, żeby odmówić. Nie mogę.

– Zamknij się.

– Nie zabiłam tego dzieciaka. To nie ja zrobiłam coś nie tak.

– Ale dzięki tobie i twojej wymarzonej podróży do Madrytu policja nigdy nie dojdzie, co się naprawdę stało.

– I co z tego? Dlaczego to, do cholery, ma być mój problem? Albo twój?

– Dlatego. To przestępstwo. Najgorsze z możliwych. Ktoś zabił malutkiego chłopca. I nie zrobili tego jego rodzice.

– Nie wiem, czy wiesz, ale nie wszyscy rodzice są święci.

– Nie głodzi się dziecka na śmierć, nie zostawia się go w pudełku. Żaden rodzic tego nie robi.

– Rodzice robią to, co im akurat pasuje.

– Kiedy sama będziesz mieć dzieci, będzie ci wstyd, że...

– Co ty, do cholery, możesz o tym wiedzieć? Poza tym ja nigdy nie będę mieć dzieci. Rozumiesz? Nigdy!

– Mam taką nadzieję. Właśnie ze względu na twoje dzieci.

Erhard jedzie szybko, samochód się trzęsie. Zawsze się trzęsie, kiedy prędkość przekracza sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Chce mieć to jak

najszybciej za sobą, chce, żeby Alina jak najszybciej wysiadła. Słońce już zaszło, po lewej stronie krajobraz jest już czarny, nad nim widać pasek zielono-fioletowego nieba.

Widzi ją w lusterku, ma otwartą puderniczkę, poprawia szminkę. Jakby się umówiła na randkę z całym komisariatem. Próbuje wyobrazić ją sobie przed sądem. Zbłąkana katoliczka. Będzie kręciła kosmyki włosów, będzie przeproszała. Dostanie góra kilka miesięcy. Strażnicy będą się ustawiać w kolejce, żeby jej przynosić posiłki do celi, a wieczorem będą stawać na palcach, żeby zajrzeć do środka, kiedy będzie szła spać. Najgorsze jest to, że świetnie pasuje do tej roli. Nie wygląda na narkomankę, jak wiele innych dziewczyn w jej sytuacji, wydaje się dojrzała, mogłaby być matką, spodniem, fryzura. Wszystko się zgadza. Dobrze kłamie. Jeśli podczas rozprawy uroni łzę, nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości, dziennikarze też nie. Chyba że nagle zjawi się prawdziwa matka albo ojciec dziecka.

Widzi, że Erhard na nią patrzy. Uśmiecha się. Erhard odwraca wzrok.

– Gówniarz. Zasłużył sobie na to.

Mija chwila, zanim dociera do niego, co powiedziała. Zanim pojmie znaczenie jej słów. Co prawda to tylko słowa. Ale słowa mogą być gorsze od czynów. Odarte z człowieczeństwa, manipulujące, użyte z pełną świadomością. Wie, że siedzi i patrzy na niego w lusterku. Chce sprawdzić, czy go rozzłościła, czy jest w stanie wyprowadzić go z równowagi, jakby był prezydentem regionu, jednym z tych napalonych staruchów, których zabiera do siebie do domu, a potem łapie za jaja i bije po członku, żeby pokazać, kto tu rządzi.

I nagle Erhard już wie, co musi zrobić. Żeby wstawić kij w szprychy całej prawniczej maszynerii i zadbać o nadgodziny dla policji. Alina siedzi u niego w samochodzie, nikt nie wie, że tu jest. Jest mrok, zaraz zapadnie ciemna noc.

– Dokąd ty, do diabła, jedziesz? – słyszy z tyłu, kiedy na rondzie skręca w prawo.

Stawia opór. Krzyczy, wrzeszczy. Jak tylko Erhard zatrzymuje samochód, próbuje uciekać, ale wokół panuje dojmująca ciemność, staje więc jak sparaliżowana i stoi tak długo, że Erhard ma czas obejść samochód i podejść do niej.

Jest silna, szarpie się, macha rękami w powietrzu, przeklina. Ale na nim nie robi to wrażenia. Podjął decyzję, popycha ją przed sobą w stronę szopy.

– Nie! – krzyczy, kiedy wpycha ją do środka, zamyka drzwi, przytrzymuje jej nogą, zakłada łańcuch.

Jest tak wzburzony, że robi mu się gorąco. Z trudem łapie powietrze, robi krok do tyłu. Boi się, że straci nad sobą kontrolę, wejdzie do środka i pobije ją do krwi. Łatwiej byłoby mu to zrobić po ciemku, wtedy by jej nie widział. Ma wrażenie, jakby złapał diabła, który wcielił się w ciało kobiety, i teraz od niego zależy, czy uda mu się powstrzymać szerzące się na świecie zło. Słyszy jej płacz, ale wie, że ciemność, dochodzące zewsząd obce jej dźwięki i niepewność zrobią swoje, złamią ją w ciągu jednej nocy. Zastanawia się, czy nie powiedzieć jej, że jutro po południu ją wypuści, ale uznaje, że nie. Jeszcze na to za wcześnie, jeszcze nie może być dla niej miły.

Alina płacze, klnie, wydaje dziwne dźwięki.

Erhard wchodzi do domu. Prawie przestaje ją słyszeć. Szum prądnicy i pojękiwania wiatru tłumią płacz. Ma nadzieję, że nie będzie próbować dobierać się do prądnicy, która stoi w szopie. Mogłaby ją popsuć, zniszczyć, ze złości albo po to, żeby go rozdrażnić. W nocy pewnie będzie głównie zdezorientowana i przerażona. Ma jednak nadzieję, że niedługo się uspokoi, może usiądzie na podłodze. Jeśli będzie miał szczęście, to zaśnie. Jutro rano, kiedy przez szczeliny w ścianach wpadną do szopy pierwsze promienie słońca, pewnie odkryje prądnicę i może zacznie szarpać kable.

Erhard nalewa sobie duży kieliszek koniaku, po czym wylewa go, nawet nie spróbował. Nie zapala światła, krąży po domu, nie mogąc zaznać spokoju,

jej głos wciąż rozbrzmiewa w idealnej tonacji C. Podchodzi do okna, patrzy na szopę, która w świetle księżyca wydaje się fioletowa. Nic nie wskazuje na to, żeby w środku był człowiek. Słyszą zawroźnienie, jakby pies drapał w drzwi i piszczał. Erhard zdejmuje spodnie i koszulę, włącza Radio Mucha, nocny jazz. John Coltrane Quartet.

W końcu, po piętnastu, może dwudziestu minutach, Alina cichnie. Erhard wychodzi kuchennymi drzwiami na taras, wsłuchuje się w wiatr. Laurel stoi i zżera parę majtek, które spadły ze sznura. Drapie go za uchem, klepie po szorstkiej sierści. Jest przekonany, że postąpił słusznie. W każdym razie próbował coś zrobić.

Alina zaczyna wcześniej. Krzyczy, płacze, i tak na przemian. Sądząc po świetle, słońce właśnie wstało. Erhard słyszy, jak Laurel krąży wokół domu. Wiatr nieco się uspokoił. Alina wyłączyła prądnicę, słyszy teraz jej krzyki tak wyraźnie, jakby siedziała mu na kolanach. Gdyby miał w pobliżu sąsiadów, gdyby miał sąsiadów, którzy rano wychodzą biegać na pobliskie wzgórza, albo sąsiadów, którzy wpadają pożyczyć cukier, trudno byłoby mu wytłumaczyć ten dźwięk. Wołanie człowieka o pomoc. Człowieka sfrustrowanego, przestraszonego. Albo rannego zwierzęcia. Jęki, zawroźnienie, dobijanie się do drzwi.

Wstaje i wychodzi na dwór. Podchodzi do szopy.

– Halo! Halo, taksówkarzu!

– Nie wypuszczę cię, nawet jeśli będziesz hałasować.

– Otwórz drzwi, psychopato, cholerny świrze, kretynie pierdolony... Halo?

Jesteś tam?

– Wypuszczę cię, jak tylko skończy się rozprawa.

Alina znów zaczyna płakać. Próbuje to ukryć, ale płaczu nie da się ukryć, zawsze go słyszą, nawet z daleka.

– Już się uspokoiłam – mówi po chwili. – Proszę, bądź tak miły i wypuść mnie, porozmawiamy.

Erhard już niemal dotyka kłódki, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje. Alina ma niezwykłą skłonność do zmiennych nastrojów. Nie wolno mu o tym zapomnieć.

– Zrobię ci śniadanie. Bądź cicho, zaraz ci przyniosę coś do jedzenia – mówi przez drzwi. Można by sądzić, że zamierza przygotować dla niej tacę ze świeżym melonem, pomidorami, wędliną, bekonem i omletem. A prawdę mówiąc, nie ma wiele w domu, rzadko jada śniadania. Długo stoi i przygląda się zawartości szafek i lodówki. W końcu bierze brzoskwinie, oliwki i kawałek czerstwego chleba. I szklankę wody.

– Odejdź od drzwi – mówi i otwiera kłódkę. Przytrzymuje drzwi nogą, żeby ich na niego nie pchnęła. Zagląda do środka. Alina siedzi na podłodze w głębi szopy, w padającym świetle wygląda na zmęczoną. Ma pogniecione ubranie, całe w plamach, ręce zakurzone, pobrudzone ziemią, jakby próbowała kopać w ziemi.

Erhard stawia przed nią jedzenie.

Alina patrzy na tacę bez zainteresowania.

– Moje papierosy – mówi. – Są w torebce, w samochodzie.

Erhard zamyka drzwi, zakłada kłódkę i idzie do samochodu. Torebka leży wepchnięta pod siedzenie pasażera, kiedy ją podnosi, słyszy, jak coś w niej szeleści. Otwiera, jest niemal pusta. Portmonetka, brelok z czterema kluczami i plastikowym symbolem dolara, komórka i paczka papierosów jakiejś nowej marki, której nie zna. Jest też torebka z resztką kolorowych piankowych żelków, które jadła w samochodzie. Wkłada jedną do ust: smakuje sztucznie, jest za słodka, wypluwa resztę. Próbuje zapalić zapalniczkę, płomień jest długi, pełen energii. Dlaczego miałyby być dla niej miły? Łapie się na tym, że myśli o niej jak o gościu, na którym chce wyrzucić dobre wrażenie. Ale może jej chyba pozwolić zapalić papierosa? Może wtedy łatwiej się z nią dogada. Torebkę i resztę rzeczy zostawia w samochodzie.

– Obiecay, że nie będziesz próbowała żadnych sztuczek – mówi, kiedy zapala jej papierosa. Patrzy, jak się nim chciwie zaciąga. Ludzie i papierosy.

– Mogę cię zgłosić na policję, wiesz o tym?



Nie przyszło mu to do głowy. Wszystko stało się tak szybko, ale Alina ma rację. Jeśli wypuści ją po południu, może pójść na policję i wnieść na niego skargę. Ale jedyne, co można mu zarzucić, to to, że przez niego rozprawa zapewne została odroczone. Przypuszcza, że policja jej szuka. Zanim ją puści, musi się dowiedzieć czegoś więcej. Ale też nie może wiecznie trzymać jej w szopie, tym bardziej że co chwila wyłącza prądnicę. Nie może włożyć jej do pojemnika i ukryć jak palec Billa.

Zamyka drzwi, słyszy, jak znów zaczyna go przeklinać. Ale musi jechać do pracy, przynajmniej na kilka godzin. Zanim wyjdzie, wkłada do kieszeni jej komórkę i sprawdza zawartość portmonetki. Pełno w niej wizytówek – pewnie mężczyzn, których obsługuje – są też dwa banknoty po pięćdziesiąt euro. I kilka zdjęć. Takich z automatu. Jest na nich Alina, jakieś dziesięć lat młodsza, ale to na pewno ona. I druga dziewczyna, która ją przypomina. Taka sama puciołowata twarz, tylko ładniejsza. Obie mają na sobie czarne kurtki, białe koszule z czymś, co chyba jest wstążką. Mundurek szkolny, ładny. Obie mają końskie ogony. Dwie siostry, starsza potężniejszej budowy i poważna, młodsza ciekawa świata, chociaż niewiele jeszcze z niego rozumiejąca, obie zadbane, skromne, trzymane w ryzach napomnieniami, a może względami religijnymi, aż dziwi świdrujący wzrok, pełen buntu, wręcz nienawiści, który widać w jej oczach, szczególnie na zdjęciu, na którym sięga w stronę aparatu, jakby nie chciała już więcej zdjęć, podczas gdy siostra na jej kolanach się śmieje, tak naprawdę wcale się nie śmiejąc. Tak właśnie było. Zawsze była inna, nawet zanim została dziwką. Już dużo wcześniej miała spaczoną duszę, jeszcze zanim praca zniszczyła jej ciało. Nikt nie zostaje dziwką z własnej woli. Nikt. Te, które twierdzą, że robią to, bo to lubią, są najbardziej zatwardziałe.

Erhard składa banknoty i chowa je do kieszeni, resztę zawartości torebki ukrywa za książkami, razem z palcem. Nie jest to bardzo oryginalna kryjówka, ale żadna inna nie przychodzi mu na myśl. Poza tym kto by szukał jakichś kosztowności w takiej norze.

Wyjeżdża na drogę i zatrzymuje się, wyłącza silnik i zaczyna nasłuchiwać. Na górze przy domu jej krzyki i walenie w drzwi było słychać wyraźnie, słyszał je też, kiedy już wsiadł do samochodu, dlatego bał się, że słychać je będzie też z drogi. Ale wiatr, zawsze ten wiatr, wymazuje wszystkie dźwięki. Nawet jeśli go nie słychać, i tak jest stałą częścią scenerii.

Może mógłby zostać w domu, ale musi mieć chwilę, żeby przemyśleć sytuację, kilka godzin w samochodzie, w drodze, zwykle dobrze mu robi. Krąży po mieście, po ulicach, ale około jedenastej ląduje w kolejce na Carmen. Sięga po książkę, próbuje czytać, ale myśli nie dają mu spokoju. Wyobraża sobie, jak Alina wydostaje się z szopy i biegnie naga do Guzman, wskazuje na drogę i mówi, że Eremita, ten szalony człowiek, trzymał ją w zamknięciu. Wie, że to mało prawdopodobne. Alina nie da rady opuścić szopy, która wbrew pozorom została zbudowana solidnie, deski są grube, drzwi mają cztery zawiasy, a kłódka należy do tych najmocniejszych. Trzeba by dwóch facetów z nożycami, żeby ją przeciąć. Następny scenariusz jest taki, że wraca do domu, zaprasza ją do kuchni, gdzie smaży rybę, potem jedzą ją razem, siedząc za domem, i wpatrują się w drogę na wzgórzu. A przecież on nie lubi smażonej ryby.

Kiedy idzie po kubek kawy, mijają taksówkę, w której siedzi dwóch kierowców. Kłóć się. Pedro Múñez, który zwykle jeździ w weekendy, i Alberto, starszy, który jeździ od poniedziałku do piątku po południu. Alberto woła, żeby podszedł bliżej.

– *Hola*, Jorgenson, powiedz, proszę, temu młodemu człowiekowi, dlaczego jeździmy według taksometru.

Erhard schyla się, zagląda do środka. Múñez wygląda na speszzonego.

– W czym problem?

Kiedy dochodzi do nieporozumień, koledzy często proszą go o radę. Cieszy się opinią człowieka małowównego, ale sprawiedliwego.

– Problem w tym, że Alberto źle znosi konkurencję – mówi Múñez.

– Powiedziałem tylko, że masz pobierać opłaty według wskazań taksometru, a nie dawać klientom rabat.

– Ciągłe powtarzasz, że taksometry są dla dobra klientów, to rozumiem, ale przecież sam też dostajesz rabat, na przykład kiedy kupujesz buty. Metki z cenami są dla turystów.

– To prawda – mówi Erhard.

– Nie sprzedajemy butów – wtrąca Alberto obrażony.

Múñez rozkłada ręce.

– Nie rozśmieszaj mnie. A co z dobrym klientem, który zamawia kurs z wyprzedzeniem, albo jeśli trafia się dziewczyna, która boi się sama wracać do domu?

– Wiem, że to wbrew zasadom, ale dlaczego Pedro nie może jeździć jak chce, dopóki prowadzi rachunki? – pyta Erhard.

– Bo to mój samochód – mówi Alberto. – I to ja płacę firmie i pokrywam wszystkie koszty. Kiedy dochody są niewielkie, nie wiem, czy to dlatego, że miał kiepski wieczór, czy może wziął wszystko do kieszeni. Nie zawsze wpisuje rabaty do książki rachunkowej.

– Oszukujesz go? – pyta Erhard, wiedząc, że dotknie tym Múñeza.

– Jasne, że nie – odpowiada Múñez szczerze. Czerwieni się.

– Dlaczego pozwalasz mu jeździć, skoro podejrzewasz, że cię oszukuje?

– Bo oddaję mu siedemdziesiąt procent – mówi Múñez, nie czekając na odpowiedź Alberta.

– Nigdy się nie skarżyłeś – mruczy Alberto sam do siebie.

Sprawa może się różnie potoczyć. Albo dojdą do porozumienia, albo Múñez przestanie jeździć dla Alberta i zacznie pracować dla TaxiVentury. To się już zdarzało. Alberto będzie musiał jeździć na pełen etat, przynajmniej do czasu, kiedy znajdzie kogoś nowego, kto zgodzi się pracować dla niego za nędzne pieniądze. Jest kilku kierowców, którzy wynajmują swoje wozy zmiennikom. W ten sposób zarabiają na utrzymanie wozu, a nie muszą jeździć cały tydzień na okrągło. Dla zmiennika na ogół nie jest to dobry interes. Dlatego takie rozwiązania są rzadko stosowane. Dwie duże firmy taksówkarskie – TaxiVentura i Taxinaria – zatrudniają większość taksówkarzy na wyspie.

– A gdybyś pozwolił Pedrowi zatrzymać trzydzieści pięć procent, a on przestałby dawać rabaty? – mówi Erhard, zwracając się do Alberta, który rozumie, że to ostatnia szansa, żeby dalej móc jeździć tylko w dni powszednie.

Alberto zerka na zdjęcie przyklejone taśmą klejącą do deski rozdzielczej. Zdjęcie jest stare i wyblakłe, przedstawia kobietę. Balansuje na drabinie i zbiera oliwki. Jego żona, może matka.

– Dobrze, ale zawsze musi włączać taksometr.

Múñez najwyraźniej jest przekonany, że rozwiązanie jest dla niego korzystne. Kiwa głową. Za kilka miesięcy pewnie podejmie jakąś decyzję. Erhard nie wie, na co na co dzień trwoni czas, ale jeśli chce zarabiać prawdziwe pieniądze, musi zawrzeć inną umowę. Trzydzieści pięć procent rozwiązuje problem doraźnie, pomoże Albertowi dotrzeć do emerytury.

– I masz sprzątać po sobie kubki – mówi Alberto i podaje Múñezowi papierowy kubek, który stoi w trzymadle.

Chłopak się uśmiecha, bierze kubek i wysiada z samochodu. Przez chwilę idzie ulicą razem z Erhardem, obaj z papierowymi kubkami w rękach. Podchodzą do samochodu Erharda, Erhard stawia kubek na dachu i otwiera drzwi.

– Bardzo ci dziękuję – mówi Múñez.

– Drobiazg, Pedro.

– Alberto jest miły, dlatego trudno z nim rozmawiać o takich sprawach.

– Alberto wcale nie jest taki miły. Popytaj innych, tych, którzy zaczęli jako jego zmiennicy.

– Dlaczego mi pomogłeś? Byłem przekonany, że weźmiesz jego stronę. Wiem, że się znacie.

Szczery chłopak. Ciekawski. Erhard takich lubi.

– Sprawiedliwość – mówi. – Musi być sprawiedliwie. Dostajesz tyle, ile dajesz.

– Coś jak yin i yang, tak?

– Dlaczego o to pytasz?

Chłopak jest chyba sprytniejszy, niż wygląda, albo Erhard nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Mówią, że jesteś mądrym człowiekiem, dużo czytasz i w ogóle.

Múñez patrzy przez okno na siedzenie pasażera, na którym leży książka Erharda.

– W krainie ślepców, czy jak to tam szło... – mówi Erhard i wsiada do wozu.

– Co? – dopytuje się Múñez.

– Nie wierz wszystkiemu, co słyszysz. A jeśli będziesz miał jeszcze jakieś problemy, to przyjdź do mnie. – Włącza silnik i przesuwa się w kolejce.

W porze sjeisty jedzie do domu. Ma wyrzuty sumienia. Alina cały dzień spędziła w zamknięciu i w ciemności. Nasłuchuje przy drzwiach, woła, że zaraz ją uwolni. Nie czekając na odpowiedź, znajduje długi łańcuch, którego zwykle używa do samochodu, i mocuje go do metalowego kółka na szczycie dachu. Przeciąga łańcuch do szopy i otwiera drzwi.

W środku jest cicho. W pierwszej chwili widzi jedynie ciemność, tak gęstą, że pochłania całe światło. Ale po chwili dostrzega jej twarz. Stoi gotowa, próbuje precyzyjnie się obok niego. Erhard szybko znów zakłada kłódkę. Alina krzyczy z wściekłości.

– Nie rób tego – mówi Erhard.

Nie odpowiada, Erhard słyszy, jak wali w ścianę.

– Wypuszczę cię, ale nie próbuj żadnych sztuczek. Rozumiesz?

Żadnej odpowiedzi.

– Rozumiesz? – powtarza.

– Tak – rozlega się jej słaby głos.

– Stań pod ścianą, tą w głębi. I zostań tam.

Otwiera ostrożnie drzwi, zagląda do środka, cały czas przytrzymuje drzwi nogą. Alina stoi przy przeciwległej ścianie, ręce ma opuszczone. Spędziła w szopie niecałe siedemnaście godzin, ale wygląda jak rozbitek na morzu. Włosy sterczą jej na wszystkie strony. Makijaż ma rozmazany, twarz pobrudzoną ziemią

i kurzem, w spodnium ma dziurę na udzie, poza tym jest brudne i pomięte. Erhard podchodzi bliżej, dziewczyna patrzy przestraszona to na niego, to na łańcuch, który trzyma w ręku.

– Wkrótce cię puszcze, jak tylko policja odkryje, że nie mają winnego.

Alina się nie odzywa.

– Dzwonił telefon?

Nie patrzy na niego. Erhard chwyta ją za ramiona i potrząsa.

– To ważne. Dzwonił telefon?

Ma nadzieję, że dziennikarz zadzwoni do niego i powie, że był na rozprawie i że policja postanowiła kontynuować dochodzenie. Może sam powinien iść do sądu. Rozprawa była zapewne otwarta dla wszystkich.

Powtarza pytanie, ale Alina spuszcza wzrok.

Pokazuje jej łańcuch.

– Pomyślałem, że przywiążę ci go do nogi. Wtedy będziesz mogła wyjść na zewnątrz.

Alina kręci głową, Erhard klęka, obwiązuje łańcuchem jej kostkę i zakłada kłódkę. Zaciąga go mocno, na pewno kostka będzie ją boleć, ale lepsze to, niż gdyby musiała siedzieć w ciemności. Łańcuch jest na tyle długi, że może wejść do domu. Może iść do toalety. Może iść do kuchni, może też otworzyć szafkę, którą Erhard specjalnie opróżnił z kieliszków i szklanek, i wstawił do niej butelki z wodą, herbatniki i pudełko starych kruchych ciasteczek. Nie będzie co prawda mogła zamknąć drzwi, ale to nie ma znaczenia. Tu i tak nikt nie przychodzi.

Oprowadza ją po domu, pokazuje, co może robić.

– Do komórki i półki na książki nie dosięgniesz, więc nawet nie próbuj. Możesz siedzieć, możesz spać. – Wskazuje dłonią na kawałek starego materaca, który położył obok drzwi. Alina patrzy na niego niezainteresowana, niemal z pogardą. Spodziewał się, że będzie mu wdzięczna, więc jest poirytowany. Czuje się zdezorientowany, chciał być dla niej miły, potraktować ją jak gościa. Jej opłakany stan i brudne puciołowate policzki sprawiają, że ma wyrzuty

sumienia. Ale przecież nie zasłużyła na nic innego, tłumaczy sobie. Poza starym materacem i łańcuchem wokół kostki. Zostawia ją i gotuje wodę na kawę.

Alina stoi dłuższą chwilę bez ruchu. W końcu siada na materacu, Erhard słyszy, jak łańcuch uderza o podłogę. Nalewa kawę i pije, siedząc na krześle, z którego widzi jej stopy.

– Chyba nie zamierzasz robić mi kompromitujących zdjęć?

– Dlaczego miałbym coś takiego robić?

– Dużo mężczyzn to robi. A potem umieszcza je na jakichś stronach, nawet nie pytając o pozwolenie.

– Nie jestem jednym z twoich chorych klientów.

– Ale chory jesteś. Jedyna różnica polega na tym, że nie mam ochoty się z tobą pieprzyć.

– Przestań wygadywać takie rzeczy – mówi Erhard i wypija kawę. – Nie mam pojęcia o co ci chodzi, ale jest mi wszystko jedno.

Kiedy Erhard przechodzi obok materaca, Alina śpi. Przeszywa go uczucie zadowolenia, niemal radość, że trochę się odprężyła, wygląda jak mała zmęczona dziewczynka w przedszkolu, odpoczywająca po dniu spędzonym na placu zabaw. Erhard zamyka drzwi, na tyle na ile pozwala łańcuch.

Holenderskie ferie zimowe zaczynają się w tym roku wcześniej niż zwykle. Nagle dwa, trzy samoloty dziennie wypluwają podróżnych, którzy potem spacerują ulicami Carralejo. Erhard wozi ich do Las Dunas, do portu, do hotelu.

Nagle, po uwadze Aliny, zaczyna zwracać uwagę na wszechobecne kamery i aparaty fotograficzne. Klienci fotografują przez szyby taksówki, robią zdjęcia sobie nawzajem, robią zdjęcia jemu, podczas jazdy. W okolicach Las Dunas dwóch facetów filmuje słońce, wydmy, kozy. Dawniej, kiedy jeździł na wakacje z rodzicami, zrobienie zdjęcia wymagało chwili namysłu. Z dwudziestoma czterema albo trzydziestoma sześcioma zdjęciami na kliszy i tylko dwiema dodatkowymi rolkami w walizce trzeba było wszystko dokładnie zaplanować. Dziesięć zdjęć dziennie. Nie robiono zdjęć niepotrzebnych. Nie fotografowano

przypadkowych kóz ani przepoconych skarpetek, ani przeciętnych dań w przeciętnych restauracjach. Nie robiono zdjęć nieznanym ludziom, śmieciom w przydrożnym rowie ani bezchmurnemu niebu. Zdjęcie było czymś wyjątkowym. Teraz jest inaczej. Zdjęcia są robione w nadmiarze. Fotografuje się wszystko. A potem wywołuje w jakimś miejscu w Internecie, o ile dobrze rozumiał. Przypomina sobie dziewczynę, która robiła zdjęcie swojej przyjaciółce z językiem w szyjce butelki po piwie na tle dyskoteki Corralejo Beach na Calle Cervera.

Ciekawe, czy może w Internecie jest też zdjęcie samochodu, a jeszcze lepiej jego właściciela, kiedy przybył do Cotillo? Może jest też zdjęcie matki albo ojca chłopca, którzy żegnają się z synkiem przez szybę. Zdjęcie samochodu stojącego samotnie na plaży, podczas gdy woda zalewa piasek?

Okolo szóstej włącza radio, słucha wiadomości. Tym razem są to jednak wyłącznie wiadomości z zagranicy, nie lokalne. Może sprawa w sądzie została odroczone, a może historia chłopca nikogo już nie interesuje. Chce skontaktować się z Bernalem, żałuje, że nie zna nikogo z policji, kto zdałby mu sprawozdanie z tego, co się działo w sądzie, który stoi po drugiej stronie Zamku. Dwie władze, sądownicza i wykonawcza, są tu blisko siebie. Stojąc w drzwiach komisariatu, słyszy się uderzenie młotka na sali sądowej. Dosłownie.

Na kolację zamawia kurczaka, który przez cały dzień obracał się na rożnie na rynku, do tego tackę pomidorów pokrojonych w talarki i wymieszanych z kawałkami twardego sera owczego. Kupuje podwójną porcję, ma nadzieję, że Alinie będzie smakować. Łatwiej mu będzie, jeśli zdoła ją trochę uspokoić, jeśli przekona ją do własnego spojrzenia na sytuację. Oczywiście słyszał o syndromie sztokholmskim, ale nie wie, kiedy występują pierwsze objawy.

Alina nie słyszała o żadnym syndromie, nie znosi kurczaków, smakują jak guma, ma go gdzieś, siedzi wściekła na podłodze i uderza w nią łańcuchem, co doprowadza Erharda do szaleństwa. Zaczyna się zastanawiać, czy nie powinien jej zaprowadzić z powrotem do szopy. Mówi jej to, a ona wykrzykuje mu



w twarz, że jest żalosnym *extranjero* i niech robi z nią, co, kurwa, chce. Pluje, syczy i uderza łańcuchem o podłogę. W końcu Erhard wychodzi z domu, idzie nakarmić Laurela i Hardy'ego, kozy stoją na stoku wzgórza i liżą kamień. Ma poczucie, że został wyrzucony z własnego domu, ale ma nadzieję, że za kilka godzin będzie mógł ją puścić. Jest mu wszystko jedno, co zrobi policja, jeśli Alina oskarży go o porwanie. To znaczy prawie wszystko jedno. W głębi duszy ma nadzieję, że do tego nie dojdzie, że dziewczyna skryje się w mysiej dziurze i tam zostanie. Żadnych klientów, żadnych prochów. Chociaż słuchając jej głosu dochodzącego z domu, wcale nie jest pewien, jak sprawy się potoczą.

Ze wzgórza ma widok na wybrzeże, widzi szarą, niemal siwą wodę, która napływa z Indii Zachodnich i z Ameryki Południowej i – jak wszystko inne – rozbija się o postrzępione wybrzeże. Laurel dzwoni swoim dzwoneczkiem, próbując się dostać do jego paska. Drapie go za uchem i daje garść karmy, którą ma w torebce.

Kiedy wraca do domu, Alina siedzi na podłodze w kuchni. Wyrzuciła wszystko z szafy: miód, ryż, pieprz, wszystko leży na podłodze. Zachowuje się jak nieznośne dziecko. Na szczęście nie była w stanie dosięgnąć lodówki, chociaż niewiele by tam znalazła. Jej łososiowe spodnium jest nie do poznania, wygląda jak strój więźnia.

– Pomóż mi w jednej sprawie, to cię puszczę.

I znów – wbrew jego oczekiwaniom – niemal żadnej reakcji. Uderza go, że w Alinie nie ma życia, ona nie ma już żadnych nadziei. Może jej ostatnią nadzieją na cokolwiek była podróż do Madrytu? A teraz on jej ją odebrał.

– Mówiłaś o zdjęciach, które się publikuje w Internecie. Gdzie to można zrobić?

Alina patrzy na niego, mruży oczy.

– O co ci chodzi?

– Jeśli ktoś chce znaleźć jakieś zdjęcie, to gdzie ma go szukać?

– Mam nadzieję, że nie chodzi ci o moje zdjęcie.

– Nie. – Erhard podejrzewa, że ma na myśli zdjęcia pornograficzne. Nie ma ochoty ich szukać. – Chodzi mi o zdjęcie samochodu na plaży w Cotillo. Słyszałem, jak klienci opowiadają, że znajdują zdjęcia w sieci, zdjęcia robione kilka godzin wcześniej, kilka dni wcześniej. Pomyślałem, że może są tam też jakieś zdjęcia matki albo ojca chłopca, kiedy przyjechali tu samochodem.

– Niczego więcej się nie dowiedziałeś, czteropalczasty?

– Powiedz tylko, gdzie można je znaleźć.

– Nie potrafię ci powiedzieć. Są wszędzie. Poszukaj w google'u. – Alina wstaje, podchodzi do materaca przy drzwiach, siada. Jak zmęczony pies.

– Pomóż mi je znaleźć, to oddam ci papierosy.

– Chrzań się, i tak już mi wszystko popsujesz. Nie polecę do Madrytu.

– Uratowałem cię. Na pewno żałowałaś, zaraz po tym, jak byś podpisała umowę.

– Żałuję chwili, kiedy przyjechałam na tę przeklętą wyspę. I tej kiedy moja matka, niech się smaży w piekle, wydała mnie na świat.

– Pomóż mi, pomóż chłopcu.

– Nic nie rozumiesz? Nie obchodzi mnie jakiś chłopiec. Jeśli się zgodzę, to tylko po to, żeby stąd wyjść.

– Zawiozę cię do miasta, jak tylko znajdziemy to, czego szukam.

– A jeśli nie znajdziemy? Jeśli zdjęcie, którego szukasz, nie istnieje?

– Jeśli mi pomożesz, pozwolę ci odejść, niezależnie od tego, czy znajdziemy zdjęcie, czy nie.

Alina patrzy na niego, wzrusza ramionami. To chyba znaczy: Dobrze.

– Więc jak to się robi? – pyta Erhard.

– A skąd ja mam wiedzieć. Wpisz to w google'a – mówi i rozgląda się. – Gdzie masz komputer?

Erhard patrzy na nią zdziwiony.

– Nie masz komputera?

– Nigdy nie był mi potrzebny.

– To jak to sobie wyobrażasz? Że będziemy szukać w mojej komórce? Możemy, ale będzie cię to sporo kosztować. Zapłacisz?

Erhard już chce powiedzieć, że tak, ale nie robi tego. Mówi:

– Znajdź zdjęcie, a natychmiast uwolnię cię z tego łańcucha.

– Gdzie jest moja torebka?

Erhard milczy, idzie do pokoju, wyjmuje jej komórkę, podaje jej.

– Cotillo Beach. Siódmego albo ósmego stycznia.

– Nie zostało mi dużo baterii. Nie wiem, na ile mi starczy.

Zaczyna wciskać różne klawisze. Erhard staje za nią, chce obserwować każdy jej ruch. Mogłaby przecież wpaść na pomysł, żeby zadzwonić na policję albo wysłać wiadomość komuś znajomemu. Ale nie, ściąga zdjęcia, Erhard widzi je na ekranie.

Znów wciska jakieś klawisze. Wstukuje datę. Pokazują się zdjęcia brzegu, ale żadnego nie zrobiono tego dnia, o który mu chodzi. Lato, zima, można to rozpoznać po wyglądzie nieba: zimą jest metalicznie białe, latem białozółte. Pokazuje kilka zdjęć Erhardowi. Zdjęcie urwiska, morza widzianego z brzegu. Zdjęcia surferów, jakichś kobiet, stoją owinięte ręcznikami, i mężczyzny, który wygląda przez składany dach wynajętego samochodu. Zdziwiająco dużo zdjęć. Erhard patrzy, jak przewijają się przez ekran, zaczyna mu się kręcić w głowie. Zdjęcia wysyłane przez powietrze. Na kablach trochę się zna, ale to jest technologia, której nie jest w stanie pojąć.

Czas mija. Był przekonany, że wszystko pójdzie szybciej. Wyobrażał sobie, że jest jakiś rodzaj kartoteki, w której pod konkretną datą można znaleźć konkretne zdjęcia. Alina powtarza, że zdjęcia wiszą w różnych miejscach, no i połączenie jest kiepskie. Znalezienie każdego zdjęcia wymaga czasu. Próbuje mu to wytłumaczyć, ale on nic nie rozumie. Na dworze jest już ciemno. Robi im obojgu kawę z proszku. Nalewa wody do kubków, na chwilę zapomina, że Alina jest jego więźniem, że przetrzymuje ją wbrew jej woli, że nie jest córką sąsiada, która wpadła pokazać mu kilka zdjęć. Podaje jej kawę, Alina stawia kubek obok materaca.

– Może nie ma żadnych zdjęć – mówi Erhard.

Alina pokazuje mu kolejne, same przypadkowe zdjęcia turystów, plaży, Las Dunas z nienaturalnie błękitnym niebem, targ w Morro de Jable ze stosami oliwek.

– Chyba rzeczywiście nic nie ma – mówi.

– Jutro odwiozę cię do domu – odpowiada Erhard zmęczony i kładzie się na kanapie.

– Obiecałeś, że odwieziesz mnie teraz.

– Tak, pod warunkiem że znajdziesz zdjęcie. Odwiozę cię jutro.

Alina kopie kubek. Turla się po podłodze, kawa obryzguje kuchenkę i książki leżące na najniższej półce regału. Erhard leży i nasłuchuje w milczeniu. Słyszy tylko uderzenia łańcucha o podłogę. Cieszy się, że wkrótce się jej pozbędzie. Dziwnie się czuje, mając ją w pobliżu, w swoich czterech ścianach. Nigdy nikt obcy nie nocował w jego domu, ściany są za cienkie, brakuje miejsca. Opada na poduszki na kanapie...

– ...ola, czteropalczasty, szukaj kluczyków do samochodu.

Erhard się budzi, widzi, że coś na niego leci, but, kapelusz.

– Mam coś.

Alina siedzi na podłodze w kuchni i na tyle, na ile łańcuch jej pozwala, wymachuje komórką. Nie jest jeszcze jasno, niebo jest brązowe. Wkrótce nad wodą pokaże się słońce i rzuci biały zakurzony promień na szyby w oknach.

– Kończy się bateria, musisz to zobaczyć teraz.

Kłamie? Kontynuowała poszukiwania po tym, jak on zasnął? Może niczego nie znalazła, tylko chce go w ten sposób ściągnąć do siebie?

Erhard obraca się na kanapie, czuje, że ciągnie go w plecach, to już stała część jego porannej sztywności. Musi się rozruszać. Tak po prostu jest. Odpycha się od krawędzi kanapy, wstaje. Alina nie wygląda wrogo, jest raczej podniecona. Siedzi z rozłożonymi na boki nogami, jak mała dziewczynka, która toczy po ziemi szklane kulki.

– To surferzy, ale widać też samochód – przewija zdjęcia, zatrzymuje się przy jednym, wciska jakiś klawisz, podaje mu komórkę.

Erhard jest pod wrażeniem, chociaż stara się tego nie okazać. Jest zdziwiony. Nie wierzył, że Alina będzie w stanie mu pomóc. Jej reakcja wieczorem nie wróżyła powodzenia. Dziwki rzadko bywają inteligentne, ale przecież ona nie jest taka jak inne, już wcześniej to zauważył.

Zdjęcie jest małe, trudno na nim coś zobaczyć. Musi się dobrze wpatrywać. Przysuwa komórkę do twarzy. Jest wczesny ranek. Jak teraz. Piasek jest gładki, złoty, równy. W dole widzi volkswagena. To ten. Nie ma wątpliwości. Czarny, obce ciało na brzegu. Przyćmione szyby, które ukrywają chłopca w pudełku.

Przeszywa go dreszcz. Ma coś, czego nie ma policja. Trop, który prowadzi w nową stronę. Przy przednich kołach widać wodę. Erhard wie, że w środku, na tylnym siedzeniu, leży chłopiec. Jest martwy. Autor zdjęcia tego nie wiedział. Wtedy na pewno, ale później też nie. Po prostu zrobił zdjęcie.

– Jest ich więcej – mówi Alina. – Zrobił je jakiś MitchFever.

– MitchFever – Erhard czyta mały czarny napis na górze zdjęcia, pyta, co ma zrobić, żeby zobaczyć pozostałe.

Alina pokazuje mu kolejne. Na jednym widać plecy surfera: wkłada strój i rusza z deską. Niesie ją nad głową. Nagle ekran robi się czarny.

– *Shit, shit, shit!* – wykrzykuje Alina.

## 31

Ładowarka jest w jej mieszkaniu, które wynajmuje nad barem na Calle Taoro. Ale Alina proponuje, żeby zamiast po nią jechać, Erhard załatwił komputer. A jeszcze lepiej komputer z szybkim Internetem. Erhard nie ma pojęcia, jak to zrobić. Wie, że w pracy, w pokoju śniadaniowym, jest komputer, a może mógłby pożyczyć jakiś od Raúla albo Ponduela, który studiował informatykę. Ale Ponduel to dupek. Nic go nie interesuje.

- Każdy, kto ma Internet, może ci pomóc równie dobrze jak ja – mówi Alina.
- Znalazłam zdjęcia, więc odwieź mnie do miasta.

Erhard wstaje, kręci mu się w głowie. Idzie na drugi koniec pokoju, tam, gdzie Alina nie może go widzieć. Postanawia, że zabierze ją do miasta, liczy, że zgodzi się mu nadal pomagać. Ale przecież nie może jej zabrać ze sobą ani do centrali, ani do Raúla. Jak by się wytłumaczył? A ona na pewno od razu zaczęłaby krzyczeć i wołać o pomoc.

- Pojadę po ładowarkę. Nie mam komputera.
- Odwieź mnie, pomogę ci szukać.

Erhard ma wrażenie, że za tymi słowami coś się kryje.

- Nie – mówi. – Zostaniesz tutaj. Przykro mi.

Widzi, że Alina zaraz wpadnie w szal, ale nie, jednak się powstrzymuje.

Erhard chce najpierw porozmawiać z Diego Narváezem i wysłuchać wiadomości, dowiedzieć się, czy policja nadal prowadzi dochodzenie. Dopiero potem może ją puścić. Ale boi się jej to powiedzieć. Cierpi, że musi ją więzić.

- Dam ci pieniądze, które ci obiecałem. Tylko znajdź mi te zdjęcia.

Alina uśmiecha się swoim chorym uśmiechem.

– Jak mam ci wierzyć, czteropalczasty, skoro ciągle zmieniasz zdanie? Już trzy razy obiecywałeś, że mnie puścisz.

– No dobrze, nie znam się na komputerach i takich rzeczach, i potrzebuję twojej pomocy.

– Tyle zrozumiałam. Ale ja też nie jestem świrem komputerowym. Znajdę kogoś, kto jest lepszy ode mnie.

- Jak wygląda twoja ładowarka?

– Chrzań się – mówi Alina i pluje za nim.

Z jakiegoś powodu Erhard odczekuje kilka minut w samochodzie, dopiero potem wysiada i przechodzi przez ulicę. Jest tak wcześnie, że rolety we wszystkich mieszkaniach są opuszczone. Okna sprawiają wrażenie pogrążonych we śnie. Z La Mar Roja na rogu dochodzi muzyka, to ulubiony bar marynarzy, zawsze

jest otwarty. Na murku naprzeciwko siedzi zdenerwowany młody chłopak. Pali, dym wychodzi mu uszami i nosem, macha nogą. Wpatruje się w drzwi baru, jakby chciał go okraść. Jeden z wielu miejscowych aktualnych albo byłych narkomanów, tak żałosnych, że nie są w stanie zarobić na sobie ani sprzedając rzeczy ze skóry, ani udając nieruchome figury na plaży. Nieco dalej jakiś mężczyzna zamiata miotłą ulicę.

Erhard kieruje się do drzwi po lewej stronie baru. Nad wejściem wisi duży obraz przedstawiający szkuner w paszczy wieloryba. Otwiera drzwi kluczem, patrzy na kartki z nazwiskami przyklejone taśmą klejącą do drewnianych skrzynek w kolorze błękitnego morza. Nie znajduje nazwiska Aliny. Na skrzynkach są tylko męskie imiona. Z wyjątkiem mieszkania na samej górze. Angelina Mariposa. To może być ona. Zastanawia się, czy iść po schodach, ale w końcu wybiera windę, która zresztą czeka na niego na parterze.

Przekręca klucz i wchodzi do środka. Zamyka za sobą drzwi.

W mieszkaniu jest bardzo ciemno. Czarne zasłony zatrzymują światło. Rozsuwa je, żeby coś widzieć w mieszkaniu. Nie wie dokładnie, czego szuka, ale widywał już ładowarki, sprawdza w kontaktach. Mieszkanie nie jest nowe, ale odremontowane. Wszystko wydaje mu się czworokątne, ostre cięcia. Na regale z tanimi drewnianymi półkami za zasłoną stoi co najmniej trzydzieści par butów. Jasnoróżowe i czarne szpilki z wąskimi noskami. Zabawne. Erhard ma tylko jedną parę butów. Zwykle chodzi w butach, aż się rozpadną. Szybko znajduje ładowarkę. W małej czarnej kuchni wisi nad stołem, przy którym jest miejsce dla dwóch osób. Na blacie stoją dwa kieliszki, w jednym jest resztką białego wina. Obok, na okładce amerykańskiego pisma dla kobiet, stoi buteleczonek z łososiowym lakierem do paznokci. Nie ma natomiast żadnej kuchenki ani piekarnika, jest tylko krótki blat i czarna lodówka. Alina, podobnie jak on, nie przepada za gotowaniem, ale jak przygotowuje sobie posiłki? A może jada poza domem, może płacą za nią mężczyźni? Bierze ładowarkę, przygląda się czarno-białemu zdjęciu Aliny, które wisi na lodówce, przypięte magnesem. Ładne, Alina

trzyma w ręce kieliszek szampana i śmieje się, jakby na świecie nie było żadnych zmartwień. Tuż nad jej dekoltem widnieje napis: Dobre towarzystwo?

Na samym dole: alinacompania.es.

Erhardowi trudno pojąć, że dziewczyna, która wygląda jak gwiazda filmowa, siedzi teraz w jego domu z łańcuchem u nogi.

Już chce wychodzić, kiedy nagle czuje dziwny zapach. Podąża za nim do sypialni, ciemnej jaskini z dużym falującym łóżkiem przykrytym czarnym kocem. Zapach jest mocny: cynamon i cytrusy. Rzadko się zdarza, żeby w ogóle poczuł jakiś zapach, żeby zwrócił na niego uwagę. Po lewej stronie stoi szafa z czarnego drewna. Otwiera drzwi, wkłada ręce między suknie z cekinami i kostiumy z niemal przezroczystego materiału. Nie raz marzył, żeby pójść do sklepu z bielizną, patrzeć na piękne, delikatne materiały, czuć je między palcami, a teraz, kiedy w końcu ma okazję, brakuje mu odwagi. W końcu jednak sięga do szuflady. Wyjmuje miękkie białe spodnie, T-shirt z dużymi literami i różową bieliznę z niebieskim rantem. Wygląda niemal jak bielizna dla dziecka. Bierze wszystko, upycha w spodniach. Wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Staje, przepuszcza jadącą ulicą ciężarówkę, idzie do samochodu.

– Erhard.

Odwraca się, ale już wie, kogo zobaczy. To jedna z niewielu osób, które wymawiają jego imię niemal tak, jak brzmi po duńsku.

Raúl Palabras macha ręką do mężczyzny, który idzie w przeciwnym kierunku, i podbiega do Erharda. Wygląda na odprężonego. Ma rozpiętą koszulę, podwinięte rękawy i starannie uczesane włosy.

– Byłem w barze i zobaczyłem, jak wychodzisz. Co ty tu robisz o tej porze?

– A co ty tu robisz? Sam, bez Bei? – ripostuje Erhard.

– Pesce i ja wypiliśmy o kilka piw za dużo. Bea wróciła wcześniej – mówi Raúl. Jedną ręką łapie Erharda za rękę, drugą kładzie mu na ramieniu, jakby chciał go obrócić. – Odwieszysz mnie do domu?

Erhard nie wie, jak mu odmówić. Zresztą nie ma powodu mu odmawiać. Skoro i tak ma po drodze.



– Dobrze, podrzucę cię gdzieś w okolicę domu. Muszę zarabiać, jak zapewne wiesz.

– No tak, pieniądze.

Patrzą na siebie chwilę.

– Co tam masz? – pyta Raúl, wskazując na ubrania i ładowarkę.

– Rzeczy, które obiecałem przywieźć klientce.

Raúl się śmieje.

– Staruszk, uważaj na siebie.

– Zamknij się, szczeniaku – mówi Erhard, otwiera drzwi i wsiada.

Raúl podchodzi z drugiej strony i zajmuje miejsce od strony kierowcy. Ruszają. Erhard zdążył rzucić ubranie na tylne siedzenie, żeby Raúl nie zauważył, że to kobiece ciuszki. Nie ma siły mu teraz tłumaczyć. Nie jest gotowy powiedzieć mu, co się stało.

Jadą jednokierunkowymi ulicami. Raúl skarży się, że jest zapracowany i ma dosyć ludzi, którzy nie robią tego, o co się ich prosi. Erhard się śmieje, po chwili są pod domem Raúla.

– Wejdz na górę – zaprasza go Raúl. – Wypijemy sunrise, obserwując *sunrise*.

– Słońce już dawno wstało, Raúl – mówi Erhard.

– No to wypijemy bloody. Chodź. Potrzebuję cię, *Hermano*. – Tak do niego mówi, kiedy jest naprawdę zdesperowany.

– Po co? Żebym się upił? Idź na górę i wyśpij się u boku swojej piękności. Na pewno się niepokoi.

– A gdzie tam. W tym problem. Ona mnie nienawidzi.

– Daj spokój. – Erhardowi trudno w to uwierzyć.

– Do diabła, Erhardzie, ona chce mnie rzucić.

– Tak ci powiedziała?

– Nie, ale nie kocha mnie już tak jak dawniej. Ja to wiem. Chodź ze mną na górę. Ona za tobą szaleje. Traktuje cię jak przyszywanego wujka, coś w tym rodzaju. Obudzimy ją śniadaniem i szklaneczką bloody.

Erhard kieruje się do garażu podziemnego pod budynkiem, ale Raúl mówi, że garaż jest w przebudowie. Parkują więc na opuszczonym placu budowy niedaleko HiperDino, schodzą uliczkami do portu, docierają do mieszkania. Na ulicy przed drzwiami leży Sure Enrique, jak go nazywają, ze swoim kijem baseballowym. Ruszają na górę szerokimi schodami, Raúl ucisza Erharda. Erhard spogląda na ulicę i widzi tego samego zdenerwowanego mężczyznę, który siedział na murku naprzeciwko baru. To zapewne przypadek. Mieszkanie znajduje się w budynku na obrzeżach najruchliwszej dzielnicy miasta. Może facet przyszedł coś sprzedać albo kupić, albo idzie się przespać na plażę.

– Co robiłeś przed barem? – pyta Raúl.

– Pamiętasz sprawę samochodu na plaży, tego wieczoru, kiedy była burza?

– Tak, został skradziony – mówi Raúl, stoi plecami do niego. – Wiesz coś więcej? Słyszałem, że policja znalazła matkę chłopca.

– Tak twierdzą, ale to kłamstwo.

Raúl się zatrzymuje.

– Kto kłamie? Papierolodzy? – Tak Raúl określa policjantów.

– Tak. Znaleźli prostytutkę, która nie ma z tym nic wspólnego. Zapłacili jej, żeby wzięła winę na siebie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dowiedziałem się tego i owego.

– Bawisz się w Colombo?

Raúl otwiera drzwi, wchodzi do przedpokoju, z którego widać francuskie drzwi prowadzące do salonu. Beatriz siedzi przed telewizorem, śpi. Na ekranie widać kilku czarnych tancerzy, motor i mężczyznę przebranego za psa. Beatriz przeciąga się, wyciąga rękę do Raúla, przyciąga go do siebie, całuje. Pyta, co się z nim dzieło, a Raúl zamyka jej powieki i mówi, że nie powinna tyle pić. Beatriz protestuje. Nie jest pijana, śmieje się i ściska Erharda za ramię.

– Chodź, wypijemy po szklaneczce bloody.

– Nie – protestuje Beatriz, ale zgadza się wyjść z nimi na taras.

Na balkonie zaraz za rogiem widać schody, wąskie, wijące się po ścianie. Prowadzą na gorący nawet o tej porze taras na dachu. Stoi na nim ogrodowa kanapa, stół inspirowany motywami afrykańskimi, wiklinowe fotele z grubymi poduszkami, jest też niewielki blat ze zlewem i lodówka pod parasolem. Beatriz pada zmęczona na kanapę, nakrywa się cienkim kocem, od morza wieje lekka bryza.

– Erhard bawi się w śledczego – mówi do niej Raúl. – Chodzi o ten samochód na plaży.

Podchodzi do niewielkiego blatu i zaczyna wyjmować rzeczy z lodówki. Alkohol i świeży sok z cytryny. To zawsze ma pod ręką.

– To nie jest normalne, żeby się pozbywać w ten sposób dziecka – stwierdza Erhard.

– To okropne. Nie mogę tego słuchać – mówi Beatriz.

Raúl się śmieje.

– Nawet stary pies ma dobry węch. Tak się chyba mówi – stwierdza. Wyciska sok z cytryny do szklanek. W powietrzu unosi się kwaśna para.

– Niby kto tak mówi? – śmieje się Beatriz.

– A ja byłem przekonany, że Eremita żyje w swoim małym świecie, w którym jest miejsce tylko dla fortepianów, alkoholu i jeżdżenia taksówką. – Znow się śmieje. Po raz pierwszy nazwał Erharda Eremitą.

Erhard opowiada o kawałkach gazety w pudełku. Raúl jest wyraźnie zaintrygowany, pyta, czy policja zabezpieczyła ślady DNA, odciski palców i takie rzeczy. Widuje się to w serialach. Erhard mówi, że Bernal powiedział mu, że to nie takie proste, jak mogłoby się wydawać. Beatriz natomiast interesuje głównie dziecko. Czy miało przyzwoity pogrzeb? Nie można znaleźć matki? Raúl jest przekonany, że to był nieszczęśliwy wypadek: złodziej znajduje na tylnym siedzeniu dziecko, porzuca samochód na brzegu i znika.

– Przekonasz się, to na pewno dziecko tej prostytutki – przekonuje Erharda.

– Nie, rozmawiałem z nią. To nie było jej dziecko.

Zapada cisza.

– Jak to? – dziwi się Beatriz.

Erhard tłumaczy, że policja oskarżyła niewłaściwą osobę.

– Dziewczyna kłamie – oświadcza Raúl.

– Nie – mówi Erhard. – Przycisnąłem ją do muru. To nie ona to zrobiła.

– To jakieś szaleństwo – mówi Beatriz.

– Spotkałeś się z nią na mieście? – dopytuje się Raúl. Stoi plecami do niego, płucze blender, w którym zmiksował seler, cytryny i mnóstwo ziół. Wokół unosi się ostry, kwaśny zapach.

Erhard zerka ostrożnie na Beatriz.

– Jest u mnie w domu – mówi. – Ukryłem ją. Boi się policji. Wszystko mi opowiedziała, jest gotowa powtórzyć to policji.

– No proszę – Beatriz jest zachwycona.

Raúl podaje im czerwone, bardzo czerwone drinki z dużą łyżką wystającą ze szklanki. Uwielbia zmiksowanego selera.

– Tobie przyprawiłem dodatkowo, *Hermano* – mówi.

Erhard bierze szklankę, widzi na powierzchni grubą warstwę pieprzu. Dziękuje i zaczyna pić przez słomkę, wysysa nią alkohol z dna. Czysty, niczym nierozcieńczony.

– Po co się w to mieszasz? – pyta Raúl.

– Prasa się tym nie interesuje – odpowiada Erhard i wyciera usta wierzchem dłoni. – Rozmawiałem z jednym dziennikarzem. Może teraz, kiedy mam dziewczynę, coś się zmieni.

– Jak to: masz dziewczynę? – Beatriz wydaje się zaskoczona.

– Ukrywa się u mnie.

– Chce wyjechać z wyspy? Uciec policji? – dopytuje się Raúl. – Możemy jej jakoś pomóc?

Beatriz patrzy na niego z niedowierzaniem, Raúl nie należy do ludzi szczególnie skorych do pomocy. A może w jej wzroku jest coś więcej? Nie tylko niedowierzanie. Może Raúl miał rację. Już wcześniej narzekała na jego liczne przyjaciółki, na ludzi, którzy bez przerwy poklepują go po plecach, całują

w policzki, dziewczęta i kobiety ze wszystkich warstw społecznych, każdy chce uszczknąć coś z kolorowego życia syna bogacza.

– Teraz pomaga mi znaleźć rodziców chłopca. Prawdę mówiąc, przydałby nam się komputer. Może macie jakiś zbędny i moglibyście go nam pożyczyć?

– Niestety, mojego nie mogę ci dać – oświadcza Raúl. Unosi szklanę, stuka się z Erhardem. – Zawsze miło cię widzieć.

Piją. Beatriz wypija łyk, grymas wykrzywia jej usta. Raúl wypija do dna, słycać bulgotanie. Erhard idzie za jego przykładem, ale prawie nie czuje soku pomidorowego, tyle w nim selera i pieprzu, i jeszcze kilka kropel tabasco, gdzieś na dnie.

– A co z moim komputerem? Nie używam go w tej chwili – mówi Beatriz.

Raúl wzrusza ramionami.

– Miałaś wysłać jakieś e-maile. Poza tym co będzie z naszą stroną?

– Przecież wiesz, że na razie nic się nie dzieje – mówi Beatriz i ziewa tak szeroko, że widać wszystkie jej plomby.

– A co ze sklepem? – drąży dalej Raúl.

Tym razem Beatriz wzrusza ramionami.

– Nie ma o czym mówić – wtrąca Erhard. – Jakoś sobie poradzimy.

– Przepraszam, jestem okropnie zmęczona. – Beatriz wstaje, nagle wydaje się zagniewana. – Dobranoc, mój słodziutki – zwraca się do Erharda, a jednocześnie przeciąga dłonią po ręce Raúla, który patrzy za nią, ale nic nie mówi.

Gdzieś na sąsiednim dachu kobieta wiesza bieliznę na sznurku. Ciężkie, mokre bluzy obciążają sznur, antena prawie się kładzie. Bluz starczyłoby dla całej drużyny piłkarskiej. Erhard myśli o Aazie, który uwielbia piłkę nożną.

– Chyba ci nie pomogę z tym komputerem – odzywa się Raúl.

– Ja się na tym nie znam. Dziewczyna twierdzi, że na komputerze lepiej będzie widać zdjęcia. Znalazła takie, na którym samochód stoi na plaży w Cotillo. Jeszcze przed przyjazdem policji.

Raúl bierze szklanę, podchodzi do stolika, miesza kolejnego drinka.

– Naprawdę coś na nim widać? Z którego jest dnia?

– Musimy mu się lepiej przyjrzeć. Zrobimy to, jak tylko wrócę do domu.

Erhard chciałby jak najszybciej odwieźć Alinę do domu i mieć to już za sobą. Chociaż bardzo mu zależy na rozwiązaniu sprawy i zdążył nawet polubić Alinę, wie, że nie powinien jej więzić. W końcu jest tylko trochę szaloną dziewczyną, która lubi buty. Zastanawia się, czy nie poprosić Raúla o drobną pożyczkę, żeby móc wysłać Alinę do Madrytu i dać jej kilka tysięcy euro. Ale nie teraz. Może później. Jutro.

– Nie zapominaj korzystać z życia – mówi Raúl i podaje mu kolejnego drinka.

– *Salud*.

– *Salud* – odpowiada Erhard. – Tak, wiem, ale nie mogę pojąć, jak można coś takiego zrobić. Wyrzucić takie maleńkie dziecko, włożyć małego niewinnego chłopca do pudełka i go zagłodzić.

– Żeby zdać na prawo jazdy, trzeba mieć trochę oleju w głowie, ale nie trzeba mieć serca, żeby zrobić dziecko. Tak kiedyś powiedział pewien mądry człowiek. Ta suka nie jest matką, nie ma duszy, interesuje się tylko sobą.

– Ale to nie ona. Nie ta prostytutka. Jestem tego pewien. Twierdzi, że któryś z miejscowych bogaczy jest gotów zapłacić jej, byle tylko się przyznała, a policja się na to zgadza, bo chce zamknąć sprawę.

– Miejscowy bogacz. Są tacy poza moim ojcem? – śmieje się Raúl. – *Prost*.

– *Prost*.

Piją.

– À propos twojego ojca – zaczyna Erhard. – Słyszałeś, że przekonałem go, żeby zaczął grać też inne utwory? Nie tylko *Coral*?

Raúl dorastał z ojcem pochłoniętym *Coral*, słuchał tego utworu co wieczór, zawsze, kiedy przychodzili goście, a po śmierci Saffin, jego drugiej żony, w 1999 roku, pewnie także co rano i w południe. Był już wtedy po dwudziestce i mieszkał w przybudówce na końcu ogrodu.

– Tak, do diabła. Baya zadzwoniła. Twierdzi, że jesteś genialny. Najwyraźniej obudził się z letargu. Nagle znów zaczął się interesować swoimi interesami, zmienił testament i w ogóle. Sto milionów przeszło mi koło nosa.

– Tak...

Erhard nie brał pod uwagę takich skutków. Czuje, że kręci mu się w głowie, nie wie, co powiedzieć.

– Chyba zostawi parę centów jedynemu synowi. Ale to tylko pieniądze, nic poza tym, sam nie wiem, czy w ogóle chcę coś od tego dupka. *Cheers*.

Typowe Raúlowe gadanie. Pełne pogardy dla majątku ojca. A jednocześnie bez oporów przyjmuje jego pieniądze, nie robiąc nic, żeby coś zarobić samemu.

– *Cheers* – odpowiada Erhard i czuje, że musi usiąść, żeby nie wypaść przez poręcz tarasu.

Kręci mu się w głowie, jest oszołomiony. Jakby ciało spało, ale myśli były rozbudzone. Nieco oszołomione, ale przytomne. Zastanawia się, czy Raúl nie próbuje go upić, to nie byłoby nic nowego. Raúl sam albo pije do upadłego, albo w ogóle nie pije. Nie ma mowy o piwie do lunchu czy małej Irish Coffee po jedzeniu. Podobnie było, kiedy grali w pokera. Raúl grywał spokojnie, wszystko kalkulował, rozważał wszystkie za i przeciw. Zawsze balansuje na krawędzi bankructwa albo idzie na całość. To właśnie te cechy czynią go interesującym, ludzie lubią przebywać w jego towarzystwie. Ale z drugiej strony to właśnie męczy Beatriz. W życiu Raúl'a zawsze jest albo niedziela, albo poniedziałek.

– Połóż się na kanapie – mówi Raúl. – Musisz się przespać.

Erhard mamrocze: Dziękuję. Próbuje powiedzieć coś o Alinie. Jest tam sama. Muszę do niej wracać. Czeka na mnie. Obiecałem. Raúl dotyka jego powiek swoją miękką dłoń, zamyka je. Spokojnie, spokojnie. Jego łagodny głos dociera do Erharda przez dźwięki ulicy, która budzi się do życia. Jakieś dziecko w porcie woła brata. Wielka dłoń dziecka wciska głowę Erharda w poduszki na kanapie.

# Ciało

20 stycznia – 28 stycznia

## 32

– Jesteście gotowi na przyjęcie Carmen, naszej świętej?

Budzi go donośny głos dochodzący gdzieś z ulicy. Siada na kanapie, rozgląda się po pustym tarasie. Rozpoznaje głos. Dochodzi z głośnika zamontowanego na starej maździe, która krąży po mieście, zachęcając ludzi do udziału w uroczystościach dwudziestego trzeciego lutego.

– Zgłoś się, weź udział w wielkim świętowaniu.

Słońce wskazuje na to, jest już po dwunastej. Złowrogi żar bije z nieba, nie ma żadnych cieni. Wieczne drinki nadal stoją na stoliku. Smętne resztki. Z wyschniętymi plasterkami cytryn wokoło. Beatriz i Raúl pewnie jeszcze śpią, skoro go nie obudzili.

Wstaje i widzi, że praczka z dachu sąsiedniego domu bacznie mu się przygląda. Macha do niej ręką, ale ona schodzi na dół, zostaje pusty sznur do bielizny. Erhard bierze z lodówki wodę Perrier, odkręca nakrętkę. Wypija łyk i zaczyna schodzić na balkon. Drzwi są otwarte, firanki trzepoczą na wietrze.

Wchodzi do kuchni, idzie do salonu, wraca na balkon, jakby się spodziewał, że znajdzie tam Raúla i Beatriz. Znów idzie do salonu, potem do jadalni, jeszcze nigdy tam nie był. Idzie dalej, do gabinetu Raúla, który sprawia wrażenie nieużywanego, i w końcu dociera do sypialni, otwiera drzwi nogą. Spodziewa się, że zastanie ich leżących na sobie albo Raúla trzymającego Beatriz przed



sobą, pieścącego jej piersi, wściekłego i podnieconego jak osioł. Ale sypialnia jest pusta. Łóżko jest niezasłane, jakby ktoś opuścił je w pośpiechu.

Woła Raúla, kilka razy powtarza jego imię. Za każdym razem brzmi to coraz bardziej ponuro, jakby ktoś przecinał słowa na pół albo jakby ściany je połykały. Raù. Ra. R.

W holu otwiera niewielką komodę, przeszukuje ją. Szuka kartki i długopisu, chce zostawić wiadomość, powinni zaraz wrócić, może nawet już za chwilę. Nagle czuje coś pod butem, schyla się, to komplet kluczy ze znaczkiem Mercedesa i klucze do mieszkania. Pewno Raúla. Musiał je upuścić, a potem o nich zapomnieć. Erhard podnosi je i w tym momencie słyszy jakieś dźwięki z gabinetu. Kiedy zaglądał tam wcześniej, nikogo nie zauważył. Gdyby był u siebie, pomyślałby, że to kozy skrobią w ścianę, jak zwykle, kiedy zbliża się deszcz albo za bardzo wieje. Ale tutaj? Dom ma zaledwie trzy lata, stoi jakieś trzydzieści metrów nad poziomem morza, tu nie ma kóz, szczurów ani innych zwierząt, które mogłyby drapać w ścianę. A może to jakaś mewa wypatrująca na balkonie frytek, smażonych w głębokim tłuszczu krewetek albo innych smakołyków, które zwykle można znaleźć w porcie. Erhard podchodzi do drzwi. Gabinet jest ciemny, nie pasuje do reszty mieszkania, Emanuel Palabras odcisnął tu swój ślad: mahoniowe biurko, obite skórą fotele, dwie tarcze w kształcie liści obciążnięte kolorową skórą. Dźwięk ucichł. Erhard podejrzewa, że dochodził z dużej szafy wnękowej: jedne drzwi są uchylone, czarna szczelina biegnie od podłogi do sufitu.

Erhard przesuwa je. Półki spadły, wszędzie leżą ubrania, kartony pełne krążków CD i zwoje kabli komputerowych.

Co drugi, trzeci miesiąc Raúl przedawkowuje, bierze coś, cokolwiek, co akurat wpada mu w ręce. Nie robi tego celowo, tak po prostu funkcjonuje jego umysł. Kiedy wszystko między nim a Beatriz i między nim a światem układa się normalnie, nagle coś w niego wstępuje. Kupuje prochy u dilerów na Calle Mirage. Erhard niejedną raz znajdował go na ulicy, gdzie leżał i zwijał się z bólu, albo zabierał z przyjęcia, na którym się awanturował. Ale na dnie szafy, pod

ubraniami i półkami, widzi nie Raúla, tylko włosy Beatriz, i ucho, i duży pomarańczowy kolczyk.

Odsuwa ubrania i półki, wynosi ją z szafy, idzie do sypialni i kładzie na łóżku. Beatriz swoje waży. Wygląda na drobną, ale nie jest lekka. Erhard czuje, że boli go kręgosłup, ale przecież nie może się tym przejmować.

– Co się stało? Gdzie jest Raúl? Gdzie jest ten kretyn?

Beatriz oczywiście nie odpowiada. Z nosa leci jej krew, ma poplamioną bluzkę. I rozciętą wargę, krew w kącikach ust. Oddycha z trudem. Leży i patrzy w sufit, mruga oczami. Tuż obok, na nocnym stoliku, stoi telefon. Erhard wystukuje sto dwanaście, słyszy, jak ktoś po drugiej stronie odbiera. Zerka na Beatriz, która patrzy mu prosto w oczy. W jej spojrzeniu coś jest. Coś więcej niż tylko ból. W pierwszej chwili myśli, że umarła, źrenice ma rozszerzone, jakby wreszcie znalazła spokój, i wtedy to dostrzega. W jej spojrzeniu jest błaganie, jakby mu coś nakazywała, a źrenice wydają się niemal twarde z wysiłku.

Nie wolno ci. Ze względu na Raúla. Ukryj mnie. Ukryj.

– Co? – mówi Erhard.

Głos po drugiej stronie słuchawki zadaje mu pytania, ale on ich nie słyszy. Beatriz zamyka oczy. Odpływa gdzieś daleko, bardzo daleko.

Głos nadal go wypytuje. Chce wiedzieć, co się stało, gdzie jest. Głos mężczyzny jest uprzejmy, miły, Erhard odsuwa słuchawkę od ucha, wciska czerwony guzik, przerywa połączenie.

Jej słowa – jest pewien, że je słyszał – stawiają wszystko na głowie. Ukryj mnie. Co to, do diabła, może znaczyć? Znów je słyszy, ale po chwili milkną, rozplývają się w powietrzu. Ukryj mnie. Może chciała powiedzieć: zapomnij o mnie? I dlaczego nie pozwoliła mu zadzwonić po karetkę? Ze względu na Raúla? Nie chce, żeby był w to wplątany?

Raúl to pod wieloma względami bydlak, ale Erhard nigdy nie widział, żeby był brutalny wobec Beatriz. Ich związek taki nie jest. Raúl taki nie jest. Beatriz taka nie jest. Jest nowoczesna, wspaniała, irytująco nieosiągalna, samodzielna,

dumna i silna. Cokolwiek się stało, nie był to wypadek ani zwykła domowa awantura. Coś musiało się tu wydarzyć.

Znów zerka na Beatriz. Zna zasady pierwszej pomocy. Przykłada głowę do jej klatki piersiowej, czuje, jak się unosi i opada. Przekręca jej głowę, żeby łatwiej jej było oddychać. Spogląda na jej szyję i niżej. Zakrwawiony szlafrok jest rozchylony, widzi jej piersi, jej owłosioną cipkę. Okrywa ją kocem, na którym leży, owija ją nim.

Znów obchodzi wszystkie pokoje. Szuka śladów. Plam krwi, przewracanych mebli, nóg wystających spod kanapy, porozrywanych członków. Nie znajduje niczego. Niektóre szuflady w gabinecie są niedomknięte. Łóżko jest może bardziej rozgrzebane niż zwykle. Dziwić może też nóż do chleba, który leży na środku stołu – jakby ktoś go wyjął, a potem o nim zapomniał.

Ukryj mnie. Zapomnij o mnie.

Wychodzi z kuchni, otwiera dos equis i pije chciwie. Znajduje w kieszeni niewielki notes, a w nim numer telefonu. Pewnego wieczoru w Puerto zapisał srebrnym ołówkiem imię i nazwisko Michela Faliando i numer jego telefonu. Nie pamięta dlaczego. Ale wie, że Faliando zasiada w radzie miasta. I jest lekarzem.

Sięga po wiszącą na ścianie słuchawkę i dzwoni.

Najpierw do Raúla. Poczta głosowa. Nie zostawia wiadomości. Dzwoni ponownie. Znów odzywa się poczta.

Dzwoni więc do lekarza.

– Michel Faliando? Mówi Erhard Jorgenson. Przyjaciel Raúla Palabrasa. – Nie ma siły mu wszystkiego tłumaczyć, ale wie, że nie ma wyjścia. – Spotkaliśmy się kiedyś na jakiejś imprezie w Puerto – mówi i dodaje, że Beatriz miała wypadek. Uderzyła się w głowę, mocno. Potrzebna jest natychmiastowa pomoc lekarska. Profesjonalna pomoc. – Nie, niestety nie mogę poprosić nikogo innego. Sytuacja jest trudna.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Chodzi o synową Emanuela Palabrasa – dodaje Erhard, chcąc wyrzucić na lekarzu presję.

Cisza.

Lekarz pyta, czy Beatriz jest przytomna.

– Oddycha.

Pyta, czy w grę wchodzi narkotyki.

– Nie – odpowiada Erhard, nawet się nie zastanowiwszy.

Choruje na cukrzycę?

– Nie, nie sędzę.

Nieregularny oddech, sapiący?

– Może trochę.

Leży na plecach czy na boku?

– Na plecach – odpowiada Erhard.

Cisza.

Może przyjść dopiero za dwie godziny. Erhard nie wie, co powiedzieć, więc tylko mu dziękuje.

Dwie godziny. Ma nadzieję, że Beatriz dożyje. Jest gotów zrobić wszystko, żeby tak się stało. Będzie ją pielęgnować, karmić łyżeczką, podtrzymywać jej głowę i...

I wtedy przypomina sobie o Alinie.

Droga do Majanicho zajmuje mu czternaście minut. Jest przekonany, że dziwka go znienawidziła. Spędziła dobę przywiązana łańcuchem, szesnaście godzin bez jedzenia. Chyba że znalazła coś w jedynej szafce, do której mogła dosięgnąć. Przygotowuje się, żeby jej powiedzieć, co się stało, ale nie jest pewien, czy chce mówić o Beatriz i Raúlu. Po prostu powie, że został wplątany w groźny wypadek. Do diabła, koszulę ma całą we krwi.

Ale przynajmniej ma ładowarkę. Ubranie i bielizna leżą na tylnym siedzeniu, razem z ładowarką.

Wie, że musi ją puścić.

Zatrzymuje się, wyskakuje z samochodu i szybko wchodzi do domu. Nie ma jej na materacu, nie ma jej też w kuchni. Rozgląda się ostrożnie, bo przecież może go nagle zaatakować. Nawet by to zrozumiał.

– Alina!

Zagląda do szopy. Pusto.

I wtedy przypomina sobie o łańcuchu. Szuka go na ziemi, a potem w domu na podłodze. Nie ma go, zniknął. Może udało jej się od niego uwolnić? Jak daleko mogła uciec? I gdzie jest reszta łańcucha? Obchodzi dookoła dom, spogląda na dach i na przymocowane do niego metalowe kółko. Jest na swoim miejscu, ale łańcuch nie zwisa wzdłuż ściany, jak się spodziewał, tylko biegnie na dach i znika.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu odwraca się i patrzy na wzgórze. Jakby oczekiwał, że zobaczy, jak idzie na bosaka po kamieniach. Ale nic nie widzi. Jest tylko wiatr i kurz.

Musi być na dachu. Pewnie weszła i przewróciła drabinę. Leży odsunięta od ściany pod kątem dziesięciu stopni. Zwykle leży za domem, po drugiej stronie, ale najwyraźniej Alina wzięła ją i weszła po niej na dach. A potem ją przewróciła albo drabina sama się przewróciła.

Dach to mozaika najróżniejszych materiałów, plastiku, blachy falistej, są też kawałki brezentu przykrywające jakieś deski, i wielkie, piętnastokilowe kamienie, które mają chronić konstrukcję przed wiatrem. Erhard klęka i wystawia głowę tak, żeby widzieć dach.

Pusto.

Podąża wzrokiem za łańcuchem, który prowadzi od metalowego kółka na brzegu dachu, przecina go między dwoma dużymi kamieniami po przeciwnej stronie, a potem załamuje się i znika.

Rzuciła łańcuch na dach, żeby go zmylić. Zdezorientować. Żeby mieć czas uciec. Potwierdza to jego przypuszczenia. I to wtedy, kiedy on był w jej mieszkaniu. Mądra dziewczyna. Może nawet mądrzejsza od niego. Nie ma ochoty wchodzić na dach. Nie jest nawet pewien, czy wytrzymałby jego ciężar.

Schodząc, klnie, idzie pospiesznie za dom sprawdzić, czy łańcuch rzeczywiście jest zerwany.

Rozgląda się po okolicy, znów ma nadzieję, że zobaczy, jak biegnie, ale nic nie widzi. Nawet kóz. Słońce stoi nad horyzontem, jest białe. Praży. Kamienie są rozżarzone.

Widok, który ukazuje się jego oczom, zapiera mu dech. Ma wrażenie, że zaraz się udusi. Jest przekonany, że dziewczyna nie ma twarzy. Łańcuch jest na tyle krótki, że zwisa z nogą wzdłuż ściany, uda wyrwane ze stawów, kości powykrzywiane jak pułapki na myszy. Jednocześnie łańcuch jest na tyle długi, że jej głowa i ręce dotykają ziemi, leżą w suchej, czerwonej plamie krwi, która częściowo wsiąkła już w ziemię. Erhard dotyka jej lekko nogą, ciało się kołysze, widzi jej twarz. Muchy bzyczą niezadowolone. Alina nie ma już twarzy, jej puciołowate policzki zastąpiło coś, co przypomina grillowany ser. Erhard przykładą rękę do ust i się odwraca.

Może planowała, że go zaatakuje, ale w ciemności potknęła się o kamienie i spadła. Może postanowiła skoczyć z dachu – żeby ze wszystkim skończyć albo żeby zerwać łańcuch. Nie może o tym myśleć. Przecież nie chciał tego. Do diabła – właściwie ją polubił.

Nie wisi długo. Krew jeszcze nie całkiem zaschła. Erhard przypomina sobie o dzikich psach, które zżarły Billa Haji.

Policja na pewno nie będzie zachwycona prawdziwą wersją wydarzeń. Wie, co pomyśli Bernal, kiedy mu ją opowie. Nie uwierzy w jego historię. Będzie przekonany, że uprowadził dziewczynę, szantażował, a potem zrzucił z dachu. Świadkowie widzieli go w jej mieszkaniu, są tam odciski jego palców.

Musi się zastanowić. Pomyśleć.

Wkłada robocze rękawice, wyjmuje brezent i rozkłada go pod Aliną, a potem nożycami odcina łańcuch. Ciało spada na brezent. Z ust Aliny wypadają zęby, wypływają razem z krwią. Owijają ciało w brezent i ciągnie do szopy. Zbiera zakrwawioną ziemię do wiadra, a potem rozsypuje wśród kamieni jakieś pięćset metrów od domu. Łopatą przesuwają jeden z kamieni tam, gdzie zostały resztki

krwi, zalewa je litrami wody, kamienie przemieszczają się, wyglądają bardziej naturalnie. W domu wyciera wszystkie powierzchnie w miejscach, do których Alina miała dostęp, najpierw moką, potem suchą szmatką. Jest dwadzieścia po drugiej. Za czterdzieści minut w mieszkaniu Raúla ma się zjawić lekarz.

Ma mdłości. Nalewa sobie koniaku do filizanki i wypija go, stojąc przed domem. Obserwuje prowadzącą do domu ścieżkę. Nie słychać syren, nie widać radiowozów z migoczącymi światłami. Pusta droga. Dlaczego nie pozwolił jej odejść, kiedy go o to prosiła? Teraz został sam z martwą kobietą, z którą musi coś zrobić, i z drugą, nieprzytomną, którą też musi ukryć. I z przyjacielem, który zniknął. W pewnym momencie świat zainteresuje się całą trójką. Nie wie, jak długo uda mu się utrzymać wszystko w tajemnicy. Ale wie, że jak tylko policja go złapie, będzie mu trudno się z tego wytłumaczyć. Jak by na to nie spojrzeć, nie wygląda to dobrze.

Ma ochotę się roześmiać, ale to nie jest śmieszne. A jeśli jeszcze znajdą palec Billa na regale, to będzie naprawdę kiepsko. Eremita. Chory biedak mieszkający niedaleko Majanicho.

Wchodzi do domu i wyjmuje palec. Wygląda jak lukrecjowe pałeczki, które jadał w dzieciństwie. Obrączka nadal się trzyma, ale gdyby złamał palec, mógłby ją zdjąć. Nie może już udawać, że to jego palec. Jest mu przykro. Lubił wkładać go w puste miejsce na dłoni. Nawet jeśli dziwnie to wyglądało. Przypomina sobie pewne popołudnie. Woził klientów, ale żaden nie zwrócił uwagi na jego palec, wyglądał po prostu, jakby był zwichnięty. Nikt się przecież nie spodziewał, że taksówkarz ma doklejony palec martwego mężczyzny, byli przekonani, że miał wypadek. Nawet jeśli palec był chudszy i innego koloru, może niektórzy zauważyli, że palec serdeczny przypomina raczej mały palec, ale nikt tego nie drażył. Przyjmowano najbardziej logiczne wytłumaczenie i nie dopatrywano się w tym niczego podejrzanego.

Co teraz? – zastanawia się. Wkłada palec do pojemnika i ukrywa go za książkami. Już wcześniej żałował, że nie może ukryć Aliny tak, jak ukrył palec Billa. Boi się pochować ją gdzieś na zewnątrz. Psy wyczują ją z daleka. Poza

tym w ziemi trudno kopać, jest zwarta, silny mężczyzna potrzebowałby na to całego dnia. Może mógłby wynająć koparkę, jedną z tych mniejszych, albo przekupić grabarza, żeby wrzucił ciało do grobu kogoś innego. Może mógłby pojechać gdzieś na wybrzeże. I wrzucić ciało do morza.

Za pół godziny będzie lekarz. Zastanawia się, czy nie przełożyć wizyty, ale nie chce narażać życia Beatriz. Już dawno powinna trafić pod opiekę lekarza. Z drugiej strony nie może zostawić Aliny w szopie. Jedyne, co może zrobić, to włożyć jej ciało do samochodu, a potem zastanowić się co dalej. Kiedy lekarz już sobie pójdzie. Wie, że dużo ryzykuje, ale nie wie, jak inaczej rozwiązać ten problem.

Nie ma czasu dłużej się nad tym zastanawiać.

Wkłada gumowe rękawice i przenosi ostrożnie ciało Aliny do bagażnika. Owija je gumami, żeby brezent się nie rozwinął. I wraca do miasta. Jest sobota, duży ruch. Macha do Múñeza i jeszcze kilku kolegów, którzy stoją na postoju przy HiperDino, i jedzie dalej Calle del Muelle.

Kiedy zjeżdża do podziemnego garażu pod domem, w którym mieszka Raúl, do wizyty lekarza zostało jeszcze osiem minut. W garażu trwają jakieś prace, robotnicy usuwają słupy, żeby zwiększyć liczbę miejsc. Część parkingu jest oddzielona plastikowym ogrodzeniem, za którym stoją taczki i wiadra z zaschniętym cementem, łopaty i dziwne pomarańczowe maszyny, przypominające lokomotywy parowe. Brakuje tylko robotników. Erhard zatrzymuje się przed windą, wyłącza silnik, rozgląda się. Nie zdziwiłby się, gdyby był tu monitoring. Wysiada. Czuje podmuch wiatru z podjazdu. Na suficie z lewej strony windy zauważa kamerę. Zasłania ją parkan ustawiony przez robotników, tak że Erhard jest poza jej zasięgiem. Wciska czerwony guzik i przywołuje windę.

Czuje w kieszeni klucze Raúla. Nosi je przy sobie. Srebrny mercedes 500SL stoi nieco dalej na parkingu. Postanawia postawić swój samochód obok niego. Wraca do niego, cofa, tak że samochody niemal stykają się bagażnikami. Sprawdza, czy w pobliżu są kamery. Wygląda na to, że z tej strony nie ma



żadnej. Otwiera samochód Raúla i szybko przenosi ciało Aliny ze swojego bagażnika do bagażnika mercedesa, który wygląda, jakby nigdy nie był używany.

Następnie parkuje swój samochód w pobliżu wydzielonej części obok zjazdu i idzie szybko schodami na piąte piętro.

Kiedy dociera do mieszkania, lekarz czeka już pod drzwiami. Jest poirytowany.

– *Buenas* – mówi Erhard.

– Ktoś mnie wpuścił do klatki.

– Przepraszam za spóźnienie. Musiałem coś załatwić – tłumaczy się Erhard.

Lekarz patrzy na niego zaniepokojony.

– Powinien pan usiąść na chwilę.

Erhard kręci głową i otwiera drzwi.

– Napiję się wody – rzuca.

Lekarz wchodzi do przedpokoju i rozgląda się.

– Już tu kiedyś byłem – mówi.

– Tędy – wskazuje mu drogę Erhard.

– Gdzie pan ją znalazł? W gabinecie?

– Tak – mówi Erhard i otwiera drzwi do sypialni. Beatriz leży w tej samej pozycji, w której ją zostawił.

Lekarz ma ze sobą zwykłą torbę na ramię, taką, w której zwykle nosi się komputer. Wyjmuje stetoskop i osłuchuje Beatriz. Niewielką latarką w kształcie długopisu świeci jej w oczy, są czarne. Przeciąga dłonią po kręgach szyjnych, tuż pod złotym naszyjnikiem z oczkiem z ametystu, które wpatruje się w powietrze. Szczypie ją w policzek. Przez moment Erhard jest przekonany, że Beatriz nie żyje. Wstrzymuje oddech. Lekarz bada ją dalej.

– Jak rozumiem, uderzyła się w głowę?

Erhard opowiada, gdzie ją znalazł.

– Wodę, poproszę letnią wodą – mówi lekarz.

Erhard przynosi z kuchni miseczkę z wodą i suchą szmatkę.

Potężna rana, która zaczyna się na czole i znika gdzieś we włosach, lepi się od krwi. Lekarz obmywa ją, po czym ogląda ciało Beatriz: szyję, ramiona, żebra, brzuch, uda. Erhard czuje, że powinien odwrócić głowę, ale nie może oderwać wzroku od opalonych rąk lekarza, które dotykają Beatriz.

W końcu lekarz podnosi głowę.

– Czy mogę być z panem szczerzy? – pyta.

– Oczywiście.

– Palabrasowie to nie byle kto.

– Co pan ma na myśli?

Lekarz patrzy na Beatriz.

– Ktoś jej to zrobił – mówi.

– Co zrobił?

– Zranił ją. Poważnie. Ktoś ją pchnął i uderzył w głowę. Od góry. Silny cios. To cud, że żyje. Że oddycha.

– Może mówić? Mam wrażenie, że wcześniej mówiła, jeszcze przed pana przyjściem.

– To raczej mało prawdopodobne. Wystąpił obrzęk, mogło dojść do uszkodzenia mózgu. Uraz głowy jest dość poważny. Jest w stanie śpiączki.

– Co to znaczy? – dopytuje się Erhard.

– Że jej mózg może być uszkodzony. Ma szczęście, że kilka lat temu przeszła operację. Zostały ślady na czaszce. – Lekarz podnosi włosy Beatriz, żeby mu je pokazać, ale on odwraca głowę. – Zostały niewielkie dziurki, teraz krwawią, ale dzięki nim zmniejszyło się ciśnienie w mózgu. Ktoś inny pewnie nie przeżyłby takiego ciosu.

– Może ktoś ją po prostu pchnął i coś jej spadło na głowę? Może to był nieszczęśliwy wypadek?

– To niewykluczone. Pod warunkiem że był to trzydziestokilogramowy odważnik.

Erhard nie przypomina sobie, żeby widział w gabinecie trzydziestokilogramowy odważnik. Albo jakiś inny bardzo ciężki przedmiot. Na

podłódze leżały teczki z dokumentami, kartony ze zdjęciami i drewniane półki.

Lekarz puszcza włosy. Zasłaniają głowę Beatriz, ciemnoczerwone ślady znikają.

– Ktoś ją uderzył. Szerokim, tępym narzędziem, może kijem baseballowym. Nie zostawia śladów. Może w afekcie, w złości.

– Podejrzewa pan, że to... Nie sądzi pan chyba, że... – Erhard nie jest w stanie dokończyć zdania. Nie może w to uwierzyć, chociaż już wcześniej doszedł do tego samego wniosku.

– A któżby inny? Znam tę rodzinę od lat. To sympatyczny chłopak. Nie jest złym człowiekiem. Ale miewa napady złości, wszyscy to wiedzą.

– Nie. Nie mogę w to uwierzyć. On ją kocha.

Lekarz nie jest w stanie się powstrzymać, na chwilę wybucha śmiechem.

– Przepraszam, ale miłość ma wiele twarzy, nie zawsze jest to czysta poezja, jak u Szekspira.

Erhard próbuje przypomnieć sobie, co Raúl tej nocy mówił mu o ich związku.

– Co z nią będzie? Dlaczego jeszcze się nie obudziła?

– Mózg jest spuchnięty. Na szczęście ucisk nie jest zbyt duży, ale jak najszybciej powinna znaleźć się pod respiratorem, najlepiej na oddziale neurochirurgicznym w Puerto. Jak najszybciej.

– I wtedy się obudzi? I będzie normalna? – Erhard się nie zastanawia, mówi, co mu ślina na język przynosi.

– Może się obudzi. Za kilka godzin. A może dni albo tygodni. Teraz musi zostać podłączona do respiratora. To jest najważniejsze.

– Nie można jej podać jakichś leków, czegoś przeciwbólowego?

– Potrzebuje czasu.

– A co z... no, wie pan.

– Musi ponieść karę.

Lekarz pakuje swoje rzeczy i szykuje się do wyjścia. Zatrzymuje się w drzwiach.

– Chora musi trafić do szpitala. Natychmiast. Proszę zadzwonić, jeśli będzie pan potrzebować mojej pomocy. Niech Bóg ma ją w opiece – kończy.

Erhard wie, że mówi to w dobrej wierze, ale nie znosi takich słów. Brzmią ponuro i ostatecznie.

Idzie do szafy i nalewa sobie jakiegoś trunku. Białego rumu. Wypija i wraca do sypialni. Siada obok Beatriz. Ostrożnie, jakby najmniejszy jego ruch mógł doprowadzić do pęknięcia jakiegoś naczynka w jej mózgu. Ostrożnie otwiera jej oko kciukiem. Żrenica wypełnia je niemal w całości, ale nadal jest to piękne oko. Szklana kulka o wyszukanym wzorze. Puszczą powiekę, natychmiast opada. Siła ciężenia. Chce mu się płakać. Dusza. Czyżby z niej uszła? Jeśli zrobił to Raúl, to nigdy mu tego nie wybaczy. Wie, że to on, ale nie jest w stanie teraz o tym myśleć. Musi przede wszystkim skupić się ratowaniu ciała, które przed nim leży.

Sięga po telefon i znów słyszy głos.

Zapomnij o mnie.

Patrzy na Beatriz, ale jej oczy nadal są zamknięte, wie, że wmawia sobie, że słyszy głos. Głos nie istnieje.

Ukryj mnie.

– Beatriz – mówi głośno. Słowa przechodzą w płacz. I nie jest w stanie temu zaradzić.

Dbaj o mnie.

Znów ją woła. Ma ochotę nią potrząsnąć, ale boi się jej dotknąć.

– Muszę, muszę zadzwonić – mówi i kładzie dłoń na aparacie telefonicznym, który stoi na stoliku nocnym.

*Por favor.* Proszę.

Znów chce mu się płakać. Nie pamięta, kiedy ostatnio płakał, czuje ból. Jest w rozterce. Ubolewa nad jej stanem, ale przede wszystkim nad swoimi wątpliwościami. Czy mu się zdawało? Czy naprawdę słyszał jej głos? Brzmiał jak jej. To głos Beatriz, przecież go zna. Lekko schrypnięty, niemal szept, błaganie. Puszczą słuchawkę, płacze w jej szlafrok, w jej nagie piersi.

– Może pan załatwić respirator?

– Powiedziałem, że ona...

– Wiem, ale to niemożliwe. Jeśli pan chce, proszę zgłosić sprawę policji.

Cisza.

– Czy może pan załatwić respirator? – pyta Erhard ponownie.

– Tak.

– Jak szybko?

– W ciągu godziny. Może mniej.

Erhard patrzy na budzik obok łóżka Raúla.

– Spotkajmy się na Via Majanicho 9 o osiemnastej – proponuje. – To ten niewielki domek na końcu ścieżki – dodaje.

– Tuż za Guzmanem?

– Przed nim.

– Zamierza pan ją tam zabrać?

– Tak, tam będzie miała spokój.

– Jest pan pewien? On jest tego wart?

– On nie, ona – mówi Erhard i odkłada słuchawkę.

Podczas rozmowy z lekarzem w jego głowie rodzi się pomysł.

Od jakiegoś czasu zastanawiał się, gdzie może ukryć Beatriz, tak żeby nikt jej nie znalazł. I gdzie może ukryć ciało tak, żeby nikt go nie znalazł. Być może znalazł odpowiedź.

Obie mają włosy tego samego koloru i podobne sylwetki. Alina jest może nieco pulchniejsza i ma nieco większe piersi, ale nie wszyscy zwracają uwagę na takie szczegóły. Beatriz nie ma na wyspie rodziny, zresztą w ogóle nie ma rodziny, nikt nie może potwierdzić, że to ona, poza nim i może kilkoma przelotnymi znajomymi. Erhard nawet nie zna ich imion. Beatriz nie utrzymywała z nikim bliższych stosunków. To wie. Często się na to skarżyła. Brak bliskości. Brak kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. W każdy wtorek

pomagała córce przyjaciół Raúla prowadzić butik z ubraniami przy głównej ulicy. Robiła to po to, żeby dziewczyna mogła mieć wolny dzień, nie z przyjaźni.

A Alina? Jest prostytutką, nikt nie będzie za nią tęsknić. Może kilku klientów zadzwoni na próżno. A jakiś alfons gdzieś w Guisgwey zauważy, że spadły mu dochody, i pewnie uzna, że po prostu wyjechała z wyspy.

Nikt nie będzie ich szukał. I nikt ich ze sobą nie połączy.

Pod warunkiem że wszystko załatwi sam. Nie może wciągać w to lekarza, w każdym razie nie bardziej niż to absolutnie konieczne. Bo ratować Beatriz gdzieś w ukryciu to jedno, a pozbyć się ciała to całkiem co innego. Na to lekarz na pewno nie mógłby przymknąć oczu. Tak więc musi się wszystkim zająć sam.

Pod zlewem znajduje gumowe rękawice, takie, jakich używa się do sprzątanania. Bierze koc z kanapy Raúla i zjeżdża windą do podziemnego garażu. Winda jest mała, może pomieścić góra dwie osoby. Jest bardzo powolna, więc rzadko nią jeździ. Raúl nigdy tego nie robi, wbiega po schodach tak szybko, że Erhard ledwie za nim nadąza. Teraz jednak winda wydaje mu się jedynym rozwiązaniem. Blokuje drzwi drewnianym klokiem, żeby nie odjechała.

Podchodzi do mercedesa Raúla, zagląda do bagażnika. Patrzy na lalkę bez życia. Łatwiej byłoby podjechać do portu i wrzucić ciało do jednego z szybów na placu budowy. Ale tam na pewno wszędzie są kamery.

Szybko zawija ciało w brezencie w czerwony koc. Nie wygląda to naturalnie, ale mniej podejrzanie i mniej rzuca się w oczy. Przez cienki koc widać zarys ramienia i rąk. Znosi ciało do windy. Zajmuje mu to dłuższą chwilę. Dziewczyna jest ciężka. W windzie trzyma ją mocno w objęciach, ledwie jest w stanie dosięgnąć guzika. Drzwi się zasuwiają. Boli go kręgosłup, opiera się o ścianę windy. Winda rusza, minus jeden zamienia się w zero, winda jedzie dalej. Pierwsze piętro, drugie. Między kolejnymi poziomami upływa trochę czasu, boi się, że winda zatrzyma się na niewłaściwym piętrze. Trzecie piętro. Czwarte.

Piąte. Drzwi się rozsuwają. Coraz trudniej mu dźwigać. Kręgosłup odmawia posłuszeństwa. Ciało pochyła się nieco do przodu, Erhard ciągnie je przez

korytarz do drzwi. Chwilę nasłuchuje, ale wszędzie jest cicho. Zamyka drzwi od mieszkania, ciągnie ciało dalej do gabinetu i kładzie za biurkiem. Z brezentu spływa krew, przynosi z kuchni miseczkę, zbiera ją. Odwija brezent, rozcina łososiowe spodnium Aliny. Musi też rozciąć jej rajstopy. Nie może ich ściągnąć, bo noga w kostce jest złamana, zdejmuje też bransoletkę i dwa łańcuszki. Bizuterię natychmiast wyrzuca. Trudno mu patrzeć na jej twarz, nadal krwawi.

Leży teraz na brezencie w samej bieliźnie. Gdyby nie twarz i złamana w kostce noga, która sterczy pod dziwnym kątem, można by pomyśleć, że to manekin reklamujący tanią bieliznę.

Erhard wchodzi do sypialni Beatriz. Nasłuchuje. Słucha jej oddechu, jest regularny, ale słychać lekki świst, jakby ktoś napełniał powietrzem foliową torebkę i po chwili znów ją opróżniał. Słyszy, jak powietrze przechodzi przez nos, widzi, jak porusza delikatne włoski w środku. Ale nie słyszy słów. Z jednej strony chciałby je znów usłyszeć, z drugiej nie było to przyjemne przeżycie. Kiedy się jej przygląda, zauważa delikatną kreskę nad górną wargą, jakby starą bliznę po operacji zajęczyj wargi. Nigdy wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. Blizna stała się z czasem naturalną częścią twarzy między nosem a wargami, wręcz dodawała jej uroku.

Ostrożnie zaczyna zdejmować z niej szlafrok, zsuwa z rąk, wyjmuje spod pleców. Zdejmuje też grube skarpety tenisowe – pewnie należały do Raúla – są na nich krople krwi. I naszyjnik z wisiorkiem w kształcie oczka. Obraca jej głowę lekko na bok. Działa niemal po omacku, ale udaje mu się otworzyć zapięcie i zdjąć łańcuszek. Już ma wracać do gabinetu, kiedy nagle jego wzrok pada na jej paznokcie. Piękne paznokcie Beatriz. Jeśli Alina ma się stać Beatriz, nie może pominąć paznokci. Ściąga jeden, potem kolejne. Udaje mu się je bez problemu odkleić, tylko te na kciukach wymagają więcej siły.

W łazience znajduje specjalny klej, który chyba służy właśnie do tego celu. Bierze go i zaczyna naklejać paznokcie na palce Aliny. Po kolei, spokojnie, starannie. Nigdy wcześniej tego nie robił, ale w dzieciństwie zajmował się

modelarstwem, więc po kilku minutach paznokcie są na miejscu. Alina ma kciuki nieco większe niż Beatriz, ale pozostałe palce wyglądają bez zarzutu.

Sadza Beatriz w fotelu pasażera. Wygląda jak śpiąca klientka. Owinął ją kocem i podparł poduszką, żeby nie ześlizgnęła się na podłogę. Rusza, jedzie spokojnie przez miasto, mija Majanicho, nie ma odwagi wjechać na ścieżkę Alejandro. Jest nierówna, wyboista. Nadkłada więc drogi, ale ma jeszcze czas.

Wnosi ją do pokoju, otrzepuje koc z okruchów i kurzu i znów ją nim owija.

Kwadrans po szóstej słyszy samochód lekarza. Wychodzi mu naprzeciw, pomaga wnieść aparaturę. Właściwie to niewielki ustnik połączony wąskim węzłem z małą maszyną. Nie większą od odkurzacza. Lekarz wkłada ustnik do ust Beatriz, mocuje go gumką do jej głowy. Aparatura zaczyna pracować, brzuch Beatriz nagle zaczyna się unosić i opadać jak worek kobzy. Lekarz tłumaczy mu, że mózg hiperwentyluje, żeby w ten sposób zapewnić szybki dopływ tlenu do uszkodzonych obszarów. Erhard patrzy na jej brzuch w za dużym T-shircie. Respirator prychnie. Migocze, świeci.

Lekarz bada Beatriz, sprawdza ciśnienie. W końcu zakłada jej cewnik, mocz będzie teraz odprowadzany do plastikowego worka. Pokazuje Erhardowi, jak ma go opróżniać, kiedy wypełni się mniej więcej w dwóch trzecich.

– Jeśli nie uda nam się jej wybudzić w ciągu dwóch, trzech dni, trzeba będzie zacząć ją karmić dojelitowo.

Podkreśla, że Erhard musi ją cały czas obserwować i natychmiast dzwonić, jeśli maszyna zacznie pisać, w ogóle jeśli coś go zaniepokoi.

– Skoro nie chce pan jej zawieźć do szpitala, musi pan przejąć nad nią opiekę – dodaje, jakby chciał podkreślić, że dzieje się to wbrew jego woli.

Erhard przygląda się nerwowo różnym wtyczkom, słyszy trzaski, boi się, że prądnicza nie wytrzyma dodatkowego obciążenia. Będzie musiał kupić nową. Tym bardziej, że być może dojdą kolejne maszyny. Lekarz dziękuje za piwo i wraca do samochodu. Obiecuje, że nikomu nic nie powie.

Erhard spędza przy Beatriz godzinę, może nawet półtorej. Kobiety zamieniły się miejscami. Alina skończyła w miejscu, o którym zawsze marzyła, Beatriz



w miejscu, którego zawsze się obawiała. Erhard zastanawia się, czy nie podzielić pokoju na dwie części, żeby mógł mieć własny. Jeśli za tydzień Beatriz nadal tu będzie, zastanowi się, co zrobić. Mógłby też dobudować antresolę. Postawiłby tam łóżko Beatriz i bez problemów mógłby jej doglądać.

Zamyka tylne drzwi, montuje dodatkowy zamek na drzwiach wejściowych. Sprawa z Aliną sprawia, że boi się, że ktoś nagle może się zjawić. Co prawda jest sobotni wieczór, więc to raczej mało prawdopodobne, ale na wszelki wypadek.

Jedzie do Tindaya.

Wyspa jest tak mała, że zna każdy kąt, nawet najmniejszy. A już na pewno zna miejsce, gdzie mieszka Lorenzo-Pérez-Lúñigo. Duży żółty dom, od pięciu pokoleń w rodzinie. W każdym pokoleniu byli lekarze. Lorenzo wszedł do rodziny przez małżeństwo z Adelą, najstarszą córką doktora Agosty. Doczekali się czterech synów i mnóstwa koni. Erhard zostawia samochód na wąskiej zamkniętej drodze, która prowadzi wzdłuż działki. Okrąża ją i podchodzi do domu. Panuje cisza. Otwiera mu Adela, wygląda na chorą.

– Nie zamawialiśmy taksówki – mówi.

– Szczęśliwego Nowego Roku – odpowiada Erhard. – Chciałbym porozmawiać z Lorenzem.

– Nie prowadzi już praktyki.

– Wiem.

– Proszę chwilę poczekać – mówi nagle Adela i zamyka drzwi.

Pięć minut później otwiera je Lorenzo.

– Tak... – mówi. Nagle rozpoznaje Erharda i w jego oczach pojawia się strach.

– Musimy porozmawiać. Sam na sam.

Lorenzo patrzy na niego dłuższą chwilę. Może się zastanawia, co się stanie, jeśli się nie zgodzi, powie Nie. W końcu jednak wychodzi z domu i idzie za Erhardem.

Wychodzą na ulicę, którą nikt nie jeździ. Ale sąsiedzi mogą ich podglądać przez szczelbelki żaluzji. Erhard prowadzi go do alejki, przy której zostawił samochód.

– Czego pan sobie życzy, Señor Jorgenson?

Lorenzo zawsze zwraca się do niego per pan. Zachowuje się bardzo formalnie, ale to tylko pozory, które nie pasują do jego prostackiego sposobu bycia.

– Powiem wprost: przez ponad dziesięć lat kryłem twoje drobne tajemnice.

– *Dios mío*. O jakich tajemnicach pan mówi?

Erhard posyła mu znaczące spojrzenie, ale Lorenzo wydaje się nadal nic nie rozumieć.

– Pamiętasz, ile razy byłeś pijany, wykonując swój zawód? Robiłeś oględziny wypadków samochodowych, także wypadku w stoczni. Z zawartością alkoholu we krwi większą niż przeciętna.

– Nie łamałem prawa. Zawsze brałem taksówkę.

– Różnie to bywało. Raz dałeś mi sto euro napiwku, chyba nie bez powodu.

– Uskarża się pan na zbyt mały napiwek?

– Tylko kiedy tak naprawdę jest to łapówka.

– Nigdy nie dawałem łapówek.

– A pamiętasz, jak kiedyś znalazłem cię w Molino?

Lorenzo patrzy na niego zalekniiony. Nie lubi do tego wracać. Było wcześniej rano, stał przy drodze jakieś sześć kilometrów od najbliższego miasteczka, ponieważ jego samochód stoczył się do rowu. Na tylnym siedzeniu leżały zwłoki starszej osoby. Nagie ciało. Zanim Lorenzo zadzwonił do mechanika, żeby przyjechał po samochód, zadzwonił do Erharda, żeby zawiózł jego i ciało do Puerto na obdukcję. Erhard miewał już do czynienia ze zwłokami, ale Lorenzo zachowywał się arogancko, więc miał opory i sporo wątpliwości. Mimo sowitego napiwku, który Lorenzo mu zaproponował. Ostatecznie to Bernal przekonał go, żeby nie składał oskarżenia. Oskarżenie pewnie i tak zostałoby odrzucone, ale pojawiłyby się plotki, które na pewno nadszarpnęłyby reputację

lekarza, a Lorenzo Pérez-Lúñigo zawsze chciał uchodzić za szanowanego urzędnika i wręcz genialnego lekarza sądowego, najlepszego z najlepszych. Stosunek ze zwłokami na pustkowiu to smutny incydent, trudno byłoby go wytłumaczyć. Lorenzo doskonale to rozumiał.

– Czego pan chce? I po co przypomina pan te stare dzieje?

– Chciałem tylko ustalić, że to ty jesteś mi winien przysługę.

Lorenzo patrzy na niego niezadowolony.

– Miałem wrażenie, że okazałem wdzięczność w wystarczającym stopniu.

Czego pan od mnie oczekuje, Señor Jorgenson?

– Chciałbym, żeby bliska mi osoba mogła zaznać spokoju.

– Nie mogę się na to zgodzić. Nie jestem mordercą.

– Ciszej, Lorenzo, proszę. Nie chcę, żebyś kogokolwiek zabijał, tylko jak najszybciej przekazał ciało grabarzowi. To wszystko.

Lorenzo się rozgląda.

– Nie rozumiem.

– Jeszcze dzisiaj dostaniesz do obdukcji ciało Beatrizii Colini. Masz napisać, że śmierć była wynikiem upadku ze schodów. Możesz odnotować różne inne szczegóły, ale musisz stwierdzić, że Beatrizia Colini zmarła w wyniku nieszczęśliwego upadku, podczas którego doznała urazu głowy.

– Co pan zrobił, Señor Jorgenson?

– Ja nic nie zrobiłem. Chcę tylko zadbać o to, żeby moja przyjaciółka także po śmierci mogła się cieszyć dobrą opinią. Nie chcę też, żeby rodzina Palabras została niepotrzebnie uwikłana w jej śmierć.

W momencie kiedy wymienia nazwisko, Lorenzo krzywi się, jakby ugryzł kawałek limonki. I o to właśnie Erhardowi chodziło.

– Lorenzo! – Adela woła męża.

– A więc umowa stoi? – pyta Erhard.

– Skąd mogę mieć pewność, że nie będzie mnie pan już w ten sposób nachodzić?

– Zrób, o co cię proszę, a obiecuję, że nie będę.

Lorenzo odwraca się i rusza w kierunku domu.

– Już idę! – woła barytonem.

Kiedy drzwi się zamykają, Erhard zapada się w fotelu kierowcy. Dopiero teraz czuje, jak bardzo się denerwował podczas rozmowy. Przekręca kluczyk w stacyjce i rusza do miasta.

Jak tylko na balkonie pojawia się cień, wnosi Alinę kręconymi schodami na taras. W połowie drogi pozwala, żeby ciało wyslizgnęło się z brezentu i uderzyło głową o ostatni stopień schodów. Potem obraca ją, kładzie jej głowę na poduszce, żeby nie było widać twarzy. Czuje, jak ciało szybko sztywnieje. Ściera krew z brezentu, ze schodów i z balkonu.

Ma mnóstwo wątpliwości, chodzi, zatrzymuje się, krąży między balkonem a sypialnią. Pije drogą kawę. Patrzy na czerwone już słońce, na miasto, na plażę, widzi nawet lokal kitesurferów na wydmach. Odgłosy miasta smucą go. Słyszy krzyki dzieci, które skaczą do wody z boi w porcie. Słyszy trąbienie zniecierpliwionego taksówkarza, który potrąca samochód z ładunkiem ogórków albo piwa w jakiejś wąskiej uliczce. Nigdy nie pokochał miasta. Tego miasta. Tylko bogowie wiedzą, jak bardzo nienawidził innych, a już szczególnie Kopenhagi. Długo by szukać miejsca, w którym obowiązują tyle zakazów i w którym jest tyle prostokątnych bloków. Corralejo jest inne, jedyne w swoim rodzaju, nie da się porównać z żadnym innym, spalone słońcem, skore do pochlebstw i zasiedlone przez ludzi naznaczonych chowem wsobnym. Coś w sam raz dla niego. Prowincjonalna dziura z długo otwartymi sklepami, niewielkie miasteczko z pokusami wielkiego miasta. Ale nawet gdyby było go na to stać, nie wie, czy chciałby tam mieszkać. Czy nie zabiłyby go hałas i zapachy, bary i piękne kobiety, miejskie życie w ogóle. Zawsze z przyjemnością odwiedzał Raúla, siadywał na tarasie z widokiem na miasto w towarzystwie dwojga pięknych przyjaciół, i pragnął, żeby ta chwila trwała wiecznie. Teraz pragnie, żeby można było cofnąć czas. Do ubiegłorocznego lata,

kiedy pojechali do Morro Jable zjeść kolację w restauracji rybnej. Do wieczoru, kiedy siedzieli razem w samochodzie i śmiali się z burzy.

Znów dzwoni na komórkę Raúla. Chociaż wie, że nikt nie odbierze. W końcu wybiera sto dwanaście i prosi o przysłanie karetki.

Schodzi na dół i czeka na ulicy. Ratownicy muszą iść z noszami po schodach. Po drodze Erhard tłumaczy, jak znalazł tę kobietę i jak potem siedział przy niej i jej pilnował. Uspokaja się, kiedy zauważa, że jeden z ratowników najwyraźniej nie przejął się jego opowieścią, jakby bez przerwy był wzywany do martwych kobiet.

Wchodzą na górę, ale nie dotykają ciała, czekają, aż zjawią się policja i lekarz, żeby dokonać oględzin. Erhard wszystko to przewidział, ale i tak się niepokoi. Stoi w kuchni i przygotowuje kawę, żeby nie było widać, że trzęsą mu się ręce. Pięć minut później rozlega się brzęczenie domofonu. Ma nadzieję, że to Bernal, ale okazuje się, że to młody funkcjonariusz, którego nie zna. Wysoki, o arabskiej urodzie, wygląda na zadziornego. Erhard przedstawia się imieniem i nazwiskiem, funkcjonariusz rzuca tylko: Hassib. Pyta Erharda, co się stało, ale nie słucha go, stoi i wpatruje się w komórkę. Za nim idzie młody lekarz, ma krótko ostrzyżone włosy, jest w garniturze. To nasz nowy lekarz, przedstawia go funkcjonariusz.

– Bogate rodziny i ich rozrywki – mówi Hassib. Patrzy, jak lekarz odsuwa folię, którą ratownicy nakryli ciało. Bada je, ale go nie dotyka. Robi zdjęcia, z bliska, z daleka, obraca ciało i powtarza całą procedurę. Fotografuje też schody. Dostrzega ząb i też go fotografuje.

Erhard pije kawę w kuchni i przygląda się wszystkiemu przez szybę. Funkcjonariusz odbywa krótką, cichą rozmowę z lekarzem, po czym układają ciało na noszach i zaczynają schodzić. Wcześniej lekarz spytał Erharda o nazwisko lekarza Beatriz. Erhard nie wie, co odpowiedzieć. Proszę spytać Emanuela Palabrasa, mówi w końcu. Lekarz dziękuje, daje Erhardowi wydrukowaną na tanim papierze wizytówkę i po chwili wychodzi z komórką

przy uchu. Hassib krąży po mieszkaniu, w końcu podchodzi do Erharda, który nadal stoi w kuchni.

– Kiedy pan ją znalazł?

– Około jedenastej. Nocowałem tu. Wcześniej wybraliśmy się z Raúlem do miasta. Wypiliśmy kilka drinków. Kiedy wstałem, znalazłem ją tu...

– O jedenastej? Dlaczego, do diabła, nie zawiadomił pan nikogo wcześniej?

– Nie wiedziałem, co się stało. Myślałem, że po prostu jest ranna. Chciałem ją zawieźć do szpitala, kiedy poczuje się trochę lepiej.

– Do szpitala? Ta kobieta jest zmasakrowana.

– Miałem nadzieję, że poczuje się lepiej.

– Ona nie żyje, nie rozumie pan tego? Może ktoś ją pchnął. Skoro Raúl Palabras zniknął, to może to on to zrobił?

– Nie, to niemożliwe. On by czegoś takiego nie zrobił. To musiał być wypadek.

– Mówił pan, że dokąd poszedł?

– Nic nie mówiłem, nie mam pojęcia, gdzie jest. Dzwoniłem do niego, ale nie odbiera.

– Jeśli wie pan, gdzie może być, to niech pan powie. Jeśli nie będziemy mieli innych tropów, oskarżymy pana.

Mógł się tego spodziewać. Oskarżyć pierwszego lepszego jest najłatwiej.

– Ja tylko tu nocowałem.

– Jeśli będzie pan rozmawiał ze swoim przyjacielem, niech mu pan przekaże, żeby się do nas zgłosił. Tak będzie dla niego najlepiej.

Erhard nie wie, co powiedzieć, sięga po kwaśne winogrono z kiści na talerzu.

– Powiedział pan, że gdzie pan spał?

– Nie mówiłem gdzie. Ale jeśli chce pan wiedzieć, to w sypialni. – Wskazuje w głąb mieszkania.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu policjant wchodzi szybkim krokiem do salonu, a potem do sypialni. Zapala światło. Rozgląda się.

– Gdzie spał Palabras?

– Nie mam pojęcia. Byłem pijany. Nad ranem siedzieliśmy na tarasie na dachu, piliśmy drinki, krwawą Mary, i rozmawialiśmy. Poczułem się zmęczony, chciałem wracać do domu, ale Beatriz i Raúl mnie nie puścili, uznali, że powinienem tu przenocować. I tak zrobiłem. A kiedy się obudziłem, Raúl już nie było, a...

Widzi, że policjant nie notuje, rozgląda się – powinien – ale tak naprawdę jest mu wszystko jedno.

– Ile wypła? Jego ukochana.

– Chyba niewiele. Obudziliśmy ją, kiedy wróciliśmy z miasta, potem wszyscy razem wyszliśmy na taras. Beatriz była zmęczona, cały czas ziewała. – Erhard jest zdziwiony, że kłamstwo przychodzi mu tak łatwo. Bazuje na tym, co się stało naprawdę, dodaje tylko to i owo.

– Jak długo mieszkali razem?

– Jakieś osiem, dziesięć lat. Osiem.

– Byli szczęśliwi?

– Tak, on za nią szalał. A ona za nim. – Erhard przypomina sobie jej słowa: ukryj mnie. Zapomnij o mnie. Zastanawia się, co mogą znaczyć. A może się przesłyszał? Ma nadzieję, że nie. Tak czy inaczej podjął kroki, żeby ukryć Beatriz. I uratować ją przed kimś, kto chce ją skrzywdzić. Nikt nie twierdzi, że tym kimś jest Raúl. To nie może być Raúl.

– Dlaczego spał pan tu, na dole?

Policjant obchodzi dookoła łóżko, otwiera szafy z ubraniami.

– Nie wiem. Raúl jest gościnnie.

– A oni gdzie spali?

Zaczyna przeglądać liczne garnitury Raúl.

– Może na kanapie. Albo na tarasie na dachu.

– Widział pan, jak Raúl potyra swoją ukochaną?

– Potyra?

– Biję, daje w twarz?

– Nie, nigdy.

Policjant wychodzi z sypialni, kieruje się do salonu. Po drodze przez na wpół uchylone drzwi zagląda do gabinetu.

– Mówił pan, że co tu jest?

– Gabinet. Nie używają go.

Arab zapala światło, Erharda przeszywa dreszcz. Czy posprzątał wystarczająco starannie? Z jakiegoś powodu założył, że policja nie będzie traciła czasu na tak dokładne oglądanie mieszkania. Skoro ciało zostało znalezione na balkonie.

Policjant obchodzi dookoła biurko, dotyka leżącego na blacie laptopa. Jest zamknięty.

– Czyj to laptop?

– Nie mam pojęcia. Pewnie Raúla.

– Weźmiemy go ze sobą – oświadcza policjant, bierze laptopa i kable.

– Co teraz? – pyta Erhard. Idzie za nim do salonu, wychodzi na balkon, na którym nie ma już ciała. Na schodach i drewnianej balustradzie zostały czerwone plamy. – Co z nią będzie? Trafi do zakładu medycyny sądowej?

– Musimy znaleźć jej rodzinę. Wie pan może, gdzie mieszkają?

– Tu, na wyspie, nikogo nie ma. Może na Gran Canaria.

– Przyjaciółki? Byli partnerzy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jej życie kręciło się wokół Raúla.

– Pracowała?

– Kilka dni w tygodniu. W butik przy Señora del Carmen. Tym ze słoniem. Niedawno został otwarty.

– Nie ma tu gdzieś jej komórki?

– Też jej szukałem, ale nie znalazłem.

– Señor Pérez-Luñigo musi mieć chwilę, żeby dociec, co się przydarzyło pana przyjaciółce. Tak czy inaczej mieszkanie zostanie zaplombowane. No i musi nam pan podać swoje dane. Imię, nazwisko, adres. Na pewno jeszcze się do pana odezwiemy. – Policjant wyjmując ze sreberka długi płatek gumy do żucia, składa



go trzy razy i wkłada do ust. – No i musimy znaleźć tego drania, Raúla Palabrasa.

## 34

Kiedy policjanci wychodzą, Erhard oddycha głęboko. Zamyka drzwi, przykłada do nich ucho, nasłuchuje. Ratownicy i policjanci rozmawiają przez całą drogę do windy. Słyszy, jak kabina nadjeżdża, wchodzi do środka, jadą na dół.

Na klatce jest cicho. Erhard siada przy stole i patrzy na drzwi, jakby oczekiwał, że policjant wróci. Ale nic takiego się nie dzieje.

Nastaje wieczór. Erhard uwielbia wieczory. W powietrzu unoszą się zapachy z ulicy, wirują niczym lizak obracany w ustach. Zapachy się zmieniają: cynamon, karmel, uryna.

Musi ratować Beatriz. Kiedy otworzy oczy, kiedy za parę dni się obudzi, opowie, co się stało. Może powie nawet, gdzie jest Raúl. Erhard chce ratować swoich przyjaciół. Myśli też o Emanuelu. Ojciec i teść. Może Raúl do niego dzwonił, a może jest u niego. Postanawia, że wróci do domu i zadzwoni do Emanuela, a teraz pora na lumumbę.

Dom jest ciemny, bardziej niż zwykle.

Świadomość, że tuż za rogiem umarła Alina, nie jest przyjemna. Erhard dziwnie się czuje.

Sprawdza prądnice, zapala światła, zdejmuje z kanapy poduszki i kładzie je na krześle obok łóżka. Siada i zaczyna się przyglądać Beatriz. Maszyna włącza w nią powietrze, wdech, wydech, pojękiwania wiatru, hipnotyczne, męczące.

Ale Erhard nie zasypia. Siedzi nieruchomo przez całą noc, pielęgniarz na nocnej zmianie, słucha, jak Beatriz oddycha, i cały czas myśli o Raúlu, o tym, że może nie żyje, i o szczelinie w kocu, przez którą może włożyć dłoń i dotknąć jej krocza. Zła, głupia myśl, ale nawet teraz, kiedy jest nieprzytomna od ponad dwunastu godzin, nadal pachnie sokiem i cynamonem, i gorącymi rodzynekami.

A wszystko dlatego, że w jego życiu nie ma kobiety. Gdyby była, nie fantazjowałaby o Beatriz. Próbuje myśleć o Masajce Emanuela, o jej szczupłym tyłeczku widocznym pod przezroczystą sukienką. Ale ona nie jest dla niego. Jest jej za dużo i zarazem za mało. Zresztą co on, do licha, może wiedzieć o kobietach. Tyle czasu minęło od ostatniego razu. Miewał co prawda kobiety, krótkie spotkania, głównie z prostytutkami, z takimi, na które było go stać. Zawsze wybierał starsze modele, żeby żadne z nich nie czuło się skrępowane. I żeby dać zarobić nieszczęsnym kobietom. Młode miały dość klientów. Te w jego wieku siedziały i popijając jogurt, czytały pisma dla kobiet. Dwa razy umawiał się z tą samą. Z Hiszpanką o imieniu Afrodyta. Oczywiście nie było to jej prawdziwe imię, ale chciała, żeby tak się do niej zwracać. Właściwie nieciekawa kobieta, nie różniła się od kasjerki ze sklepu z pamiątkami. Kiedy umówił się z nią po raz pierwszy, wylądowali w pokoju w La Mouscita w Puerto. Dzisiaj jest tam pizzeria. Właściwie to wybrał inną, tajemniczo wyglądającą Mulatkę, ale kierujący interesem coś źle zrozumiał, a Afrodyta wyglądała na tak szczęśliwą, że została zauważona, że Erhard nie miał sumienia tłumaczyć, że zaszło nieporozumienie. Poza tym, co okazało się później, miała jakąś niezwykłą, choć bardzo przyjemną technikę ssania, której skutki jego członek odczuwał jeszcze przez wiele tygodni. Kiedy po raz drugi odwiedził burdel, postanowił, że tym razem od razu uderzy do Mulatki, ale okazało się, że jej nie ma. Może była chora albo dostała wolne, żeby pojechać na ślub młodszego brata. Zawahał się więc na chwilę i wtedy poczuł na sobie spojrzenie Afrodyty. Uznał, że jest jej coś winien za poprzedni raz. Poprosił, żeby skupiła się na tym, co jest w stanie zrobić ustami: raz że go to podniecało, dwa że nie musiał wtedy patrzeć, jak się rozbiera. Nie żeby mu się nie podobało jej ciało. Chodziło o to, że poprzednim razem robiła to niezwykle starannie, składa każdą część garderoby tak porządnie, że zaczął podejrzewać, że kiedyś pracowała w sklepie z ubraniami. Tak czy inaczej zajęło jej to mnóstwo czasu. Tak dużo, że stracił ochotę na cokolwiek. Odzyskał ją dopiero, kiedy poczuł na członku jej gorący oddech. Afrodyta na kolanach jak sprzątaczką. Szoruje szczotką dno łodzi.

Nurkuje, pływa między żółwiami. Mówi do niego pod wodą, z ust wylatują jej bańki, lecą w dół, wirują między kamieniami, gdzie zbiera małże. Erhard się budzi. Budzi się co pół godziny. Słucha oddechu Beatriz, spogląda na aparaturę. I za każdym razem jego wzrok wędruje do ciemnej szczeliny, w której jego ręka idealnie by się zmieściła. Senny i trochę podniecony wraca na poduszkę. Noc trwa zdecydowanie za długo.

## 35

Wzgórza są czarne, niebo żółte jak żółtko jajka.

Erhard stoi między kamieniami i patrzy, jak zbliżają się do niego kozy. Mały dzwonek Laurela pobrzękuje rytmicznie za każdym razem, kiedy zwierzę uderza przednimi nogami o ziemię.

Głos Emanuela Palabrasa brzmiał przez telefon wyjątkowo chłodno. Twierdził, że nie widział Raúla od wielu tygodni. Kiedy Erhard powiedział mu o śmierci Beatriz i o zniknięciu syna, rzucił tylko, że Raúl zawsze był synem swojej matki. I roześmiał się. Erhard niemal od początku czuł, że łączy go z nim dziwna więź. Dwóch mężczyzn nienadążających za czasem. Z pokolenia, dla którego ważna była etyka pracy, pokolenia, które życie traktowało surowo. Palabras zawsze powtarzał, że nie należy się wdawać w coś, czego się nie rozumie. Był wyraźnie poirytowany zachowaniem syna. Erhard uspokajał go. Na pewno wróci, powtarzał wielokrotnie, aż w końcu zmienił temat: Jak ci idzie z *Coral*? Emanuel mruknął coś pod nosem i się rozłączył.

Erhard prowadzi kozy do domu, daje im karmę. Rozsypuje ją między kamieniami, patrzy, jak najpierw wszystko dokładnie wachają, a potem wylizują szarymi językami każde najmniejsze źdźbło. Odnosi na miejsce drabinę. Powinna stać z drugiej strony domu. Niedaleko miejsca, w którym znalazł Alinę. Dziwi się, że przeniosła ją na drugą stronę, zanim weszła na dach. Po co to zrobiła?

Teraz jednak jego najważniejszym zadaniem jest zapewnienie spokoju Beatriz. I zdobycie nowej prądniczy. Lepszej, stabilniejszej. Może takiej, która sama wyłącza się na noc. Od dawna o takiej myśli, ale nigdy nie było go stać. Poza tym nigdy nie było to tak naprawdę konieczne. Postanawia, że jeśli znajdzie nową prądnicę za mniej niż tysiąc euro, to ją kupi. Sklep ze sprzętem elektrycznym będzie czynny dopiero jutro.

Wchodzi do domu. Je kaszę kukurydzianą, sprawdza worek z moczem przy łóżku Beatriz i słucha radia. Sięga po książkę, siada na fotelu ze sprężynami wyraźnie wyczuwalnymi pod zniszczoną tapicerką i podłokietnikami podrapanymi przez kota poprzedniego właściciela. Czyta fragment o poplamionej taśmie: „Najcichszy dźwięk może zniweczyć nasz plan”, mówi Holmes, który siedzi w mroku cały sztywny. Historia o mordercy, który ma na sumieniu życie dwóch kobiet. Dziwne. Książka z niewielkiego działu literatury w sklepie Solilli nagle stała się niezwykle aktualna. Erhard jest przekonany, że w jakiś dziwny sposób wszystko, co się ostatnio dzieje, ma związek z chłopcem w pudełku. Wszystko wydaje się ze sobą powiązane, tylko nie potrafi powiedzieć w jaki sposób.

Może ktoś pobił Beatriz i pozbył się Raúla? Ktoś, kto przestraszył Alinę tak bardzo, że zeskoczyła z dachu? Ale co to ma wspólnego z chłopcem? Czy ktoś widział Raúla i Beatriz w Cotillo tego wieczoru, kiedy niebo rozświetlały błyskawice? I pomyślał, że są w to jakoś wplątani? Raúl i Beatriz nie są ludźmi powszechnie znanymi, nie są celebrytami, ale kiedy wchodzili do lokalu, wszystkie głowy się odwracały. Ludzie ich zapamiętywali. No i wszyscy znają nazwisko Palabras. Nadal szepce się je na rynku warzywnym, wymawia głośno w Żółtym kogucie, kiedy mężczyźni mają już w czubach wystarczająco dużo.

Nie udało mu się dowiedzieć nic więcej o zdjęciu, które Alina znalazła w komórce. O zdjęciu z plaży. Zdjęciu samochodu zostawionego na samym brzegu, tuż nad wodą. Ledwie zdążył na nie zerknąć, kiedy wychodził po ładowarkę. Alina siedziała i trzymała w ręku komórkę. Wtedy ostatni raz widział ją żywą. Komórka powinna gdzieś tu być. Kładzie się na podłodze, sprawdza

pod regałem i pod krzesłem. Wychodzi do przedpokoju, sprawdza pod materacem. W końcu znajduje ją na wieszaku w przedpokoju, jakby ktoś wkładał kurtkę i ją tam na chwilę odłożył, a potem o niej zapomniał. Wciska jakieś klawisze, ale komórka jest martwa. Nie może sobie przypomnieć, gdzie położył ładowarkę. To było tak dawno temu.

Niech to szlag, jak wszystko się komplikuje. O ile w ogóle uda mu się znaleźć w komórce coś, co okaże się przydatne. Przychodzi mu na myśl Jorge Ponduel, którego zwykle woli unikać. Zadziorny *majorero*, który przeżył najgorszy dzień w życiu, kiedy Quesotierro, producent serów kozich, zrezygnował ze sponsorowania UD Fuerteventura, jedynej dobrej drużyny piłki nożnej. Ponduel uwielbia elektronikę, chętnie opowiada o głośnikach, monitorach i innych dziwnych rzeczach, które ma albo chce mieć. I narzeka na wszelkie starocie, które ciągle się psują, japońskie badziewie. O ile Erhard dobrze pamięta, pracuje przed południem od poniedziałku do piątku.

Zwykle nie jeździ w niedzielne popołudnia. Ale jest niespokojny, a poza tym potrzebuje pieniędzy. Przed wyjściem zaciąga firanki i gasi światło. Świecą się tylko lampki respiratora. W ciemności Beatriz przypomina człowieka, który staje się zwłokami. Jeśli okaże się, że to Raúl ją tak załatwił, to niech go szlag. Jeśli jednak okaże się, że jest niewinny, to pewnego dnia podziękuje mu, że próbował ją ratować.

## 36

W sklepie jest nowy sprzedawca. Sprytny Turek, z tyłu ostrzyżony w paski. Od razu zaczyna mu opowiadać o gospodarce paliwowej. Mówi, że porządna prądnica to dobra inwestycja. Przynosi katalog, pokazuje zdjęcia dużych niebieskich skrzynek.

Według Erharda ich rozmowa może być przykładem tego, jak szybko można odejść od tematu. Czuje się bezradny, głupi. A był przekonany, że jeszcze tego

samego dnia wróci do domu z nowym urządzeniem. Był przekonany, że sprawę da się załatwić w kwadrans, a już od pół godziny wgapia się w drogi katalog. I dalej nic nie wie. Poza tym że prądnica, która stoi u niego w szopie, to ósmy cud świata. Przejął ją razem z domem i jak dotąd była naprawiana zaledwie cztery razy. Nie chce już słuchać sprzedawcy, chce wyjść na ulicę.

– Moc sto kilowoltoamperów, obsługa dotykowa – zachwala sprzedawca. Ma na imię Jorge, tak przynajmniej jest napisane na wizytówce, którą ma na piersi.

– Chyba jest za duża, zbyt wyszukany model jak dla mnie...

– Chciał pan pełną automatykę.

– Tak, ale... nie o to mi chodziło. Przyjdę kiedy indziej. Będzie jutro twój szef?

– Mój szef? Pyta pan o Christiano? Nie, on tu już nie pracuje. Ja jestem nowym właścicielem. W czym problem?

– Szukam prądnicy, która będzie lepsza od tej, którą mam. Nie czegoś takiego z monitorami i nie wiadomo czym.

– Ile pan ma?

– Ile mam czego?

– Pieniędzy. Ile jest pan gotów na nią przeznaczyć?

Bardzo bezpośrednie pytanie. Erhard jest zaskoczony. Młode pokolenie. Robią, co im się żywnie podoba.

– To nie pana sprawa – mówi.

– Ale bardzo ułatwiłoby nam szukanie.

Erhard patrzy na zegar nad drzwiami. Dochodzi jedenasta.

– Mam około tysiąca euro.

Jorge zamyka katalog. Może czuje się urażony, ale nie zamierza się poddać.

– Wie pan co, wyjdziemy na zewnątrz – mówi i rusza do drzwi prowadzących na podwórze. Erhard idzie za nim. Sprzedawca zatrzymuje się obok dużej bramy, zdejmując leżącą na paletach tekturę.

– To jest prądnica za mniej więcej półtora tysiąca.

Na palecie stoi dziwny kolorowy przedmiot z dospawanym pojemnikiem i czymś, co przypomina walizkę doczepioną do grzejnika.

– Moc czterdzieści do pięćdziesięciu kilowoltoamperów. Ma co prawda za sobą co najmniej dwadzieścia lat służby na atlantyckim kutrze rybackim i na pewno nie jest tak sprawna jak nowa, ale na pewno znacznie lepsza niż większość tego, co można dostać za półtora czy dwa tysiące euro.

Prądnica wygląda na starszą niż ta, której Erhard obecnie używa, ale jego ma moc góra dwudziestu pięciu kilowoltoamperów i tylko trzy wyjścia, podczas gdy ta ma sześć.

– Można do niej zamontować...

– Tak – odpowiada Jorge. – Za dwa tysiące euro dostanie pan taką z wyłącznikiem czasowym.

– Tysiąc siedemset.

– Tysiąc dziewięćset.

– Dobrze, ale z dostawą do domu. Dzisiaj.

– Ma pan przy sobie gotówkę?

– Mam tysiąc euro.

– Dostarczymy ją, jak tylko pan zapłaci.

– Twój dawny szef pozwalał mi kupować na raty.

– Tylko że jego już tu nie ma.

Co stanowi pewien problem. Erhard potrzebuje więcej prądu, żeby móc zostawiać Beatriz samą na cały dzień. Teraz musi wracać po czterech godzinach i dolewać ropy do zbiornika, nawet jeśli jest w pracy.

– Skoro chcesz mi sprzedać ten złom, dam ci tysiąc euro, a ty przywieziesz mi go dzisiaj do domu. Pozostałe osiemset euro podrzucę w ciągu tygodnia.

Ale Jorge się nie zgadza. Może mu sprzedać prądnicę za tysiąc osiemset pięćdziesiąt euro plus transport. W sumie dwa tysiące dwieście euro. Obiecuje, że przetrzyma ją u siebie i nikomu nie sprzeda przez tydzień.

Erhard jedzie ulicą Atalaya do Primo de Rivera, a potem Milagrosa. Kiedy skręca, jakiś klient próbuje wsiąść, ale Erhard pokazuje mu wyłączony taksometr. Okrąża blok i wyjeżdża na Calle Nuestra Señora Carmen.

Jedzie powoli i wypatruje Ponduela. Nigdzie go nie ma. Zatrzymuje się obok siedzącego i czytającego gazetę Alberta.

– Dzień dobry, Alberto.

Alberto opuszcza gazetę i pozdrawia go.

– Jak umowa z Múñezem?

– Dobrze, *Señor Extranjero*.

Co znaczy, że wszystko jest dobrze, może nawet bardzo dobrze. Alberto zarabia na umowie. Erhard udaje, że nie słyszy, że Alberto zwraca się do niego per obcy. Pyta czy widział Ponduela.

Alberto wskazuje ręką do tyłu.

– Zajrzyj pod sześćdziesiąt dwa.

– Nie ma dzisiaj zmiany?

– Nie ma roboty. Strajki. W Londynie, Berlinie, Paryżu. Żadnych samolotów do jutra.

Erhard jedzie dalej, zatrzymuje się przed numerem sześćdziesiąt dwa. Sklep z elektroniką. Właściciel to znana postać. Irlandczyk, który uwielbia pokera i piwo.

W sklepie nikogo nie widać. Erhard uchyla kotarę z koralików i wchodzi na zaplecze. Nigdy tam jeszcze nie był. Chociaż wiele razy go zapraszano. Drzwi na podwórze są otwarte. Cormac, właściciel, opowiada, jak się handluje z Chińczykami. Palcami wskazującymi podciąga do góry powieki. Kiedy spostrzega Erharda, przestaje.

– Eremita – mówi z zachwytem.

Ponduel patrzy na niego skwaszony. Jakby był małym chłopcem, po którego przyszedł tatuś. Erhard podaje Cormacowi rękę.

– Ponduel, to ciebie szukam.

– *That figures* – mówi Cormac i się śmieje. Pewnie już jest pijany.



– Czego ode mnie chcesz? – pyta Ponduel. Erhard zapomniał, że Ponduel zawsze jest nieuprzejmy. Nie jest złym człowiekiem, po prostu jest niegrzeczny. Erhard zastanawia się, czy chce go prosić o pomoc. To bowiem znaczyłoby, że spędzą trochę czasu razem, ale nie widzi innego rozwiązania.

– Potrzebuję twojej pomocy, bystrzaku.

– Nigdy nikogo nie prosisz o pomoc.

– Ale teraz proszę. Potrzebuję kogoś, kto się zna na komputerach.

– O tak, na czym jak na czym, ale na komputerach to on się zna – mówi Cormac i częstuje Erharda piwem.

Ponduel nie wygląda na zachwyconego.

– O co chodzi? Nie zajmuję się już takimi rzeczami. Nastolatki są lepsze ode mnie. Poszukaj kogoś wśród nich.

– Nie chodzi o komputery. Muszę coś znaleźć w Internecie.

– To możesz zrobić sam – mówi Cormac.

– Co takiego? – okazuje w końcu zainteresowanie Ponduel.

– Szukam zdjęcia.

Cormac wybucha śmiechem.

– *Oh, we know what you mean!* – woła. Erhard nie rozumie, co go tak ubawiło. – Co to za zdjęcie? Powiedz coś więcej – ciągnie Irlandczyk.

– Nic więcej nie wiem.

– Kto je zrobił i gdzie?

– Tego też nie wiem.

– No to kiepsko.

– Wiem tylko, że istnieje. Widziałem je. W komórce. W Internecie. Tylko nie potrafię go znaleźć.

– Daj sobie spokój – mówi Ponduel i wlewa powoli do gardła resztkę piwa i piany z półlitrowej butelki.

– Zapłacę ci. Włącz taksometr, niech bije.

– Widzę, że rzeczywiście ci zależy – mówi Cormac. Słyszy, że ktoś wszedł do sklepu, więc wychodzi z zaplecza i zostawia ich samych.

– Co jest na tym zdjęciu?

– Powiem ci, jeśli obiecasz, że mi pomożesz.

– Nie mogę ci pomóc, jeśli nic mi nie powiesz.

– To zdjęcie wybrzeża, plaży. Cotillo Beach. Nie wiem, kto je zrobił, wiem tylko, że jest na nim coś, co może się okazać bardzo ważne. Znalazła je moja znajoma, ale ona już nie żyje. Chciałbym je zobaczyć jeszcze raz.

– Kto nie żyje? – pyta Cormac, który właśnie wrócił ze sklepu.

Niepotrzebnie wspomniał o śmierci Aliny. Nie ufa Cormacowi. Jeśli coś mu powie, zaraz będzie o tym wiedzieć całe miasto.

– Znajoma – mówi więc tylko. – Spadła ze schodów.

– Gdzie jest ta komórka? – pyta Ponduel.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować znaleźć je w komputerze. Ma większy ekran.

– A gdzie masz komputer?

Erhard spuszcza wzrok, Ponduel parska.

– Możesz kupić jakiś u nas – proponuje Cormac.

– Czyli potrzebujesz nie tylko pomocy, ale i komputera?

Cormac się śmieje.

Erhard ma dosyć drwin. Dlaczego wszyscy chcą na wszystkim zarobić, dlaczego nikt nie chce po prostu pomóc?

– Zapomnijmy o tym – mówi. – Zwróciłem się do ciebie, bo nie znam nikogo innego. Nie znam żadnych nastolatków.

– Porozmawiaj z Luisą Glades – mówi Cormac i wstaje.

– Kto to jest?

– Uczy informatyki, w Puerto. Ale mieszka tutaj. A w każdym razie jej matka tu mieszka. Podobno jest bardzo bystra. Kupowała u mnie komputer. W zeszłym miesiącu. Sama go złożyła.

– Pewnie sporo sobie zażyczy. Nie stać mnie. Nie potrzebuję eksperta, tylko kogoś, kto potrafi znaleźć zdjęcie.

– Zawsze możesz ją spytać. Może czegoś cię nauczy. Nie mam do niej telefonu, ale na pewno go znajdziesz.

– Glades? – pyta Erhard i zamiera.

– Tak, córka fryzjerki, tej z Acorzado.

– Ma dwie córki?

– Nie. Córkę i syna. Córka ma na imię Luisa.

– Jeśli chcesz poznać jakieś pikantne szczegóły, Cormac zna je wszystkie – mówi Ponduel i śmieje się.

– *Yes, Gentlemen*, jestem uszami i oczami, centralną telefoniczną całej wyspy, elektronika sprawia, że nawet dorośli mężczyźni paplają jak papugi – to jego ulubione powiedzenie, powtarza je co jakiś czas.

Nie nazywa się Luisa Glades, tylko Luisa Muelas, ale tego Erhard im nie mówi. Przypomina sobie, jak stał podniecony i nieszczęśliwy pod drzwiami jej mieszkania na Calle Palangre. A ona leżała w salonie na czerwonej skórzanej kanapie z butelką szampana między długimi nogami. Fajerwerki nad Isla de Lobos i palec Billa w wewnętrznej kieszeni. A teraz okazuje się, że jest jakąś cholerną ekspertką od komputerów.

Ponduel zaczyna rozdawać karty.

– Uważaj na pieniądze – rzuca Erhard i wychodzi z rozgrzanego sklepu.

Bierze rozbieg i rusza po schodach do salonu. W środku trwa właśnie strzyżenie trójki dzieci. Siedzą spokojnie z lizakami w buziach. Na ścianie wisi zdjęcie córki fryzjerki, Erhard odwraca głowę.

Petra to chodząca uprzejmość, od razu chce go umówić na strzyżenie. Nie, nie dlatego tu jestem, broni się. Mówi coś o komputerze i Luisie, a Petra natychmiast zaczyna chwalić się córką. Jest okropnie zapracowana. Ale to przejściowe, bo niedługo wychodzi za mąż.

– No to gratuluję – mówi Erhard.

– Zaraz do niej zadzwonię – mówi Petra i zaczyna wystukiwać numer na bezprzewodowym aparacie w salonie.

Rozmawiają. Po jakichś pięciu minutach Petra tłumaczy córce, że jej dobry klient potrzebuje pomocy. To ten inteligentny starszy pan, o którym ci wspominałam, ten Norweg. Erhard czuje się skrępowany.

Petra milknie, patrzy na niego:

– Gdzie mieszkasz? W Majanicho, prawda?

– Nie, na Calle Muelle – poprawia ją. – Na drzwiach jest tabliczka z nazwiskiem. Palabras.

Petra powtarza wszystko córce.

– Kiedy masz czas? – zwraca się do niego.

– W każdej chwili – mówi, ale przypomina sobie o Beatriz. – Jutro po sjeście – poprawia się.

– Luisa proponuje w środę po dwudziestej. – Erhard kiwa głową, Petra się rozłącza. – Może jednak umówię cię na strzyżenie?

Amerykańskie małżeństwo, mieszkają w hotelu w Las Dunas.

Ona narzeka na wiatr. Dlaczego mi nie powiedziałeś, kiedy załatwialiśmy ten wyjazd? Mężczyzna próbuje tłumaczyć, że sam nie wiedział. Na zdjęciach wszystko wyglądało bardzo ładnie. Na zdjęciach nie widać wiatru, mówi żona, ale o takich rzeczach można zwykle przeczytać.

Erhard wraca do domu przed sjeścią. Zatrzymuje się w markecie HiperDino, kupuje chleb, jakiś tani ser i gazetę, którą potem, w domu, czyta od deski do deski, ale najpierw sprawdza tętno Beatriz, patrzy, czy jej źrenice reagują, masuje jej ręce i nogi, żeby poprawić krążenie. Słucha jej oddechu. Przykłada ucho do jej ust, ale nie słyszy żadnych dźwięków poza chrapliwym rżeniem respiratora. Ma wrażenie, że zna to ciało lepiej niż ciało którejkolwiek z kobiet, które kochał albo znał.

Obcowanie z kimś, kto jest w stanie nieświadomości, to bardzo szczególna sytuacja. Normalna granica intymności przestaje obowiązywać. Myje ją szmatką. Bardzo ostrożnie. Patrzy na jej brzuch, który unosi się i opada, wspomina, jak siedział obok niej na plaży albo na tarasie. Kiedy powietrze uchodzi, brzuch

wygląda jak pusta torba, robi się zatrważająco chudy. Erhard zauważa też, że twarz Beatriz jest jakby bledsza. Sięga po telefon i dzwoni do Michela. Minęła już doba. Stan Beatriz ani się nie poprawił, ale nie pogorszył. Michel wypytuje go o różne rzeczy. Czy się poruszyła, czy... – i tak dalej, i tak dalej. Erhard na wszystko odpowiada Nie. Tętno jest stabilne, około sześćdziesięciu jeden uderzeń na minutę, respirator cały czas działa. Po raz pierwszy słyszy w głosie lekarza niepewność. Jeśli w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin nie nastąpi poprawa, będzie musiał odwieźć Beatriz do szpitala. Bez płynów i jedzenia przeżyje najwyżej trzy, cztery doby.

Beatriz leży na kanapie, widać ją od razu, jak tylko otworzy się drzwi. Próbował przesunąć kanapę, ale wszystko na nic. Zaczyna się niepokoić. Poza tym brakuje mu zajęcia, zaczyna więc budować antresolę w niewielkiej spiżarni, w której na co dzień przechowuje jedzenie. Jest to najniższe położone pomieszczenie i dlatego najwyższe. Jeśli zbuduje antresolę nad regałem, Beatriz będzie mogła tam leżeć i nikt jej nie zobaczy. A jemu łatwiej ją będzie obserwować. Wystarczy, że stanie na skrzynce. Na górze jest nawet kontakt, więc bez problemu będzie można podłączyć respirator.

Pracuje bez wytchnienia, ale przynajmniej zapomina o czasie. Piłuje stare belki, mocuje je. Wyciąga stare deski i płyty z szopy, kładzie je na regale, a potem wyżej, na belkach. Jedna z płyt okazuje się za szeroka, musi ściąć rogi, żeby przeszła przez drzwi. Kiedy wszystko jest na miejscu, mocuje na ścianie niewielką lampkę. Wciąga na górę materac, na którym leżała Alina, zabezpiecza go jeszcze jedną szeroką belką.

Kiedy słońce stoi nad wzgórzami, nalewa sobie koniaku do kieliszka do wina, słucha Radia Mucha, w którym leci Gillespie. W wiadomościach nikt słowem nie wspomina o chłopcu. Wszyscy zdążyli już szczęśliwie o nim zapomnieć.

– Ale ja nie – mówi do Beatriz.

Teraz czeka go najgorsze.

Najpierw przenosi na antresolę respirator, podłącza go, urządzenie syczy jak chory kot. Potem bierze ją w ramiona, w ręku trzyma cewnik i worek z moczem. Krok po kroku posuwa się do przodu. Wchodzi na skrzynkę, potem na krzesło, które sobie wcześniej przygotował. Delikatnie przenosi ją nad belką i kładzie na materacu. Na końcu puszcza jej głowę. Przesuwa ją ostrożnie do ściany, z daleka od brzegu łóżka, układa w oświetlonym słabą żarówką narożniku. Worek z moczem kładzie na jednej z dolnych półek. Próbuje wyłączyć buczenie, ale nie chce za bardzo manipulować przy respiratorze, żeby czegoś nie zepsuć.

Układa na półkach to, co wcześniej pozdejnował. Puszki, szpulki nici, butelki z oliwą i octem. Niczego nie wyrzuca, nawet jeśli termin spożycia dawno minął. Kiedy kończy, pomieszczenie przypomina spiżarnię. Może mało apetyczną, ale jednak spiżarnię.

Sprawdza prądnicę, dolewa paliwa w nadziei, że będzie musiał to zrobić jeszcze tylko kilka razy. Wyjmuje ser, je, patrząc na drogę za oknem. Światło powoli znika, ziemia staje się coraz bardziej ciemna.

Okolo dwudziestej pierwszej zjawia się policja.

Wiedział, a może raczej przeczuwał, że tak się stanie.

Pojedynczy policjant. Widzi zarys czarnego samochodu, światła podskakują na wyboistej drodze. Rozpoznaje go. To Bernal. Pozwala, żeby stał chwilę pod drzwiami i pukał, dopiero potem podchodzi i otwiera.

– Eremita.

– Bernal – wita go. Nie zaprasza go do środka. Nie od razu.

– Co u ciebie?

– Nie rozumiem, o co pytasz.

– Bill Haji. Chłopiec na plaży. Byłeś tam w towarzystwie Beatriz Colini, która potem umarła, i Raúla Palabrasa, który potem zaginął.

– To mała wyspa.

– Świat jest mały.

– Znasz mnie. Nie mam nic wspólnego z jej śmiercią. – To prawda, dodaje Erhard w duchu.

– Tak, ja to wiem, ale różne myśli chodzą ludziom po głowach. Na razie nie jesteś jeszcze o nic oskarżony.

– To są moi najlepsi przyjaciele. Nigdy nie...

– Byli.

– Co?

– To byli twoi najlepsi przyjaciele. Czas przeszły.

– Niewykluczone, że Raúl Palabras żyje.

– Wiesz, gdzie jest?

– Nie. Mówiłem to już temu drugiemu policjantowi.

– Co się stało, że pobił swoją ukochaną?

– On jej nie pobił. Musiała upaść. Raúl nigdy by jej nie uderzył.

– Czy mówimy o tym samym Raúlu Emanuelu Palabrasie, dwukrotnie skazanym za użycie przemocy? O nim?

– Nie tknąłby Beatriz. Nie w ten sposób.

– Hassib napisał w raporcie, że spędziłeś z nią godzinę, zanim umarła. Co robiłeś?

– Próbowałem ją ratować.

– Jak?

– Pomogłem jej, ułożyłem wygodniej, mówiłem do niej.

– Przez godzinę.

– Aż przyszedł lekarz.

– Kto?

– Czy to nie wszystko jedno? Przyszedł i powiedział, że nie można nic zrobić. Wyszedł, a ona zaraz potem umarła.

– Więc jest świadek. Lekarz. Musimy z nim porozmawiać.

– Przyszedł, bo był przyjacielem Beatriz. Nie mogę powiedzieć, kto to był.

– Mogę cię aresztować. Dowiem się, kto to był.

– Dobrze.

– Jak to się stało, że ją znalazłeś?

Erhard powtarza to, co wcześniej opowiedział Hassibowi.

– O jedenastej? Jesteś pewien? – pyta Bernal.

– Tak. Kiedy ją znalazłem i ułożyłem, poszedłem na taras, na dach, żeby zobaczyć, czy nie ma tam Raúla. Widziała mnie jakaś kobieta, wieszała pranie na sąsiednim dachu. Na pewno to potwierdzi.

– Czy Beatriz coś powiedziała?

– Coś mamrotała. Powtarzała: Raúl.

– Powiedziała, co się stało?

– Powiedziała, że upadła.

– Spadła ze schodów?

– Tak to wyglądało.

– Lorenzo twierdzi, że miała nogi złamane w kostkach i zmasakrowaną twarz.

Powiedziałbym, że to musiał być dziwny upadek.

– Co ja mogę wiedzieć? W takim stanie ją znalazłem.

Bernal patrzy na drogę, widzi biegnące w stronę domu kozy.

– Co się stało z jego rogiem?

– Tak wyglądał, kiedy go dostałem.

– Wpuść mnie i zaproś na piwo. Musimy porozmawiać.

Właśnie tego Erhard się obawiał. Ale nie bardzo może odmówić.

– Właśnie miałem się położyć.

– Nie wierzę. Przesiadujesz po nocach – mówi Bernal i wchodzi.

Erhard idzie do spiżarni, bierze dwa letnie piwa. Zerka na antresolę, Beatriz nie widać ani nie słyhać. Gasi światło i podaje policjantowi puszkę.

– Coś tu poprzestawiałeś – mówi Bernal.

Erhard się rozgląda.

– Chodzi ci o kanapę? – Przesunął ją, kiedy kładł na niej Beatriz.

– Tak, coś jest inaczej niż było. – Nagle odwraca się do Erharda. – Mam ci coś ważnego do przekazania.

Pauza. Cisza. Zbyt wielka cisza.



– Raúl Palabras uciekł za granicę.

– Znaleźliście go? – Erhard czuje ulgę, że Raúl żyje, zaraz potem przychodzi złość: gówniarz uciekł od odpowiedzialności. Od swojej ukochanej.

– Mamy go na taśmie z monitoringu, z lotniska. Z listy pasażerów wynika, że wszedł na pokład.

– Dokąd poleciał?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Do Hiszpanii?

– Nie.

– Jeśli było to wcześniej niż dziesięć po dziesiątej, to były tylko trzy odloty. Casablanka, Londyn i Madryt.

– Znajdziemy go. Jak tylko postawi stopę na którejś z wysp.

– Mam nadzieję – stwierdza Erhard. Mówi to prawie szczerze.

– No dobrze, posłuchaj – zaczyna Bernal. – Jeśli coś wiesz, ale nam o tym jeszcze nie powiedziałaś, możesz zrobić to teraz. Mój kolega, Hassib, uważa, że kłamiesz, że kogoś kryjesz. Chciał ściągnąć cię na komisariat, ale poręczyłem za ciebie. Powiedziałem, że cię znam. – Patrzy na Erharda, jakby mu zadał pytanie.

– Powiedz, jeśli jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć.

– Mogę jeszcze raz wszystko powtórzyć, jeśli oczywiście chcesz. Nikogo nie zabiłem, jeśli o to mnie podejrzewacie.

Bernal się śmieje, jakby to co prawda było niemożliwe, ale mimo to przyszło mu do głowy.

– Dziewczyna upada i umiera, Palabras wyjeżdża za granicę. To nie może być przypadek.

– Mogę tylko potwierdzić, że znalazłem Beatriz. A Raúl zniknął.

– No właśnie, mówiłem, że jesteś w porządku. Hassib jest przekonany, że robisz nas w konia, ale to jego słowa, nie moje. Jesteś w porządku – powtarza Bernal i wstaje z krzesła. – Miała kuzynkę i ciotkę w Madrycie. Nie zdążą dolecieć. A może nie stać ich na bilet. Jeśli chcesz, to przyjdź. Nie będzie tłumów. Jutro. O siedemnastej. Przy Alto Blanco.

– Dlaczego akurat tam?

– Emanuel Palabras o to prosił. On płaci.

– Będzie tam?

– Nie sędzę. Dzięki za piwo. – Bernal nie tknął piwa. Stawia puszkę na stole, podchodzi do drzwi. – A właśnie... jeśli nadal się zastanawiasz, co się stało z tym chłopcem z samochodu, to nie posunęliśmy się dalej. Sprawa nadal jest otwarta, ale nikt się nią nie zajmuje.

– Myślałem, że ją zamknięcie. Tym fałszywym przyznaniem się do winy.

– Dziewczyna zniknęła. Tak to bywa z takimi jak ona. Pewnie się przestraszyła. Od naszego miejscowego sponsora też nie mamy żadnych wieści. Więc już nie musisz się tym zajmować.

– Matki nadal nie odnaleziono.

– Ziemia się kręci, Eremito. Są nowe sprawy, którymi trzeba się zająć. Sam też dbasz o to, żebyśmy mieli zajęcie – mówi Bernal i wychodzi. W brunatną ciemność nocy.

## 37

We wtorek Erhard jeździ od wczesnego ranka do późnego wieczora, za długo. Kiedy wraca do domu, czuje się cały połamany. Jest zmęczony i nie w humorze. W ciągu dnia miał tylko dwie przerwy, przyjechał do domu dolać ropy do prądnicy, sprawdzić, co z Beatriz i coś zjeść. Uświadamia sobie, że nie uda mu się szybko zebrać ponad tysiąca euro, skoro połowę oddaje firmie. Pod koniec dnia ma dla siebie jedynie sto dwadzieścia osiem. W ten sposób zarobi na prądnicę za kilka tygodni. Cholerna prądnica. Stoi w spiżarni na skrzynce i słucha, jak Beatriz oddycha, widzi, jak przezroczysta bańka przy jej ustach paruje. Nic nie mówi. Zaczęła niezbyt przyjemnie pachnieć, ale on boi się jej dotknąć, nie mówiąc już o tym, żeby ją obrócić. Jest tak zmęczony, że zasypia na kanapie w ubraniu, sztywny.

We śnie balansuje na krawędzi, między rzeczywistością a niewielkim miasteczkiem nagrzanym przez słońce, ludzie wchodzą i wychodzą z restauracji i knajpek. Słyszy kroki przed domem, wie, że nikogo tam nie ma, widzi ciało młodej dziewczyny, które ktoś polewa olejem napędowym, to nie może być jedynie wyobraźnia, która płata mu figle. Ktoś chce go do czegoś zmusić.

Czuje skurcz w nodze, potem ból, jakby ktoś ogrzał mu ścięgna do dziewięćdziesięciu stopni. Nie zastanawiając się, wstaje i wychodzi na dwór. Wiatr jest silny, czuje, jak targa samochodem, kiedy wraca drogą do miasta. Około dziesiątej dzwoni ojciec rodziny, który chce zamówić kurs do Puerto. Erhard przyjmuje zlecenie, ale w końcu nic z tego nie wychodzi. Mężczyzna kłóci się z żoną, wchodzą do kawiarni, między nimi idzie córka. Erhard próbuje czytać Conan Doyle'a, ale nie potrafi się skupić.

Około dwunastej włącza kierunkowskaz, opuszcza kolejkę i jedzie do Café Miza. W niewielkim lokalu, w którym Miza akurat parzy kawę, nie ma nikogo. Zwykle pełno tu turystów, głównie studentów i młodych ludzi, którzy trafiają tu za radą Lonely Planet. Przewodnik umieścił kawiarnię na liście pięciu lokali z najlepszym widokiem. Miza nastawia głośniejszą muzykę i zabiera się za czyszczenie ekspresu. Jest zdziwiona widokiem Erharda, nigdy nie bywa tu o tej porze. Najwyraźniej także młodzi przyzwyczajają się do pewnych rzeczy. Erhard zwykle wypija kawę w samochodzie, tym razem postanawia wypić w środku, w kafejce. Miza kończy myć ekspres, spogląda na niego. Nuci do muzyki, pyta, jak mu idzie praca. Dobrze, odpowiada.

Patrzy na morze. Nic się nie zmieniło. Na niebie nie ma nawet jednej chmurki. Przygląda się jak zahipnotyzowany falom, które wznoszą się na wysokość kolan, zatrzymują, zaczynają biec, potykają się o kamienie i nikną gdzieś między skałami. Niebo nadal jest czyste. Niewidoczny wiatr wymazał nawet obłoki. Został tylko błękit. I biel. Jak w zeszłym roku. I jeszcze w poprzednim. Brzmi jak poezja, ale nią nie jest.

Dzwoni telefon. Miza odkłada ścierkę i idzie do kuchni odebrać. Ze słuchawką przy uchu włącza komputer, wstukuje jakieś dane. Ktoś chyba

rezerwuje stolik. Czekamy na was, kończy i patrzy na ekran komputera. Jest po czterdziestce, posługuje się komputerem bez problemu.

Erhard patrzy na plażę w dole, potem na drogę, wstaje.

– Od ilu już lat tu przychodzę? Od pięciu?

– Będzie już z dziesięć. – Miza się uśmiecha.

– Zawsze pytasz mnie tylko o pracę.

– Nie wtrącam się w cudze sprawy.

– Porządny z ciebie człowiek.

– Ależ Señor Jorgenson – mówi Miza, składa ekspres, robi filiżankę kawy. –

Staramy się.

Erhard zerka na komputer. Wyszukanie zdjęć, na których mu zależy, zajmie mu wiele godzi, jeśli nie dni, jej pewnie dziesięć minut. Nie widzi powodu, żeby zawracać tym głowę córce fryzjerki, która jest w tej dziedzinie specjalistką i pewnie tylko by się z niego śmiała. Może przecież poprosić Mizę, znają się tyle lat, może jest to wręcz przyjaźń, mimo że wymieniają się głównie informacjami o pogodzie, kawie, piłce nożnej i rybakach.

– Coś się stało? – pyta Miza zaniepokojona.

– Szukam pewnego zdjęcia.

Miza rozgląda się, jakby je zgubił gdzieś u niej.

– Niczego tu nie znalazłam, jeśli to miałeś na myśli.

– Pewnie w końcu je znajdę.

Miza się śmieje. W przeciwieństwie do swojego ponurego męża zawsze jest uśmiechnięta.

– Nie masz dzisiaj kursów?

Erhard kręci głową.

Jedzie do Alto Blanco. Kupuje bukiet róż. Za siedemnaście euro. Przyleciały ze stałego lądu. Zostawia samochód na żwirowym parkingu, rusza na górę po schodach, ale cały czas ma wrażenie, że idzie w dół. Staje na szczycie, na płaskiej białej kamiennej płycie, i chłonie widok, jakiego nikt nie byłby nawet

w stanie sobie wyśnić. Pył prehistorycznego wulkanu stale pokrywa to miejsce, cała okolica wygląda jak posypana mąką, aż do brzegu morza, które stąd wygląda jak czarny zawijas. Na środku wzgórza stoi niewielki kościółek, z czarnego łupku. Twardy i gorący. To kościół dla bogaczy z wyspy. Cenią sobie kolory i widok, zdjęcia ze ślubów wyglądają jak reklama perfum. Zadbano nawet o kawałek równego podłoża dla paparazzi, dziesięć metrów kwadratowych, na których mogą rozstawić swoje statywy i wypalić spokojnie papierosa w oczekiwaniu na parę młodą i gości. Erhard jeszcze nigdy nie był w środku. Zatrzymuje się przy potężnych drzwiach. Wszystko znika w cieniu, ale ze środka dobiegają jakieś głosy. Podchodzi bliżej, ma jeszcze dużo czasu.

Wnętrze jest ośmiokątne, niemal ascetyczne. Na środku stoi dziesięć ławek z surowego drewna, w dwóch rzędach, przodem do stołu z granitu. Nad nim jest okno w kształcie krzyża, poruszające w swej prostocie. Z lewej stoi chór, mali chłopcy w czarnych strojach z butami z jaskrawożółtymi podeszwami w milczeniu poprawiają koszule. Ksiądz rozmawia z jakimś mężczyzną w czarnym garniturze, który wychodzi w momencie kiedy Erhard staje w drzwiach kościoła. W jednej z ławek już ktoś siedzi. Kobieta z butiku, w którym pracowała Beatriz. Ubrana wielkomięjsko, na głowie ma maleńki kapeluszek z woalką, oczy zasłonięte ciemnymi okularami. Jak wdowa po gwieździe rocka.

Wkrótce zjawiają się też inne młode kobiety, najwyraźniej znajome ze sklepu. Erhard nie zna żadnej z nich. Witają się cicho, podniosły nastrój robi swoje. Chór zaczyna śpiewać. Na stole, czy raczej ołtarzu, stoi urna przypominająca jajko. Zwykle ceremonia pogrzebowa odbywa się przed kremacją, przy otwartej trumnie, ale tym razem zdecydowano się na kremację przed ceremonią, cała uwaga skupi się więc na urnie.

Teraz, kiedy Erhard ją zauważył, nie widzi już nic innego.

Alina.

Bo przecież tak naprawdę to jej prochy tam są. Kiedy zamienił ją z Beatriz, w mieszkaniu na górze, przestał o niej myśleć. Teraz przypomina sobie wieczór,

kiedy zobaczył ją w klubie nocnym, tej nocy, kiedy poszła do łóżka z młodym muzykiem. Pamięta, jak leżała na łóżku z szeroko rozwartymi nogami i rozmawiała z nim, jakby był starym próchnem. Całkowicie obojętna na wszystko, głupia, bezczelna, do tego stopnia, że miał ochotę coś jej zrobić, sama się o to prosiła, chociaż rozum mówił mu, że to okropna, straszna jędba, że powinien trzymać się od niej jak najdalej.

A teraz nie żyje, a on jest jedynym człowiekiem, który wie, czyje prochy są w urnie. I chociaż nie umarła z jego winy, to stało się to w czasie, kiedy była pod jego opieką. A jej śmierć umożliwiła mu utrzymanie przy życiu Beatriz. Gdyby było wiadomo, że w urnie są prochy Aliny, żałobnicy z pewnością byłiby inni. Przyszłyby dziewczyny z Guisgwey, ale niewykluczone też, że kościół byłby pusty. Pewnie nie byłoby uroczystej ceremonii, może nawet nie zostałyby skremowana, tylko wrzucono by jej ciało do dziury wykopanej przez koparkę, jak ciało chłopca. Bo Aliny nikt nie znał, nikt by nie opłacił pogrzebu dziwki. A więc w pewnym sensie dotarła na szczyt, o czym zawsze marzyła. Erhard siedzi w ostatniej ławce, ma wrażenie, że cały kościół wiruje. Dzwony zaczynają bić, rytmiczne uderzenia.

Po jaką cholere weszła na ten dach? Co ją do tego skłoniło? Jeśli była tak zdesperowana, mogła go przecież zaatakować, kiedy wrócił do domu, tak jak dzień wcześniej. Kiedy wychodził, była zła, ale przecież mieli wspólne plany, poprosiła, żeby jej przywiózł ładowarkę. Więc dlaczego postanowiła skoczyć z dachu?

Kiedy dzwony przestają bić, drzwi się otwierają i wchodzi Emanuel Palabras w towarzystwie służby, która zajmuje wszystkie ławki po lewej stronie. Wszyscy są ubrani na czarno, z wyjątkiem Emanuela, który w zielono-niebieskim garniturze przypomina papugę. Na głowie ma kapelusz, białą fedorę z wąskim rondem. Erhard po raz pierwszy widzi go poza jego posiadłością. Emanuel nigdy nigdzie nie wychodzi sam. Teraz też otaczają go mężczyźni, ochroniarze, jest nawet ogrodnik i dziewczęta, wszystkie jego Masajki, razem tworzą jakby filtr, rodzaj buforu między nim a światem.

Ksiądz, który dotąd stał plecami do nich, odwraca się i zaskoczony przygląda się nowo przybyłym. Unosi ręce w geście powitania i zaczyna mówić. Erhard nagle czuje, że chciałby usłyszeć kilka mądrych i znaczących zdań: o życiu i śmierci, o kruchości ludzkiego istnienia, o wiecznym poszukiwaniu sensu i znanych twarzy, o tęsknocie za wspólnotą i za dłońmi, o małym człowieczku, który po prostu chce być kochany, chce czuć ciepło matczynych ust przy uchu, o gorących, pulsujących członkach pragnących znaleźć się w czyichś objęciach, pragnących poczuć na sobie jej język, i o godzinach oczekiwania na śmierć. Która w końcu przychodzi. Ksiądz cytuje Pismo Święte, przytacza długi fragment o złotym cielcu, Erhard przypomina sobie ilustrację do tej przypowieści z jakiejś starej książki z rozpadającym się grzbietem. Na przedzie kroczy anioł, mówi ksiądz i prosi, żeby wskazał drogę również Beatrizii Aurelii Colini. Chór zaczyna śpiewać. Erhard przenosi wzrok z krzyża najpierw na stół z jajkiem, a potem na szarą posadzkę. Podnosi głowę dopiero gdy znów rozlega się dźwięk dzwonów. Ksiądz idzie przez kościół w stronę drzwi. Za nim kroczy mężczyzna w garniturze, urzędnik kościelny, na rękach ma białe rękawiczki, przed sobą trzyma urnę. Wszyscy ruszają za nim. Najpierw Palabras i jego orszak, właścicielka butiku i pozostałe kobiety. Na końcu, już przy wyjściu, stoi Hassib, policjant, w mundurze. Wpatruje się w twarz Erharda. W każdym razie Erhard ma takie wrażenie. Kiedy go mijają, pozdrawia go krótko. Wychodzą na zewnątrz, na słońce, które świeci blado. Ksiądz i urzędnik kościelny idą wąską ścieżką prowadzącą na tył kościoła, potem schodzą w dół zakosami, aż docierają do niewielkiego płaskowyzu, miejsca pełnego czerwonych żywych kwiatów. Zatrzymują się przed szarą ścianą metalowych kasetek z białymi literami. To kolumbarium. Wielu mieszkańców wyspy twierdzi, że to najbardziej ekskluzywne miejsce, w jakim można zakończyć żywot. Ale mimo licznych wazonów z kwiatami, z liliami i różami, i tabliczkami z sylwetkami zmarłych i aniołków Erhard uważa, że przypomina rząd skrzynek pocztowych.

Jajko, urna, zostaje włożone do jednej z nich. Zanim zostanie zamknięta, ksiądz mówi kilka słów po łacinie i błogosławi wiernych. Następuje chwila

ciszy, ostatnie zdanie należy do morza. Oddech fal. I szczytowy moment uroczystości, tak przynajmniej odbiera to Erhard. Uświadamia sobie bolesną prawdę: prawdę o nieuchronności losu. Życie składa się z rzeczy, które robimy tylko jeden jedyny raz.

Wracają do samochodów.

Ostatnia rzecz, której pragnie, to czuć swoją cielesność. Albo napotkać wzrok policjanta. Spieszy się, idzie tak szybko, że bołą go kolana, mijają kobiety z butików, rusza w stronę parkingu. Kiedy staje przy samochodzie, podchodzi do niego jeden z mężczyzn z orszaku Emanuela. Señor Palabras chciałby zamienić z nim kilka słów. Czy mógłby się pofatygować do jego samochodu? Ma na myśli gigantycznego mercedesa, który stoi na środku parkingu. Erhard idzie za nim, zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu, czeka kilka minut. Beżowa skóra i dużo miejsca na nogi. Nie jest w stanie dotknąć stopami siedzenia kierowcy, nawet kiedy wyciąga nogi. W końcu zjawia się Emanuel. Wsiada razem z dwiema chudymi Masajkami i Charlesem, jednym z ochroniarzy. Prawą nogę ma w gipsie.

– To dzień smutku – mówi.

– Tak – potwierdza Erhard.

– Niestety nie mogę powiedzieć, że ją znałem. Mój syn nie bardzo chciał się nią chwalić.

Erhard tego nie rozumie. Raúl był dumny z Beatriz. Może raczej unikał towarzystwa ojca, myśli Erhard, ale nic nie mówi.

– Mam wrażenie, że miał jej dosyć – ciągnie Emanuel.

– Przed chwilą ją pochowaliśmy – przerywa mu Erhard. – Może to przetrawmy.

– Myślisz, że czas coś zmieni? – śmieje się Emanuel.

– Jeśli masz jakieś przemyślenia na temat ich związku, to może jednak nie powinieneś dzielić się nimi akurat dzisiaj. Okaż szacunek zmarłym.

– Szacunek tak, ale nie zamierzam być nieszczerzy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?



– Nie obraż się, Stroicielu, to ja za wszystko zapłaciłem, nie chcę upokarzać dziewczyny, ale chciałbym zrozumieć swojego durnego syna. Jak myślisz, dlaczego zrobił to, co zrobił?

– Więc słyszałeś, że wyjechał z kraju?

– Tak, moi znajomi z policji chętnie mnie informują o takich rzeczach.

Moi znajomi. W ustach Palabresa zabrzmiało to niemal złowrogo.

– A więc ty też sądzisz, że to on ją zabił, jak twierdzą twoi przyjaciele?

– Mam wrażenie, że ostatnio zmienili zdanie. Między innymi dzięki tobie.

– To dobrze – mówi Erhard, ale jest zdziwiony.

– Powiedziałem im, że nasza rodzina nie byłaby w stanie nikogo skrzywdzić. Jesteśmy jedynie pionkami w grze Boga.

Emanuel chyba jednak za bardzo przeciąga linę. Erhard wie, że zarówno jemu, jak i Raúlowi zdarzało się kogoś pobić, w sumie uzbierałaby się pewnie kompletna drużyna piłkarska.

– No cóż, tylko Bóg to może wiedzieć – mówi i znów czuje na sobie spojrzenie Emanuela.

– Nie mówmy już o tym – mówi Emanuel. – Co u ciebie?

W głowie Erharda odzywają się wszystkie dzwonki ostrzegawcze. Emanuel nigdy nie zadawał mu takich pytań.

– Poza tym, że właśnie byłem na pogrzebie dobrej znajomej, mój dobry znajomy zniknął, turystyka siada, podobnie jak liczba fortepianów na wyspie, to wszystko w porządku.

– Turystyka. Od kiedy to przejmujesz się takimi rzeczami?

– Makroekonomia. Jeśli turyści wybierają inne miejsca, miejscowi mniej zarabiają, co oznacza mniej kursów dla taksówkarzy.

– Bez przerwy mnie zaskakujesz, Stroicielu. Ale cieszę się, że są ludzie, którzy potrafią dostrzec większą całość. Z mojego syna nie było wiele pożytku, ale na ludziach się znał. Co prawda to ja cię odkryłem, ale on pierwszy dojrzał twój potencjał.

Dzwonki alarmowe dzwonią coraz głośniej. Komplementów nie rozdaje się za darmo. A już kto jak kto, ale Emanuel Palabras na pewno tego nie robi. Za chwilę padnie propozycja.

– Ja byłem tu cały czas. Także zanim cokolwiek zauważyliście.

– Pojawiłeś się nagle. Wyszedłeś z morza jak morski bóg.

Brzmi to tak idiotycznie, że Erhard zaczyna się śmiać. Emanuel mu wtóruje. Nawet Masajki dołączają do nich, chociaż pewnie niewiele z tego wszystkiego rozumieją. A może rozumieją wszystko. Ich twarze nadal są bez wyrazu.

Erhard robi ruch, jakby zamierzał wstać.

– Zaraz, zaraz – Emanuel zatrzymuje go ręką. – Już idziesz?

– Jeszcze nie skończyliśmy?

– Kiedy się zobaczymy?

– W trzeci czwartek miesiąca. Jak zwykle.

– Powinniśmy się widywać częściej.

– Dlaczego?

– Popatrz na nas. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Łączy nas wiek i słabość do drogich fortepianów. To chyba wszystko.

– Daj spokój. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Erhardowi trudno to sobie wyobrazić.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chcę cię zatrudnić – mówi Emanuel.

– Niby jako kogo?

– Masz łeb na karku. Coś wymyślimy.

– Mam pracę. Nawet dwie. – A nawet trzy, jeśli dodać opiekę nad Beatriz, myśli, ale oczywiście nie mówi tego głośno.

– Ale potrzebujesz pieniędzy.

– Radzę sobie.

– Byłyby też inne zalety.

Erhard długo przygląda się Emanuelowi, ale nadal nie pojmuje, o co mu chodzi.

– Radzę sobie.

– W każdym razie pamiętaj, że zawsze jesteś mile widziany – mówi Emanuel.

Erhard wysiada z mercedesa. Pełen ludzi samochód odjeżdża z hałasem. Na parkingu nie ma już nikogo. Wiatr miota białym pyłem na wszystkie strony, jakby nie mógł się zdecydować.

## 38

W nocy dwa razy budzi go odgłos silnika przejeżdżającego samochodu. Ale nic się nie dzieje. Słyszc tylko pracującą pompę respiratora, pojękiwania wiatru na kamieniach i oddech kóz, które podeszły pod dom i śpią pod ścianą. Może nie mogły znaleźć nic do jedzenia i ułożyły się w miejscu osłoniętym od wiatru, żeby odpocząć. Erhard wstaje i nagi idzie się umyć w dużym zlewie na podwórzu.

Światło już nadciąga nad wyspę. Za stertą drewna znajduje parę bokserek i jeansów, które wiatr zwał ze sznura. Wkłada je. Zjada kawałek chrupkiego chleba z surowym boczkiem. W Radiu Mucha leci właśnie *Out of Nowhere* w wykonaniu Colemana Hawkinsa. Nagranie z 1937 roku, z Paryża.

Obraca Beatriz, sprawdza cewnik i opowiada jej o tym, jakie ma plany na dzisiaj. Jest środa. W środy zawsze coś się dzieje.

Dokładnie kwadrans po dziesiątej odbiera Aaza. Czeka już na niego z plecakiem przed domem, wsiada, nic nie mówiąc. Erhard pozwala mu opuścić szybę. Chłopak wyciąga rękę, próbuje wyczuć powietrze, jak mewa wyczuwa wiatr. Jest w tym coś głęboko wzruszającego, coś, co sprawia, że Erhard zwalnia i jedzie ostrożniej niż zwykle.

No, Erhardzie, jak leci?

– Jak gównno z koziej dupy – odpowiada Erhard. Wie, że Aaz lubi jego barwne przekleństwa.

Tylko nie mów, że się spieszysz, bo dobrze wiem, że nic nie robisz, czytasz tylko te swoje durne książki i wozisz mnie co środę.

– Aaz, chłopku-roztopku, wiesz, że najchętniej woziłbym cię codziennie.

A więc wszystko dobrze?

– Spiesz mi się – mówi Erhard i szturcha go. – Ale nie do książek. Beatriz jest ranna. Muszę się nią opiekować.

To ukochana Raúla?

– Była jego ukochaną, Aaz, była. Raúl zniknął, nie ma go.

Coś mu się musiało stać. Gdyby wiedział, że Beatriz jest ranna, na pewno by wrócił. Przecież ją kocha.

– Jeszcze dużo musisz się nauczyć o miłości, Aaz.

Dlaczego miałyby ją pobić niemal na śmierć, skoro ją kocha. Niemożliwe, żeby to on to zrobił.

– Z tego samego powodu z którego matka porzuca swoje dziecko w pudełku w samochodzie na plaży. Dlatego, że czasem wolimy zniszczyć wszystko wokół niż zmienić siebie.

Nie, to nie tak. Jeśli się kogoś kocha i jeśli patrzyło się temu komuś w oczy, nie można go uderzyć.

– Ludzie są dziwni, wierz mi, Aaz. Jeżdżę taksówką już wiele lat, widziałem ludzi od najgorszej strony.

Moja mama mnie kocha, tak bardzo, że oddała mnie do Santa Marisa, żebym się lepiej poczuł, chociaż najchętniej zatrzymałaby mnie w domu.

– Twoja matka jest niezwykłym człowiekiem. Ty zresztą też.

Nikt nie porzuca dziecka.

– Mylisz się, Aaz. Ale jeśli będziemy mieli szczęście, to może Raúl wróci. Może przespał się z jakąś piosenkarką albo upił w Dakarze. Taki już jest.

Jadą przez Lorques, tam, gdzie jest stacja benzynowa. Aaz zerka na Erharda, jakby trudno mu było znieść ciszę.

– Może spotkam się z córką fryzjerki. Z Luisą.

Jest dla ciebie za młoda. Na zdjęciu w salonie wygląda na kogoś w moim wieku.

– Możemy chyba się spotkać, nawet jeśli między nami jest różnica wieku. Chciałbym, żeby mi pomogła znaleźć coś w komputerze.

Wiesz wszystko o fortepianach, a nic o komputerach.

– Nie można się znać na wszystkim, Aaz. Niedługo zabiorę cię na plażę.

Liana mi nie pozwoli.

– Wiem. Ale rozmawiałem już z twoją mamą. Napisze kartkę, którą dasz Lianie. Pojedziemy oglądać kitesurferów i wielkie latawce. Wiem, że lubisz oglądać je z daleka, ale zaczekaj, aż zobaczysz je z bliska, nad wodą. Tam, skąd pochodzę, dzieci uwielbiają bawić się liśćmi, które jesienią spadają z drzew. Przypominają wtedy motyle i dzieci je łapią.

Można łapać latawce na plaży?

– Nie bardzo, ale można siedzieć i patrzeć, jak wirują w powietrzu. Jak liście, kiedy opadają z drzew.

Tutaj liście nie opadają z drzew.

– To prawda. Ale za to mamy słońce.

Odprowadza Aaza do zakładu i pyta, czy może wejść i skorzystać z telefonu. Dzwoni do lekarza. Szepcze do słuchawki. Stoi przy kuchennych drzwiach i patrzy na ogródek Moniki. Wygląda jak typowy angielski ogródek z różami i krzakami, z małą ławeczką i wolierą dla kanarków.

Lekarz jest zajęty, w jego głosie słychać irytację. Obiecuje wpaść wieczorem. Jakiś policjant dzwonił wczoraj do jego żony. I pytał o niego.

– Żona nic nie wie – mówi. – Mam dzisiaj do niego oddzwonić. Co mam powiedzieć?

– Powiedziałem, że lekarz badał Beatriz, kiedy jeszcze żyła.

– Teraz już nie żyje? – Słuchawka trzęsie się ze śmiechu.

– Nie. Ale policja jest o tym przekonana. I niech tak zostanie.

– Nic nie rozumiem.

– Proszę do nich nie dzwonić. Jeśli znów się odezwą, proszę powiedzieć, że pan ją badał. Kiedy jeszcze żyła. Była w kiepskim stanie, właściwie była umierająca. I to wszystko. Zobaczymy się wieczorem.

Erhard siedzi w kuchni i słyszy, jak Aaz gra. Jest tak potężny, że matka wygląda przy nim jak mała dziewczynka siedząca obok ojca. Erhard w myślach nazywa ją starą kobietą, ale kiedy tak siedzi i się im przygląda, uświadamia sobie, że pewnie są w tym samym wieku. Nie jest w jego typie. Czy raczej: Erhard podejrzewa, że to on nie jest w jej typie. Może wcale nie jest taka bogata, mieszka sama, skromnie, ale kiedyś obracała się w świecie kultury, to widać. Jest elegancka, subtelna, jak nikt inny na wyspie. No i jej oczy. Nie ma w nich cynizmu, jest tęsknota, zmęczenie, jakby już dawno zużyła całą swoją energię. W pewnym sensie przypomina Erharda, może jest nieco szczęśliwsza, cieplejsza, może dlatego, że jest kobietą, kobietom łatwiej pozwolić się kochać, łatwiej niż mężczyźni odwzajemniają miłość.

Na zrobionej na szydełku serwecie stoi niewielki telewizor, właśnie lecą miejscowe wiadomości. Monika ściszyła dźwięk. Mówią o kasynie. Pojawiły się problemy ze zgodą urzędu do spraw środowiska. Krytycy przypominają o wycieku ropy, do którego doszło w 2009 roku, kiedy duży statek pasażerski, na którym było kasyno, zakotwiczył w Puerto. Postanowiono przepłukać zbiorniki i wypuszczono do morza pięć tysięcy litrów ropy. Mewy i ryby grzęzły w niej, trzeba było czyścić cały teren. Wtedy ostro zareagował hiszpański oddział Greenpeace. Oczywiście kasyno na łodzi to coś zupełnie innego, ale z drugiej strony personel sprzątający i krupierzy z kasyn na Wyspach Kanaryjskich wielokrotnie oskarżali pracodawców o złe warunki pracy. Erhard ogląda, jak prezydent regionu del Fico i jeden z największych miejscowych przedsiębiorców spacerują wokół portu. Zdjęcia sprzed kilku miesięcy. Wtedy były tam tylko kamienie, wodorosty i stare łodzie. Jakiś rybak stoi i naprawia sieć. Potem pokazują zdjęcia portu z białymi jachtami i butelką szampana rozbijaną o burzę.

Erhard wstaje z krzesła, chce wyłączyć telewizor, ale w tym momencie do pokoju wchodzi Monika i przestawia na kanał dziecięcy: żółw i ryba rozmawiają

ze sobą pod wodą.

– Nie chcę, żeby oglądał wiadomości, nie są mu do niczego potrzebne – stwierdza i zabiera się za parzenie mocnej włoskiej kawy. Erhard nic nie mówi, ale wraca na krzesło i pozwala się poczęstować kawą. Jej ręce są stare, na opalonym ramieniu widzi ramiączko czarnego stanika. Zerka na stojący na biurku komputer.

– Znasz się na tym?

– Uwielbiam komputery – stwierdza Monika.

Erhard jest zaskoczony.

– Ja nigdy tego nie opanowałem.

– To jak pisanie na maszynie. Tylko znacznie łatwiejsze.

– Pisać na maszynie też nigdy się nie nauczyłem. Wiem wszystko o fortepianach, a nic o komputerach.

– Czy to nie wszystko jedno? Radzisz sobie bez nich – mówi Monika i uśmiecha się fałszywie.

– Powiem wprost: mam pewien problem – wyznaje Erhard.

– Przepraszam – szepcze Monika, jakby nie chciała, żeby Aaz to usłyszał. – Możesz powiedzieć, o co chodzi?

– Muszę znaleźć pewne zdjęcie w Internecie.

– I chcesz, żebym ci pomogła?

– Gdybym wiedział, jak to zrobić, poradziłbym sobie sam.

– Chcesz, żebym ci pomogła?

– Tak – odpowiada Erhard.

– Dlaczego mężczyznom tak trudno o coś poprosić?

Erhard patrzy, jak siada przed komputerem i zaczyna stukać w klawisze.

– Więc jak? Pomożesz mi czy nie? – pyta.

Monika wskazuje na krzesło obok siebie. Erhard wstaje, siada, dotyka ciałem jej biodra. Mówi, co znalazła Alina. Zdjęcie z Cotillo. Zrobione przez surferów.

Monika wchodzi na jakąś stronę i szybko znajduje całe mnóstwo zdjęć. Kilkaset, kilka tysięcy.

– Rozpoznajesz któreś?

– Nie. – To zdjęcia turystów. Wszystkie wyglądają tak samo. – Chodzi mi o zdjęcie z tego roku. – Próbuje szybko coś obliczyć. – Najpóźniej z piątego stycznia.

– Piękne zdjęcia naszej wyspy – mówi Monika.

Może ma rację. Słońce, fale, młodzi mężczyźni, dziewczęta.

– Nigdy tam nie byłam...

– To – przerywa jej Erhard i wskazuje na jedno ze zdjęć. – Możesz je powiększyć?

– Trudno tam dotrzeć. A słońce strasznie grzeje.

Okazuje się, że to jednak nie jest to zdjęcie. Nie zostało nawet zrobione w Cotillo.

– Nazwisko fotografa – mówi Erhard. Nie jest w stanie sobie go przypomnieć. Kojarzy mu się z dzieckiem.

– Bardzo by nam pomogło – stwierdza Monika. Szykuje się, żeby coś wpisać. Przychodzi jej to bardzo naturalnie. Kobiety i ich komputery.

– Chodziłaś na jakiś kurs komputerowy?

– Nie. Miałam przyjaciela. Pisaliśmy do siebie maile. Tak to się zaczęło. Dzisiaj wykorzystuję komputer do mnóstwa rzeczy. Słucham muzyki, czytam o chorobie Aaza i o sukulentach. – Widzi zdziwione spojrzenie Erharda. – To gatunek roślin, należą do nich między innymi kaktusy – tłumaczy mu.

Erhard nie przypomina sobie nazwiska fotografa. Próbuje się skupić. Mix. Tak to chyba brzmiało, i coś związanego z dzieckiem. Gorączka. Nie, febra.

– Febermix – mówi.

Monika odchyła się do tyłu.

– Coś tu nie pasuje.

– MitchFever! – woła nagle Erhard. – Tak, jestem pewien.

Monika wpisuje nazwisko. Zaczyna szukać. Zdjęć ubywa. Na górze ekranu pojawia się zdjęcie dziewczyny: leży na łóżku, ma nagie piersi. Erhard widzi, że Monika jest skrepowana. Spogląda na Aaza, przegląda kolejne zdjęcia.



– Czego właściwie szukamy? Pornografii? – szepcze.

– Nie, nie – mówi Erhard. Jest tak samo przestraszony jak ona. – Nie.

– Na pewno?

– Tak, przesuвай dalej, ja będę wypatrywał zdjęcia.

Plaża. Chłopcy z kombinezonach. Nogi w piasku. I jeszcze więcej zdjęć dziewczyny. Na krześle, w barze, w kapeluszu, całuje się z inną dziewczyną. Monika znów porusza się zdenerwowana. Jest bardziej wrażliwa, niż sądził.

– Jest – mówi nagle. – To jest to zdjęcie.

Monika klika na zdjęcie: natychmiast wypełnia cały ekran.

To jest to zdjęcie. Tylko lepszej jakości. Bliższe ujęcie. Wyraźniejsze.

– Strona nazywa się Magicseaweed. Zdjęcie ma numer 01062011\_42 – mówi Monika i zapisuje wszystko w niewielkim notesie leżącym obok komputera.

– Teraz masz już wszystkie dane. Autorem jest MitchFever. Plik zatytułował heather\_weekend. Z szóstego stycznia. To się zgadza?

Na zdjęciu widać stojącego na brzegu volkswagena. Piasek jest niemal suchy, szary. Woda sięga przednich kół. A za szybą: chłopiec, czarne oczy.

– Możesz sprawdzić, czy są jeszcze inne zdjęcia? Ale nie chciałbym, żeby to zniknęło.

– Skoro raz je znaleźliśmy, to znajdziemy i drugi. Powiedz mi, czego tak naprawdę szukasz.

– Samochodu.

Monika wciska jakiś klawisz i na ekranie wyświetla się kolejne zdjęcie.

Zrobione pod tym samym kątem. Z miejsca, gdzie zwykle obozują surferzy. Data: piąty stycznia. Newyear\_cotillo. Wrzucił je Carlos III Santierrez. Plaża jest pusta.

– Wygląda na to, że samochód jest na pierwszym zdjęciu, ale na tym już go nie ma. Możemy wrócić do tego pierwszego? – pyta Erhard.

Monika pokazuje mu pierwsze zdjęcie.

Erhard doznaje podobnego uczucia jak na komisariacie. Czarne szyby samochodu poruszają jego duszę. Ma wrażenie, że ciemność rośnie, w końcu

będzie w stanie włożyć w nią rękę i wyciągnąć chłopca całego i zdrowego.

– O co chodzi z tym zdjęciem? Co to za samochód?

– Jest tu gdzieś napisane, gdzie on mieszka? Ten MitchFever.

– Na pewno nie. Poza tym to na pewno przydomek, pod którym występuje w sieci. Wiele osób tak robi.

Monika wpisuje w wyszukiwarkę: MitchFever. Na ekranie wyświetla się długa lista.

W pewnym sensie Erhard cieszy się, że nie musi tego wszystkiego zgłębiać. Wymagałoby to dużo pracy, więcej niż potrzebował, by poznać świat muzyki. Zresztą po co mu to? Pewnie minie kilka lat, zanim znów będzie musiał poszukać czegoś w komputerze. A jednak – kiedy widzi, ile rzeczy można tu znaleźć, jak łatwo można wyszukać potrzebne informacje, zdjęcia, wiadomości, nagle nachodzi go ochota, żeby zobaczyć, co się dzieje w Danii. Może są jakieś zdjęcia jego rodziny? Annette i dziewczynek. Czy to możliwe?

– Mam wrażenie, że to jakaś młoda dama – odzywa się Monika.

Otwiera nową stronę, na której jest zdjęcie dziewczyny. Wygląda jak chłopak: krótkie, spłowiałe włosy, duże okulary.

– Wygląda na to, że mieszka tu na wyspie. Gdzieś w okolicach Marabu. Nie mogę znaleźć jej adresu, ale dużo zdjęć jest właśnie stamtąd.

– Jak mogę zdobyć jej adres?

– Możesz pojechać do Marabu i pokazać kilku miejscowym jej zdjęcie. Na pewno ktoś ją rozpozna. Mam wrażenie, że lubi robić wokół siebie trochę szumu.

– Przecież to jeszcze prawie dziecko – mówi Erhard i patrzy na zdjęcie, które dziewczyna zrobiła sobie sama. Stoi przed lustrem w mokrym kostiumie ściągniętym do pasa, nagie piersi zasłania ręką.

– Zagubiona mała dziewczynka – stwierdza Monika.

– Nie powinna mieszkać w domu, razem z rodzicami?

– Mam nadzieję, że mieszka z nimi.

– Patrząc na te zdjęcia, to nie sędzę.

– Spójrz. Zdjęcia są numerowane. Zdjęcie na monitorze na numer 11122010\_107. A teraz spójrz na następne. 11122010\_44.

– Co to znaczy?

– Że na pewno ma jeszcze kilka, których nie wrzuciła do sieci. Może nie chce, żeby zobaczyli je rodzice, albo ktoś inny.

– Zdjęcia z Cotillo też tu są?

Monika wraca do zdjęć z Cotillo. Przechodzi od jednego do drugiego.

– Tak – mówi po chwili. To zdjęcie na numer 43, a następne 01062011\_48. Brakuje czterech zdjęć.

Wracają do domu.

Aaz siedzi z ręką za oknem. Dokładnie tak jak podczas poprzedniej podróży. Jest równie radosny, odprężony. Uśmiecha się i wszystkiemu się przygląda, jakby wszystko mu odpowiadało, chociaż żyje odcięty od wszystkiego. Nigdy nie był w kinie w Puerto ani w sklepie na dole, żeby wybrać sobie pięć kulek lodów.

Erhard zwykle chętnie rozmawia, ale teraz nie wie, co powiedzieć. Ma ochotę rzucić, że jego matka jest w porządku. Dlaczego nigdy tego nie powiedział?

Zauważa, że Aaz niezbyt przejmuje się tym, że właśnie się z nią rozstał i że zobaczy ją dopiero za tydzień. Ale też Aaz raczej nie okazuje emocji. Erhard wozi go co tydzień za darmo na lekcje muzyki, ale nigdy nie widział u niego żadnych oznak zadowolenia – czasem tylko dostrzega w jego oczach jakby przebłysk uśmiechu. Z jednej strony czysta miłość, z drugiej odległa nadzieja, że pewnego dnia powie Dziękuję. Za trud. Za rozmowy.

W jakiś sposób jest wzruszony pomocą, której mu udzieliła Monika, nawet jeśli była przekonana, że wcale nie szuka samochodu, tylko dziewczyny, która robiła zdjęcia. Miał ochotę powiedzieć: co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, kobieto, ale nie chciał okazać się niewdzięczny. Ta dziewczyna mogłaby być jego córką. Wygląda na młodszą niż jego najmłodsza córka. Ale też Mette jest już po trzydziestce. Domyśla się, dlaczego Monika nabrała takich podejrzeń.

Nieco za długo przyglądał się zdjęciu dziewczyny. Zdjęciu jej lustrzanego odbicia. I temu drugiemu też. Temu, na którym leży na plaży na kocu, bez niczego. Nigdy nie bywał na plażach dla nudystów, więc widok dziewczyny sprawił, że zabrakło mu tchu. To nie była jego wina. A Monika zareagowała, jakby nie miał prawa do takich uczuć. Jakby uważała, że powinien się już pożegnać ze swoimi żądzami i już dawno zerwać stosunki ze swoim członkiem. A przecież to, że człowiek zbliża się do siedemdziesiątki, nie znaczy, że pożądanie wyparowuje z jego ciała. W jego przypadku było wręcz odwrotnie. Lata braku aktywności sprawiały, że czasem zaczynał drzeć z podniecenia na widok szpary w stole czy sutka kozy, rzeczy, które coś mu przypominały, coś, do czego kiedyś miał dostęp, ale go utracił i zostały tylko wspomnienia. Wstyd sprawia, że ledwie trzyma się na nogach. Jeśli czuł jakieś pożądanie, to już dawno minęło.

Żegna się, Aaz nic nie mówi, wchodzi do budynku, nie odwraca się w drzwiach.

Lekarz staje na skrzynce, przygląda się Beatriz. Bada ją.

– Nie może pan jej tu trzymać – mówi. – Trzeba ją przenieść na oddział neurochirurgii, do Puerto. Brakuje jej płynów, oddaje suchy kał.

Erhard domyśla się, że pewnie stąd ten odór. Nie wytrzymuje tego widoku, zajmuje się czymś w kuchni.

– Nie jesteś w stanie nic dla niej zrobić?

Lekarz wygląda na niezadowolonego.

– Nie możesz jej tak... – zaczyna.

– Cud może zdarzyć się równie dobrze w szpitalu jak tutaj – Erhard wchodzi mu w słowo.

– Nie chodzi o cud, tylko o odpowiedni sprzęt. Albo trafi do szpitala, albo umrze. Tak to wygląda.

Erhard sprawia wrażenie pewnego siebie, ale w głębi duszy też ma wątpliwości.

Lekarz wyjmuje z torby plastikową rurkę.

– Czy w jakimś momencie respirator był wyłączony? – pyta.

– Nie. Na pewno nie – zapewnia Erhard.

Ale przecież była jedna noc, kiedy nie zdążył na czas dolać paliwa do zbiornika. Trwało to kilka minut, ale jednak zabrakło prądu, słyszał, jak respirator piszczy. Na szczęście udało mu się go uruchomić i Beatriz żyje. Żeby kupić nową prądnicę, musi zbierać jeszcze dziewięćset pięćdziesiąt euro.

– Mam trochę utrudnione warunki – narzeka lekarz. – Przepraszam, że nie podam ci znieczulenia, Beacita – mówi. Wkłada jej w szyję dużą igłę i wkłada grubą plastikową rurkę.

Nie wygląda to przyjemnie. Erhard odwraca głowę.

– Ile moczu oddaje? – pyta lekarz, próbując go zainteresować swoimi poczynaniami.

– Nie wiem. Dwa, trzy worki.

Po chwili lekarz schodzi ze skrzynki, wieszka na gwoździu duży worek z białym płynem. Porusza nim i płyn zaczyna płynąć przez rurkę do nosa Beatriz. Cofa się, staje w drzwiach.

– Policja się z tobą kontaktowała? – pyta Erhard.

– Nie, jeszcze nie.

– Powiedz im, jak było. Kiedy przyszedłeś, była nieprzytomna, zbadałeś ją, ale od razu wiedziałeś, że obrażenia są poważne. Umarła przy tobie. Ja powiedziałem, że zawiadomię policję.

– Nie mogę się tak tłumaczyć. Mam obowiązek zgłaszać takie przypadki.

– Byłeś przyjacielem domu, wyświadczyłeś mi przysługę.

– Mogę stracić prawo wykonywania zawodu.

– Nie stracisz.

– Uznają to za zaniedbanie.

– Powiedz, że ci groziłem.

– Jak?

– Powiedziałem, że jeśli Raúl ucieknie, to będzie to twoja wina.

– Nie rozumiem.

– Ty wiedziałeś, że to był wypadek, ale ja byłem przekonany, że to Raúl za tym stoi.

– Ale przecież mówiłeś, że to był wypadek...

– To prawda, ale chodzi o to, żeby wytłumaczyć policji, dlaczego nie chciałeś się w to mieszać.

– Nie jestem przekonany – stwierdza lekarz.

– Może już się nie odezwą. Została już pochowana. Wczoraj.

– Jak to możliwe?

Erhard nie zamierza mu tego tłumaczyć.

– Powiedzmy, że policja jest przekonana, że Beatrizia Colini nie żyje.

– A co z nią? – mówi lekarz i wskazuje palcem na spiżarnię.

– Jej nie ma.

Lekarz długo na niego patrzy. Początkowo jego spojrzenie jest twarde, surowe, nagle jednak łagodnieje, staje się bardziej otwarte.

– Chyba się domyślam, o co tu chodzi – mówi. – Ale musisz dbać, żeby jej nie brakowało glukozy – dodaje i wskazuje na biały worek. – I musisz ją często obracać. Teraz leży na prawym boku. Jutro obróć ją na plecy, a potem na lewy bok. Może uda nam się zadbać o nią równie dobrze jak w Puerto.

– Będę ją obracał.

– Załatwię więcej glukozy. Nie zwracając niczyjej uwagi. I torebki na odchody.

Lekarze potrafią mówić takie rzeczy tak, że w ich ustach brzmią całkowicie normalnie.

– Dziękuję – mówi Erhard. Przychodzi mu to z trudem, ale wie, że powinien być mu wdzięczny za to, co do tej pory dla niego zrobił.

Lekarz kiwa głową, wkłada narzędzia do torby.

– Słyszałeś kiedykolwiek, żeby zmarli mówili? Słyszałeś ich głosy już po zgonie? – pyta nagle Erhard.

– Osobiście? Nie.

– Ale?

– Słyszałem, że małżonkowie czasem twierdzą, że to się zdarza.

– Wierzysz im?

– Wierzę, że słyszą głosy. Ale nie jestem przekonany, że to rzeczywiście są głosy.

– A co?

– Nie wiem. Może tylko im się wydaje. Łudzą się, mają nadzieję. Pewnie ubolewają, że czegoś nie zdążyli powiedzieć. Beatriz coś mówiła?

– Tak, kiedy jeszcze była przytomna. Zanim się zjawiał. Powiedziała, że mam ją ukryć przed Raúlem.

– Dlatego to robisz?

– Tak.

– Nadal nie rozumiem, jak to możliwe, że policja wierzy, że nie żyje.

– To pozostanie moją tajemnicą.

– A jeśli Raúl wróci? Może zostać oskarżony o zabójstwo.

Tak, to prawda, myśli Erhard.

– Raúl nie wróci – mówi głośno. – A jeśli, to już jego sprawa. Nie wierzę, że ją skrzywdził, na pewno nie świadomie. Będzie musiał wytłumaczyć, co się stało.

– A jeśli zostanie skazany?

– Sam to już powiedziałeś: będzie musiał ponieść karę. A ja będę musiał powiedzieć wszystko, co wiem. Zobaczymy, co będzie.

– Moja żona się niepokoi. Boi się Los Tres Papas.

Erhard jest zdziwiony.

– To banda chłopców w za dużych kurtkach. Z watowanymi ramionami.

– Myślałem, że też do nich należysz. Że jesteś gangsterem.

Erhard się śmieje, chociaż tak naprawdę to wcale nie jest śmieszne.

– Baliśmy się, że będziesz mi grozić albo mnie zabijesz.

– To po jakie lichy tu przyjeżdżałeś?

– Żona była przeciwna. Ale cóż. Nie wyjadę stąd. Nie ucieknę od problemów.

Nagle wydaje się ożywiony, nie jest już tylko urzędnikiem, jest człowiekiem. Chociaż Erhard nadal nie jest zachwycony jego piaskowym krawatem, piaskową koszulą i piaskowymi spodniami, nawet twarz ma w kolorze piasku.

– Dlaczego tak o mnie myślałeś?

– To żadna tajemnica. Wszyscy to wiedzą.

– Co?

Lekarz nie odpowiada. Pakuje torbę.

– Zobaczymy się za kilka dni. Zajrzę do niej. O ile wcześniej nic się nie stanie. W każdej chwili może umrzeć, wtedy kłamstwo stanie się prawdą.

Kieruje się do drzwi. Erhard zerka na komórkę Aliny, nadal leży na wieszaku obok drzwi.

– Co wszyscy wiedzą? – powtarza pytanie.

– Że Raúl Palabras pracuje dla Los Tres Papas.

Zostało mu jeszcze kilka godzin pracy. Wie, że musi wracać do miasta, potrzebuje pieniędzy. Zgłasza gotowość w centrali, czeka na kurs na południe. Wyjeżdża z miasta, jedzie najpierw drogą 101, potem FV-2. Trafia mu się kurs z Puerto do Pájara, dzień jest ciepły, leniwy, zwykła środa. Ciszę przerywa jedynie komentator radiowy relacjonujący mecz piłki nożnej. Wyspa zawsze była za Madrytem, ale w ostatnich latach młodzież zaczęła kibicować Barcelonie, okrzyki w czasie transmisji wyraźnie to potwierdzają. Erharda mecze nie interesują. Nigdy nie grał w piłkę nożną. Nawet w szkole. Podobno miał krzywe nogi i rodzice bali się, że jeśli zacznie biegać za piłką, to będzie jeszcze gorzej. A może ojciec tylko tak mówił. Uważał, że piłka to zabawa dla kmiotków, tak mu raz powiedział: spójrz na tych brudasów, kopią piłkę, bo nie potrafią używać mózgu, rąk zresztą też nie, nawet porządnego rzemiosła nie są w stanie się nauczyć.

Erhard zbliża się do Risco del Gato. Nad miastem właśnie zachodzi słońce, promienie wypaliły wszystko, został jedynie zarys miasta. Dostrzega drogowskaz, skręca na FV-2, postanawia ominąć Risco del Gato i wjeżdża na



zakurzoną drogę północną. Przez dłuższy czas ma po lewej gaje oliwne Zenon, dumę wyspy. Jedyne przedsiębiorstwo zatrudniające setki ludzi, w każdym razie kilka lat temu tak było. Teraz na polach nie widzi nikogo. Na dziedzińcu, który widać przez płot od strony drogi, też nikogo nie dostrzega.

Próbuje przypomnieć sobie, jak wyglądała dziewczyna ze zdjęcia. Kiedy wyjeżdżał, miał ją przed oczami, ale z czasem jej twarz stawała coraz bardziej niewyraźna, przysłaniają ją inne obrazy, kobieta z torbami na zakupy, mały chłopiec, który huśtał się na placyku niedaleko Risco del Gato, jakieś graffiti na ścianie domu, drzewka oliwne z łagodnie zarysowanymi liśćmi. Pamięta dziewczynę jakby w skrócie: krótkie włosy, biel, okulary. To wszystko, co może powiedzieć o jej wyglądzie. Ma nadzieję, że przypomni ją sobie, jak tylko dotrze do Marabu.

Dopiero kiedy spogląda na zegar w samochodzie, czarny ekran z zielonymi cyframi, na którym wyświetla się godzina 19:02, przypomina sobie, że jest umówiony z Luisą, córką fryzjerki. Jest pięćdziesiąt minut drogi od niej, w samochodzie, nie ma komórki, zresztą nie ma nawet jej numeru.

Nic nie poradzi. Nie zdejmuje nogi z gazu. Stało się. Zresztą już nie potrzebuje jej pomocy. Rozwiązał problem bez jej udziału. Skąd u niego taka bezwzględność? Oczywiście jest mu trochę wstyd, dziewczyna pewnie stoi i wciska guzik domofonu, i dziwi się, że nikt nie odbiera. Gdyby mógł, zadzwoniłby do Petry i wytłumaczył jej, poprosiłby, żeby przy okazji wytłumaczyła to córce. A już wyobrażał sobie Luisę w obcisłej czerwonej bluzce, jej pachnące włosy, schrypnięty głos, widział, jak siedząc obok niego, wszystko mu dokładnie tłumaczy.

Do diabła z tym wszystkim. Zapomniał o niej, o tym, że są umówieni, bo był zajęty Beatriz i Aazem, lekarzem i chłopcem. Oczywiście winien jest jej przeprosiny, może kupi jej pudełko czekoladek. Wracając, wstąpi do supermarketu, kupi bombonierkę i zostawi rano u Petry.

Widać już brzeg.

Plaża jest czarna i krótka, woda spokojna, mimo że nieźle wieje. Na horyzoncie widzi ludzi pływających na deskach i kilku kitesurferów. Od czasu do czasu migają mu w promieniach słońca, jak muchy na tle siatki. Jedzie drogą, słyszy, jak żwir uderza o podwozie. Dociera do miejsca, gdzie grupka ludzi siedzi pod parasolami w cieniu niewielkiej drewnianej szopy, w której pewnie mieści się wypożyczalnia sprzętu, a może to po prostu budka z lodami. Wysiada z samochodu i rusza przed siebie po ciepłym piasku. Przygląda się ludziom na plaży. Jest tam kilka młodych dziewczyn w wieku MitchFever, jacyś młodzi chłopcy. W ogóle sporo ludzi, i młodych, i starszych. Okrąża budkę, dostrzega kobietę mniej więcej w swoim wieku. Sprzedaje kawę i lody. Kupuje kubek kawy, która smakuje chlorem, wypija ją, przypatrując się młodym ludziom, którzy leżą na kocach i na ręcznikach, oplatając się nogami i rękami. Obok leżą deski, torby, skądś dochodzi muzyka.

Kobieta pyta, czy zamierza wypłynąć. Kręci głową.

– Szukam pewnej dziewczyny, z krótkimi jasnymi włosami. Wygląda jak chłopak.

Kobieta się śmieje. Mówi, że wszystkie tak wyglądają.

– Trzyma się razem z kilkoma chłopakami i Hiszpanką z długimi czarnymi włosami.

Kobieta znów zaczyna się śmiać, mówi, że to może być ktokolwiek. Proszę się rozejrzeć.

Chętnie by ją wypytał ją o kilka szczegółów, ale czuje, że i tak mu nie odpowie. Nie chce dać się wciągnąć w nic, co mogłoby zaszkodzić jej interesom. A ci młodzi ludzie to jej klienci.

– Nie jestem z policji, jeśli tego się pani obawia – mówi. – Jestem... taksówkarzem.

Kobieta się śmieje, wyciera szmatką ładę. Erhard patrzy na plażę. Dziękuje za kawę i podchodzi do grupy młodych ludzi. Wszyscy śpią, z wyjątkiem jednego z chłopaków, który siedzi i wpatruje się w fale. Erhard zamienia z nim kilka słów. Chłopak jest młody, nieco zawstydzony, ale sympatyczny. Chyba nie

przywykł do rozmów z dorosłymi. Nie, nie zna żadnej dziewczyny z krótkimi jasnymi włosami. Ale to, jak się podpisuje, może świadczyć o tym, że chodzi o pewną Amerykankę, która surfuje nieco dalej, zwykle w towarzystwie kilku facetów. Chłopak wskazuje tam, gdzie prawdopodobnie można ją znaleźć. Erhard rusza przed siebie. Chłopak woła, że nie da rady dojść tam na piechotę, to cztery kilometry brzegiem morza, po drugiej stronie Marabu, już prawie przy Morro Jable. Erhard wraca do samochodu.

## 39

Czeka, aż surferzy wyjdą na brzeg. Obserwuje ich. Jeden z nich jest drobny, szczupły, to może być kobieta, ale z daleka trudno powiedzieć. Siada na piasku, wkłada palce nóg w ciepłą wilgoć, tuż pod zimnym piaskiem. Przypomina sobie, jak kiedyś czekał na Raúla przy Wydmach. To był piątkowy wieczór, obaj byli pijani. Mieli jechać na jakąś imprezę, ale Raúl postanowił wykąpać się w falach. Erhard został na brzegu i szybko usnął. Kiedy się obudził, słońce już zaszło, niebo nad nim było białe od gwiazd, gdzieś na morzu widział unoszącego się w ciemności Raúla.

Jeden z surferów składa żagiel, ciągnie deskę na brzeg. Jest jakieś sto metrów od niego, ale Erhard ma wrażenie, że kieruje się w jego stronę. Niedaleko, obok kamieni, leżą ich ubrania, przy drodze stoi samochód. Kiedy surfer podchodzi bliżej, Erhard wstaje. Tłumaczy mu, że szuka dziewczyny z krótkimi włosami, Amerykanki. Surfer patrzy na niego dłuższą chwilę, w końcu pyta, czy jest jej ojcem. Erhard zaczyna się śmiać. Zastanawia się, czy powinien przytaknąć, ale sposób, w jaki chłopak go o to spytał, świadczy o tym, że powinien raczej zaprzeczyć. Mówi więc, że słyszał, że dziewczyna robi dobre zdjęcia, i ma dla niej propozycję. Chłopak opuszcza gardę. Zaczyna ściągać piankę, zdejmuje też kąpielówki. Mówi, że Erhardowi chodzi zapewne o January. To Amerykanka, cholernie dobrze surfuje. Chyba mieszka w Morro Jable, ale pracuje w barze

Great Reef w Marabu. Nie zna jej, ale słyszał o niej, jak wszyscy. Erhard pyta dlaczego. Bo ma w sobie coś z dzikiej kotki, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, mówi chłopak i znika w wielkim ręczniku.

Erhard wraca do Marabu. Jedzie na plażę, tę w mieście, parkuje za marketem, tuż nad wodą. Jeszcze nigdy tu nie był. Tyle lat pracuje jako taksówkarz, a nigdy nie miał tu kursu. Martwi się, że nie znajdzie baru, o którym mówił surfer, ale kiedy schodzi na brzeg, okazuje się, że bar widać z daleka. To jedyny budynek na samej plaży, na płaskim dachu widnieje duża metalowa tablica z nazwą wypisaną na desce surfingowej. Na piasku stoi kilka wyblakłych leżaków, ale nie ma ludzi. W lokalu dostrzega jednak jakieś dziesięć osób, stoją oparci o bambusowy bar. Wszyscy są surferami, z wyjątkiem mężczyzny na samym końcu. To czarnoskóry artysta rzeźbiący w piasku. Ale wzrok Erharda natychmiast przyciąga dziewczyna. Jasnowłosa, ostrzyżona nie bardzo krótko, ale jednak krótko.

Podchodzi do baru, zerka na wiaderko z zimnym san miguelem. Prosi, żeby mu otworzyła butelkę, wypija do połowy, odstawia. Mężczyźni nie przestają rozmawiać.

Dziewczyna siedzi na podłodze i napełnia lodówkę colą. Erhard patrzy na nią, a raczej na jej dekolt. Ładny, biały. Młodzieńczy. Odwraca wzrok. Dziewczyna wstaje, zapala papierosa.

– MitchFever – mówi Erhard głośno, w powietrze.

Dziewczyna się wzdyga, odwraca do niego. Erhard uświadamia sobie, jak podejrzliwe jest to środowisko. Jakby wszyscy tylko czekali, aż zjawi się ktoś, kto każe im wracać do domu i do łóżka.

– *Don't worry*, po prostu podobają mi się twoje zdjęcia – mówi po angielsku i natychmiast widzi, że to tylko jeszcze bardziej ją zaniepokoiło. Dopija piwo, żeby mogła ochłonać. Dziewczyna milczy. – Chciałbym ci zapłacić za dwa zdjęcia. Sto euro, co ty na to?

– Zdjęcia? O co ci chodzi? – Dziewczyna sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie znała znaczenia słowa „zdjęcie”.

– Te, które robiłaś na plaży, tu, w okolicy. Na Cotillo Beach. Jest kilka takich, które szczególnie mi się podobają.

– A, te – mówi dziewczyna i wchodzi za bar. – Z mojego bloga.

– Nie, z Internetu – mówi Erhard. – Interesują mnie te z Cotillo Beach.

– Jesteś kimś w rodzaju dziennikarza?

– Nie, jestem taksówkarzem. Mam na imię Erhard – mówi i widzi, że dziewczyna się odpręża.

– January – przedstawia się.

– Skąd się wzięło MitchFever? To pseudonim artystyczny?

– Nie do końca. To długa historia, tak się podpisuję na moim blogu. Dlaczego interesują cię zdjęcia z Cotillo?

– Tak po prostu.

Dziewczyna się uśmiecha. Zapala kolejnego papierosa. Większość surferów już wyszła, zostało tylko dwóch.

– Nie jestem żadną fotografką.

– Masz więcej zdjęć stamtąd? Takich, których nie ma w Internecie.

– Mam kilka, zawsze robię całe mnóstwo, ale nie wszystkie wrzucam do sieci.

– A masz jakieś z szóstego i siódmego stycznia?

– Dlaczego o to pytasz? – dziewczyna robi się podejrzliwa. Patrzy na niego.

– Pamiętasz, jak wyglądało wybrzeże szóstego stycznia?

– Nie. To było wtedy, kiedy uderzyłam się w nogę?

– Nie wiem.

– Więc pewnie nie pamiętam. Mama mówi, że mam pamięć jak kot. Czyli krótką.

– Na plaży stał volkswagen.

– I?

– Masz go na zdjęciach?

– Naprawdę sądzisz, że pamiętam? – Śmieje się, lekko urażona.

Erhard dopija piwo. Surferzy są zajęci oglądaniem czegoś na smartfonie jednego z nich. Dziewczyna znów zapala papierosa, stawia stopę na skrzynce po piwie. Jest ładna, nieco w starym stylu, ale słońce i alkohol zostawiły już ślady na jej delikatnej skórze.

– Posłuchaj – zaczyna Erhard. – Jestem tutaj, bo próbuję się dowiedzieć, co się stało z pewnym małym chłopcem, który przez kilka dni, nieżywy, leżał w samochodzie na plaży. O ile mi wiadomo, ty jedna masz zdjęcia tego samochodu. Policja dotarła do niego dwa dni później. To zdjęcie to... – szuka kartki, na której Monika zapisała mu numer, i pokazuje jej: 01062011\_42.

– Jesteś jakimś detektywem?

– Nie, taksówkarzem. Naprawdę.

Dziewczyna nalewa do szklanki soku pomidorowego, podaje go jednemu z surferów, wrzuca do szklanki kilka plasterków cytryny. Wraca do Erharda.

– Nie pamiętam numerów. Mam wrażenie, że wtedy zrobiłam całe mnóstwo zdjęć, może jest na nich samochód, ale... musiałabym sprawdzić w domu.

– Kiedy możesz to zrobić?

– Wieczorem. Jestem tu do północy, potem mam wolne. Sprawdzę zawartość twardego dysku. Trzymam na nim wszystkie zdjęcia. Zadzwoń do ciebie, jeśli znajdę coś ciekawego.

– Nie mam komórki. Możemy się spotkać, jak już przejrzysz te zdjęcia? Zaczekam w samochodzie.

Dziewczyna posyła mu dziwne spojrzenie. Najwyraźniej ma go za świra, który próbuje ją gdzieś zwabić. Ale w końcu kiwa głową.

Erhard siada przy jednym ze stolików, dostaje kanapkę ze sklepu obok. Czeka trzy godziny, patrzy na morze, czyta książkę. Dziewczyna wypala paczkę papierosów i ogląda telewizję, raz mecz piłki nożnej, raz snookera. Kilka razy zmywa blat.

Tuż po dwunastej Erhard odwozi ją do domu.

Podoba mu się to. Czekanie. Najpierw przyglądał się, jak szykuje się do wyjścia. Potem szli razem do samochodu. Spytał, jak jej minął dzień. January

mieszka na dachu starego sklepu z meblami w Morro Jable. Właściciel domu postawił na dachu komórkę, widać ją z dołu w świetle latarni. Na górę prowadzą stare schody. Erhard idzie za nią, ale nie wchodzi do środka, czeka na zewnątrz.

Długo jej nie ma. Wyobraża sobie jej dom, pełen butelek, sprzętu surferskiego, koślawych regałów wypełnionych książkami Lonely Planet, może też takimi o wampirach, które młode dziewczyny pochłaniają, jadąc taksówką.

Drzwi się otwierają, dziewczyna wychodzi z aparatem w rękę. Tłumaczy, że żeby się cofnąć do szóstego stycznia, musi przejrzeć całe mnóstwo zdjęć. Erhard ogląda je razem z nią: zdjęcia plaży, baru, surferów i przyjaciółki – cały czas tej samej. Kolorowe życie, ale dość monotonne. Te wszystkie zdjęcia mogły równie dobrze zostać zrobione tego samego dnia.

W końcu dociera do zdjęć z Cotillo.

Erhard natychmiast je rozpoznaje. Światło jest tam wyjątkowe. Niemal niebieskie. Na początku zdjęcia jej znajomych, surferów. Potem wszyscy wychodzą z wody. Na jednym ze zdjęć przedstawiających jej przyjaciółkę w objęciach jakiegoś chłopaka widać w głębi samochód. Erhard bierze do ręki aparat, przegląda zdjęcie po zdjęciu. Wielu wcześniej nie widział. W pewnym momencie dziewczyna najwyraźniej biegnie za swoją przyjaciółką, okrąża samochód i robi dwa zdjęcia, może przez przypadek.

Na jednym widać drzwi, klamkę i dolną część szyby. Drzwi z lewej strony, z tyłu.

Drugie zdjęcie zostało zrobione bardziej od dołu, widać lewe koło samochodu. Pod wlewem paliwa widać jasny pasek. Albo woda stała tak wysoko, albo fale uderzały o bok.

Więcej zdjęć samochodu nie ma. No i jeszcze te dwa, które już widział. Na pozostałych widać młodych ludzi na plaży, przygotowują sprzęt. I January w kapeluszu. Selfie.

Następnego dnia kupuje bombonierkę, ale zapomina ją zostawić w zakładzie fryzjerskim, ponieważ do taksówki wsiada dwóch biznesmenów, którzy śpieszą

się na prom, poza tym jest piątek, przed sjestą ma wpaść lekarz z kolejną partią sprzętu. Z kroplówką, cewnikiem, kilkoma torebkami mieszanki z glukozą, jak sam to nazywa. Pokazuje Erhardowi, co ma robić z torebkami, które dostarczają jej płynów i pożywienia, i jak ma czyścić niewielki pojemnik, w którym zbiera się kał. Podłącza aparaturę, światło zaczyna lekko migotać. Erhard dolewa ropy, ma ochotę nakrzyczeć na lekarza, ale w końcu po prostu się z nim żegna.

W piątek wyjeżdża sto trzy euro, ale w sobotę tylko czterdzieści dwa. Kiedy wraca do domu, widzi, że coś białego wystaje ze skrzynki na listy. Wygląda jak flaga, ale okazuje się, że to poczta. Już samo to słowo. Poczta. Po raz pierwszy od miesiący. Duża koperta. Bez nadawcy. Ale domyśla się, kto nim jest. Zdjęcia zostały wydrukowane na zwykłym papierze, nie są najlepszej jakości, ale wystarczająco dobrej, żeby było widać samochód i ślady na nim. Zastanawiają go. Wieszka oba zdjęcia na lodówce, kopertę kładzie na górze.

W niedzielę ma ochotę zrobić sobie wolne, kupić kilka butelek u Guzmana i wypić je w domu, pod kocem. Ale nie może sobie na to pozwolić. Ani na to, żeby się upić. Równie dobrze mógłby wyłączyć respirator. Musi zarabiać. Tak więc w niedzielę jeździ prawie do dziewiątej wieczorem za nędzne siedemdziesiąt osiem euro, po powrocie do domu opróżnia do połowy pełne butelki ze spiżarni, miesza trunki i powstaje koktajl koloru ziemi. Przepija do Beatriz, ma ochotę nią potrząsnąć, tak porządnie, żeby się obudziła, żeby umarła. Odpowiedzialność jest za duża, nie daje rady, nie daje rady.



# Mieszkanie

29 stycznia – 6 lutego

## 40

– Pobudka, Stroicielu.

Głos jest mu znajomy, ale bez charakterystycznego głębokiego brzmienia.

– Teraz dobrze, Stroicielu.

Emanuel Palabras.

Poza swoim terenem, w całkowicie obcym mu otoczeniu. Erhard nie jest zawstydzony, raczej zawiedziony, że Papa Palabras fatygował się do takiej dziury. Towarzyszy mu jedna z młodych Masajek, nie kosmitka, ta druga, młodsza, bardziej wychudzona, takie Palabras lubi najbardziej. Za nią, tuż obok drzwi, stoi Charles, mięśniak z nogą w gipsie i o kulach. Wypadek przy malowaniu, tak określił to Palabras, mimo że Charles raczej nie jest typem malarza pokojowego.

Erhard zerka w stronę spiżarni, ale drzwi są przymknięte, a nikt z towarzystwa nie okazuje zainteresowania tym pomieszczeniem. Naciąga koc na członek, ale i tak widać go przez dziurę w kocu. Szaro-czerwony ptak. Emanuel dostrzega go, widać, że jest rozbawiony, ale nic nie mówi.

– Nigdy bym w to nie uwierzył – mówi Erhard. – Señor Palabras z wizytą na prawdziwej Fuerte. Witamy na nizinach.

– Daj spokój – mówi Emanuel i rozgląda się za miejscem, gdzie mógłby usiąść. – Żyjesz tu jak kuglarz wśród królów. Niczego ci nie brakuje. Gdybyś

chciał, mógłbyś mieszkać w lepszych warunkach, ale ty wybrałeś to... Tę norę, która jest twoim pancerzem.

– Daruj sobie te bajeczki. Powiedz lepiej, po co przyszedłeś.

– Jestem w żałobie. Moja synowa nie żyje, wkrótce zapewne umrze też mój syn.

– Coś się stało? – pyta Erhard.

Emanuel macha ręką.

– To tylko kwestia czasu. Ale teraz nie ma komu się mną zająć. Potrzebuję ludzi, na których mógłbym polegać. Dwoje z nich zniknęło. Zostałeś mi tylko ty, Stroicielu.

Emanuel jak zwykle dramatyzuje, ale Erhard wyczuwa, że za tym wszystkim kryje się coś jeszcze.

– Masz Charlesa i ją.

– Potrzebuję ciebie, Stroicielu. Ze względu na Raúla – Emanuel siada naprzeciwko kanapy, na stoliku do kawy. – Potrzebuję kogoś do firmy. Teraz, kiedy Raúl zniknął, firma prowadzi się sama, nie ma steru ani oczu, które by wszystko obserwowaly.

Erhard nadal nie rozumie, o czym mówi.

– Co masz na myśli? – pyta.

– Znasz branżę od podszewki. I masz nosa do interesów. Wiem to. Wieść niesie, że jesteś najlepszym taksówkarzem na wyspie.

Tego Erhard akurat nie słyszał.

– Masz na myśli Taxinarię?

– Nie będziesz musiał jeździć. Wystarczy, że od czasu do czasu opowiesz mi, co się dzieje. I wytargasz za uszy tego, kto na to zasłużył.

– Wiem, że Raúl był w zarządzie, ale rozumiem, że to nie wszystko. Firma jest twoja, tak?

Emanuel patrzy na niego, jakby był kretynem.

– A jak myślisz, dlaczego mój dumny syn trafił do zarządu? Bo tatuś ma pieniądze. Ale teraz potrzebuję kogoś, kto zna branżę, kogoś, kto potrafi

samodzielnie myśleć.

Charles stanął obok spizarni, opiera się o ścianę. Erhardowi nie podoba się, że tam stoi, ale nie wie, co zrobić, żeby stamtąd poszedł.

– Nie mogę pracować dla Taxinarii – mówi. – Byłoby to nielojalne.

– Skończ z tym komunistycznym gadaniem. Jasne, że możesz. Przenieś się tam, gdzie jest przyszłość.

– Nie mogę w ten sposób przejąć posady Raúla. To niegodne. Zresztą jaki ze mnie pożytek? Jestem starym człowiekiem, bliżej mi do emerytury niż do awansu. Dlaczego miałbym się zgodzić?

– Żeby mi pomóc. Mówiłem ci, że ty i ja się rozumiemy. No i dobrze ci zapłacę. To wszystko.

Erhard nie łapie się na haczyk.

– Nie możesz kupować ludzi – mówi i patrzy Emanuelowi w oczy.

– Nikogo nie kupuję, ja ludzi nagradzam. Tych, którzy potrafią dostrzec możliwości. Daj spokój, Stroicielu, mam uwierzyć, że naprawdę chcesz tu dożyć końca swoich dni? Tutaj? – powtarza, jakby chciał podkreślić absurdalność sytuacji.

Erharda ta perspektywa nie przeraża. Zaakceptował ją. Ale słuchając Palabrasa, czuje, że pokusa staje się silniejsza.

– Radzę sobie – mówi.

Emanuel nie słucha go, ciągnie dalej:

– Możesz też przejąć mieszkanie, do czasu aż zostanie sprzedane. Za kilka miesięcy.

Erhard wstaje z łóżka, ubiera się plecami do gości. Wkłada jeansy na gołe ciało, nie może znaleźć bokserek, ale nie zamierza ich teraz szukać.

Emanuel zaczyna od początku.

– Słyszałem, że rozglądasz się za nową prądnicą.

Erhard sztywnieje. Na lodówce wiszą zdjęcia zrobione przez MitchFever.

– Tak, to prawda. – Kiwa głową i ostrożnie odwraca zdjęcia. – Kto ci powiedział?

– Małe miasteczka żyją plotkami.

– Sklepy ze sprzętem też do ciebie należą?

Palabras ma tyle różnych firm, że trudno nadażyć i nigdy nie ma się pewności.

– Boże drogi, nie. Taką drobnicą się nie zajmuję. Ale zawsze człowiek coś usłyszy. Podobno szukałeś też dziewczyny, w Morro Jable.

Erhard martwi się, że ludzie już plotkują. Zastanawia się dlaczego.

– Mam rację, Stroicielu? Chciałeś ją mieć, tę małą dziwkę? O to chodziło?

Takie myślenie jest typowe dla Emanuela.

– Nie, to młoda, bardzo rozsądna kobieta, która... – Chciał powiedzieć: która robi dobre zdjęcia, ale coś sprawia, że zmienia zdanie. – Była mi winna forszę, za kurs. Oddała i nie ma sprawy.

Emanuel przygląda mu się dłuższą chwilę. W końcu kiwa głową.

– No tak, jesteś nie tylko starym wieprzem, jesteś starym chciwym wieprzem – śmieje się. – Przestrzegam cię tylko, żebyś nie tracił czasu. Jeźdź dalej swoją taksówką, przychodź do mnie stroić fortepian i pilnuj się.

Brzmi to niemal jak groźba, chociaż Erhard nie potrafi powiedzieć, dlaczego odnosi takie wrażenie.

– Co to za piszczenie? – pyta Charles. Dotyka kulą drzwi spiżarni, uchyla je i zagląda do środka. Rozgląda się w ciemności, na półkach stoi kawa i zupy w puszkach. Kable od respiratora są ukryte z tyłu i nad drzwiami, z pokoju ich nie widać. Żeby je zobaczyć, trzeba wejść do środka, a ponieważ w spiżarni nie ma światła, chyba tego nie zrobi.

– Te piski dochodzą stamtąd – mówi z przekonaniem.

Erhard oczywiście wie, co się stało. Kiedy Beatriz nagle zaczyna hiperwentylować, respirator piszczy cicho. Zwykle dzieje się tak kiedy Beatriz oddaje mocz, ale przecież nie może teraz pójść i sprawdzić.

– To kontrolka temperatury. Piszczy, kiedy w środku robi się za gorąco. Drzwi były uchylone, trzeba je zamknąć – mówi Erhard i zanim Charles zdąży zareagować, zamyka mu je przed nosem. Potem podchodzi do lodówki, otwiera

drzwi, zagląda do środka. Dawno nie robił zakupów. Nie chce wydawać pieniędzy na jedzenie. Na górze, na lodówce, leży koperta od January. Przesuwa ją trochę dalej, żeby za bardzo nie wystawała.

– Ale dziękuję za propozycję, Palabras – mówi, żeby zmienić temat. – Nie wierzę, że Raúl nie żyje. Może nawet już jutro wróci ze swojej pijackiej eskapady do Dubaju. Nie mogę przejąć jego pracy i mieszkania – mówi. Chętnie natomiast zaopiekuję się jego dziewczyną – dodaje w duchu.

– Poza tym nie rzucę taksówki tylko dlatego, że przyszedł ci do głowy fajny pomysł – mówi głośno. I nie mów mi, co mam robić, a czego nie – myśli. – A po trzecie – dodaje znów głośno – to nie mam pojęcia, co miałbym tam robić, jeśli nie jeździć taksówką.

Chwila ciszy, w końcu Emanuel wybucha śmiechem.

– No dobrze, skoro twierdzisz, że mój niemożliwy syn wkrótce wróci. Zawsze można mieć taką nadzieję, oby bogowie byli dla niego łaskawi. Co nie zmienia faktu, że ktoś musi zadbać o jego interesy, które są także moimi interesami. To nie jest sklep z robotami ani fabryka, która wypluwa z siebie gotowe towary. To biznes, ludzie, rozumiesz? A biznes wymaga, żeby ktoś był na miejscu.

Emanuel idzie za Erhardem, okrążają dom, idą dalej. Erhard myje zęby, znajduje koszulę, wkłada ją, karmi kozy. Przez moment stoją obok siebie i przyglądają się, jak wyliniałe zwierzęta biegają po kamieniach. Charles też wyszedł z domu i zaśmiewa się na widok Laurela, który ma tylko jeden róg. Dziewczyna gładzi sierść mniejszej z dwóch kóz, Hardy'ego, który zwykle nie pozwala na takie pieszczoty, kiedy je.

Emanuel tłumaczy mu, dlaczego to takie ważne, żeby interesy Raúl'a przejął właściwy człowiek.

– To ja dałem mu firmę – mówi. – Kiedy skończył dwadzieścia cztery lata. Wtedy było to niewielkie przedsiębiorstwo. Nie było konkurencji. Dokładnie trzynaście lat i cztery miesiące temu. Chciałem, żeby się czymś zajął. Ale tak naprawdę to jego to nigdy nie interesowało. Bywał w biurze głównie kiedy padał deszcz.

– Zastanowię się – mówi Erhard. Siedzą przy małym stoliku w kuchni, każdy z kubkiem kawy w proszku. Chociaż wie, że podjął już decyzję.

– Raúl chyba opowiadał ci o tym, co robi? – pyta Palabras.

– Nie rozmawialiśmy o tym. Pewnie miał swoje powody.

– Ale to on w swoim czasie ułatwił ci pracę.

– W pewnym sensie tak – przyznaje Erhard.

Pewnego dnia Raúl zobaczył na mieście plakat, na którym było napisane, że firma szuka dobrych kierowców. Zerwał go i któregoś wieczoru wyjął z kieszeni spodni i rzucił nim w Erharda. I to był początek ich przyjaźni. Upili się razem. To było jeszcze zanim Raúl poznał Beatriz. Erhard złożył podanie. I dostał pracę. Natychmiast. To było w 1998 roku, kiedy jeszcze potrzebowano pełnoetatowych kierowców. Zaczął jeździć dla faceta o imieniu Roberto. Kilka lat później Roberto i jeszcze trzech innych kierowców założyli własną firmę: TaxiVenturę. Erhard nadal jeździł dla Roberta, aż do jego śmierci kilka lat temu. Potem zaczął jeździć dla TaxiVentury już sam.

Emanuel Palabras opowiada o finansach swojej firmy. Idą znacznie gorzej od kiedy TaxiVentura trzy lata temu zawarła umowę z lotniskiem. Erhard go nie słucha. Wie o konflikcie, pamięta kłótnie na postojach. Nie ma ochoty do tego wracać.

– Nie ułatwiałeś nam życia – kończy Emanuel, jakby to osobisty wkład Erharda uratował TaxiVenturę. – Pora żebyś przeszedł na właściwą stronę.

– Zastanowię się – mówi Erhard. Teraz będzie musiał znaleźć elegancki sposób, żeby odmówić.

– Zastanów się dobrze – odpowiada Papa Palabras.

Po chwili cała trójka odjeżdża kanciastym białym mercedesem 60 z 1972 roku. Prowadzi dziewczyna. Głowa ledwie jej wystaje zza kierownicy.

Erhard spieszy się do Beatriz. Patrzy na aparaturę. Worek jest wypełniony uryną, chociaż opróżniał go w nocy. Może do skutek działania glukozy. Obraca Beatriz na drugi bok, uzupełnia paliwo w prądnicy.

Następnie włącza Radio Mucha i zaczyna oglądać zdjęcia January, na kopercie zapisuje pytania. Po jednej stronie te, na które sam może znaleźć odpowiedź. Po drugiej te, na które odpowiedzieć może tylko policja. Niektóre przenosi z jednej strony na drugą. Ręka mu drży, pismo jest nierówne.

Jak wysoka była woda na Cotillo Beach od nocy w środę czwartego stycznia do soboty siódmego stycznia? Samochód stał tam co najmniej dobę.

Kto widział nadjeżdżający samochód? W nawiasie: nikt. Bernal mu to mówił. Nikt nie widział nadjeżdżającego samochodu.

Czy wiatr wiał od morza?

Jakie statki pływają wzdłuż wybrzeża i jak blisko podchodzą? Może ktoś coś widział?

Jak transportuje się na wyspę nowe samochody?

Dlaczego w pudełku były duńskie gazety?

Erhard czuje, że gazety to ślepa uliczka, że nie warto tracić na nie czasu. Gazety to tylko kartki papieru, na których położono chłopca. Nic poza tym. No i kto tu czyta duńskie gazety? Wielu turystów, także duńskich, przylatuje na wyspę z angielskimi gazetami pod ręką, czasem się zdarza, że ktoś ma „Jyllands-Posten”. Kiedyś w niektórych hotelach można było znaleźć duńską prasę, ale nie teraz, kiedy wszystko można mieć w komputerze. W latach dziewięćdziesiątych sam prenumerował „B.T.”. Przysyłano mu ją raz w tygodniu, przychodziła z tygodniowym opóźnieniem, zmięta, zniszczona wilgocią i ostrym porannym słońcem. Wykupił prenumeratę, żeby śledzić rozgrywki piłkarskie. Wtedy jeszcze się nimi interesował. Czytał wszystkie artykuły, wyobrażał sobie mecze komentowane głosem Svenda Gehra. Pamiętał też zawodników, ale kiedy wszystkie kopenhaskie kluby połączono w jeden duży, magia prysła. Przedłużył prenumeratę jeszcze o pół roku, a potem ją wymówił. Później już nigdy nie miał

w ręku duńskiej gazety. Dopiero teraz, w komisariacie, kiedy Bernal pokazał mu postrzępione kartki.

Podkreśla pytanie dotyczące gazety. Pisze: skąd się tu wzięła?

Żeby na to odpowiedzieć, musi dotrzeć do podartych kartek. To niezgodne z prawem, ale wcale nie musi być trudne. Wie, gdzie ich szukać.

Koszula z logo TaxiVentury leży w worku z rzeczami do prania na dnie szafy. Próbuje ją trochę wygładzić i wkłada przez głowę, nie odpinając guzików. Pachnie obco. Ostatnio miał ją na sobie jakieś siedem, może osiem lat temu, kiedy nastął Barouki i postanowił sprofesjonalizować firmę, i na serio podjąć walkę z konkurentem, z Taxinarią. Erhard bierze pudełko, wypełnia je puszkami i różnymi innymi rzeczami, które coś ważą. Zamyka je, zakleja mocną taśmą klejącą i wypisuje na żółtej kartce adres. Na drugiej, takiej samej kartce, wypisuje adres policji w Morro Jable. Wkłada ją do kieszeni razem z taśmą klejącą.

Tylnymi drogami jedzie do Puerto. Nikt go nie śledzi. Nie widzi mercedesa ani Palabrasa i jego towarzystwa. Mimo to omija łukiem Zamek i wstrzymuje się z wjazdem na parking, aż zostaje na rondzie sam. Parkuje zaraz za rogiem, tuż za wjazdem.

Wewnątrz panuje nastrój trochę jak w lokalnej kawiarni dla niezadowolonych mieszkańców wyspy. Przed ladą recepcji siedzą kobieta z niewielkim pieskiem, małżeństwo z synem, dwie przyjaciółki i mężczyzna z dużą walizką. Po podłodze fruują papiery, dokumenty i formularze, które wiatr zwiął z regału, kiedy Erhard otworzył drzwi. Na środku, na ziemi niczyjej, stoi duża roślina w doniczce. Erhard podchodzi do detektora metali, oddaje paczkę strażnikowi i wskazuje dłonią na swoją koszulę z firmowym logo. Strażnik patrzy na adres i stawia paczkę po drugiej stronie detektora. Erhard przechodzi przez bramkę, bierze paczkę i rusza do drzwi, idzie korytarzem, jakby chodził nim dziesiątki razy z innymi paczkami. Strażnik nawet za nim nie patrzy. Jakiś starszy



mężczyzna w roboczym kombinezonie pije wodę z kranu przy umywalce, posyła mu obojętne spojrzenie.

Erhard mija otwartą przestrzeń biurową, w której pracują funkcjonariusze. To znaczy powinni, bo w tym momencie nie ma nikogo. Może trwa jakieś zebranie, a może udali się do portu – to trzy minuty drogi od komisariatu – gdzie głuchy Antonio serwuje najlepszą tartę ziemniaczaną.

Erhard idzie dalej, kieruje się do magazynu. Był tam już kiedyś z Bernalem. Pomieszczenie tonie w mroku. Zapala światło – na ścianie jest duży włącznik – świetlóówki zaczynają szumieć. Podchodzi do regału, na którym poprzednim razem stało pudełko. Spodziewał się, że nadal tu jest. Ale nie. Są za to inne pudełka, papierowe torby z ubraniami, sterta jakichś papierów spiętych gumką. Regał ma cztery metry wysokości i pięć, sześć metrów szerokości. Okrąża go, sprawdza też inne. Każda rzecz ma swój numer, ale on wypatruje po prostu pudełka. Przydałoby się lepsze światło. Albo gdyby przynajmniej miał latarkę. A tak musi wciskać głowę w każdą półkę. Kiedy jest przy drugim regale, a właściwie w połowie trzeciego, słyszy jakieś głosy, dochodzą z pomieszczenia biurowego. Ktoś się śmieje, funkcjonariusze najwyraźniej wrócili już na swoje miejsca.

Przez półki widzi ludzi przechodzących korytarzem. Mężczyzna w kombinezonie myje podłogę przed drzwiami magazynu. Ma więc pewność, że jeszcze przez chwilę nikt nie wejdzie. Ale musi działać szybko. Wraca do regału, przesuwa wzrokiem po półkach. Zatrzymuje się przy kolejnych pudełkach. Policja używa pudełek standardowych rozmiarów, na boku każdego jest zapisany numer sprawy i opisana zawartość. Pudełko, przed którym stoi, jest mniejsze niż to, którego szuka, ale przez moment miał wrażenie, że to jest to właściwe. Odwraca się i zaczyna przeszukiwać kolejny, czwarty już regał. I wtedy na dolnej półce zauważa pudełko, na którym ktoś napisał Archivos. Przypomina kartony, w które pakuje się porcelanę, ale on natychmiast je rozpoznaje.

Siada i przyciąga je do siebie, zagląda do środka, ale w kiepskim świetle niewiele widzi. Zamierza zabrać je do stolika przy drzwiach, ale już z daleka

słyszysz głosy, jacyś mężczyźni stoją albo tuż obok drzwi albo może nawet przy jednym z regałów w magazynie. Jeśli go zobaczą, na pewno będą chcieli wiedzieć, co tu robi. Pudełko nie ma pokrywki. Bierze papier, który leży na półce na regale, i owija je nim. Wyjmuje z kieszeni żółtą kartkę z adresem komisariatu w Morro Jables i przykleja ją. Nie trzyma się specjalnie mocno, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby udało mu się je wynieść.

Szybkim krokiem mija siedzących przy stoliku mężczyzn i zanim zdążą zareagować, wychodzi na korytarz. Nie odwraca się, tylko skręca w prawo, kieruje się do wyjścia. W pomieszczeniu biurowym praca wrę, co chwilę ktoś go mija. Wydaje mu się nawet, że gdzieś w głębi słyszy głos Bernala. Przy bramce z detektorem metalu stoi pięć osób. Ma nadzieję, że uda mu się wyjść, kiedy strażnik będzie nimi zajęty. Po prawej stronie nikogo nie ma.

– Señor Jorgenson?

W drzwiach niewielkiego, jasno oświetlonego pokoju stoi Hassib, policjant, którego spotkał w mieszkaniu Raúla.

– Dzień dobry – mówi i idzie dalej.

– Co pan tu robi? – woła za nim Hassib.

– Bawię się w policyjnego gońca, dostarczam paczki – mówi Erhard głośno, przechodząc przez bramkę. Już ma pchnąć drzwi, kiedy nagle czuje rękę na ramieniu.

– Kto przesyła paczki taksówką? – Hassib odstawia kubek z kawą, bierze paczkę do ręki.

– A skąd mogę wiedzieć? – mówi Erhard. – Kaza mi jechać, to jadę. Spogląda na żółtą kartkę na wierzchu pudełka. – Komisariat Morro Jable – czyta głośno.

– Jable? – powtarza Hassib. – A co to za pilna sprawa?

– Możesz sam ją dostarczyć, proszę bardzo – mówi Erhard. – Bez tych czterdziestu pięciu euro jakoś przeżyję.

Wokół oczu młodego Araba pojawiają się zmarszczki, ze zmęczenia. Patrzy na paczkę, zastanawia się. W końcu kręci głową, robi krok do tyłu.

– Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy – mówi, odwraca się i odchodzi.

Erhard pcha drzwi i szybko idzie do samochodu.

## 42

Opróżnia pudełko na stole. W przeciągu – w domu zawsze jest przeciąg – fruwią kawałki gazet, niczym płatki popiołu nad ogniskiem. Odór moczu jest prawie niewyczuwalny, ale jednak nie do końca. Porządkuje kawałki, te ze zdjęciami i czytelnym tekstem wkłada z powrotem do pudełka. Następnie układa je obok siebie i zaczyna uważnie studiować.

Korzysta z lupy. Jest bardzo dokładny, bierze do ręki każdy kawałek, ogląda ze wszystkich stron, odkłada z powrotem do pudełka. Nigdy dotąd nie zastanawiał się, ile pustego miejsca jest w każdej gazecie. Po przejrzaniu połowy kawałków zaczyna liczyć niezadrukowane kawałki. Siedemdziesiąt siedem białych albo w kolorze gazety. Pięćdziesiąt jeden czarnych albo szarych. Trzydzieści czerwonych. Pięć zielonych. Cztery niebieskie. Dwa fioletowe.

Robi przerwę na drugie śniadanie. Siedzi na taborecie i zjada kawałek czerstwego chleba.

Nie miał jeszcze czasu pomyśleć o propozycji Emanuela. Czy może raczej: jeszcze nie podjął decyzji. Z jednej strony jest interesująca, z drugiej całkowicie nie na miejscu. Palabras wie, że nie ma doświadczenia w kierowaniu tak dużą firmą. Wie, że będzie mu trudno, o ile w ogóle okaże się to możliwe, szefować ludziom, którzy przez lata byli jego konkurencją. Jest co prawda parę osób, którym chętnie pokazałby, że jest w stanie poradzić sobie bez nich – jednym z nich jest Pauli Barouki. Poza tym zaczął już myśleć o różnych ulepszeniach, które mógłby wprowadzić. I jeśli chodzi o warunki pracy taksówkarzy, i pracy centrali, nie mówiąc już o lepszej kawie w warsztacie. Ale na wszystko przyjdzie pora.

Teraz przede wszystkim interesuje go, dlaczego Emanuelowi tak bardzo zależy na tym, żeby go zatrudnić. Nie znajduje żadnej prostej odpowiedzi.

Wersja pozytywna jest taka, że zależy mu na zachowaniu kontroli nad firmą, a teraz, kiedy Raúl zniknął, Erhard jest najbliższą mu osobą, która się na tym zna. Wersja bardziej praktyczna jest taka, że Emanuel nie chce podejmować żadnych ważnych decyzji, dopóki nie będzie wiadomo co z Raúlem, czy po prostu wyjechał, czy zginął. No i najmniej miła ze wszystkich, taka, że Emanuel Palabras chce zachować wpływy, które ma w firmie syna, także w przyszłości, kiedy Marcelis Osasuna będzie chciał wzmocnić swoją pozycję w niej. Erhard ma ochotę powiedzieć Nie, dziękuję i dalej jeździć taksówką. Coś mu tu nie pasuje, ale nie potrafi powiedzieć co.

Na jednym z kawałków gazety jest napisane: rick 2310. Ogląda skrawek pod lupą. Ktoś miał kiepski długopis, musiał mocno przyciskać, aż przebił papier.

Odkłada skrawek na bok, szuka dalej. Nie zwraca uwagi na treść, tylko na kształty, kolory, strukturę. Dokładnie wie, czego szuka, widział to tysiące razy, nawet się nad tym nie zastanawiając. Jeśli gazeta została przesłana na wyspę z Danii, to ktoś w Danii ostemplował ją adresem odbiorcy. Nazwisko i adres, wypisane szarą kanciastą czcionką. Może już trochę zatarte, może wręcz nieczytelne, ale na pewno musi tu być, na górze pierwszej strony, żeby listonosz łatwo je dojrzał w stercie innych listów. Po niemal trzech godzinach ślęczenia i składania różnych fragmentów w końcu znajduje to, czego szuka. Adres jest niekompletny, tylko imię i nazwisko, nazwa ulicy i numer domu. Brakuje nazwy miasta.

*Café Rustic, c/o Søren Hollisen, 49 Calle Centauro.*

Nic mu to nie mówi. Od trzynastu lat jest taksówkarzem, ale nigdy nie słyszał o Calle Centauro. Ani o Café Rustic. Wysiada z samochodu, pyta w centrali. Po dwóch minutach dostaje odpowiedź. Calle Centauro nie ma, w każdym razie nie tu, na wyspie, dodaje dziewczyna.

Może ktoś coś źle zapisał. Gdyby tylko udało mu się odnaleźć nazwę miasta. Znow zaczyna przeglądać strzępy papieru. Robi się wieczór, przechodzi w noc. Przerywa na chwilę, zagląda do Beatriz, sprawdza, czy jej stan jest stabilny, czy ma wszystko, czego potrzebuje. Ma zimne ręce, ale jej ciało jest ciepłe, żyje.

Przełaziła po raz kolejny wszystkie kawałki, ale nie znajduje nazwy miasta. Zastanawia się, czy nie zacząć jeszcze raz od początku, ale coś mu mówi, że brakującego kawałka nie ma. Naprawdę sprawdził wszystkie bardzo starannie. Zdaje sobie sprawę, że może brakować jeszcze tysiąca takich skrawków. Gdyby złożył wszystkie, które ma, jak części układanki, okazałoby się, ile jest dziur, przekonałby się, że brakujący kawałek jest tylko jednym z wielu. Ale nie ma już siły. Musi znaleźć Calle Centauro inaczej.

We wtorek rano nie jedzie do Alapaqa. Jedzie do Tuineje. Do Moniki. Nigdy nie odwiedzał jej sam, bez Aaza. To duża zmiana. Zatrzymuje się na poboczu, zbiera się na odwagę. W końcu bierze do ręki notes z telefonami i biegnie do najbliższego automatu telefonicznego.

– Mówi Erhard Jorgenson. Jestem w pobliżu. Mogę wpaść?

– Jest dopiero ósma. Kwadrans po ósmej – mówi Monika.

– To pilne.

– Coś się stało Aazowi? – W jej głosie słychać strach.

Nie pomyślał, że może ją przestraszyć.

– Nie, nie – uspokaja ją. – Chodzi o komputer, tak jak poprzednim razem.

Monika oddycha z ulgą.

– To nie może poczekać?

– Jestem niedaleko. Dzwonię z automatu przy drodze.

Pauza. Jest zły, że tak długo się zastanawia.

– Daj mi dziesięć minut na zjedzenie śniadania.

Czeka w samochodzie, po kwadransie wysiada i rusza ulicą. Zanim dociera do drzwi, ona już je otwiera. Wchodzi do środka. Dom wygląda, jakby przed chwilą ktoś sprzątał. Papiery ułożone jedne obok drugich, na zlewie leży ścierka. Monika ma na sobie czerwoną spódniczkę z błyszczącymi cekinami. Taką, w jakiej tańczy się tango. Erhard nie tańczy tanga.

– Jesteś kierowcą. Znasz wszystkie adresy na wyspie – mówi, kiedy Erhard tłumaczy jej, czego szuka, ale siada przed komputerem. – Nie wspominałeś, że chciałbyś się nauczyć go obsługiwać?

– Może kiedyś się nauczę – mówi Erhard, ale bez przekonania.

– Jak się nazywa ten lokal?

Erhard literuje nazwę kawiarni i ulicy.

– To na wschodnim wybrzeżu. Przepraszam, zapomniałam wpisać: Fuerteventura. Ale nie, to na Teneryfie. To możliwe?

– Jest tam gdzieś w pobliżu jakiś lokal?

– Zaraz sprawdzę – mówi Monika. Po chwili wskazuje na zdjęcie niewielkiego miasteczka tuż nad morzem, zrobione z lotu ptaka. Na środku zdjęcia zapisana jest nazwa ulicy. – Café Rústica – mówi Monika. – Zgadza się?

– Na Teneryfie?

– Tak, w Santa Maria del Mar, na południe od Santa Cruz.

– Tu, na wyspie, nie ma takiej ulicy?

– Nie – mówi Monika i wstaje. – Napijiesz się kawy, skoro już tu jesteś?

– Możesz sprawdzić coś jeszcze?

Monika znów siada do komputera.

Erhard pokazuje jej skrawek gazety z nabazgranym: rick 2310.

– Może to część numeru telefonu? – mówi.

Monika zaczyna szukać. Erhard nawet nie próbuje zrozumieć, co robi. Przygląda się jej palcom na klawiaturze. Widać, że gra na fortepianie. Są bardzo sprawne.

Okazuje się, że na wyspie nie ma nikogo, kto miałby na imię Rick i miał numer telefonu zawierający te cyfry. Na Gran Canaria też nie. Nie ma Ricka, jest za to wiele innych imion: Ricardo, Richard, Ricko, Ricky, Ricki. Monika wpisuje też Søren Hollisen, nie znajduje nikogo o tym imieniu i nazwisku. Jest tylko Søren Holdesen Jensen, inżynier z Farum. Monika stwierdza, że to jeszcze niczego nie dowodzi, nie wszystko jest w Internecie. Jeśli ktoś nie chce, żeby jego dane były w sieci, to zadba o to, żeby ich nie było.

Robi kawę.

Erhard znów zerka na mapę. Na zdjęciu z lotu ptaka wypisana jest małymi białymi literami nazwa kawiarni. Nie potrafi powiedzieć dlaczego, ale ma wrażenie, że to ta.

To musi być ta, nawet jeśli w adresie brakuje jednego a. Monika sprząta w kuchni. Słucha, jak opowiada jej o tym, jak poskładał kawałki gazety i w ten sposób ustalił adres. Chciałby jej powiedzieć, dlaczego to zrobił i ile to dla niego znaczy, opowiedzieć o chłopcu w pudełku, ale nie jest w stanie. Nie teraz. Pije kawę. Jest mocna i gorzka, jak kamień. Patrzy, jak Monika ściera kawę ze stołu, widzi jej powabne krągłości.

Wraca do domu, uzupełnia paliwo w prądnicy i wraca do warsztatu. Musi odkurzyć samochód, umyć drzwi, deskę rozdzielczą. Czarna płyta jest pokryta szarym pyłem. W warsztacie jest też specjalna szczotka do tapicerki, wystarczy przeciągnąć nią po obiciu i wszystkie plamy i brud znikają. Czyści też bagażnik. Nigdy nie wiadomo, kto będzie chciał do niego zajrzeć.

Zwykle myje i czyści samochód co drugi tydzień – po rozmowie z Emanuelem nabiera ochoty, żeby spojrzeć na firmę od nieco innej strony. Ma ochotę przejść obok biura, może spotka Pauli Baroukiego, powie, żeby, do cholery, zrobił coś z kartami kursów. Przed biurem też jest miejsce do mycia samochodów. Nigdy z niego nie korzysta, bo jest za małe i zwykle zajęte przez starszych kierowców. Biała piana płynie strużką do zatkanego gnijącą papą odpływu.

Teraz ma okazję przenieść wszystkie swoje pomysły do Taxinarii, może uda mu się zrealizować przynajmniej niektóre. Od kolegów, którzy przeszli do konkurencji, wie, że tam borykają się z podobnymi problemami. Z jego pomysłami mógłby zostać człowiekiem miesiąca. Raúl, ten dupek, słuchał jego wynurzeń i tylko się śmiał. Ciekawe, czy któryś z jego pomysłów wykorzystał w swojej firmie. Plotki mówią, że dostali więcej gąbek do mycia samochodów i specjalną białą tablicę do zapisywania dyżurów. Jedyne, na co Erhardowi udało

się namówić Baroukiego, to półka na książki do wymiany. Erhard sam ją powiesił i przyniósł pierwsze książki. Szybko jednak okazało się, że tylko on z niej korzysta, więc po jakimś czasie zabrał książki do domu.

Kończy myć samochód, stawia go obok ogrodzenia i wchodzi do biura. Wita się z nowym kierowcą, Gustavem, i kierowcą z Taxinarii, Sebastianem.

Może od początku miał rację. Może Pauli Barouki rzeczywiście go nie lubi. Może dlatego, że wiedział, że przyjaźni się z Palabrasami. Zawsze miał wrażenie, że traktuje go inaczej niż innych. Jak wtedy, kiedy wybuchła afera z szafkami. Każdy kierowca miał swoją szafkę na ubrania i rzeczy osobiste. W pewnym momencie wszyscy musieli zmienić szafki, żeby zrobić miejsce dla nowych kierowców. Erhard dostał szafkę w rogu, wciśniętą między skrzynki z instalacjami, co znaczyło, że miał o połowę mniej miejsca niż inni. Wcześniej szafka była używana jedynie przez zmienników i kierowców niezatrudnionych na pełen etat. Poskarżył się, ale Barouki powiedział, że musi się z tym pogodzić i że nie może oczekiwać szczególnego traktowania tylko dlatego, że cieszy się sympatią we właściwych kręgach. Erhard uznał, że ma na myśli jego pozycję w centrali, gdzie dla większości sfrustrowanych kierowców stał się niemal spowiednikiem. Nie pamięta, o czym jeszcze Barouki wtedy wspomniał.

Przechodzi przez warsztat, idzie schodami na górę. Są tu trzy niewielkie pokoje ściśnięte wokół małego tarasu, na którym w prażącym słońcu stoi otoczony kamieniami kaktus. Wchodzi do gabinetu. Barouki właśnie myje twarz nad umywalką, którą niedawno zamontował. Jest kościsty, cerę ma szarą.

– Eremita – mówi, nie podnosząc wzroku.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że dotąd nie miałem pojęcia, że właścicielem Taxinarii jest Emanuel Palabras.

– No proszę – śmieje się Barouki. Erhard wygląda na zdziwionego.

– To dlatego dałeś mi tę najmniejszą szafkę? Prosiłem, żebyś to przemyślał. To było niesprawiedliwe.

Barouki przestaje się śmiać.



– Daruj sobie ten idealizm. Dostałeś małą szafkę, bo masz też półkę na książki. Po prostu. Nie można chcieć za dużo.

– Widzę, że nadal nie rozumiesz, o co chodziło z tą półką – mówi Erhard.

– Nie ja jeden – odpowiada Barouki. Kończy myć twarz, sięga do koszyka pod umywalką po ręcznik. Siada, wyciera twarz i ręce. – Nie traktowałem cię inaczej dlatego, że przyjaźnisz się z Raúlem i starym Palabrasem. Wiele można mi zarzucić, ale nie to, że jestem niesprawiedliwy.

– Więc dlaczego wciąż nie mamy białej tablicy, na której można by rozpisywać dyżury? Od kilku lat o tym mówimy.

– Jesteście gotowi za nią zapłacić? Nie. Złóżcie się po dziesięć euro każdy, to pogadamy. Przekaż swoje zarobki z dwóch tygodni i po sprawie.

– A może przydałoby się zmienić sposób myślenia? Może Taxinaria jest mniej skąpa? Jeżdżę dla was już trzynaście lat, nigdy nie zainwestowaliście nic w ludzi. Pokój śniadaniowy malowaliśmy sami, krzesła przyniósł Gonzo. Do diabła, Barouki.

– Prosiłście o szafki i je dostaliście.

– To było już ponad dziesięć lat temu.

– Daj spokój, były też inne zmiany. Mamy nową centralkę.

– To też historia sprzed wielu lat. Poza tym to inwestycja, która służy firmie. Kierowcy się o nią nie upominali.

– Rozejrzyj się, Eremito. Nie jesteś w *Wonderful Danimarca*. Kraj, nasz kraj jest zadłużony, Hiszpanie tu nie przyjeżdżają, brakuje turystów. Nie stać nas na rozpieszczanie taksówkarzy, nawet gdybyśmy chcieli.

– Przestań gadać bzdury. Dawno już powinniście byli coś zrobić. Sam przesiadujesz na swoim ślicznym trawniku.

– Uważaj, nie jesteś *majorero*, nie zapominaj o tym, Eremito.

– Po prostu radzę ci, żebyś coś z tym wszystkim zrobił. Jeśli nie chcesz słuchać mnie, to posłuchaj Anphila, on jest *majorero*. Ta firma to całe jego życie, a co wy dla niego zrobiliście? Nic. Dostałem propozycję przejścia do Taxinarii. I przyjmę ją.

Barouki nadal stoi plecami do niego.

– Robimy tyle, ile możemy, nie szarżuj, Eremito. Ludzie mówią, że młody Palabras liczy monety na dnie morza. To nie są ludzie, z którymi warto się zadawać, bardziej niż to konieczne. – Barouki odwraca się do Erharda. – Zapomniałeś, że co miesiąc pomagamy ci z przelewem dla twojej byłej? To wcale nie jest takie proste. Księgowy ciągle narzeka, że ma z tym problemy, a jednak to robimy. Ponieważ kiedyś obiecałem ci, że ci pomogę. To się nazywa lojalność.

– Myślisz, że nikt inny nie będzie w stanie mi pomóc? – pyta Erhard. Patrzy na biurko, jest puste. Nie ma na nim ani jednej kartki, żadnej gazety, komputera czy telefonu. Wygląda, jakby ktoś przed chwilą je wstawił. Odwraca się i wychodzi, nie dając Baroukiemu nic powiedzieć. Wszystko potoczyło się za szybko, ale może tak właśnie miało być.

Wychodząc, rozmawia jeszcze chwilę z Anphilem, który leży pod podwoziem lexusa Ponduela. Ponduel siedzi na zewnątrz i rozmawia z kierowcą z Taxinarii, który właśnie wpadł na kawę. Może różnice między firmami są niewielkie, ale obie zachowują się jak rywalizujące ze sobą kluby piłkarskie.

Ponduel zwykle nie jest rozmowny, ale kiedy Erhard pyta go, jak leci, zaczyna narzekać na warsztat. Nie może być tak, że Grek – tak nazywa Anphila – ma sam obsłużyć trzydziestu kierowców, do tego czasem robi też coś dla Taxinarii, a kiedy trzeba, zajmuje się też mazdą żony Marcelisa. Erhard słucha go, ale po chwili rusza dalej, do samochodu. Po drodze spotyka jednego z taksówkarzy konkurencji. Facet ma trzydzieści parę lat, jest synem kierowcy, który zmarł w zeszłym roku podczas uroczystości ku czci Maryi. Paskudny pech.

Erhard go zatrzymuje.

– Jak to jest tam u was? Jak się pracuje?

Facet przygląda mu się z sympatią. Należy do młodszego pokolenia, nie chce dać się wciągnąć w odwieczną rywalizację, nie interesują go plotki i podobne kretynizmy.

- Mam wrażenie, że podobnie jak u was.
- Spotykałeś w firmie Raúla?
- Widziałem go tylko dwa razy.
- Wiesz, że właścicielem Taxinarii jest Emanuel Palabras?
- *Quién sabe*. Ale decyduje Marcelis.
- Jaki on jest? Surowy, tak jak mówią?

Facet się śmieje.

- Chyba tak. Kiedyś nieźle mi nawrzucał. I raz wystarczy.
- O co poszło?

– Narzekałem na kartony po przewodźce, które stały w pokoju śniadaniowym od ubiegłego lata. W tym maleńkim pokoju mieści się zaledwie pięć osób, a wszystko dlatego, że sekretarkę rzucił facet i nie może znaleźć mieszkania. Więc sypia na kanapie u Loulou, stażystki, a wszystkie swoje rzeczy trzyma w kartonach ustawionych pod ścianami w pokoju śniadaniowym.

Erhard się śmieje.

- Dlaczego Marcelis nie kazał jej ich zabrać?
- No wiesz. Dziewczyna jest jego sekretarką – mówi facet i wykonuje ręką gest, którego Erhard nie rozumie.
- Marcelis nie ma żony?

Facet patrzy na niego, jakby był kretynem.

– Między nami mówiąc, oszczędzam, bo chcę założyć własną firmę. Po trzech latach pora iść na swoje. Nie chcę spędzić całego życia za kółkiem, jak ojciec.

– To dobra decyzja – chwali go Erhard, chociaż tak naprawdę nie wierzy, żeby na wyspie było miejsce dla jeszcze jednej firmy taksówkarskiej. Dwie ledwie sobie radzą. – Dzięki za pogawędkę. Może jeszcze się zobaczymy.

Erhard jedzie ulicą Calle Nuestra Señora del Carmen, staje na postoju, na końcu kolejki, kiedy dostaje wiadomość z centrali, że jest do niego telefon. Wchodzi do Café Bolaño, czeka przed telefonem. Podejrzewa, że to Barouki. Odbiera po pierwszym dzwonku.

- Nie chcemy cię tutaj, Eremito.

– Kto mówi?

– Marcelis Osasuna, *motherfucker!*

Erhard widział go zaledwie kilka razy, ale wszyscy go znają. Poza tym słynie z tego, że rzuca angielskimi przekleństwami.

– Dlaczego sądzisz, że się do was wybieram?

– A jak sądzisz, *Extranjero*? Firma należy do Palabrasa, to prawda, ale on nie decyduje o wszystkim.

Najwyraźniej Sebastiano zdążył już naplotkować.

– Pytałem chłopaka, jak się u was pracuje.

– Jakiego znów chłopaka?

– Nieważne. Nie odpowiedziałem jeszcze Palabrasowi.

– Ludzie mówią, że zaczynasz się szarogęścić w Venturze. Ja cię u siebie nie chcę.

– Palabras wie, że ze mną rozmawiasz?

– Jasne, że nie wie. Jeśli dowie się tego od ciebie, to jesteś skończony.

– Grozisz mi? – mówi Erhard, chociaż pierwotnie nie zamierzał.

– Nie zamierzam milczeć. Walczyłem o tę firmę. Jesteś w drodze do jaskini lwa, *Extranjero*. – Erhard słyszy, jak Marcelis szeleści papierami. – Możliwe, że przyjaźnisz się z Palabrasami, ale nie myśl sobie, że przyjdiesz tu i wszystko przejmiesz.

– Nikt tak nie twierdzi.

– Więc czego chcesz?

– Potrzebuję kilku dni, żeby się zastanowić. A potem dam odpowiedź.

– Zastanów się dobrze, Eremito.

Połączenie zostaje przerwane.

Erhard stoi chwilę z plastikową słuchawką w ręku, potem ją odwiesza. Wpatruje się w ścianę. Na kartkach poprzyklepianych wokół aparatu reklamuje się mnóstwo prywatnych stateczków przewożących ludzi na pobliskie wyspy: na Lanzarote, Teneryfę, Gran Canaria, jest nawet niewielki prom, który pływa do – wydawać by się mogło – zapomnianego przez Boga miasteczka Hierro.

Dołączono zdjęcie kapitana, a w każdym razie mężczyzny w czapce kapitańskiej, który wznosi toast razem z pasażerami przy barze. W jednej chwili Erhard podejmuje decyzję. Przez następnych kilka godzin nie zamierza zawracać sobie głowy przyszłością. Postanawia pojechać do Morro Jable i stamtąd popłynąć łodzią do Santa Cruz. Nagle przypomina sobie o Beatriz i cholernej prądnicy. Tylko jedna osoba może przejąć nad nią opiekę pod jego nieobecność. Wrzuca do aparatu monetę i wybiera numer lekarza.

## 43

Podróż wprawia go w nerwowy nastrój.

Dziwnie się czuje, opuszczając wyspę, znajomy piaszczysty grunt pod nogami. Pomijając drobne wypadki na kamienną wyspę Isla de Lobos z Raúlem i Beatriz w 2008 roku, dopiero po raz trzeci opuszcza Fuerteventurę. Dwa razy był na Lanzarote. Raz, żeby odebrać mercedesa. W 1999 roku.

Długo siedzi na ławce na pokładzie w promieniach rozżarzonego do białości słońca. Dziesięć godzin bezczynności. Boi się zasnąć, powstrzymuje się też od picia alkoholu. Wysypuje z torebki posklejane orzeszki ziemne, wrzuca je do ust.

Kapitan okazuje się wcale nie tak miły jak na zdjęciu. Choleryk, opowiada coś bez składu i ładu. Stoi przy relingu i odpala jednego papierosa od drugiego, wpatruje się w wodę, jakby chciał skoczyć w otchłań. Erhard kilka razy próbuje rozpocząć rozmowę, ale co chwilę przerywa, kiedy podchodzą turyści zrobić sobie zdjęcie z kapitanem. Kapitan salutuje i robi inne głupie rzeczy. Raúl uwielbiał taki cyrk. Bawił go upadek autorytetów. Dawnych koryfeuszy. Uwielbiał upijać polityków, policjantów i urzędników, a potem upokarzać, zmuszając do kretyńskich zabaw, patrzeć, jak się czerwienią, kiedy barmanka częstuje ich tequilą z kieliszkiem między piersiami. Uwielbiał kraść im kapelusze albo gładzić ich krawaty niczym napalona striptizerka w nocnym lokalu, wkładać banknoty do kieszeni ich obcisłych spodni, posyłać im drinki

z parasolkami i podwójną wódką. Raz wziął za kołnierz jakiegoś ojca, tylko dlatego, że ubrał synka w marynarskie ubranie.

Czy byłby w stanie podnieść rękę na Beatriz? Właściwie tak, ale Erhard nie potrafi sobie tego wyobrazić. Nie wierzy w to. Nie chce w to uwierzyć. To jego przyjaciel. Poza tym zawsze szczyił się tym, że zna się na ludziach. I nagle znów słyszy słowa Beatriz. Ukryj mnie. Zapomnij o mnie.

Myśli kłębią mu się w głowie, bardzo go to frustruje. Nie zawsze są to dobre myśli, jest w nich miłość, ale i gniew. Myśli ojca o poległym synu. Żal wymieszany z wściekłością. Prosi dziewczynę o ostatnią torebkę orzeszków, którą ma. Mija popołudnie, robi się wieczór, morskie ptaki, czarne i długie, z kwadratowymi dziobami, krążą na wirującym nad stateczkiem wietrze. Zbliżają się do brzegu.

Erhard staje na dziobie.

Widać już Teneryfę.

Był tu siedemnaście lat temu. Kiedy przybył na wyspy, musiał poszukać sobie jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać. Pierwszych kilka dni spędził w tanim hotelu na wybrzeżu. Teraz patrzy na wyspę innymi oczami, oczami brata. Unosząc się na falach, prom płynie w kierunku białego portu. Wyspa wydaje mu się wyższa i bardziej czerwona niż Fuerteventura, jest pod wrażeniem. Myśli o matce, która kochała Kopenhagę, kiedy jeździli kolejką po Tivoli, a bała się jej i nienawidziła, jak tylko któreś dziecko zniknęło jej z oczu na dwie minuty, albo kiedy czekali raz na Dworcu Głównym na ojca i jakiś bezdomny spytał Thorkilda, jego brata, czy ma ogień. To męczące iść przez życie, balansując między niszczącą nienawiścią a głęboką miłością.

Wyspę widać już wyraźnie. Za każdym razem kiedy prom opada na fali, a potem znów się wyłania, wyspa wydaje się większa. Potężniejsza.

Calle Centauro to nieciekawa ulica. Beżowa droga w przemysłowej dzielnicy. Ale kawiarnia jest biała i obszerna. Tak naprawdę raczej dyskoteka niż kawiarnia. Duża sala wokół patio z palmami, które wystają przez dziurę

w dachu. Siada przy stoliku pod jedną z nich i patrzy na wypisaną ręcznie kartę dań. Rzadko się już takie widuje. Nawet najnędniesze bary w Corralejo mają kolorowe karty z flamingami i mieniącymi się barwami napisami. Ta jest szarobrazowa, pismo jest okrągłe, nad i zamiast kropki jest duże kółko.

Podjezwewa, że musiała to pisać kobieta. W niewielkich szklaneczkach stoją kwiaty, na Fuerteventurze nie widuje się takich obrazków. Poza tym wszędzie jest czysto i ładnie, lokal jest świeżo odmalowany, personel jest zabiegany, ale ludzie wyglądają na zadowolonych. Do stolika zbliża się kelnerka, potężnie zbudowana dziewczyna w obcisłej bluzce, pochyla się, żeby zapalić świeczkę w świeczniku ustawionym na starym kole od wozu. Potem podchodzi do niego. Pyta, czy jest na wakacjach, a on mówi, że tak. Dziewczyna czeka, w rękę trzyma bloczek. Opowiada o miejscach, które trzeba zobaczyć, ale nie w sobotę, bo wtedy jest za dużo ludzi, i nie po zapadnięciu zmroku, bo wtedy przychodzą Tunezyjczycy, no i nie kiedy słońce stoi w zenicie. Erhard pyta, czy jest z Kalifornii. Okazuje się, że tak. Jest pod wrażeniem, śmieje się i pyta, skąd on pochodzi. Mówi jej, a wtedy ona dodaje, że wiele dziewcząt jest właśnie z Fuerteventury. Mówi też, że mieszka nad restauracją, w pokoju, w którym można się zatrzymać na jakiś czas zaraz po przyjeździe, żeby móc zarobić na wynajęcie czegoś własnego, mówi też, że kiedyś chciałaby być kierowniczką restauracji, o ile odnajdzie się w tej branży. Erhard zamawia mai tai, patrzy na jej dekolt nad kartą. Zanim dziewczyna odchodzi, pyta, czy zna Søren Hollisena. Widzi, że się waha. Wydaje jej się, że coś o nim słyszała, ale nie, nie zna go. Wraca do baru, rozmawia z jakąś inną kelnerką, surowo wyglądającą dziewczyną z włosami ściągniętymi w koński ogon. Dziewczyna z Kalifornii zerka od czasu do czasu na Erharda, jakby był bogatym dziadkiem, który rozdaje kieszonkowe. Koński ogon wydaje się obojętny.

Erhard liczy gotówkę. Wystarczy mu na kilka drinków i coś do jedzenia, ale nie na nocleg. Będzie musiał spać na plaży, jak już nie raz mu się zdarzało. Jeśli jest się wystarczająco pijanym, to nic strasznego. Może robi to po raz ostatni.

Myśl, że może w końcu los się do niego uśmiechnie, skacze przed nim jak wesołe ziarenko. Nie jest w stanie jej utrzymać. Od dwudziestu lat prześladowa go pech, zawsze podejmuje błędne decyzje. Żył nie tak, jak powinien, spotykał niewłaściwych ludzi w niewłaściwych momentach życia. Zwykle mawia, że w jego życiu wszystko dzieje się o dziesięć lat za późno albo za wcześnie. Ożenił się dziesięć lat za wcześnie, był jeszcze nastolatkiem, to mówi wszystko. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat wszystko przychodziło o dziesięć lat za późno. Za późno zaczął się interesować muzyką, za późno zaczął szukać jakiejś miłej dziewczyny, a teraz było już za późno, żeby zacząć korzystać z życia, jak to robią ludzie w jego wieku w Danii, ci, którzy przyjeżdżają tu na wakacje. I nagle wśród tej nędzy i spraw związanych z Raúlem i Beatriz, ze zmarłym chłopcem, pojawia się szansa, której nie wolno mu wypuścić z rąk. Nawet jeśli wie, że będzie mu trudno. Ma szansę stać się kimś. Być kimś. Może będzie mógł zamieszkać w jednym z tych domów nad miastem. Z ogródkiem. Będzie mógł siedzieć i czytać w chłodnym biurze albo pójść do warsztatu i porozmawiać z Anphilem, albo zaprosić do siebie gości i poczęstować ich whisky.

O tym wszystkim nie wspomniał Emanuelowi Palabrasowi.

Rano, przed wyjazdem, zadzwonił do niego i opowiedział o incydencie z Baroukim i o późniejszym telefonie Marcelisa. Nie przekazał mu, co dokładnie Marcelis powiedział, poinformował tylko, że wydawał się niezadowolony z tego, że on, Erhard, ma objąć nową funkcję.

Głośne szczekanie nie zrobi z kota psa, odpowiedział Emanuel. Raúl też toczył walkę z Marcelisem. Witaj na pokładzie, dodał Emanuel.

Na koniec powiedział mu: Zgódź się, a dam ci pensję godną dyrektora. Wówczas zabrzmiało to dobrze, ale teraz Erhard zaczyna się zastanawiać, jaki będzie mieć tytuł. I co tak naprawdę Raúl robił w firmie. Jeśli ma przejąć jego obowiązki, to znaczy, że ma się nie wychylać i starać się w nic nie mieszać. Na pewno jednak chciałby coś zmienić. Jeśli okaże się to niemożliwe, rzuci wszystko. Nie jest niczyją własnością.



Ale perspektywa, że będzie mógł przestać się martwić prądnicą i będzie mógł umieścić Beatriz w prywatnym szpitalu w Puerto, i może jeszcze zaprosić Aaza i jego matkę na kawę do swojego nowego mieszkania, brzmi kusząco.

Koński ogon przynosi mu drinka, stawia kieliszek na serwetce na talerzyku. Płaci szesnaście euro, cztery daje jej do ręki. To bardzo przyzwoity napiwek, ale dziewczyna zachowuje kamienną twarz. Erhard pyta, czy zna Sørena. Dziewczyna patrzy na niego surowo. Może woli kobiety? – zastanawia się Erhard. Jej spojrzenie zdaje się mówić, że faceci to strata czasu.

– Co chcesz wiedzieć?

– Znasz Sørena Hollisena? Może tu bywa albo kiedyś bywał?

– Wiem, kto to jest. Wszyscy wiedzą.

– Skąd go znasz?

– Nie znam go. Nikt go nie zna.

– Ale spotkałaś go?

– Spotkałam, jak spotkałam – mówi dziewczyna i pokazuje palcami znak cudzysłowu.

– Jesteś stąd? Z wyspy?

– Z Fuerteventury.

– Ach tak. – Erhard nie ma siły na uprzejmości. – Jest ktoś, kto zna go lepiej od ciebie? – pyta.

– Ellen.

– Ellen. Kto to jest Ellen?

– Właścicielka. Jest na zapleczu. Ale zaraz wychodzi.

Erhard dziękuje, pije drinka. Mai tai jest za słodki. Za dużo syropu, za mało soku z limonki, za to nie oszczędzono gęstego, ciemnego rumu. Zjada przybranie z ananasa i pomarańczy. Kiedy ma w ustach pomarańczę, podchodzi kobieta w jasnoniebieskiej koszuli i czarnym kostiumie. Siada obok niego. Przypomina mężczyznę, tyle że z długimi włosami, związanymi w węzeł. Usta ma wąskie i sztywne, wyglądają jak namalowana tuszem kreska.

– Przyjaciół czy wróg? – pyta z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Erhard podnosi głowę i patrzy na nią.

– Pytałeś o Søren Hollisena – mówi. Wymawia to: Soren Hollyson. – Jesteś jego przyjacielem czy wrogiem?

– Ani jednym, ani drugim.

– Co on znów zrobił?

– O ile mi wiadomo, to nic.

– To po co go szukasz? Bo domyślam się, że nie kierują tobą jakieś romantyczne uczucia.

Zadaje mu pytania w sposób, który sprawia, że czuje się, jakby go przesłuchiwała, nawet bardziej niż Hassib.

– Może sam mu to powiem?

– Proszę bardzo, ale w takim razie musisz się udać do Dakaru. Chodzi o pieniądze?

– Może – odpowiada, chcąc ją utrzymać w niepewności.

– On już nie ma z tym miejscem nic wspólnego. Wiele nas kosztowało, żeby stanąć na nogi po bałaganie, który po sobie zostawił. Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego.

– Spokojnie, *miss...*

– Blythe-Patrick. Ellen.

– Okej, Ellen, nie znam Sørena.

– Jesteś z duńskiej policji?

– Nie, pochodzę co prawda z Danii, ale od wielu lat mieszkam na Fuerteventurze.

– Nie widziałam go już od wielu miesięcy, może od roku. Słyszałam, że jest w Dakarze.

– Może wcale nie muszę rozmawiać z nim osobiście, może ty będziesz mogła mi pomóc.

Kobieta się prostuje, rozgląda się, jakby się bała, że ktoś ich usłyszy. Ale w pobliżu nie ma nikogo. Kawałek dalej siedzi para zakochanych, są tak pijani, że Erhard boi się, że zaraz zasną na kanapie.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z interesami Sørena – powtarza Ellen.

– Nie zamierzam cię w nic wciągać. – Erhard wyjmując z kieszeni kawałek gazety. – Pamiętasz, czy do kawiarni przychodziła duńska gazeta? W zeszłym roku.

Ellen zerka na gazetę i uśmiecha się.

– Tak, pamiętam. Pamiętam. Bo nikt jej nie czytał. „Politiken” – wymawia tę nazwę z nieco dziwnym akcentem. – Leżała sobie i tyle. Okazało się, że nie miewamy gości z Danii. A ani Norwegom, ani Szwedom nie chciało się czytać po duńsku.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Rok temu? Aż pewnego dnia przestała przychodzić. Søren ją zaprenumerował, a potem nie wiedzieliśmy, jak to odwołać. W końcu zaczęliśmy wyrzucać ją do kosza.

– Czy któryś z waszych współpracowników zniknął w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

– Zniknąć nie zniknął. Kilka osób wróciło do domu. Do Anglii, Hiszpanii, Holandii. Ludzie przyjeżdżają tu z różnych krajów.

– Znasz jakieś młode dziewczyny, które zaszły w ciążę i ją usunęły?

– Wy, Duńczycy, nie wahacie się włączyć ludziom z buciorami w życie. – Ellen się śmieje. – Osobiście nie mam nic przeciwko temu, tylko nie wolno ci straszyć dziewczyn.

– Pomagam znajomemu odnaleźć dziewczynę. Ostatnio widziano ją tu, na wyspie, z tą właśnie gazetą.

Kobieta nachyla się do niego, ścisza głos:

– Jeśli szukasz dziewczyn w wieku osiemnaście – trzydzieści lat, którym zdarzyło się zapomnieć o prezerwatywie, to jesteś we właściwym miejscu. Takich dziewczyn jest tu całe mnóstwo. Jedne w bardziej, drugie w mniej zaawansowanej ciąży. Czasem są tak chude, że nic nie widać, do czasu kiedy zaczynają rzygać na podłogę w barze. Może ludzie tu są katolikami, ale ich córki na pewno nie są święte. Klinika w Santa Cruz nieźle na nich zarabia. To wyspa

impres. Mężczyznom jest wszystko jedno, a dziewczyny są głupie, tak to wygląda. Ta dziewczyna to Dunka?

Erhard cały czas zakładał, że matka jest Dunką, ponieważ dziecko było owinięte w duńską gazetę, ale teraz ma wątpliwości.

– Możliwe – mówi. – Ma jasną cerę – dodaje, przypominając sobie zdjęcia chłopca.

– Narzeczona twojego przyjaciela, tak? Widzę, że niewiele wiesz.

– Czy ktoś wziął te gazety ze sobą? Może jakaś Dunka, może ktoś z gości?

– Codziennie, z wyjątkiem niedziel, przewija się przez ten lokal półtora tysiąca ludzi. Imprezują od zachodu do wschodu słońca. Czy ktoś z nich wziął ze sobą gazetę? Skąd mogę wiedzieć. Wiem tylko, że zwykle je wyrzucaliśmy, mieliśmy ich dosyć.

– Kiedy gazeta przestała przychodzić?

– W październiku. Może w listopadzie.

– Gdzie je wyrzucaliście?

Ellen patrzy na niego, jakby czegoś nie rozumiał.

– Do kosza oczywiście.

– Mogę zobaczyć, gdzie jest kontener na śmieci?

– Oczywiście, wyjdź na ulicę i przejdź na tył budynku. Miłej zabawy.

Erhard patrzy na nią, wstaje.

– W mai tai jest za dużo syropu, powinniście dodawać mniej, a więcej soku z limonki.

## 44

Nie chce mu się sprawdzać w kontenerze. Powiedział to tylko po to, żeby ją zirytować. Nie wie dlaczego, nie wie też, czego miałby w nim szukać. Co mu przyjdzie z tego, że dowie się, gdzie kilka miesięcy temu ktoś wyrzucił jakieś

gazety? Rusza przed siebie i w końcu trafia do baru, w którym ludzie oglądają w telewizji wyścigi konne.

Około dwudziestej trzeciej zjada sandwicza z szynką i wypija najtańsze piwo. Z nikim nie rozmawia. Siedzi i ćwiczy się w byciu dyrektorem, krzyżuje nogi na stole, próbuje wyglądać godnie, uśmiecha się, macha ręką kelnerowi, niskiemu mężczyźnie z fartuchem tuż pod piersiami, prosi o jeszcze jedno piwo. Przy barze siedzi kobieta, na której chciałby zrobić wrażenie, nie wie jednak, czy odważy się do niej podejść. A wszystko dlatego, że jest na Teneryfie. W domu nigdy by się tak nie zachowywał, pewnie już dawno wróciłby do siebie. Kobieta jest jakieś dwadzieścia lat młodsza od niego, siedzi odwrócona do niego plecami, przez cienki materiał jej żółtej sukienki widzi kręgosłup. Nawet nie zerka w jego stronę, jest zajęta pisaniem wiadomości w komórce.

Kiedy zjada kanapkę, schodzi na dół, na plażę. Musi znaleźć sobie miejsce na noc. Jest zmęczony, wyczerpany. Wychodząc z baru, kupił sobie jeszcze jedno piwo. Mija Café Rústica, rzeczywiście pełno tam ludzi. Siedzą na parapetach, na tarasie, głośna muzyka odbija się od asfaltu. Tutaj życie nocne ma inną energię niż na Fuerteventurze. Wydaje się swobodniejsze, jakby młodzi mieli więcej pieniędzy i energii, co pewnie jest prawdą. Mija lokal i zatrzymuje się dopiero przy ulicy prowadzącej na tył budynku. Czuje smród kontenerów, w mroku wyglądają jak porzucone wozy pancerne. Na rogu stoi jakaś para, desperacko się całują. Erhard kaszle głośno, żeby ich uprzedzić o swojej obecności. Idzie dalej wąską uliczką. Po prawej stronie jest kawiarnia, wysoka ściana bez okien. Jakieś trzydzieści metrów dalej widać żółty prostokąt, to drzwi prowadzące z kuchni na podwórko. Po lewej stronie wznosi się wysoka siatka, otacza śmietnik. Erhard czuje, jak między jego nogami przemykają niezliczone głośno mruczące koty. W mroku wszystkie wydają się granatowe. Nieprzyjemny zapach przybiera na sile. To nie koty tak cuchną, tylko żółte pojemniki, z których wylewają się czarne worki z opadami. Podchodzi do otwartych drzwi, słysząc głośny rap. Młody chłopak, marokański pomywacz w żółtych gumowych rękawiczkach, wychodzi i zapala papierosa. Padające przez drzwi światło oświetla ogrodzenie śmietnika,

kosze z butelkami, kartonami i zgniłymi owocami pachnącymi słodkim ciepłem. Erhard stoi nieruchomo, po chwili chłopak go zauważa, kiwa mu głową, ale nic nie mówi. Pewnie nie śmie zwrócić mu uwagi, poza tym nie ma zakazu przebywania na podwórzu.

– Gazety? – pyta Erhard i wskazuje na śmietnik.

Chłopak nie rozumie, o co mu chodzi, ale kiwa głową.

– Gazety? Tutaj? – powtarza Erhard i pokazuje mu pojemniki.

– Nie, gazety odkładamy tam – mówi chłopak. – Trafiają do kontenera, do recyklingu.

Erhard zawraca. Kiedy tu szedł, minął duży czarny kontener. Podchodzi do niego, zagląda do środka. Jest niemal w całości wypełniony hiszpańskimi i angielskimi gazetami. Wyjmuje kilka. Gazety z wczoraj, z wtorku, z niedzieli.

– Po co ci one? – pyta chłopak. – Jeśli zamierzasz na nich spać, mogę ci pożyczyć koc. Noc może być chłodna.

Erhard odwraca się, żeby mu odpowiedzieć, i nagle tuż nad kontenerem z gazetami dostrzega w siatce dużą dziurę.

– Co tam jest, za tą siatką? Kontenery? – pyta chłopaka, który siedzi na składanym krzeselku obok drzwi i właśnie zapala kolejnego papierosa.

– Jakiś magazyn. Import-eksport. Meble, antyki, różne rzeczy, w kontenerach. Są niezadowoleni, kiedy się tamtędy przechodzi, ale dziury nie naprawią.

– Kto tamtędy chodzi? To jakiś skrót?

– Czasem w domach nad wodą odbywają się duże imprezy. Idąc przez podwórko, można tam dotrzeć w pięć minut, jeśli idzie się dookoła, zabiera to kwadrans.

– Masz latarkę? – pyta Erhard i nie czekając na odpowiedź, przechodzi przez dziurę w ogrodzeniu.

Mija kolejne kontenery, ale nic nie zwraca jego uwagi. Wszystko tonie w ciemności, latarnie nie dają wiele światła. Poza tym nie ma co oglądać. Chłopak miał rację. Większość kontenerów jest zamknięta, za to w tych, które są

otwarte, jest wszystko. Kartony, jakieś plastikowe pojemniki, folia z bąbelkami, szkło, gąbki. W innych są metalowe przedmioty, stare rowery. Blisko bramy wyjazdowej, jakieś sto metrów od budki strażnika i szlabanu, stoi kilka kontenerów chłodni, są też przyczepy kempingowe i małe ciężarówki z czymś, co wygląda jak gotowe elementy do budowy domów. Erhard mijając budkę, w której strażnik ogląda film z Sylwestrem Stallone'em, schodzi na brzeg i siada przy ognisku, przy którym siedzi mężczyzna rzeźbiący w piasku i jego pies.

Dzieli się piwem, które Erhard kupił w barze. Pies też dostaje trochę w metalowej pokrywie od słoika. Ciepło ogniska i monotony głos mężczyzny sprawiają, że Erhard robi się senny. Mężczyzna opowiada o życiu na Lanzarote w latach osiemdziesiątych, kiedy marokańscy rybacy świadomie rozbijali swoje załadowane kurty o nabrzeżne skały i trafiali na brzeg. Erhard ma wrażenie, że już go kiedyś widział. Zastanawia się, czy to przypadkiem nie znany przedsiębiorca, który dawno temu został skazany za fałszowanie dokumentów. Zasypia. Budzi się na chwilę, kiedy mężczyzna nakrywa go starymi szmatami i kurtkami, ale zaraz znów zasypia. Wschodzi słońce. Mężczyzna pakuje swoje rzeczy, bierze psa i razem ruszają brzegiem, przed siebie. Kiedy Erhard się budzi, jest już prawie ósma, na piasku widzi ich ślady. Siedzi na brzegu i długo wpatruje się w wodę.

## 45

Jest już po południu, kiedy w końcu dociera na Fuerteventurę. Na niewielkim parkingu w porcie został już tylko jego samochód. Na dachu stoi mewa. Przegania ją, machając rękami. Wsiada do samochodu i jedzie na północ, zastanawiając się, co powinien zrobić, żeby wszystko nie obróciło się przeciwko niemu. Teraz wszystko zależy od niego.

Kiedy dociera do zakładu Santa Marisa, jest kwadrans, może nawet dwadzieścia minut spóźniony. Aż czeka na zewnątrz pod opieką Liany, jednej

z zakonnicy. Podjeżdża bliżej, Aaz wsiada, zakonnica pochyła głowę, bębni chudymi palcami w okno. Erhard opuszcza szybę.

– On się bardzo denerwuje – mówi zakonnica. – Musi pan być punktualny, on nie może tu stać i czekać.

– Umówiłem się z Moniką, że dzisiaj odbiorę go kwadrans po trzeciej.

– Takie zmiany nie są dla niego dobre. On się zna na zegarku.

– Wiem, siostrze – mówi Erhard. Zawsze kiedy rozmawia z zakonnicy, czuje się jak krety.

– Najgorsze, że spóźnił się pan o kwadrans. Jest już wpół do czwartej.

– Przykro mi.

Erhard nienawidzi takich małostkowych pretensji. Przecież nie planował, że się spóźni. Tak się po prostu stało.

– Poinformuję matkę o spóźnieniu. Jakby nie miała dość zmartwień.

– Dziękuję – Erhard kończy. Nie chce, żeby Monika została w to wciągnięta.

Wyjeżdżają z miasta, jadą przez Las Dunas. Erhard spryskuje szyby płynem, Aaz się śmieje, jakby nic się nie stało. Jest człowiekiem niezgłaszającym pretensji. Erhard lubi przebywać w jego towarzystwie.

– Popłynąłem przez morze. Na Teneryfę – mówi.

A co ty tam robiłeś?

– Próbuję odnaleźć matkę tego małego chłopca.

I czegoś się dowiedziałeś?

– Nie wiem. Może.

Jak tam jest? Piasek i kamienie? Jak u nas?

– Są tam zielone palmy, jak w Santa Marisa. I skały, które wychodzą prosto z wody. Między nimi najbogatsi mieszkańcy pobudowali białe domy. Była też plaża z białymi leżakami, wieczorem mężczyźni grabili piasek, była też mała zatoka. Siedziałem tam z przyjacielem i patrzyłem, jak morze staje się czarne. Rozmawialiśmy o tobie.

Aaz zerka na niego. Rozumie wszystko.



– Kiedyś popłyniesz ze mną, przez wodę, na dużą wyspę. Kiedy Liana będzie w lepszym nastroju, może twoja mama też z nami popłynie.

Zastanawia się, czy powiedzieć chłopcu o propozycji pracy, którą mu złożył Emanuel. O lepszych czasach, które go czekają. Ale boi się, że może się zdenerwować. Za dużo zmian. Zanim cokolwiek mu powie, musi się zastanowić, jak to zrobić.

Jadą przez Antiguę i obaj zaśmiewają się z mężczyzny, któremu wiatr porwał kapelusz.

Erhard wolałby, żeby Aaz sam wszedł do środka, ale Monika stoi już na drodze i czeka.

– Liana nie zadzwoniła? – pyta Erhard.

– Coś się stało?

– Nie, tylko trochę się spóźniłem.

– Nie wiem, w co się wdałeś, ale mam nadzieję, że Aaz nadal będzie mógł na ciebie liczyć.

– W nic się nie wdałem.

– Jeśli dzwonisz i uprzedzasz, że się spóźnisz, to w porządku, ale kiedy zapominasz o bożym świecie i...

– W nic się nie wdałem.

– Pojawiasz się bladym świtem, potem nagle gdzieś wyjeżdżasz. Coś się dzieje.

– To nie ma wpływu na naszą umowę.

– Obiecujesz, że nie będziesz się już spóźniał?

– Obiecuję – mówi Erhard i zaczyna liczyć wszystkie obietnice, które ostatnio złożył.

– Czy twój wyjazd miał coś wspólnego z tym adresem, który ci znalazłam?

– Tak.

– To jakieś kryminalne sprawy?

Erhard się śmieje.

– To jakieś kryminalne sprawy? – pyta znów Monika.

– Nie. Nie ma w tym nic złego... Szukam kogoś.

– Dziewczyny ze zdjęć?

– Nie. Ona mi tylko w czymś pomogła. – Erhard wyrzuca sobie, że ją w to wszystko wciągnął. Prawdę mówiąc, boi się jej powiedzieć, w co się wplątał. Bo przecież wcale nie ma pewności, że znajdzie matkę chłopczyka. – Szukam przyjaciela, który zaginął – mówi.

– Tak? – W jej głosie pobrzmiwa niedowierzanie. – Kogo?

– Raúla Palabresa – mówi, bo nic innego nie przychodzi mu do głowy.

– To twój przyjaciel?

– Tak.

Monika patrzy na niego dłuższą chwilę, a on nagle czuje się staro. Ma wrażenie, że po raz pierwszy naprawdę mu się przygląda i jest pewien, że widzi tysiące zmarszczek.

– Nie obchodzi mnie, co robisz ani kim są twoi przyjaciele. Nie chcę tylko, żebyś zawiódł mojego syna – mówi Monika, a w jej oczach pokazują się łzy.

Erhard ma ochotę położyć jej dłoń na ramieniu, ale ona już jest w drodze do domu.

– Chciałam cię zaprosić na wczesny obiad, ale teraz to już wszystko jedno. Bądź o dwudziestej. – Po raz pierwszy wydaje mu polecenie, po raz pierwszy zwraca się do niego takim tonem.

Nawet nie zamierza się bronić. Poza tym i tak nie mógłby zostać na obiedzie, musi wracać do domu i uzupełnić paliwo w prądnicy. Michel był u Beatriz poprzedniego dnia wieczorem i znów rano – teraz kolej na niego. Idzie do samochodu i wraca do domu.

Ostatni raz kłócił się z kobietą siedemnaście lat temu. Z Annette. Z jednej strony dobrze to zna, z drugiej jest mu przykro i żałuje. Czuje się trochę tak, jakby grali w ludo, ale stosując różne zasady. Nie ma żadnych prawd, do których mogliby się odnieść. Tylko uczucie, że dyskusje, które dotąd prowadzili, tak naprawdę wcale nie dotyczyły tego, co istotne. Ma ochotę już nigdy nie wracać.

Nie, chce zrobić to, co jej obiecał. Co obiecał Aazowi.

Przekłeta mieszanina uczuć i myśli.

## 46

Nalewa paliwa do zbiornika prądnicy i nagle słyszy, że w głębi domu dzwoni telefon. Coś, co rzadko się zdarza. Zbiornik nie jest jeszcze pełen, pozwala, żeby telefon dzwonił.

Kiedy wchodzi do domu, opróżnia worek z moczem i zakłada nowy. Telefon znów dzwoni. Nie może odejść od łóżka Beatriz. Patrzy na nią i ma wrażenie, że ją zawiódł. Minęło kilka dni, od kiedy ostatnio z nią rozmawiał. Teraz nie wie, co jej powiedzieć, stoi i patrzy na nią zmęczony, a maszyna reguluje jej powolny oddech.

Po chwili telefon dzwoni po raz kolejny. Patrzy na zieloną plastikową obudowę, z lekkimi oporami sięga po słuchawkę.

– Gdzie byłeś? – pyta Emanuel Palabras.

– Na południu.

– Rozmawiałem z Marcelisem.

– Zwolniłeś go?

– Spokojnie, przyjacielu. Po prostu informuję cię, co zrobiłem. Wszystko sobie wyjaśniliśmy. Teraz musimy spróbować zaprowadzić porządek w całym tym interesie.

– Jeszcze się nie zgodziłem.

– Ale to zrobisz.

Erhard jest poirytowany. Ma dziwne przeczucie, że będzie to wyglądało tak, że Papa Palabras będzie dyktował, jak mają wykonywać swoją pracę. Nie chce jednak, żeby rozdrażnienie wzięło górę.

– Dobrze – mówi.

– Świetnie, przyjacielu. Bardzo dobrze.

Erhard prosi o wgląd w finanse firmy. Sprawozdanie księgowe albo coś w tym rodzaju. Palabras nie zna się na takich rzeczach, uważa, że to strata czasu, zwykle zajmował się tym Raúl. Trzeba zakasać rękawy i zabrać się do pracy. Raúl nie ma już dziesięć dni, a już wcześniej zaniedbywał firmę.

– Co chciałbyś, żebym robił?

– Miał oko na leniwych kierowców i pilnował finansów. I zawierał dobre umowy. Sam powinienes wiedzieć.

– Mam trochę doświadczenia z rachunkowością. Jeszcze z dawnych czasów.  
Cisza.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Stroicielu.

– Jeśli mam współpracować z Marcelisem, muszę mieć wgląd w finanse.

– Na pewno znajdzie kilka godzin, żebyście wszystko razem przejrzeni. Podczas dobrego obiadu – mówi Emanuel i zmienia temat. – Chciałbym, żebyś przejął mieszkanie Raúl. Opłacę czynsz. Możesz tam mieszkać, dopóki go nie sprzedamy, co zapewne potrwa kilka miesięcy. Poczekam, aż sytuacja na rynku się poprawi. Zdążysz coś odłożyć i kupić sobie własne.

W pierwszej chwili Erhard nie wie, jak zareagować.

– A co będzie z Raúllem? Jeśli wróci.

– Nawet nie wymieniaj jego imienia.

– Jest twoim synem.

– On nie żyje.

– Tego nikt nie wie. Policja widziała, jak opuszcza wyspę. Znasz go, wiesz, że równie dobrze może być w Dakarze, jak w Madrycie. Minęło ile? Jedenaście dni? Zdarzało się, że zniknął na cały miesiąc.

– Raúl nie żyje. Mieszkanie zostanie opróżnione. Trzeba usunąć cały ten bajzel.

Erhard nie potrafi wyczuć, czy Emanuel wie coś, czego on nie wie, czy po prostu podjął taką decyzję.

– Nie wystarczy, jeśli je po prostu spakujesz?

– Dlaczego go bronisz?

Erhard patrzy na ciemny pokój.

– Niby dlaczego miałyby być martwy?

– Odebrał sobie życie po tym, jak okrył hańbą własnego ojca.

To niepodobne do Raúla. Nie odebrałby sobie życia ani nawet nie żałował swoich czynów tylko ze względu na ojca.

– Skąd to wiesz? – pyta Erhard.

– Dlaczego drążysz coś, co nie ma z tobą nic wspólnego? Powiedziałem ci już, Stroicielu, że nie chcę więcej o nim rozmawiać.

– Nie mogę się wprowadzić do mieszkania, w którym są wszystkie jego rzeczy. Dziwnie bym się czuł. Wśród jego papierów, książek kucharskich, kolekcji płyt z lat osiemdziesiątych, zdjęć i tych wszystkich butelek wina. To jego rzeczy.

– Nie chcę więcej o nim słyszeć. Wypij to cholerne wino, a resztę wyrzuć. Umów się z kimś, niech przyjedzie i zabierze te śmieci. Zresztą rób, co chcesz. Zamieszkaj tam albo zostań w swojej norze w Majanicho. Co mnie to obchodzi. Ale w biurze masz się stawić czysty i porządnie ubrany. I nie skąpić, kiedy wychodzisz jeść.

– Przemyślę to – mówi Erhard. W kieszeni ma klucze do mieszkania Raúla, ale nie mówi tego Emanuelowi. Nie mówi mu też, że z radością opuści swoją norę i przeniesie się do mieszkania. To mu wiele ułatwi. Beatriz wróci do siebie, do swoich rzeczy, do wygodnego łóżka, a on nie będzie musiał cały czas pilnować prądnicy. Jeśli Raúl na razie nie wróci albo jeśli rzeczywiście nie żyje, to on przynajmniej przez jakiś czas pomieszka w przyzwoitych warunkach, co nie znaczy, że stanie się przez to gorszym człowiekiem. Będzie mógł zapewnić Beatriz lepsze warunki, no i odłożyć pieniądze, żeby kupić coś własnego. Coś godnego dyrektora.

– Nie przegap swojej szansy, Stroicielu – mówi Emanuel. – Przygotuję umowę z Marcelisem. Jeśli będziesz miał z nim jakieś kłopoty, od razu dzwoń do mnie – dodaje jeszcze i się rozłącza.

Erhard nalewa sobie kieliszek wina, wychodzi z pokoju, wyjmując z pralki spodnie, bieliznę i jakieś ręczniki. Pranie się przeleżało, pachnie kwaśno. Wieszka wszystko na sznurze, obok stoi Laurel i coś żuje, chyba kawałek jego koszuli. To mu się czasem zdarza. Wiatr zrywa ubrania ze sznura, porywa je, po jakimś czasie Erhard znajduje guziki czy zamek błyskawiczny w kozich odchodach. Napełnia kubek karmą i sypie na ziemię. Koza oddala się od sznura, woli karmę. Erhard ma nadzieję, że karma skusi też Hardy'ego, który pewno odpoczywa ukryty za jakimś kamieniem. Rozgląda się, ale nigdzie nie dostrzega drugiej kozy.

Przypomina mu się Bill Haji i dzikie psy.

Czy to możliwe, żeby były aż tak zdesperowane, że go zżarły? Czy są w stanie dopaść kozę i ją zjeść? Może. Jeśli koza na przykład się zraniła albo utknęła między dwoma kamieniami? Patrzy na ziemię, na której widać jakieś ślady. Może któraś z kóz próbowała kopać kopytem w twardym podłożu? Wszystko ma jakąś przyczynę. Swoją historię. Samochód na plaży i karton z kawałkami gazet też. Za wszystkim kryją się jakieś działania, nieważne jak niezrozumiałe się nam wydają.

Matka opuszcza swoje dziecko, tylko jeśli ma powód, jeśli jest pod presją. Nie jest złym człowiekiem, egoistką, może być dobrym człowiekiem, realistycznie oceniać swoją sytuację i chcieć oszczędzić dziecku bólu dorastania. Popełnia zbrodnię, ale robi to z dobrego serca, z miłości, wyłącznie ze względu na dziecko. Najbardziej prawdopodobne jest to, że matka, zostawiwszy samochód na plaży, utopiła się. Może przypadkiem była w Café Rústica, przypadkiem wzięła jakąś gazetę i schowała ją do torby. Erhard nie wie, jak to wszystko się ze sobą łączy, ale wie, że taki związek istnieje.

Jeździ kilka godzin i dokładnie o dwudziestej stawia się po Aaza. Monika nic nie mówi, przygląda mu się, wpatruje się w jego twarz, ale on unika jej wzroku, nie chce spojrzeć jej w oczy.

– Ona ma mnie za idiotę, prawda?

Spóźniłeś się i tyle.

– Nie ma mnie za dupka?

Jest zbyt porządna, żeby komuś coś takiego powiedzieć.

– I w tym problem, jest za przyzwoita. Nie ma żadnych ukrytych wad?

Lubi mokre pocałunki.

– Matki na ogół takie lubią, kiedy całują dzieci.

Niezbyt dobrze gotuje, przypala sancochado, ryba robi się gorzka.

Erhard się śmieje.

– Nie potrafię smażyć sancochado. Nigdy nawet nie próbowałem.

Ja też nie.

– No dobrze, a co lubi robić?

Lubi opiekować się moimi dziwnymi roślinami. Sukulentami, oleandrem i rajskim ptakiem. Rozmawia z nimi, podlewa je wodą z małej zielonej konewki, która przypomina olejarkę. Potrafi przywrócić do życia uschnięte kwiaty, na własne oczy widziałem, jak kawałek suchej łądygi zamienił się duży czerwony kwiat. Jak w tej historii w książce, którą mają siostry. Jej palce przywracają umarłych do życia.

– To wyjątkowa kobieta, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Podobnie jak siostra Liana. Patrz, już na nas czeka.

Siostra Liana nic nie mówi, popycha Aaza przed sobą, jakby był zagubioną kozą.

Erhard pakuje swoje najlepsze ubrania. Liczy bokserki, wybiera te białe, bez dziur, pakuje też kilka płyt kompaktowych i sześć książek, których jeszcze nie przeczytał. Wybiera je, nie spiesząc się, po czym wkłada wszystko, razem z pudełkiem po cygarach, w którym są zdjęcia, do kartonu. Opróżnia lodówkę. Staje w drzwiach, patrzy na wzgórza i nasłuchuje wiatru, który targa dachem. Wznosi toast, zerkając na Laurela.

Na koniec wkłada do bagażnika statyw od kroplówki, cewnik i respirator, po czym szybko przenosi Beatriz do samochodu. Kładzie ją na boku na tylnym

siedzeniu, przykrywa kocem. Odcina prąd, wyłączy prądnicę. Wokół robi się ciemno. Jakby w ogóle nie było domu. Pierwotnie była to pasterska szopa. Po drugiej stronie góry mieszkał właściciel stada z rodziną. Krowy wędrowały swobodnie po okolicy, ale kozy zawsze w końcu przechodziły na drugą stronę wzgórza, osłoniętą od wiatru, więc w końcu zbudował tu szopę dla syna, który pilnował krów. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych ceny bydła spadły, gospodarstwo zostało wystawione na aukcję, a szopa została wynajęta za cenę, która przyciągała najgorsze podejrzane typy z całej okolicy. Kozy zostały. Poprzedni właściciel miał ich dosyć, nowi lokatorzy szopy nie znali się na kozach. Erhard też niewiele wie na ten temat, ale polubił obie i chociaż przenosi się do miasta, ma zamiar nadal się nimi opiekować.

Rozrzuca kilka garści karmy wokół domu, żeby nie musiały długo szukać jedzenia. Woła je, ale one nigdy nie przychodziły na jego wołanie.

Kładzie Beatriz w jej własnym łóżku w sypialni, sam kładzie się spać na kanapie. Przykrywa się kocem i zasypia snem sprawiedliwego. Budzi się nagle z wyrzutami sumienia, ma wrażenie, że zapomniał o czymś ważnym. Rozgląda się po pogrążonym w brunatnym mroku mieszkaniu, zdziwiony odgłosami domu: szumem windy, kranów, głosami.

Kiedy zaczyna wschodzić słońce, wypija resztki kawy rozpuszczalnej. Droga marka, Zebrezá. Jest brunatna i się pieni. W mieszkaniu jest czysto. Widać, że ktoś o nie dbał, ale i tak przeciera szmatką półki, stoliki i drzwi. Opróżnia szuflady, myje je, układa rzeczy i wkłada je z powrotem do szuflad. Pierze koc i pościel z łóżka Raúla. Nie ma doświadczenia w robieniu porządków, więc działa powoli i mało skutecznie. Wyrzuca wszystko z szaf, po czym napełnia je rzeczami zakupionymi w HiperDino.

Je drugie śniadanie, ale cały czas przygląda się Beatriz. Jej twarz nie jest już spięta, jest bez wyrazu, rzeźba na jasnobrązowym tle. Wydaje się tak krucha, że w każdej chwili może się rozpaść. Usuwa delikatnie ustnik respiratora, macza palec wskazujący w wodzie i przesuwa nim po jej wargach. Kilka razy zdarzyło



się, że siedząc obok niej, słyszał słowa. Wsłuchuje się w szum respiratora i próbuje oddychać w jego rytmie. Wtedy je słyszy. Potrzebuje ich, żeby zrozumieć samego siebie i poczuć się mniej samotnym. Wyczuwa pod palcami powierzchnię warg, czuje każde załamanie, każde wzniesienie na krawędzi ciemnej otchłani gardzieli. To najbardziej fascynująca kobieca otchłań. Jedyne miejsce, gdzie treść wygrywa z formą. Annette miała nieładne usta, dopiero po wielu latach dotarło do niego, dlaczego zawsze wyglądała tak nieciekawie. Pod wieloma względami była ładną kobietą. Miała długie, proste włosy, które z czasem nabrały srebrzystego połysku. Wielu zazdrościło mu jej piersi, wyglądały na większe, niż były w rzeczywistości. Ale jej wargi, usta. Przez wiele lat odbierał to jako swoją porażkę. To on powinien sprawić, żeby kąci jej ust uniosły się ponad kreskę górnej wargi. Kiedy mu się to nie udawało, wiedział, że z każdym dniem będzie coraz trudniej. Dopiero kiedy od niej odszedł, zaczął oskarżać o to jej matkę, rodzinę, jej dziedzictwo. W jej rodzinie było tak wiele frustracji i sceptycyzmu, że usta czterech sióstr – Annette była z nich najmłodsza – rzadko wyginały się ku górze. Ich twarzom brakowało odpowiednich mięśni. Za to Beatriz miała niewiarygodny uśmiech. Należała do kobiet, które uśmiechem potrafią osiągnąć wszystko. Kiedy była mała, pozwalano jej siedzieć z przodu na skuterze, kiedy była duża, bez problemu dostawała pracę, którą chciała dostać, kiedy dorosła, była w stanie doprowadzić każdego mężczyznę do szaleństwa.

Ukryj mnie. Zapomnij o mnie. Słowa dochodzą gdzieś z daleka, są słabe, właściwie nie można ich nazwać słowami, są jak słabe sygnały wśród szumu respiratora. Może mówi: Ukryj mnie. Ukryj mnie. Albo zapomnij o mnie. Zapomnij o mnie. Chociaż słowa wcale nie brzmią podobnie, zlewają się z sobą. Woła ją, szepcze jej coś do ucha, czuje promieniujące ciepło. Co mam zrobić? Co chcesz, żebyśmy zrobili? Jej ciało wydaje się reagować, klatka piersiowa się unosi, jakby przybyło jej mocy, twarz zdaje się lekko drżeć. I nagle słycać szelest, przez cewnik do worka spływa zielonkawy płyn. Erharda uderza jej kruchość, wkłada jej ustnik do ust i ostrożnie przewraca na drugi bok. Beatriz

mówi, ale tak, żeby tylko on ją słyszał. Bo tylko on może jej pomóc. Nie pragnie tak dużej odpowiedzialności, ale nie ma komu jej przekazać. Nie ma komu się poskarżyć, ale też nikt nie może czynić mu zarzutów. Tylko on sam.

Wraca do porządków, czuje coś w rodzaju gniewnej energii. Nastawia Radio Mucha i przy głośnej muzyce odkurza mieszkanie od kuchni do przedpokoju. Kiedy sprząta w przedpokoju, dostrzega list, stoi oparty o wazon na komodzie. Ktoś był w mieszkaniu. List jest od Emanuela Palabrasa.

Marcelis, biuro, poniedziałek, godzina 13.

Dociera do niego, jak potężny jest Emanuel. Że też był w stanie przekonać Marcelisa do zorganizowania spotkania. Rozpiera go zadowolenie, które jednak szybko przechodzi w niechęć. Nie pali się, żeby spędzać czas w towarzystwie Marcelisa, zadawać mu pytania, uczyć się od niego. Marcelis na pewno nie otworzy się przed nim, będzie chciał mieć go z głowy. Uzna, że nie zna się na rachunkowości ani zarządzaniu firmą, że jedyne, co potrafi, to jeździć taksówką. Sam nigdy nie był kierowcą, nie jeździł taksówką. Postawił na nogi Servicio Canarias, firmę kurierską słynącą z wysokich cen i lekkomyślnych kierowców, ale Erhard nie wie, czym dokładnie się tam zajmował ani na czym dokładnie polegało postawienie firmy na nogi.

Stoi w przedpokoju i nagle dociera do niego, że klucze do mieszkania może mieć wiele osób. Musi być bardziej podejrzliwy, oczekiwać najgorszego, inaczej nie zapanuje nad sytuacją. Opróżnia szuflady, wkłada wszystkie klucze do niewielkiego pudełka stojącego na komodzie. Wkłada do niego również kluczyki do samochodu Raúla i do mieszkania. Liczy je. W pudełku są dwa klucze do mieszkania, trzy bliżej mu nieznane i jedno do samochodu. Próbuje obu kluczy do drzwi wejściowych, wchodzi do gabinetu i szuka na półce małej niebiesko-białej książki telefonicznej. Przechodzi do litery C, znajduje numer jedyne go ślusarza w mieście. Niejakiego Saragó. Wybiera go i umawia się na piątek, na ósmą.

Długo przygląda się kluczykom do samochodu Raúla. Z jakiegoś powodu trudniej mu przejąć samochód niż mieszkanie. Samochód był zdecydowanie

ulubioną zabawką Raúla. Uwielbiał te wszystkie przyciski, białe skórzane obicia, szum silnika, kiedy jechał FV-1. Przejmując jego samochód, niejako definitywnie odsuwa go na bok. Wie, dlaczego tak trudno mu to zrobić. Dorastał w rodzinie, w której wpajano mu, że na doczesne dobra trzeba sobie zasłużyć, ale w praktyce nikt nie zasługuje na nic dobrego. Szczęście jest nie tyle kapryśne, ile śmieszne. Jego ojciec całe życie harował, nigdy po nic nie wyciągał do nikogo ręki i przepełniony nienawiścią skończył z demencją, nie wiedząc czemu, powtarzając bez przerwy, że nigdy nie dostał od nikogo nic w prezencie. Co złego jest w dostawaniu prezentów? Co złego jest w zbieraniu okruchów, które życie czasem sypie nam na głowę? Dlaczego nie czerpać z niego garściami, jak napruty uliczny śpiewak, niezależnie od tego, czy sobie na coś zasłużyliśmy, czy nie? Teraz przyszła kolej, żeby to on zaczął z niego czerpać, nawet jeśli na to nie zasłużył.

Po południu jedzie do centrali. Nigdy nie przepadał za pożegnaniami, przenosinami. Nie lubi zmian, ale skoro tak się sprawy potoczyły, to niech się toczą do końca. Nie zamierza nic ukrywać, ale też nie widzi powodu, żeby prawić uprzejmości. Musi się pożegnać i tyle.

Co nie znaczy, że jest mu lekko. Albo że nie czuje bólu. Kiedy zostawiał Annette z dziewczynkami, czuł się parszywie. Ale był twardy, zdecydowany, wiedział, że nie może sobie pozwolić na niezdecydowanie. Żadnych tłumaczeń, nocnych telefonów. Nie prosił ani o wyrozumiałość, ani o wybaczenie. Pewnego dnia odprowadził Mette do szkoły. Stał na schodach i widział, jak idzie korytarzem, a następnego dnia już go nie było. Tak więc chociaż przepracował w firmie wiele lat, dzisiaj przestaje tam pracować. Tu i teraz. Będzie musiał uporządkować formalności – kwestię starego merca, którego kupił w leasingu – ale nie zamierza się nikomu tłumaczyć ani przemawiać z kieliszkiem wina w rękę. Już kiedy parkuje przed warsztatem, czuje na sobie ich spojrzenia. Wie, że ludzie plotkują, ale postanawia się tym nie przejmować. Odkurza samochód, wyjmuje wycieraczki, uderza nimi o próg, wyciera karoserię, myje reflektory

i szyby, pucuje felgi. Opróżnia kasetkę przy siedzeniu pasażera, zdejmuje łańcuszek wiszący na wstecznym lusterku. Zostawia kluczyki na stoliku u Anphila i wchodzi do budynku. Felia, wściekła jęzga i jedyna kobieta kierowca, stoi obok swojej szafki. Erhard podchodzi do narożnika i zaczyna wkładać swoje rzeczy do foliowej torby. Kiedy ma już wszystko, wychodzi.

Centrala znajduje się na obrzeżach Corralejo, droga powrotna jest długa i smutna. Kiedy w końcu dociera na miejsce, przeskakuje rów i rusza przez zarośnięty plac budowy. Na zardzewiałych beczkach siedzą koty.

Jeździł tą drogą wiele razy, tysiące razy, ale nigdy nie zwrócił uwagi na stojące przy niej kontenery. Przygląda się im. Podobnie jak na Teneryfie stoją za ogrodzeniem z siatki. Cały teren jest wylany szarobrazowym asfaltem, tu i ówdzie rosną chwasty, sterczą jakieś opony. Wchodzi przez dziurę w siatce i podchodzi do pierwszego z brzegu kontenera.

Ktoś musi się zajmować transportem tych ogromnych skrzyń. Ktoś je gdzieś zamyka, a potem gdzie indziej ktoś inny otwiera. Skrzynie z kranami, papierem toaletowym, bateriami, bekonem i heinekenem. W nocy przypływają na wielkich zardzewiałych niebieskich tankowcach. Rano ładuje się je na ciężarówki, które wiozą je w głąb wyspy i zostawiają w takich miejscach jak to. Zawartość zostaje wyjęta, rozdzielona. Niewidzialna maszyna działa, dobrze nasmarowane tryby poruszają się gładko, ale bezdusznie. Erhard przypomina sobie, co widział na Teneryfie. Kontener ze starym volkswagenem. Nie widział go całego, ale charakterystyczne reflektory nie zostawiały wątpliwości. Skąd się biorą te samochody i jak są później transportowane? Tego nie wie. Nigdy się nie zastanawiał, skąd się biorą samochody na wyspie. Przypływają morzem z Barcelony? Zagląda do ciemnej otchłani kontenera. Ciemniejszej niż ciemność nocy. Niewykluczone, że w środku jest samochód.

Wraca myślami do samochodu. Można pomyśleć, że ktoś przyjechał nim z Puerto i zostawił na brzegu. Z Puerto do Cotillo jest jakieś czterysta pięćdziesiąt kilometrów, jeśli jedzie się przez Corralejo. Samochód powinien trafić do Lizbony. Nie miał tablic rejestracyjnych.

Nieznana matka – to fakt.

Martwy chłopiec.

Kawałki gazety z Teneryfy.

Samochód ukradziony w Amsterdamie.

Plaża w Cotillo. Podczas odpływu.

Można przyjąć, że matka postanowiła przepłynąć się z synem z Teneryfy na Fuerteventurę, może kutrem albo prywatną łodzią, a może na pokładzie któregoś z dużych jachtów. Coś się stało, chłopiec umarł, matka zawięła go w gazetę z kawiarni, w której wcześniej była. W Puerto znajduje kradziony samochód, odkręca tablice rejestracyjne i próbuje jechać plażą z martwym już synkiem na tylnym siedzeniu. Samochód grzęźnie w piachu, matka wysiada, wchodzi do wody, topi się, ciało martwego chłopca zostaje w pudełku w samochodzie.

To się zgadza z wynikami dochodzenia policji. Gazeta znaleziona przez Erharda na Teneryfie i to, że samochód stał w wodzie, co widać na zdjęciach dziewczyny z plaży, zdają się dodatkowo potwierdzać taki bieg zdarzeń. A jednak kiedy Erhard stoi wśród kontenerów i przez gałęzie suchego krzewu przygląda się kotu siedzącemu na pokrywie jednego z pojemników, jest przekonany, że było inaczej, całkowicie inaczej.

Patrzy na drzwi jednego z kontenerów. Przygląda się mechanizmowi zamka. Zamyka się go, opuszczając pręt mniej więcej długości ręki, tak żeby jeden bolec trafił w dziurkę na górze, drugi na dole ramy. Kilka razy próbuje otworzyć zamek, a potem go zamknąć. Mechanizm działa. Zresztą w pracy mają starą przyczepę, która ma taki sam zamek. Tylko pręt jest odwrócony w drugą stronę i trzeba go pchnąć do góry, co powoduje, że czasem drzwi otwierają się same z siebie, o ile nie zabezpieczy się pręta klinem albo kłódką. Tutaj jednak pręt zwrócony jest we właściwą stronę i sama siła ciężenia powoduje, że zamek nie może się otworzyć sam z siebie. Erhard idzie dalej, podchodzi do innego otwartego kontenera, potem do jeszcze jednego. Żaden nie ma identycznego zamka.

Nie wie, czy to ma jakieś znaczenie. Krąży dalej między kontenerami a miejscem, gdzie leżą odpady budowlane, deski. Dochodzi siedemnasta. Nie ma nic do zrobienia, spotkanie z Marcelisem jest dopiero za trzy dni. Po raz pierwszy od piętnastu lat wraca z centrali na piechotę. Idzie do miasta, bez pieniędzy, jedynie z obietnicami Emanuela.

Miejscowe pomidory są wielkości zaciśniętej pięści. Mają skórki jak jabłka, a miąższ przypomina białko jajka. Erhard starannie je wybiera, w dolnym lewym rogu skrzynki znajduje trzy dobre. I jeszcze jednego, może już nieco przejrzałego, ale pachnącego pomidorem. Cztery wystarczą. Następnie wyławia z wiadra z octem kawałek kanciastego afrykańskiego koziego sera. Płaci pieniędzmi z napiwku z wczorajszego dnia. Możliwe, że ze swojego ostatniego kursu. Wiózł jakiegoś adwokata. I denerwował się, czy zdąży odebrać Aaza na czas.

Przy stacji benzynowej spotyka Cormaca. Jest pora sjeisty. Cormac siedzi na schodkach i pali papierosa. Patrzy na niego zazdrośnie, jak idzie z torbami pełnymi jedzenia. Jest głodny.

– Idziesz na górę?

– Za chwilę, muszę jeszcze dokończyć zakupy.

– Widzę, że pniesz się po drabinie łańcucha pokarmowego. – Śmieje się tak, że widać, że z tyłu brakuje mu zębów.

– Stary pies ma chyba prawo cieszyć się ostatnimi dniami życia – mówi Erhard z zamierzoną przesadą.

– Dobrzy kierowcy twierdzą, że sobie na to zasłużyłeś.

– Tak? – Erhard jest zaskoczony bardziej, niż daje po sobie poznać. – A ci gorsi co mówią? – pyta.

Cormac patrzy na niego, zaciągając się milimetrowej grubości papierosem. Dym wychodzi mu przez włosy.

– Ponduel, diabeł mógłby się niejednego nauczyć od tego faceta, mówi, że to dlatego, że liżesz dupę.

– Chyba nie wie, jak fatalnie liżę.

Cormac się śmieje.

– Inni mówią, że chodzisz i węszysz, i bawisz się w policjanta. W sklepie z elektroniką słyszy się różne rzeczy.

– Kto tak mówi? – Erhard stara się ukryć zaskoczenie, ale nie do końca mu się udaje.

– Moja ukochana żonka dowiedziała się o tym od jednej z dziewczyn z portu. Podobno szukasz matki martwego chłopca.

Na twarzy Erharda pojawia się wymuszony uśmiech, po raz pierwszy odwraca wzrok. Nie wie, jak sobie poradzić z plotkami. Ma wszystkiemu zaprzeczyć, wiedząc, że w ten sposób tylko rozbudzi ciekawość Cormaca jeszcze bardziej? Czy może powinien pójść na całość i potwierdzić plotki? Tak naprawdę ma tylko jedno wyjście – po prostu się roześmiać, udając, że wcale się tym nie przejmuje. Ale Cormac nagle sam zmienia temat.

– Złapałeś w końcu tę fryzjerkę? – pyta. – To znaczy jej córkę, specjalistkę od komputerów.

– To nie było nic ważnego.

– Szukałeś jakiegoś zdjęcia?

– Poradziłem sobie inaczej.

– No dobrze – mówi Cormac, ale nie wygląda na zadowolonego.

Nagle Erhardowi przychodzi coś do głowy.

– Wiesz może coś o moim nowym koledze? Marcelisie Osasunie?

Cormac skręca kolejnego papierosa.

– Działa w związkach – mówi, nie podnosząc wzroku. – Jeśli za sobą nie przepadacie, to musisz na niego uważać.

– Jest coś, czego nie wiem?

– Pamiętasz strajk w Servicio Canarias?

Erhard kręci głową.

– Kurierzy zawarli ugode, ale wcześniej przez jedenaście dni odmawiali pracy. Chcieli, żeby firma przywróciła do pracy ich zwolnionego kolegę.

Osasuna zakończył negocjacje, ale zwolniony kierowca nie wrócił do pracy.

– Nie był dyrektorem – mówi Erhard.

– Może zdążył być zastępcą. I jeszcze ta historia ze złomowiskiem.

Tę sprawę Erhard zna. Kilku mieszkańców wyspy nie chciało, żeby Taxinaria korzystała z placu budowy na zachód od centrali, żeby przechowywała tam części zapasowe i opony. Jakaś kobieta, która mieszkała za placem, wiele lat starała się o pozwolenie na urządzenie tam placu zabaw dla dzieci, usunięcie materiałów budowlanych i założenie trawnika. Gmina zwlekała z wydaniem decyzji. I nagle kobieta dostała odpowiedź: odmowną.

– Co on ma z tym wspólnego?

– Papugi wieszczyły, że Señor Osasuna przekonał gminę, żeby poparła miejscowe życie gospodarcze.

Erhard ma serdecznie dosyć plotek, ale domyśla się, że w każdej jest żdźbło prawdy. Postanawia bawić się dalej.

– Papugi mówią coś o żonie i w ogóle?

– Coś tam mówią – odpowiada Cormac, ale widać, że jest zdziwiony.

Erhard rozsypuje garść ziaren.

– Podobno żona nie lubi Fuerteventury, więc widują się tylko w weekendy. Za to jest blisko z sekretarką, która niemal zamieszkała w gabinecie.

– Coś w tym stylu.

– Cóż, jest po prostu człowiekiem – mówi Erhard.

– Jak my wszyscy.

– Muszę wracać – odpowiada Erhard i podnosi torby. – *Buenas*.

– *Buenas*.

Kroi pomidory i ser na małe kawałki i zjada je, siedząc na krześle w sypialni. Jak zwykle przygląda się Beatriz. W piątek przychodzi ślusarz. Klnie dwie godziny, ale w końcu udaje mu się wymienić zamek na nowy, trzypunktowy. Wręcza Erhardowi trzy klucze, których nie można podrobić. Erhard doczepia jeden do kluczyków od samochodu, drugi chowa do słoika z sardynkami, który trzyma



w lodówce. Trzeci podkłada pod dywanem na klatce. W razie gdyby lekarz albo ktoś inny musiał wejść do mieszkania pod jego nieobecność.

Otwiera butelkę szampana, korek strzela na tarasie. Cały weekend kursuje między telewizorem, tarasem i łóżkiem Beatriz. Jest na lekkim rauszu, idzie na bosaka do łazienki, zapala wszystkie lampy i się goli. W sobotę poświęca dużo czasu na szukanie właściwego kanału z piłką nożną w dużym telewizorze. Pod nim stoi mała skrzyneczka. Kiedy wyświetla się na niej liczba dwadzieścia trzy, na ekranie pojawia się właściwy kanał. Erhard robi sobie coś do jedzenia, słucha kłótni komentatorów, potem porządkuje kolekcję płyt Raúla. Niczego nie wyrzuca, odkłada na bok krążki, które mu się nie podobają, potem wkłada je do szafki pod aparaturą. Podczas sjesty kładzie się na pół godziny w sypialni, gdzie leży Beatriz. W nocy z soboty na niedzielę wślizguje się pod koc i kładzie obok niej, usypia przy dźwięku respiratora.

W niedzielę przychodzi lekarz. Bada Beatriz, uznaje, że Erhard nie radzi sobie z opieką nad nią. Wychodzi na taras, czyści okulary i zwraca mu uwagę, że nie myje Beatriz tak dokładnie, jak powinien, stąd odleżyny na lewym boku. Proponuje, żeby załatwił kogoś do pomocy, ale Erhard nie chce. Nie chce wtajemniczać nikogo z zewnątrz. Krótkie spotkanie z Cormakiem uzmysłowiło mu, jak szybko rozchodzą się plotki. Jest pewien, że lekarz nic nikomu nie powie, ale tylko dlatego, że znalazł się w moralnym potrzasku.

Lekarz namawia go gorąco, żeby jednak zawiózł Beatriz do szpitala. Nie ma już nadziei, że wybudzi się ze śpiączki. Obrzęk mózgu trochę się cofnął, ale nie do końca. Lekarz nie mówi o śmierci mózgu, ale Erhard słyszy w jego głosie, że właśnie to ma na myśli. Po chwili dodaje, że nie można wykluczyć, że Beatriz cierpi, nawet jeśli tego nie widać. Erhard ma mu to za złe.

– Biorę za nią pełną odpowiedzialność – stwierdza. – Nie zamierzam jej nigdzie przenosić. Zostanie tutaj. Jeśli doszło do śmierci mózgu, to trudno. Pobyt w szpitalu tego nie zmieni. Jeśli cierpi, to należy jej podać środki przeciwbólowe. Załatw coś. Jeśli się kiedykolwiek obudzi, jeśli jej stan się zmieni, to chcę, żeby to się stało tutaj.

Lekarz musi się z tym pogodzić. Zgadza się nadal nią opiekować, ale podkreśla, że nie może niczego zagwarantować. Erhard pokazuje mu, gdzie ukrył klucz na klatce. Potem piją piwo i oglądają turniej golfa w telewizji. Lekarz interesuje się golfem. Trawa na hiszpańskim polu golfowym jest soczyście zielona.

## 47

Zatrzymuje się przed drzwiami. Prowadzą do niewielkiego sekretariatu, ale jest na nich tabliczka z nazwiskiem Marcelisa. Kiedy chwyta klamkę, drzwi się otwierają.

– Przyszedł Jorgenson – mówi Ana głośno i puszcza klamkę, żeby Erhard mógł wejść. Ana Lorenzo, asystentka do spraw administracyjnych. Podaje mu rękę, jest zimna jak ryba. Na biurku za nią panuje chaos.

– Za wcześnie, do cholery! – krzyczy Marcelis ze swojego pokoju.

Erhard musi pamiętać, że są sobie równi, że nie wolno mu mrugać oczami, nie wolno uciekać wzrokiem, nie wolno też się nie odzywać.

– Przychodzę punktualnie – mówi. Co się stało? – ma ochotę spytać, ale nie chce być zbyt dociekliwy. Przypuszcza, że Marcelis właśnie pieprzył się z Aną, widzi dokumenty na podłodze, otwartą szafę i samego Marcelisa, który biega po pokoju i co chwila podnosi coś z podłogi. Coś jest nie tak.

– Co powiedział rewident?

– Jeszcze do niego nie dzwoniłam, ale wątpię, żeby to był on. Byli tu w piątek – mówi Ana.

– Zadzwoń do niego, może jednak wpadł.

Ana już ma coś powiedzieć, ale powstrzymuje się i zaczyna wybierać numer. Erhard mija ją i wchodzi do gabinetu, w którym Marcelis właśnie opróżnia archiwum. Przeklina głośno sprzątaczkę, Anę i ludzi, którzy wszystko przestawiają na inne miejsce.

– Jesteś gotowy? – pyta Erhard. Próbuje przyprzeć go do muru.

– Nie, nie jestem, do cholery. Ktoś poprzestawiał teczki z dokumentami, między innymi ze sprawozdaniami finansowymi, które chciałem ci pokazać.

– Może chcesz przełożyć spotkanie?

– Zaczekaj, może dowiem się czegoś od rewidenta. Ana?

Ana wchodzi do gabinetu.

– Alquizola nie był tu od września – mówi.

– Więc to pewnie sprzątaczką – stwierdza Marcelis. – Zawsze wszystko przestawia, a potem nie mogę nic znaleźć.

– Sprzątaczką nie przychodzi w weekendy, tylko w czwartki i w poniedziałki. Zapada cisza.

– A co z twoimi kartonami? Kiedy zamierzasz zabrać te swoje graty? Może dokumenty leżą w jednym z tych twoich pudeł.

Ana pospiesznie wychodzi z pokoju. Marcelis opada na krzesło. Erhard nie wie, czy ma wyjść, czy zostać.

– Pewnie w końcu gdzieś się znajdą – mówi.

– Witamy w biurze – mówi Marcelis i bynajmniej się nie uśmiecha. – Dobry początek.

– Nie macie kopii dokumentów? Chyba zawsze robi się kopie.

– Tak, ale te cholerne kopie też gdzieś zniknęły. Dwie teczki. Oryginalne dokumenty i kopie. Nic z tego nie rozumiem.

– Myślałem, że teraz takie rzeczy przechowuje się w komputerze.

– Ja też, ale ten cholerny José Alquizola, nasz księgowy, nie używa komputera. Wszystko wypełnia ręcznie. Oby zdechł.

Ana staje w drzwiach. Erhard przez chwilę ma nadzieję, że powie, że teczki się znalazły.

– Przeszukałam wszystkie swoje kartony, nie ma w nich teczek.

– *I know, my dear*, tak po prostu powiedziałem – mówi Marcelis. – Przesuwa jakieś papiery z jednego krzesła na drugie, wskazuje na puste krzesło, zachęcając Erharda, żeby usiadł.

– Postoję – mówi Erhard.

– W swoim nowym gabinecie, który właśnie dla ciebie szykuję, też będziesz stał?

Gabinet Raúla, to może tylko być gabinet Raúla. Erhard czuje się dziwnie, tak, jak czuje się człowiek, który wie, że dzieje się coś niedobrego. Jakby jego organizm bronił się przed tym, że wkrótce zostanie szefem, takim, z jakich latami się naśmiewał.

– Gabinet – mówi.

– Skoro, jak widzę, przejąłeś jego samochód, to nie możesz, do cholery, bawić się w szefa, urzędując w pokoju śniadaniowym. Musisz mieć gabinet. A może chcesz siedzieć tu, razem ze mną? – Marcelis zamyka drzwi. – Byle tylko nie poniosła cię ambicja, nie licz na więcej przywilejów, wiesz, o czym mówię?

– O czym?

Marcelis wskazuje na sekretariat.

– Wiem, że to nie jest żadna tajemnica. Nawet moja żona wie. Więc nie próbuj używać tego przeciwko mnie...

Erhard rzeczywiście o tym myślał, ale już zdążył zrezygnować z tego pomysłu.

– Palabras mówił, że nie znasz się na prowadzeniu firmy.

– Jestem taksówkarzem – odpowiada Erhard. Tak naprawdę to wie o firmie całkiem dużo, ale nie zdradza się z tym. Chce usłyszeć, co Marcelis ma mu do powiedzenia, i przy okazji sprawdzić, czy jest z nim szczerzy. – Chciałbym, żebyś mnie we wszystko wprowadził – mówi.

Marcelis przygląda mu się podejrzliwie.

– To nie jest szczególnie pasjonujące. Ale oczywiście, tylko że dzisiaj nie przedstawię ci żadnych konkretnych danych. Mogę ci tylko opowiedzieć ogólnie o księgowości, o tym, kiedy kierowcy przynoszą swoje sprawozdania, taki krótki przegląd, księgowość dla głupków.

Marcelis otwiera płaską szafkę, która okazuje się skrywać białą tablicę. Zaczyna opowiadać o firmie, rysuje jakieś strzałki, kreski. Ana wchodzi do

gabinetu, przynosi espresso i kruche ciasteczka z czerwoną galaretką na środku. Erhard uświadamia sobie, że opowieści o tym, że niektórzy taksówkarze stosują sześćdziesięcioprocentową marżę, są prawdziwe, ale są też tacy, którzy mają jedynie czterdzieści procent. Jego marża w TaxiVenturze wynosiła siedemdziesiąt procent, i to przez ostatnich siedem lat. Miałby więcej, gdyby się lepiej targował. Ale z Baroukim trudno mu się rozmawiało, poza tym nie lubił prosić. Teraz siedzi i słucha, jak Marcelis tłumaczy mu, jak wygląda sytuacja ekonomiczna firmy, co wpływa na płynność finansową. Mówi, że jeśli taksówkarze spóźniają się z rozliczeniami, to odbija się to na finansach na początku kolejnego miesiąca. Mówi też, że zastanawiali się, czy nie sprzedać warsztatu i nie korzystać z warsztatu TaxiVentury. Do Erharda dociera, że pewnie już nigdy nie usiądzie za kółkiem. Teraz będzie siedział tutaj. Na krześle. Razem z Marcelisem i innymi urzędnikami. Będzie brał udział w zebraniach. Będzie mówił. Będzie podejmował decyzje. I chociaż gdzieś w głębi duszy ma nadzieję, że pewnego dnia Raúl jednak się zjawi, opalony i wychudzony po miesiącach na prochach, jest oszołomiony zmianami. Niemal kręci mu się głowie. Czuje, że nie ma się czego przytrzymać. Pyta, czy może się czegoś napić.

– Dopiero po siedemnastej – mówi Marcelis, nawet na niego nie patrząc, jakby czekał na to pytanie.

## 48

Pierwsza dłuższa przejażdżka srebrzystoszarym samochodem. Chętnie wymieniliby go na swojego starego merca, ale przyznaje, że jedzie bosko. Jakby wygładzał przed nim drogę, sunie bezdźwięcznie przez Las Dunas. Gdyby chciał, mógł pozdrowić kitesurferów.

Zamawia ekstraczarną u Mizi, siada przy stoliku i obraca w rękę wizytówki, które Marcelis kazał dla niego wydrukować. Najwyraźniej dla zabawy.

Tymczasowe, powiedział, kiedy mu je wręczał. Zapewnił, że wkrótce dostanie te prawdziwe, wydrukowane na porządnym papierze. Ta, którą teraz trzyma w palcach, została wydrukowana na cienkim papierze, w rogu jest logo firmy w błękitnie i złocie, i jego imię i nazwisko. Chief Operating Officer, napisane kursywą. Pokazuje wizytówkę Mizie. Gratuluje mu i podaje na talerzyku migdałowe ciasteczka własnej roboty. Erhard sam nie bardzo wie, co jego tytuł oznacza.

Jest zdziwiony, jak łatwy w obejściu okazał się Marcelis. Może uznał, że teraz grają w jednej drużynie. Erhard wspomina czasy, kiedy Lars Bo Römer przeszedł z B1909 do AGF, i za każdym razem, kiedy grał w Kopenhadze, publiczność buczała. Czy naprawdę można zmienić przynależność? Kiedy Marcelis go wprowadzał, czuł się jak wtyka za linią wroga, jakby jego zadaniem było go zdemaskować. Szukał luk w jego wywodzie, momentów niepewności, niejasności, unikania pewnych tematów, czy prób wykorzystania jego braku doświadczenia do dawania mu zbyt prostych odpowiedzi. Ale Marcelis, mimo braku konkretnych danych, okazał się zaskakująco rzeczowy. Po prezentacji poszli razem do sekretariatu, po czym udali się do dawnego gabinetu Raúla, do którego Marcelis kazał wstawić nowe meble.

– Kazałem usunąć akwarium. To była jedna z zabawek Raúla. I dębowy barek w rogu. Moim zdaniem trochę zbyt chętnie sięgał po whisky. Ty też masz z tym problem?

Erhard kręci głową. Podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz, na ulicę. Na chodniku stoi dwóch kierowców, rozmawiają ze sobą. Dwie nowe twarze wśród wielu innych, których dotąd nie miał okazji poznać. Podnosi głowę i widzi czerwone zbocze wznoszącej się ku niebu góry. Kolejna jesień bez jednej chmurki.

– A tak konkretnie to co ja mam tu robić? – pyta.

Marcelis patrzy na niego i zaczyna się śmiać.

– *Good question* – mówi i wręcza mu leżące na biurku wizytówki. Proponuje, żeby zaczął od rozdawania ich na prawo i lewo.

– Zorientuj się, co potrafisz, i skup się na tym – mówi, patrząc na podwórze.  
– Proponuję, żebyś się zainteresował wozami. Właśnie oddaliśmy jeden na złom, musimy kupić kilka nowych. Mamy umowę z importerem, ale nie jestem przekonany, czy jest dobra. Ty się na tym znasz, więc to zadanie w sam raz dla ciebie. Prześlę ci e-maile na temat naszej obecnej umowy. – Wskazuje na coś na ekranie komputera, który zajmuje większą część biurka. Erhard uznaje, że to nie najlepszy moment, żeby spytać, jak się czyta e-maile. Potem dyskretnie wypytuje Anę, a ona drukuje mu jakieś papiery. Wykaz cen samochodów, warunki zapłaty, na samej górze widnieje nazwa importera.

Schodzi nad morze. W Alapaqa nie ma plaży. Jest tylko kilka zniszczonych pomostów i molo, które prowadzi od skał do kutrów i stojaków na sieci. Na łądzie suszą się ryby, jakieś psy szczekają na wielką mewę stojącą na stole.

Importer samochodów. Myśli Erharda natychmiast wędrują do samochodu z plaży w Cotillo. Ostatnio był widziany w Amsterdamie. Czy na wyspach można zarejestrować skradziony samochód? Czy dlatego nie było tablic rejestracyjnych? Wyobraża sobie plac z kontenerami, podobny do tych dwóch, które ostatnio widział. Oczami wyobraźni widzi, jak młody mężczyzna włamuje się do kontenera, kradnie samochód i płaci strażnikowi za to, żeby odwrócił głowę. Mało prawdopodobne, żeby coś takiego nie zostało odkryte, ale nie niewyobrażalne. Na wyspach mówi się, że papierkowa robota męczy pracowitych ludzi. Coś w tym jest. Mieszkańcy wysp nienawidzą sprawozdawczości, kontraktów. Niewykluczone, że gdzieś wśród papierków może się zagubić nawet samochód. Na wyspach dzieje się dużo różnych rzeczy, dziwnych, niewytłumaczalnych.

Wraca do swojego srebrzystego wozu, który stoi, lekko już zakurzony, na niewielkim parkingu za domem Mیزی. Ma dwa pragnienia. Znaleźć samochód z plaży. Obecnie ma go policja, stoi na parkingu dla zarekwirowanych pojazdów. Gdzieś w pobliżu Zamku. Drugie pragnienie to odwiedzić Casa Negra, jedyną restaurację na wyspie, która podaje dania afrykańskie. Kiedy jedzie wąską dróżką przez Alapaqa do głównej drogi, myśli o dobrze przyprawionym daniu

rybnym z ryżem. Restauracja leży na końcu świata, niedaleko lotniska, stoliki drżą, goście milkną za każdym razem, kiedy jakiś samolot schodzi do lądowania. Erhard jest głodny, wolałby więc najpierw zaspokoić drugie pragnienie, ale postanawia zacząć od sprawy na Zamku. Mija bramę, która prowadzi na parking i do wejścia, okrąża budynek. Droga kończy się na kamienistym polu. Zawraca, tym razem kieruje się na południe. Widzi całe mnóstwo parkingów i porzuconych samochodów, na bramach są takie same tabliczki z nazwami firm: Retail Invest, Joint Markets, Northeast Invest, dużo zagranicznych nazw przedsiębiorstw wypożyczających samochody i szare budynki za szarym parkanem postawionym na szarej ziemi. Na końcu dość krótkiej drogi dostrzega magazyn, niski budynek przypominający hangar, za wysokim ogrodzeniem z bramą, na której widnieje logo policji. Skręca, zatrzymuje samochód i podchodzi bliżej. Na lewo od bramy, już za ogrodzeniem, stoi puste składane krzesło. Wisi na nim aparat fotograficzny. W soczewce odbija się cały parking. Po chwili w magazynie otwierają się niewidoczne drzwi, wychodzi policjantka i rusza w jego stronę.

– W jakiej sprawie? – pyta.

– Szukam samochodu. Volkswagena – mówi.

– W jakiej sprawie? – powtarza. – To teren policji – dodaje.

– Szukam samochodu, który zaginął.

– Musi pan złożyć podanie na komisariacie – mówi kobieta i pokazuje w stronę Zamku. – I poprosić o prawo do oględzin, formularz RO-19. – Po jej twarzy widać, że powtarzała to zdanie wiele razy. Ma nieregularne rysy, lewa część twarzy wydaje się lekko opuszczona, jakby od dłuższego czasu cierpiała na migreny albo ból zębów. Włosy opadają jej na oczy, wygląda to trochę sztucznie. Może próbuje w ten sposób ukryć brzydkie brunatne plamy na twarzy. Wygląda na kobietę, która przez całe życie komuś służy, pewnie nadal prasuje koszule trzem byłym mężom.

– Może jest pani w stanie mi pomóc. – Erhard podchodzi do ogrodzenia. – Moja firma szuka pewnego samochodu. Nigdy nie został zarejestrowany, tylko



po prostu zniknął. To dla mnie bardzo ważne.

Policjantka patrzy na wizytówkę, którą jej pokazuje przez ogrodzenie.

– Niestety musi pan mieć RO-19.

– Wiem, że ten samochód tu był. Chcę sprawdzić, czy nadal jest. To niebieski volkswagen passat.

– Chętnie bym panu pomogła, ale nie mogę.

– Proszę mi dać dwie minuty.

– Niestety nie mogę panu pomóc – odpowiada kobieta, ale już nieco mniej stanowczo.

Gdyby była zdecydowana, po prostu by odeszła. Erhard próbuje dalej.

– Señorita... Vasquez – Jej nazwisko jest wypisane na wizytówce przypiętej do munduru. – Na tylnym siedzeniu tego samochodu znaleziono małego martwego chłopca. Szukam jego matki. Chcę tylko spojrzeć na ten samochód.

Kobieta po raz pierwszy zdejmuje okulary, przeciera oczy i przygląda mu się. Najwyraźniej robi na niej dobre wrażenie – stary, szczerzy człowiek – bo szybko wkłada okulary i szepcze do niego:

– Sprawdzę w komputerze, czy mamy jakiegoś passata.

Już ma wcisnąć duży guzik obok ogrodzenia, kiedy nagle znów na niego patrzy.

– Dlaczego szuka jej firma taksówkarska? – pyta. – To chyba sprawa dla policji?

Erhard nie ma dobrej odpowiedzi.

– Niestety, Señorita, pani koledzy są zbyt zajęci innymi sprawami. Martwe dzieci mało kogo interesują – mówi, chociaż wie, że nie jest to odpowiedź na jej pytanie. Jeśli nie ma dzieci, zacznie coś podejrzewać. Jeśli ma, wciśnie guzik.

– Co się stało temu chłopcu?

– Sprawa z Cotillo?

– Nic mi to nie mówi.

– Niech sobie pani wyobrazi, że matka zostawiła go w kartonie.

Kobieta przygląda mu się. Wcisną guzik.

– Proszę obiecać, że nie będzie pan dotykać samochodu. To jedyne, o co proszę.

– Chcę go tylko zobaczyć. Nie będę podchodził blisko.

– Wszystko, co tutaj jest, stanowi materiał dowodowy.

Brama zaczyna się otwierać.

– Proszę, to moja wizytówka. Poza tym kamera na pewno wszystko nagrała – mówi Erhard i wskazuje na kamerę. – Niczego nie będę dotykać, nie chcę zniszczyć dowodów.

– Ma pan trzy minuty, Señor. Pójdę z panem – mówi.

Jak tylko Erhard wchodzi, natychmiast wciska guzik i brama się zamyka.

W hali jest ciemno. Z czasem zapalają się słabe żarówki, oświetlając rzędy samochodów, motocykli, skrzynek z różnymi rzeczami i plastikowymi pojemnikami, w których są co delikatniejsze przedmioty. Każda rzecz ma swoje miejsce, oznaczone liczbą. Co ósme, może nawet co dziesiąte miejsce zajmuje samochód. Niekiedy tylko resztki samochodu. Są tu zmiażdżone karoserie, spalone furgonetki, autobus bez dachu.

Idą w milczeniu. Hala przypomina kaplicę. Wojskową kaplicę, w której leżą polegli żołnierze. Każdy przedmiot to osobny dramat. Czyjś los. Raport policyjny. Mijają dużą klatkę z otwartymi drzwiami. Taką, w jakiej można trzymać tygrysa albo niedźwiedzia. Przyczepa do motoru, ale bez motoru. Zamrażarka z przegrodami. Ma ochotę spytać policjantkę, skąd pochodzą te wszystkie rzeczy, jaka jest ich historia. Ale wie, że i tak mu nie odpowie. Postanawia zachować pytania na później. Mijają szereg samochodów: kilka jest granatowych, jeden to volkswagen. Erhard kręci głową. Chciałby móc poruszać się bardziej swobodnie, bez niej za plecami. Zatrzymuje się przed rzeczami, które w ciemności trudno zidentyfikować, niektóre są tak poskręcane, że nie sposób powiedzieć co jest czym. Rower stacjonarny, fontanna, stółek barowy. Fantazyjna kolekcja. Groteskowa zabawa, polegająca na tym, że należy zapamiętać, co się widziało po drodze. Ale uśmiech szybko znika, to po prostu

bezwartościowe rzeczy, które w ciągu miesiąca zostaną wywiezione na wysypisko na północ od miasta.

– Dużo tu wszystkiego – mówi. – Sama pani o to dba? To duża odpowiedzialność.

Kobieta nie jest pewna, czy nie ironizuje.

– Właściwie na miejscu jesteśmy ja i Levi, który wszystko przewozi, i jeszcze kilku strażników na nocną zmianę.

Erhard zastanawia się, czy jest coś, za co mógłby ją pochwalić, ale tak, żeby nie zabrzmiało to fałszywie. Wie, że kobiety takie jak ona uwielbiają komplementy.

– Większość ludzi pewnie włączyłaby jeszcze kilka żarówek, ale pani radzi sobie z latarką. Musi pani mieć mocne nerwy, Señorita Vasquez. To się rzadko zdarza. – Ostatnie słowa były chyba niepotrzebne, ale ona niczego nie zauważyła.

– To moja praca – mówi i świeci na kolejny samochód. Seat.

Erhard kręci głową, idą dalej środkowym korytarzem.

– Bardzo dziękuję za pomoc.

– *De nada*. Kiedy został skonfiskowany?

Zdjęcie, które dziewczyna zrobiła na plaży, na Cotillo Beach, powstało szóstego stycznia.

– Jakiś miesiąc temu – mówi Erhard. – Trudno to zrozumieć – dodaje po chwili.

– W takim razie powinniśmy byli pójść...

Nie kończy zdania, bo nagle Erhard widzi przed sobą samochód. Granatowy, w ciemności wydaje się czarny. Model z 2011 roku.

– Mogę pożyczyć? – pyta i sięga po latarkę.

Kobieta świeci w jego stronę.

– Tak, ale proszę niczego nie dotykać – mówi i podaje mu latarkę, jakby to była siekiera.

Erhard podchodzi bliżej. Świeci od dołu w górę, sprawdza, czy piasek zostawił jakieś ślady na lakierze, zagląda przez szyby, patrzy na tylne siedzenie, jakby się spodziewał, że pudełko z chłopcem nadal tam stoi. Okrążają samochód, podchodzi od tyłu, kuca obok zderzaka. Kobieta stoi pod lampą, chce coś powiedzieć, ale nie robi tego, widzi, że Erhard nie podchodzi za blisko. Nadal przygląda się zderzakowi. Świeci na niego latarką tak długo, aż gładka lśniąca powierzchnia zaczyna lekko falować. Przygląda mu się uważnie, powoli przesuwa po nim wzrokiem. Jest przekonany, że coś znajdzie, jakiś ślad, odcisk, coś. Kiedy kobieta na chwilę odchodzi, szybkim ruchem przeciąga palcami po zderzaku. Jest gładki, jakby samochód przed chwilą zjechał z fabrycznej taśmy. Dziwne. Wstaje i przechodzi przed samochód.

– Dwie minuty, Señor – mówi kobieta.

– Tak – mówi Erhard i siada przed przednim zderzakiem, który jest równie gładki i błyszczący jak tylny. Chce dokładnie sprawdzić każdy milimetr, ale obecność policjantki, półtora metra za nim, stresuje go. Przesuwa wzrokiem po zderzaku, niczego nie dostrzega. Zaczyna od początku, sprawdza milimetr po milimetrze. Przesuwa wzrokiem po powierzchni zaprojektowanego na komputerze w fabryce Volkswagena zderzaka. Idealne wykonanie, perfekcyjnie położony lakier. Nic nie widzi.

– Czas się skończył, Señor – mówi kobieta. – Przykro mi, ale...

Wstaje, kobieta rusza przodem, kieruje się do drzwi. Erhard szybko się odwraca, przeciąga palcami po zderzaku. Słyszy, jak policjantka się odwraca i coś do niego woła, ale on nie cofa dłoni i nagle, gdzieś pośrodku zderzaka, czuje płytkie wgłębienie. Na pewno nie powstało w fabryce. Na odcinku dwudziestu centymetrów powierzchnia jest lekko zapadnięta, jakby na skutek działania jakiejś bliżej nieokreślonej siły. Powierzchnia jest całkiem spora, pewnie dlatego jej wcześniej nie zauważył. Niekiedy optyka nas zawodzi. Odwraca się, podnosi ręce.

– Bardzo przepraszam, naprawdę przepraszam – mówi. – Musiałem go dotknąć.

Kobieta trzyma przy uchu komórkę, może zdążyła już do kogoś zadzwonić, ale nic nie mówi. W końcu naciska jakiś guzik, wkłada komórkę za pasek.

– Prosiłam, żeby pan niczego nie dotykał. Proszę już iść – nakazuje mu. Sprawia wrażenie nie tyle poirytowanej, ile zranionej. Jakby ją zawiódł. Popycha go przed sobą w kierunku drzwi.

– Naprawdę mi przykro – rzuca Erhard przez ramię.

– Nie wierzę.

– Nie będzie pani miała żadnych kłopotów. Nikt nie wie, że tu jestem.

– Obawiam się, że jednak będę miała.

– Musiałem zobaczyć ten samochód. Ze względu na chłopca.

– Niech pan przestanie z tym chłopcem. Wymyślił go pan, żeby mnie zwieść.

Dotarli już do drzwi, wychodzą na zewnątrz. Światło jest ostre, ale w powietrzu unosi się jakaś słodycz.

– Naprawdę proszę już iść, Señor – mówi kobieta, chociaż Erhard właśnie wychodzi. Zamierza jej podziękować, ale zanim ma szansę cokolwiek powiedzieć, ona się odwraca i rusza w swoją stronę.

Erhard wraca do samochodu i jedzie do Casa Negra. Zamawia dobrze przyprawionego dorsza, który po chwili pojawia się na stole na małej patelence, razem z dużą szklanką piwa, chociaż wcześniej obiecał sobie, że już dzisiaj więcej nie będzie pić. Na leżącej obok serwetce zdążył już rozpisać kilka możliwych scenariuszy. Samochód został skradziony w Amsterdamie, a później znów, już na wyspie. Samochód został skradziony w Amsterdamie i sprzedany, też już tu, na wyspie, matce albo ojcu dziecka. Samochód jest... Nie jest w stanie napisać tego, co ma w głowie. Samochód został skradziony w Amsterdamie, wypadł z kontenera i w jakiś sposób dostał się do morza, a potem przyplłyn wyrzucił go na ląd.

Już w windzie dobiegają go jakieś odgłosy. Muzyka, głosy, urwane zdania. Kiedy mija czwarte piętro, przychodzi mu do głowy, że to może być Raúl. A więc jednak wrócił do domu. Po kolejnym szalonym wypadzie. Pewnie pił, ćpał gdzieś w jakichś norach poza zasięgiem tatusia i wszystkich, którzy go kochają, tak żeby nikt nie miał możliwości próbować go ratować. Nieświadomy, że wraca do całkowicie innego życia. Może już znalazł Beatriz. Teraz Erhard będzie musiał odpowiedzieć na pytanie, kto został skremowany, czyje prochy są w urnie na cmentarzu Alto Blanco, skoro to nie była Beatriz. Zabawa się skończyła, w najlepszym razie będzie mógł wrócić do Majanicho.

Nagle przypomina sobie, że przecież wymienił zamek. A więc hałas nie może pochodzić z mieszkania, tylko z zewnątrz, z klatki. Drzwi windy się otwierają, na klatce stoją ludzie, jakieś dwadzieścia pięć osób. Barowy tłum, tyle że większość jest elegancko ubrana, faceci mają krawaty i złote łańcuchy na kostkach nóg, zamiast tatuaży. Szuka oczu Raúla, przekrwionych po tygodniach picia i posuwania dziwek. Szuka twarzy swojego przyjaciela. I nagle uderza go, że go nie ma. Już nigdy go tu nie będzie. To tłum ludzi, mężczyzn i kobiet, wynajętych, żeby wypełnić pustkę. Plus kilka Masajek, które stoją pod ścianą i czekają, jak przed wielką wyprzedają. Przedziera się przez tłum, podchodzi do drzwi, przy których stoi Emanuel Palabras, zajęty swoją czarną niemal jak węgiel Masajką.

– Stroicielu – mówi głośno i szybko podaje Erhardowi kieliszek szampana.

– Co świętujemy?

– Pierwszy dzień twojej nowej pracy.

– Trudno to nazwać dniem.

– Musisz się do tego przyzwyczaić. Jesteś dyrektorem, nie musisz liczyć godzin.

– Więc pomyślałeś, że zbierzesz kilka dziwek i bezdomnych i przebierzesz ich w garnitury.

– Wyrażaj się o dziewczętach z szacunkiem. One wszystko słyszą. Poza tym mieszkanie jednak nie jest twoje, tylko moje. Nawet jeśli zmieniłeś zamek.

– Mówiłeś, że na myśl o tym mieszkaniu przechodzą cię ciarki.

– Jeśli uznam, że masz się bawić z najlepszymi dziewczętami na wyspie i w towarzystwie najlepszych miejscowych chłopców, jakich można kupić za pieniądze, to tak będzie.

W jego głosie jest coś odrażającego. Erhard czuje się tak, jakby został kupiony. Człowiek, któremu pomagał od lat, którego miał niemal za przyjaciela, okazał się przebiegłym kupcem. Ale nie ma siły teraz o tym myśleć.

– Jeśli mamy się bawić, to na tarasie. Nie w mieszkaniu. Nie chcę tam widzieć żadnego z twoich przyjaciół, ciebie zresztą też nie, Señor Palabras, chyba że ktoś będzie musiał skorzystać z łazienki. Możemy się tak umówić?

– Do dobrego człowiek szybko się przyzwyczaja – stwierdza Palabras. – Ale oczywiście będziemy grzeczni, prawda, moje panie i panowie? – mówi głośno, a stojący wokół niego ludzie kiwają głowami i przytakują.

Erhard przekręca klucz w zamku, wchodzi do mieszkania i zapala światło. Staje tak, że blokuje korytarz prowadzący do sypialni. Ludzie idą do salonu, skąd ruszają po schodach na taras. Pierwszy idzie oczywiście Palabras, za nim kuśtyka Charles. Jedna z dziewczyn zdejmuje szpilki, któryś z młodych mężczyzn otwiera szampana.

Erhard sprawdza, co z Beatriz, po czym zamyka drzwi sypialni na klucz, bierze kieliszek szampana i wychodzi na taras. Jedna z ładnie pachnących dziewczyn chce usiąść mu na kolanach, próbuje go objąć, ale on ją delikatnie odpycha. Palabras mówi coś o tym, że należy świętować zwycięstwa, a nad porażkami pochylać głowę w milczeniu. Życie przeciętnego człowieka polega na tym, że jego dni zlewają się w jedną szarą masę. Taki jest jego los. Dlatego kiedy nadarza się okazja, należy pić szampana. To jest życie! – wrzeszczy.

Ludzie przestawiają meble, opróżniają barek. Erhard ma poczucie, że to wszystko należy już do niego, i jest poirytowany, że goście czują się jak u siebie w domu. Mają ze sobą własną aparaturę, jakieś niewielkie urządzenie, które przypomina tranzystor i z którego dobywają się elektroniczne dźwięki, jak z puszki.

– Musisz mi dać klucze – odzywa się Emanuel zza pleców dwóch dziewczyn. Jego głos brzmi niemal jak głos Raúla, kiedy jest pijany.

Erhard się śmieje. Nie wie, jak zareagować.

– To moja własność, Stroicielu.

– Więc się tu przenieś.

– Myślałem, że będziesz bardziej przyjaźnie nastawiony.

– Nastawiłem się na to, że będę tu miał trochę spokoju. Dziękuję, że postanowiłeś wydać dla mnie przyjęcie, ale wolałbym nie zamieniać domu w klub nocny.

– Więc nie dasz mi klucza? Charles, powiedz mu coś. – Ale Charles nic nie mówi. Jest zajęty dziewczyną, która siedzi mu na kolanach i pije czerwone wino.

– To moje mieszkanie.

– Chciałbym mieć poczucie, że to mój dom. Nie może być tak, że będziesz się zjawiał o dowolnej porze dnia i nocy. I nie chodzi mi o ciebie, tylko o... Jakby to powiedzieć? Chodzi o to, żebym mógł czuć się u siebie, bezpieczny.

– Poproszę ślusarza o dodatkowy klucz. – Emanuel się nie poddaje.

– Przykro mi, że jestem jedyną osobą, która czasem próbuje ustawić cię do pionu.

Palabras rozkłada ręce, jakby to wszystko było mało ważne. Erhard zaczyna wątpić, czy kiedykolwiek poczuje się u siebie w mieszkaniu, które pozostanie ziemią niczyją. Może dom to miejsce, gdzie człowiek jest sam, w pojedynkę. Palabras starszy uważa, że ma prawo tu przychodzić, kiedy tylko zechce.

Erhard czuje ostrą kość ogonową dziewczyny na swoim członku. Unosi kieliszek, pozdrawiając Palabrasa, wychyla jednym haustem trunek, który z pewnością kosztował kilkaset euro. Palabrasa wyraźnie to irytuje. Erhard czytał, że niebo ma być dzisiaj pełne spadających gwiazd, ale żadnej nie widzi, może dlatego, że przeważnie ma zamknięte oczy.

Okolo drugiej Palabras przypomina jedną ze swoich drewnianych masek. Jego twarz rozplywa się ze zmęczenia. Erhard podejrzewa, że wygląda podobnie. Masajki stoją przy barze, piją szampana i cicho rozmawiają, młodzi mężczyźni



siedzą na schodach prowadzących na balkon i pałą. Charles podnosi Palabrasa z krzesła, czyści jego marynarkę z chipsów. Erhard docenia jego troskliwość. Charles mówi: dziękujemy za dzisiejszy wieczór i każe Masajkom i mężczyznom posprzątać kieliszki i zanieść je do kuchni. Palabras unosi dłoń w geście pożegnania i po chwili znika, a za nim inni.

W mieszkaniu robi się pusto, jakby w ogóle nikogo nie było. Gdyby teraz Erhard wszedł do kuchni i zobaczył pozmywane kieliszki poustawiane na swoich miejscach, wcale by się zdziwił.

Jest poniedziałkowa noc, wokół panuje cisza. Nie wróży to nic dobrego. To oznaka bezrobocia. Brakuje turystów. Erhard wstaje, zamierza się położyć. Zauważa na spodniach dużą mokrą plamę. W kroczu. Jakby ktoś coś na niego wylał.

Następnego dnia postanawia pojechać do pracy. Na ulicy zatrzymuje się przed sklepem Silóna, wchodzi obejrzeć czarną aktówkę. Ma prosty zamek kodowy, który otwiera się jednym kliknięciem. Wkłada do niej książkę, pudełko z lekarami i długą bagietkę i zamyka. Silón chce za nią trzydzieści euro, ale w końcu sprzedaje mu ją za dwanaście. Erhard zostawia w niej rzeczy i wraca do samochodu. Otwiera drzwi pilotem, wsiada i kładzie teczkę na fotelu pasażera. Gdyby tak Annette mogła go teraz zobaczyć. Pewnie by nie uwierzyła. Pomyślałaby, że to wszystko maskarada. Albo że to nie on, tylko ktoś inny.

Jedzie do biura. Pokoje w firmie są nowoczesne, kolorowe, przypominają biura budowane w nowej części Puerto. Żeby wejść, musi wstukać kod. Na szczęście tuż przed nim wchodzi jedna z dziewcząt pracujących w usługach, jak tu nazywają centralę, i wpuszcza go. Erhard idzie długim korytarzem, mija kilka biur, wszędzie panuje cisza, w pokoju śniadaniowym jest ciemno. Próbuje nalać sobie kawy z automatu na korytarzu, ale nie potrafi go uruchomić. Bierze jakiś napój z lodówki, siada i zaczyna przeglądać leżącą na stole poranną gazetę.

Tuż po ósmej słyszy jakiś ruch w sekretariacie. Zagląda przez szparę w drzwiach, widzi, jak Ana porządkuje rzeczy na biurku, wyciera z kurzu rośliny

na parapecie. Ma nieciekawą urodę, jest pewnie w wieku Lene, trzydzieści parę lat, na nogach ma tenisówki. Erhard nie lubi, kiedy kobiety chodzą w tenisówkach, nie jest w stanie wyobrazić sobie Lene w takich butach. Kiedy widział ją ostatni raz, miała na nogach zimowe buty z Bilki, marketu, w którym Annette kupowała większość rzeczy dla dzieci. Ana wygląda na kogoś, kto przywykł do tego, że jest porzucany, przywykł do sprzątania po innych, do tego, że ludzie wybuchają, załamują się, źle się do niej odnoszą, czepiają się jej – nigdy się nie skarży. Należy do tych, co to przeżyją wszystko, ale nigdy nie będą szczęśliwi. Erhard ma nadzieję, że się myli.

– *Buenas* – mówi cicho.

– *Buenas* – odpowiada Ana. Stoi plecami do niego, jakby już wiedziała, że tam jest.

– Znasz się na samochodach? – pyta Erhard.

Dziewczyna się odwraca.

– A powinnam? – Najwyraźniej uznała to pytanie za podchwytliwe.

– Ja też niewiele o nich wiem – mówi Erhard. – Po prostu nimi jeżdżę.

Ana uśmiecha się ostrożnie.

– Te papiery, które wczoraj dla mnie wydrukowałaś, są potrzebne do wyceny samochodów, które mamy kupić. Chętnie zobaczyłbym też jakieś stare umowy. Żeby móc porównać.

– Są na dysku – mówi Ana. – W komputerze – dodaje, widząc, że ma niewyraźną minę. – Mam je wydrukować?

– Bardzo byś mi pomogła.

W jej oczach widać nagle lata frustracji, może nie tyle w oczach, ile w zmarszczce, które nagle przecina jej czoło między oczami. Zmarszczce, do której powstania przyczynili się ci wszyscy głupi, niezdolni do niczego mężczyźni, niekompetentni, nieodpowiedzialni. Po chwili zmarszczka się wygładza, Ana pochyla się nad komputerem.

– Zaraz ci przyniosę – mówi. Chęć pomocy jest wyuczona i najwyraźniej nie ogranicza się do szefa, z którym się bzyka.

Czekając, Erhard sięga do swojej nowej teczki po książkę. Wziął ją ze sobą z mieszkania, a wybrał ze względu na stronę tytułową, na której jest zdjęcie czarnego telefonu na drewnianej podłodze. To opowieść o lekarce, laryngolożce, która zostaje wybrana do grupy ekspertów. Jej zadaniem jest złapanie międzynarodowego terrorysty, który zabija przez telefon. Człowiek, który się za tym kryje, przedstawiony w książce jako geniusz, wyprodukował maszynę, która dzwoni do ludzi i zabija ich ultradźwiękami. Ultradźwięki. Stąd tytuł książki. Erhard wie to wszystko z kilku zdań zamieszczonych na tylnej okładce. Wciąż jeszcze nie przebrnął przez pierwszy rozdział. Mowa w nim o lekarce uczestniczącej w międzynarodowej konferencji, podczas której odżywa jej dawny romans z ekspertem do spraw inwestycji z Nowego Jorku. Erhard czyta ten fragment kilka razy. Lekarka czeka podniecona w hotelowym pokoju, w końcu dzwoni do recepcji i dowiaduje się, że jej były kochanek opuścił hotel. Książka jest żenująco kiepska. Erhard zdaje sobie z tego sprawę. Ale kiedy wyobraża sobie lekarzę, pustkę, którą musi czuć, ma ochotę się rozplakać.

Bierze się w garść, poprawia się na krześle. Do pokoju wchodzi Ana, ma ze sobą papiery. Pokazuje mu je, a potem je z nim omawia. W rękę trzyma długopis, mokry od śliny, bo co chwila wkłada go do ust. Kiedy wychodzi, Erhard czyta papiery jeszcze raz. Robi to bez większego zainteresowania. Uderza go, że volkswagen passat to model bardziej popularny, niż mu się zdawało. Taxinaria miała jak dotąd ponad piętnaście passatów, najwięcej około roku 2000.

Na lunch idzie z Aną. Wszyscy jedzą w tym samym pokoju, ale kierowcy trzymają się razem, oddzieleni od reszty roślinami w doniczkach. Kierownictwo, Ana, sprzedawcy i telefonistki siedzą bliżej kuchni. W TaxiVenturze wiele razy słyszał, jak kierowcy narzekali, że szefowie i telefonistki mają się za lepszych i nie chcą siedzieć razem z kierowcami. Szybko się jednak zorientował, że trudno sprawić, żeby te dwa światy mogły się spotkać na równych warunkach, bo co innego siedzieć w biurze trzydzieści pięć godzin tygodniowo, a co innego jeździć taksówką siedemdziesiąt godzin tygodniowo. Podczas gdy zarobki wyglądają dokładnie odwrotnie.

Erhard zaczyna jeść. Podsmażane ziemniaki i jagnięcinę. To duża zaleta, że nie musi sam się martwić o jedzenie. Dania przygotowuje i dostarcza restauracja Muñoz, mieszcząca się w sąsiednim budynku. Jedzenie jest w porządku. Na pewno lepsze niż to, które jest w stanie przygotować sam. W porządku, ale niezbyt ciekawe. Nie odzywa się do nikogo. Ana jest zajęta rozmową z jakimiś kobietami. Rozpoznaje głosy, zdarzało mu się kilka razy, z nudów, przestawić na centralę Taxinarii. Kobiety opowiadają o kierowcach, którzy zjawiają się nagle w biurze z kwiatami albo czekoladkami, bo za dużo czasu spędzili w samochodzie, słuchając ich kłótni i sprzeczek, i zakochali się w ich jasnych głosach. Erhard też doświadczył czegoś podobnego. Wiele lat temu. Miała na imię Michela. Kiedy podawała jakąś wiadomość przez radio, każdy kierowca był przekonany, że zwraca się właśnie do niego. Przez kilka tygodni zastanawiał się, jak ma się do niej zbliżyć. Problem polegał na tym, że taksówkarz właściwie nie ma powodu, żeby się zjawiać w biurze. Postanowił zaczekać, aż Michela skończy pracę i będzie wracać do domu. To było przewidywalne i nie niosło ze sobą większego ryzyka. Wszystko zaplanował, ale dzień wcześniej nagle się zorientował, że najwyraźniej inni kierowcy, łącznie z Luísem, wpadli na ten sam pomysł. Nagle uznał, że cała sprawa jest żałosna i śmieszna, mało oryginalna. Własna desperacja wzbudzała w nim obrzydzenie.

Potem powtarzało się to wielokrotnie. Po jednej stronie słuchawki są kierowcy, samotne dusze, często się nudzą. Po drugiej stronie siedzą dziewczęta, które przez lata ćwiczyły głosy i w końcu stworzyły zatruty instrument, często mający zrekompensować ich ukrywane w kolorowych sukienkach niedoskonałe ciała. Także w Taxinarii dwie dziewczyny o najbardziej seksownych głosach są zdecydowanie za pulchne. Trzy inne, w tym Alissa z Tunezji, to kobiety-konie, o groteskowej budowie, która sprawia, że ich twarze, łokcie i nogi przypominają cegły. Mówią wszystkie naraz, opowiadają o swoich mężach i chłopakach, o psach i nowym filmie, który był pokazywany na murze jednego z domów nad morzem. Ana słucha i śmieje się ostrożnie, jakby nigdy jeszcze nie słyszała takich rzeczy.

Erhard wraca do biura, nie ma ochoty wracać do powieści o telefonicznym terroryście. Zbiera papiery. Spostrzega wydruk ze strony handlarza samochodami, na samym dole widnieje jakieś nazwisko i numer telefonu. Sięga po stojący na biurku telefon, wciska duże klawisze. Jeśli będzie miał szczęście, zdąży go złapać jeszcze przed sjestą.

– Autovenga, dzień dobry.

– Dzień dobry. Dzwonię z Taxinarii. Nazywam się Erhard Jorgenson. Mogę rozmawiać z Gilbertem Peyónem?

– Właśnie pan z nim rozmawia. Nowy czy używany?

– Powiedziałbym: prawie nowy.

– Nie rozumiem.

Erhard słyszy, że Gilberto musi się rozbudzić, zanim będzie mógł mu przedstawić swoją prośbę.

– Najlepszy, jaki macie – mówi. – Jestem nowym dyrektorem, zamierzam kupić kilka nowych wozów – mówi Erhard. Ma nadzieję, że drzwi do gabinetu są dobrze zamknięte.

– Powiedział pan, że skąd pan dzwoni?

W słuchawce słyhać trzaski, Erhard zaczyna od początku, czuje, że człowiek po drugiej stronie robi się czujny.

– Z przyjemnością wznowimy dostawy. Nie chcę nikogo obrazić, ale uznałem, że nasza dalsza współpraca nie ma sensu.

– Dlaczego?

– Palabras miał innych, tańszych dostawców, tak mi przynajmniej mówił.

– Emanuel Palabras?

– Raúl Palabras. Ale słyszałem, że nie żyje.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co się słyszy.

Handlarz się śmieje. Jest zmieszany.

– Tak, to prawda – mówi.

– Interesuje mnie tylko to, co najlepsze – ciągnie Erhard. Najwyraźniej tamten to Gwiazda, chciwy sukcesu sprzedawca, który za cztery lata będzie miał

własny salon sprzedaży.

– Dobijmy interesu – rzuca.

– Ale... – zaczyna Erhard i słyszy, jak w słuchawce coś klika. – Chciałbym się czegoś dowiedzieć o pewnym samochodzie. Podobno został zamówiony dla... jednego ze współpracowników.

– U nas?

– Nie sądzę. Zastanawiam się, czy nie można tego gdzieś sprawdzić. Zamawiał go mój dawny kolega. Nigdy nie dbał o porządek. Mam nadzieję, że u was jest pod tym względem lepiej.

– Na pewno.

– To dobrze. Chodzi o granatowego volkswagena passata z dwa tysiące dziesiątego roku, może dwa tysiące jedenastego albo nawet dwa tysiące dwunastego.

– Skąd miał być sprowadzony? Z Hiszpanii?

– Może, ale przez Amsterdam.

– Kiedy go zamawialiście?

– Nie wiem.

– Na jakie nazwisko?

– Nie wiem.

W słuchawce zapada cisza.

– Passat?

– Tak.

– Chwileczkę.

Dłuższa chwila ciszy.

– Halo? Od końca dwa tysiące dziesiątego roku nie sprowadziliśmy na wyspę ani jednego passata. W ogóle żadnego volkswagena.

– Kto jeszcze oprócz was importuje na wyspę volkswageny?

– Bruno Tullo z Vallebrón, ale obecnie mniej zajmuje się sprzedażą. Jeśli w ogóle jeszcze żyje.

– Rozumiem – mówi Erhard. – Ale ten passat istnieje, został skradziony w Amsterdamie, nie ma tablic rejestracyjnych, ale ma pięćdziesiąt kilometrów na liczniku. Jak to możliwe?

– Nie wiem. Takich rzeczy... takimi rzeczami się nie zajmujemy.

– Mam nadzieję, że nie, zastanawiam się tylko, jak się robi takie rzeczy.

– Mieliśmy na wyspie przypadki kradzieży samochodów, ale to nadal rzadkość. Trudno je ukryć. Poza tym cały handel przechodzi przez Puerto. I Ruiza.

– Ruiza?

– To celnik, tu, w Puerto. Zapewniam, że nie przepuściłby żadnego samochodu. Bo każdy jeżdżący po wyspie samochód to dla niego czysty zarobek.

– Czyli w zasadzie jest możliwe, żeby się umówić z Ruizem, żeby wpuścił na wyspę samochód. Nawet jeśli jest kradziony.

– W zasadzie tak, ale nie jeśli się zna Ruiza. Nie wykluczam, że to idiota, ale bardzo przestrzega hiszpańskiego ustawodawstwa, jeśli można to tak określić. Gdyby odkrył, że po wyspie jeździ samochód, którego nie zatwierdził, znajdzie tego, kto go sprowadził, i zmusi do zapłacenia cła. Ludzie się z nim liczą.

– Gdzie go znajdzie?

– W porcie, w Puerto. Na cle.

Erhard wszystko zapisuje.

– Posłuchaj, jeśli znajdziesz Ruiza, spytaj, czy wie coś o granatowym passacie, który został przetransportowany na wyspę w ciągu ostatnich trzech miesięcy. W zamian chętnie kupię od ciebie dwa samochody. Takie z górnej półki.

– Bardzo się cieszę, Señor Jorgenson – mówi sprzedawca. Słysząc, że jest zadowolony, ale również ma problem. – Z Ruizem nie jest łatwo porozmawiać – dodaje. – Nie lubi, kiedy się do niego dzwoni.

– Więc musisz się do niego wybrać osobiście. To chyba zaledwie kilka kilometrów od waszego salonu?

Kiedy się rozłączają, Erhard jest spocony. Drży, mięśnie ma spięte, jakby zaraz miał wybuchnąć. Stres powoli puszcza, marzy, żeby Ana przyniosła mu szklanek wody.

Po południu idzie na spacer. Na ulicy spotyka kilku kierowców, stoją i palą papierosy. Jeden rozwiązuje krzyżówkę w telefonie. Erhard rozmawia z nimi chwilę. Głównie słucha, dwa razy coś wtrąca, mówi, że wiele lat spędził za kierownicą i będzie próbował ułatwić im życie. Taksówkarzom chyba się to podoba, ale on sądził, że jego deklaracja zostanie przyjęta bardziej entuzjastycznie. Zobaczymy, mówi krzyżówka, i odchodzi do swojego samochodu.

Czas mija niezwykle wolno.

Chociaż jeszcze nie pora na sjęstę, czuje się bardziej zmęczony niż po czternastogodzinnej zmianie. Może jego organizm w ogóle nie nadaje się do pracy w biurze? Może nie jest w stanie znieść braku zimnego piwa albo lekko ciepłej whisky. W końcu siada na szerokim parapecie z filiżanką kawy i wraca do lektury kryminału. Laryngolożka ma się spotkać z brytyjskim premierem w tajnym bunkrze na wyspie Man. Przed obiadem przebiera się w elegancką sukienkę, staje przed lustrem i przygląda się sobie. Poświęcono temu całą stronę. „Sukienka podkreślała moje uda, ich kształt jest wynikiem wielu lat ćwiczeń na stepperze, moje piersi są nadal atrakcyjne, chociaż jestem matką dwojga dzieci i nigdy nie korzystałam z pomocy skalpela. Wystarczył niewielki wkład z gąbki w beżowym staniku Victoria’s Secret”. Erhard czuje się trochę jak podglądacz i nie jest to przyjemne. Już ma odłożyć książkę, kiedy do drzwi puka Ana. Ma wiadomość od niejakiego Gilberta.

– Prosił, żeby przekazać, że Ruiz nic nie wie o samochodzie, o którym wspominałeś – mówi i patrzy na niego zdziwiona.

– Dziękuję. Chodzi o zakup nowych samochodów. Pomaga mi znaleźć odpowiedni model.

Ana kiwa głową i zamyka drzwi.



Erhard wyrzuca książkę do kosza. Przed oczami nadal ma lekarzę w staniku.

# Frachtowiec

7 lutego – 18 lutego

## 50

Erhard miał nadzieję, że Aaz zwróci uwagę na jego nowy samochód. Ale Chłopiec-Mężczyzna siedzi sztywny jak zwykle. Kiedy dojeżdżają do Las Dunas, Erhard opuszcza szybę i wtedy z ruchów Aaza wyczytuje, że jednak coś do niego dotarło. Opuszcza szybę inaczej.

Więc w końcu dorobiłeś się nowego samochodu.

– Podoba ci się?

Na pewno jest lepszy niż ten stary.

– Stary był w porządku.

Stary był okropny, od tych sprężyn bolała mnie dupa.

– Co to za język, młody człowieku.

Musisz przyznać, że ten jest lepszy. Klima lepiej działa. Silnik brzmi lepiej, nawet pachnie ładniej.

– Jest bardzo elegancki – przyznaję.

Jak się czujesz, przejmując pracę Raúla i jego samochód?

– Nie uważasz, że sobie na to zasłużyłem?

Nie zawsze dostaje się to, na co się zasługuje.

– Jeśli Raúl wróci, pięknie mu podziękuję i wrócę do swojej dawnej pracy i dawnego domu.

A jeśli nie wróci? Wtedy zostaniesz w tej okropnej pracy.

– Chyba jednak lepsza taka praca niż spędzanie wielu godzin dziennie w starym mercedesie, jeżdżenie po zakurzonych polnych drogach za pensję, za którą nie utrzyma się stary facet i dwie kozy.

Nigdy nie narzekałeś.

– Wierz mi, że często nie było mi do śmiechu. Dlaczego po tylu latach nie mogę...

Myślisz, że jeśli Raúl wróci, to będziesz w stanie przesiąść się do starego merca i wrócić na stare śmieci? Po tym, jak przez jakiś czas jeździłeś nowym samochodem i mieszkałeś w eleganckim mieszkaniu, popijając drogie wina? I bawiłeś się w lekarza z jego narzeczoną?

– To on to wszystko odrzucił. Co do tego chyba się zgadzamy. Musiałem zbierać po nim kawałki z podłogi. Zapewniam cię, że zawsze będę w stanie wrócić na stare śmieci. Merc nigdy nie był mój, więc jego już nigdy nie zobaczę, ale dom nadal stoi, jakbym po prostu był na wakacjach.

Więc pogodzisz się z wyprawdawką z mieszkania, pożegnasz z samochodem i luksusami i wrócisz do Laurela i Hardy'ego?

– Przez prawie dwadzieścia lat w moim życiu prawie nic się nie działo. Więc skoro teraz mam szansę, to dlaczego mam jej nie wykorzystać?

Przestaniesz ze mną jeździć?

– Skądże znowu. To najlepszy moment tygodnia – wieźć chłopaka, który gada tak, że zawsze się boję, że mi ucho odpadnie. Jak myślisz, dlaczego zgodziłem się na ten elegancki samochód?

Będziesz miał czas jeździć na plażę i oglądać latawce?

– Tak, Aaz. Pewnego dnia, kiedy twoja mama się zgodzi, pojedziemy oglądać latawce. Usiądziesz sobie na brzegu i będziesz pił herbatę, a ja spróbuję popływać na desce. To dopiero będzie widok.

Monika stoi przed domem, jakby czekała na nich już od jakiegoś czasu. Zrobiła omlet, który Aaz uwielbia. Stoi i paruje na stole. Pyta niepewnie Erharda, czy wejdzie. Widać nie uznała tego za coś oczywistego. Kroi omlet na

trójkąty i podaje z rozmarynem. Jedzą, wsłuchując się w śpiew kanarków w porcie. Erhard powiada Monice o tym, co się ostatnio działo.

Początkowo wydaje się urażona, ale potem zaczyna się z niego śmiać. Zna Palabrasów, nie przepada za nikim z nich. Kręci się na krześle, poprawia kwiatki z ogrodu, które stoją na stole w niewielkim wazoniku. Zrozumiała, że Erhard chce się wycofać z ich umowy, ale on ją zapewnia, że zamierza dalej wozić Aaza w każdą środę. Może nawet znajdzie czas, żeby czasem zabrać go na plażę. A może na pchli targ do Gran Tarajal. Monika siedzi i milczy, nadziewa na widelec małe kawałki omleta.

Po kolacji włącza telewizor, sadza przed nim Aaza w miękkim fotelu i pozwala mu oglądać program o żółwiu i rybce, która prowadzi pod wodą sklep.

Erhard pomaga jej zanieść naczynia do kuchni. Płucze talerze, odstawia na miejsce słoik z suszonymi pomidorami. Zagłądanie do cudzej lodówki to czynność intymna. Stara się nie rozglądać po półkach, patrzy przed siebie i prawie na oślep stawia słoik na środkowej półce. Myśl, że miałyby zyskać wgląd w jej drobne słabości: słoik z marmoladą, kawałki kokosa w małej torebce, korniszony w puszcze, jest trudna do zniesienia.

– Za pół godziny jedziemy – zwraca się do Aaza.

– Mam nadzieję, że dzisiaj to wyjątek – mówi Monika. – Miałam nadzieję, że zostaniesz na obiedzie.

Erhard obiecał, że zajrzy do salonu Autovenga i obejrzy dwa samochody. Wcześniej chciałby odwiedzić Aaza.

– Mogę wrócić po niego później – mówi. Ale okazuje się, że to nie rozwiązuje problemu.

– Zapomnij o tym. Jeśli chcesz, mogę cię zwolnić z obowiązków – rzuca Monika. Stoi w kącie obok lodówki i przed małym lusterkiem poprawia szminkę. – Poradzimy sobie bez twojej pomocy. Wcześniej też sobie radziliśmy.

Erhard nie wie, co odpowiedzieć. Jest przekonany, że mówi to, żeby go zranić. Nie wie, że pomaga Aazowi nie ze względu na niego ani ze względu na

nią, że robi to dla siebie. Ale nie mówi tego. To nie brzmi dobrze. Wychodzi na egoistę.

– Załatwiłem sobie wolne w środy po południu. Nadal będę mógł go wozić – mówi, chociaż tak naprawdę nie mówił nikomu, co robi w środy, poza tym nie chce nikogo o nic prosić, jak jakiś nastolatek, a już na pewno nie Marcelisa. Kiedy wychodził z biura, powiedział Anie, że jedzie do salonu Autovenga porozmawiać ze sprzedawcą. Co zresztą było zgodne z prawdą. Nie wspomniał o gratisowym kursie. Chyba wolno mu, do cholery, robić, co chce.

Monika parzy kawę we włoskim ekspresie. Erhard wypija ją w pokoju przed telewizorem, a ona wychodzi do ogrodu.

– Może mnie odwiedzisz w sobotę – rzuca Erhard, kiedy Monika żegna się z Aazem przez opuszczoną szybę. Wpadł na ten pomysł dosłownie przed chwilą. Może czuje się winny, a może nie, to bez znaczenia. Nie wie, co zrobi z Beatriz, może po prostu zamknie sypialnię, tak jak wtedy, kiedy zjawił się Emanuel. – Chciałem ci podziękować za to, że mogę spędzać czas z twoim synem, a przede wszystkim za pomoc przy komputerze.

Słyszy, jak Aaz mówi: Zgódź się, mamo, odwiedźmy go. A z drugiej strony ma nadzieję, że Monika odmówi, że wcale nie chce zbliżyć się do niego bardziej. Chociaż chętnie zobaczyłby się z Aazem. I z nią. W innych okolicznościach. Chce jej pokazać, że ma jej coś do zaoferowania.

– Jeśli będzie jakiś mecz piłki nożnej, Aaz będzie mógł go obejrzeć na dużym ekranie w moim telewizorze.

– Czy to aby rozsądne? – Monika wyraźnie się martwi.

Nie zaskakuje go to.

– Może i nie, bo jeśli Barça przegra, to Aaz pewnie rozniesie mieszkanie.

Monika się uśmiecha, ostrożnie, niepewnie.

– Mówiłeś serio?

Jej wątpliwości go wzruszają. Całe życie słyszy to pytanie. Sam zadawał je sobie wielokrotnie.

– Tak – odpowiada. Nie jest w stanie odpowiedzieć inaczej.

Monika patrzy na Aaza, który wygląda przez przednią szybę, jakby za oknem rozciągały się jakieś niezwykle widoki.

– No to chętnie przyjdziemy – mówi.

Erhard uśmiecha się do niej. Monika szybko odsuwa głowę od okna.

– Przyjedź po nas o dwunastej – rzuca.

Sądził, że będzie mu trudno powstrzymać się od picia. Ale to nic w porównaniu ze stresem i konsternacją, które przeżywa każdego ranka, kiedy Ana próbuje wspólnie z nim zaplanować dzień. Odbywają się zebrania kierownictwa, zarządu, zebrania miesięczne, zebrania przy kawie, zebrania z personelem, a przede wszystkim zebrania z klientami. No i spotkania z klientami, których należy podjąć dobrym obiadem, zanim zdecydują, którą firmę taksówkarską wybrać.

Ana tłumaczy, że spotkania mają się odbywać w jego gabinecie, przy małym okrągłym stoliku, albo na dole w restauracji Muñoz, kilkaset metrów od biura. Jedno z pomieszczeń jest tam całe wyklejone plakatami z walk byków i z butelkami sherry. Erhard nie ma w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. Boi się, że nie będzie potrafił się odpowiednio zachować. Nie ma dobrych manier, nie rozumie firmowego slangu. Boi się, że klienci będą go traktować jak marnego kierowcę i wdeptną go w ziemię. Denerwuje się, przed pierwszym spotkaniem z zastępcą szefa Gran Hotel & Spa Atlantis kilka razy wychodzi do łazienki. Ale zastępca szefa okazuje się młodym chłopakiem w jeansowej kurtce. Zamawiają sancocho. W Muñoz podają je z dużą ilością pieprzu, ale okazuje się jadalne. Erhard plami sobie koszulę sosem, usiłuje wytrzeć plamę papierową serwetką, co tylko pogarsza sprawę. Jego gość wydaje się dobrze bawić. Poprawia się na krześle, dłubie widelcem w talerzu i bez przerwy mówi. W przeszłości pracował w McDonalddie. Nie wie, ile jeszcze wytrzyma na wyspie. Zerka na komórkę, jakby czekał na ważną rozmowę. Zamawia piwo, Erhard też wypija jedno, myśli o Marcelisie. Zna hotel, często jeździł tam z klientami. Podjazd prowadzi pod górę, potem trzeba jeszcze pokonać strome

schody. Kierowcy zazwyczaj nie chcą wnosić bagażu. Pamięta, że czasem, po wniesieniu czterech czy pięciu walizek, też miał dosyć. Ale na to nic się nie poradzi, twierdzi zastępca szefa. Portier nie jest w stanie obsłużyć wszystkich gości, nie ma na to czasu, poza tym nie jest już pierwszej młodości, pracuje w hotelu od dwudziestu lat i teraz już głównie otwiera i przytrzymuje drzwi, przyjmuje napiwki i wygląda celebrytów. Hotel nie może go zwolnić. Jest wujkiem męża czyjejś żony.

– A jeśli nasi kierowcy zobowiążą się wnosić bagaże?

– Mieliśmy taką umowę. Młodym kierowcom się nie chce. A ci starsi, między innymi Alberto, nie są już w stanie.

– A jeśli mi się uda ich przekonać?

– Taxi Ventura podjeżdża w siedem minut, dacie radę w sześć?

Erhard wie, że to nieprawda. Gran Hotel & Spa Atlantis nie znajduje się w pobliżu niczego. W sąsiedztwie nie ma żadnych zabudowań, jest tylko nieciekawa plaża. Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby taksówka podjechała w ciągu siedmiu minut. Z północnej części Puerto, tam, gdzie taksówki zwykle stoją przez kinami, jedzie się do hotelu minimum jednaście minut.

– Jesteśmy w stanie podjechać w ciągu trzynastu minut – mówi.

Zastępca szefa się śmieje. Odpowiada okrągłymi zdaniami, mówi, że hotel dba o swoich gości, stara się sprostać ich oczekiwaniom, a nawet je wyprzedzać. Personel jest odpowiednio szkolony, docelowo ma obsługiwać średnio ponad trzy tysiące gości miesięcznie, latem nawet ponad osiem tysięcy. Taśma, jak w fabryce.

– Nie stać nas na to, żeby nasi goście czekali trzynaście minut na taksówkę.

Erhard się śmieje.

– Poczęstujcie ich filiżanką dobrej kawy za cztery euro, wtedy się wyluzują.

Tego zastępca szefa w ogóle nie brał pod uwagę. Pyta Erharda, co sam sądzi o swojej propozycji.

– Uważam, że jest realistyczna. Jeśli ktoś twierdzi, że da radę podjechać w jednaście minut, to jest nieodpowiedzialny.

– Marcelis Osasuna obiecywał mi to, kiedy spotkaliśmy się tu w zeszłym roku. Też jedliśmy sancocho. Muszę przyznać, że jesteście wytrwali.

– Nie jestem Marcelisem. Marcelis nic nie wie o prowadzeniu taksówki. Ale zna się na prowadzeniu firmy. Dlatego wysłał mnie na dzisiejsze spotkanie. Nie mogę obiecać, że taksówki będą podjeżdżać szybciej, ale przedstawiam wam realistyczną ofertę i zapewniam, że nasi kierowcy pomogą gościom wnieść bagaże.

Zastępca szefa nic nie mówi, podnosi szklanę, przygląda mu się.

– Przepraszam, ale skąd, do diabła, oni cię wygrzebali?

– Z Cotillo Beach – mówi Erhard.

Zastępca szefa się śmieje. Szczerze i zaraźliwie. Erhard do niego dołącza.

Po chwili do stolika podchodzi szef sali z deserem, na wpół roztopionymi lodami waniliowymi z brzoskwiniami z puszki.

– Kilka lat temu to był szczyt kulinarnych możliwości Fuerteventury. Nieciekawe jedzenie z puszki. Sancocho było w porządku, ale taki deser to plama na honorze lokalu. Jeśli chcemy przetrwać jako kraj turystyczny, musimy się bardziej starać. Wiesz, ile kiepskich recenzji ma ten lokal w TripAdvisorze? Ponad dziewięćdziesiąt. Dziewięćdziesiąt osób poświęciło czas, żeby napisać coś złego o tej gównianej dziurze, a wszystko dlatego, że siedzieli tu, grzebiąc łyżeczką w roztopionych lodach z brzoskwiniami z puszki za cztery i pół euro. Trzeba z tym walczyć. Za każdym razem kiedy ktoś coś schrzani, w Internecie ktoś inny się cieszy i przestrzega innych, żeby nie tracili czasu po to, żeby ich potraktowano jak idiotów.

Erhard wie, co ma na myśli, słyszał o tym, chociaż trudno mu w to uwierzyć. Z drugiej strony sam widział, jak Alina i Monika błyskawicznie znajdowały w sieci różne zdjęcia. Wszystko odbywa się tak szybko, trudno uwierzyć, że ludzie mają na to wszystko czas, ale najwyraźniej mają.

– Nie rozumiesz nic z tego, co mówię, prawda?

Erhard kiwa głową, ale nie zamierza się tłumaczyć.



– Fantastyczne – śmieje się zastępca szefa. – Naprawdę niesamowite. Wyglądasz jak pijaczyna trzy dni przed emeryturą. Siedzimy w jednej z najgorszych knajp na wyspie, a jednak udało ci się sprawić, że uwierzyłem, że nadal możemy współpracować i jeszcze nieźle na tym zarobić. Przekaż to swojemu szefowi.

– On nie jest moim szefem – mówi Erhard. – Nie należę do nikogo.

Zastępca szefa przestaje się śmiać.

– W porządku – mówi.

Lody waniliowe już się roztopiły, dopijają piwo.

Po tym pierwszym doświadczeniu Erhard zaczyna lubić spotkania z klientami. Chociaż nadal czuje się nie w porządku w stosunku do dawnych kolegów. Nie uważa, żeby jedzenie z kimś obiadu i picie piwa było pracą, ale spotkania idą mu dobrze. Prosi Anę, żeby odtąd rezerwowała mu stolik u Mizy, i chociaż wybór jest ograniczony do sałaty albo kanapki, uważa, że to lepsze niż to, co podają u Muñoza. Lepszy jest też widok. A poza tym u Mizy czuje się jak u siebie. Udaje mu się doprowadzić do podpisania pięciu umów, i wtedy po raz pierwszy coś idzie nie tak. Szefowa sprzedaży – Customer Experience Officer – z Oasis Park nie lubi rybackiej wioski Alapaqa, widać, że źle się czuje. Mówi, że wolałaby podpisać umowę z kimś, kto zna wyspę i szanuje jej kulturę. Erhard próbuje ją przekonać, że jest kimś takim, ale ona argumentuje, że ani on, ani Osasuna nie są stąd, poza tym Osasuna bywa nielojalny. W końcu okazuje się, że nie tylko jest już po rozmowie z Baroukim, ale też otrzymała już od niego korzystną propozycję. Erhard się poddaje. Miza słyszała urywki ich rozmowy. Przechodząc obok stolika, kładzie mu rękę na ramieniu.

W biurze też nagle zaczyna wyczuwać wrogość.

Pewnego ranka spotyka na korytarzu Marcelisa, pozdrawia go z daleka.

– Señor Castilla *I presume!* – wola za nim Marcelis.

Erhard domyśla się, co zaraz nastąpi. Castilla to główny bohater *El comisario*, najbardziej znanego hiszpańskiego serialu kryminalnego, pokazywanego co

czwartek w telewizji. Erhard oglądał kilka odcinków.

– Wiesz, że w umowie masz zastrzeżone, że nie możesz mieć innej pracy. Ja w czasie wolnym nie buduję domów.

Erhard wie, co ma na myśli.

– Palabras pozwolił mi zatrzymać kilku klientów.

– Nie chodzi mi o strojenie fortepianów. Tylko o twoje zacięcie detektywistyczne.

– Nie mam zacięcia detektywistycznego.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi, Jorgenson. Ludzie gadają. Ana coś mi wspomniała.

Erhard jest zdziwiony. Jemu nic nie mówiła.

– To nic takiego – mówi. – Taka układanka. Głównie o tym myślę. To nie jest praca, której poświęcałbym czas.

– Daj sobie spokój z układankami i zajmij się pracą – mówi Marcelis i znika.

Zanim Erhard zdąży coś powiedzieć, już go nie ma. Zastanawia się, czy nie powinien skontaktować się z Emanuelem i poprosić go, żeby przypomniał Marcelisowi, gdzie jest jego miejsce, ale wie, że jeśli mają dalej ze sobą pracować, to nie jest to dobry pomysł. Poza tym Emanuel na pewno powiedziałby to samo co Marcelis: Zajmij się pracą i zapomnij o przygodach.

Ci, którzy nie znają go dobrze, między innymi młodzi kierowcy, Mijael i Gustavo, nie mają problemów z zaakceptowaniem tego, że jest ich nowym dyrektorem. Ale Luís patrzy na niego spod oka i przestaje rozmawiać, kiedy nadchodzi korytarzem z kubkiem kawy z automatu. Pewnego popołudnia siada w pokoju śniadaniowym i zaczyna rozmawiać z kierowcami, którzy wpadają podczas sjeisty. Początkowo nic nie mówią, ale szybko zapominają, że Erhard jest jednym z dyrektorów, i zaczynają narzekać. Jak zawsze skarżą się na organizację i godziny pracy. Erhard słucha, a potem wraca do biura i robi listę tematów, które poruszali. Nic nikomu nie mówi, niczego nie obiecuje, ale kilka rzeczy zamierza poprawić. Zaczyna rozumieć, dlaczego kierownictwo nie zawsze może spełnić

życzenia kierowców, ale chce pokazać, że firmie nie są one obojętne, że zauważa, że są sfrustrowani. I że jeśli okaże się to możliwe, to i owo może ulec zmianie. Marcelis nie jest przeciwny ulepszeniom. O tym zdążył się już przekonać. Ale z drugiej strony Marcelis chciałby, żeby było więcej wozów na ulicach, nie lubi, kiedy kierowcy spędzają czas przy maszynie do kawy czy na masażu. Brak turystów i rosnące ceny benzyny nie poprawiają sytuacji.

Kiedy siedzi w gabinecie, słucha na małym tranzystorze Radia Mucha, przegląda teczki z dokumentami, z kontaktami, umowami, sprawdza dawne sprawozdania finansowe, żeby wiedzieć, na co ile się wydaje. Ana i Marcelis postawili na komodzie globus, jakby firma miała światowy zasięg. Przekręca go i wyszukuje na morzu niewielką plamkę. To Fuerteventura. Inna plamka podobnej wielkości, tuż nad Niemcami, to Dania. Kiedy nie ma w planach żadnych spotkań, idzie do łazienki i czyta.

## 51

W sobotę budzi się na kanapie jeszcze przed wschodem słońca. W ubraniu z piątku. Może obudziło go światło, niebiesko-fioletowa szczelina między czarnym niebem a morzem. Budzi się i ma wrażenie, że jest Raúlem. Że stał się Raúlem. Może był nim we śnie, a teraz nie może się uwolnić od tej myśli. Nie chce być Raúlem. Nie chce żyć jak on. Chociaż nie ma nic przeciwko temu, żeby być w jego wieku, mieć jego lekkość i beztroskę, traktować życie jak taniec. Chciałby też, żeby Beatriz patrzyła na niego tak, jak patrzyła na Raúla, kiedy opowiadał różne historie, filozofował na temat morza czy wygłaszał komentarze na temat wina.

Ale nie chce być nim takim, na jakiego patrzyła ze strachem. Jak przed chwilą, we śnie, kiedy leżała pod nim naga i krzyczała. Jedna pierś jej podskakiwała, druga z jakiegoś powodu sterczała. Krzyk brzmiał jak suchy jęk sznura owijanego wokół pala. Jest Raúlem, jego ręce są owłosionymi rękami

Raúla, owłosionymi do tego stopnia, że nie widać skóry, uderza w nią z obu stron, jakby uderzał w piniatę – i bierze ją. Ona krzyczy, nie, płacze, i modli się, Santa Maria. Erhard nie pamięta, czy jest katoliczką, nie, nie chodzi do kościoła, nigdy nie widział jej w pobliżu żadnego kościoła, a więc nie modli się, mamrocze tekst popularnej piosenki, którą Raúl uwielbia. *Only When You Leave, I Need to Love You*. Przystaje mówić. Erhard liczy swoje ręce, ma ich wiele. Osiem, może nawet dziewięć, macha nimi i wtedy Beatriz znika.

Nie potrafi się zmusić, żeby wejść do niej, do sypialni. Ciało, które tam leży, jest tak różne od ciała, które przed chwilą widział we śnie, że nagle czuje ulgę, ale też ból. We śnie była zniszczoną duszą maszyny do seksu, w rzeczywistości jest duszą w potrzebie w zniszczonym ciele. Nie włącza światła, zmienia worek, obraca ją w ciemności, nie patrząc na jej twarz. Nie chce widzieć jej oczu, nic niewidzących porcelanowych gałek, nie chce widzieć jej twarzy, której mięśnie się rozeszły.

Idzie nad morze. To najlepszy moment dnia, jeśli ktoś chce sobie przypomnieć, jak miasto wyglądało kiedyś. Mewy śledzą bacznie poustawiane jeden na drugim kawiarniane stoły, na ławce pod kwitnącym drzewem kłóci się jakieś małżeństwo, młody mężczyzna grabi piasek i ustawia leżaki w równym rzędzie. Na wodzie kawałek od lądu widać rybaków, pojedyncze sylwetki, zawsze wcześniej na nogach, żeby móc pokazać, że wykonują jakieś czynności przypominające pracę, żeby potem z czystym sumieniem upić się jeszcze przed drugim śniadaniem. Erhard śledzi wzrokiem jeden z kutrów. Właśnie wpływa do portu. Kołysze nim wiatr. Gdyby to był samochód, można by powiedzieć, że wpadł w lekki poślizg. Na Wydmach wiatr potrafi rozkołysać samochód, niemal zmieść go z drogi. Erhard rozmyśla się i rusza do portu. To najlepszy moment, jeśli chce się porozmawiać z kimś, kto zna się na pływach i wie, jak morze potrafi poprzestawiać nawet bardzo ciężkie przedmioty.

Widzi, jak kuter lawiruje między pomostami i przybija do nabrzeża, obok innych kutrów. Wszystko odbywa się w ciszy. Przygląda się ludziom stojącym na pokładzie, usiłując dociec, kto jest kapitanem albo przynajmniej wygląda na

najbardziej doświadczonego. Chyba ten w chustce na głowie albo ten drugi, w jaskrawopomarańczowym kombinezonie. Wybiera tego w chustce. Stoi na pomoście i płucze jakieś szare skrzynki.

– Kto jest kapitanem twojej łodzi?

– A kto pyta? – odpowiada mężczyzna, nie patrząc na niego.

– Ciekawska dusza.

– O szóstej rano niewiele tu takich.

– Jest już prawie wpół do ósmej. Ty jesteś kapitanem?

Mężczyzna się śmieje i wskazuje na łódź. Na samym czubku jego palca w niewielkim kokpicie stoi młody mężczyzna, notuje coś na kartce. Stoi trochę z boku, silnik kutra nadal pracuje.

– Mam pytanie do kapitana! – krzyczy Erhard.

Mija chwila, zanim jego głos dociera do człowieka w kokpicie. W końcu jednak podnosi głowę, patrzy na Erharda. Ma czerwoną opaloną twarz i białe oczy, jakby wyblakłe od słońca. Erhard rozpoznaje go. Chłopak dorastał w porcie w Corralejo, razem z innymi sprzedawał ryby na ulicy, biegał nago po skałach i pokazywał turystom kraby, i płakał, kiedy spuszczano na wodę tratwę z najświętszą panienką, bo tam, na morzu, zginął jego ojciec. On też pewnie kiedyś tam umrze. Młody rybak ze starej szkoły, dziecko wyspy. Wychodzi z kokpitu, podaje Erhardowi rękę.

– Polo – przedstawia się.

Erhard przygląda mu się, widzi, że druga strony jego twarzy jest spłaszczona, jakby go kiedyś uderzyło coś płaskiego. Przedstawia się.

– Mam pytanie do tego z was, który ma największe doświadczenie na morzu.

– Rozgląda się, oczekuje, że któryś z mężczyzn podniesie wzrok.

– Możesz spytać mnie – mówi Polo.

Nagle Erhard nie wie, jak sformułować pytanie tak, żeby się nie roześmiał.

– Spodziewam się, że widziałeś już wiele. Ja jestem tylko nędznym krabem lądowym, który trafił na wyspę przez przypadek. Nie wiem nic o morzu, o wodzie.

Polo patrzy na niego. Milczy.

– Zastanawiam się, co najdziwniejszego widziałeś pływającego w morzu. W gazetach piszą ostatnio o ogromnej plastikowej wyspie unoszącej się na morzu na zachód od Hawajów. Widziałeś kiedyś coś, co cię zdziwiło?

Polo patrzy na niego, jakby próbował zgadnąć, dlaczego go o to pyta.

– Chodzi ci o martwych ludzi? Na przykład o syna tego bogacza, którego szukają od tygodnia?

Erhard jest w szoku: uświadamia sobie, kogo ma na myśli.

– Nie, nie o nim myślałem. Ale tak przy okazji... widziałeś go? Wiesz, czy policja coś znalazła?

– Nie. Nic nie widziałem. Powiedziałem to policji. Nic nie widzieliśmy. Żaden trup nigdy się nie złapał w nasze sieci.

– A inne rzeczy? Kawałki domów? Przyniesione przez zeszłoroczne tsunami? Samochody?

– Widzieliśmy różne dziwne rzeczy, prawda? – mówi Polo, a pozostali mruczą coś pod nosem. – Ale nie zapisujemy tego. Morze skrywa wiele tajemnic i wiele różnych rzeczy. A my jesteśmy rybakami, nie poszukiwaczami wraków.

– Ale sam przyznajesz, że na falach unoszą się czasem różne rzeczy. Nie tylko kawałki drewna i gumowe materace.

Polo wzrusza ramionami.

– Na przykład co? – pyta.

– Na przykład samochód, który w jakiś sposób trafił do wody. Zdarza się chyba, że morze wyrzuca go wiele kilometrów dalej albo...

Polo się śmieje. Od początku przeczuwał, do czego zmierza.

– Ale to chyba możliwe? – kończy Erhard.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem, co to to nie – mówi Polo.

Erhard patrzy na pozostałych mężczyzn, może któryś z nich chciałby coś dodać.

Po chwili znów odzywa się Polo:

– Wiele lat temu mój wuj zarzucił sieci niedaleko Morro i zahaczył o ciężarówkę, tuż pod powierzchnią wody. Twierdził, że nic nie było widać. Mało kto mu wierzył, a on dostawał piany na ustach. Twierdził, że pamięta tabliczkę z logo Transo Viajes. Kiedy o nią zahaczył, od razu poszła na dno, a on musiał naprawiać łódź. Sporo go to kosztowało. Ubezpieczenie nie wypłaciło mu odszkodowania. Nie uwierzyli mu.

Mężczyźni na pokładzie się śmieją, chociaż słyszeli tę historię już wiele razy. Polo patrzy na Erharda.

– Więc może jednak samochód może się unosić na falach, kto to wie.

Mężczyźni wracają do pracy, układają skrzynki na przyczepie, która później zawiezie je dalej. Erhard dziękuje im skinieniem głowy i wraca do portu. Kiedy jest już po drugiej stronie portowego basenu, słyszy, że Polo woła za nim:

– Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz. Wuj już nie żyje, ale na pewno by się ucieszył, gdyby się okazało, że jednak miał rację – mówi i wykonuje znak na piersiach.

Erhard wie, co to znaczy.

Sceptycyzm rybaków sprawia, że Erhard czuje, że ma rację. Chociaż obawia się, że może to jego cholerna przekora, która nie pozwala mu uznawać żadnych autorytetów, znów daje o sobie znać. Jeśli ktoś twierdzi, że samochód nie mógł wypłynąć na plażę z morza, to on jest niemal pewien, że tak właśnie było. Że samochód nie zjechał na plażę z drogi, tylko fale wyrzuciły go na brzeg. Idzie po piasku i patrzy na swoje stopy. Dociera aż do hotelu Olympus, nieudanego projektu budowlanego. Dochodzą go pijackie okrzyki i szczekanie psów. Z płaskiego szczytu wzgórza, na którym pierwotnie miał się znajdować luksusowy basen, rozciąga się widok na miasto: widać białą linię domów, przerwana jedynie zieloną fasadą muzeum rybołówstwa z ogromną ośmiornicą obracającą się na słońcu.

W niewielkim HiperDino kupuje chleb i kilka plasterków cienko pokrojonej szynki. Nakrywa do stołu. Wyjmuje też butelkę czerwonego wina, ale szybko

odnosi ją z powrotem. Czerwone wino Raúla. Na pewno śmiesznie drogie. Nie ma pojęcia, czy Monika lubi wino.

W sobotę przebiera Beatriz. Ma dwa dresy na zmianę. Kiedy przebierał ją pierwszy raz, czuł się dziwnie, teraz ma wrażenie, że przebiera śpiące dziecko. Nie idzie mu dobrze. Na jej ustach, w miejscu, gdzie ustnik respiratora dotyka wargi, pojawiła się niewielka ranka. Wyjmuje ustnik, Beatriz oddycha spokojnie, równo, normalnie. Wyłącza respirator, przywiązuje rurkę z kablami do statywu. Michel sam proponował, żeby co jakiś czas pozwolić jej oddychać samej, dzień, może dwa. Erhard zostawia zapaloną lampkę, ale drzwi zamyka na klucz.

Potem się kąpie i wkłada czyste ubranie. Zanim włoży bluzę, goli się. Maszynka charczy, zacina się, ale skórę ma potem białą i gładką. Tak gładką, jak to możliwe, jeśli wziąć pod uwagę zmarszczki i dziwne worki w okolicach szczęk. Nie lubi, kiedy jest tak gładko ogolony, ale jest pewien, że Monika właśnie takiego go woli. Wygląda na takiego, jaki jest: stary mężczyzna ze zmęczonymi oczami.

Wychodzi z domu i jedzie po nich. Zastanawia się, czy nie pojechać najpierw po Aaza. I dla towarzystwa, i dlatego, że trochę się obawia siedzieć w wozie sam z Moniką. Ale w chwili kiedy ma skręcić w drogę prowadzącą wokół góry do zakładu Santa Marisa, rozmyśla się i jedzie prosto, w kierunku Tuineje.

Podjeżdża pod dom i trąbi raz klaksonem. Monika wybiega z domu i wpada do samochodu, jakby padał deszcz. Potrząsa głową, stawia torebkę między nogami. Nie sądzi, żeby zauważył, że ma na sobie sukienkę i buty na wysokich obcasach. Ma też rajstopy, co rzadko się zdarza na wyspie, głównie ze względu na piasek i wysokie temperatury. Ale Monika jest inna, Erhard to wie. Niekiedy wydaje mu się nawet, że jest bardziej obca niż on.

Monika dziwi się, że nie ma Aaza.

– Nie chciałem go męczyć długą podróżą – mówi Erhard, chociaż oboje wiedzą, że Aaz uwielbia podróże. Im dłuższe, tym lepsze.

Jadą przez Antigüę, mijają fabrykę szkła z dwoma charakterystycznymi kominami. Erhard woził różnych ludzi, ale dziwnie się czuje, jadąc z nią



samochodem bez licznika. Nie słyszy głosów z centrali, śmiechu dziewczyn, szarosrebrny samochód jest cichy, surowo milczący. Jeśli chce jej powiedzieć o chłopcu w pudełku, to jest to właściwy moment. Właściwie jest jej to winien. Przecież to ona pomogła mu znaleźć zdjęcia z plaży. I kawiarnię. Ale może ona wcale nie chce tego słuchać? Może uzna, że to sprawa dla policji. Nie może się zdecydować.

– Zawsze jesteś taki rozmowny, kiedy prowadzisz? – pyta Monika po kilku minutach w ciszy.

Erhard się śmieje.

– Lubię milczących facetów – stwierdza Monika. – Kiedyś myślałam, że Aaz nie będzie mówił, ale okazało się, że potrafi, wiedziałeś o tym? Często mówi coś przez sen albo woła coś, kiedy ogląda program w telewizji, na przykład kiedy żółw robi coś innego niż zwykle. Ma wysoki głos, pewnie uznałbyś, że sopran. Kiedyś mówił bez przerwy. Do mnie, do ptaków, do ludzi, którzy do nas wpadali. Aż nagle pewnego dnia. Koniec. Przestał mówić.

Erhard zerka na nią.

– Może coś zobaczył albo usłyszał – ciągnie Monika. – Pewnego dnia obudziłam się i zobaczyłam, że leży obok mnie i płacze. To było jeszcze zanim trafił do Santa Marisa. Miał pięć lat. Po prostu płakał. Bez łez. Nie wydając żadnego dźwięku. Zaczęłam go pocieszać. Gładziłam po włosach, coś nuciłam. A potem – koniec. Od tamtej chwili już nigdy nic nie powiedział. Próbowałam... ale on nie chce. Może nie jest w stanie. Może mówienie stało się dla niego za trudne.

Erhard zastawia się, czy powiedzieć jej, że rozmawia z Aazem. Że na swój sposób rozmawia z nim co tydzień od wielu miesięcy.

Dojeżdżają do końca stromej uliczki prowadzącej obok Santa Marisa. Erhard czuje na sobie wzrok Moniki. Aaz stoi przed furką, w ręku trzyma torbę. Patrzy przed siebie, jakby nie miał na czym skupić wzroku. Kiedy podjeżdża samochód, spogląda na Monikę na siedzeniu pasażera, a ona szybko przesiada się na tył.

Monika jest pod wrażeniem mieszkania. Na to zresztą liczył. Klaszcze w dłonie, chodzi po salonie, dotyka wszystkiego, jakby wszystko było dziełem sztuki. Przesuwa palcem po książkach – są to książki głównie Raúla, uzupełnione książkami Erharda. Tłumaczy jej, że rzeczy Raúla złożył w sypialni, dlatego drzwi do niej są zamknięte. Monika przyjmuje wyjaśnienie, wychodzi na taras, wygląda na biegnącą w dole ulicę, woła do Erharda, który jest w kuchni, że jeszcze nigdy nie była tak wysoko. Erhard nie do końca rozumie, o co jej chodzi, ale zakłada, że po prostu jeszcze nigdy nie była w tak wysokim budynku. Aaz spędza pół godziny w łazience: szklana ściana kabiny prysznicowej robi się matowa, kiedy zamyka się drzwi. Erhard szykuje kanapki, Monika kończy nakrywać do stołu, a Aaz siedzi przed wielkim telewizorem i zmienia kanały. Erhard nawet nie wiedział, że jest ich aż tyle. Niestety serial o żółwiu jest nadawany tylko o wpół do pierwszej i tylko na TV Canaria.

Kiedy jedzenie jest na stole, Aaz nie chce odejść od telewizora. Monika przenosi wszystko na stolik obok kanapy. Ona i Erhard siadają na kanapie, Aaz zostaje na podłodze z miseczką krążków ośmiornicy. Jego olbrzymie ciało rozciągnięte na dywanie sprawia, że pokój wydaje się mniejszy. Monika zaczyna coś mówić, ale mówi cicho, nie chce zagłuszać płynących z telewizora głosów laleczek. Opowiada o pracownikach Santa Marisa, którzy nie życzą sobie odwiedzin w niedziele. O pokojach z piętrowymi łózkami, w których zwykle mieszkają cztery osoby, tylko najbardziej uciążliwi pacjenci mogą liczyć na własny pokój, w żadnym nie ma okna, które można by otworzyć. Wieczorami wszędzie słychać jakieś głosy, szepty, jakby były tam duchy, tak zresztą kiedyś utrzymywano. Aaz powinien spać z kimś dorosłym, kto by go trzymał za rękę, ale w pokoju jest tylko dyżurny, który pilnuje, żeby nikomu nic się nie stało i w razie potrzeby odprowadza do łazienki. Erhard słucha jednym uchem, ale nie podoba mu się to, co słyszy. Czuje wręcz fizyczny dyskomfort. Odkłada na bok szynkę, zjada tylko pomidora.

Razem sprzątają ze stołu. Tak jak u Moniki zanoszą wszystko do kuchni, tyle że żadne z nich nie wie do końca, gdzie co ma stać.

- Słyszałam, że bawisz się w policjanta.
- Co? – mówi Erhard i patrzy na Aaza.
- Na wyspie jest tylko jeden Eremita. Ludzie mówią, że Eremita wykonuje robotę policji.
- Jacy ludzie tak twierdzą?
- Ludzie. Miejscowe matki. Kobiety mają mężów, każdy zna kogoś, kto słyszał o chłopcu na plaży.
- Rozpytywałem trochę tu i ówdzie, ale nie bawię się w policjanta.
- Wszyscy mają nadzieję, że znajdziesz jego matkę, ale...
- Nie szukam jego matki. Chcę tylko rozwiązać zagadkę, tak jak inni rozwiązują krzyżówki albo te chińskie szarady w gazetach.
- Więc czemu po prostu nie kupisz gazety?
- Coś musiało się jej przydarzyć. Nie porzuca się dziecka bez powodu.
- To się zdarza. Czasem, kiedy sytuacja nas przerasta, mamy ochotę wszystko rzucić.
- Do czego zmierzasz?
- Może się okazać, że matka wcale nie zasłużyła na bycie matką. Może to dobrze, że się utopiła albo została zabita.
- Tak mówią ludzie?
- Jeśli policja odłożyła sprawę na półkę, to dlaczego sądzisz, że tobie uda się ją rozwiązać?
- Boisz się, że coś się stanie Aazowi?
- Możesz zadrzeć z niewłaściwymi ludźmi. Aaz bardzo cię lubi. Nie wiesz o tym?
- Jest coś, o czym mi nie mówisz?
- Ja nic nie wiem. Po prostu martwię się o Aaza.
- To nie ma nic wspólnego z Los Tres Papas, jeśli tego się obawiasz. Tu chodzi tylko o dziecko, nie o dostawę prochów.
- Wiesz, jak się sprawy mają na wyspie.

Ktoś puka do drzwi. Erhard patrzy na Monikę, jakby miała wiedzieć, kto tam stoi. Na pewno ktoś, komu udało się ominąć domofon. Oby tylko nie był to Emanuel Palabras. Erhard wychodzi do przedpokoju, nasłuchuje, słyszy jakieś trzaski, szelest. Ktoś tam jest. Otwiera.

– Cześć! – Jakby się znali od dawna. Na klatce stoi krótko ostrzyżona prawie blondynka, jedna z hiszpańskich piękności wzorujących się na Marilyn Monroe, które jednak w pewnym momencie się poddają, bo ciągle farbowanie włosów jest nie tylko pracochłonne, ale i drogie. Ma na sobie czerwony top i jeansową spódniczkę, jasne rajstopy i lakierki na co najmniej dziesięciocentymetrowych obcasach. – Jestem twoją nową sąsiadką z dołu – przedstawia się.

Erhard jeszcze nigdy jej nie widział. Bo na pewno by ją zapamiętał.

– Dzień dobry.

– Pomyślałam, że zaproszę cię na kieliszek wina i coś do jedzenia, żebyśmy mogli się lepiej poznać.

– Ja też mieszkam tu od niedawna – mówi Erhard i nagle uświadamia sobie, że jeśli takie są tu zwyczaje, to już dawno powinien zaprosić sąsiadów na tapas i wino.

– Dlatego to ja cię zapraszam.

– Mnie?

– Tak, na kieliszek wina, nic zdrożnego.

Ale dziewczyna wcale nie sprawia wrażenia niewinnej. Uderza go jej rosyjski akcent i seksapil. Ma ochotę jak najszybciej zamknąć drzwi, żeby Monika jej nie zobaczyła.

– Niestety nie mogę – mówi. – Mam gości.

– No to może kiedy indziej – dochodzi go jej głos zza drzwi.

Czuje, że ma erekcję, jest zły. Co się, do cholery, z nim dzieje?

– Sąsiadka z dołu? – pyta Monika. Najwyraźniej słyszała rozmowę.

– Tak, niedawno się wprowadziła.

– Trzeba było ją zaprosić.

– O nie. Wyglądała jak prostytutka, która szuka klienta.

– I co z tego? Chyba nie pierwszy raz widziałeś prostytutkę – mówi Monika i czeka na jego reakcję.

– Aaz zjadłby ze wstydu swoje policzki – mówi Erhard. – Gdybym zaprosił ją do środka, nie byłoby mowy o oglądaniu żadnego meczu.

Monika patrzy na niego, śmieje się. Staje przed nim i kładzie mu ręce na ramionach, Erhard wpatruje się w jej twarz. Wygląda na zmęczoną i zniszczoną. Jak jego twarz.

– Spokojnie – mówi. – Nie jestem policjantem. Mam wystarczająco dużo pracy jak dyrektor firmy taksówkarskiej.

Jej twarz trochę łagodnieje.

Erhard idzie do salonu, zmienia kanał, Aaz jest niezadowolony. Mecz jeszcze się nie zaczął, a on już jest zmęczony. Przynosi butelkę drogiego czerwonego wina, otwiera je mimo protestów Moniki.

– Nie, nie trzeba.

Jakby zaczął ją rozbierać na oczach syna.

Nalewa wina, Monika wypija łyk, krąży między kanapą a balkonem, mówi coś o roślinach w doniczkach, mają za sucho. Erhard w ogóle nie zwrócił na to uwagi. W końcu Monika siada na jednym końcu kanapy, nie rozsiada się wygodnie jak Erhard, tylko siedzi sztywna, ze złożonymi razem nogami, jakby coś ją bolało albo jakby musiała pilnie oddać mocz.

Oglądanie meczu w towarzystwie Aaza jest przyjemne, bo Aaz cieszy się głośno za każdym razem, kiedy Barcelona przejmuje piłkę. Podnosi do góry ręce i mówi, że mają biec szybko, bramka jest pusta, dlaczego nikt się nie rusza. Irytujące jest natomiast to, że nie zawsze wie, którzy gracze należą do Barcelony, jeśli nie mają na sobie fioletowych koszulek. Ale co tam, Erhard też nie zawsze to wie. Fioletowe koszulki wygrywają dwa do zera.

Potem odwozi ich do domu. Monika odprowadza Aaza do zakładu. Zanim znika w drzwiach, posyła Erhardowi błagalne spojrzenie: niech nie odjeżdża bez niej. Jakby w ogóle przyszło mu to do głowy. Zwraca uwagę, że niektóre litery

na tabliczce z nazwą zakładu są zniszczone i niemal niewidoczne. Można by pomyśleć, że zakład nazywa się Święte Morze.

Monika wychodzi i wsiada do samochodu. Po pożegnaniu z synem jest smutna. Erhard próbuje wyobrazić sobie, jak się czuje, kiedy zostawia tak swoje dorosłe dziecko. Może dręczą ją wyrzuty sumienia. Może cierpi, że nie ma dziecka, którego tak bardzo pragnęła.

Jadą powoli na południe, nie odzywając się do siebie. Słońce zachodzi. Szczególne światło, przefiltrowane przez kurz i morską parę, niemal zielone, wciska się między niebo a morze, tak że człowiek ma wrażenie, że niemal unosi się w powietrzu. Może to dlatego milczą. Podróż trwa zdecydowanie za krótko, już po chwili jadą wąską drogą prowadzącą do domu Moniki. Opony trzeszczą na żwirze, samochód się zatrzymuje. Erhard żałuje, że nie może zacząć tej podróży od początku, w lepszym nastroju. Ma ochotę opowiedzieć jej o swoim śnie. Wytłumaczyć, dlaczego jest taki zgaszony. Ale nie potrafi. Poza tym tak naprawdę to nie ma nic wspólnego z jego snem. Taki już jest i nie zmieni tego.

– To był bardzo miły dzień – mówi Monika. – Aaz jest zadowolony, to się czuje.

– Jego drużyna wygrała, więc się cieszył.

– Smakowały mu krążki ośmiornicy.

– To prawda, z nich też się cieszył.

Monika się uśmiecha.

– Nigdy nie jedliśmy poza domem. To był pierwszy raz.

Erhard spuszcza głowę. Nawet o tym nie pomyślał.

– Ja też jeszcze nigdy nie podejmowałem gości, więc dobrze się składa – mówi.

– Masz sąsiadkę, którą możesz zaprosić.

– Nie stać mnie na to – próbuje żartować Erhard.

– Denerwowałeś się? – pyta Monika.

– Dzisiaj? Nie.

– A ja tak. Nie spałam w nocy. Martwiłam się, co będzie, jeśli Aaz dostanie ataku podczas lunchu. Albo jeśli zniszczy ci dywan. Czasem zdarza mu się posikać.

– Mnie też.

– Dziękuję, że mnie słuchałeś – mówi Monika i wysiada.

– Byłaś ze mną szczerą, powiedziałaś mi, co myślisz.

Monika stoi, drzwi samochodu są otwarte, ale Erhard nie widzi jej twarzy.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Erhardzie. – Po raz pierwszy wymawia jego imię. Brzmi jak: Herrardzie. – Nie zapominaj o tym. Nawet jeśli nie uda ci się odnaleźć matki tego chłopca. Niestety w moim życiu nie ma miejsca dla mężczyzny. Ze względu na Aaza. Na pewno to rozumiesz.

Odwraca się i idzie do domu.

Zabija coś, co jeszcze się nie narodziło.

## 52

Erhard ma nadzieję, że znajdzie Marcelisa w biurze i będzie mógł z nim porozmawiać o dwóch samochodach, które wybrał. Na umowie leasingowej zostało wpisane nazwisko Osasuna, brakuje tylko podpisu.

Erhard nie widział go od czasu ich krótkiej rozmowy na korytarzu w zeszłym tygodniu. Drzwi do gabinetu są zamknięte, ale Ana najwyraźniej jest w środku. Erhard słyszy stłumione głosy. Stoi i nasłuchuje. Ma wrażenie, że ktoś przesuwa meble, a potem słychać szelest papieru, czy może raczej niszczarki do dokumentów. Ma wrażenie, że po drugiej stronie ktoś opiera się o drzwi. Dopiero po chwili dociera do niego, że to nie niszczarka rzeźbi, tylko Marcelis jęczy. On i Ana stoją po drugiej stronie drzwi i się pieprzą.

Erhard chowa książkę do teczki i rusza przed siebie, idzie przez budynek, jakby się spieszył na spotkanie.

Sprzedawca samochodów właśnie je drugie śniadanie.

– Nie przeszkadzaj sobie, dokończ spokojnie – mówi Erhard i siada przy niewielkim stoliku w niewielkiej kuchence, która pełni też funkcję jadalni.

– Klientom nie wolno tu przebywać.

– W porządku.

Gilberto rozgląda się, jakby jeszcze nigdy się nad tym nie zastanawiał. W kącikach ust ma resztki majonezu.

– Przyszedłem, bo chciałem, żebyś wyświadczył mi przysługę.

– Aha... – mówi Gilberto z pełnymi ustami.

– Chciałem, żebyś zmienił umowę tak, żebym ja mógł ją podpisać. Zamiast Osasuny – mówi i pokazuje na umowę.

– Nie mogę, i dobrze o tym wiesz – Gilberto łapie powietrze jak ryba.

– Chcesz powiedzieć, że podpis Osasuny widnieje na wszystkich umowach? – Erhard nie wie tego na pewno, ale spojrzenie Gilberta zadaje się to potwierdzać.

– Czy to znaczy, że jeśli pewnego pięknego dnia postanowi pożegnać się z firmą, zabierze ze sobą wszystkie samochody?

– Niekoniecznie, musi... – zaczyna Gilberto.

– Zastanawiałeś się, co Emanuel Palabras na to powie?

Gilberto wygląda na zmieszanego. Po chwili w jego oczach pojawia się panika.

– Nie mogę zmienić umów. Nie ja je sporządzałem. Musisz porozmawiać z moim szefem.

– Zastanawiałeś się, co Emanuel Palabras na to powie?

Gilberto rzuca kanapką.

– Nie mogę zmienić umów. Tak po prostu jest. Czy Palabrasowi się to podoba, czy nie.

Erhard wie, że Gilberto pewnie rzeczywiście nie może niczego zmienić. Spuszcza wzrok, patrzy w stół, jakby się zastanawiał.

– Może przynajmniej będziesz mógł mi powiedzieć kilka rzeczy? – pyta.

Gilberto patrzy na niego, jakby czekał.

– Co masz na myśli? Ludzi? Firmy?



– Kto jest waszym dostawcą? Jedna duża firma? Kilka mniejszych? Skąd pochodzą samochody?

– Czemu pytasz?

– Interesuje mnie import samochodów, ujmijmy to w ten sposób.

– Czy to ma coś wspólnego z chłopcem?

Erhard przestał się już dziwić, że niemal wszyscy wiedzą o jego poszukiwaniach. A jednak nie spodziewał się, że plotki zatoczyły aż tak szeroki krąg.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo... bo żona mi mówiła, że jakiś zwariowany Skandynaw szuka matki chłopca. Wszystkie kobiety na mojej ulicy o tym mówią.

– I sądzisz, że chodzi o mnie?

Gilberto spuszcza wzrok.

– Ja nic nie sędzę. Ale jesteś jedynym Skandynawem, jakiego znam.

– Masz rację, to ja.

Gilberto oddycha z ulgą.

– Chętnie ci pomogę. Nie o to chodzi. To dobrze, że chcesz znaleźć jego matkę. Nie powinno jej się upiec. Tylko...

Erhard zauważa, że obowiązuje dwie wersje zdarzenia. W jednej matka jest morderczynią, która zabiła własnego syna. W drugiej oboje, ona i jej syn, są ofiarami przestępstwa. Nie potrafi powiedzieć, która bardziej do niego przemawia. Jest jednak przekonany, że w pewnym momencie prawda wyjdzie na jaw. Postanawia pozostać otwarty na wszelkie ewentualności.

– No więc kto odpowiada za transport samochodów?

– Na wyspie? Importaciones Juan y Juan.

– A nie tylko na wyspie, ale w ogóle na wyspach i na lądzie?

– Nie wiem, jest dużo różnych firm.

– Mógłbyś się dowiedzieć?

– Może. Teraz?

– Jeśli możesz.

Gilberto podnosi się z trudem. Wychodzi z kuchni, Erhard idzie za nim. Przechodzą przez plac, na którym stoi kilka samochodów, pozbawionych drzwi i opon.

– Interesuje cię taki złom? – pyta Gilberto, kiedy widzi, że Erhard przygląda się jednemu z samochodów. – Miałbyś ochotę zabawić się w mechanika?

– Ile? – pyta Erhard, nie żeby rzeczywiście chciał się bawić w mechanika, po prostu zastanawia się, czy nie kupić go do warsztatu.

– Te są po sto euro, tamten za pięćdziesiąt.

– Co mu jest? Wygląda całkiem porządnie.

– Jakiś wariat zamontował mu silnik od kosiarki. Jeśli masz syna, to pewnie będzie zachwycony.

– Nie, dziękuję.

Idą przez halę, w której mechanik, ten, który wcześniej wskazał Erhardowi drogę, siedzi i pali cygaro. Gilberto macha ręką, broni się przed dymem.

– Zostaliśmy trochę w tyle, jeśli chodzi o zakaz palenia – mówi. – Gdybyśmy dzisiaj wprowadzili taki zakaz, jutro zostalibyśmy bez mechaników. Przykro mi.

Gilberto siada na zniszczonym krześle biurowym i zaczyna coś pisać na komputerze. Przesuwa myszą po blacie i zżyma się na coś, czego Erhard nie widzi.

– Chyba będzie łatwiej, jeśli sam na to spojrzysz – mówi. Odwraca się na krześle i sięga po małą czerwoną książkę. – Katalog firm. Przysyłają nam go raz do roku, ale dane powinny być aktualne.

Przez najbliższych kilka dni Erhard dzwoni do firm z katalogu, który dostał od Gilberta. Krótkie, nieprzyjemne rozmowy. W zasadzie wszyscy reagują niemal wrogo, może taka jest natura firm tej branży. W jeden z firm mężczyzna, który odbiera telefon, dopytuje się, skąd Erhard ma ich numer. W innej, dużej hiszpańskiej firmie transportowej, TiTi Europe, jakaś kobieta pyta go kilka razy, czy dzwoni z jakiejś gazety. Podaje nazwę, której Erhard w ogóle nie kojarzy. Po

kolei wykreśla z katalogu Gilberta kolejne firmy. W wielu w ogóle nikt nie odbiera telefonu. Wtedy zwykle dzwoni jeszcze raz.

Kiedy już prawie dociera do końca listy, nabiera podejrzeń, że firmy reagują tak niechętnie, bo nie chcą zostać w coś wciągnięte. Bo za każdym razem pyta, czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy żaden z ich statków nie miał wypadku na morzu. Nikt się do niczego nie przyznaje. Niektórzy twierdzą wręcz, że takie rzeczy w ogóle nie mają miejsca. Wtedy Erhard skreśla firmę z listy. Po jakimś czasie dochodzi do wniosku, że ludzie kłamią. Nie potrafi powiedzieć kto konkretnie, ale niektórzy na pewno.

Zaczyna rozumieć, że firmy nie mają żadnego interesu w tym, żeby mówić prawdę. Kiedy dzwoni i zaczyna zadawać pytania, łatwiej powiedzieć „Nie, nie mieliśmy żadnych wypadków”, niż sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest. Kiedy zadzwonił do TiTi Europe, jakaś kobieta już chciała odesłać go do dyrektora, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i nie połączyła go z nikim. W końcu sam się rozłączył.

Wie już, że jeśli chce uzyskać odpowiedzi zgodne z prawdą, musi podejść do sprawy inaczej. Całe popołudnie zastanawia się, co powinien zrobić, ale nie jest w stanie nic wymyślić. Oddał podpisane umowy Anie i teraz czeka, aż zjawi się Marcelis, wściekły i obrażony.

Ale nic takiego się nie dzieje. Biuro wygląda na wymarłe, korytarze są puste. W to poniedziałkowe popołudnie po raz pierwszy tęskni za swoją taksówką.

Ma ochotę odwiedzić Aaza i Monikę.

Sąsiadka z dołu nadal nie ma na drzwiach tabliczki z nazwiskiem. Erhard codziennie ma nadzieję, że może spotka ją na schodach. Chciałby ją zobaczyć, żeby się upewnić, że nie jest prostytutką, tylko naprawdę tam mieszka.

Wtorek. Wychodząc z podziemnego garażu na główną ulicę, mijają nieciekawie wyglądające biuro, w którym jakiś młody mężczyzna w jasno niebieskim garniturze od samego rana rozmawia przez telefon. Zawsze sądził, że to jakieś anonimowe biuro podróży, ale ktoś niedawno nakleił na szybie osiemnaście

arkuszy A4, na każdym z nich jest wypisana jedna litera, razem tworzą nazwę firmy: Ubezpieczenia Mercuria. Panujące na wyspie szczególne warunki, wietrzna pogoda i duże spożycie alkoholu sprawiają, że rzadko wypłaca się tu odszkodowania. Kiedyś pewien amerykański turysta uderzył łodzią w pomost, zdarzyło się też, że jakiś Izraelczyk zatrzał się wodą z basenu. Ale od czasu do czasu wchodzi w życie jakaś unijna dyrektywa i nagle okazuje się, że wszyscy, którzy na przykład mają łodzie albo pracują w transporcie, muszą się ubezpieczyć. Erhard nie wyobraża sobie gorszego zajęcia niż sprzedaż ubezpieczeń. Bo kto sprzedaje towar, którego nabywca w głębi duszy nawet nie dopuszcza do siebie myśli, że będzie musiał z niego skorzystać? Cóż, każda branża działa na własnych warunkach. Taksówkarz pomaga ludziom. Ratuje, jeśli komuś się spieszy albo jeśli ktoś nie potrafi znaleźć drogi, albo chce od czegoś uciec. Stroiciel fortepianów ratuje ukochane instrumenty. Stara się uczynić dźwięk lepszym, zaprowadza porządek w chaosie. Natomiast agent ubezpieczeniowy jest tylko denerwującym posłańcem. Przychodzi i mówi, że w przyszłości tobie albo twojej rodzinie, twojemu domowi, samochodowi, przydarzy się coś złego. A jeśli zdarzy się to najgorsze, to, o czym nie chcesz rozmawiać, ani nawet myśleć, to pomożemy ci, proponując pieniądze, które w takiej sytuacji będą się wydawać uwłaczająco niewielkie. A kiedy już dochodzi do wypłaty odszkodowania, to jest ono zazwyczaj mniejsze niż suma, którą się wpłaciło. Groteskowy produkt w groteskowych czasach.

Erhard zastanawia się nad odszkodowaniem. Kupon na loterię zwaną wypadkiem. Już samo słowo odszkodowanie sprawia, że większość ludzi zaczyna opowiadać półprawdy czy wręcz kłamać.

Parkuje, podchodzi do szklanych drzwi, popycha je i wchodzi do Mercurii. Biuro wygląda jak wystawa nowoczesnych mebli biurowych, za którymi Erhard nie przepada. Wysokie na cztery metry pomieszczenie oświetla rząd jasnoniebieskich świetlówek, które sprawiają, że mężczyzna siedzący przy biurku wygląda blado. Na widok Erharda podnosi głowę. Nie przywykł, żeby klienci go odwiedzali. Erhard kładzie palce na ustach, dając mu do zrozumienia,

że nie zamierza przeszkadzać, podchodzi bliżej i bierze wizytówkę ze stojącego na stole specjalnego pojemnika. Mężczyzna rozmawia dalej, ale pokazuje mu, żeby wziął tyle wizytówek, ile chce. Erhard bierze tylko jedną.

## 53

Tuż po ósmej zaczyna od początku. Pierwsza firma na liście to Direct Logistica SL. Stara się mówić jaśniejszym głosem i bez akcentu. Niemal go to bawi.

– Dzień dobry. Jestem Jorge Algara – Imię i nazwisko z wizytówki. – Dzwonię z firmy ubezpieczeniowej Mercuria z Las Palmas. Widzę, że należy się państwu dość pokaźna suma, ale potrzebuję więcej danych dotyczących wypadku.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Tak – odzywa się w końcu kobieta. – A jakich dokładnie?

Okazuje się, że wszyscy chcą z nim rozmawiać, chociaż niektórzy nadal są sceptyczni. Wielu nie potrafi udzielić dokładnych informacji, przełącza go do osób bardziej kompetentnych. Większość sprawdza jednak w dziennikach pokładowych frachtowców i podaje mu dokładne kursy, łącznie z datami. Początkowo wszystko notuje, ale po kilku rozmowach postanawia zaznaczać wszystko na mapie. Pyta też o towary znalezione w morzu, prosi o podanie konta, na które miałyby zostać wpłacone odszkodowanie. Jeśli firma prosi o podanie adresu e-mail, podaje e-mail Jorgego Algary z Mercurii. Koło południa zerka na mapę. Żadna z firm nie przewoziła na Fuerteventure samochodów w interesującym go okresie. Żadna też nie natrafiła na pływające w morzu towary. Tylko jedna zgłosiła zderzenie w pobliżu wysp, ale to było w styczniu, poza tym żaden ze statków nie ucierpiał. Dowiedział się całkiem sporo, nadal jednak jest przekonany, że wiele spraw przed nim zatajono. Znów zerka na listę. Zostało mu jeszcze dziewiętnaście firm.

Siedzi w głębi pokoju, nie chce, żeby Ana go słyszała. Podejrzewa zresztą, że nie ma jej w sekretariacie, pewnie jest u Marcelisa. Ale i tak zauważa, że jest wyjątkowo zajęty. Kilka razy wchodzi i przynosi mu kawę, chociaż kilka razy prosił, żeby tego nie robiła. Je lunch razem z dziewczynami z Centrali, przyzwyczyły się już do jego obecności. Rozmawiają o aktorze, Ticie Valverde, który w telewizyjnym serialu gra Gerarda Castillę, o rozwodzie następcy tronu i psie jednej z nich: opiekująca się nim sąsiadka dała mu karmę dla kotów. Jej koleżanki są w szoku. Erhard słyszy ich głosy, ale nie śledzi rozmowy.

Dzwoni dalej. Kiedy dzwonił do TiTi Europe pierwszy raz, wiedział, że nie mówią prawdy. Wyczuwał wyraźną wrogość i podejrzliwość. Wie, że tym razem musi się przygotować. Chodzi po pokoju i mówi do siebie. Największe wyzwanie to trafić do kogoś, z kim wcześniej nie rozmawiał. Kiedy odbiera recepcjonistka, natychmiast prosi o połączenie z działem rachunkowości.

– Alfonso Diaz, dział rachunkowości.

– Dzień dobry, Señor Diaz. Jestem Jorge Algara i dzwonię z firmy ubezpieczeniowej Mercuria, z Las Palmas. Widzę, że mamy wam wypłacić spore odszkodowanie, ale brakuje mi danych dotyczących incydentu.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Nie sądzę – odzywa się w końcu mężczyzna.

– Czy to znaczy, że firma nie jest zainteresowana wypłatą odszkodowania za styczniową kolizję?

– W ciągu ostatnich pięćdziesięciu czterech miesięcy nie odnotowaliśmy żadnych kolizji.

– Jestem pod wrażeniem. Rzeczywiście w papierach nie ma nic o kolizji, chodzi o incydent z udziałem dwóch jednostek morskich.

– Incydent?

– Takiego określenia używamy.

– Cokolwiek to znaczy, nasze frachtowce nie uczestniczyły w żadnych incydentach. Ale ja zajmuję się księgowością. Zaraz przełączę pana do kogoś, kto odpowiada za komunikację.

Erhard pamięta, że rozmawiał z facetem poprzednim razem i że nie była to owocna rozmowa. Jeśli znów na niego trafi, nic z tego nie będzie.

– Chciałbym rozmawiać z rachunkowością. Druga strona przyznała się do winy. Suma, którą mamy wypłacić, wynosi trzydzieści tysięcy euro. Proszę mi podać brakujące szczegóły i numer konta.

Wędka została zarzucona. Cisza.

– Chwileczkę.

Erhard słyszy jakieś głosy, potem ktoś zasłania dłonią słuchawkę. Nie rozróżnia słów, słyszy tylko, że rozmawiają kobieta z mężczyzną, i słowo „Nie”, które powtarza się kilka razy. *No no no*.

– Halo – odzywa się w końcu Alfonso Diaz. – Właśnie się dowiedziałem, że już pan dzwonił.

Erhard nie wie, co odpowiedzieć. Zastanawia się, jak by zareagował, gdyby jeszcze nie dzwonił.

– Nie – mówi. – Dzwonię z firmy ubezpieczeniowej Mercuria.

– To pan pytał o passata? O volkswagena.

– Reprezentuję firmę ubezpieczeniową Mercuria.

– Nie możemy panu pomóc – mówi mężczyzna, nieco ciszej niż wcześniej. – Nie wolno nam udzielać informacji, o które pan prosi. Nie czyta pan gazet? To nie my odpowiadamy za Seascope Hestia, nie pomogę panu.

– Więc nie jesteście zainteresowani wypłatą...

– Do widzenia. – Mężczyzna odkłada słuchawkę.

Erhard dostaje szału. Patrzy na słuchawkę i nie może się powstrzymać, rzuca nią przez pokój, wyrywa kabel, słuchawka uderza o biurko i o podłogę, rozsypuje się na kawałki. Niech ich szlag. Ich i te ich tajemnice. Naprawdę są jakieś zasady, które określają, co można mówić, a czego nie? Wiedzą coś o chłopcu, a jednak nie chcą mówić. Trudno mu w to uwierzyć. Nie sądzi, żeby jakaś firma chciała kryć coś tak cynicznego jak porzucenie dziecka. Jeśli coś jest w stanie ich poruszyć, to pieniądze. Sami zarabiają krocie na imporcie towarów z Azji, przy

których produkcji wykorzystywana jest dziecięca siła robocza. To firmy kontrolowane przez nowobogackich Rosjan i rozpieszczonych dziedziców wielkich fortun, ludzi, którzy obżerają się argentyńską wołowiną i palą w piecach garściami euro. Wszystko kręci się wokół pieniędzy, nigdy nie mają ich za dużo. Ma ochotę iść do nich, nie, znaleźć ich biuro i włamać się do niego. Znaleźć to, czego szuka, i wszystko podpalić.

Drzwi się otwierają, pojawia się w nich głowa Any. Patrzy na niego: siedzi oparty o ścianę. A potem na podłogę, na której leży rozbita słuchawka.

– Potrzebny mi nowy – mówi Erhard.

– Co się stało?

Sprawia wrażenie zszokowanej, chociaż Marcelis znany jest z wybuchów złości. Rzuca wtedy długopisami. Erhard nie odpowiada. Jest mu wstyd.

Ana znika, wraca po chwili z małą szczotką i szufelką.

– Aparaty telefoniczne nie są drogie – mówi.

Erhard milczy.

Ana zbiera rozbite kawałki i zabiera je ze sobą.

– Dziękuję – mówi Erhard. – To się już więcej nie powtórzy.

Drzwi się zamykają.

Seascape Hestia?

Nagle uświadamia sobie, że księgowy z TiTi Europe jednak próbował mu pomóc. Seascape Hestia to pewnie nazwa statku. Statku, który we właściwym momencie znajdował się gdzieś między Gran Canaria a Fuerteventurą. Facet musiał wiedzieć, że coś z nim było nie w porządku. I nawet nie musiał tego sprawdzać. Nie miał na to czasu. Miał to w głowie. Jakby wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie chciał mówić.

No i ostatnie zdanie: nie czyta pan gazet? Dał mu wyraźną wskazówkę. O statku, którego szuka, pisała prasa. Czyli powinien poszukać starych informacji o Seascape Hestia, a wtedy być może znajdzie to, czego szuka.

Frachtowce rzadko trafiają na łamy gazet, chyba że któryś tonie. Może doszło do kolizji? Nie przyszło mu do głowy, żeby szukać w prasowych archiwach. Ale



to dobry pomysł. Tyle że nie bardzo wie, od czego zacząć. Chodzi o dzienniki sprzed ponad czterdziestu dni. Miejscowe czy w ogóle hiszpańskie? Może pójść do redakcji „La Provincia” i poprosić o gazety ze stycznia? Może w bibliotece w Corralejo jest specjalne archiwum prasowe?

Bierze notes i zapisuje nazwę, żeby jej nie zapomnieć. Seascape Hestia. Nagle dociera do niego, że w pokoju zrobiło się już ciemno, po piętnastej ta część budynku jest już w cieniu. Wkłada kartkę do kieszeni koszuli. Postanawia porozmawiać z Solillą i poprosić, żeby jeszcze raz skontaktowała go ze swoim przyjacielem dziennikarzem.

## 54

Od strony portu nadciąga grupa robotników, głównie mężczyzn, ale są wśród nich również kobiety, w roboczych kombinezonach, w kaskach, robocze rękawice trzymają pod pachami. Erhard stoi na pustej działce budowlanej za outletem ze sprzętem gospodarstwa domowego. Widzi stamtąd budynek redakcji. Z żółtego matowego szkła. Drzwi co chwila się otwierają. Targa nimi wiatr, a może w grę wchodzi jakaś elektronika? Po kilku minutach z budynku wychodzi Diego.

Przecina ulicę i niby przypadkiem zbliża się do niego.

– Señora Solilla prosiła, żebym się dowiedział wszystkiego, co pisały gazety o statku Hestia. Począwszy od stycznia. Znalazłem pięć, może sześć artykułów. Przypuszczam, że wszystko jest też w sieci – mówi, ale podaje Erhardowi teczkę z wycinkami. – Miałem kłopoty z drukarką, ale sądzę, że znajdziesz tu to, czego szukasz.

– Okej.

– Wciąż ta sama sprawa? – pyta chłopak i rozgląda się.

– Może.

– Nie wiem, czego szukasz, ale jeśli ma to jakiś związek ze zmarłym chłopcem, to musisz to udowodnić. Możesz wejść na odcisk naszym miejscowym bogaczom.

Wejść na odcisk. Dziennikarz, któremu mylą się metafory.

– No cóż – mówi, niezadowolony, że dziennikarz wydaje się niezainteresowany.

Diego wzrusza ramionami.

– Powodzenia – mówi i wraca do redakcji.

Judaszowy pocałunek, myśli Erhard.

Wraca do samochodu, otwiera teczkę i zaczyna czytać. Sześć stron. Cztery artykuły na ten sam temat. Pierwszy, krótki, na jedną szpalte. W sieciach u wybrzeża Gran Canaria znaleziono ciało angielskiego maszynisty, Chrisa Jonesa. Autor następnego artykułu pisze, że zmarły angielski maszynista pracował na statku Seascope Hestia, który wypłynął z portu na Gran Canaria i dwa dni później spodziewano się go w Lizbonie. Teraz podobno płynie do Port Agadir. Pod koniec autor wspomina, że statek mógł zostać uprowadzony. Jest też długi artykuł z „El Pais” dotyczący Hestii, która zwinęła do Port Agadir. Dziennikarz wydaje się zafascynowany tajemniczą sprawą. Na pokładzie statku znaleziono jedynie ghańskiego kapitana, który twierdził, że zostawili go tam terroryści. Nie wiadomo, co się stało z ośmioosobową załogą. Nie było też ładunku. Według informacji hiszpańskich władz portowych składały się na niego materiały budowlane, sprzęt gospodarstwa domowego, konserwy i europejskie samochody. Ale wszystko zniknęło, a ghański kapitan nie potrafił powiedzieć, co się stało. Ostatni artykuł jest krótki. Autor pisze, że statek ma zostać zwrócony Holandii, gdzie jest zarejestrowany, a hiszpańska załoga nadal jest poszukiwana. Dochodzenie trwa, ale kapitan został zwolniony, nie wniesiono przeciwko niemu żadnego oskarżenia.

Erhard rzuca teczkę z wycinkami na podłogę. Za każdym razem kiedy udaje mu się odwrócić jakiś kamień, okazuje się, że pod nim jest następny. W każdym razie wie już, że to był holenderski statek. Ale nie da się rozwikłać sprawy na

podstawie artykułów w prasie. Kto wie, co się z nim działo? Martwy maszynista, historia z ghańskim kapitanem, ładunek, który zniknął. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że chodziło o szybki zarobek.

W samochodzie unosi się zapach papierosów. Na siedzeniu pasażera stoi karton z książkami, które najwyraźniej należały do palacza. W kartonie jest jakieś dwadzieścia książek, Erhard zamierza przeczytać przynajmniej kilka z nich. Chatwina, Márqueza, którego Hiszpanie albo kochają, albo nienawidzą. Pozostałe kupił, bo chciał być miły dla Solilli. Jest wśród nich powieść o gitarze, która przetrwała wojnę domową i pierwszą wojnę światową i kończy na Downing Street w rękach Clementine, żony Churchilla, która grała na niej dla żony Roosevelta w 1945 roku. No cóż, dlaczego nie? Najwyraźniej wszystko jest możliwe. Ślady zostawione przez samochód nie zaprowadziły go w górę zbocza i dalej przez wyspę, tylko przez Agadir do Holandii. Przekręca kluczyk i rusza.

## 55

Jedzie do domu, nakarmić kozy. Ale kóz nigdzie nie widać, są gdzieś daleko, nie słyszy, żeby meczały, nie słyszy też dzwonka Laurela, nie widzi ich nigdzie między skałami. Ich białe sylwetki zwykle odcinają się od ciemnych kamieni. Dom jest w stanie upadku. Okazuje się, że nawet dom może poczuć się samotny, kiedy właściciel się wyprowadzi. Okna zapadły się jak oczy, poruszające się na wietrze drzwi wyglądają jak drżące usta, które proszą, żeby został choć na jeden dzień, może na tydzień dłużej. A może dom zawsze tak wyglądał. Nawet wtedy, kiedy go kochał, kiedy tęsknił za chwilą spokoju, z dala od głosów w taksówce i miejskiego gwaru. Wtedy wracał do domu jak do trochę marudnej, chorej kochanki, która nie potrafi bez niego żyć. Stoi i mu się przygląda, nienawidzi w nim wszystkiego, ale dom jest dla niego jak wspomnienie z dzieciństwa. Pamięta, jak siadywał przed nim w bujanym fotelu, popijał lumumbę albo zjadał szybkie danie z ziemniaków, patrząc, jak zachodzi słońce. Gdyby nie kozy, nie

wracałby. Lata, które tu spędził, budzą w nim złość, nie jest w stanie wybaczyć domowi kurzu, jęków i zawodzenia, nawet sznura na bieliznę, który zawsze był niedostatecznie napięty.

Rzuca karmę na ziemię. Zwykle już sam szelest papieru sprawia, że przybiegają. Pierwszy zjawia się niemal zawsze Laurel, z nich dwóch jest bardziej przyjaźnie nastawiony. Lubi jeść. Ale lubi też rękę, która podaje mu jedzenie i która gładzi go po grzbiecie. Erhard lubi swoje zwierzęta, nie żeby czuł jakąś szczególną więź, ale lubi, kiedy są w pobliżu, lubi patrzeć, jak się przemieszczają, bez żadnego planu czy celu. Zdarzało się, że ustawiały się jakieś sto metrów od niego i razem tworzyli trójkąt. Dziwna symetria, która po kilku piwach zwykle nabierała sensu.

Wiatr muska kamienie, gdzieś z daleka dochodzi głos motorówki, a może samolotu. Erhard okrąża dom. Zatrzymuje się między sznurem na bieliznę a stertą kamieni, która się uzbierała przez lata. Nagle słyszy dzwonek Laurela, ledwie słyszalny, ale jednak. Woła go, staje na jednym z kamieni, patrzy na pola i górskie zbocza, na krajobraz w odcieniach brązu i szarości. Gdzieś w oddali zauważa ledwie dostrzegalny ruch, niewielką białą kreskę. Laurel biegnie, widzi go w przesmyku między górą a polem.

Coś się stało. Coś strasznego. Coś, co już się stało.

Laurel się zbliża, perspektywa jedzenia okazała się kusząca, ale Erhard nagle czuje lęk: boi się o Hardy'ego, a może o Beatriz. O Hardy'ego, bo nie ma go w pobliżu, a zawsze trzyma się blisko Laurela, jakby byli połączeni niewidzialną gumką. Jeśli oddalają się na chwilę od siebie, zaraz kompensują to sobie, tuląc się do siebie. Wyglądają wtedy tak krucho wśród kamieni i skał. Jeśli więc Hardy'ego nie ma w pobliżu, to znaczy, że nie żyje. Obie kozy mają już po czternaście lat, więc gdyby jedna z nich padła, nie byłoby w tym nic dziwnego. Erhardowi przypomina się Bill Haji. Może Hardy padł ofiarą sfory dzikich psów?

Drapie Laurela za uchem, wraca do domu po resztę karmy, rozrzuca ją po ziemi. Laurel je spokojne, machając uszami, jakby to były chusteczki. Nie ma

sensu pytać go, co się stało z Hardym, ale mimo to to robi. Widziałeś go? Stało się coś strasznego?

## 56

Nie przestaje się niepokoić.

Kładzie się spać, ale cały czas czeka. Aż zaraz zadzwoni telefon albo ktoś zapuka do drzwi. Ale telefon dzwoni rzadko. Jeśli już, to dzwoni lekarz. Poranek jest bezwietrzny. To jedno z tych rzadkich zjawisk, kiedy wszyscy w mieście zatrzymują się i patrząc na wodę, która przypomina niebieski beton, zaczynają się modlić.

Kiedy wychodzi z mieszkania, spotyka na klatce sąsiadkę z dołu. Wygląda tak samo jak wtedy, kiedy ją widział ostatnio, równie wyzywająco i równie żałośnie. Przychodzi mu do głowy, że może nie ma innych ubrań.

- Niech zgadnę. Zatrzasnęły ci się drzwi?
- Tak. Skąd wiedziałeś?
- Znam swoich sąsiadów.
- Mogę zostać u ciebie do przyjścia Rainiera?

Rainier, jej alfons.

- Nie możecie się spotkać w Luz?
- Rainier, gospodarz domu – tłumaczy mu, jakby czytała w jego myślach. – Zaraz tu będzie. Mogę zaczekać u ciebie?
- Niestety, właśnie wychodzę.
- Jesteś ważnym dyrektorem, prawda?
- Dlaczego tak sądzisz?
- Tak jest napisane na tabliczce na drzwiach.
- To poprzedni właściciel. Raúl... – zaczyna i urywa, patrzy na drzwi. Dyrektor Erhard Jorgenson. Nigdy wcześniej nie wiedział tej tabliczki. Jest okropna, ale nie chce mu się nic tłumaczyć.

– Pozdrów Rainiera i spytaj, dlaczego powiesił tę tabliczkę – zwraca się do sąsiadki, która nadal stoi pod jego drzwiami. Jej zachowanie go bawi, ale boi się, że pewnego dnia może jej ulec. Musi pamiętać, że potem będzie mu jeszcze ciężiej. Zawsze tak było. Kiedy zbiega na dół do podziemnego garażu, czuje, że ma bolesną erekcję.

Jedzie po Aaza. Nadal czuje niepokój, ma złe przeczucia. Może Chłopiec-Mężczyzna połknął własny język, a może Monika zabrała go do domu. Kiedy podjeżdża pod zakład, Aaz jest już gotowy. Jedną rękę ma zabandażowaną, ale poza tym wygląda na radosnego. Pokazuje mu dłoń. Mały palec. Wskazuje na jego prawą dłoń.

– Nie – mówi Erhard. – Nie – powtarza.

Jestem taki jak ty, Erhardzie.

– Nie, Aaz. Nie wolno ci...

Wiem, że to było głupie.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

Jeśli ty sobie radzisz, to ja też sobie poradzę.

Erhard jest wzburzony, nie wie dokąd jedzie, nie wie nawet, gdzie są. Zjeżdża na pobocze, miejsce wydaje mu się znajome.

– Byłeś na pogotowiu? Lekarz to widział? – Bierze jego dłoń, odwraca ją.

Aaz wrusza ramionami. To zwykła rana, nic wielkiego.

Co się mówi w takich sytuacjach? Erhard nie ma pojęcia. Nie chce na niego krzyżeć, ale nie chce też tego lekceważyć. Patrzy mu w oczy. I nic nie mówi. Nie spuszcza wzroku, aż spojrzenie Chłopca-Mężczyzny się uspokaja, a w jego oczach pokazują się łzy. Wtedy odwraca głowę i uruchamia silnik.

Dopiero w okolicy lotniska jego tętno się uspokaja. Aaz ogląda samoloty i wypatruje pilotów, jak zwykle. Erhard opowiada mu o swoich rozmowach z firmami transportowymi. Mówi mu też o Solilli i dziennikarzu z „La Provincia”.

Więc posunął się do przodu.

– Nie, Aaz, poprzestawiałem pionki, co nie znaczy, że posunąłem się do przodu.

Pomyśl, że w tym momencie tylko tobie jednemu na całym świecie zależy, żeby wyjaśnić, co się stało.

– Nie pojmuję tego. Nie rozumiem, dlaczego policja już dawno tego nie wyjaśniła – mówi Erhard i myśli o Bernalu. O kowboju, trzymającego w ręku pluszowego miśka.

To policja powinna szukać złoczyńców.

– Nie mają czasu. Albo może nie potrafią. Nie wiem tego.

Mama mówi, że jeśli człowiek czegoś chce, to może.

– Twoja mama jest za dobra, Aaz.

Erhard nastawia głośniej radio. Stan Getz: *Captain Marvel*. Nagranie z koncertu w jakimś klubie. Śmiech, głosy, wszystko tak, jak trzeba. Próbuje stłumić złość, która drzemie pod powierzchnią. Policja z wyspy nie zrobiła nic. Pochowali chłopca. Zdeponowali samochód. Pewnie odbyli kilka rozmów telefonicznych. Ale nie za wiele. Nie tak dużo, jak twierdził Bernal.

Droga, którą jadą, należy do najpiękniejszych na wyspie. Jest kręta, wiję się, znika i znów się pojawia, prowadzi w dół, a potem między skałami.

Liana mówi, że jestem słaby i głupi. Mówi, że płaczę i tęsknię za mamą.

– To akurat nie ma znaczenia. Ale nikt nie jest ani słaby, ani głupi tylko dlatego, że płacze.

Płakałeś, kiedy straciłeś palec?

– Nie, nigdy nie nauczyłem się płakać. Tego trzeba się nauczyć. Od taty. Albo od mamy.

Erhard wchodzi do środka przywitać z Moniką, ale Monika jest zajęta, rozmawia przez telefon. Owija kabel wokół palca i patrzy na ścianę kuchni. Erhard pisze jej na kartce: Jestem z powrotem o siedemnastej. Aaz siedzi przed telewizorem i ogląda żółwia.

Ana załatwiła mu nowy telefon. Nowego typu, z wieloma różnymi przyciskami i niewielkim ekranem, na którym widać wybierany numer i numer dzwoniącego. Potrzebna jest instrukcja. A on nie lubi instrukcji.

Obok telefonu położyła grubą kopertę. Nie ma na niej żadnego nazwiska. Nie ma też nazwiska nadawcy. Waży ją w dłoni – zagląda do sekretariatu, macha nią.

– Od Luísa – mówi Ana. – Miał kurs do „La Provincia”. Miał odebrać paczkę: dla dyrektora Jorsona z Taxinarii. To możesz być tylko ty.

Erhard otwiera kopertę palcem wskazującym. W środku jest kilka zadrukowanych kartek, jakiś artykuł. Z naklejoną jasnoróżową karteczką: Znalazłem to w drukarce. UWAŻAJ NA SIEBIE. D.

Rozkłada artykuł. Jest długi. Nie jest z „La Provincia”, tylko z „El Sol News”. Dotyczy zmian w europejskim systemie ubezpieczeń, które wkrótce mają zostać wprowadzone. Wiele firm ubezpieczeniowych zapowiada w związku z tym znaczne podwyżki cen. Tak duże, że duże firmy logistyczne obawiają się, że nie będzie ich stać na ubezpieczanie statków. Sprawą zajęto się po ostatnich porwaniach w okolicach Półwyspu Somalijskiego. W Hiszpanii stała się aktualna, kiedy w styczniu zarejestrowany w Holandii statek, Hestia, pływający dla kanaryjskiej firmy transportowej, został porwany u wybrzeży Maroka. I opróżniony z ładunku. Firma wystąpiła o odszkodowanie w wysokości pięćdziesięciu pięciu milionów euro. Suma wydaje się duża, ale jeśli wziąć pod uwagę, że chodzi o materiały budowlane i samochody, nie nazbyt wygórowana. Urzędnik odpowiadający za bezpieczeństwo przewozów w Palalo twierdzi, że ubezpieczenie nie pokryje wszystkich strat. Należy pamiętać o utraconych klientach i stratach wizerunkowych. Firma pragnie oczywiście zrekompensować klientom straty, a także poniesione przez nich dodatkowe koszty. Przedstawiciel Palalo mówi, że od tej pory ładunek musi być w pełni ubezpieczony, koszty tego ubezpieczenia zostaną w większej mierze niż dotychczas przeniesione na klientów bądź doliczone do kosztów transportu. To z kolei może oznaczać piętnastoprocentowy wzrost cen. Tak naprawdę pokryją go nabywcy, którzy i bez tej podwyżki są w trudnej sytuacji. W niektórych przypadkach podwyżka może



się okazać zabójcza. Wiele krajów już o tym uprzedzało. Ostateczna decyzja należy do organów unijnych. Wkrótce okaże się, czy poszczególne kraje zgodzą się na specjalne ubezpieczenia od porwania, żeby za piratów nie musiało płacić całe społeczeństwo. Przedstawiciel Palalo podkreśla, że dla klientów jego firmy nie ma to większego znaczenia, ale dla wielu innych, mniejszych firm eksportowych konsekwencje mogą być trudne do przewidzenia, niewykluczone, że będzie im trudniej sprzedawać swoje towary za granicę. Jeśli chodzi o Wyspy Kanaryjskie, to niewykluczone, że zmieni się oferta w supermarketach.

Erhard widział nagłówki mówiące o somalijskich piratach, ale nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy może to mieć wpływ na codzienne życie wyspy. Teraz oczyma wyobraźni widzi puste półki w HiperDino tuż za rogiem.

Wraca do lektury. Hestia została wynajęta przez kanaryjską firmę transportową Palalo, przewoziła towary warte ponad pięćdziesiąt milionów euro. Palalo. Rozpoznaje tę nazwę. Pamięta ją z katalogu, który dostał od Gilberta. Czy dzwonił do nich? Wyjmuje z teczki katalog, przegląda go. Palalo, Las Palmas, Gran Canaria. Nie przypomina sobie, żeby rozmawiał z jakimś przedstawicielem firmy. I nagle wie dlaczego. W katalogu nie ma numeru telefonu. Na marginesie widnieje znak zapytania. Jest tylko adres internetowy.

Woła Anę. Prosi, żeby spróbowała znaleźć numer telefonu. Czyta jej na głos adres internetowy.

– Okej, zaraz sprawdzę – mówi Ana. Po chwili dodaje: – Nigdzie nie podają numeru telefonu. Możliwy jest tylko kontakt e-mailowy.

Palalo. Erhard wstaje, idzie do sekretariatu, do Any.

– Mogę patrzeć? – mówi i zerka jej przez ramię. Nie potrafi powiedzieć, co spodziewa się znaleźć, ale ma wrażenie, że mózg mu się lasuje. Ana musi coś znaleźć, coś, co wykluczy jego podejrzenia. – Można się dowiedzieć, kto jest właścicielem firmy?

Ana wykonuje jakieś dziwne zabiegi.

– Nie. Nic tu na ten temat nie ma, ale mogę spróbować poszukać w innych miejscach.

Na ekranie pojawiają się jakieś okienka, robią się większe, potem mniejsze. Ana wstukuje nazwę: Palalo. Po chwili pokazuje się wykaz firm. Przegląda je, zatrzymuje się.

– Mam coś – mówi. – Podobno właścicielem jest Palabras ETVE. Tego szukałeś?

Erhard stoi przez chwilę bez ruchu. Zastanawia się, co to może znaczyć. Wie, że Palabras nie tylko produkuje oliwę z oliwek w Hiszpanii i na mniejszą skalę także tutaj, na wyspach, ale też posiada wiele innych przedsiębiorstw. Ma kilka hoteli, w tym połowę Las Dunas Beach Hotel, który stoi na chronionym terenie na obrzeżach Corralejo, ma chyba też niewielkie biuro wynajmu samochodów, największą na wyspie szklarnię, w której uprawia pomidory, ma też kilka przetwórci ryb na Gran Canarii, kilka firm budowlanych, jest właścicielem znacznej części spółki Sport Fuerte, no i jest też oczywiście właścicielem TaxiVentury. I przypadkiem także frachtowca, który został pozbawiony ładunku, i samochodu, który okrężnymi drogami znalazł się w końcu na plaży w Cotillo i w którym na tylnym siedzeniu było pudełko z martwym chłopcem. To mógł być czysty przypadek. Jak najbardziej.

– Dziękuję, Ano – mówi i wraca do swojego pokoju.

A z drugiej strony to wcale nie musiał być przypadek. Rozgląda się. Światło za oknem jest przytłumione, niebo zasnuwane żółtymi chmurami, okna wyglądają jak brudne prześcieradła. Co on właściwie wie o swoim gabinecie? Kto go urządzał? Dlaczego obok telefonu stoi globus? Może wdepnął w coś, co nie powinno go obchodzić? I jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Palabras?

Siedzi z globusem w ręku, obraca go, szuka mikrofonu. Ale nie znajduje. To po prostu zwykły globus. Plastikowa kula pokryta kolorową folią. Danii na nim nie ma. Jest tylko jej sąsiad: Alemania. Nikogo to nie dziwi. Odstawia go, sprawdza pojemnik na ołówki, tackę na korespondencję, szuflady – są puste. Ale w dzisiejszych czasach można podsłuchiwać przez komputer albo przez telefon. Zresztą co on może o tym wiedzieć. Nie zna się na elektronicznych gadżetach, które go otaczają.

Patrzy na telefon, który przyniosła mu Ana. Szybko uprzątnęła resztki starego. Za szybko? Nawet nie zdążył jej pomóc. Jest pewien, że ktoś cały czas ma na niego oko. Od chwili kiedy po raz pierwszy odwiedził Zamek i razem z Bernalem przeglądał strzępy gazet.

To by wiele wyjaśniało. Na przykład to, że Emanuelowi tak bardzo zależało na tym, żeby zastąpił Raúla, i jego niezwykłą uprzejmość wobec niego, mieszkanie, samochód i niespodziewane przyjęcie. A także dlaczego zwykły taksówkarz nagle awansuje na dyrektora i dlaczego nie musi nic robić, poza pójściem od czasu do czasu do restauracji. A także dlaczego w umowie było nazwisko Marcelisa, a nie jego. Nikt się nie spodziewa, że długo zagrzeje tu miejsce.

To tłumaczy też zniknięcie Raúla. Może Emanuel poprosił go, żeby zniknął? Przynajmniej na jakiś czas. Erhard wyobraża sobie, że Raúl chciał go bronić i uznał, że jedyny sposób, żeby mu pomóc, to wyjechać. Wypisać się z gry. Może właśnie dlatego doszło do kłótni między Raúlem a Beatriz, może Beatriz nie chciała, żeby wyjeżdżał, może uznała, że Erhard powinien bronić się sam. Może ludzie Emanuela odwieźli Raúla na lotnisko, Beatriz się sprzeciwiła i...

Erhard wstaje. Nowo nabyta wiedza nie daje mu spokoju. Wkłada do teczeki katalog firm i kilka innych książek, zamyka teczkę. Rusza korytarzem do schodów, schodzi na dół.

Czuje się głupi. Przede wszystkim głupi.

Palabras skusił go zapachem pieniędzy, nie, nie pieniędzy. Raczej czymś, co można nazwać premią za pracowitość. Gorzkim koktajlem darmowych lunchów, nowego samochodu, dyrektorskiego fotela, poważania i mieszkania z widokiem. Za każdym razem kiedy coś dostawał, myślał o Annette i dziewczynkach. Głównie o Annette. Że nareszcie może jej pokazać, że jednak mu się udało. Że mimo jej przekleństw i jej nienawiści, upokarzania go i tysiący koron, które co miesiąc wysyła jej do Danii, udało mu się podnieść i stać mężczyzną. Po prostu wykorzystał okazję, która pojawiła się na jego drodze, próbował przekuć ją w coś dobrego. Palabras najwyraźniej dojrzał jego słabość i pociągnął za

odpowiednie sznurki. Praca, samochód, mieszkanie. Sąsiadka z dołu, Monika. Kto wie, do czego jeszcze jest zdolny?

Jedzie na południe. Dopiero za dwie godziny ma stawić po Aaza. Jedzie więc powoli przez małe miasteczka, mija willę wściekłego właściciela fortepianu. W dziwnym czworokątnym miasteczku Gual tankuje i przegląda książki, które włożył do teczki, ale nie znajduje takiej, która by go szczególnie zainteresowała. Patrzy na artykuł, w którym wymienia się nazwę Palalo i adres internetowy.

Na dnie teczki leży wizytówka jakiegoś klienta. Przypomina sobie, że dostał ją na pożegnanie, jak to się często zdarza: jeśli kiedyś będzie pan w Düsseldorfie albo w Liverpoolu, a może w Göteborgu... Pamięta mężczyznę. Był zakochany. Nie miał pieniędzy na taksówkę. Obiecał, że mu je prześle, ale tego nie zrobił. Second Officer Geert Kloewen. Nawigator. Kolejny człowiek morza. Pod nazwiskiem widnieje numer telefonu i adres e-mail. Najwyraźniej to dzisiaj norma. Jest młody, wyglądał na trzydzieści parę lat. Erhard pamięta, jak machał do niego, idąc na prom, szczerze wdzięczny za darmowy kurs. Pewnie zdążył wbiec na pokład, zanim prom odbił od brzegu. Czy ktoś taki jak Geert Kloewen może mu pomóc znaleźć listy innych statków, na przykład Seascope Hestia?

Nie lubi w ten sposób wykorzystywać ludzi. Geert jest mu co prawda coś winien, ale przecież się nie znają, poza tym może być wszędzie. Gdyby znał kogoś, kto ma jakąś wiedzę o statkach czy o stoczniach. Kiedyś spytałby Raúla albo Emanuela. Ale teraz musi sobie radzić inaczej.

Przychodzą mu na myśl Aritzowie. Tuż po nowym roku stroił ich fortepian. André to typ łagodnego inżyniera, który łatwo doszedł do dużych pieniędzy i wydaje je na zbyt drogie fioletowe koszule i ekskluzywne sprzęty do domu. Między innymi na beznadziejnego steinwaya, fortepian dla ludzi, którzy nic nie wiedzą o fortepianach. Jego żona, Reina, próbowała mu kilka razy tłumaczyć, skąd mają pieniądze. Wspominała coś o żegludze, komputerach i satelitach. Dla niego pozostaną nieznośnymi snobami, chociaż oboje są sympatyczni, są też lojalnymi klientami od niemal dziesięciu lat, kiedy to po raz pierwszy przyjechała do nich ich grająca na fortepianie siostrzenica. Trudno byłoby mu

prosić ich o pomoc. To już woli zadzwonić do Geerta, który jest mu całkowicie obcy. Ale jeśli zaproponuje Aritzowi, że będzie stroił mu fortepian za darmo, może zgodzi się mu pomóc.

Włącza silnik i jedzie do Moniki.

## 57

Spodziewa się serdecznego powitania. Może nawet gorącego. Może Monika podejdzie i obejmie go nieco niezdarnie, ale boi się robić sobie zbyt duże nadzieje. Woła ją i Aaza i wchodzi. Są w ogrodzie. To coś nowego. Podchodzi do siatki i patrzy na nich. Monika jest zajęta roślinami. Aaz siedzi na krześle i przygląda się gadającym ptakom. Monika słyszy, że przyszedł, ale się nie odzywa.

– Kupię coś do jedzenia u Xeni i zjemy razem – rzuca Erhard.

– Oby tylko nie weszło ci to w nawyk – odpowiada Monika, zajęta usuwaniem zwiędłych żółtych liści z rośliny o dużych białych kwiatach. Erhard nie potrafi powiedzieć, czy żartuje, czy mówi serio. Ma nadzieję, że jednak żartuje.

Wychodzi i idzie drogą do kamiennego domu o niezrozumiałej nazwie Taberna del Puerto. Xenia jest tam zarówno kucharką, jak i kelnerką, syn pomaga jej w kuchni. Są nastawieni głównie na turystów, ale jedzenie jest w porządku. Dla Aaza zamawia smażoną rybę, sam bierze befsztyk, dla Moniki sałatę z krewetkami, w której trafia się pojedynczy małż.

Siedzą w trójkę i patrzą w talerze. Erhardowi milczenie nie przeszkadza, ale Monika wzdycha głośno, pewnie chciałaby, żeby coś powiedział. Pije czerwone wino, po jedzeniu bierze ze sobą kieliszek na zewnątrz. Pokazuje mu swoje sukulentki. Początkowo jej słucha, ale głównie przypatruje się jej długim palcom, którymi dotyka kaktusa, ostrożnie, tak, żeby się nie ukłuć. Tłumaczy mu, że

niektóre rośliny to prawdziwy miłosny eliksir. Mówi mu to, nie patrząc na niego. Nagle jej przerywa:

– Mogę skorzystać z telefonu? Muszę z kimś chwilę porozmawiać.

– Zadzwoń z tego, który stoi na korytarzu, tam będziesz miał spokój.

Aaz siedzi przed telewizorem. Erhard ma wrażenie, że ogląda na okrągło ten sam program dla dzieci. Wyjmuje niewielki notes i wybiera numer Aritzów. Łączy się.

– Halo – mówi, chociaż nikt jeszcze nie odebrał. Słyszy głuchy, metaliczny dźwięk, jakby między aparatami było kilka tysięcy kilometrów.

– Reina – odzywa się zmęczony, senny głos.

Jest zdziwiony. Nie spodziewał się, że ktoś może spać o tej porze.

– Mówi Erhard Jorgenson, stroiciel – przedstawia się.

Długa cisza.

– Ach tak – rozlega się w końcu po drugiej stronie. Erhard słyszy, jak Reina zwraca się do kogoś w głębi domu: – Czy Señor Aritza jest w domu? Chwileczkę.

– Tak... – odzywa się po chwili André Aritza.

Erhard widzi Monikę przez okno. Staje twarzą do rogu pokoju i ścisza głos.

– Dobry wieczór, Señor Aritza. Czy moglibyśmy się spotkać? – mówi. Stara się brzmieć profesjonalnie, unika fałszywych uprzejmości.

– A o co chodzi?

– O ile wiem, ma pan powiązania z kilkoma stoczniami.

– Obsługujemy największe stocznie w Hiszpanii, to się zgadza.

– Więc zapewne zna pan wielu ludzi związanych z żeglugą.

– Znam dyrektorów największych firm w tej branży, znam też wielu polityków, ale dlaczego pan pyta?

– Potrzebuję listy załogi pewnego statku.

– Słabo pana słyszę, Jornson. Może pan mówić głośniejsze?

– Potrzebna mi lista załogi pewnego statku.

Coś trzeszczy w słuchawce. Może Aritza usiadł, podejrzewając, że rozmowa się przedłuży. Jest potężnie zbudowany, niekiedy z trudem łapie oddech.

– Mogę spytać dlaczego?

– To nie pana sprawa.

Zapada cisza.

– Jak miałbym panu pomóc?

– Na pewno zna pan kogoś, kto wie, do kogo mógłbym w tej sprawie zadzwonić.

– Señor Joranson, obawiam się, że nie będę już korzystać z pana usług, mam na myśli fortepian.

Tego Erhard się nie spodziewał. Podejrzewa, że może to z powodu drobnego incydentu, do którego doszło podczas jego poprzedniej wizyty w jego willi. Ręka André obejmująca siostrzenicę i tak dalej. Uznaje, że może jeszcze nie wszystko stracone.

– Rozmawiał pan może z żoną o mojej ostatniej wizycie?

Aritza się śmieje. Erhard słyszy, że się zastanawia.

– Mam przyjaciela, który pracuje w czymś, co się nazywa IMO. Jeśli ktoś może coś wiedzieć, to na pewno on.

– Spodziewam się, że zrobi pan wszystko, co w pana mocy, żeby mi pomóc.

– Nie wiem, czy tego rodzaju informacje można udostępniać osobom trzecim.

– Proszę mnie tylko skontaktować z odpowiednią osobą – mówi Erhard. Chce jak najszybciej zakończyć rozmowę.

Monika stoi w drzwiach do ogrodu i na pewno wszystko słyszy.

– Może pan wpaść jutro do mnie do biura? Załatwimy sprawę.

– Wolałbym, żeby mi pan podał numer teraz – Erhard próbuje mówić stanowczo, ale André Aritza ma większe doświadczenie w tego typu rozmowach.

– Spotkajmy się w piątek przed południem. Pomogę panu – mówi i podaje Erhardowi adres biura.

– Będę o dziesiątej – odpowiada Erhard, wciska guzik i rozłącza się. Jest wykończony.

Kiedy znów wychodzi do ogrodu, Monika wraca do opowieści o kwiatkach, jak do przerwane go wykładu. Mówi, że niektóre należy podlewać rzadko. Takie rośliny to duże wyzwanie dla ogrodnika. Upiera się, żeby mu pokazać niektóre z nich. Idzie za nią, przygląda się jej pośladkom pod grubym materiałem sukienki. Monika zatrzymuje się przy stoliku, na którym stoją kolorowe doniczki. Są w nich rośliny o różnych kształtach, niektóre sterczą, inne pełzają, jedne mają okrągłe liście, inne ostre. Jedne mają kolce, inne miękkie łodygi i duże uszy, niektóre mają nawet włosy. Erhard przesuwając palcami po roślinie, która przypomina bladozielony kamień. Monika wymienia łacińską nazwę, którą on natychmiast zapomina.

– Nie będziesz nam już potrzebny – mówi nagle Monika. Nie do rośliny, do niego.

– Jeśli to z powodu tego, że...

– To nie ma nic wspólnego z tobą. Zaproponowano mi, żebym odwiedzała Aaza w zakładzie, co drugą sobotę. Aaz jest już duży, musi się dostosować do zasad obowiązujących w zakładzie. Poza tym potrzebuje spokoju.

– Chyba wolno mu widywać się z matką. Możecie chyba spędzać razem czas.

– Będziemy. Będę jeździć do niego w co drugą sobotę.

– Mogę cię tam zawozić. W soboty nie pracuję.

– Łatwiej mi pojechać autobusem. Jestem do tego przyzwyczajona.

Powinien przestać proponować jej cokolwiek. Dać jej swobodę.

– Mogę cię odwozić do domu. W soboty po sjeście autobus już nie kursuje.

Nie słucha go. Erhard odbiera to jako odmowę.

– Co drugą sobotę grają w bingo. Mogę uczestniczyć w grze. Aaz podobno świetnie sobie radzi. Za każdym razem wygrywa. Nikt nie wie, jak to robi. Nieważne, jaką ma planszę i czy ma jedną, czy trzy, zawsze wygrywa. – Monika usuwa liście ze zdrewniałego pnia. Liście są suche i sterczą jak antenki. – Liana twierdzi, że to dla jego dobra. Podobno potrzebuje więcej stabilności. Ostatnio znów zaczął się moczyć. Brakuje mu poczucia bezpieczeństwa, unika



towarzystwa innych dzieci, woli być razem z siostrami. Coraz bardziej zamyka się we własnym świecie. Jedyńm wyjątkiem jest bingo.

– Ja to widzę inaczej.

– W domu też tak się zachowuje. Chce tylko oglądać telewizję. To mnie irytuje. Więcej czasu spędza z tym żółwiem niż ze mną.

– Ja to widzę inaczej. Jest żywy, otwarty.

– Ciebie lubi, lubi jeździć samochodem.

– Mam wrażenie, że ma dosyć sióstr. Rozmawiają z nim jedynie o woli bożej.

No i te poranne nabożeństwa...

– Skąd to wiesz?

– Mówił mi.

– Nie jestem w nastroju do żartów.

– To jego słowa, nie moje.

Monika nieruchomieje, patrzy na niego.

– Dziwny z ciebie człowiek. Nie potrafię powiedzieć, czy jesteś najgłupszym facetem na świecie, czy najmilszym, największym kretynem czy wręcz mędrce. Jesteś moim jasnym punktem, ale i pełnym smutku. Jesteś i jednym, i drugim. Taksówkarzem i dyrektorem. Nie wiem, kim jesteś naprawdę. Czego od niego chcesz? Wzbudzasz w nim niepokój. Nigdy nie wie, gdzie cię ma. A on musi ci ufać. Musi wiedzieć, czy traktujesz go serio, czy to, co robisz, robisz dla niego, czy tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Łatwo cię polubić, ale nie można cię pokochać.

Erhard stoi jak sparaliżowany. Od dwudziestu lat nikt tak do niego nie mówił. Przez wszystkie te lata nikt się nim tak naprawdę nie interesował. Ma wrażenie, że Monika go rozumie, ale i nie rozumie. Jej oskarżenia pozwalają mu czuć się pełnym wad, ale i zalet. Pozwalają mu czuć się wielkim, szczodrym i wolnym.

Coś sprawia, że podchodzi do niej bliżej, ociera się o jej piersi. Już prawie nie pamięta, jak to się robi, ale postanawia się tym nie przejmować. Ulega zaskakującemu pragnieniu, żeby ją pocałować. Jest przekonany, że robi źle. Nie powinien nawet próbować. Jeśli między nimi kiedykolwiek ma do czegoś dojść,

to powinien zachować spokój. Odwraca głowę, żeby przyłożyć wargi do jej niemal kamiennej twarzy, nachyla się nad nią, czuje jej piersi pod materiałem sukienki, przez moment chłonie jej zapach, nie zapach jej perfum, tylko mieszankę ciepłego zapachu ziemi z ciężkim zapachem potu i strachu. Jest zdziwiony, że się nie cofnęła, spodziewa się, że zaraz uderzy go w twarz. Znow się nad nią pochyla, a ona wygina plecy nad stołem z kaktusami, zawisa w powietrzu i patrzy na niego, nie stawiając oporu. Granica została przekroczona. Cokolwiek teraz zrobią, ich relacje się zmieniają. Jeśli go uderzy albo odtrąci, sytuacja może się zrobić krępująca. Jeśli mu ulegnie i odwzajemni pocałunek, może być tak samo. Nie ma dla nich przyszłości, nie istnieje żaden plan, żaden sens, jest tylko pocałunek. Nie pamięta, kiedy ostatnio poświęcił tyle własnej integralności. Od chwili kiedy trzasnął drzwiami w domu przy Fuglebjergvej, zawsze dawał jasno do zrozumienia, czego w życiu pragnie. Teraz, tak jak wtedy, robi to z poczuciem triumfu i w panicznym strachu. Kieliszek się przewraca, czerwone wino zostawia ślady na jasnym drewnie stolika, na którym stoją doniczki. Ale jemu jest wszystko jedno, a jej, na szczęście – nie, ulega mu. Erhard niemal nie jest w stanie uwierzyć w swoje niewiarygodne szczęście. Przez moment jest zachwycony jak dziecko, szczęka mu opada jak Jeppemu z Gór, ale szybko zostaje upomniany przez wewnętrznego cenzora, który uznaje, że wreszcie nadeszła pora, żeby i on zgarnął jakąś wygraną w loterii życia. Chwila milczenia, wdzięczność. I nagle czuje jej wargi, słone, rozwarte, bardziej miękkie i ciepłe niż kozie mleko. Ona pod nim, spycha doniczki na podłogę, on dotyka kolanem jej krocza, już chce się poddać, ale wtedy czuje jej rękę we włosach, ich twarze się stykają, jak skorupki dwóch jajek przed zderzeniem, zapiera mu dech, słyszy tylko jej jęki i gdzieś z głębi domu głos zółwia z telewizora. Nagle znów staje się obecny, jest wszędzie, pragnie wszystkiego. Musi tylko pamiętać, żeby całować ją ostrożnie, nie żuć jej warg, chociaż ma ochotę je gryźć, zatopić w nich zęby, jak w miękkim mięsie kurczaka, ssać je, poczuć w ustach, dotknąć jej wykrzywionych przez lata zębów, poczuć jej koci język. A ona wzdycha, jęczy,

jakby już kilka godzin lizał ją tam na dole, a on przecież nawet jeszcze nie włożył rąk pod sukienkę, która owija jej ciało. Obcisła, niechętna do współpracy. Oboje wiedzą, że Chłopiec-Mężczyzna zostanie tam, gdzie jest, że nie odejdzie od telewizora, zanim któreś z nich go nie wyłączy, że dopóki z salonu dochodzą odgłosy filmu, mogą być spokojni. Erhard czuje, że bolą go plecy, od tego nachylania się do przodu, od ruchu, którego jego ciało nie pamięta. Opiera się łokciem o stół, chce być bliżej niej. Smakuje papierosami, może potajemnie sobie popala, może, kiedy on rozmawiał przez telefon, gdzieś tam za żywopłotem zapaliła papierosa. A może to smak krewetek, może były wędzone albo grillowane, może to zapach ziół. Jej policzki są cienkie jak papier, kiedy otwiera usta, boi się, że pękną od kącików aż do uszu, ale ona tylko otwiera je jeszcze szerzej, przyjmuje go z desperackim głodem, który on sam zna aż za dobrze. Miłość to zadziwiające doświadczenie dla skóry. Wpatruje się w trójkąt między kośćmi policzkowymi, uszami i oczami, chce poczuć jej zapach, ale zapach już zniknął, chociaż wie, że wróci. Jego zmysł węchu tak działa, wyostrza się, żeby potem zniknąć, przyjmuje najwyżej jeden zapach, jeden, nie więcej. Czuje jej palce na rozporoku, odpinają guziki, z którymi sam niekiedy miewa kłopoty. Słońce zdążyło się już schować za dom, Monika nie może liczyć na jego pomoc. Przestaje go całować, schyla głowę, patrzy i nadal nie rozumie, co się dzieje.

– Nic nie widzę – mówi.

Erhard ma ochotę poodrywać guziki, wydrzeć zamek z materiału, chociaż tak naprawdę pragnie jedynie zyskać na czasie. Jego członek nie jest jeszcze twardy. Wie, że to musi trochę potrwać, jeśli w ogóle nastąpi. Jest podniecony, czuje pożądanie tak silne, że trudno mu sobie wyobrazić, żeby mogło być większe, wyobraża sobie, jak wędruje językiem przez niewielką zmarszczkę na jej szyi, a potem szeroką ścieżką między jej piersiami, między fałdkami na jej brzuchu, nie jest tak naiwny, żeby sądzić, że jej brzuch jest równie płaski jak jego, wędruje dalej, dociera do ciemnych zarośli i niemal czarnych jak węgiel warg sromowych, napiętych, gotowych, dotyka ich językiem, a ona krzyczy, jest

w szoku. On jest już blisko spełnienia, ale jego członek nadal jakby nie wiedział, co się dzieje, czuje coś mokrego w kalesonach, nie wie, co to jest, nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać.

– Pomóż mi – słyszy jej głos. Gdzieś z dołu, gdzie schylona, w okularach, próbuje poradzić sobie z opornym guzikiem, który broni jej do niego dostępu.

Postanawia działać. Popycha ją lekko, kładzie na stole, tak żeby mógł jej podciągnąć sukienkę. Monika protestuje, podnosi się i ku jego przerażeniu unosi sukienkę i ją zdejmuje. Sukienka opada na podłogę, leży teraz między stołem a porozrzucanymi roślinami, rozsypaną ziemią i małą ogrodową łopatką. Erhard nie potrafi powiedzieć, jakiego widoku się spodziewał. Nie wie, czy bał się, czy może miał nadzieję, że Monika żyła w seksualnej wstrzemięźliwości, że lata po urodzeniu Aaza były okresem całkowitego braku aktywności w tej dziedzinie. Ale kobieta, którą – wydawało mu się – zna, w fioletowej bieliźnie czy dessous, jak to się chyba nazywa w eleganckich kręgach, wygląda tak pięknie, że jej widok niemal go paraliżuje, jest niewyobrażalnie grzeszny, nie rozumie, dlaczego jego członek nie reaguje, dlaczego nie odpada. Nie pamięta, kiedy miał większą ochotę pożreć kogoś żywcem, zacząć od sterczących do góry palców u nóg, potem zjeść uda, krągłe i bledsze, niż się spodziewał, przekazujące całą swoją energię kroczu ukrytemu pod cienkim materiałem jak jeź pod czepkiem kąpielowym. Nie zauważa, żeby jakieś włoski wystawały, nie ma też smużki włosków prowadzącej do pępka, jak u Afrodyty, której groteskowe krocze okazało się karą dla starego mężczyzny pragnącego szybkiego seksu. Uznał, że słuszną. Piersi Moniki, wciśnięte w za mały stanik, wylewają się z niego, wydają się ogromne, ciemne krążki wokół sterczących brodawek wystają nieco poza koronkę, jakby reklamowały jego zawartość. Erhard czuje jakiś ruch w spodniach, ale jego członek nadal pozostaje wiotki, w każdym razie nie ma się czym chwalić. Opiera się o jej krocze. Wie, że to jego jedyna szansa, i nie chce jej stracić. Przygląda się jej majteczkom, okazuje się, że tak naprawdę są niebieskie, ale na samym dole widać ciemniejszą plamę, rozchodzi się w górę i na boki. Przychodzi mu na myśl, że Monika ma okres, ale nie ma to dla niego

znaczenia, dżem, krew czy sok z drzewa mądrości, wszystko należy skonsumować, zjeść, zlizać, dążąc do celu, do czekającego na niego rozwartego sromu. Zaraz jednak uzmysławia sobie, że przecież ona na pewno już od dawna nie miesiączkuje, i wtedy uświadamia sobie, że poddając się pradawnemu instynktowi łączenia się w pary, jest równie przejęta i podniecona jak on. Zaczyna jej zsuwać majtki. Są mniej elastyczne, niż sądził, musi włożyć trochę siły, żeby je ściągnąć na uda, żeby odsłonić jej płeć.

Wtedy nareszcie w jego kałesonach naprawdę zaczyna się coś dziać. Żałuje, że nie zmienił ich przedwczoraj, ale skąd mógł przewidzieć, co się stanie. Jeszcze wczoraj coś takiego wydawało mu nie do pomyślenia, nadal zresztą mu się wydaje. Widok jej krzaczką, trochę absurdalnie sterczącego, ale bez jednego zbędnego włoska wokół małża, jest dla niego czymś nowym, nie pamięta, żeby Annette kiedykolwiek ofiarowała mu coś podobnego. Seks z Annette był nieustanną edukacją, to ona prowadziła ich na szczyt, a potem – na zakończenie wieczoru – kładła się na nim. Nie pamięta, żeby któreś z nich kiedykolwiek zatraciło się w żądzę, żeby pragnęło, jak on teraz pragnie tej kobiety, której imienia w tym momencie nawet nie pamięta. Jedyne, o czym marzy, to wtargnąć językiem do otchłani, która się przed nim otworzyła. Stercząca włosy. Jej łono, gotowe go przyjąć. Wargi sromowe niczym dojrzały melon i sto razy bardziej kuszące niż u przygodnej dziwki. Nie ma pewności, czy smakują świeżością. Prawdę mówiąc, nie pamięta już tego smaku. Wie jednak, że to smak zakazany, jakby natura przygotowała ten specjalny trunek dla upartych głupców, którzy nie mogą się nasycić kobietą. Jego chemiczna gorycz ma w sobie głębię, która działa na niego jak żadna inna. Jest tak zajęty delektowaniem się tym cudownym smakiem, że dopiero po chwili słyszy delikatny piszczący dźwięk, dźwięk, który nie wydobywa się z ust Moniki, tylko prosto z płuc, zawodzenie kotki, supersoniczny pomruk, którego ona sama zapewne nie słyszy. Kiedy napiera na jej wargi sromowe nieco mocniej, mocniej przeciąga językiem tam gdzieś w środku, dźwięk przybiera na sile, jeśli natomiast skupia się na jej łonie, na krótkich włosach, które drapią mu język, muska nim łechtaczkę, która teraz

wystaje niemal centymetr ponad krawędź warg sromowych, cichnie. Nie wie, co to oznacza, ale próbuje utrzymać równowagę między dźwiękami, tymi wysokimi i tymi niskimi. Chłonie ją wszystkimi zmysłami i czuje, jak ona mu odpowiada. Dźwięki stają się coraz głośniejsze, ciało reaguje natychmiast, bez opóźnienia. Nigdy nie był wspaniałym kochankiem, nigdy się za takiego nie miał, ale nabyte z wiekiem doświadczenie teraz procentuje. Uwalnia się od niewoli członka, smakuje to, co się przed nim otwiera, wsłuchuje w otaczające go dźwięki, jest obecny, zdziwiony, że każdy jego ruch wywołuje jej reakcję, coraz bardziej intensywną, dodającą jego sokom adrenaliny.

Nagle czuje skurcz, szybko zmienia pozycję. Wtedy ona chwyta go za włosy i przyciąga jego głowę do swego łona, tak że niemal brakuje mu tchu. Skurcz nie odpuszcza, ale zapomina o nim. Monika puszcza go, chwyta się krawędzi chwiejącego się stołu, zwiiera nogi, zakleszczając go między udami, zapada cisza, w której słyszy, jak krew tętni mu w skroniach. Monika zaczyna się poruszać. Kilka doniczek spada na podłogę. Czuje jej miękkie uda przy uszach. Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś takiego. W ciągu piętnastu lat małżeństwa z Annette nigdy nie uprawiali seksu tak gwałtownie i mocno, tak poza wszelką kontrolą. Jeśli zaś chodzi o kobiety, z którymi spotykał się, zanim poznał Annette, to pragnął tylko jednego: wejść w nie i poczuć ich wilgoć wokół członka. A mimo to nie ma żadnych wątpliwości. Każda istota czuje zbliżające się szczytowanie. Oczekuje go z lękiem i zachwytem wobec niepojętej nagrody natury. Stół trzeszczy pod nimi. Z ust Moniki wydobywa się pomruk, wybucha na jej wargach. Dźwięk przypomina baskijski, ale może to hiszpański. Erhard nie potrafi powiedzieć. Wyrzucane słowa, schrypnięty okrzyk w chórze z dźwiękami wydobywającymi się z jej płuc splatają się w jeden głos. Boli go podrażniony język. Reaguje równie mocno, całym ciałem. Czuje, jak parzą go uszy, zastanawia się, czy w ogóle w nią wszedł. Czuje jej skórę, jej płyny, włosy, wargi sromowe, ma wrażenie, że nagle się kurczą, jakby chciały zrobić dla niego miejsce. Słyszy jęki, charczenie, jakby jakieś zwierzę biegło przez las, przez las, którego przecież tu, na wyspie, nie ma. Błat nie wytrzymuje, jeden z kaktusów

wbija mu się w biodro, ale jemu jest już wszystko jedno. Czuje, jak jego członek napiera na spodnie, chce wyjść. To coś nowego. Ma wrażenie, że ma w ustach całe jej łono, znów rozlega się piszczący dźwięk, niski. Głęboki. Monika nareszcie rozwiera uda, teraz widzi już wszystko pod otwartym fioletowym niebem, z dziurami po kaktusie, coś z niej płynie, z salonu dochodzi go śmiech żółwia, Monika krzyczy, stół wali się na podłogę, a on dalej ją liże, jego członek przejmuje jego ciepło, ciepło, którego do tej pory nie znał, bolesne, dobywające się gdzieś z głębi. Zatraca się w chaosie, do którego ani forma, ani sens nie mają wstępu.

## 58

Śmieją się, pełzając po podłodze wśród skorup i kawałków połamanego stołu. W końcu Erhard, zmęczony, kładzie się na jej krągłym brzuchu, a ona nie protestuje.

– Masz szatański język – szepcze.

I znów się śmieją. Erhard jest wykończony, nie jest w stanie myśleć. Zapada cisza. W salonie nadal hałasuje telewizor. Nie mają pojęcia, ile czasu minęło od chwili, kiedy skończył rozmawiać przez telefon. Słońce skryło się już za horyzontem, kamienne ogrodzenie rzuca cień na ogródek. Temperatura spadła pewnie o pół stopnia.

Erhard nie jest w stanie pojąć swojego szczęścia. Tego, że tak całkowicie się jej oddał. Nie może pojąć, że kobieta mogła mu dać tak dużo, chociaż na to nie zasłużył.

Nie pojmuje też, dlaczego czuje się tak bardzo winny wobec Beatriz. Sam się sobie dziwi i nagle to, co przed chwilą przeżył, zaczyna go brzydzić. Nie potrafi powiedzieć, czy dlatego, że był z inną kobietą, czy może dlatego, że kiedy się nią kochał, ani przez sekundę nie myślał o Beatriz, co jest dla niego czymś nowym. Czuje, że wszystkie pory się zamykają, jego zachwyty zastygają. Jakby stał i przez

szybę zaglądał do sklepu, który zaraz się zamyka, sprzedawca liczy towar, odkłada na półki, porządkuje. Czuje się okropnie, nie wie, co ma zrobić, nie wie nawet, czy w ogóle powinien coś zrobić. Ma pokochać kobietę, z którą przed chwilą się kochał, czy zadowolić się tą, którą ma w domu, bez względu na to, czy ona tego chce, czy nie?

Wstaje i wchodzi do domu. Zostawia Monikę w bieliźnie. Sam nawet nie zdjął koszuli. Na jego ubraniu nie ma śladów tego, co się stało, z wyjątkiem małej plamy na spodniach, nie wie po czym, czuje tylko, że jest mokra i że go irytuje. Niewykluczone, że to po prostu ślad po moczu.

– Muszę już jechać – oświadcza.

Kiedy wchodzi do salonu, natychmiast widzi, że coś jest nie tak. Światło zniknęło, salon rozświetla jedynie telewizor. Nadal leci ten sam program dla dzieci. Aaz siedzi w fotelu. Wpatrzony w drzwi. Ma nieruchome spojrzenie. Jakby patrzył mu prosto w oczy. Ale trudno zgadnąć, co myśli. Chce coś powiedzieć, ale nie wydobywa żadnego dźwięku. Erhard nie jest do końca pewien, czy rzeczywiście na siebie patrzą, jest ciemno, ale ma takie uczucie. Po chwili Aaz odwraca się w fotelu z powrotem w stronę telewizora.

Erhard uświadamia sobie, że musi go odwieźć. Po raz pierwszy boi się wspólnej podróży. Po raz pierwszy Chłopiec-Mężczyzna wydaje mu się nieobliczalny, jak goryl. Spogląda na ogród, widzi, jak matka wstaje.

Drżącymi dłońmi przekręca klucz i wchodzi do mieszkania. Słyszy, jak sąsiadka z dołu walczy z kluczami, zamyka szybko drzwi. Nie było go w domu zaledwie kilka godzin, ale ma wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu.

Długo stoi i patrzy w głąb sypialni. Widzi na stoliku migającą aparaturę i pojemnik na worek, jedno i drugie powiązane rurkami z nieforemnym czarnym tobołkiem nakrytym kocem. Co ona mu wtedy powiedziała? Już prawie nie pamięta, chociaż oczywiście pamięta doskonale. Słowa brzmią tak krucho, jakby zaraz miały się rozpaść, nie można ich wypowiedzieć, przeliterować. Im bardziej



stara się o nich zapomnieć, tym lepiej je pamięta. I wierzy w nie. A może to wszystko nieprawda? Może po prostu chciał, żeby ona je wypowiedziała.

Nagły impuls sprawia, że zapala światło i zdejmuje z niej koc. Leży teraz przed nim w dresie z cekinami. Podchodzi do niej, kładzie palec na jej powiece, podciąga ją, patrzy w jej lewe oko. Źrenica wiruje jak wiszący na nitce guzik od koszuli.

Chce ją zawołać. Gdzie jesteś, Beatriz? Gdzieś tam w środku? Słyszy, jaki jest zdesperowany. I nagle dociera do niego, o co w tym wszystkim chodzi.

Do tej pory sądził, że zrobił dobry uczynek – uratował ją od śmierci, opiekował się nią, czekając, aż wróci do życia. Do tej pory ratował ją dla niej. Do tej chwili marzył, że uda mu się ją ożywić, że pocałunkiem zdejmie klątwę, która zawisała nad wyspą. Ale w tym wszystkim nie ma nic pięknego, nie robi tego ze względu na nią, nie będzie szczęśliwego zakończenia. Bo wszystko cały czas kręci się wokół niego. Pragnął się poświęcić dla niej, żeby potem nie mogła go odtrącić. Jakby to była jego ostatnia szansa na osłodzenie sobie życia, zdobycia kobiety, która w innej sytuacji nie zwróciłaby na niego uwagi.

No i chciał też zaspokoić swoją ciekawość. Dociec znaczenia słów. Dowiedzieć się, co mu powie, kiedy się przebudzi. Bo tylko ona wie, co się stało tej nocy, kiedy Raúl zniknął. Nawet jeśli Raúl już nigdy nie wróci, to on chce wiedzieć, czy to on ją uderzył, czy wszystko było po prostu głupim, nieszczęśliwym wypadkiem. Czy Raúl uciekł, bo popełnił zbrodnię, czy tylko błąd, poważny, ale taki, który przytrafia się ludziom. To właśnie chce wiedzieć. Żeby zrozumieć człowieka, którego miał za przyjaciela, ale którego – jak się okazało – w ogóle nie znał. Ale też po to, żeby odzyskać zaufanie do samego siebie i wiarę w zdolność oceniania innych.

Patrząc jej w oczy, czuje się cholernie podły. Naraził ją na tyle cierpienia. Na powolną, degradującą dehumanizację, nazywaną śpiączką, która z każdym dniem oddala ją od tego kogoś, kim kiedyś była i kim już nigdy nie będzie. Rodzina i przyjaciele już się z nią pożegnali, teraz ma tylko jego. Nędznego

starca, który postanowił, że ma żyć – dla niego, dla jego ego, żeby zaspokoić jego ciekawość.

– Przepraszam – mówi. Powtarza to kilka razy. Aż w końcu kładzie się na łóżku i zasypia, nareszcie blisko niej i nareszcie nie myśląc w ogóle o seksie.

Dobrze zna miejsce, gdzie mieści się biuro Aritzy. W Puerto, na wschód od Selos. W tak zwanym Parque Occidente. Kilka lat temu nikt tu nie chciał ani mieszkać, ani pracować, teraz to się zmieniło. Pojawili się młodzi ludzie, z pieniędzmi. Erhard nie wie, co oni wszyscy robią, ale właśnie tutaj otworzono niedawno jedną z najdroższych restauracji w mieście. W okolicy pełno wielkich ekskluzywnych samochodów. Jedynym wytłumaczeniem tej zmiany jest widok. W Selos na każdym kroku są warsztaty, dyskonty, pozostałości po dawnej dzielnicy portowej. W Parque Occidente w zasadzie też, z wyjątkiem jednej jego strony, tej, która otwiera się na morze. Erhard wchodzi do nieciekawie wyglądającego kompleksu w kształcie podkowy. Mieszczą się tu luksusowe biura, na dole w holu jest wspólna recepcja z fontanną, wokół której roznosi się zapach świeżo zmielonej kawy. Wsiada do windy i usiłuje ją zaprogramować tak, żeby go zawiozła na trzecie piętro. Winda rusza na górę, bezszelestnie, za szklaną ścianą rozciąga się widok na port i morze.

Winda się zatrzymuje, drzwi rozsuwają się, ukazując salę, w której stoi dwadzieścia, a może nawet trzydzieści biurek, są też kanapy, zielone rośliny, sale konferencyjne za czerwonymi taflami szkła i monitory, mnóstwo monitorów. I ludzie siedzący wokół kilku długich stołów – mnóstwo młodych mężczyzn w czapkach z daszkiem. Obok windy jest tablica, na której wypisano nazwy różnych instytucji znajdujących się na piętrze. Eewayz, firma, w której pracuje Aritza, ma siedzibę po prawej stronie. Erhard rusza przez salę. Po chwili zauważa go za jedną ze szklanych tafli. Stoi plecami do niego i podziwiając widok, rozmawia przez komórkę. Erhard zatrzymuje się przed drzwiami do szklanej klatki, Aritza go zauważa, macha do niego i kończy rozmowę krótkim *bye bye*.

– Dzień dobry – mówi, ale nie podnosi głowy. Zerka na komórkę.

Erhard siada na czerwonym fotelu w kształcie kuli. Okazuje się miękki. Aritza także siada. Patrzy na niego.

– Cokolwiek myślisz, jesteś w błędzie. Nic się nie stało, niczego nie było, nic nie widziałeś.

– Mam taką nadzieję – odpowiada Erhard. – Ze względu na twoją żonę. I twoją siostrzenicę.

– Mojej żonie jest wszystko jedno, wyśmiałyby cię, gdybyś poszedł do niej i zaczął jej opowiadać takie rzeczy.

– Więc dlaczego tu siedzimy?

– Czego ode mnie chcesz?

Erhard przygląda mu się dłuższą chwilę.

– Jeśli mam być szczery, to dlatego, że nie znam nikogo, kto ma kontakty w branży żeglugowej i logistyce. Domyślam się, że to wrażliwe dane, że niełatwo je zdobyć.

– Mogłeś po prostu grzecznie poprosić.

– Właśnie to robię.

Aritza poprawia się w fotelu.

– Chcesz rozmawiać z Robbiem, moim przyjacielem, Robertem Jamiesonem.

– Chcę rozmawiać z kimś, kto mi pomoże odnaleźć kilku członków załogi pewnego statku.

– Tak, tylko widzisz, już rozmawiałeś z Robertem. Powiedział mi, że statek, którego szukasz, Seascape Hestia, został porwany.

– Wiem. Dlatego szukam jego załogi.

– Robbie twierdzi, że policja także ich poszukuje.

– To brzmi bardzo prawdopodobnie – mówi Erhard. Wcześniej w ogóle o tym nie pomyślał.

– Dlaczego ich szukasz?

– Nie chodzi o żadne przestępstwo.

– Ale do przestępstwa już doszło. Porwano statek. Jeden człowiek zginął. Załoga i ładunek zniknęli.

– Nie proszę o pomoc w sprawie kryminalnej.

– Więc kogo szukasz?

– Kogoś, kto mógłby mi powiedzieć, co się stało.

– Obawiam się, że nikt tego nie potrafi. Wszyscy członkowie załogi zniknęli.

Co chcesz zrobić?

– Nie wiem.

– Jeśli ci pomogę, obiecasz, że...

– Nie zamierzam nic nikomu mówić. Pod warunkiem, że rozwiedziesz się z żoną i ożenisz z siostrzenicą.

André Aritza patrzy na niego przerażony.

– Ja...

– Spokojnie – mówi Erhard. – Po prostu pomóż mi zdobyć potrzebne informacje. Swoje prywatne problemy musisz rozwiązać sam.

– Obiecujesz, że nie nadużyjesz zaufania mojego przyjaciela? Nie będzie miał z twojego powodu żadnych kłopotów? Jeśli tak, to możemy do niego zadzwonić.

– Wolałbym sam z nim porozmawiać.

Aritza kiwa głową. Znów zerka na komórkę, po chwili przystawia ją do ucha. Wyrzyc jej twarzy się zmienia.

– Cześć, Robbie, mówi André. Tak, rozmawiałem z nim. Jest w porządku. Nie, nic takiego na pewno nie zrobi. Tak. Okej. Zaraz ci go dam. – Oddaje komórkę Erhardowi.

– Dzień dobry.

Po drugiej stronie słycać trzaski, po chwili słyszy męski głos z wyraźnym brytyjskim akcentem.

– Dzień dobry. André powiedział mi, że szukasz załogi pewnego statku.

– Tak, ale z innych powodów, niż podejrzewasz.

– Tak?

– Na wyspie znaleziono martwego chłopca. Podejrzewam, że jego śmierć ma związek ze wspomnianym statkiem.

– Chłopca? Chodzi o maszynistę?

– Nie, o trzymiesięczne dziecko.

– Jaki to ma związek z porwaniem statku? – pyta głos w komórce.

André Aritza wygląda na zdezorientowanego.

– Tego jeszcze nie wiem.

– Rozumiem, niestety nic o tym nie wiem. André prosił, żebym się czegoś dowiedział o statku, którego szukasz. Seascope Hestia, tak?

– Wystarczy mi jedna osoba z załogi, do której mógłby zadzwonić.

– Wiesz coś o prawie żeglugowym? O administracji?

– Nie. Nic a nic.

– Chodzi o to, że wszyscy, którzy zaciągają się na statek, są rejestrowani. W Anglii jest to na ogół rejestr cyfrowy, ale system nie został zestandaryzowany. Tak więc w niektórych przypadkach lista członków załogi to nadal kartka formatu A-4 z ręcznie wypisanymi nazwiskami, często nieczytelnie. W Hiszpanii bywa różnie. W Valencii i Algeciras jest jaki taki porządek, w Las Palmas i Santa Cruz też na ogół mają porządek w papierach, ale w Dakarze i Abidżanie już niekoniecznie.

– Co to znaczy? I jak było w przypadku Hestii?

– Do dwa tysiące ósmego roku rejestr załogi prowadził holenderski armator, który był właścicielem statku. Ale w dwa tysiące dziewiątym statek przeszedł w ręce hiszpańskie i od razu został wynajęty hiszpańskim spółkom, które nie miały takich wymagań. Wtedy porwania należały raczej do rzadkości, więc nie skupiano się na tym problemie.

– Więc listę załogi powinna mieć spółka, która wyczarterowała statek?

– Mają starą listę, sprzed pięciu dni przed wypłynięciem. Wielu członków załogi, którzy na niej figurują, nie było na pokładzie. Chodzi o tak zwaną listę IMO FAL, numer pięć.

– Ale kapitan się odnalazł?

– Tak, on i trzech z ośmiu członków załogi byli na pierwotnej liście. Lista była nieaktualna już w momencie opuszczenia portu. Ale nawet gdyby było inaczej, nie miałbyś z niej dużego pożytku. Po poza kapitanem wszyscy zniknęli. Poza tym okazało się, że ci, o których wiadomo, że byli na liście, nie mieli z Hestią nic wspólnego. Z jednym wyjątkiem. Maszynisty, który nazywał się Chris Jones.

Imię i nazwisko brzmią znajomo.

– Co z nim? – pyta Erhard.

– Miał płynąć na Hestii, ale w ostatniej chwili ktoś go zmienił. Nie wie kto, ale kiedy władze znalazły ciało maszynisty, a przy nim papiery Chrisa Jonesa, uznano oczywiście, że to on.

– Ale to nie był on?

– Nie. Chris Jones siedział w pubie i czytał w gazetę. Zobaczył artykuł o porwaniu i własne nazwisko.

– Więc nikt tak naprawdę nie wie, kto był na tym statku?

– Co świadczy o zaniedbaniach i ogromnym bałaganie, nie mówiąc o braku odpowiedzialności.

– A może ktoś specjalnie nie wypełnił papierów – mówi Erhard. Przypomina sobie skradzione samochody, które ostatnio widziano w Holandii.

– Kanaryjska policja na pewno wie więcej od nas. Wypytywali mieszkańców zarówno w mieście, w Santa Cruz, jak i w samym porcie. Moja koleżanka w tym uczestniczyła. Opowiedziała mi to, co ci teraz przekazałem. Ale to nie są oficjalne informacje. Nie ma żadnej listy, nie ma żadnych nazwisk.

– Okej.

– Niestety.

– Okej – powtarza Erhard.

– Możesz mi jeszcze dać André?

– Chwileczkę. Możesz się dowiedzieć czegoś więcej o Jonesie? Na przykład zdobyć numer jego telefonu?

– On nigdy nie wszedł na pokład.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

Głos milczy dłuższą chwilę.

– André twierdzi, że go czymś szantażujesz. Nie obchodzi mnie, co to jest, ale jeśli znajdę ci dane Jonesa, to chciałbym, żebyś zapomniał o wszystkim, co wiesz o André. Rozumiemy się?

– Chcę mieć ten numer dzisiaj.

– Znajdę go i prześlę André.

– Dziękuję – mówi Erhard, oddaje komórkę i z trudem podnosi się z krzesła.

– Anglik jest twój – rzuca. – Obiecał, że jeszcze dzisiaj przekaże mi numer telefonu. Kiedy go dostaniesz, zadzwoń na ten numer – mówi i kładzie na biurku wizytówkę.

Aritza bierze komórkę i odchodzi.

Po południu jest umówiony z dyrektorem parku wodnego, ale nie ma siły na to spotkanie. Kiedy zauważa, że drzwi do gabinetu Marcelisa są zamknięte, prosi Anę, żeby przełożyła spotkanie na przyszły tydzień. Ana zapisuje coś w komputerze. Uprzedza ją też, że jeśli zadzwoni niejaki André, ma go natychmiast przełączyć do niego. Nie wie, czy może jej ufać.

– Emanuel Palabras dzwonił i cię szukał – mówi Ana.

– Co mu powiedziałaś?

– Że cię nie ma.

– W porządku.

– Ale teraz już jesteś. Mam cię z nim połączyć?

– Nie. Sam do niego zadzwonię. – Znów zaczyna podejrzewać, że Ana przekazuje wszystko Palabrasowi albo Osasunie. – Za chwilę sam do niego zadzwonię – powtarza.

– Tylko pamiętaj, żeby podłączyć telefon. Ten nowy.

– Tak – mówi i wraca do pokoju, który nagle wydaje mu się mniejszy od jego starego mercedesa. Klęka i podłącza telefon. Potem bierze książkę i próbuje czytać, zerkając co chwilę na ciemnozielony aparat.

Okolo wpół do czwartej rozlega się mruczenie. Dzwoni Aritza. Podaje mu adres. Na Teneryfie.

– A więc sprawa została zakończona – mówi.

– Prosiłem o numer telefonu.

– Jesteś dupkiem. Znalezienie tego adresu zajęło Robbiemu wiele godzin. Nie ma numeru. Facet jest chyba chory.

Erhard milczy. Nie wie, co powiedzieć.

– Mam nadzieję, że dowiesz się czegoś o tym zmarłym chłopcu. Dzieci są solą życia – dodaje Aritza. Brzmi to trochę sztucznie.

– Najwyraźniej nie wszyscy tak uważają – kończy Erhard.

## 59

Z powrotem na Teneryfie. Lot nie trwa nawet godziny.

Siedzi sztywny w fotelu, wygląda przez okno. Wielka niewidoczna fala przenosi ich z jednej wyspy na drugą. Silnik nie hałasuje, dookoła panuje cisza, załoga niewielkiej maszyny porozumiewa się szeptem. Nikt nie podaje drinków, nie podaje niczego, załoga przechadza się między siedzeniami i uspokaja pasażerów, wszyscy ładnie się prezentują, także mężczyźni. Zupełnie inaczej niż podczas jego ostatniej podróży samolotem. Siedemnaście, może już osiemnaście lat temu. Był wtedy tak pijany, że kiedy lądowali na Fuerteventurze, jemu się wydawało, że właśnie wznoszą się w powietrze. Czwarty raz opuszcza wyspę. Po raz drugi w ciągu ostatniego miesiąca. Tym razem na koszt firmy. Prawdziwa przyjemność. Skłamał, że jest umówiony na lunch z przedstawicielem firmy transportowej.

Na początku, kiedy się tu zjawił, Santa Cruz było miejscem, w którym można było się zakochać. Widziane z góry przypomina wielkie miasto, którym jednak nigdy się nie stało. Palmy są szare, budynki zaklejone reklamami. Z samolotu



widać wielki billboard na dachu lotniska: para młodych ludzi splecionych w objęciach reklamuje nowe perfumy o zapachu limonki i anyżu.

Bierze taksówkę i jedzie pod adres, który mu podano. Taksówka zatrzymuje się na niewielkim placu, przy którym stoi kilka straganów i kiosk z gazetami. Jest niedziela, życie toczy się powoli. Nachodzi go ochota na jagnięcinę z grilla, wokół unosi się zapach cynamonu i spalonego tłuszczu. Za grillem stoi Marokańczyk, obraca szaszłyki z ciemnego mięsa. Tłuszcz pryska wokół, wabi miejscowych mężczyzn, mężczyzn w bokserkach, mężczyzn z gęstymi czarnymi brodami, kierowców tirów.

Erhard wchodzi na brudną klatkę schodową, schody są upaprane ptasimi odchodami. Idzie powoli na trzecie piętro. Tanie białe drzwi z wypisaną na nich literą C wyglądają, jakby za chwilę miały wypaść.

Patrząc przez otwartą galerię, widzi w dole duży owalny tor po drugiej stronie ulicy, za wysokim ogrodzeniem. Puka do drzwi. Dwa razy. Trzy.

– Wejdz, do cholery – dobiega ze środka.

Otwiera ostrożnie drzwi.

– Chris Jones? Jestem Erhard Jorgenson.

– Wejdz i przestań się drzeć! – krzyczy Chris Jones. Jest pijany. Śmieje się. – Boże drogi, ilu różnych ludzi próbuje się ze mną skontaktować, od kiedy okazało się, że umarłem.

– Rozumiem, że równie dobrze mogłeś być na pokładzie jakiegoś statku, więc mam szczęście, że cię tu zastałem – zaczyna Erhard, spoglądając na człowieka, który leży w łóżku w ciemnym pokoju. Na ścianach wiszą plakaty z psami.

– *Hell no*, jestem inwalidą. Żyję na rachunek państwa.

Chce podać Erhardowi rękę, ale akurat je kurczaka. Patrzy na dłoń Erharda bez palca, nic nie mówi.

Erhard rozgląda się, szuka miejsca, gdzie mógłby usiąść, w końcu po prostu opiera się o ścianę.

– Szczęście na mnie spadło, czy nie tak się mówi? Można sobie wyobrazić lepsze życie? Z widokiem na tor psich wyścigów i pieczonym kurczakiem

w rękę? I whisky domowej roboty? – Wskazuje na półkę nad drzwiami toalety na środku pokoju. Stoi na niej pięć butelek z brunatnym trunkiem marki, której Erhard nie zna.

– Miałeś płynąć statkiem, który został porwany? – pyta.

Incydent miał miejsce zaledwie kilka tygodni temu, a facet wygląda, jakby zdążył już zapuścić korzenie. Upadek następuje szybko.

– Wszystko było już ustalone, *hell*, zaniósłem nawet swoje graty na łajbę. Ale kiedy wieczorem wychodziłem z nocnego klubu, jakaś świnia dała mi w łeb, a kiedy się obudziłem, okazało się, że statek już odpłynął i moje życie legło w gruzach, *end of story*.

– Kto cię uderzył?

Jones się śmieje.

– Policja też mnie o to pytała, ale skąd ja mogę wiedzieć. Nie widziałem go. I nie pytałem. Proste. Podejrzewam, że to ten pierdolony gnojek, którego później znaleziono z moimi papierami. Ale nie wiem, zgaduję.

– Dlaczego ktoś chciał zająć twoje miejsce na statku?

– Może to któryś z tych pieprzonych dupków, którzy uprowadzili łajbę? Jakiś dziennikarz, nie wiem. Jeśli piszesz artykuł i zamierzasz o mnie wspomnieć, to chciałbym za to jakąś kasę.

– Nie jestem dziennikarzem i nie mam kasy.

– To po co przychodzisz i zawracasz mi dupę?

– Szukam kogoś, kto zaginął.

– Nic mi o tym nie wiadomo. *Goddammit*. Dali mi w łeb, rozumiesz?

Rzuca torebkę z resztkami kurczaka w stronę kubła na śmieci, ale nie trafia.

– Na pewno znasz jakieś plotki. Ludzie gadają. Zniknęło siedmiu marynarzy. I ładunek wart wiele milionów.

– Nie słucham plotek. Jediną osobą, która mnie odwiedza, jest moja siostra, no i ci durni dziennikarze, którzy nie mają o niczym pojęcia. Niektórzy nawet nie wiedzą, że to nie ja umarłem, tylko ten drugi facet. Matka omal nie dostała zawału.

– A twoi przyjaciele? – Erhard nie ustępuje. – Na pewno coś słyszeli. Wiele lat jeździłem taksówką i zapewniam cię, że taksówkarze plotkują bardziej niż baby, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Chris Jones śmieje się tak, jakby brakowało mu zęba, może nawet dwóch. Albo był bardzo pijany.

– Wiem, o co ci chodzi. Powiedz... kim ty naprawdę jesteś?

– Starym dupkiem, który próbuje znaleźć kogoś, kto był na tym statku, to wszystko.

– Stary dupek. Stary ciekawski dupek. Ale podobasz mi się. Najważniejsze, że nie jesteś gliną. Ani dziennikarskim psem.

– Masz moje słowo, że nie jestem ani jednym, ani drugim.

– Podaj mi taką jedną – mówi Jones i pokazuje na butelki z whisky.

Erhard zdejmuje z półki jedną butelkę i zanosz mu. Jones nalewa whisky do starego kubka, który stoi na taborecie obok łóżka, i podaje mu. Sam przystawia butelkę do ust i kilkoma haustami wypija jedną czwartą.

– Co się stało z twoim palcem? – pyta bez skrępowania.

Erhard woli, kiedy ludzie pytają go wprost zamiast krążyć wokół tematu.

– To kara za pewną zbrodnię – odpowiada.

– Fuck me, spojrzaleś na cudzą żonę w kraju, w którym tego nie lubią, czy coś w tym stylu?

– Powiedzmy, że coś w tym stylu.

– W Emiratach?

– W Danii.

– *What?* Duńczycy nie robią takich rzeczy.

– Ja zrobiłem.

Mija trochę czasu, zanim do Jonesa dociera sens jego słów.

– To brutalne – mówi cicho.

Obaj piją whisky. Jones wyciera usta kocem.

– W zeszłym tygodniu spotkałem jednego kumpla, Simao, dużo razem żeglowaliśmy. No i łączą nas psy – dodaje, odwraca się i wskazuje na plakaty. –

Przyszedł tu do mnie na górę, usiadł na tym krześle i było mu bardzo przykro z powodu tego, co mi się przytrafiło. I nagle zaczął mi opowiadać o Hestii. Powiedział, że wie, co się stało, gdzie ludzie się ukryli i w ogóle.

– Gdzie się ukryli?

– Twierdził, że marynarze byli w to jakoś wplątani, więc ukrywają się przed policją.

– Wplątani? W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia. Pewnie tylko się przechwalał. Wszyscy się przechwalają. Wszyscy okrążyli kulę ziemską tysiąc razy i pieprzyli się w każdym porcie. Takie tam gadanie. Wielu z nich to obrzydliwe tchórze. Boją się zejść na ląd, kiedy statek przybija do portu. Jeśli mają papierosy, wodę i colę, to zostają w kajutach i pieprzą się ze sobą. Świnie.

– Ach tak – mówi Erhard.

– Ale Simao powiedział coś, co zabrzmiało interesująco. Twierdził, że ładunek został tu przywieziony z powrotem. To coś nowego. Wszyscy są przekonani, że zaginął gdzieś w Afryce, na czarnym lądzie. *Blame it on the niggers*, wiesz jak to jest.

– To rzeczywiście ciekawe – mówi Erhard, chociaż nie wie, co to może znaczyć.

– Coś takiego wymaga świetnej organizacji, to na pewno. Bogaci faceci grają w golfa i wymyślają różne takie rzeczy.

– Gdzie mogę spotkać twojego kumpla? Tego, który się przechwalał.

– Jeśli nie jest gdzieś na morzu, to pewnie na jakimś torze, na którym organizują psie wyścigi, no wiesz, takie, na których jeden bardzo chudy pies goni drugiego, równie chudego.

– A gdzie jest taki tor?

– Na północy jest jeden z największych.

– Jak się nazywa twój kumpel? Simao i co dalej?

– Simao. To wystarczy. Jak Pelé. Ma tylko jedno imię i nazwisko zarazem.

– Jeśli wyświadczę ci przysługę, odwzajemnisz się?

- Jesteś bezczelny. – Chris Jones się śmieje.
- Dowiedz się, gdzie jest twój przyjaciel Simao, a ja się dowiem, kto dał ci w łeb.
- Wiem, że to był on, ta świnia.
- Powiedziałaś, że nie był sam.
- Muszę dokończyć to, co zacząłem – mówi Jones i potrząsa butelką.
- Do jutra ci nie zniknie. Ani ona, ani żadna z jej czterech przyjaciółek.
- Trudno odmówić takiemu staremu dupkowi.
- To prawda – odpowiada Erhard.

## 60

Statek nazywa się Nicosia. Erhard z trudem odczytuje nazwę, jest cała w ptasich odchodach, wyblakła od deszczu i wiatru. To pięćdziesięciometrowy kontenerowiec. Drewniany trap jest zniszczony. Wygląda krucho i delikatnie na tle kadłuba, czarnego muru ze stali. Erhard wyobrażał sobie, że zaczepi kogoś z załogi, krzyknie coś, zawoła, ale nikogo nie widzi. Wchodzi na pokład po trapie, jakby całe życie nic innego nie robił.

Dociera na górę, ale nadal nikogo nie widzi. Pokład jest pełen dźwigów i skrzyń, wszędzie leżą taśmy do mocowania kontenerów. Pachnie żelazem, krwią. W pewnym momencie Erhard jest przekonany, że przygryzł sobie język, ale nie, zapach żelaza unosi się w powietrzu, kontenery są zardzewiałe, w wielu miejscach reling zastępują łańcuchy, jęczą i zawodzą na wietrze. Erhard idzie wzdłuż relingu i szuka drzwi. Może załoga jest na dole, może trwa jakieś zebranie, odprawa. A może załogi w ogóle jeszcze nie ma. Chris Jones tłumaczył mu, że ma znaleźć mostek.

Spostrzega drzwi pod schodami, prowadzą na dach górnego pokładu. Drzwi są małe, jakieś dwadzieścia centymetrów nad pokładem, przypominają drzwi do szafy. Spodziewa się, że znajdzie za nimi półki wypełnione latarkami, sznurami

i innym sprzętem. Nic nie wie o pracy i w ogóle o życiu na morzu. Ale wielu marynarzy, których miał okazję poznać, łącznie z Chrisem Jonesem, to alkoholicy, nałogowcy albo po prostu dziwacy. Życie na morzu musi być przygnębiające, a ciężkie warunki pewnie też robią swoje. Monotonia, szum fal, trzeszcząca łajba i fatalne jedzenie podawane na paskudnych metalowych tackach. I podnieceni marynarze w zbyt wąskich łózkach.

Okazuje się, że to jednak nie jest szafa, tylko długi korytarz, ma jakieś pięć, sześć metrów, a potem znika w podłodze. Erhard nie zamierza schodzić pod pokład, ale kiedy dociera do rogu, dostrzega strome schody prowadzące do skrzyni, która wygląda jak domek dla ptaków postawiony na szczycie budynku bez okien. Chyba właśnie tego szuka.

Rusza na górę i przez szybę w drzwiach zagląda do środka. Pomieszczenie przypomina coś, co można by nazwać mostkiem, jest wypełnione biurkami i komputerami. Światło wpada z zewnątrz przez lekko zmatowiałe szyby, które zajmują całą jedną ścianę. Widać przez nie burtę i port, w którym cumują inne statki, wszystko jakby zasnutę welonem koloru kawy, przedpołudniowe słońce wygląda na zmęczone. Dostrzega kogoś. Siedzi plecami do niego. Przy niewielkim biurku. Nachyla się nad gazetą albo jakimiś dokumentami. Ostrożnie otwiera drzwi. Gdzieś z radia leci pop.

– *Good morning* – mówi Erhard.

Okazuje się, że osoba przy biurku to drobna kobieta z hełmem gładkich włosów, przypomina Arabkę. Zerka na jego buty. Tanie tenisówki. To nie są buty dyrektora. Już wiele razy obiecywał Emanuelowi, że przestanie chodzić w tenisówkach, ale nadal to robi.

– Kim pan jest?

– Szukam Simao.

Kobieta wskazuje na róg, gdzie znajdują się kolejne drzwi.

– Tam. Śpi, ale i tak musi wstać, bo za trzy kwadranse odpływamy – mówi, odwraca się od niego i wraca do lektury.

Erhard pcha drzwi, otwiera je. W małym pomieszczeniu jest kompletnie ciemno. W świetle padającym przez drzwi widzi łóżko i brodatego mężczyznę. Budzi się i przewraca pod kocem jak małe dziecko.

– Simao – mówi Erhard.

– Już nie śpię – odpowiada mężczyzna, ale brzmi, jakby spał.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem – powtarza kilka razy.

Erhard wetknął mu do kieszeni brudnej koszuli dwieście euro. Chris Jones twierdził, że każda suma powyżej stu euro otworzy dupkowi usta. Pewnie ma jakiś dług, który narasta już od dziesiątek lat i którego nigdy nie będzie w stanie spłacić. Jego życie zależy od tych ze świata hazardu, którzy nigdy nie ulegli nałogowi, od grubych ryb, facetów, którzy przerzucają grube miliony między wyspami, nie płacąc centa podatków. Spod łóżka wystaje gazetka toru wyścigowego. Erhard spodziewał się, że na ścianach będą jakieś zdjęcia. Dziewczyny albo dzieci, albo panienek z gołymi piersiami przebranych za syreny. Albo plakaty z psami, jak u Chrisa Jonesa. Ale może łóżko nie należy do Simao, może to ogólna kajuta, z której ma prawo korzystać ten, kto ma wartość. Simao włożył już koszulę i wyszedł na pokład. Żeby zapalić. Erhard tłumaczy mu, dlaczego chciał się z nim spotkać.

– Przyjechałem tu, żeby zadać ci kilka pytań. Jeśli odpowiesz na wszystkie, dam ci jeszcze dwie stówki. Wiem, co mówiłeś o Seascape Hestia. Proszę tylko, żebyś teraz opowiedział to wszystko mnie.

Simao patrzy na port.

– Chris Jones, ten *marica*. Czy jemu już się kompletnie poprzestawiało w głowie po tym uderzeniu? Powiedziałem mu to, żeby sobie nie wyrzucał, że... że oni...

Erhard udaje, że tego nie słyszy.

– Nie jestem policjantem, nie przychodzę z żadnego urzędu. Nikomu nie powiem, że z tobą rozmawiałem.

Stoją w cieniu między kilkoma kontenerami. Simao zapala kolejnego papierosa, nie zgasiwszy jeszcze poprzedniego, wyrzuca żarzącego się peta do wody, dotyka kieszeni koszuli.

– To było już jakiś czas temu. Ugrzęzłem w Casablance. Czekałem na kumpla, na Ramóna, który mi obiecał, itede, itepe. W każdym razie nie zjawił się. Byłem w jakimś barze i tam spotkałem, zupełnie niespodziewanie, sternika, którego dobrze znam. Facet był ululany, pewnie pił, ćpał, itede, itepe. Wypiliśmy kilka kieliszeczków, rozmawiamy o tym, że przydałoby się przygruchać jakąś laskę, ale tak naprawdę to on chyba nie miał ochoty, twierdził, że żonka obdarłaby go żywcem ze skóry, więc w końcu lądujemy w jakiejś knajpie, wypalamy po jeszcze jednym papierosie, itede, itepe. Nagle facet mówi mi, że płynął statkiem, który opróżnił z towaru kanaryjską łajbę, tę, o której w swoim czasie było tak głośno. Wszyscy szukają załogi statku, który odpłynął do zachodniej Afryki, ale nikt nie wie, że on był na tym drugim statku. Facet ma zgryz, nie wie, czy ma komuś o tym powiedzieć, czy nie. Powiedziałem, żeby tego nie robił, niech się trzyma z daleka od tego gówna.

Erhard nie wydaje się szczególnie zdziwiony.

– Uwierzyłeś mu? Może trochę się przechwalał?

Simao patrzy na niego jak na wariata.

– Takie rzeczy się wie. Porządnie napruty marynarz nigdy nie kłamie.

– Może chciał ci się zrewanżować za miłe towarzystwo.

– Jak to: miłe towarzystwo? Coś sugerujesz?

Erhard nie wie, co ma na myśli.

– Nie – zapewnia go. – Chodzi mi tylko o to, że mógł cię okłamać.

– On nie kłamał, *Abuelo*.

– Powiedziałeś, że jak się nazywa?

– Nie powiedziałem, że się jakoś nazywa. Zresztą skąd miałbym wiedzieć?

– Piliście razem, pływałeś z nim i nie wiesz, jak się facet nazywa?

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Jest Hiszpanem?



- Tak, do diabła – mówi Simao. Jest zły.
- Wiesz, czy spotykał się z innymi, czy tamtego wieczoru był sam?
- Wypiliśmy po jednym z miejscowymi, z jakimiś Murzynami, i to wszystko.
- Twierdzisz, że piraci pozbyli się ich w Afryce Zachodniej?
- Piraci, tak, tak.
- O co chodzi?
- Piraci wyrzucili ich w Casablance.

Nagle Erhard zaczyna rozumieć nieco dziwny język jego ciała. Długim palcem pociera kciuk prawej ręki. Erhard jest niemal pewien, że wtedy w barze Simao nie spotkał żadnego kumpla, że historia jest o nim. Ale postanawia go nie poganiać. Jeszcze chwilę może poczekać.

- Nie było żadnych piratów, prawda? – mówi w końcu.
- Byli, do diabła, całe mnóstwo, przecież już mówiłem.

Erhard patrzy na niego. Jest młody. Ma góra trzydzieści lat. Może właśnie wiek sprawia, że Erhard może zachowywać się wobec niego jak srogi ojciec. Patrzy mu prosto w oczy. Simao zasłania je dłonią.

– Wyluzuj, gównu wiem o tej historii z Chrisem. Przysięgam. Nie mam pojęcia ani kto go uderzył, ani kto wypchnął fałszywego Chrisa za burtę.

Brzmi to wiarygodnie, ale Erhard nie jest przekonany.

- Ale nie było żadnych piratów? – pyta jeszcze raz.
- *Fuck*, nie, nie było żadnych piratów. *Never was*.
- Była tylko załoga.

– Miało wyglądać, jakby to byli piraci. Ludzie z Hestii bili się ze sobą, zamieniali się rolami w tej awanturze. Początkowo nas to bawiło. Aż Señor P uderzył jednego z nich i tamten stracił ząb.

– A co z twoim przyjacielem? Też kogoś uderzył?

– Nie, on i jeszcze trzech byli na innym statku. Pewnie skróciliby ich o głowę, gdyby nie ta historia ze statkiem.

- A o co poszło?
- Płynęli statkiem, którego w ogóle nie znali.

– Co się stało z ładunkiem?

– Większość wróciła na wyspę. Załogę wysadzono w Casablance.

– Załoga zeszła na ląd w Casablance, a towar wrócił na Teneryfę – precyzuje Erhard.

Simao zaciąga się, aż czubek papierosa zaczyna się żarzyć.

– Wszyscy, ale nie Señor P, który wrócił diabli wiedzą dokąd.

Erhard kiwa głową.

– Można przenieść ładunek na inny statek na pełnym morzu? – pyta.

– Dużo pytań, *Abuelo* – śmieje się Simao.

– Uprzedzałem, ale pamiętaj, że dokładam się do psich wyścigów.

Simao patrzy na niego podejrzliwie.

– Mam nadzieję, że naprawdę jesteś przyjacielem Chrisa, inaczej będziesz mi winien przeprosiny – mówi, gasi papierosa i natychmiast zapala nowego. – Można przerzucić ładunek, chociaż to dość uciążliwe. *Dangerous*, itede, itepe.

– Dlaczego?

– Na otwartym morzu statki się kołyszą, mogą uderzyć o siebie burtami, wtedy można stracić ładunek. A to niedobrze.

– Brzmi skomplikowanie i pewno zajmuje dużo czasu?

– Jeśli ładunek jest duży, to tak.

– Jeśli to nie byli piraci, to co się stało z maszynistą? Wszyscy byli przekonani, że rybacy znaleźli ciało Chrisa Jonesa. Gazety pisały, że przeciwstawił się piratom.

– Tak, pisali, że wyrzucili go za burtę, ale ja w to nie wierzyłem. Ja go w ogóle tam nie widziałem, ale mój... powiedzmy przyjaciel twierdzi, że było tam straszne zamieszanie. Był sylwester, nad lądem rozbłyskiwały fajerwerki, wybuchały rakiety, nawet przez wycie wiatru było je słyszeć. Morze szalało. Dlatego Señor P został wezwany. Zna te rejony lepiej niż ktokolwiek, itede, itepe.

– Dlatego zepchnął maszynistę do morza? To znaczy rzekomego Chrisa Jonesa?

– Tak mówili. Zjawił się tam tuż przed tym, jak to się stało. Był napruty i mówił różne dziwne rzeczy.

– Dziwne? Co to znaczy?

– Synek jest wściekły. Cały czas powtarzał, że synek jest wściekły. Że pieniądze go palą. Takie jakieś wariactwa.

– Synek? Jego syn?

Simao się śmieje.

– *What does I know?* Raz z nim rozmawiałem. Któregoś wieczoru. I to wszystko.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym wszystkim policji? Szukają załogi. Są przekonani, że marokańscy piraci przetrzymują ich w jakiejś piwnicy. Rodziny oplakują ojców.

– Przykro mi z powodu Chrisa i tego *marica*, który wypadł za burtę. Ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Erhard postanawia nie odpuszczać.

– Dostałeś forszę. Zapłacili ci.

Simao milczy.

– Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem.

– Zatajanie informacji też jest przestępstwem.

– W jakim kraju? Ja pływam pod kubańską banderą.

– Byłeś na pokładzie tego drugiego statku, przenosiłeś ładunek.

Simao wygląda, jakby ktoś kazał mu wypić ocet.

Erhard postanawia naciskać dalej.

– Przyznaj się, nikomu nic nie powiem, a zarobisz jeszcze stówę dla swojego małego pieska.

– To nie jest mały piesek, to azawakh, chart afrykański.

Erhard daje mu sto euro.

– Jak to się odbywało?

Simao zerka między kontenery.

– Mieliśmy się spotkać na północ od Alegranzy, ale w końcu popłynęliśmy na południe, lekko na zachód od Lanzarote. Hestia się spóźniała. I tak nie było dobrze, a zrobiło się fatalnie.

– Dlaczego?

– Plan był taki, żeby znaleźć statek podobnej wielkości co Hestia, ale kapitanowi się to nie udało, więc wynajął nasz statek, bo załoga składała się tylko z czterech osób. Problem w tym, że La Brugia nie była kontenerowcem, tylko zwykłym frachtowcem, jak ten, więc statki nie były do siebie podobne i przeniesienie ładunku było cholernie trudne.

– I co się stało?

– Popłynęliśmy do Casablanki, a ghański kapitan popłynął tym drugim statkiem w kierunku Agadiru, itede, itepe.

– Nie zawinęliście na Fuerteventurę?

– Nie. To znaczy Hestia popłynęła w tamtym kierunku, na północ od Isla de Lobos, już po tym, jak się rozdzieliliśmy, ale nie weszła do portu. Ghańczyk nie miał żadnego ładunku.

– Wszystko przenieśliście na swój statek?

– Tak. Było straszne zamieszanie, ludzie krzyczeli, wrzeszczeli, kilka kontenerów zostało uszkodzonych.

– Uszkodzonych?

– Tak, podczas przenoszenia. Jeśli się uderzy we właściwe miejsce, ściana pęka jak skorupka jajka.

– To się stało na Hestii czy na statku, na którym ty byłeś?

– Nie wiem, byłem pod pokładem. W ładowni. Słyszałem, jak kapitanowie kłócą się o to, jak mają stanąć w stosunku do wiatru i prądów. Trochę to trwało. W końcu Ghańczyk się z kimś skontaktował i po jakiejś godzinie zjawił się Señor P. Napruty i wściekły. Ale on zna te wody najlepiej. Pochodzi z Fuerteventury, wszędzie tu pływał. No i zaczął się przeładunek, a zaraz potem wydarzyła się ta historia z Chrisem czy kim tam.

– Co zrobiliście, kiedy się o tym dowiedzieliście?

– Nic, bo co mogliśmy zrobić? Poza tym spiesziliśmy się. Nie zamierzałem być następny, więc robiłem swoje. Ale ucieszyłem się, że to nie Chris wypadł za burtę tylko jakiś *marica*. Tyle że o tym dowiedziałem się dopiero po powrocie na Teneryfę, itede, itepe.

– Co znaczy to P? Señor P?

– Spokojnie, dziadku, nic więcej nie wiem. Jeśli masz więcej pytań, musisz dopłacić.

– Ile?

– Pięćset. Mostek.

Erhard nie zna tego określenia, zastanawia się, co to za slang.

– Nie mam więcej kasy – mówi. – Powiedz mi, kto się kryje za tym P.

– Chrzań się, dziadku.

Erhard jest przekonany, że mówi tak, żeby odzyskać szacunek do samego siebie. I właściwie go rozumie.

– Dzięki za pogawędkę – rzuca i rusza w stronę trapu. Nagle jednak coś sobie przypomina i wraca.

Simao właśnie zapala dziesiątego papierosa. Erhard podaje mu wizytówkę.

– Na wypadek gdybyś uznał, że chcesz pomóc pewnemu małemu chłopcu. Zadzwoń. Tylko nie zostawiaj wiadomości.

– Co takiego? Jakiemu chłopcu? O co ci chodzi?

– Na statku było trzymiesięczne dziecko. Chłopiec. I jego matka – teraz Erhard zgaduje. Nie ma pewności, że rzeczywiście tam byli.

– Tam nie było żadnego chłopca. I żadnej matki. To wiem na pewno.

– Zadzwoń, gdybyś jednak coś sobie przypomniał. Tylko nie licz, że dam ci więcej forsy. Następna informacja będzie za darmo.

Odchodzi. Ma nadzieję, że Simao pobiegnie za nim i powie mu, gdzie jest sternik, ale kiedy się odwraca, już w porcie, widzi, że nikt za nim nie idzie.

Idzie szeroką drogą w kierunku miasta, ale po chwili stwierdza, że jest zmęczony, i bierze taksówkę. Stoi przed jakimś hotelem. Podaje kierowcy jeden z niewielu adresów, które pamięta w Santa Cruz. 49 Calle Centauro. Do odlotu ma jeszcze dobre trzy godziny. Za dużo, żeby je spędzić na lotnisku, za mało, żeby jednak zdecydować się na prom. Równie dobrze może usiąść w kawiarni i nic nie robić. Płaci, taksówkarz wkłada banknoty do portfela, cały czas ma na niego oko, jakby się bał, że mu go wyrwie. Może tu jest więcej napadów? Większa wyspa, więcej turystów. Nie rozpoznaje niczego, postanawia przespacerować się po okolicy. Idzie wzdłuż ogrodzenia otaczającego plac z kontenerami. Panuje na nim duży ruch. Ogromne tiry i wózki widłowe, kilka dźwigów, z rur wydechowych tirów leci brunatny dym. Widzi, jak kontenery ładuje się na ciężarówki, z których potem trafiają na statki, do ładowni, a potem znów na ciężarówki, które zawiozą je na taki sam plac dla kontenerów, tylko w innym mieście. Wszystko jest w ciągłym ruchu, strumień rzeczy, które zmieniają miejsce, są przenoszone to tu, to tam, a wszystko po to, żeby zapewnić odpowiednią ofertę, sprostać zapotrzebowaniu, spełnić oczekiwania konsumentów, zaspokoić ich marzenia, tęsknoty, życzenia. Zapalka z Chin w oliwce z Gran Canaria w martini z Włoch albo w wódce z Polski w kieliszku do szampana z Tajlandii trzymanym przez Angielkę w Portsmouth. Niewidzialna sieć powiązań. O których się nie mówi, podobnie jak o wizycie w toalecie. Tak po prostu jest. Ale czasem nawet gówno oddaje się do badania.

Podchodzi do bramy, zatrzymuje się i przez chwilę obserwuje opuszczające plac ciężarówki. W niewielkiej szklanej budce siedzi mężczyzna, pewnie pochodzi z Afryki.

– Zastąłem inspektora?

– Inspektora? – powtarza strażnik.

– Palalo – mówi Erhard i wyciąga wizytówkę. – Chciałem sprawdzić nasze kontenery.

– Powiedziałaś, że skąd jesteś?

– Palalo.

Strażnik zerka na niewielki komputer.

– W tej chwili nie ma inspektora, ale możesz porozmawiać z Binau, naszym menadżerem, jest na placu. Mogę do niego zadzwonić.

– Nie ma takiej potrzeby, sam go znajdę. Gdzie stoją nasze kontenery?

Strażnik zerka na ekran komputera, wskazuje mu kierunek, ścieżkę między rzędami kontenerów ustawionych jedno na drugim jak na ogromnym regale. Erhard kiwa głową, wchodzi przez bramę na plac, mija ciężarówki i dźwigi, przedziera się przez krzyki i gwar. Ziemia jest gliniasta, ubita. Pomiędzy rzędami kontenerów jeździ dźwig: unosi kontenery i stawia je na ciężarówkach. Erhard idzie w kierunku, który wskazał mu strażnik. Nie bardzo wie, czego szuka. Kiedy spostrzega niskiego mężczyznę z ochraniaczami na uszach, podchodzi do niego i czeka, aż ten go zauważy.

– Palalo! – woła do niego w końcu.

– Tam – mówi mężczyzna, wpatrzony w komórkę.

– Te? – pyta Erhard, wskazując na cztery kontenery, które stoją obok siebie, wszystkie w jednakowym czerwonym kolorze.

– Tam. Stamtąd dotąd – mówi mężczyzna i nadal nie podnosi głowy. Wskazuje na jakiś punkt za Erhardem, ale bardziej w głębi, jakieś dwa, trzy boiska do piłki nożnej dalej.

Erhard idzie między kontenerami, znika między nimi. Dookoła jest pusto. Zauważa, że niektóre nowe kontenery mają wbudowane zamki, ale większość jest zamykana na pałąk i zabezpieczona kłódką. W niektórych miejscach kontenery stoją jeden na drugim, w innych jeden przy drugim, w jeszcze innych czerwone są oddzielone od niebieskich.

Erhard dociera do końca placu, ogrodzenie skręca, prowadzi teraz pod górę, żeby potem zejść do portu. Po drugiej stronie są skały i kamieniste pole. Widać też jakieś domy i kort tenisowy, po którym biegają dwie osoby. Pod ogrodzeniem dostrzega niewielką szopę: cztery słupy, blaszany dach i tylna ściana. Pod dachem stoją krzesło i drewniana skrzynka. Na ścianie wiszą jakieś sprzęty: ochraniacze na uszy, latarka, młotek, nożyce do cięcia metalu, piła, zwój kabla

i czarne robocze rękawice, których pewnie nikt nie miałby ochoty użyć. On na pewno nie. Rozgląda się, dochodzi go warkot silników, ale poza tym jest cicho i pusto. Bierze nożyce, podchodzi do kontenerów i przecina kłódki, jedną po drugiej. Po piętnastej wraca i odwiesza nożyce na miejsce. Rozgląda się. Nikogo nie widzi. Otwiera pierwszy kontener. Potem następny. I kolejny. Każdy jest wypełniony lampami, dywanami, kartonami, poza tym są też rowery, torby z ubraniami, jakieś kable. Niektóre rzeczy są starannie poukładane, inne zostały po prostu rzucone luzem.

W dwunastym, może trzynastym kontenerze znajduje to, czego szukał. Samochód. Seat leon. Stoi na specjalnych sprężynach, przymocowany pasami do ścian. Erhard wraca po nożyce i otwiera kolejnych dwadzieścia kontenerów.

Znajduje w nich czternaście samochodów. Seaty, skody, volkswageny.

Otwiera kolejny, jest w nim czarny volkswagen. Zamiera na chwilę. Model jest inny, ale marka i kolor mówią mu, że jest na właściwym tropie. Wchodzi do środka, prześlizguje się pod pasami mocującymi samochód, otwiera drzwi i sadowi się na przednim siedzeniu. W środku pachnie nowością i skórzaną tapicerką, jakby nagle znalazł się w salonie samochodowym. Wewnątrz jest ciemno, czuje się bezpiecznie. W stacyjce są kluczyki. Zerka na licznik, ale to nowy model, cyfrowy, nie da się go odczytać, jeśli silnik nie jest włączony. Przekręca kluczyk, ale nic się nie dzieje. Wysiada, wychodzi z kontenera, czuje się tak, jakby wrócił z brzucha wieloryba, zmęczony, ale zadowolony.

Zamyka wszystkie kontenery, zbiera kłódki i wyrzuca je za ogrodzenie, między kamienie. Potem rusza z boczem wzdłuż ogrodzenia, szuka pustej ścieżki między kontenerami, żeby móc nią wrócić, nie rzucając się za bardzo nikomu w oczy. Widzi jakieś zabudowania i nagle rozpoznaje miejsce, mimo że kiedy był tam ostatnio, było już ciemno. Po lewej w ogrodzeniu jest dziura, a zaraz za nią wąska uliczka prowadząca do kuchni na tyłach Café Rústica. Przechodzi przez dziurę i rusza wąską uliczką.



Zamawia mai tai, żeby sprawdzić, czy posłuchali jego rady, ale napój nadal jest za słodki. Kelnerka, młoda dziewczyna, jest miła, ale nie próbuje z nim flirtować.

– To jedyne, co udało mi się znaleźć – mówi i kładzie przed nim dwie widokówki. A właściwie reklamówkę kawiarni. Niedziele z DJ-em i Happy Hour, czy też Godziną Rústica, jak to tu nazywają. Mai tai za jedno euro. Akurat.

Zaczyna notować: wie, skąd pochodził samochód. Wie, jakim statkiem płynął. I wie, być może, jak trafił na Fuerteventure. Wie, skąd się wzięły gazety. Wie, być może, skąd pochodziła dziewczyna, tak, dziewczyna, nie kobieta, która porzuciła dziecko. Przygląda się dziewczynom w kawiarni, jakby miał nadzieję, że znajdzie ją wśród nich. Jakby sądził, że pozna, która z nich niedawno urodziła dziecko i skazała je na śmierć z głodu. Myśli o Monice. Wyobraża ją sobie w młodości, z Aazem, kiedy jeszcze był małym dzieckiem, maleńkim chłopczykiem przy piersi matki. A może to Annette z Lene, jego młodszą córką. Widzi, jak siedzi na bladoniebieskiej kanapie na drugim piętrze w szpitalu Bispebjerg i pokazuje maleństwo każdemu, kto przechodzi obok, a on stoi za szklaną szybą i próbuje dzwonić z aparatu, który konsekwentnie wyrzuca wszystkie dwudziestopięćoórowki, które w niego wkłada. Annette jest piękna, jak każda matka. I nagle oczyma wyobraźni widzi młodą matkę, która wkłada swoje dziecko do pudełka, jej drżące ręce, kiedy owija je w gazety, dziecko kopie nóżkami. Matka jest piękna, to od niej wszystko się zaczyna, to jej ręce trzymają dziecko, jej słowa budują jego świat. Jest piękna, ale bywa też groźna. To ona decyduje, czy dziecko ma żyć i jak długo. Dzień, może miesiąc, może dziesięć lat. Znowu patrzy na młode dziewczęta, które pewnego dnia, może już wkrótce, zaczną tyć i zostaną matkami. Widzi dziewczynę, która walczy z wiadrem wypełnionym śmieciami i z jakimiś kartonami, które musi wynieść z baru na zaplecze. Jest za drobna, żeby wykonywać taką pracę, blada, chuda, wygląda jak chore dziecko. I ma rude włosy. Może jest Niemką? Rusza przed siebie, zatrzymuje się, jeden worek jest pełen butelek, jest dla niej za ciężki. Erhard wstaje, chce jej pomóc. Nie, nie, protestuje dziewczyna, ale uśmiecha się

z wdzięcznością. Erhard bierze worek i idzie za nią przez bar, do kuchni, a potem na zaplecze. Wrzuca worek do kontenera, dziewczyna jeszcze raz mu dziękuje.

– Nie nadaję się do tej pracy – mówi. – Jestem za drobna i nie potrafię zapamiętać tych wszystkich rzeczy, które powinnam.

– Jesteś idealna – zapewnia ją Erhard.

– Tylko proszę nic nie mówić szefowej. Że się nie nadaję.

– Masz na myśli Ellen?

Dziewczyna się wzdryga. Kiwa głową.

– Raz ją widziałem, nie znamy się – uspokaja ją.

Dziewczyna oddycha z ulgą.

– Będzie tu około czwartej, nie może mnie tu zobaczyć.

– Dlaczego się nie zwolnisz?

– To najlepsza praca, jaką udało mi się znaleźć. Tylko strasznie dużo trzeba pamiętać. A ja muszę mieć pracę. Po prostu.

Erhard nie ma siły spytać, dlaczego, ale ona sama zaczyna mu tłumaczyć, że zalega przyjaciółce z czynszem już za trzy miesiące, a przyjaciółka chce wracać do domu, no i w ogóle.

Erhard patrzy na pudełko, które trzyma w ręku. Zwykle pudełko, przypomina to, w którym znaleziono strzępy gazet. Jest mniej więcej tej samej wielkości i tego samego koloru, przypominającego kolor skóry.

– Słyszałaś może, żeby któraś z kelnerek była w ciąży? – pyta Erhard.

Dziewczyna się waha.

– Nie, ja...

– Nie słyszałaś, żeby ktoś coś wspominał?

– Nie. Ja nie.

– A może jakaś kelnerka z jakiejś innej kawiarni, tu, w okolicy?

– Tu w okolicy nie ma żadnych lokali. Ale wiem, że kilka miesięcy temu jakaś dziewczyna przerwała ciążę.

– To się często zdarza?

– Nie sądzę. Tu jest dużo katolików. Takie rzeczy robią na ogół Angielki.

O tym nie pomyślał.

– Co się z nią stało? – pyta.

– Przerwała ciążę i wróciła do pracy.

– Tutaj?

– Tak, ale teraz już jej tu nie ma. Wróciła do domu.

Dziewczyna spogląda w okno nad kawiarnią. Na piętrze są trzy okna, duże, puste. Nad jednym widać zniszczoną markizę, z aluminiowych płyt, które odbijają promienie słońca. W drugim na parapecie stoi uschnięta roślina. Chyba róża.

– Z powodu aborcji? – pyta Erhard.

– Nie sądzę. Nie bardzo się tym przejęła. Mieszkałam z nią, rzadko nocowałam w domu, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Więc dlaczego wyjechała? Kiedy to było?

– Jakies kilka tygodni temu, może więcej, gdzieś pod koniec stycznia.

Erhard czuje, jak uchodzi z niego powietrze.

– Jesteś pewna? To ważne.

Dziewczyna przygląda mu się zaciekawiona. Nie jest ładna, ale ma piegi, co u miejscowych rzadko się zdarza. Jej matka albo ojciec pochodzą pewnie z Wielkiej Brytanii.

– Aborcję miała na pewno w listopadzie. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy razem.

– I nie słyszałaś o żadnej innej dziewczynie, która ostatnio była w ciąży? Może któraś nagle zachorowała?

– Nie – mówi dziewczyna, ma dosyć pytań, zerka w stronę drzwi.

– Dzięki za rozmowę.

Dziewczyna biegnie przez kuchnię, Erhard wraca na swoje miejsce. Zastanawia się, czy nie iść po pudełko, które przypomina to z samochodu, ale uznaje, że pudełko samo w sobie nie jest szczególnie ciekawe, ciekawy jest natomiast fakt, że zaledwie trzysta metrów od miejsca, gdzie prawdopodobnie znajdował się samochód, były w tym czasie takie pudełka i duńskie gazety. Wie,

że to może być jakiś trop. Dodaje szczyptę soli do drinka. Wypija. Smakuje lepiej.

Kilka minut po czwartej przed kawiarnią zatrzymuje się duży samochód. Po chwili wchodzi Ellen, twarz zasłaniają jej okulary słoneczne. Erhard zastanawia się, czy go rozpozna, ale niepotrzebnie. Nie wszyscy właściciele kawiarni mają tak dobrą pamięć jak taksówkarze. Odstawia torbę i od razu zaczyna wydawać dziewczynom polecenia. Muzyka zostaje przyciszona. Drobną dziewczyną zostaje złążana, bo pije colę za barem. Wszystko odbywa się niemal szeptem, tylko on coś zauważa. Pozostałych pięcioro gości je śniadanie i ogląda telewizję.

Erhard podchodzi do baru i próbuje złapać wzrok właścicielki. Ale Ellen jest zajęta pracą, wyciera blat wokół zlewu i wyrzuca cytryny.

– Gotowi na inspekcję związków zawodowych? – pyta Erhard.

Ellen odwraca się, patrzy na niego.

– To znowu ty?

– Tak, nadal tu węszę. Nadal szukam tej młodej matki.

– Każdy ma swoje upodobania.

Udaje, że nie słyszy zgryźliwości w jej głosie.

– Nie przypomniałaś sobie niczego? Nie pamiętasz, żeby któraś z kelnerek jednego dnia miała okrągły brzuszec, a po kilku już płaski jak deska?

Ellen zastanawia się chwilę.

– Masz na myśli księżną Kate?

– Co?

– Nic – mówi Ellen. – Nadal nic.

– Od dawna wynajmujesz pokoje na górze?

– Wynajmuję je naszym pracownikom, w szczególnych sytuacjach – odpowiada z kamienną twarzą.

– VIP-om?

– Tak.

Erhard się śmieje. Śmieje się tak długo, że Ellen też w końcu wybucha śmiechem.

– Chyba trochę przesadziłaś.

– Wynajmuję je czasowo dziewczętom, aż sobie coś znajdą.

– Rozumiem, że za symboliczny czynsz?

– Proponuję, żebyśmy zmienili temat.

– Masz jakieś wieści od swojego przyjaciela Hollisena?

– Nie – odpowiada Ellen i patrzy na niego niewzruszona. – Mówiłam ci już.

– Może przysłał ci widokówkę?

– Nikt już nikomu nie przysyła widokówek.

– No tak.

– A jeśli nadal chcesz pomóc swojemu przyjacielowi, to radzę ci zacząć szukać gdzie indziej. Hollisen nie wróci.

– Jesteś tego pewna? Przecież nie miałaś od niego żadnych wiadomości.

– Tak – mówi Ellen, patrzy na niego dłuższą chwilę. – On nie żyje.

– Jak to?

– Ja nic nie wiem. Ale ludzie, których znam i z którymi Hollisen zwykle się kontaktuje, już od kilku miesięcy nie mają od niego żadnych wiadomości. Żadnych. To człowiek, który już od dłuższego czasu żył na krawędzi. Jeśli chodzi o finanse, seks, ale i mentalnie. Skoro od dwóch miesięcy nie dał znaku życia, to znaczy, że... – urywa. – To znaczy, że nie żyje – dodaje po chwili, już poważniejszym tonem.

– Ale pewności nie masz. Może uwiodła go jakaś muza na którejś greckiej wyspie i zapomniał o bożym świecie?

– Jedyna muza, która mogła go uwieść, to *The Big Groove*.

To określenie wyszło już chyba z obiegu, ale Erhard wie, o co jej chodzi.

– Nadużywał?

– Daj spokój. Nie pamiętam, jak się nazywasz, ale przestań zakłócać spokój zmarłym.

– Przecież nie wiesz, czy umarł.

– Kobieta zawsze takie rzeczy wie. Poza tym nie tknął pieniędzy z konta, mimo że ma na nim kilkaset euro. Możesz mi wierzyć albo nie, ale to do Sorena niepodobne. Ten człowiek nie zna umiaru. – Uśmiecha się na samą myśl o tym. – Imprezował nawet kiedy nie miał pieniędzy. Złe nawyki z czasów, kiedy zadawał się z bogatymi chłopcami.

Erhard patrzy na nią.

– Tak, przyznaję, otworzyłam kopertę z wyciągami z banku. Sprzed kilku tygodni. Do Nowego Roku podejmował drobne kwoty, ostatni raz drugiego stycznia, a potem już nie. Żadnych ruchów na koncie. To mnie zaniepokoiło.

– Co się mogło stać?

– Kto to może wiedzieć? Może zapił się na śmierć albo wdał się w sprzeczkę ze swoimi kumplami gangsterami.

– Mówisz poważnie?

– Tak, zawsze się tego obawiał. Kiedy ostatnio go widziałam, nawet w domu chodził w okularach przeciwsłonecznych.

– Kiedy to było?

– W grudniu.

– Ostatnim razem twierdziłaś, że nie widziałaś go od roku.

– Nie spotkaliśmy się. Widziałam go w przelocie. Stał na ulicy i się gapił.

– Nie jestem policjantem, nie obchodzą mnie wasze drobne interesiki. Chcę tylko odnaleźć przyjaciela, który zaginął. Podejrzewam, że Hollisen jest w to w jakiś sposób wmieszany. Gapił się na kawiarnię czy może wpatrywał się w okna na górze?

Ellen nie odpowiada, wychodzi do kuchni, wraca, jedząc croissanta.

– To był koniec grudnia. Pamiętam dokładnie, bo to było w okolicach rocznicy przejęcia przeze mnie tego miejsca. Dekorowałam okna. I nagle zobaczyłam, że tam stoi. Miał okulary przeciwsłoneczne i wyglądał na zdenerwowanego. Normalnie na pewno zajrzałby do środka, byłam dla niego trochę jak starsza siostra.

– Co robił? Dlaczego nie wszedł do kawiarni?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Ale ty też do niego nie podeszłaś.

– Pomyślałam, że się z kimś umówił.

– I rzeczywiście się z kimś spotkał? Widziałaś, jak z kimś rozmawia?

– Nie. Nagle go już nie było. Pomyślałam, że za jakiś czas wróci, ale nie wrócił.

– Masz jego zdjęcie?

Ellen sięga po komórkę, wciska jakieś guziki. Komórka jest nowa, widział takie u wielu młodych ludzi. Po chwili podaje mu ją. Na ekranie widać młodego mężczyznę około czterdziestki. Uśmiecha się i wskazuje na za małą koszulkę, którą włożył na swój stary T-shirt. Widnieje na niej logo Café Rústica. Przypomina ładnego chłopca, który wyrósł na zmęczonego mężczyznę. Erhard zna wiele podobnych przykładów z Fuerteventury: surferzy, którzy nie chcą się rozstać ze swoimi kombinezonami, imprezowiczki, które nie chcą wracać do życia na przedmieściach, barmani, którzy nie wychodzą z baru. Przypomina mu Raúla. Mógł tak skończyć, gdyby jego ojciec nie należał do najbogatszych ludzi na wyspie i nie stawiał go czasem do pionu. Trochę przypomina też jego sprzed siedemnastu lat.

– Mam więcej – mówi Ellen i pokazuje mu kolejne zdjęcie. – Impreza dla pracowników, jedna z wielu, zawsze przychodził, to było kiedy...

Na wszystkich zdjęciach widać tego samego wesołego chłopaka. Ale z każdym kolejnym robi się jakby bardziej smutny. Jakby udawał radość, której już w nim nie ma. Pozuje do zdjęcia z ładnymi dziewczętami, ale też z kucharkami i pomywaczkami, i zwykłymi gośćmi. Imprezy odbywały się albo w środku, w kawiarni, albo na zewnątrz, na ulicy.

– Byliście kochankami? – pyta Erhard, nie spuszczać z Ellen wzroku.

– Nie. Niewiele brakowało, ale przecież nie idzie się do łóżka z młodszym bratem, prawda? Poza tym zakochiwał się w każdej, która tylko chciała słuchać jego opowieści dłużej niż pięć minut.

Zdjęcia zdają się to potwierdzać. Na wielu widać, jak całuje dziewczęta w policzki, na jednym całuje jakąś między piersiami.

– A ta? – wskazuje na zdjęcie, na którym Soren obejmuje dziewczynę z włosami ściągniętymi w koński ogon, podnosi ją.

– To Lily – mówi Ellen. – Nie była w jego typie. Próbował nawet wymóc na mnie, żebym ją zwolniła. Twierdził, że nie chciała mu zrobić loda w jego urodziny. Wcale bym się nie dziwiła.

– Nie wygląda na miłą. Mam na myśli dziewczynę.

– Cholerna suka, jeśli chcesz znać moje zdanie. Pewnie lesbijka, bardzo ambitna. Tutaj niewiele jest takich.

Erhard zna kilka.

– Pewnie wkrótce zostanie prezydentem na Teneryfie.

– *Too late*. Wróciła na Fuerteventurę. Zdaje się, że odziedziczyła jakąś restaurację po dziadku.

– Pamiętasz nazwę?

Erhardowi przychodzi na myśl Bill Haji, ale o ile się orientuje, Bill nie był niczym dziadkiem, nie miał też restauracji. Miał za to nocne kluby i jakiś bar koktajlowy w porcie w Corralejo.

– Nie pamiętam.

Erhard dalej przegląda zdjęcia. Na jednym z nich rozpoznaje dziewczynę, która go obsługiwała, kiedy poprzednim razem był na wyspie.

– To Millie, Amerykanka. Soren bardzo ją lubił. Uwielbia duże kobiety.

– Na tyle, że mógł mieć z nią dziecko?

Ellen się śmieje.

– Nie, Millie to typ zbawionej Amerykanki, *all talk*, ale *zero action*. Wróciła już do domu, ale latem znów tu przyjedzie.

– Znasz wszystkie dziewczyny, które dla ciebie pracują?

– Większość tak. Dużo przyjeżdża tu tylko na sezon, zostają tylko na jedno lato. Niektóre traktują mnie trochę jak matkę. Młode dziewczyny często mają na pieńku z rodzicami. Wiem, że czasem bywam ostra, na pewno nie wszystkie



mnie kochają, ale znają mnie i wiedzą, gdzie stawiam granicę. Próbuję je nauczyć pewnych rzeczy, między innymi brać za siebie odpowiedzialność.

– Gdyby któraś zaszła w ciążę, powiedziałaaby ci o tym?

Ellen chwilę się zastanawia.

– Tak, ale nie miałyby wątpliwości, co o tym sędzę, a mianowicie że głupio postąpiła, bo po co niepotrzebnie komplikować sobie życie. Seks przed ślubem? Proszę bardzo. Cieszcie się życiem, ale zabezpieczajcie się, do cholery! Bierzcie pigułki, miejcie przy sobie gumkę. Dzieci przejmują nad nami władzę. Potem już kobieta nie decyduje o własnym losie.

A co z seksem po ślubie? Co z seksem ze starszą kobietą na ogrodowym stole? Wypił mai tai. Jest już za kwadrans piąta. Musi wracać na lotnisko. Rzucił na stół kilka euro.

– Bardzo miło mi się z panią rozmawiało, Señorita Ellen. Do widzenia.

Wychodzi na ulicę, rusza w stronę wody. Dochodzi do szerokiej ulicy, przywołuje taksówkę, siada z tyłu. Cały czas obserwuje taksówkarza, ale nie komentuje niczego, co robi.

## 62

Kiedy wraca do domu drogą FV-1, o szybę uderza olbrzymia kropla deszczu. Przygląda się jej spokojnie, ale z pewnym zdziwieniem. Patrzy na chmury, gęste i szare, jak zwykle w deszczowy dzień. Uwielbia takie chmury, ale dzisiaj wydają mu się złowrogie. Włącza Radio Mucha i przez następnych kilka minut słucha, jak gospodarz programu mówi o spodziewanym deszczu. Kiedy mieszkał w starym domu, na wieść o deszczu pędził, żeby wszystko zabezpieczyć i umocować brezent nad dachem. Jeśli kozy były w pobliżu, wpuszczał je do szopy. W czasie deszczu zawsze były niespokojne. Hardy potrafił przebiec spory kawałek w poszukiwaniu schronienia. Czasem znajdował je nawet pięć kilometrów od domu. Ale teraz dach jest już naprawiony, a Hardy, cóż, nie ma

pojęcia, gdzie się podział. Poza tym już tam nie mieszka. Teraz jest dyrektorem. Czeka na kolejne krople, ale na próżno. Kiedy bezszelestnie zjeżdża do podziemnego garażu, szyba jest sucha.

Czuje się wykończony, jadąc windą, niecierpliwi się. Ma wyrzuty sumienia, że zostawił Beatriz samą, chociaż zwykle zostawia ją samą, tylko nie na tak długo. Ale i tak zdarza się, że worek jest wypełniony moczem do tego stopnia, że nie jest w stanie pomieścić więcej. W ogóle utrzymanie człowieka przy życiu nie jest łatwe. Czasem ma wrażenie, że ona już nie chce żyć. I wszelkimi dostępnymi jeszcze sposobami stara się utrudnić mu to zadanie. Trudno mu ignorować słowa lekarza. Że to niehumanitarne. Że niegodne. Właściwie się z nim zgadza, ale wie też, że w każdej chwili może nastąpić przełom. Lekarz twierdzi, że szansa na przeżycie istnieje. A skoro tak, to co może robić innego, nawet jeśli ta szansa jest niewielka?

Wyjmuje klucz i wchodzi. Od razu zauważa, że duża, cienka gumowa wycieraczka jest lekko przekrzywiona. Sprawdza, czy klucz zapasowy jest na swoim miejscu, przyklejony do stopnia. Może lekarz postanowił wpaść i go o tym nie zawiadomił?

Zamyka za sobą drzwi i szybko rusza do ciemnej sypialni. Już z daleka dochodzą go dziwne dźwięki, jakieś jęki, pischczenie. Szybko znajduje włącznik, zapala lampki do czytania obok łóżka. Światelko respiratora świeci na czerwono, statyw z kroplówką leży przewrócony na podłodze. Od jego strony łóżko jest posłane, połowa Beatriz jest pusta.

Nagle widzi jej prawą rękę podtrzymywaną przez przewód od kroplówki, wystaje zza łóżka jak w geście pozdrowienia.

Rzuca się na łóżko i chwyta ją, jakby się bał, że zaraz zniknie. Beatriz leży zwinięta między rurkami i przewodami. Mruga. Jednym i drugim okiem. Jej usta się poruszają, ręka jest prawie ciepła.

– Bea – mówi. – Moja Bea – powtarza.

Beatriz nie reaguje. Erhard przysuwa się bliżej, chce widzieć jej twarz, jej oczy. W pierwszej chwili ma wrażenie, że jej piękna twarz nadal jest piękna, bez

makijażu, bez kolczyków w uszach nadal zaskakuje go prostotą. I wtedy nagle spostrzega, że wszystko zostało zniszczone. Widzi, że niczego już nie da się uratować. Trudno mu powiedzieć, co się zmieniło, ale jej twarz wygląda jak maska, która zmieniła właściciela. Jakby człowiek, który się za nią kryje, zmienił się, stał się inny, może już w ogóle go nie ma. Oczy mrugają, zaciągnięte mokrym welonem. Źrenice są lekko rozszerzone, jak zawsze w ciemności. Są żywe. Oczy żywej istoty, ale nie tej, którą on zna. Chce wymówić jej imię, objąć ją, ten ostatni raz. Nagle jednak nie wydaje mu się to ważne. Nie ma czego objąć, zostały tylko komórki i oddech wspomagany przez maszyny, Beatriz już nie ma. A jednak w geście przyjaźni gładzi jej dłoń, jej włosy, szorstkie i dawno niemyte.

– E.

Jest pewien, że to któraś z maszyn wydała ten dźwięk. Wargi Beatriz się nie poruszają, ale jakiś dźwięk wydostaje się przez zęby.

– E.

– Bea, to ty, Bea? Słyszysz mnie, Bea?

Wpatruje się w jej wargi. Są lekko rozchylone. Suche, jakby nie była w stanie ich oblizać.

– Em – wydostaje się z jamy między wargami. Dźwięk pochodzi gdzieś z otchłani, nie z głębi ciała.

– Słyszysz mnie, Beatriz? Skiń głową albo powiedz tak, jeśli mnie słyszysz.

– E.

– Beatriz, kto ci to zrobił? Kto cię uderzył?

– Ema. – Dźwięk zostaje siłą wypchnięty przez język, dużym nakładem siły. Oczy wodzą niespokojnie, jak oczy ptaka. Trudno na to patrzeć. Kryje się za nimi tak ogromne cierpienie, że Erhard ma łzy w oczach.

– To ważne, żebyś mi powiedziała, spróbuj mi odpowiedzieć. Kto ci to zrobił?

– E – mówią wargi.

Nagle dźwięk cichnie. Mija kilka sekund. Erhard nie ma odwagi się poruszyć. Jej oczy są nadal otwarte, ale nieruchome. Nad łóżkiem zapaliła się czerwona

lampka.

Erhard niemal czołga się do telefonu. Numer lekarza ma w głowie, ale palce z trudem trafiają w duże przyciski z cyframi. Słyszy kolejne dzwonki, w końcu lekarz odbiera. Erhard czuje ulgę, tak wielką, że zaczyna drżeć.

– Michel, to ja. Ona mówi.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

– Nie – odpowiada lekarz po chwili.

– Tylko, że... że znów odpłynęła, a aparatura strasznie hałasuje.

– Czy wszystko jest umocowane tak, jak powinno? – pyta lekarz.

– Nie, spadła z łóżka i zaplątała się w jakieś przewody i rurki.

– Ułóż ją na łóżku, ustabilizuj, niech chwilę odpocznie. Może znów się obudzi, może ciało daje znaki.

– Znaki? O czym ty mówisz?

– Zdarza się, że pacjenci wybudzają się ze śpiączki, żeby po chwili doznać zawału serca albo mózgu.

Erhard nienawidzi jego chłodnych komentarzy. Odkłada z hukiem słuchawkę i próbuje wciągnąć Beatriz na łóżko. Sprawdza cewnik, wszystkie przewody, tak, jak go uczył lekarz. Wkłada jej ustnik do ust i słyszy, jak respirator podejmuje pracę. Jej tętno jest słabe i nieregularne, dźwięk ustaje, ale czerwona lampka nad monitorem nadal się pali. Beatriz ma podartą piżamę, widzi jej niemal beżową klatkę piersiową. Piersi wydają się puste. Robi mu się niedobrze. Odrzuca go jej wygląd, odrzucają myśli, jego rojenia na temat jej ciała. Jakby pożądał ciała, nie człowieka. Teraz jednak widzi, że było na odwrót, teraz, kiedy zostało już tylko ciało, widzi, co naprawdę było przedmiotem jego pożądania. Nawet jej skóra jest szara, w kolorze taniej mąki.

Worek na mocz jest prawie pełen, idzie po nowy do łazienki.

Ema. Powiedziała Ema, niewyraźnie, ale zrozumiale. Ema. Chciałby, żeby mogła leżeć w prywatnej klinice, z daleka do wszystkiego, od Emy, od niego. Ale już za późno, żeby żałować, chociaż pewnie powinien był to wszystko załatwić inaczej. Może mógłby...

Pukanie do drzwi. Ostrożne, rytmiczne.

Nie ma pojęcia, kto to może być. Od jego powrotu do domu minęło góra pięć minut. Ktoś musiał na niego czekać. Odkłada worek z moczem, chwilę siedzi cicho. Spodziewa się, że usłyszy kroki na schodach albo zjeżdżającą na dół windę, ale nie słyszy nic. Ostrożnie wychodzi z sypialni i idzie do drzwi. Znow rozlega się pukanie.

Cofa się i odwraca od drzwi.

– Tak? Kto tam? – woła do salonu, żeby sprawić wrażenie, że jest gdzieś w głębi mieszkania.

– Señor dyrektor, jesteś w domu? – Co za głupie pytanie.

To sąsiadka z dołu. Znow puka do drzwi.

– Chwileczkę – mówi Erhard i szybko zamyka drzwi do sypialni. Nie wie, co o niej sądzić, o swojej sąsiadce z dołu. Jeśli rzeczywiście jest prostytutką, to sprawia wrażenie niemal śmiesznie naiwnej. No i jest podejrzenie uparta. Jak domokrażca. A może to dlatego, że jest samotna?

Otwiera drzwi, właściwie nie otwiera, lekko uchyla.

– Przeszkadzam? Jesteś sam? – pyta dziewczyna i się śmieje. Ma na sobie to samo ubranie co zawsze. Nigdy jej nie widział w czymś innym. Wygląda, jakby była pijana, ma czerwony nos.

– W porządku.

– Jesteś sam? – powtarza.

– Tak, ja...

Nagle za drzwiami staje mężczyzna. Chował się pod ścianą, a teraz zdecydowanym krokiem wkracza do mieszkania. Chwyta Erharda za bluzę i popycha na ścianę, Erhard się osuwa, ale zaraz się podnosi i rusza korytarzem. Mężczyzna biegnie za nim. Erhard jest zdziwiony, ale nie zszokowany. Dziwne pytania sąsiadki z dołu były czymś w rodzaju ostrzeżenia, chociaż nie bardzo rozumiał przed czym. Twarz mężczyzny wydaje mu się znajoma, widział ją już: wąska twarz, broda i ciemne okulary przeciwsłoneczne. Przypomina postacie ze starych włoskich komedii, brakuje mu tylko słomkowego kapelusza i cygaletki.

Jest szczupły, widać, że jest spięty jak struna. Jest w nim jakaś zła siła. Porwał jego bluzę, a teraz próbuje chwycić go za szyję i ramiona. Erhard wycofuje się w stronę drzwi do sypialni, długi korytarz jest pogrążony w mroku. Gdzieś mający mu dziewczyna, śledzi rozwój sytuacji, jakby czekała, aż wszystko się skończy. Erhard nawet nie zamierza wołać o pomoc. Wie, że tylko ona może go usłyszeć, a ona na pewno w niczym mu nie pomoże.

Chciałby spytać: Dlaczego? Dlaczego mi to robisz? Ale tak naprawdę już wie. Mężczyzna chce się go za wszelką cenę pozbyć. I ma to coś wspólnego z chłopcem. Ze statkiem, z marynarzami i z Emanuelem Palabrasem. Może jest ojcem chłopca. Albo kochankiem jego matki. Może jest jednym z marynarzy ze statku. A może wysłał go Palabras, który najwyraźniej też opłaca sąsiadkę z dołu, i to od pierwszego dnia, kiedy Erhard się tu sprowadził. Niepokoi go to, że już go kiedyś widział. Czyżby go śledził już od jakiegoś czasu? Zastanawia się, gdzie się spotkali. W samolocie czy gdzieś na ulicy w Santa Cruz, a może widział go we wstecznym lusterku, kiedy jechał do biura, może udawał zainteresowanego klienta u Silóna. A może matką chłopca jest jego sąsiadka z dołu, co on może wiedzieć, do cholery.

Ostatnim razem bił się jakieś osiem lat temu. I już wtedy nie szło mu najlepiej. Już wtedy był za stary. Pamięta, że wyszedł z tego z rozciętą brwią i cały obolały. Dzisiaj może się to skończyć o wiele gorzej. Tym bardziej że nie jest to bójka, tylko raczej zapasy, w których liczą się wytrzymałość i siła. Nie jest w stanie konkurować z silnym i sprawnym mężczyzną. Pod jasnoniebieską koszulą kryją się mięśnie jak ze stali. Czuje jego zapach, pachnie pieczonymi kasztanami, dymem i kwaśnym potem. Zapach adrenaliny. Nadal nie może sobie przypomnieć, gdzie go widział. Próbuje obrócić go tak, żeby zobaczyć jego oczy, potrząsnąć nim, żeby mu spadły okulary. Wyobraża sobie, że ma niebieskie oczy. Nagle dociera do niego, że to wcale nie są zapasy. Mężczyzna ma w ręku kabel i usiłuje zarzucić mu go na szyję. Dwa razy mu się nie udaje. Kabel jedynie muska mu włosy. Ale za trzecim razem opada mu na kark. Cholerny bydlaku, warczy i usiłuje uderzyć go w twarz. Mężczyzna unosi ręce i chroni się przed

ciemnością. Nagle któryś z nich dotyka klamki, drzwi do sypialni otwierają się z hukiem, obaj wpadają do ciemnego pokoju. Erhard jest w nieco lepszej sytuacji, bo wie, gdzie co jest, robi krok w bok i słyszy, jak mężczyzna uderza głową o szczyt łóżka. Szybko się jednak podnosi i rusza za nim z jeszcze większą wściekłością. Udaje mu się owinąć kablem jego szyję, Erhard czuje, jak piecze go skóra, krzyczy. Mężczyzna zaciąga kabel. Ból i strach eksplodują w mózgu Erharda. Jest zaskoczony jego brutalnością. Ma ochotę się poddać. Tak byłoby najłatwiej. Skoro nie może wygrać, niech ma to już za sobą. Osuwa się po ścianie, mężczyzna znów zaciska kabel. Erhard puszcza jego ręce. Ale nie wpada w panikę.

Dziewczyna zapala światło. Co, do diabła? Najwyraźniej zobaczyła Beatriz. Co to takiego, do cholery, wrzeszczy. Mężczyzna odwraca głowę, patrzy na łóżko po prawej stronie. Mimowolnie luzuje uchwyt. Erhard próbuje zaczerpnąć powietrza. Czuje, jak tlen znów dociera do jego mózgu, nawet do czubków palców, ale po chwili mężczyzna wraca do niego, zaciska kabel, tym razem naprawdę mocno. Oczyma wyobraźni Erhard widzi, jak niemal przecina mu nim jego wiotką, starczą szyję, jak metalową żyłką do krojenia sera. Próbuje oprzeć ręce o stolik przy łóżku, chwytając coś, coś ciepłego i miękkiego. W pierwszej chwili sądzi, że to Beatriz, nagle uświadamia sobie, że nie, w ostatnim przeblasku świadomości podnosi worek z moczem i celuje nim w twarz napastnika. Okulary spadają na podłogę, ciepła ciecz spływa tamtemu po szyi, po włosach, po oczach. Wydaje się nieporuszony, może lekko zirytowany, nagle jednak zaczynają mu drżeć powieki. W świetle lampy Erhard widzi, że ma niebieskie oczy. I teraz je sobie przypomina. Już wie na pewno, że je gdzieś widział. Nagle jednak te oczy robią się czarne, zamykają się, otwierają, rozlega się krzyk. Silniejszy od zapachu uryny jest odór choroby, rozkładu, zgnilizny. Każdy człowiek chciałby instynktownie jak najszybciej od niego uciec. Po kilku sekundach przykra ostra woń dociera też do dziewczyny. Powtarza: Co to jest, do diabła, ale tym razem nie staje w drzwiach, nie próbuje zrozumieć, co się dzieje, tylko szybko cofa się w głąb mieszkania. Erhard słyszy jej kroki, słyszy, jak

przeklina i krzyczy. Mówiłeś, że wszystko pójdzie gładko, mówiłeś, że... Erhard już jej nie słucha. Podnosi się i resztkami sił – nie potrafi powiedzieć, skąd je ma – odpycha mężczyznę. Kabel upada na podłogę, mężczyzna próbuje się bronić przed smrodem ekskrementów, które go oblepiają, cofa się niepewnie i w tym momencie Erhard chwytając go i z całej siły rzuca nim o framugę drzwi do łazienki, a potem popycha na lustrzane drzwi szafy. Rozlega się trzask łamanego żebra, słyszy, jak z mężczyzny uchodzi powietrze. Próbuje odzyskać oddech, opuszcza ręce, wyraźnie nie wie, co robić. Erhard chwytając statyw od kroplówki, który stoi oparty o ścianę, i zamachuje się nim tak, że pięcioramiennym metalowym podnóżkiem z kółkami trafia mężczyznę w głowę. Natychmiast żałuje tego, co zrobił. Zabije go, myśli przerażony. Statyw uderza metalowymi kółkami w twarz, w nos, w usta. Twarz zalewa krew. Erhard spodziewa się, że mężczyzna padnie na podłogę, ale on nadal klęczy. Po chwili usiłuje wstać, potyka się, wybiega z sypialni na korytarz. Erhard przypomina sobie o nożach w kuchni i resztkami sił biegnie za nim, krzyczy i przeklina, z wściekłości i rozpacz, rzuca nawet duńskie słowa, których od lat nie używał.

Dziewczyna właśnie otwiera drzwi na klatkę, krzyczy coś do mężczyzny, który zataczając się, próbuje iść za nią. Zatrzymaj się, do cholery, wrzeszczy, jest wściekły. Erhard zastanawia się, czy iść za nimi, czy nie, ale nie bardzo wie, po co miałyby to robić. Zamyka drzwi na klucz i wraca do sypialni, do Beatriz. W pewnym sensie go uratowała. Podnosi sprzęty, odstawia je na miejsce. Statyw jest zniszczony, dwa kółka są skrzywione, ale udaje mu się ustawić go obok łóżka. Potem wślizguje się do łóżka, obok niej. Czuje, jak tętno najpierw mu przyspiesza, a potem zwalnia, wraca krążenie i czucie. Pokój wypełnia woń uryny, ale jemu jest wszystko jedno.

Powoli dociera do niego, co to wszystko znaczy.

Wie, że nie może tu zostać. Mężczyzna na pewno spróbuje jeszcze raz. Może z pomocą innych. Wróci lepiej przygotowany. Upokorzony i wściekły. Tym razem sobie z nim nie poradzi.



Wie, że nie może wrócić do swojego dawnego domu, tam też go znajdą. Będąc sam, będzie bardziej narażony. Musi być w ruchu, ciągle się przemieszczać i być w pobliżu innych ludzi. To najlepsze rozwiązanie. Jedyne. Chociaż najlepiej oczywiście byłoby, gdyby w ogóle zniknął. Wsiadł na pokład statku albo samolotu. Jak najszybciej.

Ale co z Beatriz?

Musi ją przenieść. Lekarz na pewno nie zgodzi się nią opiekować. Musi znaleźć inne miejsce, zapewnić jej opiekę, na wypadek gdyby musiał wyjechać. Zastanawia się nad różnymi możliwościami, ale żadna nie wydaje mu się dobra. Chciałby móc poprosić o pomoc Palabrasa. W końcu Beatriz jest jego synową, stać go na zapewnienie jej opieki, lepszej niż ta, którą on może jej zapewnić. Palabras. Potężny człowiek w jedwabnych bonżurkach, pozbawiony wstydu diabeł, manipulator. Erhard nie wie ani dlaczego, ani jak to zrobić, ale to nie może być przypadek. Wszędzie słyszy jego nazwisko. To on za tym wszystkim stoi.

Chce wstać i zacząć działać, ale nie jest w stanie. Więc leży, cały sztywny, czuje, jak trawiące go od wielu tygodni zmęczenie przykuwa go do łóżka i całkowicie pochłania.

# Kłamca

19 lutego – 22 lutego

## 63

Jest widno, to już nawet nie ranek, tylko wczesne przedpołudnie.

Erhard zsuwa się z łóżka.

Musi wyjść z domu. Zejść do samochodu, ruszyć w drogę. Cuchnie moczem, ale nie chce tracić czasu na kąpiel, obmywa twarz gorącą wodą. Parzy go. Przeciąga palcami przez włosy. W lodówce są oliwki i kawałek kielbasy. Wrzuca je do torby i zjeżdża windą do garażu, do piwnicy. Niemal biegnie do samochodu, wyjeżdża na szosę, jedzie przez Wydmy, oby jak najdalej.

Próbuje ułożyć sobie w głowie jakiś plan.

Najchętniej poszedłby na policję. Czuje wręcz dziecienną potrzebę pójścia na policję, chce wypłakać swój strach. Niech przejmą sprawę, niech złapią złoczyńców. To wszystko go przerosło, niebezpieczeństwo okazało się za duże. Radził sobie, dopóki chodziło o Raúla, o Beatriz i Alinę. Poradził sobie z lekarzem, z zakładem medycyny sądowej, z marynarzami na Teneryfie, ze zdjęciami chłopca w pudełku. Ale nie z Emanuelem Palabrasem, jego goryłami i przemocą. Na samo wspomnienie mężczyzny w okularach przeciwsłonecznych robi mu się niedobrze. Ale nie może iść na policję, nie może opowiedzieć o wszystkim Bernalowi, nie wspominając o Alinie i Beatriz. Wtedy dopiero zrobiłoby się zamieszanie.

Nie jest w stanie nic wymyślić. Za bardzo się boi, myśli kłębią mu się w głowie. Unika miejsc, w których zwykle bywa, omija Esquinzo, wraca przez La Pared, jedzie dalej FV-605. Mija miejsca, w których nigdy nie był, przejeżdża powoli przez miasteczka, żeby wypełnić czas, na koniec okrąża kilka razy Tuineje. W końcu podjeżdża na stację benzynową, tankuje. Pyta, czy może skorzystać z kibelka, ale na stacji nie ma wucetu. Musi iść za budynek. Rezygnuje na widok kotów, które właśnie pożerają jakiegoś dużego ptaka. Właściciel stacji opowiada o deszczu.

– Bogowie nie są dzisiaj dla nas łaskawi – mówi i bierze banknoty, ale nie wydaje reszty.

– A czy kiedykolwiek są? – pyta Erhard.

Monika mieszka tuż obok.

Zatrzymuje się na rogu i spogląda na wyboistą drogę. Musi z kimś porozmawiać. Chętnie z Moniką, z Moniką, która jest w dobrym humorze, najchętniej z Moniką, która spokojnie go wysłucha. Nie wie, co jej powie, co się stanie, kiedy otworzy usta, ale boi się też tego, co się stanie, jeśli tego nie zrobi. Ma wrażenie, że jeśli z kimś nie porozmawia, to zaraz się rozsypie.

Jednocześnie boi się ją w to wszystko wciągać. Boi się, że przyprowadzi do niej mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych, że z jego powodu może jej się stać krzywda. Parkuje za zakrętem, nie widać go tam z drogi, i rusza w stronę jej domu.

Otwiera mu, jest zdziwiona, że go widzi.

– Byliśmy umówieni?

– Byłem w pobliżu.

– W porządku – mówi i otwiera drzwi szerzej.

W domu jest ciemno, panuje bałagan. Wszystko wygląda inaczej niż wtedy, kiedy przyjeżdżał z Aazem. Firanki są zaciągnięte. Na kanapie leżą ubrania, Monika zbiera je i wrzuca do sypialni. Erhard uświadamia sobie, że przed środową wizytą Aaza pewno zawsze dokładnie sprzątała cały dom, a on założył,

że zawsze ma porządek. Że na stole zawsze stoją świeże kwiaty, a obok zlewu leży czysta ścierka. Ale może tak to wygląda tylko w środy. Na część syna, a może i jego.

– No... – mówi. Stoi i patrzy na niego.

– Byłem w pobliżu.

– Dzisiaj nie jest środa.

– Mogę usiąść na chwilę? – Erhard siada na krześle, które stoi odsunięte od stołu. Na blacie leży talia kart, obok stoi kieliszek z resztką czerwonego wina. – Grasz w karty?

– Nie.

Dopiero teraz zauważa, że Monika jest elegancko ubrana. Ma na sobie granatową sukienkę i rajstopy. Głęboki dekolt odsłania jej biust i szyję z łańcuszkiem z małą kotwicą. Gdzieś się wybiera. Do miasta, pewnie do restauracji. Czuje, że znów jej pragnie, nawet bardziej niż poprzednim razem.

– Czego chcesz? – pyta Monika dość obcesowo.

– Skoro byłem w pobliżu, pomyślałem, że wpadnę pogadać.

Monika się śmieje. To nie wróży niczego dobrego.

– Pogadać? Wybrałaś sobie złą porę.

– Widzę, że gdzieś się wybierasz.

– Mam dosyć czekania.

– Nie rozumiem.

– Długo czekałam i mam już dosyć.

Erhard przypomina sobie, jak się czuł, kiedy był dzieckiem i zdarzało się, że rodzice rozmawiali o nim w jego obecności.

– Nadal nie rozumiem – mówi.

– W tym problem. Czekałam, aż coś się stanie. Między nami. I stało się. A potem cisza. Pięć dni milczenia. W moim wieku to za dużo. Już nie chcę. Życie musi iść naprzód.

– Nie wiedziałem, że czekasz.

Monika znów się śmieje. Dziwnym, urywanym śmiechem. Opróżnia kieliszek z czerwonego wina.

– Erhardzie, nie chcę, żebyśmy byli wrogami.

– Dlaczego mielibyśmy być wrogami?

– O czym chcesz rozmawiać?

– Wszystko jedno. Wpadnę innym razem.

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie, nie teraz.

– Powiedz, o co chodzi, albo... albo...

Nie chce teraz rozmawiać o Beatriz. Nie chce komplikować Monice życia.

– Nie mogę już wozić Aaza. Miałaś rację. Przewidziałaś to już jakiś czas temu. Muszę wyjechać, mam różne sprawy na głowie, nie mogę z nim jeździć. Nie wolno mi.

– Dobrze – mówi Monika i odstawia kieliszek. – Tak będzie lepiej.

– Naprawdę tak uważasz?

– Uważam, że jesteś podłą gnidą. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. On, ten chłopiec, ten duży chłopiec ufa ci bardziej niż komukolwiek innemu. Bardziej niż mnie. A ty go opuszczasz.

Erhard stoi jak wmurowany.

– Nie opuszczam go.

– Daj spokój, nie musisz się tłumaczyć. Wiedziałaś, że to się stanie. Najpierw Lui, a teraz ty.

Erhard nie ma pojęcia, kto to jest Lui, domyśla się, że pewnie ojciec Aaza albo ktoś inny, kto był dla niego ważny.

– Nigdy niczego nie obiecywałem. Jestem tylko... taksówkarzem.

– Nieprawda! Nieprawda, dupku! Jesteś, jesteś...

Erhard wie, co ma na myśli.

– Nie jestem jego ojcem – mówi. Zapada cisza.

Patrzy na nią, kiedy zamyka drzwi.

– Podwiozę cię – mówi. Ma nadzieję, że powie Nie.

– Nie, dziękuję.

– Moniko, nie wiedziałem, że tak to odbierzesz.

– Nie widzisz niczego poza czubkiem własnego nosa.

– Przez ostatnie dwa dni byłem zajęty, byłem...

– Byłeś zajęty bawieniem się w policjanta. Dzwoniłam do ciebie do pracy. Twoja sekretarka nie miała pojęcia, gdzie jesteś. Chociaż próbowała cię kryć.

Ma rację. Bawił się w policjanta. A okazało się, że tak naprawdę jest po prostu starym, zmęczonym człowiekiem.

– Podwieźć cię? Stoję przed domem.

– Nie odgrywaj dżentelmena.

Monika rusza w stronę drogi. Pewnie kieruje się na przystanek autobusowy w stronę Puerto. Do autobusu, którym Aazowi nie wolno było jeździć.

– Nie jesteś taki sympatyczny, na jakiego wyglądasz – rzuca nagle.

– Zaledwie kilka dni temu doświadczyliśmy czegoś niezwykłego. Co się stało?

Ma dłuższe nogi niż ona, ale ona idzie szybciej. Niemal biegnie obok niej, jak zdesperowany uliczny sprzedawca.

Monika milczy, zatrzymuje się gwałtownie, kiedy docierają do szosy. Wielka ciężarówka mija ich z hałasem.

– Nic się nie stało, Erhardzie.

– Sama mówiłaś, że lubisz spokojnych mężczyzn.

– Tak się mówi. Żeby spokojny mężczyzna poczuł się swobodniej. Bo tak naprawdę nikt nie chce spokojnych mężczyzn. Nawet spokojne kobiety ich nie chcą.

– Zawiozę cię, dokąd sobie zażyczysz. Autobus będzie za jakąś godzinę, może nawet dwie.

Monika zerka na zegarek na wąskim pasku. Droga jest pusta. Widzi, że właściciel znajdującej się nieopodal stacji benzynowej najwyraźniej ich obserwuje. Tuineje to jedno z tych miasteczek, w których turyści raczej się nie

zatrzymują. Mieszkają tu ludzie, którzy chcą mieć spokój, ale chcą też mieć sąsiadów i poczucie, że otacza ich cywilizacja. Erhard nie chciałby tu mieszkać. Lubi klarowne sytuacje: wielkie miasto z jego gwarem, zapachami i kolorami. Albo pustka, przestrzeń i cisza.

– No dobrze, ale nadal uważam, że jesteś dupkiem.

Idą do samochodu. Chce jej otworzyć drzwi, ale się powstrzymuje. Wsiadają, ruszają w stronę Puerto. Erhard pyta, gdzie chce wysiąść. Monika mówi, że w mieście. W pobliżu Juan Tadeo Cabrera.

Erhard chciałby jej wytłumaczyć, dlaczego nie może, dlaczego nie powinien jeździć z Aazem, ale boi się, że jeszcze bardziej ją zdenerwuje. Martwi się, że wszystko bierze tak osobiście. A mimo to nie może się powstrzymać.

– Nie mogę z nim jeździć ze względu na niego i na ciebie – mówi, i natychmiast chciałby to cofnąć.

– Co to za żałosne tłumaczenie?

– Gdyby coś mu się stało, to... to nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– Zaczynam się bać. Możesz mi wytłumaczyć, co miałeś na myśli?

– Gdyby ktoś przez pomyłkę albo dlatego, że ma coś do mnie, albo... gdyby coś się stało z moim samochodem... Sam nie wiem.

– O co ci chodzi? – Głos drży jej z wściekłości, jest na granicy hysterii.

– Dobrze, już dobrze – mówi Erhard. Widzi, że Monika szybko oddycha. – Nic mu się nie stanie. Nie zamierzam go w nic wciągać. Ani ciebie. – Oczy Moniki są mokre, jakby nagle rozmyte, sięga po chusteczkę higieniczną. – Powiedzmy, że to rodzaj dodatkowego zabezpieczenia. Może kiedy już będzie po wszystkim, znów będę mógł go wozić.

– Nie – mówi Monika. – Już nie. On... on wiele przeszedł. Nie potrzebuje więcej półojców ani ludzi, którzy go zawodzą.

Witaj w rzeczywistości, Aaz, myśli Erhard, a głośno mówi:

– A jeśli powiemy mu, że wyjechałem? I przez najbliższych kilka tygodni nie będę mógł po niego przyjeżdżać? – Nie znosi takich rozwiązań, a jednak proponuje jej to.

– Wszystko albo nic. A skoro sam powiedziałaś, że może mu coś grozić, to odpowiedź może być tylko jedna.

– Nie powiedziałem, że może mu coś grozić.

– Ale to miałaś na myśli.

– Nie wiem, chyba nie – mówi, chociaż wie, że dokładnie o tym myślał. Jeśli Ema to Emanuel Palabras, a za porwaniem Hestii stoi prawdopodobnie właśnie on i to również on zlecił jakiemuś zbirowi, żeby go zabił, jeśli własnemu synowi kazał wyjechać z kraju czy diabli wiedzą, co z nim zrobił, a jego przekonał, żeby się zgodził zostać dyrektorem, Bóg jeden wie, z jakiego powodu, może po prostu po to, żeby go mieć na oku, jeśli nazwisko Palabras pojawia się w tej sprawie wszędzie, to znaczy to, że on jest w niebezpieczeństwie, a więc Aaz i Monika także. A może sobie to wszystko wymyślił? Może to czysty przypadek, że to ładunek Palabrasa zaginął, może Beatriz wymówiła imię Emanuela, bo chciała z nim rozmawiać, może on został dyrektorem, bo na to zasłużył.

– Chodzi mi o to... Po prostu muszę pewne sprawy uporządkować. Przez kilka najbliższych miesięcy powinienem się na tym skupić. Ale jak tylko wszystko załatwię, znów będę mógł jeździć z Aazem. Obiecuję.

– A więc nic mu nie grozi. Po prostu chcesz postawić na swoim. Inne dzieci może by to zrozumiały, ale nie Aaz. On cię potrzebuje... Lubi cię. Nie można w ten sposób odtrącać ludzi.

– Ty tak mówisz czy Aaz?

– Posłuchaj. Jeśli tak stawiasz sprawę, to nie jesteśmy zainteresowani. To koniec. Nie będziesz już woził Aaza i nie wpadaj, kiedy jesteś w pobliżu, nie zapraszaj nas na kolację. Zwalniam cię ze wszystkiego. – Monika mówi to w momencie kiedy wjeżdżają do Puerto. Pewnie efekt byłby bardziej spektakularny, gdyby w tym momencie wysiadła, ale Erhard jedzie z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, więc nadal siedzi obok niego. – A jeśli to nadal do ciebie nie dociera, jeśli odbierasz takie sygnały gorzej niż zwykła główniana antena na dachu, to jadę na randkę. Z facetem, który jest przystojny, odnosi sukcesy i jest bardzo... miły.



– W pobliżu Juan Tadeo Cabrera, tak mówiłaś? Od której strony?

– Znów jesteś taksówkarzem?

– Obiecałem, że cię zawiozę, więc to robię.

Monika szuka portmonetki, wyjmując kilka banknotów, rzuca mu je.

– Masz, to dla ciebie, dupku. Zatrzymaj resztę. Nie chcę od ciebie niczego.

– Nie mówiłaś kiedyś, że w twoim życiu nie ma miejsca dla mężczyzny?

A może coś źle zrozumiałem?

– Niech cię szlag!

Zatrzymują się na czerwonym świetle, Monika otwiera drzwi i wybiega na jezdnię, kierowca za nimi trąbi. Erhard patrzy, jak Monika znika za rogiem, ale nie ma odwagi za nią pójść.

Siedzi chwilę w samochodzie, nie przejmując się kierowcą za nim. Przygląda się ulicy, jakby się spodziewał, że zaraz zaleje ją i pochłonie wszystko: samochody, sklepy, palącą papierosy praczkę, która stoi na rogu z wielkim koszem i dwoma psami. Może zaleje całą wyspę. Ziemia zostanie obmyta. A wszystko zacznie się od niego.

## 64

Przyjeżdża do biura, wchodzi, idzie korytarzem. Jest czujny, jakby się obawiał, że za każdymi drzwiami czyha na niego mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Nie bardzo wie, co ma ze sobą zrobić – zakłada, że w biurze Palabras raczej nie będzie próbował go atakować. To nie przypadek, że zasadzili się na niego w mieszkaniu.

Już ma usiąść na swoim fotelu i spróbować trochę się uspokoić, kiedy do pokoju wchodzi Ana. W soboty pracuje do późna. Gdyby w biurze był Marcelis, pewnie kochaliby się w jego gabinecie.

Mówi mu, że pojawiły się pewne problemy. Trzech kierowców jest niezadowolonych z umowy zawartej z portem. Właśnie kłócą się na podwórzu.

Erhard pyta ją, gdzie jest Marcelis. Ana odpowiada, że w domu. Erhard domyśla się, że dzwoniła do niego już kilka razy. Przez moment zastanawia się, czy to nie pułapka, czy na podwórzu nie czeka na niego Palabras ze swoim przyjacielem w okularach przeciwsłonecznych, ale Ana wygląda na autentycznie zdenerwowaną.

Idzie za nią do warsztatu. Czuje na sobie jej wzrok, ma wrażenie, że chce mu coś powiedzieć, ale nie robi tego. Wychodzą na podwórze.

Kierowcy, których zna z wcześniejszych rozmów, stoją z lewej strony, tak blisko siebie, że niemal stykają się klatkami piersiowymi, machają rękami. Czterech, może pięciu innych przygląda im się. Gustavo, opalony mężczyzna z brodą, miał odebrać z portu klienta, który już wcześniej umówił się z nim na kurs. Ale Luís, wrzaskliwy, lekko zezowaty Luís, uznał, że Gustavo powinien, jak wszyscy inni, stanąć w kolejce. Mani zgadza się to z Luísem, to z Gustavem, a może ma jeszcze inne zdanie, tak czy inaczej stoi między nimi i krzyczy na nich, jakby obaj coś źle zrozumieli, a może próbuje mediować, co jednak tylko jeszcze bardziej ich rozwściecza. Bójka wisi w powietrzu, za moment sprawa stanie się poważna.

– Luís Hernaldo, pamiętam cię – mówi Erhard. Nie usłyszeli, że przyszedł, patrzą na niego zdziwieni. – Pamiętam, jak kiedyś mówiłeś, że dobry kierowca to taki, który szybko zdobywa klientów. Jesteśmy tam, gdzie są klienci, tak wtedy mówiłeś, pamiętasz, Luís?

Luís patrzy na niego.

– Do czego zmierzasz, Eremito?

– Powiedzmy, że Gustavo jest tobą, a ty mną. W młodości człowiekiem rządzą ambicje, poczucie sprawiedliwości przychodzi z wiekiem, czy nie tak się mówi? – Wkracza między kierowców. – Dziękuję, Mani – mówi i podaje mu dłoń. Zachowuje się uprzejmie, jakby chciał zaznaczyć, że kierownictwo oficjalnie wkroczyło w sprawę.

Mani wzrusza ramionami i idzie do swojego samochodu.

– Macie jedną minutę, żeby mi opowiedzieć, co się stało. To nie jest rozprawa w sądzie, więc nie musicie się bronić, po prostu powiedzcie, jak wy to widzicie. Najpierw ty, Luís, jesteś starszy.

Erhard osobiście nie przykłada do tego takiej wagi, ale wie, że dla wielu ma to znaczenie, kierowcy lubią, kiedy się podkreśla, że zasłużyli na szacunek – szczególnie po wielu latach pracy w niedocenianym zawodzie. Wie też, że szczególnie ceni to sobie Luís, który poza tym lubi wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z Franco, lubi zdjęcia piersiastych mamusiek, lubi też oglądać na dużym ekranie transmisje walk bokserskich z Żółtego Koguta. Wtedy się odpręża.

Erhard wysłuchuje tłumaczeń. Wygląda na to, że Gustavo po prostu dobrze wykonał usługę. Klient już raz korzystał z jego usług, miał numer jego komórki, więc zadzwonił po niego, kiedy statek, na którym płynął z Lazarote, zawinął do portu. Luís uważa natomiast, że zachował się nielojalnie, łamiąc zasady, które wspólnie wypracowali. Erhard słyszy w jego głosie, że nie tyle czuje się oszukany, ile uważa, że wyszedł na głupka.

– Słuszna uwaga, Luís – chwali go. – Wiem, że sam na pewno nie raz poświęciłeś dobry kurs w imię lojalności wobec kolegów – mówi, chociaż doskonale wie, że to nieprawda. Luís w życiu nie zrezygnował z dobrego kursu. Ma niewielu stałych klientów, głównie dziwki i chorych, którzy płacą mu dodatkowo za to, żeby szybko podjechał pod wskazany adres.

Erhard cały czas obserwuje Gustava. Z jego twarzy trudno cokolwiek wyczytać.

– Poza tym też zapewne zawsze starasz się obsłużyć klientów najlepiej jak potrafisz.

– Nie zamierzam tracić dochodu z powodu oszustów – upiera się Luís.

Kilku inny kierowców mruczy coś i przytakuje.

– Powinniście zarabiać więcej, to prawda – dodaje Erhard.

Gustavo mruga oczami, jest zdezorientowany. Pozostali kierowcy przytakują, Luís rozgląda się, pewny wygranej.

– To zrozumiałe, że wszyscy powinni dostać więcej, kiedy dobry kierowca przynosi więcej pieniędzy.

– Tak – przytakują kierowcy, chociaż niektórzy czują, że przedstawiane przez Erharda argumenty chyba nie do końca są po ich myśli.

Ale nie Luís. Luís krzyczy, że tak właśnie powinno być, jakby był szefem związków zawodowych, który właśnie wynegocjował ugodę.

– Chętnie dołożę, czy raczej dołożymy trzy euro do wspólnej puli kolejkowej, za każdym razem kiedy któryś z was zostanie wydzwoniony przez klienta. W ten sposób kierowcy mający wielu stałych klientów, na przykład Gustavo, będą zarabiać także dla was, dla tych, którzy stoją w kolejce.

Zapada cisza. Gustavo patrzy na niego badawczo. Jego oczy rozświecila delikatny uśmiech.

– To dobry pomysł – mówi jeden z kierowców.

– Skąd weźmiesz na to pieniądze? – pyta inny.

– Skądś firma musi je wziąć – odzywa się Bilal. Jest mechanikiem, ale zna się na interesach lepiej niż większość z nich.

– To już mój ból głowy – mówi Erhard. – Na pewno na tym nie ucierpicie. Możecie mi ufać, w końcu przez wiele lat też byłem taksówkarzem. Zależy mi, żeby wam zapewnić dobre warunki pracy. Mam plany, zamierzam wprowadzić pewne zmiany. Moja propozycja jest kompromisem. Co ty na to, Luís? Zgadzasz się?

Luís nie ma wyjścia, mówi Tak. Chociaż nie do końca rozumie tę matematykę, nie wie też dokładnie, co to będzie oznaczać dla jego portfela. Pozostali wydają się zachwyceni. Luís kiwa głową i odchodzi.

Erhard podchodzi do Gustava, podaje mu rękę.

– Mam nadzieję, że wiesz, że postąpiłeś słusznie. Ktoś, komu leży na sercu dobro klienta, nie może zostać ukarany.

– Ale nagrody też nie dostanę. To inni dostaną forszę za to, że siedzą w kolejce i czekają na klientów.

– Bo nie wiedzą, że można działać inaczej. Kiedy zostaniesz bohaterem, który co miesiąc pozwala im zarobić piętnaście, dwadzieścia euro więcej, sytuacja się zmieni. Każdy będzie chciał być tym dobrym. Najważniejsze, żebyś dalej działał tak jak dotąd.

– A jeśli ktoś sam wydzwoni klienta, a potem powie, że to klient go wezwał? Jemu też zapłacicie trzy euro? Nawet nie sprawdzicie?

– Nie zastanawiałem się jeszcze nad szczegółami, ale wszystko ustalimy. Może będziesz mógł mi pomóc?

Gustavo się śmieje, ale natychmiast poważnieje.

– Jestem taksówkarzem zaledwie od trzech miesięcy, a ty pytasz mnie o zdanie? Jeżdżę taksówką, żeby sobie trochę dorobić.

– A czym zajmujesz się poza tym?

– Gram. Jestem muzykiem.

– Grasz na perkusji?

– Skąd wiedziałeś?

– Obserwowałem twoje ręce, poruszasz nimi swobodniej niż inni – mówi Erhard i wraca do biura. Dopiero przy schodach zauważa, że Ana nadal jest tuż obok niego.

– Poradziłeś sobie. I to dobrze – mówi.

– Jesteś zdziwiona?

– Trochę. Marcelis nienawidzi Luísa.

– Wszyscy nienawidzą Luísa, ale jest taksówkarzem od ponad dwudziestu lat.

– Marcelis by go zwolnił.

– I popełniłby błąd.

– Skąd weźmiesz pieniądze?

– Nie mam pojęcia. Trzeba będzie przejrzeć umowy z firmami. Może uda nam się wycisnąć z nich trochę więcej.

– Już jesteśmy drożsi niż TaxiVentura.

– O ile wiem, oni są zdecydowanie za tani.

– Marcelisowi się to nie spodoba. Zwłaszcza że nie masz pomysłu, skąd wziąć pieniądze. Dobrze, żebyś o tym wiedział.

Nagle Erhard czuje, że rozsadza go energia. Dawno już nie był w tak dobrej formie. Od wielu miesięcy. Pokonuje po dwa stopnie naraz, Ana musi biec, żeby za nim nadążyć.

– Masz dzisiaj spotkanie z Alphonsem Suárezem – mówi, kiedy w końcu go dogania. – O siedemnastej trzydzieści – dodaje.

– Nie za wcześnie? Kasyno nie zostało jeszcze wybudowane.

– Nie wiem, Marcelis prosił, żebym cię umówiła. Koniecznie w sobotę. Suárez lubi wychodzić w soboty na miasto. Marcelis podkreślał, że to ważne, żeby zawrzeć z nimi dobrą umowę.

Kasyno będzie gotowe za jakieś dwa lata. To odległa przyszłość. Erhard nie rozumie, po co rozmawiać o tym już teraz.

– Dobrze – mówi i zamyka drzwi swojego pokoju. Po raz pierwszy ma ochotę przeanalizować dokumenty rachunkowe, które leżą w teczce na jego biurku. Po raz pierwszy ma ochotę być dyrektorem.

Gdy jednak siada na krześle za biurkiem, niepokój wraca.

Przez dziesięć minut, kiedy był zaprzątnięty konfliktem, w ogóle nie myślał o tym, co się stało w mieszkaniu. Nie wie, co zrobić, kiedy nadejdzie ciemność, kiedy biuro zostanie zamknięte i pogrąży się w mroku. Nie ma wielu możliwości. Zostawił za sobą kawałki dawnego życia. Może winić tylko siebie.

Musi sobie znaleźć jakieś miejsce.

Nie może zostać w mieszkaniu, sąsiadka z dołu na pewno od razu doniesie, że się zjawiał, nie chce nawet myśleć, ilu ludzi nasłaliby na niego tym razem. Do domu też nie może wrócić. Wszystko, co tak w nim lubił, odcięcie od świata, brak sąsiadów, zawodzący wiatr, wszystko to staje się wadą, kiedy człowieka gonią zbiry i mordercy.

Miza, Solilla. Jedyne dwie osoby, które mu pozostały, jedyne, którym ufa i które na pewno użyczyłyby mu kanapy, gdyby je o to poprosił, ale nie chce ich

obarczać swoimi problemami. Szczególnie po ostatnim incydencie. Kto wie, co może się wydarzyć, kiedy Palabras i mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych wpadną w jeszcze większą desperację. Robi mu się przykro, kiedy zaczyna liczyć swoich przyjaciół i dochodzi zaledwie do dwóch osób. I to takich, z którymi wcale go nie łączą szczególnie silne więzy. Do niedawna miał wrażenie, że ma ich więcej, okazało się, że jednak nie. Dręczy go myśl, że jest człowiekiem powierzchownym, człowiekiem, który żyje tylko na powierzchni rzeczywistości i nigdy nie sięga głębiej, tam, gdzie mógłby poczuć prawdziwy sens istnienia. Zwykle takie myśli stają się bodźcem do awanturniczych pijackich ciągów, po których znajduje klucze w jednym miejscu, portfel w innym, a siebie w jeszcze innym. Dzisiaj jednak jest inaczej. Wie, że musi zachować trzeźwość umysłu, nie może pozwolić się znieczulić lumumbie.

Przez moment zastanawia się, czy nie wrócić do Danii. Mógłby to zrobić, nic nikomu nie mówiąc. Zamieszkałby w małym domku w północnej Jutlandii, hodował kury, odśnieżał zimą podjazd, jeździł taksówką i stroił fortepiany. Annette pewnie byłoby zdziwiona, że pieniądze przychodzą z innego miejsca niż zwykle, ale w sumie pewnie byłoby jej wszystko jedno. Najważniejsze, żeby je przekazywał, trzymał się od niej z daleka i nie kontaktował się z dziewczynkami. Ale przecież nigdy nie wróci. Wie to doskonale. Patrzy na swoją rękę. Dwadzieścia lat temu zamienił palec na życie daleko od Danii. Zamiana w drugą stronę nie jest możliwa. Poza tym skończył z Danią, tak jak rzuca się papierosy albo przestaje oglądać za młodymi dziewczętami w bikini, po prostu. Wyrósł z takich rzeczy. Może nie do końca, ale jednak.

Zastanawia się nad innymi możliwościami. Czy jest jakieś miejsce, gdzie mógłby przenocować, zostawić samochód? Żadne nie przychodzi mu do głowy.

Poza tym jest jeszcze Beatriz. Nie może jej zostawić w mieszkaniu. Okulary przeciwsłoneczne na pewno doniosły już Palabrasowi o kobiecie w sypialni i chociaż Palabras raczej się nie domyśli, że to Beatrizia Colini, to na pewno zacznie podejrzewać, że Erhard coś przed nim ukrywa.

Ema.

To oznacza, że mógłby się ukryć tylko w jednym miejscu: w Hotelu Olympus. W opuszczonym hotelu na południe od Las Dunas. Po części dlatego, że może podejść pod sam budynek, okrążyć go i wjechać do niedokończonego podziemnego garażu. Gdyby coś się zaczęło dziać, może opuścić budynek drugim wyjściem, które prowadzi do wąskiej ścieżki schodzącej do plaży. Słyszał, że w kranach nadal jest woda, podobno w niektórych miejscach jest też elektryczność. Budynek został w pośpiechu porzucony przez greckiego inwestora, robotnicy zostawili narzędzia, betoniarki, materiały warte tysiące euro. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało już dawno wyniesione i sprzedane, nikt jednak nie odciął prądu i wody, ku radości mieszkających tam bezdomnych. Jeden z nich, Guillermo Trajo, znany głównie z powodu swojego kobiecego wyglądu, opowiadał kiedyś Erhardowi, że ogląda telewizję i używa suszarki do włosów na koszt hotelu. Mógłby położyć Beatriz na tylnym siedzeniu i zaparkować blisko gniazdka, żeby móc podłączyć respirator. Oczywiście, że nie będzie to łatwe, ale to najlepsze rozwiązanie, jakie przychodzi mu do głowy.

Musi jak najszybciej jechać po Beatriz, zanim okulary przeciwsłoneczne, sąsiadka z dołu i Palabras wyłamią drzwi do mieszkania i ją znajdą. Zanim stracą cierpliwość i znów go znajdą.

Bierze teczkę i wychodzi z biura, udaje, że wraca do domu. Ana patrzy za nim.

– Widziałeś moją wiadomość?

Spogląda na nią zdziwiony.

– Ktoś wczoraj dzwonił i zostawił wiadomość. Leży na twoim biurku.

Wraca do pokoju, patrzy na biurko. Na samym środku leży żółta kartka. Nie pojmuje, jak to możliwe, że jej nie zauważył.

*Juan Pascual = P.*

Wychodzi z pokoju.

– Co to ma znaczyć? – pyta Anę.



– Nie wiem. Prosił, żebym ci to zapisała. Literował, zajęło mu to sporo czasu. Mam wrażenie, że jest dyslektykiem.

– Kto dzwonił?

– Simón albo Simone, albo coś w tym rodzaju. Skupiłam się na tym drugim nazwisku, na tym, które miałam zapisać.

A więc jednak się odezwał. Señor P to Juan Pascual, sternik, który wszedł na pokład Seascape Hestia. Simao twierdził, że pochodzi z Fuerteventury. Był pijany i wściekły.

– Mieszka tu, na wyspie. Juan Pascual. Możesz coś o nim znaleźć?

Ana spogląda na komputer, stuka w klawisze.

– Może. Ale nie o wszystkich coś jest.

– Jeśli pisownia jest prawidłowa, to w Corralejo jest tylko jeden Juan Pascual.

Ana bierze od Erharda kartkę i pod imieniem i nazwiskiem wpisuje adres.

– 15 Lago de Bristol. Te budynki nie zostały rozebrane?

– Niewykluczone. Niektóre adresy są stare.

Erhard kiwa głową i wychodzi z sekretariatu. Ana patrzy za nim.

– Nie chcę się wtrącać, ale...

Erhard się zatrzymuje.

– Tak?

– Nie powinieneś się przebrać przed spotkaniem?

Erhard spogląda na siebie. Koszula jest pognieciona, na samym środku ma dużą brązową plamę. Po sosie, a może po gównie? W ogóle jej nie zauważył. Nie przyszło mu nawet do głowy, że po bójce w mieszkaniu powinien się przebrać. Wie, że powinien zachować spokój i dystans, ale nagle rozdrażnienie bierze górę. Wraca poczucie, że jest tylko pionkiem w jakiejś grze, która zdecydowanie go przerasta.

– Nie wybieram się na żadne spotkanie. Mam na głowie inne sprawy.

Ana wygląda na przestraszoną.

– Mam je odwołać? – pyta.

– Tak, do cholery. Odwołaj je i w ogóle wszystkie spotkania w tym tygodniu.

– Co się stało?! – woła za nim.

Kiedy idzie do samochodu, w jego głowie powstaje plan. Już wie, jak przenieść Beatriz z mieszkania do samochodu. Na pewno nie może zaparkować w podziemnym garażu. Musi wejść głównymi drzwiami, a potem pójść schodami na górę. Tylko w ten sposób może mu się udać ominąć sąsiadkę z dołu. Ale będzie potrzebować pomocy. A pomoc może mu jedynie najżałośniejszy z miejscowych oszustów. Silón. Handlarz torebkami i teczkami.

## 65

Sklep Silóna znajduje się dokładnie naprzeciwko drzwi na klatkę. Tak blisko, że kiedy się z niej wychodzi, widzi się całe jego wnętrze. Porozrzucane wszędzie przecenione torebki w krzykliwych kolorach, dmuchane gumowe zwierzaki i maty plażowe, a jeśli drzwi na podwórze są otwarte, widać też parking za sklepem. Jeśli zostawi tam samochód, będzie miał jakieś trzydzieści metrów do windy. Ale będzie musiał przejść przez sklep. Poza tym Silón sprzedaje też walizki, niektóre naprawdę ogromne, niektóre na kółkach.

Wchodzi tylnymi drzwiami, rozgląda się po sklepie. Silón, jak zwykle po sjeście, siedzi na zewnątrz i pali niewielkie skręty, które wcale nie pachną jak papierosy. Erhard ma nadzieję, że wypalił ich tak dużo, że łatwo da mu się przekonać. Siedzi na krześle przed sklepem i woła coś do kogoś na ulicy. Zna wszystkich w mieście, a przynajmniej chciałby. Erhard dotyka kasy, kasa piszczy. Silón reaguje tak, jak się spodziewał. Zrywa się z krzesła i wbiega do sklepu. Wygląda na zdenerwowanego, wokół oczu ma ciemne zmarszczki, ale na widok Erharda odpręża się i uśmiecha się przepraszająco.

– Przyjaciół Raúla – mówi i wskazuje ręką na sklep, jakby go zachęcał do zapoznania się z ofertą.

– Szukam bardzo dużej walizki, największej, jaką masz.

Silón wskazuje na czerwoną walizkę, która zwisa na sznurze z sufitu.

– Nie, takiej, która bardziej przypomina trumnę – mówi Erhard.

Oboje spoglądają na walizkę przypominającą kształtem duży prostokątny kosz. Stoi na środku pokoju i jest wypełniona piłkami, gumowymi kołami do pływania, dmuchanymi misiami i delfinami.

– To moja wystawa – mówi Silón. – Nie mogę jej ruszyć. Co bym zrobił z tym wszystkim?

– Dam ci sto euro.

– Dwieście – próbuje Silón.

– Sto pięćdziesiąt.

Silón zaczyna opróżniać walizkę, przerzuca delfiny i inne rzeczy razem z kurzem i różnymi śmieciami do papierowej torby.

– Będę też potrzebować pomocy w przeniesieniu jej.

Silón pokazuje mu, że walizka jest lekka. Łatwo ją nieść, chociaż nie ma kółek. Erhard ma wrażenie, że Silón jakoś krzywo na niego patrzy, a może po prostu jest zmęczony? Właściwie to dobrze, najlepiej byłoby, gdyby jutro jak najmniej z tego wszystkiego pamiętał.

– Na razie zaczekaj tutaj – mówi. – Kiedy zjadę windą, będę chciał, żebyś mi pomógł ją zanieść do samochodu.

– Przeprowadzasz się?

– Chcę przewieźć trochę książek – odpowiada Erhard.

– Masz dużo książek – przytakuje Silón i staje za kasą.

– Jak zejść na dół, pomożesz mi ją zanieść do samochodu, i wtedy ci zapłacę.

– W porządku, przyjacielu Raúla – mówi Silón, nie zdając sobie do końca sprawy ze znaczenia tego, co powiedział.

Erhard bierze walizkę do ręki, podnosi ją. Silón jest silniejszy, niż można by sądzić. Walizka wcale nie jest taka lekka. Erhard zastanawia się, czy jednak nie pojechać windą, ale jest pewien, że wtedy zaalarmuje sąsiadkę z dołu. Postanawia, że zjedzie windą, jak już włoży Beatriz do walizki. Sąsiadka pomyśli, że wjeżdża na górę. W każdym razie taką ma nadzieję.

– Wypatruj mnie, za trzy, cztery minuty powinienem być z powrotem. – Odwraca głowę Silóna tak, żeby widział drzwi na klatkę. – Za trzy, cztery minuty jestem z powrotem – powtarza.

Wyjmuje z zawieszki klucz do mieszkania i bierze walizkę. Wychodzi ze sklepu i rusza szybkim krokiem do drzwi na klatkę.

Idąc, rozgląda się po ulicy, patrzy w stronę portu. Jakies dziesięć metrów od klatki, pewnie niecałe, stoi Charles, uwięziony w gipsie człowiek do wszystkiego na usługach Palabrasa. Stoi plecami do niego, z zainteresowaniem przygląda się lodom w zamrażarce z flamingiem w kawiarni. Erhard zastanawia się, jak szybko jest w stanie biec człowiek z nogą w gipsie, i wtedy Charles się odwraca i spostrzega go. Nie wydaje się ani zagniewany, ani wzburzony. Chyba nawet macha do niego ręką. Co Erharda przeraża jeszcze bardziej. Tak bardzo, że nie może sobie poradzić z kluczem i niemal potyka się o walizkę, która nagle staje się ogromna i kanciasta.

Charles idzie w jego stronę.

Erhard szybko podejmuje decyzję: zostawia walizkę, ale zamiast biec w stronę sklepu, rusza przed siebie ulicą i zderza się brzuchem z człowiekiem w okularach przeciwsłonecznych. Jest środek dnia, świeci słońce, ulica jest pełna ludzi, ale Erhard szykuje się do odparcia ataku, jest gotów się bić, walczyć jak dziki kot. Mężczyzna przesuwa okulary na włosy i patrzy na niego. Okazuje, że nie są to te okulary, których Erhard się obawiał. Mężczyzna, który się za nimi ukrywa, to Hassib, młody policjant. Obok niego stoi drugi, nieco starszy funkcjonariusz. Jego Erhard też już widział, ale nie pamięta jego nazwiska.

– Mówiłem, że jeszcze z tobą nie skończyłem – mówi Hassib.

Erhard nie potrafi powiedzieć, czy bardziej się boi, czy raczej czuje ulgę.

– Możemy porozmawiać kiedy indziej – mówi i patrzy na sklep Silóna. Chce sprawdzić, czy nadal tam jest. Ma też nadzieję, że w szybie zobaczy, co się stało z Charlesem.

– Panie Jensen, przyszedłem pana aresztować.

– Jørgensen, moje nazwisko brzmi Jørgensen. Nie chcesz chyba aresztować niewłaściwego człowieka?

– *Patata piñata* – mówi Hassib. – Chodzi mi o ciebie, to ty byłeś w mieszkaniu, w którym znaleźliśmy Beatrizię Colini.

– Za co chcesz mnie aresztować? – Erhard próbuje zyskać na czasie, chce się dowiedzieć, co się stało z Charlesem.

– Jeszcze cię nie aresztowałem, ale mogę to zrobić.

– Za co?

– Dokąd się wybierasz z tą trumną?

– Nigdzie. Wracam do mieszkania.

– Sprawiałeś wrażenie człowieka, który bardzo się gdzieś spieszy.

– Zgłodniałem i postanowiłem zrobić zakupy – mówi Erhard. Sam słyszy, że jego tłumaczenia nie trzymają się kupy.

– Pójdiesz z nami.

– Tylko jeśli mnie aresztujecie.

– Daj spokój, Jensen. Chodź, idziemy – odzywa się drugi funkcjonariusz.

– Tracicie czas. Mówiłem już, że Beatrizia i ja się przyjaźniliśmy. Nie skrzywdziłem jej.

– Są tacy, którzy uważają inaczej. O tym chcemy z tobą porozmawiać. Chcemy usłyszeć twoją wersję.

– Pozwólcie, że ją odstawię – mówi Erhard, odwraca się w stronę sklepu, rozgląda się po ulicy. Charlesa nie ma. A więc mimo złamanej nogi chodzi całkiem sprawnie. – Macie mnie potem odwiedzić z powrotem.

– Zobaczymy – mówi Hassib.

## 66

Niedobrze, że zaczyna się przyzwyczajać do wizyt w Zamku. A może wcale tak nie jest. Na pewno jednak przestał się bać. Łukowe sklepienie i renesansowy styl

już nie robią na nim wrażenia. Teraz dostrzega całą resztę: rozpaczliwie poplątane kable telefoniczne pod biurkami, przeciążone tanie metalowe półki, tynk plastrami odchodzący ze ścian, zbieraninę różnych mebli, przepełnione kosze na śmieci. A przede wszystkim brak dziennego światła. Żadnych okien, żadnych drzwi na świat. Powietrze jest gorące jak w pizzerii.

Mijają biurko, przy którym ostatnim razem siedział naprzeciwko Bernala, i wchodzi do pokoju, który wygląda jak drewniana skrzynka postawiona na środku większego pomieszczenia. Ledwie zdążył usiąść, a już zaczyna się przesłuchanie. Mówi Hassib, starszy funkcjonariusz stoi pod ścianą i zerka na komórkę.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Raúla Palabrasa?

Zastanawia się.

– W nocy, nad ranem w dniu kiedy zniknął.

– W nocy z piątku na sobotę dwudziestego stycznia.

– To możliwe. Nie mam pamięci do takich rzeczy.

– I potem już go nie widziałeś?

– Nie.

– Od tamtego czasu Raúl Palabras cię nie odwiedził?

– To pytanie?

– Tak czy nie?

– Nie, nie odwiedził mnie.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie masz pamięci do takich rzeczy.

– Nie mam pamięci do dat, do różnych szczegółów, ale wiem, że nie widziałem Raúla po tym, jak znalazłem w mieszkaniu Beatrizię Colini.

– Tego jesteś pewien?

– Tak.

– Raúl nie odwiedzał cię w twoim domu w Majanicho?

– Odwiedzał mnie, ale nie po tamtym zdarzeniu. Daj już spokój.

– Współpracowałeś z Raúlem Palabrasem, przechowywałeś go w swoim domu, podczas gdy sam mieszkałeś w jego mieszkaniu?

To coś nowego.

– Nie – mówi, zszokowany samym pomysłem. – Możecie pojechać i sprawdzić.

– Już to zrobiliśmy.

– I co? Znaleźliście go?

– Raúl poprosił cię, żebyś się przeprowadził do jego mieszkania i pozbył się Señority Colini.

– Nie. To nieprawda.

– Więc jak to się stało, że przeniosłeś się ze swojej nędznej szopy w Majanicho do jednego z najdroższych apartamentów w mieście?

– Emanuel Palabras spytał, czy chcę tam zamieszkać do powrotu Raúla. Facet był smutny, więc pomyślałem, że się zgodzę.

– Czyli pomogłeś biednemu ojcu? – Hassib się śmieje, starszy funkcjonariusz, nadal zajęty komórką, nie śmieje się.

– Można to tak ująć.

– Emanuel Palabras pamięta to inaczej – odzywa się nagle starszy funkcjonariusz.

Hassib patrzy na niego chłodno.

– Co?

– Señor Palabras bardzo się dziwi, że jego syn pozwolił ci się tam wprowadzić.

– Kłamie. Sam...

– Bardziej interesuje nas to, gdzie teraz jest Raúl. Podejrzewamy, że ty to wiesz – mówi Hassib.

– Nie wiem, gdzie jest Raúl. Przysięgam, że...

– Proszę, nie. Takie zaklęcia nic nie pomogą. Nie znoszę, kiedy ludzie zaczynają przysięgać. Bo wtedy na ogół kłamią.

– Nie kłamię. Raúl Palabras był moim przyjacielem.

– Dość tego, Señor Gorsensen. Dostyc tych uników. Jest świadek, który dwudziestego stycznia widział Raúla Palabrasa koło twojej szopy w Majanicho.

- Nic mi o tym nie wiadomo.
  - Tego samego dnia, kiedy znalazłeś jego narzeczoną, która rzekomo spadła ze schodów.
  - Nie mam pojęcia, co tam robił. Ja go tam nie widziałem.
  - Świadek twierdzi, że się kłóciliście.
  - Kto to jest ten świadek? Koza? Kto chodzi tam i przypadkowo trafia na dwóch kłócących się mężczyzn?
  - Więc się kłóciliście?
  - Nie. Wasz świadek, ktokolwiek to jest, musiał coś pomylić.
  - Ale widziałeś się z Raúlem Palabrasem?
  - Nie, do cholery.
  - Spokojnie – mówi starszy funkcjonariusz i robi krok do przodu.
  - Może Emanuel Palabras był na mojej posesji bez mojej wiedzy. Może to jego widział świadek, tego nie mogę wykluczyć. Wiem natomiast, że...
  - Dobrze, dobrze – przerywa mu Hassib.
  - To mój przyjaciel. Też chciałbym wiedzieć, gdzie jest. Wyjechał z kraju i...
  - Skąd wiesz, że wyjechał?
- Erhard się waha. Czy to Palabras mu to mówił?
- Mam wrażenie, żeby chyba twój kolega, Bernal, mi to powiedział. Podobno widzieliście go na lotnisku.
  - Nic mi o tym nie wiadomo. Coś o tym wiesz? – Hassib zwraca się do kolegi. Funkcjonariusz chrząka coś pod nosem, ale nie odpowiada.
  - Słyszeliśmy też, że ty i Raúl Palabras braliście udział w bójce, we wtorek szesnastego, kilka dni przed jego zniknięciem. O co poszło?
- Pytanie zaskakuje Erharda.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
  - Nic ci o tym nie wiadomo – powtarza Hassib i zerka na kartkę z notesu.
  - Młody muzyk został pobity, jego ubranie spalone, ukradziono mu pieniądze i komórkę. Sprawcą był starszy mężczyzna z czterema palcami u lewej ręki.



Erhard patrzy na biurko, czuje, że serce bije mu coraz szybciej. Muzyk najwyraźniej poszedł na policję i przedstawił własną wersję. Tego nie wziął pod uwagę. Ta sprawa może go powiązać ze zniknięciem Aliny.

– Brzmi okropnie, ale nic mi o tym nie wiadomo.

Hassib się śmieje.

– A więc musiał to być jakiś inny mężczyzna z czterema palcami u lewej dłoni.

– Przykro mi, młodzieńcze, ale to nie byłem ja.

– Co robiłeś tu, w komisariacie, dwudziestego dziewiątego stycznia?

Erhard nie pamięta daty.

– Pomogę ci, spotkaliśmy się przy wyjściu – dodaje Hassib.

A więc chodzi o dzień, kiedy wyniósł z komisariatu pudełko ze strzępami gazety.

– Przyszedłem po paczkę.

– Dokąd miałeś ją zawieźć?

– Nie pamiętam.

– Powiedziałaś mi, że do komisariatu w Morro Jable. To się zgadza?

– Skoro tak mówisz...

– Kto cię o to poprosił?

– Nie wiem. Jakiś García.

– Jasne, Gorsensen. – Hassib spogląda na kolegę. – Ciekawe, że nikt ani tutaj, ani w Morro Jable nie zlecał przekazania żadnej paczki ani żadnej paczki nie odbierał.

– To znaczy, że macie bałagan – stwierdza Erhard. Nie wie, jakie znaleźć wytłumaczenie. – Zrobiłem to, o co zostałem poproszony. García odebrał od mnie paczkę przed komisariatem w Morro Jable, tuż przy tym małym placyku.

Hassib mruga oczami.

– A więc twierdzisz, że jeden z naszych funkcjonariuszy kłamie, mówiąc, że nie otrzymał żadnej paczki?

– Skąd mogę wiedzieć? To twoi koledzy. Nie wiem, dlaczego kłamią.

Hassib z trudem łapie powietrze.

– To ty kłamiesz, bydlaku. A im bardziej kłamiesz, tym bardziej grzęzniesz w tym gównie.

Erhard opiera głowę na rękach. Jego twarz wydaje się powiązana niewidzialnymi przewodami z dłońmi policjanta. Za każdym razem kiedy policjant rozkłada ręce albo uderza w blat, Erhard ma wrażenie, że ktoś zdziera mu skórę z twarzy. Nie ma pojęcia, co z niej wkrótce zostanie.

– Kochałeś Beatrizię Colini?

Hassib najwyraźniej postanowił zmienić taktykę.

– Była dla mnie jak córka.

– Zakochałeś się w niej?

– Nie, ale lubiłem ją – mówi Erhard. Lubię ją, dodaje w myślach.

– Pewnie było ci ciężko. Można patrzeć, ale nie wolno dotykać.

– Nie rozumiem.

– Daj spokój, Gorstensen. Laska z takimi cyckami. Koledzy opowiadają, że plotkowano o niej w Żółtym Kogucie.

Hassib mówi to, żeby go sprowokować. Erhard ma przed oczami jej postać. To prawda, że potrafiła być wyzywająca, niemal wulgarna ze swoimi czerwonymi paznokciami i czerwonymi ustami, i rąbkiem stanika wystającym zza bluzki, ale zawsze w bardzo niewinny sposób.

– Nic o tym nie wiem. Przyjaźniliśmy się i to wszystko. Byłem dwa razy starszy od niej – mówi. Łapie się na tym, że musi pamiętać, żeby używać czasu przeszłego.

– Ostatnio byłeś wyjątkowo zajęty.

– Zostałem dyrektorem – mówi Erhard, chociaż czuje, że Hassib nie do tego nawiązuje.

– Podróżujesz, spotykasz się z dziennikarzami w różnych dziwnych miejscach.

Okazuje się, że policja jest poinformowana lepiej, niż się spodziewał. Jest wstrząśnięty.

– To nie ma z tym nic wspólnego – mówi.

– Co z czym?

– Z Raúlem. Byłem na Teneryfie, rozmawiałem z paroma osobami.

– Z kim?

Patrzy Hassibowi w oczy i ma ochotę mu o wszystkim opowiedzieć. O chłopcu na plaży, Alinie, Emanuelu Palabrasie, Beatriz, porwaniu, o wszystkim. Obawia się jednak, że wyjdzie z tego jakaś nieskładna opowieść. Więc nic nie mówi i czeka, aż Hassib pierwszy spuści wzrok.

– Kiedy ostatnio byłeś na Teneryfie?

– Kilka dni temu.

– A jeszcze poprzednio?

– Nie wiem. Jakieś dwa tygodnie temu.

– Dokładnie trzydziestego stycznia. Dziesięć dni po tym, jak Raúl przyjechał do twojej szopy.

– Raúl nie był u mnie.

– To ty tak twierdzisz. Co tam robiłeś?

– Rozmawiałem z kilkoma osobami.

– Myślisz, że nie wiemy, co robiłeś?

Znów czuje, że jakieś sznurki szarpią mu twarz. Ma wrażenie, że naczynka w oczach zaraz pękną mu z wysiłku.

– Ile razy w ciągu tych siedemnastu lat, które tu przeżyłeś, byłeś na Teneryfie, tak na krótko, żeby porozmawiać z paroma osobami? Nie musisz odpowiadać. Zero. Zero razy, do cholery. I ja mam uwierzyć, że niczego przede mną nie ukrywasz?

– Rozmawiałeś z Bernalem, więc wiesz, co robię. Wykonuję za was waszą robotę, robię to, co powinniście byli zrobić już dawno temu.

– Wiem, że tak twierdzisz. Wszyscy są o tym przekonani. I jak ci idzie? Znalazłeś matkę? Udało ci się wyjaśnić okoliczności śmierci tego nieszczęsnego dziecka?

– Nie, ale dowiedziałem się więcej, niż wam się udało.

Hassib znów się śmieje.

– Jasne. Więc może spróbujesz się też dowiedzieć, dlaczego wczoraj jakiś siedemnastoletni kretyn spowodował wypadek w Villeverde, w którym zresztą sam zginął. Albo jaka tajemnica kryje się za śmiercią młodej dziewczyny, która jakiś czas temu udusiła się własnymi rzygowinami.

– To coś zupełnie innego.

– Tak? Prawda jest taka, że robisz różne bardzo dziwne rzeczy. A Raúl Palabras zginął tuż przed lub tuż po śmierci Beatrizii Colini. Coś się wydarzyło, a ty zachowujesz się podejrzanie. To musi się jakoś wiązać. *Cause and effect*.

– Próbuję się dowiedzieć, co się stało temu chłopcu.

Hassib posyła starszemu funkcjonariuszowi długie spojrzenie.

– Wszystkie gospodynie domowe na wyspie plotkują o *extranjero*, który szuka matki chłopca. Można pomyśleć, że używasz tego jako przykrywki dla czegoś zupełnie innego – mówi Hassib. – A teraz posłuchaj. Mamy dowody, powtarzam: do-wo-dy, że Raúl był w twoim domu w Majanicho. Mamy też świadków, którzy twierdzą, że dzień później byłeś w warsztacie i przez półtorej godziny dokładnie czyściłeś jego samochód. Bardzo dokładnie, niewiarygodnie dokładnie.

To musi być blef. Erhard niemal to widzi na jego twarzy. Hassib często podejmuje takie ryzyko. Bo przecież oczywiście nie ma żadnych dowodów. Oczywiście, że nie. Chyba że ktoś postanowił go zrobić. Ktoś, komu bardzo zależy, żeby został oskarżony o zamordowanie Raúla Palabrasa.

– Świadkowie, dowody – zaczyna. – Można pomyśleć, że zamierzasz mnie o coś oskarżyć. I brakuje ci tego ostatniego. Mojego przyznania się do winy.

– Przydałoby się – mówi Hassib i śmieje się. Śmiech pokerzysty.

Erhard pochyla się do przodu. Podejmuje ostatnią próbę. Nic już w sobie nie ma.

– Hassib. To nie ja to zrobiłem. Wiem, że mi nie wierzysz, ale przynajmniej spójrz na mnie. Mam prawie siedemdziesiąt lat, jestem chuchro, nie jestem nawet szczególnie sprytny. No i na dodatek przyjaźniłem się z nim, a ty uważasz,

że go zabiłem? Jak? Dlaczego? Czy nie takie pytania trzeba sobie zadać, jeśli się chce wyjaśnić zbrodnię? No więc przyznaję: to nie byłem ja. Obojętne, co ktoś mówi, i obojętne, co znajdziecie w moim domu albo w moim samochodzie, to nie byłem ja.

## 67

Zamykają drzwi. Erhard stoi chwilę, oczekuje, że zaraz je otworzą. Jest cisza. Ściany są w kolorze mysiej szarości. To ta część Zamku, która została niedawno odnowiona, zbudowano wysokie, czworokątne szare cele z dużymi wzmocnionymi drzwiami.

Stoi długo, jakby uznał, że jeśli usiądzie, to przyzna się do winy. W końcu jednak, gdzieś tak po godzinie, zaczynają go boleć nogi, drżą, opiera się o ścianę, osuwa i siada. Nie wie, co teraz będzie. Kiedy powiedzieli mu, że go aresztują, przestał ich słuchać, pozwolił, żeby go zabrali. Szli jakimiś schodami, a potem długimi korytarzami, nie potrafi odgadnąć ich położenia w stosunku do pokoju przesłuchań ani dużego pomieszczenia z biurkami. Domyśla się, że chcą, żeby się spocił. Domyśla się, że są przekonani, że jeśli potrzymają go dostatecznie długo, to w końcu się przyzna. Może mają rację. I nie chodzi o samą celę, o upokarzające nagie ściany. One akurat właściwie mu odpowiadają. Najgorsze jest poczucie zamknięcia, myśl, że nie może wyjść.

Zamyka oczy. Zaciska mocno powieki, aż widzi błyskawice, i nagle staje mu przed oczami piękny, gorący dzień. Widzi kamienie, widzi dom, swój dom, w Majanicho. Kozy biegną przed nim, a on idzie jak spragniony wody wędrowiec, potyka się, dociera do domu. Widzi Raúla. Raúl stoi przed jego domem, Raúl siedzi na krześle za domem, Raúl chodzi między sznurami do suszenia prania. Raúl unosi się w powietrzu, jakby był za niski, żeby dosięgnąć ziemi. Jego myśli robią wszystko, żeby wykluczyć obecność Raúla w domu. Jakby obrazowi brakowało kolorów, żeby opisać to, co się stało. Jakby

nierzeczywistość obrazu utwierdzała go w przekonaniu, że to nie miało miejsca. Wchodzi za Raúlem do domu. W jego łóżku, w łóżku Erharda, pod kocami leży Beatriz. Raúl podnosi koce, szuka jej, ale jej tam nie ma.

Budzi się, a raczej otwiera oczy, bo przecież nie spał. Coś szura po ścianach, ale w celi nic nie ma. Poza jego oddechem i białą migoczącą lampką.

Hassib otwiera małe okienko w drzwiach i pyta, jak się czuje. Odpowiada Do dupy. Dobrze, mówi policjant i odchodzi.

Dostaje purée ziemniaczane, a może po prostu ziemniaki. Strażnicy śmieją się głośno, kiedy zaczyna jeść, podejrzewa, że może odlali się do talerza. To wbrew prawom człowieka i wbrew hiszpańskiemu prawu, ale nie ma siły protestować. Ma tylko siłę siedzieć nieruchomo na podłodze i próbować nie popuścić. Nie chce się zsikać, nie chce. Leży spięty w kącie, próbuje pokonać ból, ale nie za bardzo może rozluźnić mięśnie. Nie oddawał moczu już kilka godzin. Ostatnio na Teneryfie, jego ciało to pamięta, jego członek to pamięta, pamięta to uczucie, kiedy pęcherz w końcu się opróżnia. Czuje wściekły ból. Jeszcze trochę i nie wytrzyma, popuści. Ostatnio oddawał mocz w kawiarni po wypiciu mai tai. Stał w pomalowanej na czarno toalecie, w której pachniało olejem do smażenia, i przyglądał się obrazkowi przedstawiającemu kawiarnię. Oddawał mocz: ciepła uryna płynęła z jakiegoś miejsca za żołądkiem, wpływała do przewodu moczowego i płynęła nim, jakby sok jabłkowy płynął przezroczystą słomką gdzieś w jego wnętrzu, a potem jego członkiem, wypływał na zewnątrz, spływał do miski klozetowej, strumień trafiał w ściankę klozetu, potem w ciemny beton i na koniec w kratkę. Odbywa jeszcze raz całą tę drogę. Na kilka minut zapomina, jak bardzo chce mu się sikać, ale zaraz wszystko wraca, mocz pali go, czyni go chorym od środka. Nie chce się posikać, nie chce, nie tutaj.

To ich sposób, żeby go dopaść, żeby go złamać. Wie o tym, oglądał *Nowojorskich gliniarzy*. Pamięta odcinek, w którym policja znęcała się na chłopakiem, a on w końcu się załamał i zaczął płakać, chociaż nie był winny.

Teraz tak samo chcą postąpić z nim. Czuje to, pewnie do ziemniaków dodali środki moczopędne, pewnie dlatego strażnicy śmieją się z niego za drzwiami.

Hassib znów do niego zagląda, pyta, jak się czuje. Świetnie, mówi, ale policjant widzi, że to nieprawda. Widzi, że otwiera i zamyka oczy, jakby chciał, żeby jego ciało zapomniało. Coś cię boli? – pyta. Tak, do diabła, odpowiada. To dobrze, mówi Hassib i zamyka małe okienko w drzwiach.

Znów podają mu jedzenie, tym razem zupę. Jest pewien, że strażnicy odlali się do talerza. Zupa cuchnie, poza tym jest ledwie letnia, smakuje kwaśno. Chociaż jest głodny i w zasadzie jest mu wszystko jedno, czy ktoś do niej nasikał, czy nie, odstawia talerz, nie chce przyjmować więcej płynów. Najchętniej by wyszedł, musi oddać mocz, jest mu wszystko jedno gdzie, tylko nie tutaj, w celi, może się odlać w pokoju przesłuchań, zsikać się w spodnie, byle opróżnić pęcherz. Ma uczucie, jakby wstrzymywał powietrze, gorzej, coś go piecze, pali. Musi wytrwać. Musi wytrwać. Tygodniami żywił się puszkami albo żył powietrzem. Jadł odpadki, spleśniały chleb, jakieś drobne rybki. Nie potrzebuje niczego, nie potrzebuje jedzenia, nie chce jedzenia.

Po trzecim nietkniętym posiłku zostaje w końcu wypuszczony z celi. Wraca do drewnianej klatki, do pokoju przesłuchań. Z twarzy starszych policjantów wyczytuje, że nie pochwalają tego, co się dzieje. Zerkają zaniepokojeni na Hassiba. Bo tu rządzi Hassib. A Hassib spogląda na ekran komórki, jakby właśnie otrzymał interesującą wiadomość. Sadzają Erharda na krześle. Kiedy rozluźnia mięśnie, rozluźnia się też pęcherz. Czuje piekący ból, jakby jego przewód moczowy wysechł i nie działał przez kilka lat, spodnie zmieniają kolor, robią się ciemnobezowe, potem brązowe, najpierw na górze, a potem do samego dołu. Policjanci chichoczą. No wspaniale, rzuca ktoś. Nie czuje ulgi, ból jest zbyt wielki. Trwa jeszcze długo po tym, jak mocz przestaje lecieć.

Potem przychodzi zmęczenie. Potrzeba oddania moczu nie pozwalała mu zasnąć. Teraz ledwie jest w stanie usiedzieć na krześle. Hassib to zauważa i szturcha go. Mówi do niego, woła go. Erhard wie, że jest przesłuchiwany, wie, że będą

próbowali wymusić na nim przyznanie się do winy. Jest tak zmęczony, że gotów jest przyznać się do wszystkiego, byle tylko pozwolili mu zasnąć. Jest zdziwiony. Zawsze sądził, że jest twardy, *tough*, jak to się mówi, że niełatwo go złamać, a złamali go, na pół. Jedyne, czego pragnie, to zasnąć. Nic innego nie ma już znaczenia. W końcu po czterech godzinach, które wydają mu się trwać w nieskończoność, Hassib przechodzi do rzeczy.

– A więc przyznajesz, że ty i Raúl Agosto Palabras spotkaliście się w twoim domu przy Via Majanicho dwudziestego stycznia popołudniu?

– Ni...

– Przyznajesz, że dwudziestego stycznia ty i Raúl Agosto Palabras pokłóciliście się w twoim domu przy Via Majanicho?

– Nie.

– Zabiłeś go, a potem ukryłeś ciało w bagażniku mercedesa będącego własnością Señora Palabrasa. Miało to miejsce trzydziestego pierwszego stycznia wieczorem.

– Nie.

– Mamy świadka, który widział, jak wnosisz coś dużego do piwnicy w budynku przy Calle el Muelle. Tak było?

– Niece...

I tak to trwa. Erhard nie do końca wie, co mówi, jakich udziela odpowiedzi ani jakich powinien udzielić. Cokolwiek mówią i cokolwiek on mówi w tym stanie, jest pewien, że później będzie mógł wszystko wytłumaczyć, byle tylko teraz pozwolili mu zasnąć, chociaż na chwilę, żeby na chwilę mógł zamknąć oczy.

Krzesło znika. Zasypia.



Nad lewym okiem ma guza, oko jest spuchnięte, prawie na nie nie widzi. Głowa mu ciąży, ale w końcu je. Jakieś danie z ryżem i dużymi kawałkami mięsa. Śmiejący się, szcząc do jedzenia strażnicy dają mu spokój. Jeden z nich przyszedł nawet do niego do celi, pomógł mu usiąść, postawił przed nim miseczkę z jedzeniem. Powiedział mu, że zaraz zabiorą go na dół, do piwnicy, że dostanie łóżko, będzie miał stół i krzesło do dyspozycji, a może nawet małe okienko wychodzące na port. Musi jeszcze tylko podpisać jakieś papiery. Potem będzie nawet mógł przyjmować gości, zapewnił go. Posturą przypominał gigantyczną mysz. Stał przez nim i zasłaniał mu niemal całe światło. Wizja łóżka wydaje się Erhardowi przyjemna. Wiedz, że cię rozumiemy, mówi w pewnym momencie mysz. Bogaci robią, co im się żywnie podoba, czasem trzeba im powiedzieć Dosyć. Erhard nie do końca zrozumiał, o co mu chodzi, ale czuł guza nad okiem i pomyślał, że to pewnie kara za beztroskie życie. Kara za to, że zamieszkał w mieszkaniu Raúla. Kara za dyrektorski fotel. Kara za zagłębienie pod spódnicę umierającej kobiety.

Jedzenie pomaga. Po jakimś czasie – nie potrafi powiedzieć jak długim – przychodzi do siebie na tyle, że uświadamia sobie, gdzie jest. Pokój jest z drewna, bardzo solidnego gatunku drewna, ale nieoheblowanego, czuje ból, kiedy opiera się o ścianę. Można by pomyśleć, że włożyli go do skrzyni i jest teraz w drodze przez Atlantyk, otumaniona, bezzębna hiena w drodze do jakiegoś pogrążonego w długach ogrodu zoologicznego. Na największej ścianie, na samej górze, dostrzega okrągłą kratkę wentylacyjną. W lewym rogu widać wystającą z sufitu okrągłą kopułkę. Kamera. Filmuje wszystko, co się dzieje w celi. Drzwi są metalowe, na górze widać otwierane z zewnątrz kwadratowe okienko. Rozgląda się, jakby miał nadzieję, że nagle dostrzeże ukryte drzwi albo łom, który ktoś przeoczył. Ale oczywiście niczego takiego nie ma, to jasne.

Od długiego siedzenia pod ścianą bolą go plecy i kark.

Przesuwa się na środek, kładzie na plecach, ręce i nogi rozkłada na boki, jak człowiek witruiński. Zastanawia się nawet, czy nie zdjąć ubrania, żeby podobieństwo było jeszcze większe, ale nie sądzi, żeby kogoś tym zaskoczył. Już

go na pewno zaszufladkowali jako biednego wariata. Kładzie się na chłodnym betonie i ma wrażenie, jakby przywarł do świata, jakby stał się jednością z Zamkiem, starymi kamieniami, nędznymi meblami biurowymi, stertami raportów i koszami na śmieci wypełnionymi niedojedzonymi kanapkami. Ma wrażenie, że słyszy kroki, rozmowy telefoniczne, słyszy młodego chłopaka, który załatwia się w klozecie piętro wyżej, słyszy monety rzucone na blat baru w porcie i samochód, który jedzie zbyt blisko nabrzeża. A przede wszystkim czuje blade, pomarszczone ciało Moniki i twarde łóżko pod jej miękkim tyłeczkiem, czuje bijące nierówno serce, staccato. Dom jest spokojny. Za oknem jest ogrodzenie. Na brzegu fale unoszą pustą butelkę, wyrzucają na brzeg i znów zabierają ze sobą. Widzi senne oczy kóz, mrugają w słońcu, a potem zasypiają. Słyszy dzwonek Laurela gdzieś za skałami, tam, gdzie kozy zwykle nie docierają, ponieważ w dzień jest tam zawsze cień, a w nocy chłód. Grzeje się w ciepłe chaty, która płonie. Pięciometrowe płomienie zamieniły już wszystko w popiół. Nie ma dymu, są tylko płomienie. Kiedy gasną, kiedy w końcu zamierają z sykiem, on wraca do celi. Teraz czuje pod sobą tylko podłogę, twardą, jakby go odtrącała, nie chciała go.

Po kolejnym posiłku – kleistej papce z kawałkami białej ryby – ktoś wrzuca mu przez okienko papiery. Przetawienie zarzutów, mówi policjant zza drzwi. I przyznanie się do winy. Jak tylko podpiszesz, przeniesiemy cię do większej celi. Z telewizorem, dodaje.

To niebezpieczny dokument. Z jednej strony formalny i nic niemówiący, do tego stopnia, że zastanawia się, czy nie podpisać go bez czytania. Z drugiej strony zawiera tak dużo szczegółów związanych z przyznaniem się do winy, że jakiegokolwiek tłumaczenia już na niewiele się zdadzą. Jeśli w ogóle byłyby jeszcze możliwe. Nie wykonuje żadnych gwałtownych ruchów, powoli dochodzi do siebie i zaczyna czytać. I wtedy dociera do niego, do czego się przyznał podczas przesłuchania. Nie dość, że się przyznał, to jeszcze podał nazwiska świadków i przedstawił konkretne dowody, o których istnieniu nie ma pojęcia. Musi się chwilę zastanowić. Musi mieć adwokata, musi mieć jakąś pomoc

z zewnątrz, musi się z kimś skontaktować. Z kimkolwiek, byle nie z Emanuelem Palabrasem. Jest pewien, że to on za tym wszystkim stoi.

Strażnik puka do drzwi. Minęło zaledwie kilka minut od chwili, kiedy dostał papiery.

– Chwileczkę – mówi. Patrzy na puste miejsce, gdzie powinien się podpisać. Patrzy na długopis, który mu dostarczono razem z papierami. Podpisuje się, ale nie swoim nazwiskiem, tylko Emanuela. Emanuel Palabras. Ma nadzieję, że w ten sposób uda mu się wszystko opóźnić, na tyle, że zdąży jeszcze zjeść kolejny posiłek i wszystko przemyśleć. I znaleźć kogoś, kto będzie mógł mu pomóc.

– Chcę porozmawiać, porozmawiać przez telefon – mówi do strażnika, który bierze od niego papiery. Jego żądanie przynosi oczekiwany skutek. Strażnik nie patrzy na podpis, tylko na niego.

– Tak, dobrze – mówi, jakby jego życie nagle stało się łatwiejsze.

Erhard w myślach zastanawia się, kogo jeszcze zna, ale nie przypomina sobie nikogo, kto mógłby mu pomóc.

Wie, że musi zadzwonić do lekarza. Zabrali mu notes, ale numer telefonu lekarza zna na pamięć. Chce, żeby zajrzał do Beatriz, musi się nią zaopiekować. Nie wolno mu jej odwiedzić do szpitala. Emanuel Palabras nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że jego synowa żyje. Dlatego powiedziała: Ukryj mnie. Bała się. Ema. I nie bez powodu. Emanuel ma wielką władzę, ta władza sięga także więzienia.

Zza drzwi dochodzi jakiś hałas. Pewnie spostrzegli podpis i wracają do niego.

– Wynocha – słyszy i rozpoznaje głos Bernala.

– Chcę rozmawiać z adwokatem, Bernal – mówi Erhard.

– Najpierw porozmawiaj sam ze sobą. Idziesz na dół, do piwnicy.

– Niczego jeszcze nie podpisałem. To nie był mój podpis.

– To nie ma znaczenia – stwierdza Bernal, jakby go nie słuchał. Otwiera drzwi. – Odwróć się.

Odwraca się i zastanawia, co powiedzieć, żeby zyskać na czasie. Nic nie przychodzi mu do głowy. Bernal zakłada mu kajdanki. Popycha go przed sobą, wchodzi do dużego pomieszczenia biurowego, nagle wszystkie głosy milkną. Nie ma odwagi podnieść głowy, idzie przed Bernalem, lawirując między biurkami.

– Zaraz się przekonasz, jak traktujemy takich typków jak ty – mówi Bernal. W pomieszczeniu rozlegają się szepty, jakieś pomruki, ale Erhard nic nie słyszy.

– Wsiadaj, wsiadaj – mówi Bernal i wpycha go do windy, mocno. Erhard uderza ramieniem o ścianę.

– Bernal, ja nic nie zrobiłem. Chcę adwokata. Mam prawo do...

– Przestań, dobrze? – mówi Bernal dziwnie głośno. Drzwi się zamykają.

– Mam prawo do... – mówi Erhard i czuje, że Bernal chwyta go mocno za kajdanki.

Winda rusza.

– Obudź się, Eremito – mówi Bernal. – Przysłał mnie Emanuel Palabras. Chce ci pomóc. Za chwilę znajdziemy się na parterze, wtedy uderzysz mnie mocno w nos i uciekniesz. Na parkingu stoi taksówka jednego z twoich pracowników, czeka na klienta. Wskoczysz do niej i położysz się na tylnym siedzeniu. Poproś, żeby cię zawiózł do mieszkania Raúla. Masz dziesięć minut na spakowanie torby i zniknięcie.

– Co ty, do diabła, mówisz? – dziwi się Erhard i nagle czuje, że znów ma wolne ręce. Odwraca się i patrzy na Bernala.

– Chcesz wyjść i dowieść, że jesteś niewinny, czy zostać i dowieść, że jesteś winny? No, uderz mnie, mocno, najmocniej jak potrafisz – mówi Bernal i wskazuje na swój nos. Na swój piękny garbaty nos.

Erhard nie jest pewien, czy ma dość siły. Na cokolwiek.

– Teraz! – krzyczy Bernal.

Winda zwalnia, hałas niemal ustaje.

Erhard przestaje myśleć, uderza Bernala prosto w nos. Bernal upada, uderza głową w zamontowaną w windzie poręcz. Erhard nie potrafi powiedzieć, czy gra,

czy nie, ale leży nieruchomo, zwinięty w kłębek. Rozlega się dzwonek. Drzwi się otwierają.

# Lucifia

23 lutego

## 69

Czeka na niego Gustavo. Erhard nie wie, co mu powiedziano, ale rusza natychmiast, bez mrugnięcia okiem, jak tylko Erhard wczługuje się na tylne siedzenie i podaje adres. Nie rozgląda się, o nic nie pyta, tylko jedzie przed siebie. Erhard nie ma siły mu niczego tłumaczyć, zresztą nawet nie wie, co miałby mu powiedzieć.

Nie słyszy żadnych syren. Po pięciu minutach, kiedy są już na FV-10, w drodze do Corralejo, próbuje wyjrzeć przez tylną szybę, ale nie widzi, żeby ktoś za nimi jechał. Jest tylko szosa, sucha i pusta.

– Mam torbę ze spodniami, kurtką i okularami przeciwsłonecznymi. Możesz się przebrać.

Erhard zastanawia się, dlaczego miałby się przebierać. Może żeby go zbyt łatwo nie rozpoznano, gdyby wysłano za nim list gończy z rysopisem. Poza tym plama na koszuli nie zniknęła, a spodnie cuchną moczem. To też może być powód. Z trudem zdejmuje spodnie i wkłada nowe. Pasują, chociaż są trochę za duże. Ktoś to wszystko dobrze zaplanował. Okulary przeciwsłoneczne są zwykłe, tanie, podobne można kupić na ulicy za pięć euro. Kurtka okazuje się kurtką sportową, może to kurtka Gustava.

– Jest dużo ludzi, muszę cię zostawić przy Escámez – mówi Gustavo.

– Co? Dlaczego? – Erhard nie ma ochoty iść taki kawał, tym bardziej że wie, że szuka go policja.

– Fiestas del Carmen. Uroczystości już się zaczęły.

Erhard uświadamia sobie, że spędził w Zamku trzy dni. Kiedy liczył posiłki, wychodziły mu dwa, ale najwyraźniej dostawał tylko jeden posiłek dziennie. Fiestas del Carmen to największe doroczne uroczystości w Corralejo. Zaczynają się przed południem, a kończą około północy pokazem sztucznych ogni na plaży. W zeszłym roku oglądał pokaz z tarasu Raúla. Razem z nim i z Beatriz. To był spokojny wieczór z za dużą ilością wódki z tonikiem. Oglądali razem zachód słońca, jedli grillowane krewetki i upili się. Za Carmen, ulubioną dziewczkę wszystkich mężczyzn, krzyczał Raúl z dachu.

Erhard klepie Gustava po ramieniu i wysiada z taksówki, brudne ubranie trzyma pod pachą. Znika w tłumie. Na ulicach są dzieci z rodzicami, trzymają się za ręce. Erhard cały czas się rozgląda, obraca na wszystkie strony, pilnuje, żeby tłum nie poniósł go w stronę sceny, na której właśnie odbywa się konkurs piosenki, dzieci występują, a rodzice stoją pod sceną i biją brawo. Dalej tłum jest jeszcze gęstszy, ludzie stoją wokół tancerzy, zonglerów, Marokańczyków, którzy rzucają kostką i uderzają patykami w wielkie blaszane wiadra. Są też stragany z tanimi komórkami w jaskrawych kolorach i z figurkami Carmen, różnej wielkości: Carmen jako syrenka, Carmen jako piersiasta blondynka na plaży, Carmen z delfinami, Carmen jako matka z małym chłopcem na kolanach. Ma ochotę kupić którąś z figurek dla Aaza. Sam raczej nie wierzy w patronkę marynarzy i jej najróżniejszych kolegów, ale niewykluczone, że Aaz w nich wierzy. Odruchowo sięga do kieszeni, sprawdza, czy ma przy sobie gotówkę, a przynajmniej tyle, żeby kupić niewielką figurkę Carmen-matki. I wtedy uświadamia sobie, że jego portfel i klucze do mieszkania zostały w komisariacie. Policjanci opróżnili mu kieszenie i skonfiskowali wszystko, co miał, jeszcze zanim pierwszy raz trafił do celi. Nie wejdzie do mieszkania. Nagle czuje się tak, jakby miał wokół siebie za mało powietrza. Próbuje skrócić w jedną z węższych uliczek, ma nadzieję, że będzie tam mniej ludzi, ale tłum jest jeszcze większy.

Musi się na chwilę zatrzymać, gdzieś na jakiejś klatce, żeby złapać powietrza. W taksówce zapomniał na chwilę o tym, co ostatnio przeżył, dopiero teraz czuje, jak bardzo jest zmęczony, wręcz wykończony. Ma ochotę usiąść gdzieś na ziemi i dać sobie spokój ze wszystkim, pozwolić, żeby policja go znalazła. Sięga do kieszeni kurtki i odkrywa, że do zamykanej na zamek błyskawiczny kieszeni ktoś włożył plik banknotów o nominale pięćdziesięciu euro. Rozgląda się, a jego palce liczą banknoty. Na ulicy jest tłum, hałas, szczekają psy, nikt nie zwraca na niego uwagi. Nie wie, skąd się wzięły pieniądze. Trzy tysiące euro. Wsuwa je z powrotem do kieszeni i wtedy odkrywa, że jest w niej też żółta karteczka. Coś jest na niej napisane, nie rozpoznaje pisma.

*Opuść wyspę. Znajdź łódź Lucifia. EP.*

Emanuel Palabras. Przestępca i kłamca. Niby dlaczego miałby chcieć go ratować i mu pomagać? Co prawda bardzo potrzebuje pomocy, nie chce iść do więzienia za coś, czego nie zrobił, ale jest zdezorientowany i zły. Do tego stopnia, że aż mu się robi gorąco. Wchodzi w tłum, wpycha się między ludzi i rusza w stronę mieszkania Raúla i Beatriz, co nie jest takie proste, bo tłum zmierza w przeciwną stronę, do portu. Wszyscy chcą zająć takie miejsca, żeby móc obserwować, jak posąg Carmen wypływa na morze, no i pokaz sztucznych ogni. Ma się rozpocząć tuż po zachodzie słońca. Erhard mija sklep Silóna, ale nawet do niego nie zagląda. Nie ma klucza do drzwi prowadzących na klatkę, schodzi więc pospiesznie do piwnicy i wjeżdża windą na piąte piętro.

Pod stopniem znajduje dodatkowy klucz.

Ostrożnie otwiera drzwi. Nasłuchuje. Mieszkanie wydaje mu się obce i bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek wcześniej. Pokoje są opuszczone, w powietrzu unosi się zapach jesiennej ziemi i kasztanów, zapach wyspy. Obchodzi salon, zagląda do gabinetu, sprawdza wucet, kuchnię, zagląda do jadalni, z której nigdy nie korzystał, do łazienki, najbardziej luksusowego pomieszczenia w całym apartamencie, i na koniec do sypialni, gdzie leży Beatriz, dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Układa ją



wygodniej, odwraca, czyści cewnik, zakłada nowy worek i wiesza na statywie nową torebkę z pożywną kroplówką.

Zmienia koszulę, po raz pierwszy bierze z szafy jedną z koszul Raúla i czyste spodnie. Pakuje torbę, jak radził mu Bernal. A raczej niewielki plecak, który chyba należał do Beatriz. Zabiera ze sobą niewiele rzeczy: koszule z krótkimi rękawami, podkoszulek, kalesony, grzebień, szczoteczkę do zębów i kilka rzeczy z kuchni, które mogą mu się przydać. Puszki, otwieracz i niewielki ostry nóż. Nie wie, co jeszcze powinien ze sobą wziąć. Zwłaszcza że nie ma pojęcia, co go czeka. Ma popłynąć łodzią, ale dokąd? Pamięta, jak prawie już osiemnaście lat temu pakował torbę przed opuszczeniem domu na Fuglebjergvej. Teraz znów ucieka. Wzorzec staje się wzorcem, kiedy zaczyna się powtarzać. Dlaczego tak się dzieje? Co takiego robi, że wszystko zawsze tak się kończy? Ucieka z tanią sportową torbą w ręku, wypełnioną bezsensownymi rzeczami, nie mając pojęcia, gdzie będzie za miesiąc, za rok. Lubił tę wyspę, czuje to, kiedy spogląda przez okno w stronę portu. W zatoce cumują setki łodzi, różnej wielkości. Dzieci pływają w pontonach, całe rodziny wypływają w morze. Na pokładzie dużego ślizgacza opalają się dwie młode dziewczyny, ich faceci tańczą w kokpicie za nimi. Pewnie pijani, na haju. Gdzieś w głębi widać Isla de Lobo, a na parapecie stoi zeschnięta bazylia, ziemia jest twarda, niemal czarna. Dwa plany, daleki i bliski.

Coś tu się nie zgadza, i to bardzo.

Nigdy już nie wróci na wyspę. Jego dotychczasowe życie minęło bezpowrotnie. Pewnie zamieszka w Maroku, czy gdzie go zostawią, jego, żebraka. Te dwa, może trzy tysiące euro, które ma, nie starczą mu na długo. Nie będzie już mógł wysyłać pieniędzy Annette i dziewczynkom. Będzie musiał zerwać wszelki kontakt.

Jasno widzi swoje życie – na zjeżdżalni do piekła. Dotarł do zakrętu. Wzór się zmienił. Ucieczka na Fuerteventurę sprawiła, że poczuł się samotny i odtrącony, nadal jednak miał godność i siłę. Teraz pojedzie do Afryki, bez żadnej godności i siły, jest skończony. Biały biedak jest bardziej żalony niż

czarny biedak. Jest człowiekiem, przed którym wszystkie możliwości stały otworem, a on je wszystkie po kolei marnował. Nie chce wejść na pokład kutra, ale wie, że musi.

Nie ma innego wyjścia.

Jeśli zostanie na Fuerteventurze, wpadnie w ręce policji – i nawet jeśli system sprawiedliwości zadziała, sąd z pewnością weźmie pod uwagę to, że przyznał się do winy i próbował uciec, no i cały szereg innych dziwnych okoliczności. Nawet jeśli zdobędzie się na to, żeby opowiedzieć o chłopcu w pudełku, o Beatriz i Alinie tak, żeby ktoś zrozumiał.

Dlaczego Palabras chce mu wszystko darować? Bo wie, że znalazł się za blisko prawdy. Gdyby dalej prowadził poszukiwania, wyszłoby na jaw, że to on uprowadził własny ładunek – Bóg jeden wie z jakiego powodu – może postanowił rozprawić się z Raúlem, kiedy ten zaczął się domyślać, w co jego ojciec jest wplątany? Pewnie go gdzieś wywieziono i zabito, a Beatriz zostawiono w mieszkaniu, skazując na pewną śmierć.

Początkowo Palabras próbował zrobić go w zabójstwo Raúla, ale potem uznał zapewne, że za dużo ryzykuje. Mógłby zacząć mówić, o chłopcu i o porwaniu, dlatego postanowił pomóc mu uciec z więzienia i z kraju. Erhard zaczyna nawet podejrzewać, że na łodzi może czekać jego kat. Wystarczą mocne dłonie, żeby przytrzymać mu głowę pod wodą. A po jakimś czasie jego ciało wypłynie w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie. Koniec pieśni.

Jeśli miałyby wybierać między więzieniem a śmiercią przez utonięcie, to jednak wolałyby, żeby go wysadzili gdzieś w Agadirze albo Tarfai, położonej zaledwie cztery, pięć godzin żeglugi od wyspy. Żeby przeżyć rejs, musi zadbać o coś, co będzie jego ubezpieczeniem. Czymś, co powstrzyma Palabrasa i jego ludzi przed spuszczeniem jego ciała na dno Atlantyku. Powinien usiąść i opisać całą tę historię, ale nie ma na to siły. Zajęłoby mu to wiele godzin, a poza tym jego niewyraźne, krzywe pismo trudno odczytać. Zastanawia się, czy nie skontaktować się z Solillą i tym razem nie porozmawiać z nią, nie z jej młodym

znajomym dziennikarzem. Solilla potrafiłaby zadać mu pytania, które pozwoliłyby mu opróżnić ciężką głowę ze szczegółów, które ona z kolei mogłaby wykorzystać do artykułu. Ale to też trwałoby kilka godzin, więcej niż może temu w tej chwili poświęcić. Tak naprawdę potrzebuje przede wszystkim kamery. Nagrałby film, wszystko by opowiedział i wytłumaczył. Widywał takie kamery u klientów, których woził. Nagrywają plażę i surferów za oknem i opowiadają, co widzą. Raúl na pewno ma taką gdzieś w mieszkaniu, zawsze interesowały go nowinki techniczne, ale Erhard obawia się, że i tak nie byłby w stanie się nią posłużyć, więc z góry rezygnuje. Za dużo przycisków.

Chyba że...

Nagle przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Pospiesznie zbiera swoje rzeczy, chce jak najszybciej znaleźć się na ulicy. I tak już za długo tu jest.

Musi też zadzwonić do lekarza i wszelkimi sposobami spróbować przekonać go, żeby wziął odpowiedzialność za Beatriz, ale nadal trzymał ją w ukryciu. Może dzięki swoim kontaktom i pieniądзом uda mu się wywieźć ją z wyspy i umieścić w szpitalu, gdzieś daleko. Pod nazwiskiem Aliny. Angelina Mariposa, tak się naprawdę nazywała. Tożsamość do wzięcia.

Zamyka torbę, jeszcze raz przelicza banknoty w kieszeni. Kładzie tysiąc euro na stoliku obok Beatriz, sięga po słuchawkę i dzwoni do lekarza.

Zapomnij o mnie.

Po raz pierwszy od dawna znów słyszy głos Beatriz.

Słaby, właściwie jak westchnienie.

Patrzy na groteskowe ciało, które pischczy i wchłania pokarm. Na istotę, którą stworzył, ukrywając ją i starając się utrzymać ją przy życiu, chociaż jej obecny stan trudno nazwać życiem. Kocha ją, ale zapomina o niej, potrafi żyć bez niej. Jej ciało nie wyraża już niczego, jest jedynie wspomnieniem przeszłości, pamiątką krwi i ciała. Beatriz nie żyje, ale też nie umarła, nie należy już do siebie, jest jego.

Została mu już tylko jedna rzecz do zrobienia.

– *Hola* – odzywa się lekarz.

Erhard nie jest w stanie nic powiedzieć. Trzymając słuchawkę przy uchu, zaczyna odłączać aparaturę. Jakby potrzebował świadka, kogoś, kto go wesprze w tym, co robi. Słyszy oddech lekarza i głosy dzieci gdzieś w tyle. Respirator wyje do chwili, kiedy wyciąga z kontaktu wtyczkę. Wtedy cichnie.

– Za bardzo ją kocham, żeby jej pozwolić dalej żyć. Zrobię to sam. Wyłączę wszystko. Teraz.

– Jorgenson! – woła Lekarz. – Nie możesz tego zrobić ot tak sobie, do diabła!

W plastikowym kubku nad jej ustami widać krople wilgoci. Ale powoli zaczynają zanikać. Erhard usuwa ustnik i układa ją wygodniej, leży teraz wyprostowana, członki ma rozluźnione, istota z kosmosu przed ostatecznym rozkładem.

– *Buen viaje* – mówi i odkłada słuchawkę.

## 70

Znów wtapia się w tłum i rusza w kierunku portu. Zamierza spytać któregoś z mężczyzn myjących łodzie, czy znają taką, która nazywa się Lucifia. Oni wiedzą wszystko o życiu w porcie, podobnie jak taksówkarze wiedzą wszystko o życiu w drodze.

Wszyscy mieszkańcy wyszli na ulice świętować Fiestas del Carmen.

To największe wydarzenie roku przyciąga także gości spoza wyspy, nawet z Lanzarote. Procesja i pokaz sztucznych ogni to rozrywka dla całych rodzin, po zachodzie słońca świętuje się dalej, w domach. Największą atrakcją jest procesja z posągiem świętej, która dociera wszędzie. Jej imię znaczy szczęście, wszyscy właściciele sklepików chcą, żeby do nich zawitała. Przyjmują ją pieśniami i krótkimi deklamacjami, kładą u jej stóp ogromne bukiety kwiatów i kosztowności.

Przedzierając się przez tłum, Erhard spotyka wielu znajomych. Spuszcza wzrok, nie chce, żeby go widzieli, ale i tak wielu go rozpoznaje: taksówkarze

z rodzinami i klientami, których wozi od lat albo którym stroił fortepiany. Na szczęście w ogólnym chaosie i zamieszaniu trudno prowadzić jakiegokolwiek rozmowy, więc unosi jedynie dłoń w geście powitania i przepycha się dalej.

W porcie przy pomostach tłum jest nieco mniejszy. Przed kioskami, w których kupuje się bilety na promy na Lanzarote i Isla de Lobos, nie widać kolejek. Pyta trzech robotników portowych o Lucifię, jeden z nich kiwa głową.

– Tak, cumuje tu od kilku dni – mówi i podaje Erhardowi numer pomostu, przy którym może ją znaleźć.

– Stąd też ją widać – mówi i wskazuje na kuter do połowu krewetek, kiedyś czerwony, teraz w kolorze ochry.

Erhard dziękuje i idzie na pomost piąty, próbuje dojrzeć, czy na pokładzie kutra ktoś jest. Słońce stoi w zenicie. Piecze go w łysy czubek głowy. Nie ma żadnego cienia, jest tylko ostre białe światło, tysiące morskich kryształków i czerwony kuter. Nie podchodzi bliżej, obserwuje go z pewnej odległości. Jest większy, niż przypuszczał. Kiedyś, wiele lat temu, używano go do połowów, później został zamieniony w turystyczny kuter rybacki, z którego Anglicy, siedząc na pokładzie z puszką piwa w ręku, mogą łowić cefale i jeżowce. Pokład jest pusty.

To znaczy, że ma jeszcze czas. Przynajmniej pół godziny, może godzinę.

Schodzi z pomostu na ląd, zatapia się w falującym tłumie. Schyla się, jest teraz na poziomie dzieci i może się ukryć pod torbami i plecakami, wypatruje dziur w ludzkiej ciżbie. Mija Żółtego Koguta i sklep z rybami. Odwraca się, ma wrażenie, że ktoś go woła, ale nikogo nie widzi. Mija go kobieta z dużym koszem, ociera się o niego i na rękę zostaje mu długa czerwona szrama, aż do łokcia. Ojej, mówi kobieta, ale jego już nie ma. Zdyszany postanawia poszukać cienia i nagle znajduje się turystycznej pułapce. Wokół niego stoją małe konewki, wiszą ręczniki z Myszka Miki, wszędzie pełno porcelanowych osiołków i mieniących się delfinów. Klęka, jakby chciał zasznurować buty. Właściciel stoiska jest w sąsiednim sklepie i pije czerwone wino. Erhardowi drżą ręce, próbuje uspokoić oddech. Dwóch nastolatków, którzy przymierzają okulary

przeciwsłoneczne, patrzy na niego z politowaniem. Pewnie wygląda żałośnie, zagubiony staruszek. I rzeczywiście w tym momencie tak się czuje.

Po kilku minutach wstaje, prostuje się, zdejmuje ze stojaka czapkę z daszkiem i napisem Barcelona. Aaz uwielbia takie czapki. Z przodu jest też duża korona. Chce zapłacić, ale właściciel nadal jest w sąsiednim sklepie. Nie chce zwracać na siebie uwagi, więc wkłada czapkę na głowę i wychodzi. Kieruje się do portu. Mija najwęższą część promenady, jest tam wyjątkowy tłok. Przed Azurą, dawnym klubem nocnym Billa Haji, ludzie stoją niemal nieruchomo, ściśnięci jeden obok drugiego. Klub został przebudowany i teraz jest kawiarnią i barem, nowoczesną knajpą, na którą stać jedynie najbogatszych turystów. Dzisiaj ich nie brakuje. Z okazji święta kawiarnia została udekorowana, kelnerki i kelnerzy mają na głowach korony, są owinięci rybackimi sieciami. Stoją w jednym szeregu, śpiewają, uderzając muszlami jak kastanietami, czekają, aż procesja pójdzie dalej. Erhard rozpoznaje wysoką dziewczynę, która na pogrzebie Billa szła obok jego siostry. Słyszał, że podobno kawiarnia ostatnio zrobiła się bardzo popularna, interesy idą lepiej, niż kiedy rządził Bill. To mu o czymś przypomina.

Przy Avenida Maritima skręca w jedną z bocznych uliczek i zaczyna biec, tak szybko, jak tylko jest w stanie. Biegnie wąskim chodnikiem pod zwisającymi z balkonów koszami z kwiatami i parasolami. Pojedyncze sklepy zaczynają już zamykać podwoje, sklepikarze zaciągają kraty, ale nie wszyscy. Większość postanowiła nie przejmować się sjestą, licząc na zwiększone obroty. Erhard skręca jeszcze dwa razy i wychodzi na Nuestra Señora del Carmen, ruch wcale nie jest tam mniejszy. Miasto wyraźnie szykuje się na wieczór, samochody parkują wzdłuż ulic, nie zawsze zgodnie z przepisami, wysiadają z nich ubrane na biało rodziny, młodzi ludzie w wielkich butelkami piwa wołają coś z balkonów. Erhard dociera do sklepu z elektroniką, przeciska się obok dużej grupy dzieci, które oglądają jakieś kolorowe pudełka, i wchodzi.

W sklepie jest pełno ludzi. Cormac, czerwony na twarzy, pomaga mężczyźnie, który chce kupić komórkę. Młody sprzedawca z rozjaśnionymi czarnymi włosami przyjmuje zapłatę od jednej z klientek. Erhard idzie w głąb

sklepu i zaczyna oglądać kamery na statywach. Próbuje przyciągnąć uwagę Cormaca, ale on nadal jest zajęty. Wkłada komórkę, którą mężczyzna wybrał, do pudełka, przeciąga jego kartę kredytową przez terminal. Dopiero wtedy spostrzega Erharda, posyła mu zdziwione spojrzenie. Erhard cofa się jeszcze bardziej w głąb sklepu.

– Czyżby zapracowane ręce prawa wypuściły cię na wolność? – pyta Cormac. Podchodzi do niego i zatrzymuje się po drugiej stronie regału.

– A skąd ty to wiesz? – pyta Erhard cicho i patrzy na drzwi.

– Szalony handlarz walizkami mówił, że widział cię w kajdankach.

– Nie mógł mnie widzieć w kajdankach, chociaż rzeczywiście zatrzymała mnie policja. Ale, jak widzisz, znów jestem na wolności.

– Wyglądasz na wzburzonego.

– Musisz mi pomóc.

– Chodź – mówi Cormac. Popycha go przez zasłonkę z koralików na zaplecze. – Co się stało?

– Muszę pożyczyć kamerę wideo. Teraz. Na pięć minut. No... może na dziesięć.

Cormac nie wygląda na zachwyconego.

– Jest święto. Fiestas del Carmen, nie mam czasu.

Erhard patrzy na niego.

– Jesteś moją jedyną szansą – mówi.

– Na co?

– Chcę wyznać wszystkie swoje grzechy. Nagrać je na wideo.

Cormac, który dotychczas słuchał go z powagą, nagle wybucha śmiechem.

– Co takiego zrobiłeś? Chodzi o matkę tego martwego chłopca?

– Można tak powiedzieć.

– I gdzie chcesz to zrobić? Tutaj?

– Jeśli mi pozwolisz. Tylko żeby nikt mi nie przeszkadzał. Nikt nie może nic usłyszeć.

– Możesz iść do magazynu. Tam nikogo nie ma. Tylko światło jest kiepskie.

Erhard oddycha z ulgą, osuwa się po ścianie.

– A co potem? Co zamierzasz zrobić ze swoim wyznaniem? – dopytuje się Cormac.

– Wezmę taśmę i gdzieś ją ukryję.

– Taśmę? Taśm już nie ma, *my friend*. Od wielu lat.

Erhard nie rozumie, o co mu chodzi.

– Więc nie mogę tego nagrać? – pyta.

– Możesz, ale to jest cyfrowa kamera. Musisz przegrać wszystko na komputer. Mogę ci to też zapisać na pendrivie.

– Od razu?

– Tak, prawie.

– Ile czasu ci to zajmie?

– Jakiś kwadrans.

Erhard oblicza coś w myślach.

– To za długo. Nie zdążę na łódź.

– Na łódź?

– Możesz wysłać to komuś listem albo doręczyć za mnie?

– Mogę – mówi Cormac, ale nadal nie wygląda na przekonanego.

Erhard postanawia zaryzykować.

– Jeśli mnie sfilmujesz i wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia, to potem sam zdecydujesz, czy chcesz mi pomóc. Jeśli nie, zabiorę nagranie ze sobą. Jeśli tak, to poproszę, żebyś je przesłał jednemu z moich przyjaciół.

Cormac rozgląda się po sklepie.

– Jeśli chcesz, żebym cię nagrał, to zrobimy to teraz.

– Jestem gotów.

Cormac bierze z półki jedną z większych kamer. Wciska jakieś guziki, przeciąga kabel ze sklepu na zaplecze, ustawia statyw. Popycha Erharda w stronę regału z pudełkami i zapala na suficie żółte światło.

– *Let's go* – mówi. – Zaczynam nagrywać.

Erhard nie ma czasu, żeby się dłużej zastanawiać.



Zaczyna pod początku. Boi się, że nie zdąży opowiedzieć wszystkiego, więc mówi szybko, chwilami trochę nielogicznie. Opowiada o Chrisie Jonesie, który został pobity, o porwaniu, o przeładowywaniu towaru na drugi statek i o uszkodzonym kontenerze. O tym, że to nie Chris Jones zatonął, tylko sternik Juan Pascual z Corralejo. O samochodzie na plaży i chłopcu w pudełku.

– *What?* – Cormac nie może ukryć zdziwienia.

Fale uniosły samochód i wyrzuciły go na plaży w Cotillo.

Cormac patrzy w powietrze, zapala papierosa staromodną zapalniczką benzynową.

Erhard mówi dalej: kawiarnia na Teneryfie i Hollisen. Hollisen zaginął. Emanuel Palabras porwał własny ładunek, sprzedał towary i prawdopodobnie dostał odszkodowanie. Załogi nadal nie odnaleziono, ale rozmawiał z marynarzem, który był na tym drugim statku. Twierdzi, że ładunek wrócił na Teneryfę, a załoga została wysadzona na ląd w Maroku. Żeby to wszystko ukryć, Emanuel Palabras zabił własną synową i prawdopodobnie też własnego syna. Próbował wrobić w to jego. O Alinie nie wspomina. Nie wspomina też o Beatriz, która została w mieszkaniu. Wspomina natomiast o mężczyźnie w okularach przeciwsłonecznych, który próbował go udusić, i o przesłuchaniu na policji, zakończonym wymuszonym przyznaniem się do winy. Dodaje też, że uciekł policji i idzie do portu, gdzie czeka na niego kuter.

– *Holy fucking Christ and the mighty Mother Mary* – mówi Cormac po kilku minutach milczenia.

– Ile czasu to trwało? – pyta Erhard.

Cormac zerka na kamerę.

– Siedemnaście minut.

– Muszę już iść.

– Skąd wiesz, że tak było?

– Po prostu wiem.

– Nie jestem wielkim fanem policji, ale mam wrażenie, że w tej układance brakuje jeszcze kilku kawałków, żeby ci ktoś uwierzył. Na przykład ta sprawa

z samochodem.

– Volkswagenem – uzupełnia Erhard.

Cormac śmieje się i ssie papierosa.

– Co jeszcze? – pyta Erhard. – Nie jestem w stanie posunąć się dalej. Zrobiłem, co było w mojej mocy, ale nie daję już rady. To nagranie to moja gwarancja bezpieczeństwa, teraz sprawą muszą się zająć inni. Przekażesz to nagranie?

Cormac nieruchomieje.

– Mam sklep. I nową narzeczoną.

– Każdy coś ma, do diabła. Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Chciałbym to przekazać znajomej dziennikarce, która mieszka w Puerto. Jest porządnym człowiekiem. Może to dalej pociągnąć. Nie wiem, czy będzie jej się chciało, ale jeśli coś mi się stanie, zrobi to na pewno. Prześlesz jej to?

Cormac patrzy na niego.

– *Sorry, my friend.* Teraz ci pomogłem, ale nie chcę się bardziej w to angażować. Mieszkam tutaj połowę życia, tu mieszka moja żona, moi synowie, moja nowa narzeczoną, tu mam sklep. Nie mogę. Przegram ci wszystko na pendrive'a, zajmie to chwilę.

Cormac wychodzi z kamerą i zostawia go w magazynie samego.

## 71

W drodze na łódź Erhard marzy, żeby mieć już to wszystko za sobą. Jest zmęczony, myśli kłębią mu się w głowie. Jego ciało prze do przodu jak maszyna, ale jest poobijane i obolałe. Jeśli ktoś będzie chciał go utopić tam, na morzu, nie będzie walczyć. Po prostu nie ma już siły.

Pendrive'a, którego dał mu Cormac, ma w kieszeni, jak nóż ociera mu się o udo. Musi znaleźć sposób, żeby albo go komuś przekazać, albo przesłać Solilli.

Rozgląda się za jakimś kioskiem, w którym mógłby kupić kopertę i znaczek. Kawalek dalej stoi kiosk z lodami i pamiątkami. Staje w kolejce pod parasolem. Nagle wokół niego wyrasta tłum ludzi, w oczekiwaniu na procesję wszyscy chcą kupić lody. Śpiewają pieśni o patronce ludzi morza, pięknej Carmen, która pływa po morzach i oceanach, i nawet rybak, którego sieć wciągnęła w odmęty, może znów spotkać na brzegu swoich bliskich, bo u boku świętej Carmen nikt nie umiera do końca. Dzieci co roku śpiewają tę pieśń podczas uroczystości ku czci świętej. Śpiewają niewyszkolonymi głosami, w różnych tonacjach, fałszując, ale z zachwytem i pełnym zaangażowaniem, jakby rzeczywiście miały nadzieję, że ich śpiew sprawi, że porcelanowy posąg świętej ożyje. Ktoś dorosły ucisza chłopca, który chce lody. Lody, lody, krzyczy.

Zbliża się jego kolej. Stojąc przed kioskiem, ma widok na kawiarnię, na Azurę. Widzi wysoką młodą dziewczynę. Jej twarz. Twarz nieprzystępnej bladej kobiety tuż po dwudziestce. Jest ładnie ubrana. Włosy ma zaczesane do tyłu i ściągnięte w koński ogon, usta pociągnięte czerwoną szminką, niemal wpadającą w czerń. Wyraźnie czuje się źle w tym ubraniu, pewnie woli dresy i tenisówki. Erhard nagle sobie przypomina, gdzie ją widział. Nie na pogrzebie Billa Haji, tylko w Café Rústica. *The Bitch*, Suka, jak mówiła o niej właścicielka lokalu. Podejrzewała, że jest lesbijką. Wróciła na Fuerteventurę, bo podobno coś odziedziczyła. No i wylądowała w wielkomiejskiej kawiarni Billa Haji w elegancko wyprasowanej spódnicy. Tego zawsze się obawiał na wyspie. Gorzkiej mieszanki wciąż tych samych ludzi.

Znała Hollisena. Wie, co się z nim stało.

Wychodzi z kolejki i idzie do kawiarni.

– Jedna osoba? – pyta Suka, kiedy zatrzymuje się w połowie drogi pod markizą. Wskazuje mu niewielki stolik. Wszędzie są ludzie, stoją między stolikami, przy barze, pod ścianami. Wysuwa dla niego krzesło.

– Jest może jakiś stolik w głębi? Bardziej w cieniu?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby siedzieć obok toalety, to zapraszam – mówi dziewczyna.

– Przywykłem do tego – odpowiada Erhard.

– Nie brzmi to miło – mówi dziewczyna, a on niemal wybucha śmiechem.

Dziewczyna jest dowcipna, chociaż wcale na taką nie wygląda. Podaje mu kartę.

– Macie jakieś dania z Teneryfy? – pyta Erhard. Poprawia się na krześle, wsuwa pod nie plecak.

– Głównie z Madrytu, Londynu i Nowego Jorku.

– Byłem kiedyś w Café Rústica. Znasz to miejsce?

Suka się cofa, mierzy go wzrokiem.

– Chwileczkę – mówi i woła inną kelnerkę, Marię. – Rozliczysz się z gośćmi z siódemki? – zwraca się do niej, po czym wraca do niego.

– Byłeś w Café Rústica?

– Kilka razy.

– Podczas wakacji?

– Można tak powiedzieć.

– Ale mieszkasz tutaj?

– Tak, jeszcze przez jakiś czas.

– Proponuję zimne piwo.

– San Miguel.

– Amerykańskie. Lepiej ci zrobi.

Dziewczyna odchodzi, wraca z butelką piwa amerykańskiej marki. Erhard jej nie zna. Przynosi też miseczkę z krewetkami i dressingiem.

– Z okazji święta Carmen.

Erhard patrzy, jak odchodzi. Ma ochotę spytać, czy po wyjeździe z Teneryfy widziała Hollisena. Albo miała od niego jakąś wiadomość. Pamięta, że go nie lubiła, więc jeśli coś wie, pewnie chętnie się tym z nim podzieli.

Dziewczyna czuje na sobie jego spojrzenie, odwraca się i posyła mu służbowy uśmiech. Erhard nie przestaje się w nią wpatrywać, więc odwraca wzrok i zajmuje się pracą. Sprząta ze stolików, miesza niebieskie drinki, rozmawia z kucharzem, który wystawia głowę przez okienko w kuchni.

Krewetki są zaskakująco smaczne.

Nie widać go z promenady. Ryzyko, że jakiś policjant wejdzie do lokalu w taki dzień jak ten, jest minimalne. A Charles z nogą w gipsie i inni ludzie Palabrasa pewnie szukają go w zupełnie innych miejscach. Może są wściekli, że nie stawił się w porcie.

Jeszcze nie wypił piwa do końca, a już musi iść do toalety. Stojąc przy pisuarze, patrzy na duże akwarium, w którym pływa homar, a zza długich zielonych liści wyglądają duże czerwone ryby. Akwarium jest przykryte grubą płytą z czarnego łupka, ale ten, kto karmił ryby, zostawił kawałek odsłonięty. Erhard oddaje mocz, myje ręce, stuka palcem wskazującym w szybę akwarium i wychodzi. Idąc do stolika, rozgląda się za Suką. Widzi, jak wychodzi z kuchni, usta ma świeżo pociągnięte szminką, rozsiewa wokół siebie zapach papierosów i oleju do smażenia. Daje jej znak, żeby przyniosła mu rachunek. Dziewczyna drukuje go w kasie i przekazuje innemu kelnerowi, który w milczeniu podaje mu go na niewielkim talerzyku. Dziewczyna stoi przy barze i rozmawia z kolegą o stolikach, które trzeba przygotować. Nagle Erhard widzi, że jest podobna do Billa Haji. Ma jego uśmiech, zarzuca głową z pewną wyższością, jak Bill, kiedy opowiadał dowcip albo łapał którąś z tancerek za udo. Robił to tylko ze względu na interesy, był stuprocentowym homoseksualistą. Cała wyspa śledziła jego życie seksualne. Szczególnie kobiety, które bardzo bolały za każdym razem, kiedy rzucał go kochanek albo coś szło nie tak. Mężczyźni tylko prychali z pogardą, ci bardziej przerażeni przeklinali starego pedała i mieli nadzieję, że kiedyś wyjedzie, oby jak najdalej. Erhard słyszał to wiele razy. Od pasażerów z tylnego siedzenia, w pokoju śniadaniowym, na ulicy, u fryzjera. Rozmawiano o Billu, był interesujący, żywy, skrajny – a teraz widzi dziewczynę, która tak bardzo go przypomina. Jego wnuczkę. Prawdę mówiąc, wygląda raczej na jego córkę. Ma wrażenie, że go unika, nie patrzy na niego, nie rusza się z za baru, czyści wszystko, co da się wyczyścić. Musi znaleźć pretekst, żeby z nią porozmawiać.

Płaci przy barze. Kiedy kelner wraca z resztą, zostawia monety na talerzyku i prosi o małą foliową torebkę i gumkę. Kelner przynosi mu je z kuchni i patrzy zdziwiony, gdy Erhard wstaje i idzie do toalety. Najpierw sprawdza, czy jest sam, potem wyjmuje pendrive'a, którego dał mu Cormac, wrzuca go do foliowej torebki i wysysa z niej powietrze. Zawiązuje supełek i owija torebkę gumką, wiele razy, tak, że powstaje twarda kukiełka. Jedną nogą przytrzymuje drzwi od toalety, żeby nikt do niej nie wszedł, i ostrożnie wkłada rękę do zimnej wody. Przesuwa dłoń w tylną część akwarium, puszcza kukiełkę i patrzy, jak się osuwa między zielone liście. Lepszej kryjówki nie mógł sobie wymarzyć. Torebkę można zobaczyć tylko jeśli się kucnie i spojrzy w tylny lewy róg akwarium. Może dziecko mogłoby ją dojrzeć, ale na pewno nikt kto ma więcej niż półtora metra wzrostu. Przez moment zastanawia się, czy homar nie będzie próbował dotykać jej szczypcami, ale okazuje się, że ma je do połowy ścięte.

Erhard uderza palcem w szkło, wychodzi z łazienki i zaraz potem z kawiarni.

Idzie szybko ulicą, ze spuszczonego wzrokiem, wbiega w wąski zaułek, w którym leżą ścierwa kotów i potłuczone butelki. Na kartonach siedzi dwóch mężczyzn, siedzą obok siebie, mają zakrwawione nosy, śpią. Zaułek przechodzi w wąską uliczkę biegnącą na tyłach licznych knajpek i barów. Tamtędy podjeżdżają śmieciarki, tamtędy chodzą też dzieci, psy, sprzedawcy i miejscowi, kiedy chcą skrócić sobie drogę. Odlicza drzwi, żeby trafić na tylne drzwi do Azuro. Przed drzwiami stoi zniszczony stółek barowy, na kobiercu z petów.

Siada na stołku i czeka. Na ulicy jest pusto, gdzieś niedaleko jakiś pijaczek śpi na leżaku. Po półgodzinie słyszy kroki.

Drzwi otwierają się gwałtownie. Suka wybiega, opiera się o ścianę i wymiotuje. Czerwona breja leci po żółtym tynku, wsiąka w zeschniętą trawę. Dziewczyna stoi z pochyloną głową, ale zauważa go.

– Nie jesteś stalkerem. Mów, o co ci chodzi.

– Wszystko w porządku? Coś ci jest?

– Za dużo balowania, za mało snu. – Dziewczyna wyciera usta wierzchem dłoni. – A ty kim jesteś?

– Przyjacielem Billa. Mam na imię Erhard. – Podaje jej rękę, trochę niezręcznie.

Dziewczyna zauważa, że brakuje mu palca, łapie go za rękę i lekko ściska.

– Zadziwiająco, że miał ich tak wielu. Nagle wszyscy się objawiają. Porozmawiaj z Ernestem. To on załatwia takie sprawy.

– To ja go znalazłem. Wtedy, po wypadku.

Dziewczyna milczy, szuka papierosów w niewielkiej torebce, w której trzyma pieniądze i długopis.

– Jesteś jego wnuczką?

– Tak, był moim dziadkiem, pierwszym pokoleniem gejów w tej gejowskiej rodzinie, w której nie wiadomo jakim cudem rodzą się dzieci.

– Nie miałem pojęcia, że ma dzieci, a tym bardziej wnuki.

– On chyba też nie.

– Ale zostawił ci w spadku to miejsce?

– Mojemu ojcu. A on podarował je mnie. Tak wygląda krótka wersja. Ta obowiązująca na zewnątrz.

– Twój ojciec też tu pracuje?

Dziewczyna się śmieje, trzyma się za brzuch. Erhard niemal jej współczuje.

– Na pewno nie jesteś dziennikarzem – mówi.

Erhard rozumie, że to znaczy, że nie.

– A więc kiedy zginął Bill, rzuciłaś pracę w Café Rústica i wróciłaś tu z Teneryfy. Czy od tamtej pory kontaktowałaś się z kimś stamtąd?

Dziewczyna kręci głową.

– Znasz Sørenę Hollisena?

Kiedy wymawia nazwisko, z jej twarzą coś się dzieje, ale nie wydaje się zdziwiona.

– Już raz mnie o to pytałeś. Powiedziałam ci wtedy, że wszyscy, którzy tam pracowali, znali tego bydlaka.

– Co ci zrobił?

– Raczej czego mi nie zrobił. Pieprzył się ze wszystkimi, ot co.

– Wiesz, co się z nim stało?

– Pewnie zwiął do Danii. Tam go znajdziesz, *Extranjero*. *Good luck*.

– Bywał gwałtowny?

– To psychopata. Jest zdolny do wszystkiego, tyle mogę powiedzieć.

– Twoja dawna szefowa twierdzi, że był lubiany.

– Jasne, jak to psychopaci. – Dziewczyna zapala kolejnego papierosa. – Muszę na chwilę usiąść – mówi i wskazuje na stołek. Erhard ustępuje jej miejsca. Dziewczyna wygląda na bardzo zmęczoną. – Pewnie zrobił coś głupiego, skoro tak rozpytujesz.

– Musiał cię skrzywdzić, skoro tak odpowiadasz.

– *Touché*.

Siedzi bez ruchu, powoli wypuszcza dym ustami, smużka idzie do góry, wiruje jej przed oczami. Mruży je. Erhard znów rozpoznaje rysy Billa w jej podłużnej twarzy, w której wszystko jest nieco za duże, za długie i zbyt gwałtowne, żeby było ładne.

– Nie wiesz, czy zrobił jakiejś dziewczynie dziecko?

Powoli kręci głową.

– Biedny dzieciak – mówi.

– Nie rozumiem.

– To straszne dorastać w takim miejscu. Wśród tych wszystkich świrów. Niektóre wyspy zjadają swoje dzieci, wiedziałeś o tym?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – mówi Erhard.

– Dziecko Sorena na pewno byłby świrnięte.

– Więc miał dziecko?

– Tego nie powiedziałam.

To, jak siedzi na stołku, zaczyna go niepokoić. Jakby coraz bardziej zapadała się w sobie, jakby była chora.

– Zaraził cię czymś. Jesteś chora?

Dziewczyna śmieje się, aż dym leci jej z nosa i z ust.

– Chyba nie myślisz, że pieprzyłabym się z psychopatą?



– Dlaczego nie? – mówi Erhard i zastanawia się, czy ona faktycznie nie jest lesbijką.

– Zabawny jesteś – mówi, ale nawet się nie uśmiecha.

– Sprawiasz wrażenie chorej. Nie mam na myśli nic złego. Wyglądasz, jakby cię coś bolało.

– To mój problem, nie twój.

– Jeśli umrzesz teraz, kiedy tak razem stoimy, to będzie również mój. Ostatnio gdzie się ruszę, tam ktoś umiera.

– Wyluzuj, staruszk. Po prostu źle się czuję.

– Ile masz lat? I jak się naprawdę nazywasz?

– Dwadzieścia siedem i koniec pytań. Nie mam ochoty odpowiadać. Mam dyżur do czwartej nad ranem. Święta Carmen i tak dalej – mówi i wstaje.

– Dlaczego sądzisz, że jest w Danii?

– Zwykle po jakimś czasie się pojawia. Nigdy nie zniknął na tak długo.

– Szukałaś go?

– Jest mi winien forszę, do cholery. Jak się prowadzi taki interes, to każde euro się przydaje.

– Twoja była szefowa twierdzi, że miał problemy finansowe.

– Wszyscy mają. Możemy się umówić, że jeśli go znajdziesz, to wypłacę ci znaleźne. – Otwiera drzwi, nagle uderza go gwar dochodzący z kuchni. Dziewczyna odwraca się na moment, uśmiecha się, jakby była zmieszana.

I wtedy po raz pierwszy widzi wyraźnie jej sylwetkę, wypięty brzuch pod czarną spódnicą. Przy jej szczupłym ciele wygląda to tak, jakby ktoś ukrył jej w majtkach żółwia.

– To ty – mówi Erhard.

– O co ci chodzi?

– Ty jesteś matką.

## Chłopiec.

Tak naprawdę nigdy poważnie o nim nie myślał. Nigdy go sobie nie wyobrażał. W dziurze w ziemi, w małej trumience, w małym pudełku, w kojcu, w łóżeczku. Nie widział w nim chłopca, miał przed oczami tanią lalkę, którą bawiła się Lene, taką z korpusem z materiału, z rękami i nogami z jasnoróżowego plastiku.

A teraz go widzi. Leży w ciemnościach w pudełku, blady, jasnoniebieski, błyszczący. Leży w strzępach gazet, jak pisklę w gnieździe na gałęziach kolczastego krzewu. Włosy nikną w mroku. Brązowe oczy są twarde i zmęczone płaczem. Nie płacze, nie zawodzi, leży cicho, wodzi tłustymi paluszkami po ostrej krawędzi pudełka. Odcięty od pępownicy, od matki, nie po dwunastu tygodniach w brzuchu, tylko po dwunastu tygodniach na świecie. Nieudana aborcja. Najgorsze nie jest jednak to, że nie żyje, że jego rodzice go zabili, ale to, że pozwolili mu żyć trzy miesiące bez miłości, bez kontaktu wzrokowego, bez okazywania troski, bez smoczka, misia, pocałunków, szeptów i pełnych podziwu spojrzeń znad łóżeczka, bez dotyku i pieścizot. Po trzech miesiącach wypełnionych obojętnością włożyli go do pudełka i przesłali jak paczkę pod nieznany adres.

Suka stoi w drzwiach, widać, że najchętniej by je zamknęła, ale stoi i patrzy na niego.

– Hollisen ukradł ci syna? Uciekł z nim?

– On go chciał.

– Co?

– Ja go nie chciałam. Tak powiedziałam. Ale nic za darmo.

– Dlaczego popłynęli statkiem?

– Statkiem? Nic o tym nie wiem. Wiem tylko, że wycofał się w umowy.

Myślałam, że poleciał do Danii.

– Co to była za umowa?

– Nie jestem z tego dumna, ale tak się umówiliśmy. Po prostu.

– Co to była za umowa?

– On go chciał. A ja nie. Pochodzę z rodziny, w której aborcje są na porządku dziennym. Dlatego postanowiłam, że nic za darmo.

– Nie rozumiem. Miał ci dać pieniądze?

– Obiecał mi dwadzieścia tysięcy. A potem się zwinął. Byłam wściekła.

– I co zrobiłaś?

– Nic. Nie chciałam, żeby ktokolwiek się dowiedział. Nie chciałam dzieciaka.

– Więc kiedy zabrał ci syna, nic nie zrobiłaś?

– Nic a nic.

– Z nikim o tym nie rozmawiałaś?

– Robiłam wszystko, żeby nikt się nie domyślił. Gdybym coś komuś powiedziała albo pokazała się z dzieckiem, wyleciałabym z pracy, wyrzuciliby mnie z mieszkania. Tak to wygląda. I chociaż cała nasza rodzina to homoseksualiści, to jesteśmy bardzo religijni. Z moją ciotką nie ma żartów. Nic nie jadłam, w ogóle nie było widać, że jestem w ciąży. Niech to szlag, sama też nic nie wiedziałam, aż zaczęłam krwawić. Ale wtedy było już a późno.

– Jak to za późno?

– Za późno, żeby je usunąć. Więc postanowiłam się go pozbyć, pijąc. Paląc. Ale bestia nie dawała się ruszyć. I wtedy Soren powiedział, że go chce. I że mi zapłaci. Więc się zgodziłam.

– I co zrobił?

– Chciał, żebym go karmiła piersią, ale ja nie chciałam. Więc to on dawał mu jeść. Mówił do niego, jakby on cokolwiek rozumiał. A po tygodniu, może po dziesięciu dniach, zniknął. Zmył się. Wyszłam na papierosa, a on dał nogę. Jakby wszystko wcześniej zaplanował. Wściekłam się.

– Po dziesięciu dniach? Kiedy urodziłaś?

– Dwudziestego pierwszego października.

– A Hollisen uciekł z waszym dzieckiem na początku listopada?

– Mniej więcej. Nie pamiętam dokładnie.

– I co było dalej?

– Wydzwaniał do mnie, mówił, że da mi jeszcze jedną szansę. A ja nie chciałam żadnej szansy, do cholery, chciałam dostać pieniądze, które mi obiecał. Tylko że on nie miał pieniędzy, nic nie miał. Powtarzał, że wyjedzie, ale nie miał kasy, nawet na jedzenie.

– Nie myślałaś o tym, żeby zgłosić to na policję?

Dziewczyna się śmieje i znów z ust i z nosa leci jej dym.

– Zrozum wreszcie, że nie chciałam nikogo w to wtajemniczać. Nie powinnam była wspominać o nim dziadkowi. On oszalał. Naprawdę się ucieszył. Krzyczał, wrzeszczał. Mówił, że zna ludzi, że na pewno go znajdą, i wtedy doszło do wypadku. A potem już do tego nie wracałam.

– Kiedy to było?

Erhard zaczyna coś przeczuwać. Spogląda na ulicę, pijaczyna spadł z leżaka, wydaje jakieś dźwięki.

– Dziadek zadzwonił w sylwestra, żeby mi życzyć szczęśliwego Nowego Roku i takie tam. Byłam pijana i zmęczona i palnęłam coś o dzieciaku. A on oszalał, kompletnie odleciał.

Gdzieś z głębi ulicy dochodzi jakieś hałas. Zza rogu wyłania się radiowóz, zbliża się do nich. Jedzie powoli. Policjanci są zajęci pijaczną, który zdążył już wstać. Wszedł na murek i odlewa się do wiadra. Jeden z policjantów wyciąga rękę i daje mu znaki, żeby zszedł. Erhard naciąga mocniej czapkę na głowę.

– Więc nie masz pojęcia, co się stało z Hollisenem? Ani z twoim synem?

Dziewczyna kręci głową, wypala papierosa do końca, do samego filtra, kładzie rękę na brzuchu.

– Znasz kogoś, kto ma na imię Rick?

Patrzy na niego ciemnymi oczami. Kręci głową.

Erhard zastanawia się, czy nie powiedzieć jej wszystkiego. Właśnie teraz. O chłopcu w pudełku, o jego zasuszonych oczach i poranionych paluszkach. Ale jej jest wszystko jedno. Żyje swoją złością, to wszystko, co w tej chwili czuje. Gdyby była na prochach albo gdyby była upośledzona, miałaby jakieś wytłumaczenie. A tak jest po prostu żałosna.

– Jeśli go znajdziesz, powiedz, że wisi mi kasę. Nie pojmuję, dlaczego go szukasz. Chyba że ciebie też oszukał.

– W tym momencie ten człowiek wydaje mi się świętym – mówi Erhard. Nie może się powstrzymać.

Dziewczyna otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale Erhard odwraca się do niej plecami. Radiowóz jest coraz bliżej, jeden z policjantów wygląda przez otwarte okno. Erhard naciąga daszek na twarz i spokojnie skręca za róg. Słyszy, jak ktoś mówi Stop, ale wie, że policjanci już go nie widzą. Zaczyna biec, kieruje się w stronę zaułka, którym przyszedł. Po chwili wtapia się w tłum zmierzający na brzeg morza, żeby zobaczyć, jak posąg Carmen zostaje spuszczonej na tratwie na wodę. Pochyla głowę, kuli się, żeby wydać się niższym, i podąża za liczną rodziną z dużymi dziećmi, które bez przerwy robią zdjęcia swoim znajomym. Przepraszam, przepraszam, mówi cicho do wszystkich, na których wpada. Zatrzymuje się na widok dwóch blondynek z dzieckiem w składanym wózku, robi przez niego krok i rusza dalej.

– Eremita – słyszy nagle za sobą. – Tam jest Eremita.

Ktoś woła: gdzie, gdzie. Erhard zerka przez ramię, ma wrażenie, że widzi Charlesa idącego o kulach w jego stronę.

Przepycha się przez tłum ludzkich ciał, widzi ich twarze, jakby rozpięte między owalnymi ramkami. Ludzka fala przelewa się przez niego, ręce, nogi, kwiaty, odpychają go, zalewają go, obracają nim. Nie wie już ani skąd przyszedł, ani dokąd zmierza. Morze i życie, ludzie, ciągła energia, bezlitosna, czy można odejść na bok i dostać jeszcze jedną szansę na udane życie?

Skonsternowany nagle skręca w wąską uliczkę prowadzącą do miasta. Stoi chwilę i próbuje uspokoić oddech. Najłatwiej byłoby, gdyby się teraz poddał, pozwolił porwać ludzkiemu strumieniowi, popłynął z nim na wybrzeże, do łodzi, na morze. Gdyby fala uniosła go ze sobą. Zwykle właśnie to robił. Takim go stworzono. Przez dwa miesiące wstrzymywał oddech – i przetrwał. Pokonał wszystkie przeciwności losu. Za każdym razem kiedy pojawiał się jakiś problem, radził sobie z nim.

Lucifia odpłynie bez niego. Nie podda się. Musi złapać mordercę dziecka, Palabrasa, tego łotra i przestępcę. Chyba że Palabras zabierze go ze sobą na dno. Wie, kto może mu pomóc rozwikłać wątki tej historii, zmusić policję, żeby go wysłuchała i obroniła przez Palabrasem. Tylko jeden człowiek wie, co się stało z Hollisenem i jaką rolę odegrał w tym Palabras. Juan Pascual. Erhard rusza w górę, do miasta, oddala się od brzegu. Ale najpierw musi zrobić coś ze sobą.

## 73

Kiedy dociera do zakładu fryzjerskiego, Petra zamiata podłogę.

– Przykro mi, skarbie, ale już zamknęliśmy. Święta Carmen czeka.

– Może poczekać pięć minut dłużej.

Petra odstawia szczotkę i przygląda mu się.

– Co ci się stało? Cuchniesz, jakbyś mieszkał na ulicy, ubranie na tobie wisi i... i ta czapka.

– Wiem, wszystko wiem. Proszę, pomóż mi. To ci zajmie pięć minut.

– A kto powiedział, że chcę ci pomóc? Że mogę ci pomóc?

– Wiem, że możesz. Zrób po prostu to co zwykle.

Petra wyjmuje fryzjerską pelerynkę i sięga po nożyczki.

– Co się stało?

– Weź maszynkę do golenia. Chciałbym, żebyś mnie ostrzygła na krótko – mówi Erhard i zdejmuje czapkę z daszkiem.

– Nie strzygę na krótko mężczyzn po sześćdziesiątce. Będziesz wyglądał jak ogolony na łyso Polak.

– Dobrze, ale taki najprzystojniejszy z tych, których spotkałaś – mówi Erhard i sadowi się w fotelu.

Petra patrzy na niego w lustrze.

– Ale tylko ten jeden jedyny raz – zastrzega. – Jeśli zamierzasz zmienić fryzurę, idź do Husseina. On cię ostrzyże tak, jak będziesz chciał. Za pięć euro.

Erhard patrzy na nią. Petra zaczyna go strzyc.

Zaczyna od środka karku, tam skóra jest najwrażliwsza i maszynka najbardziej łaskocze. Kosmyki siwych włosów spadają na podłogę. Strzyże z góry do dołu, potem znów od karku w górę. Od lewej do prawej i dokładnie wokół uszu, ale nie jest zachwycona. Bierze suszarkę, zdmuchuje drobne kosmyki włosów z jego ramion. Erhard sięga do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne, wyjmując przyciemnione szkła, okulary wyglądają teraz jak zwykłe okulary optyczne.

Petra cofa się, jest przestraszona.

– Wyglądasz jak ten agent z Trzech dni kondora.

– Robert Redford?

– Nie, Max von Sydow, ten łajdak.

– Najważniejsze, żebym nie był podobny do siebie.

– Wcale nie wyglądałeś tak najgorzej. Powiedz mi, w co ty się dałeś wciągnąć. To ma coś wspólnego z tym chłopcem, którego znaleziono na plaży?

– Nie – zaprzecza Erhard.

– Od początku mówiłam, żebyś się w to nie angażował. Nie jesteś policjantem.

– Dzięki za pomoc. Będę ci za to winien – mówi Erhard i szybko rusza do drzwi. Czuje, że swędzi go kark.

– Nic nie chcę za taką fryzurę na Polaka. Gdyby ktoś cię pytał, to nie przyznawaj się, że ja cię strzygłam. Dokąd się teraz wybierasz?

– Do pralni.

W pralni panuje cisza, od kilku godzin nikt nie nastawiał prania. Erhard podchodzi do sześciu dużych pralek i zaczyna je po kolei otwierać. Z czwartej wypadają ubrania. Głównie bielizna. Szósta wydaje mu się bardziej odpowiednia: T-shirty, podkoszulki, skarpety. Szybko wszystko przegląda i wybiera zielony T-shirt z napisem Viva La Evolución. Resztę wrzuca z powrotem do pralki, przebiera się i wychodzi na ulicę odmieniony. Przegląda

się w oknie wystawowym i stwierdza, że wcale nie wygląda na swoje prawie siedemdziesiąt lat: krótko ostrzyżona głowa, czapka z daszkiem, okulary i kolorowy T-shirt. Zmienił się, i o to właśnie mu chodziło. Wygląda jak turysta. Może nawet jak amerykański turysta. Prawdopodobnie mógłby teraz przejść obok Charlesa, może nawet obok Emanuela Palabrasa, i żaden by go nie rozpoznał. Oddycha z ulgą, czuje się dziwnie podniecony.

Numer piętnaście to niski, długi dwupiętrowy budynek. Każde mieszkanie ma własny niewielki taras albo balkon z widokiem na zatokę i wiatraki. Powietrze jest ciepłe, ale od wody ciągnie wilgoć, która w zderzeniu ze skałami zamienia się w kurz. Gdzieś krzyczą mewy, poza tym jest cicho i pusto. Wszyscy są w mieście.

Tłumaczy sobie, że ma dużo czasu. Że przecież Juan Pascual wcześniej czy później musi wrócić do domu, zmęczony uroczystościami, z dziewczyną pod ręką, z jedną albo i dwiema. Nagle przypomina sobie, że przecież Juan jest marynarzem, sternikiem, więc może żeglujecie gdzieś po morzach i wróci do domu dopiero za kilka tygodni. Podchodzi do dużych drzwi, pod numerem piętnaście jest przyklejona kartka z szeregiem nazwisk. Na samym dole odnajduje nazwisko Pascual. Czy to znaczy, że mieszka w ostatnim mieszkaniu? Od góry czy od dołu?

Podnosi głowę, patrzy na niemal dwumetrowej wysokości mur, sięgający ostatniego mieszkania na dole. Drzwi na taras są zamknięte, na czerwonych kafelkach stoi stół i trzy krzesła z kutego żelaza. Pod ścianą leży duża kość z resztkami suchego już mięsa. Akurat dla średniej wielkości psa. Jeśli Juan Pascual mieszka sam, to nie ma psa. Gdyby mieszkał z kimś, na kartce wypisane byłyby dwa nazwiska. Erhard zerka na balkon na pierwszym piętrze. Drzwi są lekko uchylone, w oknie trzepocze firanka, wystaje zza drzwi jak język. Erhard staje nieco dalej, między drzewami, wchodzi na małą skrzynkę, którą znajduje pod murem otaczającym cały budynek i oddzielającym od siebie poszczególne mieszkania. Na wielu tarasach i balkonach wiszą ręczniki, na stolikach stoją



rośliny, gdzieś tam są też duże parasole, ale nie na tym tarasie. Ten wygląda na nieużywany. Mieszka tam człowiek, który nie chce wyglądać na morze i nie lubi siedzieć na słońcu. Marynarz.

Stojąc na murze, prawie można dosięgnąć do balkonu piętro wyżej. Erhard jest pewien, że dałby radę chwycić się balustrady. Najpierw jednak musi wejść na mur i przejść po nim jakieś siedem, osiem metrów. Mur jest dość wąski i dobrze widoczny nie tylko ze wszystkich mieszkań, ale i z ulicy. Jeśli spadnie, to nie będzie to upadek z wysoka, ale jego kolano może ucierpieć. Niewykluczone, że nie będzie w stanie się podnieść.

Chwyta się gałęzi i próbuje przejść ze skrzyni na mur, chwieje się, próbuje odzyskać równowagę. Z daleka wszystko wygląda prosto, to zwykły ceglany mur, ma około dwudziestu pięciu centymetrów szerokości, jest otynkowany, pomalowany. Ale kiedy na nim staje, nagle czuje się dziwnie bezbronny. Jak niedźwiedzie na strzelnicy w Tivoli w dawnych czasach. Strzelał do nich, za każdym razem kiedy trafił, na ich brzuchach zapalało się czerwone światło, a dziewczyny śmiały się głośno. Nagle czuje powiew wiatru, dość mocny. Powierzchnia murku jest gładka, lekko obła, idzie ostrożnie, stawia kolejne kroki, noga za nogą, dociera do środka. Obok niego przelatuje mewa. Miasto wiwatuje, głosy odbijają się echem od ścian domów. Nie ma odwagi się odwrócić, do ściany brakuje mu jeszcze jakichś czterech, pięciu metrów. Posuwa się powoli, poci się. Znow się chwieje, musi się zatrzymać, skupić, zapomnieć, gdzie jest, chwycić się stopami muru jak pazurami. Jak kruk. Zaczyna się posuwać bokiem i po chwili dotyka ściany. Nad nim jest balkon. Wcześniej nie zastanawiał się, jak się dostanie na górę, ale teraz, kiedy stoi obok niego, wie, że jest tylko jeden sposób, i nie jest pewien, czy mu się uda, czy da radę. Musi się podciągnąć na rękach i stanąć na balkonie. Chwyta się górnej krawędzi balustrady.

Dochodzi go głośna muzyka. Rytm samby, flet, bębny. Dwa piętra niżej otwierają się drzwi, jakiś chłopiec, ośmio-, może dziesięcioletni, wychodzi na balkon. Je herbatniki. Bierze jednego i obgryza go dookoła, aż przypomina

gwiazdę. Z głębi mieszkania dochodzą wzburzone kobiece głosy, żaden jednak nie zwraca uwagi chłopcu, nie każe mu wejść do środka. Erhard stoi nieruchomo, nie chce zwracać na siebie uwagi. Po chwili widzi, jak chłopiec przestaje się wpatrywać w herbatnik, przenosi wzrok na ciemną plamę na ścianie, dostrzega go, chociaż nie bardzo rozumie, co się dzieje. Erhard usiłuje przełożyć jedną nogę przez balustradę. Ale nie udaje mu się, balustrada jest za wysoka, a jego nogi nie dość elastyczne, musi bardziej się wychylić, w nadziei, że starczy mu sił w rękach, żeby się podciągnąć do góry.

– Mamo – mówi głośno chłopiec.

Erhard nie patrzy na niego, jest zajęty czym innym.

– Mamo?

Desperacko wyrzuca nogi w bok, unosi jedną tak, żeby dotknąć stopą krawędzi balkonu. I znów mu się nie udaje, uderza biodrami o ścianę.

Matka odpowiada coś chłopcu, Erhard nie słyszy, co mówi, słyszy tylko, że chłopiec znów ją woła:

– Mamo, chodź, zobacz.

Próbuje jeszcze raz. Unosi do góry lewą nogę, udaje mu się wcisnąć but między posadzkę a dolną krawędź metalowej balustrady. Podciąga się na rękach, przesuwając rękę w stronę narożnika i stawia na balkonie drugą stopę. Jeszcze chwila i staje na krawędzi balkonu. Czuje, jak trzeszczą mu wszystkie kości. Nie przywykł do takiego wysiłku.

Chłopiec znów woła matkę, wchodzi do domu, żeby jej poszukać.

Erhard przechodzi przez balustradę, dotyka drzwi od balkonu, są uchylone, wchodzi. Do mieszkania.

## 74

Nadal nie jest pewien, czy jest w mieszkaniu człowieka, którego szuka. Nie wie, czego może się spodziewać. Starych map morskich na ścianach, butelek ze

statkami na półkach, popielniczek wypełnionych monetami z różnych krajów, planu rejsów na drzwiach lodówki. Czy po prostu zmęczonego marynarza chrapiącego na kanapie.

Mieszkanie przypomina poczekalnię. Na podłodze leżą porozrzucane części garderoby, kasety z kolorowymi gramami komputerowymi i ręcznik ze zdjęciem drużyny Real Madryt z 2009 roku, papierki po słodyczach. Jest niemal pewien, że czarno-białe fotografie na ścianie w pokoju wisiały tam, jeszcze zanim Juan Pascual się wprowadził. Pokój jest połączony z kuchnią. Siedząc przy kuchennym stole, ma się widok na zatokę. Kuchenne szafki są puste, to znaczy są w nich jednorazowe talerze, papierowe kubki, plastikowe sztucce, jedzenie w kartonach, wino w kartonach, sól w kartoniku, i tak dalej. Jak długo Juan tu mieszka? Na tyle długo, że figuruje w książce telefonicznej. Cztery, może pięć lat. A mimo to można odnieść wrażenie, że cały czas na coś czeka, na coś, co odmieni jego życie. Może jest narkomanem. Erhard widywał mieszkania ćpunów, ludzi uzależnionych od heroiny. Sprawiały przykre wrażenie. Były brudne, odrażające, smutne. To też sprawia przykre wrażenie, ale inaczej. Wyczuwa się w nim jakąś desperację. Jakby mieszkał tu człowiek bez korzeni.

Otwiera kilka szuflad i jedyną szafę, ale nic nie znajduje. Żadnych papierów. Żadnych listów, rachunków telefonicznych. Nic, co mogłoby potwierdzić, że mieszka tu Juan Pascual. Otwiera lodówkę, bierze butelkę piwa. San Miguel. Musi jakoś spędzić czas. Siada na krześle naprzeciwko drzwi i czeka, aż ktoś się zjawi.

Piwo okazuje się słabe i pozbawione smaku, ale i tak jest dla niego za mocne. Przeżycia dwóch ostatnich dni przelatują mu przed oczami jak w kalejdoskopie. Siedzi wpatrzony w drzwi, mruga, znów się w nie wpatruje, znów mruga, zamyka oczy. Wkłada palec do szyjki butelki, jakby chciał dotrzeć w głąb ciemności. Gdzie wszystko jest słodkie i prostsze. Widzi przed sobą stolik z białym obrusem, stoi na nim świecznik. Kelner nakrywa dla dwóch osób. Nalewa białego wina z karafki. W tym groteskowym śnie cały czas ma świadomość, że to sen ma przewagę nad rzeczywistością. Białe wino przepływa

przez kieliszek, wpływa pod język, spływa do jelita cienkiego, obmywa śluzówkę żołądka, wszystko drży, rośnie, ciało pachnie słodko, pęcznieje.

Wstaje. Kręci mu się w głowie.

Jego pęcherz stracił cierpliwość. Buntuje się, kiedy tylko do jego organizmu dostaje się ciecz. Erhard idzie szybko do łazienki i wtedy zauważa, że padające z balkonu światło się zmieniło. Spał dłużej niż dziesięć minut, jak mu się wydawało. Może nawet godzinę. Albo jeszcze dłużej. Szybko rozpiną spodnie, oddaje mocz. Jest ciepły i prawie zielony. Ale może to wina światła. W łazience unosi się dziwnie stęchła woń, przypomina woń kozich odchodów w Majanicho.

Otwiera szafkę nad umywalką. Juanowi Pascualowi najwyraźniej dokucza żołądek. W szafce są trzy, może nawet cztery opakowania frotasecu i kilka buteleczek pepto-bismolu. Jest też kilka plastikowych opakowań po jakichś tabletkach. Na receptach są wypisane różne nazwiska, ale nazwiska Juana na nich nie ma. Clomipramina. Nazwa nic Erhardowi nie mówi, a na recepcie nie napisano, na co to lek. Na najniższej półce leży komórka. Mała, w kolorze kobaltowego błękitu, z czarnymi guzikami. Jest wyłączona. Popularna marka. Nokia. Taką samą miała Beatriz. I niewielkie pudełeczko z przezroczystymi gumkami.

Erhard zapina spodnie. Myje ręce. Zerka na stojące pod umywalką wiadro. Właściwie nie jest to wiadro, tylko karton wyłożony foliową torbą. Na wierzchu jest warstwa papieru toaletowego i kawałki niemal przezroczystej taśmy klejącej. Bierze karton, unosi papier. Dopiero po kilku sekundach dociera do niego, co jest pod nim. Cienkie paski twardego plastiku. Takie, jakich zamiast sznurka używa się do pakowania paczek. Mimowolnie chwytą się za gardło. Pod kolejną warstwą papieru znajduje okulary przeciwsłoneczne wymazane czymś, co przypomina brązową farbę. To stąd ta przykra woń.

Nagle słyszy, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Szybko gasi światło, zostaje w ciemności, przez otwarte drzwi wpada cienka smuga światła.

Juan Pascual zgolił brodę i wygląda normalnie, niemal sympatycznie. Ale Erhard nie ma wątpliwości, że to on zaatakował go w mieszkaniu Raúla. Od tamtej pory wiele się wydarzyło, nie miał czasu się zastanawiać, co tak naprawdę się wtedy stało, teraz stara się sobie przypomnieć, gdzie go widział wcześniej. W porcie, w tylnym lusterku taksówki czy może w Greenbay Jazzbar, tej nocy, kiedy Alina poszła do hotelu z chłopcami z zespołu.

Juan się spieszy. Wpada do pokoju. Erhard słyszy, że z kimś rozmawia. W pierwszej chwili sądzi, że ktoś czeka na niego na klatce, ale szybko orientuje się, że Juan rozmawia przez komórkę. Odpowiada na pytania, przedstawia argumenty, tłumaczy. Mówi bardzo głośno. Byłem wszędzie, mówi. Lepiej skupmy się na zadaniu. Obiecałem, że... Nie. Ona jest w Arrecife. Wczoraj. Przecież właśnie to robię. Nie musimy... To trudne, kiedy miasto... Nie. Na pewno nie. Nie mógłby. Nie. Nie narzekam. Nie narzekam. Mówię tylko, że... Mówię, że... Dlaczego tam? Wolałbym się spotkać w mieście. Może jutro? Skończę tutaj i...

Milczenie.

Nagle rozlega się trzask rozbijanego szkła. Butelki. Erhard zostawił ją na oparciu krzesła. Mężczyzna, Juan Pascual, nie zauważył jej, nie zastanawiał się, skąd się tam wzięła. A teraz się rozbiła, uderzyła o ścianę, może o podłogę.

Za kilka sekund Juan wpadnie do łazienki, żeby się odlać albo wziąć jakieś pigułki. Erhard przywiera do ściany, próbuje unieść nogę, żeby, jak tylko Juan pokaże się w drzwiach, pchnąć mu ją w twarz. Słyszy, jak Juan szarpie drzwi lodówki, po chwili otwiera puszkę. Kroki są coraz bliżej. Światło w szparze zmienia się na brązowe, Erhard unosi nogę nad klamkę, gotów kopnąć w drzwi jak osioł. Zamierza zmiażdżyć mu głowę.

Po chwili w szparze znów pojawia się światło, ktoś gwałtownie otwiera drzwi na klatkę, uderzają o ścianę i zaraz potem się zamykają, słychać kliknięcie zamka. Erhard stoi jak sparaliżowany, zastanawia się, co robić. Cały czas miał

nadzieję, że będzie mógł porozmawiać z Juanem, że usiądą naprzeciwko siebie i będzie mógł mu zadać kilka pytań o tę noc, kiedy wszedł na pokład Seascope Hestia, wypyta go o porwanie, o fałszywego Chrisa Jonesa. Ale Juan Pascual, czy jak tam się nazywa, wyszedł, pewnie na dłużej niż kilka godzin. Erhard czuje się bezradny.

Nagle widzi przed sobą jego twarz. W kawiarni.

Tego przedpołudnia, kiedy Bernal i dwaj jego koledzy weszli i poprosili, żeby poszedł z nimi na Zamek i pomógł im odczytać, co jest napisane na skrawkach duńskich gazet. Siedział w głębi lokalu, wyglądał na skacowanego albo po prostu cholernie zmęczonego, ale to był on. Pesce. Tak mówił o nim Raúl. Pili razem piwo, Raúl go lubił. Pesce wiedział, gdzie są najlepsze łowiska, z zamkniętymi oczami mógłby płynąć na Lanzarote i z powrotem. Oczywiście. Co mówił Simao? Że Señor P znał te okolice lepiej niż ktokolwiek inny.

Wychodzi z łazienki, idzie przez pokój, drzwi na balkon nadal są uchylone. Przepycha się przez nie, wychodzi, przerzuca nogi przez balustradę, ostrożnie spuszcza się w dół, wisi chwilę, trzymając się krawędzi balustrady, a potem puszcza. Spada, ale do ziemi nie ma nawet metra. Spada na kolana, słyszy, jak coś w nich trzeszczy, nie ma czasu się tym przejmować. Dosuwa metalowe krzesło do muru, wchodzi na nie i przedostaje się na drugą stronę. Drzewo za murem jest pochylone, jego jasnozielona korona zasłania parking, ale Erhard widzi, jak Juan przejeżdża tuż obok niego granatową furgonetką. Z wypożyczalni.

Tam. Spytał: dlaczego Tam?

Zwykle Tam znaczy Las Dunas. Nie mówi się Tam, jeśli ma się na myśli Puerto czy inną miejscowość. Mówiąc Tam, ma się na myśli jakieś puste, odludne miejsce. Chyba że miał na myśli ścieżkę Alejandra. Wtedy Tam znaczyłoby, że zamierza jechać FV-1 albo FV-101. Obie drogi zaczynają się przy rondzie obok stacji benzynowej. Juan Pascual na pewno wybrałby Avenida Juan Carlos, żeby nie musieć jechać przez miasto. Erhard myśli o tym, że jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut uda mu się złapać taksówkę, może

pojechać na Carmen, a jeśli będzie miał jeszcze więcej szczęścia, dotrze do ronda równo z Juanem. Wtedy pojedzie za nim i spróbuje go zatrzymać. Może uda mu się zobaczyć osobę, z którą ma się spotkać, z którą prawdopodobnie rozmawiał w mieszkaniu. Może to Charles, a może sam Palabras.

Przyspiesza. Idzie Calle Galicia, przecina ją, żeby dojść do Calle Pizarro, boli go całe ciało. Jest już wieczór, muzyka wokół niego gra coraz głośniej. W pobliżu nie ma żadnej taksówki, mijają go tylko przeładowane skutery. Musi dotrzeć do postoju. Zaczyna żałować, że nie zaopatrzył się w jakieś leki z szafki Juana. Ulica skręca, mijają go samochody pełne młodych mężczyzn i kobiet, w rękach trzymają flagi, wystawiają je przez otwarte okna, hałasują. Naciąga czapkę na czoło, próbuje przyspieszyć, stara się pamiętać, że nie wolno mu okazywać zdenerwowania.

Na rogu General García spogląda w lewo, na postojach jest tylko jedna taksówka. Za kierownicą siedzi Ponduel, leniwy Ponduel w swoim ukochanym lexusie. Niech to szlag. Nie ma czasu szukać kogoś innego. Podchodzi bliżej, niemal rzuca się na siedzenie. Ponduel ma przed sobą mały ekran, na którym ogląda wiadomości sportowe. Odkłada go między siedzenia, patrzy na niego chłodno.

- Na stadion, natychmiast.
- Nie jeżdżę ze zdrajcami.
- Zamknij się i jedź.

Erhard ledwo mówi, wyciąga kilka banknotów, macha nimi Ponduelowi przed nosem.

– Niby dlaczego miałbym? – pyta Ponduel, ale wrzuca kierunkowskaz i wyjeżdża z postoju na General García.

- Dostaniesz dwieście euro, jeśli wciśniesz gaz do dechy.

Ponduel zerka na Erharda, skręca za rogiem, omija korek, który utworzył się za restauracją Le Provençal.

- Co ty knujesz, Eremito? Słyszałem, że cię zwinęli.
- A potem puścili.

– Po co ten pośpiech? Nie chcę dostać mandatu.

– Jedź, zachowuj się jak taksówkarz.

Ponduel przyspiesza, wąskimi uliczkami jedzie szybciej, niż Erhard kiedykolwiek by się odważył. Nie jest zbyt sprytny, ale Erhard słyszał, że jeździ całkiem dobrze. Poza tym lexus rozwija większą prędkość niż furgonetka.

– Jak wygląda sytuacja na Juan Carlos?

– W porządku.

– Możesz poprosić, żeby ktoś się zatrzymał przy Zardzewiałej Igle?

Zardzewiała Iгла to rzeźba stojącej na pierwszym rondzie, do którego dotrze Juan.

– Co takiego?

– Poproś kogoś, żeby zaparkował na rondzie.

– Dlaczego?

Erhard wciska guzik radia i mówi głośno:

– Tu 28, do wszystkich wozów w okolicy C11, czy któryś z was może zaparkować na rondzie? Mamy C i C na południe od Juan Carlos.

C i C to niezapłacony kurs. Albo ktoś, kto uciekł z miejsca wypadku. Dla taksówkarzy to jedno z najgorszych przestępstw.

Ponduel odpycha Erharda od mikrofonu.

– Co ty wyprawiasz? Przeszedłeś do obozu wroga, nie możesz...

– Przykro mi, ale to ważne, muszę go złapać.

– Co z twoim wozem, facet ci go roztrzaskał? C i C?

– Nie, C i C wymyśliłem z potrzeby chwili. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Później ci wszystko wytłumaczę – mówi Erhard i wyjmuje dwieście pięćdziesiąt euro. – Masz. Jedź przed siebie i wyrzuć mnie przy stadionie. I nie mów nikomu, że mnie wiozłeś.

Wie, że dla Ponduela będzie to trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe, ale musi spróbować.

Ponduel bierze pieniądze.



– Masz coś nie tak z głową – mówi, ale wciska pedał gazu. Jedzie teraz sto sześćdziesiąt na godzinę, ludzie odskakują przestraszeni, kiedy ich mija. Gdyby ktoś wyszedł mu przed maskę, nie miałby szans nie tylko zahamować, ale nawet zatrzeć.

Skręcają w Carabela, mijają baseny Fuentepark.

– 17 zgłasza awarię silnika. Jestem przy Zardzewiałej Igle. Przypuszczam, że zajmie mi to cztery do pięciu minut – z głośnika dobiega głos Sebastiana.

– Szybko zareagował – mówi Ponduel i ledwie powstrzymuje uśmiech. Tak naprawdę kocha takie sytuacje, łamanie przepisów, działania niezgodne z prawem, chwile, kiedy może pokazać systemowi środkowy palec.

Sebastiano rzeczywiście zareagował szybko, ale Erhard nie jest pewien, czy wystarczająco szybko. Jeśli ruch na Juan Carlos jest taki jak zwykle o tej porze, to Juan Pascual już dawno jest albo na FV-1, albo na FV-101.

– 17 do 28, na rondzie jest kilka samochodów, jak wygląda twój C i C?

Ponduel patrzy na Erharda, wciska guzik i pozwala mu mówić.

– Niebieska furgonetka, seat, wynajęta.

Radio trzeszczy.

– Tu 17, właśnie mnie minęła. Zjechała z ronda.

– Cholera – klnie Erhard, guzik jest wciśnięty.

– Jorgenson, to ty? – pyta Sebastiano.

– Tak, to ja – Erhard zerka na Ponduela. Ponduel, poirytowany, unosi brew.

Dojeżdżają do ronda. Tuż przed wjazdem na nie Erhard zauważa granatową furgonetkę, jakieś sto metrów dalej, na FV-101. Nic nie mówi, tylko wskazuje ją palcem.

– To on? – Ponduel ścina krawężniki na rondzie i jedzie dalej prosto, zajeżdża drogę samochodowi z prawej strony i z dużą prędkością wjeżdża na FV-101. Trzy samochody dzielą ich od furgonetki. – Co teraz? – krzyczy.

– Jedź za nim – odpowiada Erhard. – Tylko bez agresji, najlepiej będzie, jeśli nas nie zauważą.

Furgonetka i pozostałe samochody jadą z równą prędkością, jakieś sto kilometrów na godzinę. Nie zwalniają nawet kiedy mijają Geafond. Ponduel wyłączył radio, wzdycha, jakby nagle zaczął żałować.

– Długo jeszcze będziemy jechać? O dwudziestej pierwszej trzydzieści muszę być z powrotem.

– Jeszcze kawałek, to nie potrwa długo – mówi Erhard, chociaż tak naprawdę nie ma pojęcia, czy tak będzie.

Juan Pascual powiedział Tam. Nie: tam na południe, jak się czasem mawia, ani tam na zachód, tylko po prostu Tam. Nie prosił o dokładniejszy adres, niczego nie zapisywał, więc musiało chodzić o miejsce, które znał. Tam.

Erhard zdejmuje czapkę, ściera pot z głowy. Ponduel patrzy na jego nową fryzurę, ale nic nie mówi.

Na południe od Corralejo i na wschód od Majanicho krajobrazy są płaskie, to najbardziej surowe tereny na wyspie. Rolnicy podzielili je bezsensownymi wygradzeniami z kamieni na niewielkie krzywe czworokąty. Wiatr muska blade, szare kamienie i zaschłe grudki ziemi, nabiera rozpędu dopiero przy Montaña Colorada, kilka kilometrów dalej na zachód. Wyspa kończy się tam ostrym szpicem, jakby ktoś uniósł róg kołdry. Furgonetka skręca w prawo, do La Cappelania, pozostałe samochody jadą dalej prosto. Erhard nawet nie musi prosić Ponduela, żeby jechał za furgonetką. Ponduel zdejmuje nogę z gazu, trochę zwalnia, żeby zachować pewną odległość do furgonetki. La Cappelania to niewielka osada, raczej osiedle składające się z kilku domów z palmami i wspólnym basenem. Erhard spodziewa się, że furgonetka zatrzyma się przy jednym z domów, ale nie. Juan skręca przed końcem ulicy, potem skręca jeszcze raz, jedzie szutrową szosą i opuszcza osiedle. Taksówka zatrzymuje się, kiedy kończy się asfalt, Erhard i Ponduel patrzą za niebieską furgonetką zmierzającą w stronę Montaña Colorada.

– Myślisz, że nas zauważył? Że chce nas zgubić? – pyta Ponduel. Patrzy na Erharda, ale on nie potrafi mu odpowiedzieć.

– Zaczekajmy chwilę, zobaczymy, co zrobi.

Szutrowa droga wiję się przez równinę, a potem zaczyna się wspinać pod górę. Furgonetka niemal znika w oddali, widać tylko jej granatowy dach, który niczym latający dywan wznosi coraz wyżej i wyżej.

– Jedzie na drugą stronę góry – mówi Erhard. – Musimy jechać za nim.

Ponduel zerka na zegarek i wjeżdża na szutrową drogę.

## 76

Jadą za chmurą kurzu. Furgonetki nigdzie nie widać. Carmino Calderas to trudna, wąska droga, powstała z myślą o leniwych turystach. Wiję się u podnóża największego na wyspie krateru, Montaña Colorada, a potem prowadzi dalej, do Calderon Hondo i Lajares. Ponduel mamrocze coś o kamieniach uderzających w podwozie jego eleganckiego lexusa i włącza wycieraczki, żeby się pozbyć z przedniej szyby warstwy kurzu i pyłu. Plusem jest to, że Juan Pascual nie zobaczy, że za nim jadą.

Posuwają się do przodu powoli, ostrożnie. Kiedy furgonetka mija zabudowania u podnóża Montaña Colorada, Erhard jest coraz bardziej pewien, że Juan ich zauważył i wybrał taką drogę specjalnie, żeby ich zgubić. Inaczej po co tak bardzo komplikowałby sobie dojazd do Lajares? Chociaż równie dobrze może być w drodze do Cotillo. Pną się pod górę, wąska droga wiedzie między kraterem po prawej stronie i jeszcze bardziej stromym urwiskiem po lewej.

Nagle chmura kurzu znika.

Ponduel hamuje gwałtownie i zatrzymuje się.

Kurz opada, droga jest pusta. W oddali widzą kolorowe zabudowania Lajares.

– *Jodido* – rzuca Ponduel.

– Tam – mówi Erhard i pokazuje coś przez szybę. Jakieś sto metrów przed nimi stoi furgonetka, w niewielkiej kieszeni wykutej w skale. A przed nią, niemal niewidoczny na tle jasnobrązowej ziemi, wspina się do góry Juan.

– Po co on tam idzie? – pyta Erhard.

– Może lubi wulkany.

Tubylcy kochają swoje wulkany. W dzieciństwie rodzice zaciągali ich tu siłą, potem przychodzili z klasą, z wycieczkami ze szkoły niedzielnej, i za każdym razem kiedy w odwiedzinach przyjeżdżała rodzina z Hiszpanii, ze stałego lądu albo z pobliskich wysp. Calderon Hondo jest najpiękniejszy z nich wszystkich. Niemal idealnie okrągły, z czystą, ostrą krawędzią, tak ostrą, że dotykając jej, niemal można się skaleczyć. Jest mniejszy i rzadziej odwiedzany przez turystów niż Montaña Colorada, który co prawda jest największy, ale wygląda jak stary, lekko sflaczały kapelusz. Może Ponduel ma rację, mówiąc, że Juan Pascual lubi wulkany.

Erhard powstrzymuje się, chociaż ma ochotę dodać, że Calderon Hondo tak naprawdę nie jest wulkanem, tylko kraterem po meteorycie. To delikatny temat, który regularnie powraca. Kilka lat temu miejscowe biura turystyczne podzieliły się na dwa obozy: zwolenników wulkanu i zwolenników meteorytu. Erhard przystał do zwolenników meteorytu. Przekonało go dwutomowe dzieło belgijskiego naukowca Normana Zectay-Bidôta *Circle of Life* z 1972 roku. Przeczytał je dwa razy. Przed oczami ma tę scenę: dziesiątki tysięcy lat temu stukilogramowy meteoryt, niewiele większy od piłki plażowej, zderza się z wyspą. Z wybrzeża Afryki można zaobserwować wielką bańkę unoszącą się nad powierzchnią oceanu.

– Zostań tu – rzuca, otwiera drzwi i wysiada.

– Muszę wracać do żony, wybieramy się na uroczystości ku czci świętej Carmen – mówi Ponduel, ale bez przekonania.

Erhard nachyla się do okna.

– Zaczekaj dziesięć minut. Jeśli nie wrócę, jedź. Jedź i zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałeś.

Brzmi to dramatycznie, ale Ponduel wygląda, jakby zaraz miał zasnąć. Nagle Erhard coś sobie przypomina. Planował pożyczyć od Ponduela komórkę i zadzwonić do Solilli, powiedzieć jej o tym dziwnym urządzeniu, które ukrył w akwarium. Teraz jest już za późno. Patrzy na Ponduela:

– Jeszcze jedna ważna rzecz... – zaczyna. – Przekaż wiadomość Solilli, mieszka na Calle Reyes Católicos 46. Zostawiłem dla niej paczuszkę, w akwariu w Café Azura w Corralejo. To ważne.

– W akwariu? – powtarza Ponduel. – O czym ty, do diabła, mówisz?

Erhard sięga do kieszeni po banknoty.

– Jeśli nie wrócę, są twoje – mówi i rzuca je na siedzenie. – Tylko proszę, przekaz Solilli wiadomość.

Ponduel bierze pieniądze, nic nie mówi.

Erhard powtarza adres Solilli i nazwę kawiarni i rusza pod górę, w tym samym kierunku, w którym poszedł Juan Pascual.

Jest przekonany, że Ponduel włączy silnik i od razu odjedzie. Nasłuchuje chwilę, ale nic takiego się nie dzieje. Kiedy dociera do krawędzi krateru, widzi, że samochód nadal czeka na dole, biały lexus z góry wygląda jak paznokciec. Podchodzi bliżej do krawędzi krateru, próbuje zajrzeć do środka, klęka, schyla się, niemal do granicy bólu. Nigdy nie służył w wojsku, w młodości odmówił pełnienia służby wojskowej. Teraz żałuje. Nie wie, jak iść, żeby nikt go nie usłyszał ani nie zobaczył. Przesuwa się trochę w lewo, żeby nie było go widać ze ścieżki.

Juan Pascual zniknął.

Erhard jest już przy samej krawędzi, kuca, zagląda do wielkiej czaszy, ostra powierzchnia w beżowe, niekiedy też czarne plamy, zdeptana przez tysiące turystów, ale nadal niewinna i magiczna jak tego dnia, kiedy uderzył tu meteoryt. Zectay-Bidôt pisał, że formacje skalne w Calderon Hondo są inne niż te w sąsiednich kraterach. Wygląda jak wnętrze mózdzierza. Tu, z góry, widać to wyraźnie. Nie ma większych kawałków skał, tu i ówdzie widać natomiast cienkie strużki czegoś zielonego. Po drugiej stronie krateru spaceruje koza, skubie coś niespokojnie.

Erhard nie rozumie, jak Juan Pascaul mógł zniknąć w takim miejscu, na samej krawędzi. Ale naprawdę go nie ma. Czary. Siada, wodzi wzrokiem wzdłuż

krawędzi, bada każdy cień, każdy kształt. Nie zauważa jednak niczego na tyle dużego, żeby mógł się za tym ukryć człowiek. Może Juan wskoczył do jakiegoś zagłębienia i przykrył się trawą i żwirem. Erhard skupia się na najbliższej okolicy, znów bada wzrokiem każdy metr kwadratowy. Z wysiłku zaczynają go boleć oczy. Ale nic nie widzi.

Nagle spostrzega, że koza ruszyła w jego stronę. Nie idzie prosto na niego, posuwa się zygzakiem, to podbiega kawałek, to przystaje, żeby po chwili znów zacząć biec. Jego własne kozy zastanawiały się kilka lat, zanim zdecydowały się do niego zbliżyć. Właściwie podchodziły do niego tylko kiedy słyszały, że przychodzi z jedzeniem.

Zbacza nieco na zachód. Idzie powoli, ze wzrokiem cały czas wbitym w krater. Zastanawia się, czego Juan Pascual mógł szukać w takim miejscu. Tu nic nie ma. Gdyby się tu z kimś spotkał, słyszałby to. Ale najwyraźniej jest tu tylko on i koza. A może jest tu jakiś ukryty szyb, przy którym na Juana czekał Emanuel Palabras czy z kim tam rozmawiał? Koza jest coraz bliżej, biegnie do niego. Dziwne. Ale może jest bardzo głodna albo po prostu towarzyska. Erhard ma wrażenie, że coś ją popycha w jego stronę, może podmuchy wiatru, ale wiatr prawie nie wieje.

Równie dobrze może zejść do samochodu.

Słyszysz głośne trąbienie. Ponduel wciska klakson, może żeby mu przypomnieć, że czas ucieka, a on chce wracać do domu, czekają na niego święta Carmen i rodzina. Po chwili trąbi drugi raz. Dlaczego?

Erhard podchodzi do krawędzi, odwraca się, zerka na kozę, która jest coraz bliżej, biegnie, chociaż utyka na jedną nogę. I nagle widzi za nią ciemną postać, ciemną sylwetkę na tle jasnożółtego nieba: wygląda, jakby sfruwała gdzieś z lewej strony krateru. Ponduel chyba położył się na klaksonie, dźwięk towarzyszy sylwetce do chwili, kiedy dziwna postać nagle wpada na Erharda. Erhard leci do tyłu, przewraca się, obaj spadają, turlają się po ścianie krateru. Erhard próbuje chronić głowę, odpycha się rękami od ściany, mężczyzna, zapewne Juan Pascual, próbuje go uderzyć, najpierw w szczękę, potem w żebra,

nawet kiedy obaj lecą w dół, nadal próbuje go bić. W końcu Erhard nieruchomieje. Leży obolały i zdezorientowany na ciepłym żwirze.

Juan Pascual leży na nim, poprawia coś na głowie, jakiś kabelek, który ma zamotany wokół ucha. Aparat słuchowy wielkości owada. Pewnie się poluzował, kiedy spadali. Mężczyzna wydaje się poirytowany.

Wreszcie udaje mu się poprawić aparat i uderza Erharda pięścią, nie knykciami, ale całą pięścią, która wygląda jak wielki supeł zawiązany na grubym sznurze. Pierwsze ciosy są bolesne, przecinają mu skórę na twarzy, do krwi, przecinają nerwy między żebrami. Następnym ciosów już nie czuje, słyszy jedynie ich głuchy odgłos.

– *Macho*, czemu sobie nie odpuścisz – mówi Juan Pascual i uderza Erharda w klatkę piersiową, z obu stron.

– Ja... ja to wszystko opowiedziałem. Dziennikarzowi – mówi Erhard.

Juan Pascual nachyla się, przykłada głowę do jego ust.

– Nie. Wiem, że siedziałeś w kiciu. Jak mnie znalazłeś? – Biję go w twarz, żeby oprzytomniał.

– Wiem wszystko. O porwaniu, o tobie. O zmarłym maszyniście. O dziecku.

– O dziecku? Chodzi ci o chłopca? Ja nic o nim nie wiem.

– Powiedz Palabrasowi... Wszystko wyjdzie na jaw... Wszystko.

– Palabrasa nie ma, a ty nie puścisz pary z gęby. – Oczy mężczyzny błyszczą dziwnie, jakby za długo stał przy ogniu.

– Jesteś chory – mówi Erhard. – Chory...

Przypomina sobie, jak Juan siedział w kawiarni rano kilka tygodni temu, siedział ze spuszczoną głową. Przypomina sobie też, co Raúl mówił mu o swoim przyjacielu Pesce. Że był w piekle, ale z niego wrócił. Wtedy pomyślał, że pewnie był na wojnie. Może na Bałkanach. W latach dziewięćdziesiątych wielu młodych Hiszpanów tam walczyło. Teraz jednak nie jest już tego pewien. Juan Pascual najwyraźniej jest chorym człowiekiem.

Widzi, jak jego spojrzenie nagle się zmienia. Niewiele, ale jednak. Szuka czegoś w kieszeni cienkiej wiatrówki. Szybkim ruchem zarzuca mu na szyję

plastikowy pasek, zaciąga go, Erhard czuje, jak wrzyna mu się w skórę. Za każdym razem kiedy mocniej się zaciska, słycać ciche kliknięcie. Erhard zdążył napełnić płuca powietrzem, ale teraz nie może go wypuścić.

Juan Pascual wstaje, nic nie mówi.

Okrągła krawędź krateru i sylwetka Juana Pascuala na tle ostatnich promieni słońca. Krawędź przypomina obrys monety odlanej z pyłu i chmur. Juan kopie. Buty mają twarde podeszwy i szpiczaste czuby. Erhard czuje każde uderzenie. Pewnie byłby w stanie przeżyć, gdyby każde kopnięcie równocześnie nie wybijało mu powietrza z płuc do góry, do szyi, tam się całe zatrzymuje. Czuje się jak napięta do granic możliwości bańka na chwilę przed pęknięciem.

Nagle Juan chwyta go w pasie.

– Niech La Policia też trochę popracuje. Drobnym wypadkiem twojej taksówki na pewno ich zajmie na jakiś czas.

Erhard nie czuje członków, ma wrażenie, że za chwilę straci przytomność, o ile już jej nie stracił. Juan wyciąga go z krateru, najpierw na krawędź, potem zaczyna go ciągnąć w dół zbocza. Jego stopy szorują po ziemi, słyszy je, ale ich nie czuje. Nie wie, co Juan zamierza. Taksówka. Czyżby nie wiedział, że w taksówce jest Ponduel? Nie słyszał, jak trąbił? Czy Ponduel zauważy, że Juan ciągnie go za sobą, i domyśli się, że coś jest nie tak? Czy Juan Pascual zamierza ich obu zabić?

Schodzą na ścieżkę, Juan przyspiesza. Teraz niesie Erharda, jakby był sklepowym manekinem, którego właśnie zamierza wyrzucić na śmietnik.

– Jesteś nędznym śmieciem – szepcze mu do ucha, niemal miłośnie.

Docierają do samochodu, rzuca go na ziemię.

– Zobaczmy, gdzie masz kluczyki... – maca jego kieszenie, ale nic w nich nie znajduje. Podchodzi do lexusa, drzwi są otwarte. Wsiada. Erhard zastanawia się, czy czegoś źle nie zrozumiał. Jego myśli rozpadają się na kawałki. Jego ciało jest w stanie wyjątkowym. Gdzie jest Ponduel?

Próbuje zaczerpnąć powietrza, udaje mu się, ale wciąż nie może normalnie oddychać. Czyżby Juan Pascual rozprawił się z Ponduelem, zanim wziął się za



niego? Juan włącza silnik, wyjeżdża na drogę. Zatrzymuje się i wysiada z samochodu. Przeciąga Erharda na miejsce kierowcy, stawia jego stopy na pedałach.

– O tak – mówi. – Teraz możesz ruszać. – Uruchamia automat i samochód zaczyna się toczyć. Erhard chce unieść głowę. Położyć ręce na kierownicy. Wcisnąć hamulec. Ale nie może. Nie może. Nic zrobić.

– *Buen viaje* – mówi Juan Pascual.

Erhard nasłuchuje. Spodziewa się, że usłyszy, jak trzaskają drzwi, ale nie. Po chwili dociera do niego dziwny dźwięk. Juan jęczy. Erhard słyszy głos:

– *Jodido* – mówi ktoś głośno.

Bum, bum. Coś dwa razy trafia w samochód. Samochód rusza w dół. Po żwirze.

Erhard rzuca ręce na kierownicę, ale nie jest w stanie ich na niej utrzymać. Ześlizgują się z nagrzanej skóry, opadają mu na kolana. Usiłuje podnieść głowę i z całej siły próbuje zaczerpnąć powietrza. Plastikowe paski trzymają mocno, każdy ruch głową sprawia mu ból. Samochód toczy się dalej. Coraz szybciej. Gdzieś górną gałki ocznej dostrzega coś jasnego, złocisty żwir drogi i kawałek fioletu, wieczorne niebo, jakby droga zniknęła gdzieś w górze. Chce krzyknąć, ale nie może. Wcisną nogą pedał, nie siłą mięśni, tylko całym ciężarem ciała, samochód przyspiesza, Erhard odchyła się w lewo, próbuje hamować. Lexus zwalnia, ale niewiele. Gdzieś z lewej rozlegają się kroki, ktoś biegnie obok samochodu, Juan Pascual chce być z nim do końca.

Podnosi głowę, widzi, że ścieżka skręca. Nie jest w stanie jechać nią dalej. Wstrzymuje oddech, chciałby zemdleć, żeby nie musieć nic czuć. Od przepaści dzieli go pięćdziesiąt, może sto metrów. Samochód znów nabiera prędkości. Teraz nie widzi już drogi, widzi tylko niebo.

Szyba zamienia się w krawędzie pudełka, zamykają się wokół niego. Coś migocze mu przed oczami. Chce wyskoczyć z pudełka, ale nie pozwala mu na to niewidzialna pokrywka.

I w tym momencie jakaś siła chwyta go za koszulę i wyciąga na zewnątrz, uderza głową o karoserię, jego ramię zostaje niemal wyrwane ze stawu, czuje ból, całym ciałem uderza o ziemię, głowa, kości, wszystko bezwładne. Czuje, że uszło z niego całe powietrze, cała energia gdzieś wyparowała. Samochód toczy się dalej, słyszy, jak dudni. Poddaje się. Nie może oddychać. Uszy się zamykają, zmysły gasną jak węgle.

## 77

– Nie dotrę do domu na dwudziestą pierwszą trzydzieści – mówi Ponduel. To pierwsze słowa, które docierają do Erharda.

Okazuje się, że to Ponduel wpompował w niego na powrót powietrze. Stoi teraz z kawałkiem plastikowego paska w jednej ręce i nożem w drugiej.

– Poważnie chory *maricón*. Co się dzieje, do cholery? Chciał cię zabić. Z powodu C i C?

Erhard zaczerpuje powietrza dużymi, niecierpliwymi haustami, czuje, że coś mu cieknie po skroni. Przykłada rękę do szyi w miejscu, gdzie była ściśnięta paskiem.

– Twój samochód – mówi.

– Będziesz mi coś winien, chory staruszk. A tych ośmiuset pięćdziesięciu euro, które mi dałeś, nigdy nie znajdziesz w tym złomie.

– Gdzie byłeś?

Ponduel zaczyna mu tłumaczyć. Opowiada, jak w pewnym momencie miał już dosyć czekania i postanowił odjechać, i wtedy nagle na krawędzi krateru zobaczył biegnącego Juana, który wyraźnie kierował się w stronę Erharda. Zatrąbił, żeby go ostrzec. Nie widział, co się dzieje, zaniepokoił się i postanowił pójść na górę, żeby to sprawdzić. Szybko stracił orientację, a kiedy w końcu dotarł na górę, zobaczył, jak ten świrnięty dupek ciągnie Erharda w stronę samochodów. Początkowo myślał, że będzie chciał go gdzieś wywieźć, więc

pobiegł, żeby zablokować drogę furgonetce, i wtedy zorientował się, że świra ciągnie go do jego lexusa. Zdenerwował się. Znalazł duży kamień i schował się za samochodem, zamierzał uderzyć nim dupka, ale kiedy do niego dotarł, samochód toczył się już w dół. Trafił świra w twarz, ale on tylko się odwrócił i zaatakował go jak wściekły byk. Dwa razy położył go na ziemi, aż w końcu Ponduelowi udało się zepchnąć go ze zbocza. Potem oczywiście pobiegł ratować samochód. To znaczy ratować jego, Erharda.

– Niewiele brakowało, a byłoby po tobie – mówi. – Rana na szyi ci krwawi. Musiałem włożyć pod ten plastik swój szwajcarski scyzoryk i przeciąć go. No i uderzyłem cię kilka razy w piersi, żeby uruchomić twoją pompę. *Lo siento*.

– Gdzie on jest?

– Tam, na górze. Wziąłem od niego kilka takich plastikowych pasków i skrępowałem mu nogi i ręce, więc nigdzie nie ucieknie. Chciałem zadzwonić po policję, ale komórkę zostawiłem w samochodzie. Ty też nie masz swojej.

– Widziałem, jak rozmawiał przez komórkę.

Erhard czuje, że może już oddychać i nie czuć bólu.

– Może jest w furgonetce. Nie sprawdziłem. Tu mam kluczyki.

Erhard leży chwilę spokojnie, potem podpira się na łokciu i patrzy na Ponduela.

– Nie chcę żadnej policji. Jeszcze nie – mówi cicho.

– Więc to nie jest żaden C i C.

Może Ponduel wcale nie jest taki głupi, jak sądził. Kręci głową. Ponduel rozkłada ręce, ale nic nie mówi.

Erhard próbuje stanąć na nogach. Ma wrażenie, że ciało ma w kawałkach, jakby ktoś próbował je pospiesznie skleić. Próbuje zrobić kilka kroków, ale nie jest w stanie.

– Wezmę furgonetkę – mówi Ponduel i rusza drogą.

Erhard nie widział, żeby kiedykolwiek chodził tak szybko. Stoi w milczeniu i patrzy za nim. Po kilku minutach na drodze pokazuje się niebieska furgonetka. Ponduel się zatrzymuje, wyskakuje i pomaga mu usiąść na miejscu pasażera.

Macha dużą czarną komórką, którą znalazł w wozie. Zawraca i podjeżdża jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Erhard widzi Juana, leży w rowie u stóp zbocza. Mimo że leży w dziwnej pozycji – z obiema rękami i jedną nogą skrepowanymi plastikowymi paskami – wydaje się przytomny.

– Co z nim zrobimy? – pyta Ponduel.

– Zabierzemy go ze sobą. Do Corralejo.

Ponduel znów wysiada. Wyciąga Juana z rowu i wpycha na tył furgonetki. Erhard go nie widzi, ale słyszy, jak jęczy i protestuje. Zjeżdżają z boczem wulkanu Calderon Hondo i wracają do miasta. Erhard opiera się w fotelu i czuje, że jego ciało cierpi. Przed nimi słońce znika za horyzontem.

Im bliżej miasta, tym bardziej Ponduel jest zirytowany. Nie wie, jak powiedzieć żonie, że samochód został zniszczony, nie wie, czy będzie w stanie coś w najbliższych dniach zarobić. Erhard mówi, że powinien to zgłosić na policję. Proponuje, żeby powiedział, że szalony Eremita wziął go jako zakładnika i ukradł mu samochód. Na pewno mu uwierzą.

Ponduel ma jednak wątpliwości. Jego żona na pewno wyczuje, że kłamie. *Majoreros* tak mają, to sięga dawnych czasów. Erhard stwierdza, że to kobiety tak mają, ale Ponduel tylko prycha. Mówi, że z ogoloną głową przypomina mu bezdomnego, jakiegoś cholernego żebraka.

Jadą do hotelu Olympus, wjeżdżają na nieskończony parking, Ponduel wysiada i zatrzaskuje drzwi furgonetki. Znika w ciemnościach. Pewnie poszedł jedną z wąskich uliczek na tyłach drogich willi na osiedle, na którym mieszka ze swoją młodą żoną. Erhard zostaje i nie wie, co ma robić, ani z samochodem, ani z Juanem Pascuałem. Słyszy, jak hałasuje z tyłu. Przewraca się z boku na bok i przeklina.

– *Oye*, jest tam ktoś?! – krzyczy.

Erhard uświadamia sobie, że Juan nie ma pojęcia, kto go obezwładnił i wrzucił do furgonetki. Role się odwróciły.

Dodaje gazu, silnik dudni. Przykłada do ust T-shirt i przekrzykuje hałas silnika, naśladuje głos Palabrasa:

– Krzycz, ile chcesz, przyjacielu, nikt cię tu nie usłyszy.

– Zrobiłem to, o co mnie prosiliście. Załatwiłem starucha, brakuje mi tylko kobiety, pozwólcie mi dokończyć. Muszę wziąć leki, niedługo poczuję się niedobrze.

Erhard się zastanawia.

– Nic nie dostaniesz, dopóki nie będziemy mieli pewności, że nie pójdziesz na policję.

– Przysięgam na najświętszą panienkę. Możecie mi ufać.

– A jeśli staruch z kimś rozmawiał... – zaczyna Erhard i znów wciska pedał gazu, tak, że niemal nie słychać, co mówi.

– Co takiego?

– A jeśli staruch coś komuś wypaplał?! – krzyczy Erhard głośniej.

Juan wyraźnie ma kłopoty ze słuchem, w tym zamieszaniu pewnie zgubił gdzieś aparat.

– Cały czas miałem go na oku.

– Ludzie cię widzieli, kretynie.

– Kto i gdzie mnie widział?

– A jak myślisz?

– Co?

– W mieszkaniu, tam, gdzie załatwiliście Beatrizę Colini. Widziała cię sąsiadka z domu naprzeciwko.

Milczenie.

– Mówiłem, że to nie ja to zrobiłem. Palabras poszedł zadzwonić. Po tej historii z dziwką. Czekałem na zewnątrz, a kiedy wróciliśmy na górę, on i Colini zaczęli się kłócić. Próbowałem go powstrzymać, ale nie wpuścił mnie do mieszkania, a potem było już za późno. Zaproponowałem, żebyśmy załatwili też starucha, spał na górze, ale Palabras mi nie pozwolił.

Erhard czuje, że mózg mu się lasuje, wrze.

– Co zrobiliście z dziwką?

– Co?

– Co zrobiliście z dziwką?

– Już mówiłem.

– Powiedz jeszcze raz.

Milczenie. Po chwili Juan zaczyna uderzać w podłogę furgonetki.

– Chrzań się. Kim jesteś? To ty, Palabras?

– Zabiliście ją.

– Co, do cholery. Wiesz przecież, że...

Erhard pozwala silnikowi pracować, sam wysiada z furgonetki. Żołądek podchodzi mu go gardła, czuje gwałtowne mdłości, smak krewetek. Zaczerpuje łapczywie powietrza, czuje zapach słonej morskiej wody i wilgoć betonu. Pomaga. Mdłości mijają.

Kolejne części układanki trafiają na miejsce.

Oczywiście, że Alina nie zeskoczyła z dachu sama, oczywiście, że ktoś musiał ją zepchnąć. Nie rozumie, jak mógł na to nie wpaść. Cały czas był przekonany, że nikt nie wie, że ona tam jest, ale Raúl wiedział. Sam mu o tym mówił. Czuje ulgę pomieszaną ze złością. To nie przez niego skoczyła z dachu, zmusił ją do tego Raúl albo jego przyjaciel Pesce, pozwolili, żeby tam wisiąca jak zestrzelone zwierzę. Zabili głupią, dezorientowaną dziewczynę, i mieli nadzieję, że wina spadnie na niego.

Oddała się od furgonetki, idzie do hotelu. A raczej do tego, co mogłoby być hotelem. A jest smętną resztką zbyt mocno wybujałych ambicji, symbolem szerzącej się korupcji i fatalnego zarządzania i planowania. Ale jest w tym też jakaś poezja, betonowy kikut pokazujący nagi, odarty ze wszystkich dodatków wynik wielu godzin pracy biednego architekta. W świetle samochodowych reflektorów widać zarysy restauracji czy jadalni, schody, podesty i ścianę podziurawioną otworami okiennymi z widokiem na wodę. Niemieckie panie domu i tłuści Rosjanie krążyliby wokół bufetu, podczas gdy dwudziestu, może trzydziestu młodych ludzi z zachodniej Afryki albo z Hiszpanii biegałoby

między kuchnią a jadalnią, żeby półmiski nigdy nie były puste, żeby zawsze były świeże figi, dymiące tortille i miejscowe skorupiaki. Goście siadaliby w miękkich fotelach z kieliszkami szampana i widokiem na zatokę i miasto. Teraz nie widać stąd ani miasta, ani oceanu, widok zasłaniają zarośla i kawałki skał, ale i krzewy, i kamienie zostałyby usunięte. W świecie, w którym wszystko się zmienia, miło jest znaleźć się w środku czegoś, co ani nie jest czymś, ani nie jest niczym. Plac budowy, coś, co dopiero powstaje, chociaż pewnie nigdy nie stanie się czymś, aż w końcu ktoś to wszystko zburzy i znów zacznie od niczego.

Kopie zmiętą foliową torebkę z HiperDino, z kretyńskim zielonym dinozaurem z płomiennie czerwonym językiem. Ma ochotę otworzyć furgonetkę, wyciągnąć z niej Juana Pascuala z całą jego pogmatwaną osobowością i stłuc go do krwi w świetle reflektorów. Gdyby znalazł kawałek metalowej rurki, zmiażdżyłby mu głowę, tak żeby przypominała naleśnik. Tylko co by to pomogło? Marynarz po prostu wykonywał polecenia, a wydawał je Emanuel Palabras. Tak to zapewne wyglądało.

Brakuje mi tylko kobiety, tak powiedział. Kobiety. Musiał mieć na myśli Monikę. Pewnie sądzą, że coś wie.

Podnosi torebkę i wkłada ją na głowę, chce sprawdzić, jakie to uczucie. Cuchnie starociami. Zdejmuje ją, podchodzi do drzwi furgonetki, otwiera je i wchodzi do środka. Juan Pascual leży na podłodze, w rogu, rusza się, kiedy słyszy, że ktoś wszedł. Zaczyna kląć, ale Erhard łapie go za gardło i zakłada mu na głowę torbę.

– Dlaczego pchnąłeś maszynistę?

– Kogo...

Erhard go kopie, tak mocno, jak tylko potrafi, celuje w nerki. Torba szeleści, pęcznieje, a potem znów uchodzi z niej powietrze.

– Dlaczego go zabiłeś? Powiedz, to zdejmę ci torbę z głowy.

Twarzy Juana już nie widać, słychać tylko, jak łapie łapczywie powietrze.

– Nie potrafił żeglować, cholerny dupek, kłamca, junkie. Zdejmij mi to, zdejmij.

Torba znów oblepia mu twarz.

– Próbował cię powstrzymać, nie dopuścić do tego, żeby kontener został przeładowany – mówi Erhard.

– On oszalał, wrzeszczał. Coś o jakimś chłopcu, nie można było nic zrozumieć. Panował chaos, a on nic tylko krzyczał. Musieliśmy płynąć dalej.

Erhard znów go kopie.

– Kobieta. Co zamierzasz zrobić z kobietą?

– O co ci...

Erhard wyładowuje na nim złość, kopie go i powtarza:

– Co zamierzasz zrobić z kobietą?

W końcu Juan nieruchomieje. Jeden z plastikowych pasków, którymi okręcił szyję Erharda, leży na podłodze. Erhard go podnosi i zastanawia się, czy nie zacisnąć go na jego szyi. Rozmyśla się i chowa pasek do tylnej kieszeni, zrywa torbę z jego głowy i wyskakuje z furgonetki.

Tylko jeden człowiek może to wszystko powstrzymać.

Pod ręcznym hamulcem leży komórka Juana. Włącza ją i przygląda się klawiszom. Jest ich dużo. Wstukuje numer Emanuela Palabrasa, ale nic się nie dzieje. W końcu wciska duży zielony klawisz z latającym telefonem i słyszy jakiś dźwięk.

I znów. Siedem razy. Osiem. W końcu ktoś odbiera.

– Tak?

Wyraźny głos. Palabras. Stonowany, wyczekujący.

– Ty cholerny bydlaku – mówi. Nie ma lepszego pomysłu.

– Dlaczego nie odpłynąłeś? Dlaczego postanowiłeś się bawić w bohatera?

– Wydam cię. Ciebie i tę twoją przekłętą, chorą grę.

– Dobrze, że dzwonisz. Zastanawiałem się, kiedy cię usłyszę.

– Zamknij się, obłudniku. Mam twojego człowieka.

Palabras milczy.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz – odzywa się po dłuższej chwili.

– Opowiedział mi dużo ciekawych rzeczy.



– Uwierz mi. Naprawdę nie wiem, o kim mówisz.

– Zamknij się, słyszysz?

– Radziłbym ci jednak posłuchać, Stroicielu. Mam tu naszą, jak by to powiedzieć, naszą przyjaciółkę. Wiem już wszystko, bardzo wzruszająca historia.

Erhard zamiera.

– Nie wolno ci. Nie możesz...

– Nic jej jeszcze nie zrobiłem. Ale rzeczywiście zastanawiam się, czy nie położyć kresu jej nędznemu życiu, chyba że wróci ci rozsądek.

– Pozwól mi z nią porozmawiać.

Palabras się śmieje.

– Chyba żartujesz. Ona niewiele mówi, ale jestem pewien, że powiedziałaaby ci, że brakuje jej twojego towarzystwa. Więc lepiej będzie, jeśli mnie posłuchasz.

– Wyjadę. Tylko nie wolno ci jej skrzywdzić.

– Masz przyjechać tutaj. Teraz. Do portu w Corralejo. Wejź na pokład kutra. Dowiedzie cię, gdzie trzeba. Musimy porozmawiać.

– Tam... – zaczyna Erhard, ale połączenie zostaje przerwane.

Idzie wzdłuż brzegu. Zdjął buty, czuje między palcami chłodny piasek. Zatokę i miasto oświetlają kolorowe lampki. W powietrzu, tuż pod białymi chmurami, unosi się muzyka, wszelka możliwa. Przy każdym kroku musi sobie tłumaczyć, że trzeba zrobić kolejny, ciało ma poobijane, zniszczone, nie wierzy, że kiedyś znów będzie całe. Jakby ktoś jechał na oparach benzyny, z silnikiem bez oleju, na oponach bez powietrza. Jeśli uda mu się dotrzeć na czas, to tylko dlatego, że cały czas myśli o Monice. W oczach z jakiegoś powodu ciągle ma obraz jej bladego brzucha i rozbitej doniczki, i wtedy stawia kolejny krok, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Idzie tak szybko, jak jest w stanie.

Zostawił Juana Pascuala w furgonetce, nie sądzi, żeby mu się udało z niej uciec. Potrzebuje go jako karty przetargowej. To, że Palabras zaprzecza, że go zna, dowodzi tylko, jakie to ważne, żeby miał jakieś zabezpieczenie. Poza tym

nie ma sensu jechać do miasta podczas uroczystości. Większość ulic i tak jest zamknięta, a w porcie są tłumy.

Na brzegu porozstawiano pawilony, goście hotelowi mogą się w nich rozkoszować dobrym jedzeniem i widokiem na wodę, słysząc głośne, wesołe rozmowy. Wszyscy czekają na kulminacyjny punkt uroczystości, wodowanie tratwy z posągiem świętej Carmen. Jak zwykle będzie temu towarzyszył wspaniały pokaz fajerwerków. Będzie go widać nawet z Majanicho.

Kiedy tak idzie brzegiem, przypomina pewnie jednego z tych, którzy rzeźbią w piasku. Wielu ludzi, mężczyzn i kobiet, pozdrawia go i życzy mu wszystkiego najlepszego z okazji święta.

Dociera do promenady, stoi tam już gęsty, zwarty tłum. Dorośli wznoszą toasty winem, całują się nad kociołkami z jedzeniem, wypijają resztki daiquiri, dzieci biegają między krzesłami, razem z psami i kotami, uliczni sprzedawcy zakładają turystom opaski na ręce. Jest hałas, ale są też światła, Erhard boi się, że w każdej chwili może go zobaczyć policjant stojący pod ścianą budynku, w którym mieści się sklep jubilerski. Po chwili wtapia się jednak w tłum, nikt się nim nie interesuje. Po mniej więcej stu metrach jest przy kawiarni Azura, widzi stojącą za barem Sukę. Przepycha się dalej, rusza zygzakiem w stronę portu.

## 78

Czerwony kuter wypływa spokojnie z portu.

Mężczyzna za sterem nie jest tak przerażający, jak się spodziewał. Jest zajęty sterowaniem, musi uważać, żeby nie wpaść na żadną z wielu małych łódek i pontonów, które pływają wokół niego. Kierują się w stronę niewielkiej plaży, na której za chwilę odbędzie się wodowanie tratwy z posągiem. Rozpalono już pochodnie, nabrzeże wygląda, jakby płonęło.

Początkowo Erhard jest przekonany, że kierują się w stronę jednego z dużych jachtów, które zarzuciły kotwice nieco dalej od brzegu, ale nie, płyną między

nimi, spokojnie, po cichu, jakby nie chciały obudzić śpiących łodzi, kierują się w stronę czarnej plamy na horyzoncie.

Wyspy Isla de Lobos.

Niezależna, odpychająca, uwielbiana jedynie przez rybaków i ptaki, niekiedy odwiedzana przez turystów. W latach sześćdziesiątych zawitał tam John Coltrane. Na kilka miesięcy przed śmiercią uparł się, żeby na dachu jedynej kawiarni na wyspie dać koncert na świeżym powietrzu razem z innymi wielkimi jazzmanami. Spędził na wyspie kilka tygodni, w chacie z widokiem na brzeg pełen fok, które wówczas dały wyspie nazwę, ale teraz już zniknęły. Pewnego ranka zobaczył mężczyznę idącego po wodzie z Fuerteventury. Jak później mówił, to był on sam, nagi, wytatuowany od stóp po czubek głowy. Nazwał go Ogunde.

Dzisiaj wyspa jest cienistą stroną Corralejo. Pozbawiona światła i dźwięków. Milczące kamienie. Kuter rozwija całkiem przyzwoitą prędkość, ale wyspa wcale nie wydaje się przybliżać. Pozostaje podłużną plamą chowającą się między falami. Erhard walczy ze snem, opiera się o reling, zarzuca kapitana gradem pytań, ale kapitan żuje papierosa i nie odpowiada. Nagle na wodzie pojawia się wąski drewniany pomost, kuter podpływa i wprawnie cumuje. Kapitan zarzuca cienką linę. Silnik gaśnie. Cisza. Ciemność. Erhard niemal zapomina, dlaczego tu jest. Czuje się mały, niepozorny, bez słowa podąża za kapitanem, który już wchodzi na pomost. Zmęczone drewno pod stopami. Bywał tu już, ale nigdy po zapadnięciu zmroku. Goście są odsyłani do domu zaraz po południu. Jakby w nocy władzę nad wyspą przejmowały moce, których działanie nie każdy może zrozumieć. Teraz on się o tym przekona.

Schodzą z pomostu, ruszają w stronę wzgórz. Idą wąską ścieżką, widać ją w mroku. W pierwszej chwili Erhard jest przekonany, że wzrok go zawodzi, ale nie, idą ścieżką wyściełaną skorupkami małży, czuje pod stopami ich ostre krawędzie, słyszy, jak trzeszczą, perłowa powłoka mieni się w księżycowej poświacie.

Kiedy docierają na drugą stronę wzgórza, jego oczom ukazują się niewielka zatoczka i kilka czworokątnych konstrukcji, nawet nie domów, raczej bungalowów stojących nad wodą. Nie widać żadnych oznak życia. Słychać tylko oddech oceanu. Gdzieś dalej, może nawet kilka kilometrów dalej, fala uderza o kamienie.

Kapitan zatrzymuje się i wskazuje na koniec ścieżki. Jest niepokojąco ciemno, już chce spytać, co mu, do diabła, pokazuje, ale kapitan już zniknął, odgłos kroków każe Erhardowi przypuszczać, że wrócił na łódź.

Jego ręce szukają w mroku poręczy. Wchodzi w nicość, po chwili wyłaniające się z niej odcienie szarości pozwalają mu się domyślić, że zbliża się do skały. Nie wie dlaczego, ale spodziewa się, że zaraz się potknie i wpadnie do jakiejś czworokątnej dziury, w której jest już Monika, jej blade, nagie, martwe ciało. Kiedy zbliża się do skały na tyle, że czuje jej ciepło, dostrzega niewielką szopę między skalnymi blokami, żółte światło okala drzwi do chaty.

– Proszę – głos dochodzi gdzieś ze środka. Rozpoznaje go i niemal odczuwa ulgę.

– Wciąż jestem szybszy od ciebie, Charles. Mogę ci uciec.

– Nie, dopóki mam to. – Erharda oślepia jasne światło, przez chwilę nic nie widzi. Latarka. W tych okolicznościach może służyć za broń. – Wejdz! – Charles popycha go przed sobą w stronę drzwi, które otwierają się od środka.

– Jak ty wyglądasz, Stroicielu? Jak szalony turysta.

Emanuel Palabras stoi na progu i wypełnia swoim ciałem cały otwór drzwiowy. Szopa przypomina trochę namiot cyrkowy, w czerwieni i złocie. Emanuel zauważa jego spojrzenie.

– To wieczór świętej Carmen – mówi i rozkłada ręce, jakby właśnie z tej okazji zaprosił go na uroczysty posiłek. Jak zwykle jest otoczony swoimi Masajkami, siedzą na drewnianych krzesłach, na stołach, ławach i innych dziwnych meblach, które stanowią wyposażenie chaty. Jest ich osiem, można by pomyśleć, że są siostrami albo kuzynkami, i wszystkie najczarniejsze z czarnych.

Palabras tłumaczy mu, dlaczego Isla de Lobos to najlepsze miejsce na ten wieczór, ale Erhard go nie słucha. Omiata wzrokiem pomieszczenie, próbując zgadnąć, gdzie ukryto Monikę. Na jednej z drewnianych ścian – schodzi z niej niebieska farba i wiszą resztki starego plakatu hiszpańskiego barda Pedra Jereza Segundo – świeci mocna lampa. W krótszej ścianie widać czerwone drzwi. Dochodzi go dziwne pukanie, jakby ktoś uderzał w rurę z wodą.

– Szukasz swojej przyjaciółki. Jest w pokoju obok, zatroszczyliśmy się o nią.

Wie, co to znaczy, ma ochotę podbiec do Palabrasa i rzucić go na ziemię, ale dłoń Charlesa chwyta go za ramię.

– Nie zrób czegoś, czego później mógłbyś żałować – ostrzega go Palabras. – Atakując mnie, niczego nie zmienisz. Jestem człowiekiem cierpliwym, wiele razy dawałem ci szansę, żebyś mógł udowodnić, że nie chcesz zniszczyć siebie i innych.

– Chcę ją zobaczyć. Sprawdzić, czy nic jej nie jest.

– Ma się lepiej, niż kiedy widziałeś ją ostatnio, tyle mogę ci powiedzieć.

Erhard wraca w myślach do ostatniej rozmowy z Moniką. Była wzburzona, zła.

– Nie wolno ci jej tknąć – mówi.

Palabras rozkłada ręce. Erhard patrzy na niego długą chwilę. Nie pojmuje, jak to możliwe, że ten człowiek, człowiek, w którego domu bywał przez tyle lat, ma w sobie tyle zła i jest w stanie kryć najokrutniejsze zbrodnie.

– Dlaczego? – pyta. – Dlaczego to robisz? Żeby zademonstrować swoją siłę? Dla pieniędzy? A może jesteś chory?

– Z miłości. Po prostu.

– Jesteś chory.

– Nic nie rozumiesz, prawda? To bezwarunkowa miłość. Oddanie.

Erhard nie jest w stanie powstrzymać się od śmiechu.

– To słowa, bardzo piękne, ale tylko słowa.

– Piętnasty września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Dlaczego o tym wspominasz?

Pukanie nie ustaje. Jest irytujące. Palabras daje znać Charlesowi, żeby do niego podszedł, prosi, żeby się postarał, żeby pukanie ustało. Charles rozkłada ręce, ale kuśtyka w stronę czerwonych drzwi.

Palabras mówi dalej:

– Piętnastego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku twoja żona, Annette, wchodzi do salonu, żeby sprawdzić, dlaczego jeszcze się nie położyłeś spać. A gdzie ty jesteś? Gdzie jest ojciec jej córek, mężczyzna jej życia? Po wszystkim, przez co przeszliście. Ogarnia ją smutek, wiesz o tym, prawda, Erhardzie?

Erhard drży, wszystkie komórki jego ciała drżą, jakby zaraz miały eksplodować.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?

– Mówię tylko, że nie wiesz, co to jest miłość. Taka miłość, że człowiek jest gotów zrobić wszystko. Wszystko. Cokolwiek.

– Więc wytłumacz mi, co to wszystko ma wspólnego z miłością.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja cię kocham, mój milczący, wierny Stroicielu. Rok po roku przychodziłeś i próbowałeś mi pomóc. Nigdy mnie o nic nie prosiłeś, o nic, nawet o pieniądze. Jesteś chodzącą uprzejmością. A jednak z czasem udało ci się skłonić mojego syna, żeby się zwrócił przeciwko mnie.

– Ja nigdy...

– On cię słucha. Wszystko, co mówisz, jest słuszne, zrozumiałe, ciekawe.

– Nigdy mnie nie słuchał. Było mu wszystko jedno.

– Więc co w takiej sytuacji może zrobić ojciec? Poddać się? Czy się poświęcić? Porzucić rodzinę czy zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby zebrać resztki do kupy?

Charles wraca, szepcze coś do niego.

– Jesteś bardziej pokręcony, niż mogłem przypuszczać – mówi Erhard. – Nie ma żadnego wytłumaczenia dla tego, co zrobiłeś.

– Daj sobie spokój. Tak mawiała moja matka, niech spoczywa w pokoju. Z poczucia winy nigdy nie wyniknęło nic dobrego. – Macha ręką. – Za to

miłość... miłość wymaga poświęceń.

– Przestań, tu chodzi o ludzi. Nie wolno ci decydować o czyimś życiu i śmierci. Jesteś zbrodniarzem. Przyjdzie ci zapłacić za swoje zbrodnie.

– Jest tak, jak się obawiałem. To brak rozsądku, nie masz żadnych dowodów.

– Mam dowody. Schowałem je. Jeśli coś mi się stanie, sprawa trafi do prasy. Mam świadka, który wskazywał na ciebie. Wielokrotnie.

Emanuel Palabras poprawia się w fotelu, jego ciało natychmiast oplatają ręce co najmniej czterech Masajek, stają za jego plecami. Śmieje się.

– Uprzedzałem cię, żebyś się nie bawił w policjanta. Nie wychodzi ci to.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje.

– Zapominasz o swojej roli w tym wszystkim.

– Co masz na myśli?

– Skąd wzięłeś ciało?

– Ciało?

– Tej martwej dziewczyny, w trumnie Beatriz. Kim była?

Erhard sztywnieje. Musieli znaleźć Beatriz.

– To ją zabiliście w Majanicho. To prostytutka. Uratowałem Beatriz przed tobą. To właśnie zrobiłem.

Emanuel Palabras śmieje się, co niepokoi Erharda.

– I widzisz, czym to się skończyło?

– To nie ja ją zabiłem – broni się Erhard. – Zrobiliście to ty, twój syn i ten wściekły marynarz, Juan Pascual.

– O ile mi wiadomo, a wiem to od Michela Faliando, to ty wyłączyłeś respirator. Prosił, żebyś tego nie robił. Ale ty postawiłeś na swoim.

– Cierpiała. Nie czuła się dobrze – mówi Erhard, ale jego myśli są przy lekarzu. Palabras musiał z nim rozmawiać.

– Więc kto tu decyduje o życiu i śmierci?

– Manipulujesz słowami.

– Wszyscy to robimy.

– I co dalej? Wypłyniemy gdzieś na morze i każesz mnie utopić? Proszę bardzo. Cokolwiek zrobisz, prawda i tak wyjdzie na jaw. Pewien dziennikarz już nad tym pracuje.

– Przyznaję, że miałbym ochotę cię utopić. Oczywiście nie zrobiłbym tego osobiście. Wypłynąłbyś w morze z Charlesem i w pewnym momencie wypadłbyś za burtę. To by wszystko ułatwiło. Ale Charlesowi nadal dokucza noga i chociaż pewnie mi nie wierzysz, wcale nie chcę cię skrzywdzić.

– Juan Pascual twierdzi co innego. Próbował mnie udusić, zabić, dzisiaj wieczorem. Na twoje polecenie.

– Nie słuchasz mnie. Nie mam nic wspólnego z tym Pascuałem. Nikomu nie kazałem cię zabić. Przyznaję, poprosiłem mojego przyjaciela z policji, żeby cię aresztował i gruntownie przepytął, ale potem cię stamtąd wyciągnąłem. Nic nie powiedziałeś temu młodemu funkcjonariuszowi, nie mogłem się po tobie spodziewać większej lojalności. Miałem nadzieję, że skorzystasz z mojej propozycji i wejdiesz na pokład, żebyśmy mogli cię zabrać do Maroka, razem z jakąś miłą panienką, ale nagle wstąpił w ciebie diabeł. Uciekłeś Charlesowi, zafundowałeś sobie okropną fryzurę i zniknąłeś. A kiedy następnym razem dostałem jakieś wieści o tobie, okazało się, że zostałeś pobity, jesteś zakrwawiony i opowiadasz jakieś szalone historie o tym, że to ja stoję za tymi wszystkimi nieszczęściami.

– Wynająłeś Juana, uprowadziłeś własny statek, żeby dostać odszkodowanie. Zabiłeś swojego syna i dałeś mi tę cholerną pracę, żeby mieć na mnie oko. Gdybyś wiedział, że Beatriz żyje, też byś ją zabił.

Palabras wzdycha.

– Weź go – zwraca się do Charlesa.

Charles podchodzi do Erharda i zaczyna go popychać w stronę czerwonych drzwi. Wchodzą do dużego pokoju, w którym świeci jeszcze mocniejsza lampa. Umocowana na suficie, daje ostre światło, jak w inkubatorze. Po przeciwnej stronie widać drewniane drzwi zamknięte na potężną kłódkę. Masajki idą za Erhardem jak ciekawskie kotki, ocierają mu się o nogi, pachną kadzidłem.



Na środku pokoju, pod zakurzoną lampą, stoi wózek inwalidzki. W wózku siedzi człowiek. Głowę ma przypiętą do oparcia. Szlafrok mokry od śliny. Mija chwila, zanim do Erharda dociera, że w wózku siedzi Beatriz. Jego serce robi fikołka. Jest zmieszany, zadowolony i nieszczęśliwy, i zły jednocześnie. Był przekonany, że wtedy w mieszkaniu widział ją po raz ostatni. Pożegnał się z nią. A teraz jest tutaj. Zmartwychwstała. A może została reanimowana. Nie ma respiratora. Oddycha, łapczywie, jakby powietrze było za rzadkie, jej głowa się porusza, w górę i w dół, szybko. Drży.

Erhard nic nie mówi.

– Halo – dochodzi go zmęczony głos zza drewnianych drzwi.

Ale on patrzy tylko na Beatriz. Na taką, jaka jest teraz. Taką, jaką ją uczynił. Jej ciało, jej imię, jej życie. Wszystko zniknęło. Dlatego, że usłyszał głos: Ukryj mnie, zapomnij o mnie.

Palabras kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Lekarz zadzwonił do mnie, bo zaczął się niepokoić. Postąpił bardzo rozsądnie. Wszystko mi powiedział. O tym, że ją ukryłeś, że dbałeś o nią, myślałeś i tak dalej. Imponujące, ale też trochę szalone, jeśli chcesz znać moje zdanie. Dlaczego to zrobiłeś, tego pewnie nigdy nie zrozumiem, ale pewnie miałeś swoje powody. Nie kochałeś się z nią, lekarz to sprawdził, więc tym bardziej nie rozumiem, co tobą kierowało. Po co był cały ten cyrk.

– Nie muszę ci się tłumaczyć – mówi Erhard.

– Mogłeś przynajmniej trochę bardziej przykładać się do pracy zamiast się mieszać w te sprawy. Kiedy ty to zrozumiesz, człowieku? Chciałem ci dać szansę, żebyś mógł pójść dalej. Ale ty wszystko niszczysz.

– Halo! – Znów ten głos. Jednocześnie ktoś zaczyna się gwałtownie dobijać do drzwi.

Palabras daje Charlesowi znak, żeby interweniował.

– Sądziłem, że się nim zająłeś. Ale najwyraźniej tego nie zrobiłeś.

– Powinien był zgasnąć jak świeczka.

– Kto tam jest? – pyta Erhard i rusza w stronę drzwi.

– Halo, Erhard?

Rozpoznaje głos. Jest niższy i bardziej chropowaty niż zwykle, jakby był rzadziej używany. Ale to jego głos, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Raúl? Raúl, co jest, do diabła?

– Erhard!

Charles staje w drzwiach, całe je zasłania, manipuluje przy zamku, a raczej przy kłódce, dużej, czarnej.

– Cicho! Mówiłem ci, że masz być cicho.

– Dlaczego on tam jest? – pyta Erhard, patrzy na kłódkę, nie rozumie, co to znaczy.

– Wypuść mnie, Erhardzie! – krzyczy Raúl. – Powiedz im, żeby mnie wypuścili.

– Co on tam, do diabła, robi?

– Nie wtrącaj się – mówi Palabras. Jest zły. Próbuje zatrzymać Erharda laską, wsuwa ją między niego a Charlesa. Ale Erhard jest już w drodze. Podnosi rękę, żeby się bronić przed razami, i z całej siły zamierza się na Charlesa. Celuje w głowę. Potężnie zbudowany mężczyzna stoi tuż przy drzwiach i nie ma czasu się przygotować. Z hukiem uderza klatką piersiową w drewniane drzwi, upada razem z Erhardem i w tym momencie drzwi się otwierają. Erhard leży na Charlesie, w niewielkim pokoju jest Raúl, bardzo odmieniony, ma na sobie coś, co przypomina dres, ma brodę i jest zarośnięty. Przypomina Erhardowie chudego, żylastego Saddama Husseina, kiedy go znaleziono w dziurze w Adwarze. Oczy dziwnie mu błyszczą, ma twarz diabła. Patrzy przez chwilę na Erharda i na zagipsowaną nogę Charlesa, przeskakuje przez niego i wybiega z pokoju, jakby tylko czekał na okazję. Erhard próbuje wstać, ale trudno mu się wydostać spod dużego mężczyzny, który wije się z bólu, krzyczy. Gips pękł, noga, bledsza niż gips, sterczy gdzieś w górze. Mówi coś, czego Erhard nie rozumie. Po raz pierwszy. Może jest Francuzem, a może Flamandem, trudno powiedzieć. Ma jaśniejszą karnację niż większość Hiszpanów i jedynie lekko kręcone włosy.

Erhard wstaje, słyszy, jak Palabras krzyczy do swoich Masajek, żeby mu pomogły.

– Pomóżcie mi wstać, do cholery.

– Już idę – odzywa się Charles.

Erhard wchodzi z powrotem do pokoju. Palabras leży na podłodze, z ust cieknie mu krew, plami mu białą brodę. Nagle wygląda staro. Masajki poprawiają mu okulary, przekrzywiły się. Podają mu laskę, która z jakiegoś powodu znalazła się w przeciwnym kącie pokoju. Jedna z dziewczyn też ma krew na ustach. Charles kuśtyka do drzwi, jakby go ciągnął jakiś niewidzialny sznur.

– Daj spokój, Carlitos – mówi Palabras. Mówi z trudem. – W tej chwili i tak nic nie poradzimy. Jest na wyspie, nigdzie nie ucieknie. Na pewno nie w nocy. Jest dobrym pływakiem, ale wie, że w takim stanie daleko nie dopłynie.

Charles patrzy na niego, po chwili zaczyna kuśtykać w stronę drzwi.

– Stój, Carlitos. – Palabras nie jest w stanie krzyczeć, wyciąga tylko ręce. – To mają być moi ludzie, a robią, co chcą.

Zawsze miał ochotę spuścić chłopakowi lanie i zawsze się powstrzymywał, ale też zawsze, kiedy tylko nadarza się okazja, aż go świerzbą ręce.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? To twój syn. Dlaczego go tam zamknąłeś? Nie chciał uczestniczyć w tym, co zaplanowałeś?

– Milcz, głupku. Nic nie rozumiesz. To on jest wszystkiemu winien. Nie rozumiesz tego? Próbowałem go chronić, trzymać go od tego z dala. Kocham go, ale on nie jest w stanie nic zrobić tak, jak powinien. Nawet okraść własnego ojca.

Erhard długo patrzy w jego ciemne oczy za lekko przyciemnionymi szklami. Zastanawia się, czy mówi prawdę, czy usiłuje mu coś wmówić, już to robił w przeszłości. Jego oczy wydają się zmęczone, suche, jakby od wielu godzin nie mrugał.

– Co ty mówisz? To Raúl uprowadził statek?

– Nie on osobiście, ale on za tym stał. Znał ludzi, którzy mieli o wszystko zadbać.

– Juan Pascual – wtrąca Erhard.

– Wciąż wracasz do tego człowieka. A tu chodzi o zawodników wagi ciężkiej. Starych zawodników, powinienem dodać. Los Tres Papas.

Jedna z Masajek przynosi mu szklankę mleka. Wypija je szybko i bezgłośnie.

– Myślałem, że jesteś jednym z nich.

Palabras oddaje szklankę Masajce, chce się roześmiać, ale dotyka ręką ranki przy ustach.

– Chciałem – mówi. – Kiedyś. Ale dla mnie to było za mało. Wszystko, co oni robią, jest wbrew prawu. A ja wolę mieszać różne rzeczy, brać to, co najlepsze, ze wszystkich światów – dodaje i wskazuje na Masajki, jakby one wyobrażały to, co ma na myśli. I może tak jest.

– Jeśli to rzeczywiście Los Tres Papas, to co z Raúlem?

– Raúl to Raúl. Kiedy był mały, ukradł mi portfel i kupił mi złotą obcinaczkę do cygar. Zawsze taki był. Chciał imponować, ale zawsze w niewłaściwy sposób. Pomogłeś mu, utemperowałaś jego chłopięce wysoki, sprawiłeś, że zaczął się zastanawiać. Z jakiegoś powodu cię uwielbiał. Słuchał, kiedy do niego mówiłeś. Ale dziewczyna pogorszyła sprawę. – Wskazuje na wózek inwalidzki z Beatriz, czy raczej tym, co z niej zostało. – To ona kazała mu żądać coraz więcej, chciała dla niego więcej pieniędzy, więcej władzy, lepszej pracy, a on tej pracy nie znosił. Rozumiesz, co mówię? Zostałem ostrzeżony. Bałem się tego, co mogło się zdarzyć. Dawałem mu różne zajęcia, żeby nie przychodziły mu do głowy głupie pomysły. Ale w końcu się stało.

– To nie ona. Ona nigdy go o nic nie prosiła.

– *Quién sabe.* – Palabras rozkłada ręce. – Nagle chłopak zaczął mieć dziwne pomysły. Za ambitne jak na niego. No i kilka razy się wygłupił.

Erhard nie wie, czy może mu wierzyć.

– Twierdzisz, że Raúl współpracował z Los Tres Papas przy uprowadzeniu statku?

– On to za nich zrobił, gówniarz.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

– W pewnym momencie zaczął o tobie źle mówić. Powiedział, że wie, że bierzesz lewe kursy i że to ty pozbyłeś się z firmy Federica Moliny.

– Dlaczego tak powiedział?

– Pewnie chciał, żebyś trafił do szpitala. Tak myślę. Wiedział, że jeśli zrobi to sam, to ja ci pomogę i zrobi się zamieszanie i bałagan. Próbował mnie namówić, żebym to ja cię załatwił.

Erhard siada na krześle obok Beatriz.

– Dlaczego? Dlaczego chciał to zrobić?

– Kiedy się z tym do mnie zwrócił, też tego nie rozumiałem. Powiedziałem, że cię sprawdzę, a zacząłem sprawdzać jego.

– I?

– Zaczęliśmy podejrzewać, że coś jest nie tak, kiedy Mario, siostrzeniec Charlesa, zobaczył, że Raúl jedzie do ciebie, chociaż ty byłeś wtedy u niego. Widział też, jak spycha z dachu twojego domu jakąś dziewczynę.

– Mario? Taki chudy facet z dużymi zębami?

Dobrze pamięta młodego mężczyznę, który siedział naprzeciwko La Mar Roja tego ranka, kiedy spotkał na ulicy Raúla.

– Na pewno jest zbudowany inaczej niż Charles, co do tego jesteśmy zgodni.

– I wtedy Charles, a może Mario, weszli do mieszkania, pobili Beatriz, a Raúla przywieźli tutaj?

– To nie do końca tak było. O Beatriz dowiedzieliśmy się dopiero po tym, jak zadzwoniłeś na policję. Poszliśmy za Raúlem. Okazało się, że on i jeszcze jakiś dupek wrócili jeszcze na chwilę do mieszkania. Bardzo szybko stamtąd wyszli, widać było, że się spieszą, wyjechali z garażu i ruszyli do portu. Widać było, że są z kimś umówieni. W pewnym momencie Raúl został sam, siedział w samochodzie i rozmawiał przez komórkę. Charles i Mario dopadli go, wyciągnęli z samochodu i zabrali na łódź. Wtedy wpadliśmy na pomysł, żeby go tu przywieźć.

– Ten drugi facet to Pesce, Juan Pascual – mówi Erhard, jakby sam do siebie.  
– Zaraz, zaraz – odzywa się po chwili. – A co z nagraniem z lotniska? Policja o nim wspominała. Raúl leciał gdzieś samolotem? Był na liście pasażerów.

– Powiedzmy, że trochę pomogliśmy policji.

Erhard zastanawia się nad tym chwilę, ale dochodzi do wniosku, że to już nie ma żadnego znaczenia.

Raúl nigdzie nie wyjechał. Raúl był tu cały czas, w tej celi. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. I to Raúl załatwił Beatriz. To on uderzył ją w czubek głowy, wiedział, że to jej czułe miejsce. Miał nadzieję, że jeden cios wystarczy, dlatego wepchnął ją do szafy. Wrócił z Majanicho, gdzie zepchnął Alinę z dachu, i wyładował złość i frustrację na Beatriz.

– Musisz się nią zająć – mówi Erhard. Wskazuje na Beatriz. – Jesteś jej teściem, to twój obowiązek. Niezależnie od wszystkiego. Załatw jej dobry szpital, właściwą terapię.

– Nie masz prawa niczego ode mnie żądać – mówi Palabras, ale bez większego przekonania.

– Jakieś prawo jednak mam.

Charles wraca do pokoju. Jego złamana noga niemal cała wystaje z gipsu.

– Jest przy La Rasca. Znalazł gdzieś łódkę z wiosłami. Słyszałem, jak woła coś do starego Jorgego.

– A co z motorówką?

– Nie znalazł jej.

– Dlaczego go nie zatrzymałeś?

– Powiedziałeś, że mam mu pozwolić odejść.

– Nie, jeśli planuje opuścić wyspę.

– Szlag – klnie Charles, zawraca i wybiega z chaty.

Erhard wstaje z krzesła i rusza za nim. Słyszy, jak Palabras próbuje coś powiedzieć, woła za nim. Po chwili ogarnia go ciemność. Jest noc. Ciepła, w szarym świetle księżyca. Wypatruje gipsu Charlesa i jego latarki, która skacze jak palec po klawiszach fortepianu. Nie trzymają się ścieżki, biegną na skróty

przez skały. Erhard potyka się i dwa razy upada, biegnie na bosaka, trudno mu nadażyć za Charlesem. Każdy krok na ostrym skalnym podłożu przysparza mu bólu.

W dole, jakieś dwieście metrów pod nimi, widać brzeg i grzywy fal, mimo że woda jest właściwie spokojna, a wiatr wieje słabo z południowego zachodu, a może po prostu z zachodu. Na dole stoi kilka małych domków, właściwie chat. Dochodzą ich krzyki. Wokół nich nawołują się Masajki, nie mogą się odnaleźć w ciemności. Charles kieruje się w stronę chat, krzyczy, że nie wie, co się stało z Raúlem, macha latarką.

Jeśli Raúl zamierza opuścić wioskę od strony zatoki, będzie musiał płynąć na południowy zachód, ale prąd będzie go znosił na wschód. W zwykłej łodzi na otwartym morzu trudno będzie mu walczyć z wiatrem i prądami. Opłynięcie niewielkiego półwyspu zajmie mu dużo czasu i będzie wymagało sporo siły. Na pewno jednak jest wściekły i przez pierwszych kilka godzin będzie wiosłował jak szalony.

Zamiast iść w dół, do chat, Erhard postanawia skrócić na północ, przyspiesza. Księżyc ukrywa się za wyspą, cała leży w cieniu. Musi się bardzo skupić, stawia stopy ostrożnie, nie wie, czego może oczekiwać, ma tylko nadzieję, że podłoże nie będzie za ostre. Szum fal mówi mu, gdzie jest woda, cichy odgłos szurania oznajmia, że po lewej stronie są małe kamienie i żwir, a echo jego stóp odbijające się od skał, że jeszcze kawałek dalej też są kamienie.

Dociera do półwyspu, po obu stronach ma wodę, widzi skały w różnych odcieniach czerni. Spogląda w dół, skupia się na każdym stopniu, kieruje się w stronę czubka półwyspu, od czasu do czasu rzuca szybkie spojrzenie na wodę. Dźwięki, które dochodzą od strony lądu, świadczą o tym, że Charles usiłuje spuścić na wodę jakąś łódź. Słyszy warkot uruchamianego silnika. Głośne *fuck*, silnik zaskakuje i po chwili cała zatoka tonie w hałasie.

Z pracy silnika Erhard wnioskuje, że łódź płynie pod wiatr, na południe. Widzi, jak Charles przesuwa latarką po wodzie, ma zaskakująco duży zasięg, ale świeci w niewłaściwym kierunku.

Słyszy głos gdzieś z przodu. Półwysep ma niecałe pięć metrów szerokości, potem przechodzi w kamienie zalewane wodami wielkiego Atlantyku, po drodze nie ma żadnego lądu, aż do Afryki. Posuwa się ostrożnie do przodu. Boi się upaść. Nagle dociera do niego dziwny dźwięk, coś o coś uderza. Ktoś w drewniakach kopie wiadro, może jakiś kawałek drewna uderza o pale pomostu albo ktoś, kto nie potrafi wiosłować, walczy z prądem i falami.

Raúl siedzi w łódce i nieudolnie próbuje wiosłować, chce się odsunąć od skał. Wiosłuje z całych sił. Jego ruchy wyglądają na coraz bardziej desperackie. Erhard stoi i próbuje się domyślić, co ma pod nogami, zastanawia się, na którym kamieniu postawić stopę, żeby jak najszybciej zejść do łodzi. Nagle Raúlowi udaje się odpłynąć na jakieś cztery, pięć metrów od skał, wkłada wiosła w dulki i pochyla się do przodu. Łódka płynie z prądem, powoli, ale wkrótce mijają największe głazy i skały i znika w ciemności.

Erhard zastanawia się, czy nie zawołać Charlesa. Nie słyszy już silnika, podejrzewa, że motorówka jest już poza zasięgiem jego głosu. Na pewno usłyszą go ludzie w chatkach na brzegu, ale zanim ktoś zrozumie, o co chodzi, i spuści łódź, minie zbyt dużo czasu.

Spuszcza się po skałach w dół, czuje zimną wodę wokół stóp. Kuca, zanurza się w wodzie. Spodnie natychmiast robią się mokre. T-shirt też. Idzie po dnie, ale po chwili dno ucieka mu spod nóg, zaczyna płynąć, kieruje się tam, gdzie ostatnio widział łódź. Fale, które z góry wydawały się małe i niegroźne, mają białe grzywy i zachodzą na siebie. Zaczepuje powietrza, zatrzymuje je dłużej, żeby nie nabierać wody do ust. Nie jest dobrym pływakiem, ale zawsze był silny i wytrzymały. Ostatni dzień dał mu się jednak we znaki. Przez chwilę sobie radzi, jest pełen energii i zapału, ale jak tylko wypływa poza skały, zaczyna czuć, że jest zmęczony, boi się płynąć w ciemności. Gdyby widział łódkę, na pewno byłoby mu łatwiej. Ale jej nie widzi. Nic nie widzi.

Wie, że nie powinien płynąć dalej, że to nie ma sensu, ale nie potrafi przestać. Wyrzuca przed siebie ręce, ciągnie ciało przez wodę. Woda jest chłodna, a fale, teraz, kiedy zostawił już w tyle Isla de Lobos, są większe i bardziej słone.



Zastanawia się, czy nie zawołać Raúla, nie odwołać się do ich przyjaźni, może wzięłyby go do łodzi, ale boi się, że jego wołanie zdopinguje Raúla do wiosłowania jeszcze szybciej. Po co miałyby go brać do łodzi, nic na tym nie zyska. A ich przyjaźń już się skończyła, jeśli kiedykolwiek była to naprawdę przyjaźń. Może chłopak po prostu szukał kogoś, kto mu zastąpi ojca?

Coś przelatuje mu nad głową.

Coś twardego i czarnego. Udaje mu się unieść rękę i uchronić się przed ciosem. Kawałek złamanego wiosła, pióro i dwadzieścia, trzydzieści centymetrów trzonka. Wiosło z łodzi, ciemne i ciężkie od wody. Ale unosi się na falach. Chwyta się go i popycha przed sobą z nową energią. Teraz już wie, że Raúl musi być gdzieś niedaleko. Będzie płynął z wiatrem. Erhard bije wodę nogami, szybciej niż jeszcze przed chwilą, unosi się na falach, zmęczenie nieco ustępuje.

Nagle słyszy łódkę, a po chwili widzi ją między falami. Znika. I znów się pokazuje. Jest jakieś dziesięć metrów od niego. Raúl albo stracił orientację, albo nie jest w stanie jej kontrolować. Łódź płynie w stronę Fuerteventury. Raúl siedzi bokiem do niego, jest coraz bliżej. Po chwili słyszy, jak przeklina i mówi coś sam do siebie. Przechodzi z jednej z strony łodzi na drugą, próbuje wiosłować.

Duża fala unosi Erharda i nagle jest tuż przy łodzi. Nawet nie zdążył się zastanowić, co zrobi, kiedy do niej dotrze. Teraz już nie ma czasu. Zdaje się na intuicję, na pierwszy lepszy pomysł, który przyjedzie mu do głowy.

Niemal kładzie się na wiosło i czuje, jak woda wypycha i pióro, i jego dłoń. Naciska pióro mocniej, nagle je puszcza, z kawałkiem trzonka leci do góry. Nie ma czasu, żeby choćby spróbować wycelować w głowę Raúla. Działa intuicyjnie, wierzy, że mu się uda.

Trzonek uderza z hukiem o krawędź łodzi, wpada do środka i spada na dno. Erhard nie widzi, w co uderza, ale nagle słyszy wycie, widzi, że Raúl wstaje i niewiele myśląc, bierze zamach drugim wiosłem, które ląduje w wodzie, tuż obok Erharda. Chwyta je i próbuje się utrzymać na powierzchni. Raúlowi został

tylko kawałek trzonka z piórem, uderza nim o wodę. Nie zauważył jeszcze Erharda, ale kiedy jego oczy przyzwyczajają się do ciemnej wody, dostrzega go i strach malujący się na jego twarzy zamienia się w nienawiść.

– Czego ty, do cholery, chcesz?

Uderza trzonkiem o wodę, trafia Erharda w rękę, ból jest przeraźliwy, słona woda piecze, Erhard czuje, że coś dzwoni mu w głowie. Jego ciało nadal walczy ze zmęczeniem, szybko zapomina o bólu. Raúl uderza jeszcze raz. Erhard musi się cofnąć, jeśli nie chce, żeby go trafił.

Chce do niego zawołać, ale wie, że głos nie dotrze tak daleko. Nawet jeśli woda nie jest bardzo chłodna, to i tak jest za zimna, żeby mógł w niej wytrzymać dużo dłużej. Nigdzie nie dopłyniesz, ma ochotę mu wykrzyknąć, ale albo nie jest w stanie wydać żadnego dźwięku, albo jego głos grzęźnie gdzieś w falach.

Raúl ledwie trzyma się na nogach, ale próbuje znów go uderzyć. Zamierza się na niego kilka razy.

– Odpłyn stąd, staruchu. Utopisz się. Zmęczysz się, jesteś w wodzie już dwadzieścia minut, uważaj na temperaturę, woda jest zimna.

To prawda, Erhard nagle czuje zmęczenie w każdym członku ciała. Myśl, że miałyby zawrócić i płynąć na wyspę, sprawia mu niemal fizyczny ból, cierpną mu nogi, łapie go skurcz. Nie pływał wiele lat. Ostatnio chyba dziesięć lat temu. Dziesięć lat. Musi się dostać do łodzi, zanim całkiem opadnie z sił, a temperatura jego ciała niebezpiecznie spadnie.

Raúl stoi, kołysze łódką i czeka na jego reakcję. Znów próbuje go uderzyć, jest coraz bardziej rozdrażniony. Trafia w dulki umieszczone na długiej metalowej szynie, zrywa ją, szyna zwisa z krawędzi. Niemal wpada do wody. Bez dulek trudno mu będzie utrzymać kurs, łódź zacznie dryfować. Pochyliła się, chce chwycić szynę, ale szyna jest ciężka, znika w wodzie. Patrzy za nią, wychyliła się z łodzi, łódź przechyliła się na jedną stronę.

Mija chwila, zanim do Erharda dociera, że to jego szansa. Puszczą wiosła, zaczyna krążyć wokół łódki. Raúl klęczy i patrzy w wodę. Erhard chwytą się relingu, zaczyna ciągnąć, przechyliła łódkę, która zaczyna się gwałtownie kołysać.

Widzi, jak jej krawędź trafia Raúla w sam środek nosa. Powstrzymuje się, żeby nie krzyknąć: Przepraszam, ale jednocześnie jest zadowolony, że cios był czysty i silny. Raúl się przewraca, nie wydaje żadnego dźwięku, zapada cisza. Erhard widzi tylko, że zza krawędzi burty wystaje jego noga.

Przesuwa się ku dziobowi, chwyta za brzeg. Odpycha się nogami, podciąga, ładuje torsem w łodzi, po chwili wciąga na pokład nogi. Kuli się na dnie, nie ma już siły, ale kiedy ciepły wiatr osusza mu ręce i nogi, czuje nagły przypływ energii.

W tylnej kieszeni mokrych spodni znajduje krótki plastikowy pasek. Przywiązuje nim nogę Raúla do drugiej dulki, tej, która jeszcze została. Sprawdza, czy utrzyma jego ciężar, przeczołguje się przez ławkę, podchodzi do leżącego bez życia Raúla. Bierze w dłonie jego głowę. Żeby zrozumieć jego spojrzenie i rozbić ją o burzę.

Raúl otwiera oczy.

Erhard, miażdżąc mu głowę, chce widzieć jego oczy.

– Przykro mi. – Z gardła Raúla wydobywa się dziwny dźwięk. – Kocham ją, nie chciałem, nie chciałem.

Erhard puszcza go, nie chce tego słuchać.

– Zamknij się, ty dumny chłopaku.

– Wszystko, co miałem, należało do niego. Chciałem mieć coś własnego.

– Jesteś chory, potrzebujesz pomocy.

– Jeśli chodzi o tę dziwkę, to...

– Chodzi o wszystko. O chłopca, o Beatriz, o Alinę. O wszystko.

– Jeśli chcemy się ratować, to za to płacimy. Sam tak kiedyś powiedziałeś.

– Nie, to nie tak, durniu.

Erhard chwyta go za gardło, jakby chciał wytrząsnąć z niego resztki życia. Gdyby tylko miał dość siły.

Nagle Raúl rzuca się na niego, przez chwilę leżą jeden na drugim, a potem Raúl, o dziwo, wstaje, mimo że jedną nogę ma przywiązaną do dulki.

Do Erharda dociera, jak bardzo się różnią posturą. Mimo kilku tygodni spędzonych w zamknięciu Raúl nadal jest od niego trzydzieści pięć lat młodszy. Wystarczy, że zamachnie się mocniej ręką i może pozbawić go resztek energii, które jeszcze ma, a nawet życia. Raúl stoi, patrzy na niego, jego usta się poruszają, jakby się modlił. Nagle bierze zamach, w dłoni trzyma kamień, najwyraźniej leżał na dnie łódki.

Erhard momentalnie rzuca się na drugą stronę.

Raúl stoi na jednej nodze, łódź się przechyla, musi postawić nogę na pokładzie, potyka się, nie może złapać równowagi, drugą nogę ma przywiązaną do dulki, leci do przodu całym ciałem, usiłuje się czegoś chwycić, nie ma czego, wypada z łódki, wrywa dulkę. Łódź trochę się przechyla, ale szybko wraca do normalnej pozycji.

Mija kilka sekund, zanim wypływa, kilka metrów dalej, prychnie, kaszle. Wyciąga ręce w stronę łodzi, ale nie jest w stanie jej dosięgnąć. Łyka wodę, próbuje coś powiedzieć. Chyba: Zaczekaj.

I właśnie w tym momencie rozpoczyna się pokaz sztucznych ogni w Corralejo.

Święta Carmen wypływa na morze. Kulminacyjny punkt święta. Tratwa z posągami świętej zostaje zwodowana, wokół posągu stoją świece, mieszkańcy żegnają ją pieśnią, race lecą w niebo. Najważniejsza uroczystość roku. Pokaz sztucznych ogni jest wspanialszy niż ten w sylwestra. Race wybuchają na niebie, rozświetlają je, dzielą na kawałki.

Nie mogę już, wydaje się mówić Raúl, woda wpływa mu do ust. Bije wokół rękami, jakby coś zżerało go od dołu, spanikowany, przerażony. Woda się pieni. Erhard chce mu powiedzieć, że nie powinien panikować, ale nic nie mówi, tylko na niego patrzy. Patrzy na twarz, która znika w ciemności, każdy huk dochodzący od strony wyspy jest niczym kolejny gwóźdź wbijający go coraz głębiej w morską toń.

Widać już tylko jedną rękę. Druga walczy, żeby uwolnić nogę z plastikowego paska i dulki. Gwałtowne ruchy tylko jeszcze bardziej oddalają go od łodzi, ale

on tego nie widzi, dalej boksuje, macha rękami. Z trudem łapie powietrze, nabiera w usta wody.

W końcu Erhard wyciąga do niego rękę. Najdalej jak może. Zastanawia się, jak mu się uda skierować łódkę w jego stronę i przyjąć taką pozycję, żeby móc go wyciągnąć. Ale przecież nie ma wiosła, a obie dulki są w wodzie, nie może nic zrobić. Wiosłując ręką, nie poruszy łódki. Znów wyciąga rękę. Najdalej jak może. Ale jest za daleko, za daleko, żeby go chwycić. Raúl najwyraźniej odczytuje jego intencje. Patrzy na niego białymi od soli oczami, rysy jego twarzy powoli się zacierają.

– Nie chcę – mówi pod wodą.

Erhard patrzy na swoją rękę, cofa ją. Swoją rękę z czterema palcami. Dłoń jest wąska. Prawie jak dłoń człowieka.

Raúl się nie odzywa. Głos wybrzmiewa, znika między falami.

Erhard jest tak przerażony, że nie jest w stanie krzyczeć. Czuje wszystkie odcienie zdrady, czuje stratę, nienawiść, miłość trafia go nagle niczym cios, tak mocny, że zaczyna płakać, tak, jak płacze człowiek bez przeszłości.

A potem jest już tylko woda. I jakieś bulgotanie, szelest, które też wkrótce ustają.

# Lily

28 lutego

## 79

Ona nawet się nie domyśla, jak wielką ulgę czuje. Bo ją widzi. Odprowadza Aaza do drzwi i bez słowa wpuszcza go do domu. Te godziny, kiedy był przekonany, że Palabras ją uprowadził i zamierza skrzywdzić, żeby go ukarać, zostawiły w nim ślad. Nie wyobraża sobie niczego piękniejszego niż jej żywa, stara twarz.

– Znów jeździsz taksówką?

– Jeszcze nie, ale na pewno będę.

– Nie jesteś już dyrektorem?

– Może kiedyś znów będę. Teraz chcę trochę pojeździć, a potem zobaczymy.

Próbuje złapać jego spojrzenie, ale on patrzy przez korytarz na kwiaty, które widać przez okno w kuchni.

– Więc już po wszystkim?

– Tak.

– A co z chłopcem?

– Znalazłem jego matkę.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nie żyje? – szepcze.

– Nie, matka żyje. Ma restaurację. To młoda, uparta kobieta, ale jest w porządku.

Monika się śmieje.

– Zdaje się, że znasz takich kilka.

Ona ma na myśli siebie, on myśli o Annette. O tym, jak nie mógł jej już znieść. Najtrudniej jest kochać tych, którzy potrzebują naszej miłości – najłatwiej tych, którzy wcale jej nie pragną.

– Widzimy się o siedemnastej – mówi i zaczyna schodzić po schodach. Monika długo stoi w drzwiach, słyszy, jak je zamyka, dopiero kiedy dochodzi do furtki.

Jeździ czerwonym oplem corsą. To samochód Baroukiego. Pożyczył go od niego. Do czasu kiedy znajdzie używanego mercedesa z przebiegiem mniejszym niż dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Musi być lepszy od jego starego merca. Zamierza zaczynać rano u Misy i jeździć tylko przed południem. Może któregoś popołudnia zajrzy do biura, zorientuje się, czy może coś zrobić. Barouki bardzo się różni od Marcelisa. Nawet śmieją się z tych samych rzeczy.

Toczy się powoli w stronę Corralejo. Po prawej ma wulkan Calderon Hondo, błądy trójkąt na tle czystego błękitnego nieba. Krater zawsze będzie mu przypominał Juana Pascuala, znanego również jako Pesce. Miejsce pobytu nieznane. Kiedy wrócił do hotelu Olympus, drzwi furgonetki stały otworem, ktoś ją podpalił. Nie spłonęła całkiem, ale zniszczenia były poważne. Po Juanie nie było śladu. W mieszkaniu też go nie było. Sprawiało wrażenie opuszczonego, jakby od wielu dni nikogo w nim nie było. Może zamustrował się na statek, może właśnie teraz przepływa obok Przylądka Dobrej Nadziei. Marynarz lepiej niż ktokolwiek inny wie, jak ogromny jest świat.

Na lotnisku panuje niepokój. Jedno z dużych towarzystw lotniczych zwolniło właśnie jedną czwartą personelu i odwołało loty na wyspę. Trzydzieści osób dostało wypowiedzenia, a politycy kłócą się, co zrobić, żeby rozwijać turystykę. Związki zawodowe postanowiły zablokować lotnisko. Samochody stoją przy drodze, kierowcy trąbią, taksówki nie mogą ani podjechać pod terminal, ani

z niego odjechać. Policja próbuje zaprowadzić porządek na drodze. Mówią o tym w radiu, mówią o tym też ludzie przy kiosku na rogu, gdzie Erhard parkuje. Dalej idzie na piechotę.

Czeka dziesięć minut. Może piętnaście. Wychodzi kucharz z workiem z odpadami, zauważa go. Erhard wręcza mu dwadzieścia euro. Kucharz znika w kuchni.

– Domyśliłam się, że to ty – mówi kobieta. Jest zmęczona, ale wygląda lepiej, niż kiedy ją widział poprzednim razem. Jest przygotowana na to, że ją zbeszta.

Erhard zastanawia się, czy nie powinien tego zrobić.

– Chcesz wiedzieć, co się stało z Sørenem Hollisenem i twoim synkiem?

Kobieta nie odpowiada, ale siada na zniszczonym barowym stołku.

– Søren Hollisen nie żyje. Ktoś zepchnął go z pokładu statku do Atlantyku. Utonął.

Kobieta nadal milczy. Siedzi ze spuszczoną głową. Erhard spodziewa się, że za chwilę wyciągnie papierosa, jakby uruchomił maszynę do palenia, widzi, jak sięga do torebki na brzuchu, ale nie wyjmuje papierosów, dotyka tylko zamka błyskawicznego.

– Gówniarz, cholerny gówniarz – szepcze. Jej oczy w upudrowanej na biało twarzy są twarde. Należy do osób, które nienawidzą słońca, które nawet na chwilę nie wychodzą na słońce. Farbuje włosy na czarno, maluje brwi i na pewno ma kolczyki w różnych dziwnych miejscach. Ale trudno jej się zmienić z kruchej dziewczynki we wściekłą dziewczynę.

– Chciał wyjechać z małym do Maroka, ale los chciał inaczej. Statek został uprowadzony.

– Co takiego? – Podnosi głowę. Zaniepokojona.

– Próbował się przeciwstawić porywaczom. Myśleli, że oszalał, a on po prostu chciał ratować waszego syna, który był w jednym z kontenerów.

Kobieta patrzy przed siebie, w powietrze. Czeka na dalszy ciąg. Na to, co najgorsze.



– Ukrył go w samochodzie. Samochód wyleciał z kontenera do wody, kiedy on próbował przeszkodzić porywaczom. A przynajmniej tak to sobie wyobrażam.

– Więc utonął? Chłopiec?

– Nie. Z jakiegoś powodu samochód nie poszedł na dno. Fale wyrzuciły go na plażę w Cotillo.

– Co takiego? – pyta, zaniepokojona.

– Unosił się na falach może dobę albo półtorej, a podczas przypływu wypłynął na plażę. Był niemal nienaruszony. Policja podejrzewała, że został skradziony z salonu w Puerto del Rosario. W swoim czasie sporo się o tym mówiło na wyspie. O chłopcu w pudełku.

– W pudełku?

– Z jakiegoś powodu Hollisen włożył go do pudełka. Może uznał to za tymczasowe rozwiązanie, może schował go w samochodzie tylko na chwilę. A potem statek został uprowadzony.

– Nie słyszałam, żeby ktoś mówił coś o chłopcu w pudełku. Słyszałam, że jakaś dziwka zostawiła dziecko w samochodzie na plaży. Kiedy się tu przenieśliśmy, wszyscy o tym mówili. Co mnie obchodziło dziecko jakiejś dziwki.

– To nie było dziecko dziwki. To był twój syn.

Patrzy na niego, jakby chciała mu odgryźć głowę.

– Rodziłaś dwudziestego trzeciego października?

– Nie, dwudziestego pierwszego. Myślisz, że nie pamiętam daty? Że jestem aż taka głupia?

– Więc dlaczego Hollisen był przekonany, że mały urodził się dwudziestego trzeciego?

– Bo go okłamałam. Kiedy mały się urodził, w ogóle nie chciałam mu o tym mówić. Chciałam się nim zająć sama. Bez niego. Nie był mi potrzebny. Wiesz chyba, że faceci to nie moja bajka. Ale dziecko płakało, było uciążliwe. Nie miałam siły się nim zajmować. Więc kiedy wróciłam ze szpitala do domu, to się z nim skontaktowałam. Jak zwykle był radosny i naprany. Pokazałam mu

dziecko, żeby sobie nie myślał, że nie będzie miał żadnych obowiązków. Patrz, co zrobiłeś. To twój dzieciak. A on się rozżłościł, że nic mu wcześniej nie powiedziałam, przecież by mi pomógł. Byłby przy porodzie i takie tam, gadał jak zwykle faceci w takich sytuacjach.

Erhard pokazuje jej kawałek gazety z tekstem podpisanym Rick 2310. Znalazł go razem z zasuszonym palcem na półce z książkami w starym domu w Majanicho, kiedy zaczął tam robić porządki.

Spodziewał się, że dziewczyna zacznie zadawać mu pytania, ale ona zaczyna płakać. Bezgłośnie, po prostu woda leje się z jej czarnych oczu. Mnie papier i wyrzuca go do kosza. Erhard chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje.

– Uwielbiał ten głupi film, czasem wspominał, że otworzy kawiarnię w Maroku. Oglądaliśmy go razem. W kinie, w Santa Cruz. Tym nad wodą. To było jeszcze zanim się zorientował, że jestem do niczego.

– Jaki film?

– Z Humphreym Bogartem. W którym ma kawiarnię. Rick's.

Marzyciel Søren Hollisen. Tak bardzo pragnął, żeby jego życie było niezwykle, ale zawsze robił nie to, co powinien. Tak to jest, kiedy człowiek co chwila musi po sobie sprzątać i zaczynać od nowa, bo jest nieodpowiedzialny, myśli Erhard. Ale też kiedy wierzy, że szczęście zawsze może się odwrócić, kiedy nigdy nie traci nadziei. Aż w końcu jest już za późno.

Erhard bierze jej dłoń, i trzyma w swojej. Najpierw jest jej wszystko jedno, ale po chwili ściska mocno jego palce, tak mocno, że aż go bolą. I tak stoją obok siebie.

Ona milczy, ale łzy przestały już lecieć.

– A co z tymi, którzy to zrobili? Którzy wepchnęli Sørena do wody? To ich wina, to oni...

– Znalazłem tego, który za tym wszystkim stał. Poniósł karę.

– Co? Jaką? Kilka lat w Zamku z wiktem i opierunkiem?

– Policja nie została w to włączona. Więc Nie. On nie żyje. Widziałem, jak umiera.

Dziewczyna stoi i myśli. Puszczając jego rękę, przykładając dłoń do brzucha.

– Dlatego masz kłopoty? – pyta. – Kiedy ostatnio cię widziałam, szukała cię policja.

– To było nieporozumienie. Już przestałem ich interesować.

Nagle przypomina sobie tę dziwną małą rzecz, która ma coś wspólnego z komputerem i która nadal leży w akwarium w toalecie w restauracji. Jest tam wystarczająco dużo danych, żeby można było wszcząć dochodzenie. Gdyby na przykład prasa się o tym dowiedziała.

– Mówisz jak mój dziadek – odzywa się nagle dziewczyna.

Erhard uznaje to za komplement.

– Więc pomyśl sobie, że to on teraz do ciebie mówi. I załatw tę aborcję. To pewnie już trzeci miesiąc. Nie popełnij drugiego raz tego samego błędu.

– Nie mogę. Nie mogę go zabić.

– Możesz. Musisz.

– Nie mogę.

– Więc nie rób tego. Urodź dziecko. Tylko, do diabła, kochaj je. Kochaj je tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochałaś. Kochaj je, jak kochasz samą siebie. Jak kochasz to dziecko, które urodziłaś, ale którego nie ma już na świecie. Kochaj je tak, żeby nigdy nie czuło się samotne.

– Nie pragnę mężczyzny, nie chcę mieć rodziny. Nie mogę zostać matką.

– Zapomnij o tym wszystkim. Po prostu bądź ze swoim dzieckiem. Żeby je kochać, nie potrzebujesz ani faceta, ani rodziny. Rodzicem można być na wiele sposobów. Znajdź swój własny. Tak jak Søren próbował znaleźć swój.

W drzwiach staje kucharz. Patrzy na nich.

– Lily, jakiś klient domaga się zwrotu pieniędzy. Frida cię szuka.

– Już idę – mówi dziewczyna. Kiedy kucharz odchodzi, długo patrzy na Erharda. – Dziękuję – rzuca szybko, odwraca się i rusza do drzwi.

– Mam coś dla ciebie. – Erhard zatrzymuje ją. Sięga do kieszeni. Podaje jej coś, a ona bierze to do ręki i nie patrząc, od razu wie, co to jest.

– Gdzie? – pyta. – Skąd ją masz?

– Znajduję rzeczy, które się zgubiły – mówi Erhard.

– Coś ty za jeden? Nie mogę zrozumieć, dlaczego to wszystko robisz.

– Jestem po prostu starym człowiekiem, który nie ma nic innego do roboty.

Dziewczyna wkłada obrączkę na palec. Jest za duża. Przekłada ją na palec wskazujący. Tym razem pasuje, wygląda, jakby zawsze tam była.

– Dziękuję – mówi. Chyba z ulgą. I znika za drzwiami.

Erhard jedzie do domu. Już zapomniał, jak bardzo lubi jeździć ścieżką Alejandra. Widzi przed sobą zakręt, czuje łaskotanie w żołądku. Zatrzymuje się, wysiada z wozu, siada na kamieniu, na słońcu, słyszy biegające gdzieś kozy. Hardy wrócił. Nie ma go przy domu, ale jest na zboczu. Po chwili kozy stają obok siebie i spoglądają w dół, na niego. Dzisiaj to on podchodzi do nich.

## Wyrazy wdzięczności

Trzeba być zdyscyplinowanym i trochę szalonym, żeby napisać książkę, trzeba mieć cierpliwość i dużo wyrozumiałości, żeby żyć z pisarzem. Kocham moją rodzinę za to, że daje mi miejsce i przestrzeń, których potrzebuję, żeby pisać. Dziękuję mojej ukochanej P., która sprawiła, że dojrzałem, stawiając przede mną wyzwania większe, niż ktokolwiek kiedykolwiek mi stawiał. Dziękuję moim dobrym przyjaciołom, którzy zawsze wierzyli w mój debiut. Dziękuję wszystkim, którzy swoim zainteresowaniem i wiedzą przyczynili się do powstania *Eremity*: mojemu redaktorowi K., moim agentom, mojej hiszpańskiej tłumaczce z Fuerteventury, Nicole Callaghan, marynarzom i ludziom morza, taksówkarzom i stroicielom fortepianów, kelnerkom i kelnerom z kawiarni w muzeum Louisiana, którzy przez trzy lata podawali mi czarną kawę i wierzyli we mnie.